

Ł U K A S Z
MALINOWSKI

Skald

A large black crow is perched on a silver, ornate helmet with a chainmail skirt. The helmet has several red blood splatters on its surface. The background is a snowy, moonlit landscape with several other crows flying in the sky. The title 'Skald' is written in a large, red, stylized font across the middle of the image.

KARMICIEL KRUKÓW

Ł U K A S Z
M A L I N O W S K I

Skald
KARMICIEL
KRUKÓW

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Podziękowania

Za garść srebrnych monet

Pieśń trupa

Wielość i Jedność

Dodatek od autora: O religii słów kilka

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: WIOLETA MUSZYŃSKA, DOROTA RING
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ
Projekt okładki: Dark Crayon / PIOTR CIEŚLIŃSKI

Copyright © by Łukasz Malinowski, 2013
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-64185-49-6

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

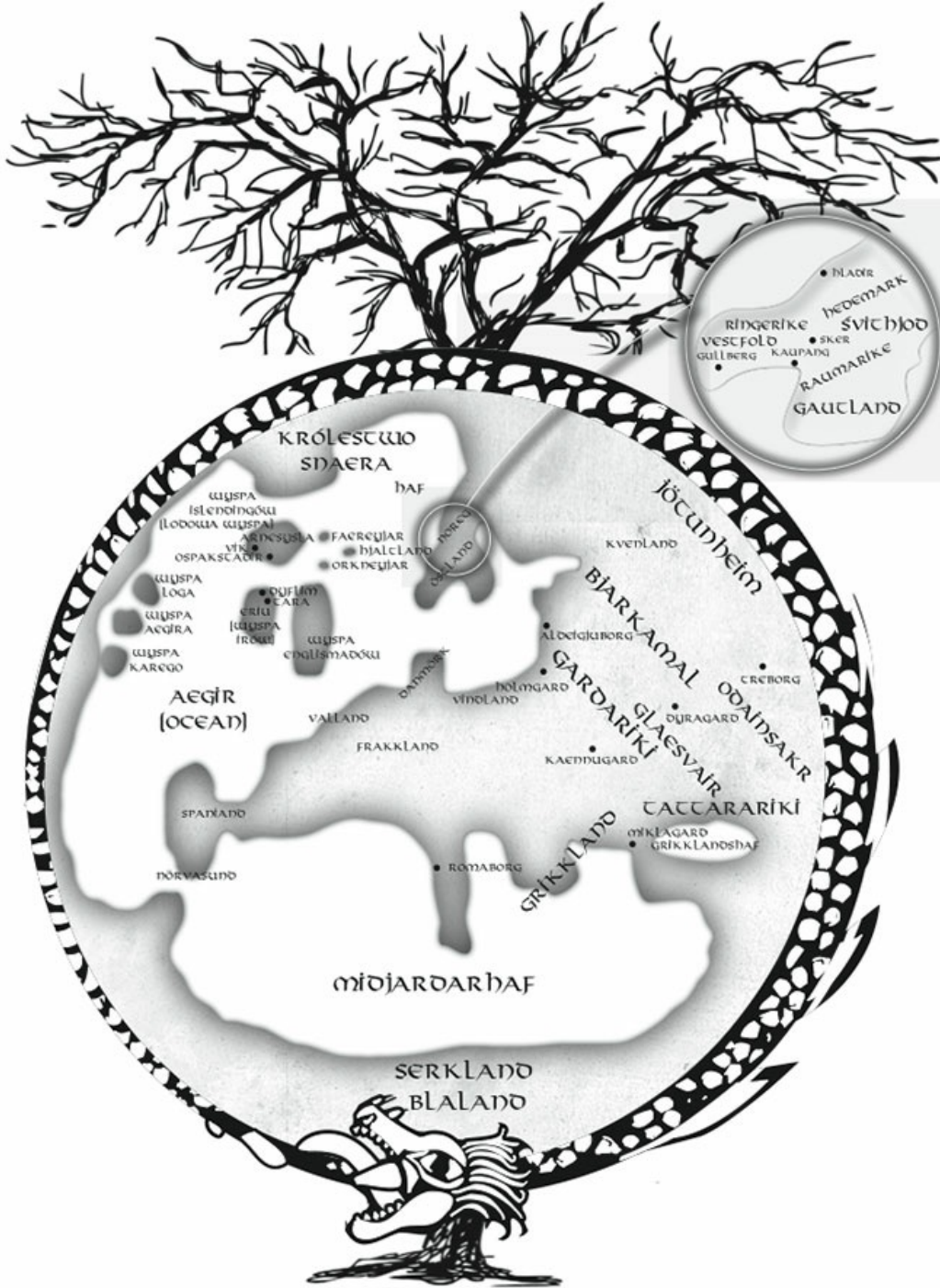
Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Podziękowania

Powieściowy debiut kosztuje wiele pracy i wytrwałości nie tylko pisarza, ale także osoby, które go wspierają. Dlatego szczególne podziękowania należą się mojej żonie Ilonie – za to, że nieustannie zachęcała mnie do pisania i wybaczyła setki godzin spędzonych przy laptopie. Wdzięczny jestem również kuzynowi Marcinowi, wiernemu miłośnikowi literatury, który zawsze był pierwszym czytelnikiem i recenzentem moich tekstów. Przyjacielowi, Januszowi, obiecuję, że kiedyś oddam mu wszystkie książki o Irlandii, które mi pożyczył. Znajda, jedna z bohaterek tej opowieści, wiele zawdzięcza mojemu siostrzeńcowi Markowi, którego rozbijająca szczerłość pozwoliła mi wejrzeć w psychikę dziecka. *Karmiciel kruków* byłby z pewnością znacznie słabszą powieścią, gdyby nie Artur, którego wskazówki i poprawki pozwoliły mi udoskonalić książkę i wzbogacić ją o cenne dodatki.

Łukasz Malinowski

MAPA AINARA SKALDA Z OK. 940 ROKU PO NARODZENIU KRISTOSA





Za garść srebrnych monet

1

Na placu osady zebrało się kilkadziesiąt osób, których nie zraził chłód ani śnieg z deszczem. Przyszli, by posłuchać, co ma do powiedzenia kristiański *munkr*, kulawy starzec podpierający się laską.

Mnich rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Zobaczył kamienny piedestał. Wiedział, że jeszcze zeszłego lata stała na nim rzeźba boga Magniego^[1]. To odpowiednie miejsce na wygłoszenie kazania – pokaże Östmadom, że starzy bogowie stracili swoją moc.

Gdy wszedł na podwyższenie, w jego postawie dokonała się natychmiastowa przemiana. Teraz wydawał się młodszy, silniejszy, wyższy. Wiedział, że to sam Krist nappełnił go, swojego ucznia, siłą, by mógł swobodnie głosić Jego naukę. Wyprostował plecy, odrzucił laskę, wygładził czarny habit oraz nałożony na niego szkaplerz, splunął i uniósł ręce.

– Bracia! Mistrz Alkuin naucza o ośmiu grzechach głównych, występkach śmiertelnych, które nie dość, że oddalają dusze ludzkie od Krista, to jeszcze są źródłem innych niegodziwości, jakich dopuszcza się człowiek. Pierwszym z tych grzechów jest duma, przez którą aniołowie zostali strąceni do piekła i stali się czarnymi diabłami!

Początek zawsze jest najtrudniejszy. Trzeba zacząć ostro, ale i ciekawie. Nudnych i mało stanowczych kaznodziei ludzie nie chcą słuchać. Na szczęście donośny głos starca – w połączeniu z jego niezwykłym wyglądem – sprawiał,

że ten munk nie musiał się martwić o brak posłuchu.

– Czy któryś z was myśli – ciągnął – że jest niczym świerk posadzony na szczycie wzgórza i może spoglądać z góry na całą okolicę? Jeśli tak, to niech uważa, by piorun lub wichura nie poniżyły go przed innymi drzewami. Albowiem wiedzcie, moi nieoświeceni bracia, że wobec Jedynego wszyscy jesteście równi.

Papar, jak mieszkańcy Północy nazywali odzianych w habity przybyszów z Wyspy Irów, odgarnął kosmyk siwych włosów, który wiatr zdmuchnął mu na jedyne oko. W miejscu, gdzie powinno się znajdować drugie, zionął otwór, który przedzielała pionowa pręga, ciągnąca się od czoła do podbródka. Nietrudno było rozpoznać bliznę po cięciu mieczem, nadającą obliczu starca aurę tajemniczości.

– Duma, drodzy zebrani, jest jednak tylko pierwszym występkiem głównym. Drugim jest pycha, która zrodziła się w umyśle szatana zaraz po tym, jak popadł on w dumę. Czarny diabeł stwierdził, że jest równy Bogu, a jego moc jest nieograniczona. Uważajcie zatem, by nie powtórzyć jego błędów, ponieważ pycha i próżność jest pustym honorem, jego wykrzywieniem!

Musiał wziąć kilka głębokich wdechów, by uspokoić kołaczące serce. Minęły już czasy, kiedy przez cały dzień mógł czytać na głos lekcje albo śpiewać psalmy w oratorium.

– Kogo zwiemy próżnym człowiekiem, zapytacie? Tego, kto chce być chwalony za swoje uczynki, zamiast zadowolić się bogactwem łaski otrzymanej od Boga. Tylko pyszny głupiec jest przekonany, że samemu sobie zawdzięcza zaszczyty, umiejętności i mądrość. Wiedzcie bowiem, że nie macie nic, czego nie otrzymalibyście od Sprawiedliwego. Nie wywyższajcie się zatem ponad innymi, ale raczej dziękujcie Miłosiernemu za to, że obdarzył was wielką łaską.

Ludzie ze Sker nie mieli wątpliwości. Ten człowiek niedawno zabijał.

Samotny piechur zbliżał się do osady. Cały był zalany krwią – cudzą i własną. Plamy nie były może aż tak widoczne na czerwonym kyrtyllu^[2], za to niebieskie spodnie przypominały szmatę, którą właśnie wytarto klepisko po ubiciu świniaka. Szedł ociężale, wspierając się na drzewcu włóczni. Szyszak z zasłoną na nos, ozdobiony rytem ukazującym walczących na miecze hamramirów – „zmieniających kształty” szalonych wojowników – tylko częściowo zasłaniał pooraną bliznami twarz. Solidna kolczuga sprawiała, że masywne ramiona i szeroka pierś obcego wydawały się jeszcze większe niż w rzeczywistości.

Przybysz dobrze wiedział, że wyglądał groźnie. Gdy tylko podszedł do pierwszego domostwa, dzieci i kobiety schowały się do domów, a mężczyźni sięgnęli po siekiery i widły. Złowrogi uśmiech na twarzy nieznajomego przekonywał, że słusznie się go obawiano...

Niezatrzymywany przez nikogo dotarł do drugiego domu. Widząc, że zabudowa osiedla nie różni się od spotykanej w innych rejonach Östlandu, przypuszczał, że w tym długim budynku mieszkają mniej zamożni karlmadowie – ludzie wolni, ale pracujący na ziemi należącej do gospodarza osady. Szesnaście domostw oraz kilkadziesiąt stajen, składzików i spichrzy ustawionych było w trzy pierścienie, które otaczały plac oraz okazałą hallę – dwór naczelnika. Chaty osiedla zajmowane były wedle znaczenia – im ktoś bogatszy, tym bliżej placu mieszkał.

Przy trzecim domu drogę zagrodziło mu dwóch mężczyzn – po toporach bojowych na długich styliskach rozpoznał, że są drengami, wojownikami. Z pewnością nie byli to zwykli, pospiesznie uzbrojeni karlmadowie, ale wyćwiczeni w boju drottmadowie, czyli członkowie *drótt*, przybocznej drużyny właściciela tej posiadłości. Obaj bardziej przypominali niedźwiedzie niż synów Aska, pierwszego z ludzi. Byli ogromni i włochaci, ramiona mieli

grube jak pnie drzew, a łapy wielkie niczym kamienie młyńskie. Żle im z oczu patrzyło i widać było, że niewiele im było trzeba do zwady. Zresztą te strony nie słynęły dziś z gościnności. Kiedyś było jednak inaczej i – tak jak w całym Noregu – wędrowców witano zsiadłym mlekiem i piwem. Wszystko zmieniło się, kiedy Sker i okoliczne osiedla przeszły we władanie jarła^[3] Erlinga Eysteinsona.

Topornicy rzucili obcemu nienawistne spojrzenia w do znużenia przewidywalnym pozdrowieniu wszystkich zbrojnych.

– Czego tu szukasz, wargu?! – zapytał jeden z nich, choć ton jego głosu wskazywał, że nie zależało mu na odpowiedzi.

Nieznamy nie przejął się, że nazwano go obelżywym mianem wygnańca żyjącego w borze jak *varg*^[4] – samotny wilk. Poprawił przerzucony przez prawe ramię pas z mieczem i splunął rozmówcy pod nogi.

– Znaczysz teren, szczeniaku? Wyglądasz jak *skógarmaðr*, leśny człowiek. Twoje miejsce jest więc w lesie, pośród wilków! Spróbuj, może one wylizają twoje rany?

Zbrojnych Erlinga było dwóch, ale mówił tylko jeden. Wyglądał na pewnego siebie, uśmiechał się lekceważąco, a odziany był w czerwone, obcisłe spodnie i lnianą koszulę z tak głębokim rozcięciem, że odsłaniało kłaki na piersi. Łysą głowę ozdabiała mu szrama, biegnąca równiuteńko od ucha do ucha – znak niezwykłej dokładności albo niespotykanego partactwa jakiegoś wojownika. Mężczyzna podniósł żeleźce brodatego topora na wysokość oczu nieznanego, chcąc go pewnie nastraszyć.

Drugi z drengów stał nieruchomo i od czasu do czasu głucho pojękiwał. Był niemową albo urodził się jako głupek.

– Nie odejdę bez rozmowy z jarłem Erlingiem.

Słowa przybysza zabrzmiały nieprzyjemnie. Wprawdzie głos miał głęboki jak u konunga^[5], czysty jak u pieśniarza i sympatyczny jak u kłamcy, ale jego ton zdradzał, że obcy nie zamierza tolerować sprzeciwu i ma poczucie

wyższości nad rozmówcami.

– Jarl nie zwykł rozmawiać z wygnańcami, a tym bardziej z wszetecznikami Tveggiego.

– Nazwij mnie tak ponownie, a zostaniesz kochanką tej włóczni – ostrzegł nieznajomy i wskazał gadułę grotem, po czym kontynuował: – Będę waszym gościem, aż przywita mnie jarl Erling. Z nikim innym nie będę rozmawiał, gdyż *drengskapr* żadnego z was nie równa się mojemu, mój *tírr* błyszczy blaskiem w całym Noregu, a mój *tign*^[6] właściwy jest potężnemu drengowi, ulubieńcowi rozdawców złotych pierścieni^[7].

Drottmadowie wydawali się zdziwieni. Nie przywykli, by ktoś się im przeciwstawiał, i to tak zuchwale. Ale nie byli zmartwieni, bo wyczuwali szykującą się walkę. Złowieszczo uśmiechnęli się do obcego, jak lis na widok kury.

– Patrz – zaczął łysy, trącając towarzysza łokciem. – Trafił się nam wyszczekany wilczek. Zaraz ściągnie spodnie, by pochwalić się swoją męskością. Ale jak to mówią: kto dużo gada, między nogami nie domaga. Wynoś się stąd, leśny bękarcie, bo psami poszczujemy.

Błysnął miecz, ostrze zabrzęczało o żeleźce, metal wszedł w ciało.

Ludzka głowa potoczyła się w kierunku zgromadzonych kilka kroków dalej karlmadów. Bezgłowy korpus gaduły runął pod nogi przybysza, topór z brzękiem zadzwonił o kamienistą ziemię.

– Sigmunt miał rację. Odcięta głowa upada szybciej od tułowia – skwitował nieznajomy, wycierając zakrwawioną głownię miecza o rękaw bluzy i uważnie obserwując, co robi drugi osiłek.

Ale niemowa nie przejawiał chęci podejmowania jakiegokolwiek działania. Stał tylko i pojękiwał, obezwładniony strachem. Jak mówi stare porzekadło: mięśnie nie zawsze są dziećmi odwagi.

Przybysz czekał.

Nikt nie odważył się do niego zbliżyć. Nikt nie śmiał zapytać o imię. Nikt

nie zaproponował schronienia, kiedy słota spadła z nieba. Wszyscy oczekiwali Erlinga.

Cierpliwość wędrowca i tchórzostwo miejscowych zostały nagrodzone równo w południe. Zwiastunem tej nagrody było ujadanie psów.

Eysteinnsson wrócił w otoczeniu gromady ogarów i w towarzystwie czterech drottmadów. Przygalopował na siwym koniu, którego kopyta podnosiły tumany ciemnego i gęstego kurzu, przybierającego kształt chmur burzowych, w pełni odzwierciedlających nastrój wodza. Wściekłość.

Nieznajomy domyślił się, że *dróttinn*^[8] był na porannym polowaniu. Powiedziało mu o tym nie tylko ujadanie myśliwskich hundów, ale przede wszystkim ciało młodego jelonka przewieszzonego przez kark jucznego konia. Zdobyca była tak świeża, że lekki wiatr przywiewał zapach świeżej krwi i surowego mięsa, co doprowadzało psy do szału.

Ranny włócznie obserwował, jak nagle wszyscy mieszkańcy posiadłości ze zdwojoną gorliwością rzucili się do wykonywania swoich obowiązków. Mógł się tylko domyślać, gdzie znikły kobiety – jedne pobiegły po wodę do strumienia, inne siadły przy krosnach, by prząć tkaninę na koszule dla swoich mężów, a jeszcze inne pognały do kuchni, aby szykować posiłek. Nie musiał się za to zastanawiać, gdzie podziali się mężczyźni. Większość chwyciła za włócznie, siekiery ciesielskie albo zwykłe widły, po czym otoczyła go, pozostając jednak w bezpiecznej, jak im się przynajmniej zdawało, odległości. Demonstracja siły wobec obcego była potrzebna, gdy patrzył drottinn.

Przybysz miał dobry słuch i potrafił wyłowić rozmowę, która toczyła się wiele kroków od niego. Był też na tyle zuchwały, by oderwać oczy od wymierzonej w siebie broni i spojrzeć wprost na jarla, który właśnie próbował dowiedzieć się, co się tu dzieje.

– Skąd to zamieszanie? – krzyknął Erling.

Niewolnik, który usłużnie chwycił jego wierzchowca za uzdę, mylnie uznając, że jarl chce zsiąść, pospieszył z odpowiedzią:

– Eee, warg przy...był pa... pa...nie i za... za...bił na...szego.

Niewolny jękał się, jakby w dzieciństwie klacz kopnęła go w głowę. Widząc, że pan woli zostać w siodle, zaczął wygładzać mu na plecach purpurowy płaszcz.

– Jaki warg? Jakiego naszego? To moja siedziba czy świątynia córek Gefny? Czy ktoś mi wyjaśni, co się tu dzieje?

Z pomocą nierozgarniętemu niewolnikowi przyszedł pewien dreng o twarzy pociągłej jak pysk klaczy. Nie silił się jednak na wyjaśnienia, tylko wskazał palcem nieznanego.

Przybysz lubił, kiedy zwracano na niego uwagę. Z zadowoleniem przyglądał się, jak *hersir*^[9] odwraca głowę w jego stronę, spina ogiera piętami i zmusza go do cwału. Sam pozostał nieruchomy, choć nie umknęło jego uwadze, że pilnujący go karlmadowie mocniej ujęli widły i siekiery, a drottmadowie silniej zacisnęli dłonie na włóczniach. Widać czuli na sobie surowy wzrok zbliżającego się drottinna. Kropelki potu świeciły na ich czołach, tchórzostwo biło z oczu.

Mocnym szarpnięciem wodzy jarl osadził wierzchowca kilka kroków od nieznanego. Na jego obliczu dało się zauważyć gniew, ale i zaciekawienie. Uderzenie serca później obok Erlinga zjawił się jeden z myśliwych.

– Witaj, dziedzicu Sigurda Smokobójcy i Odda Strzały, spadkobierco chwały tych wielkich bohaterów, władco Hedermarku, którego męstwo opiewają pieśniarze – rozpoczął przybysz.

Lata spędzone w otoczeniu i drobnych naczelników, i potężnych konungów nauczyły obcego, że wszyscy władcy lubili być chwaleni. Ten nie różnił się od pozostałych, przynajmniej tak przybysz słyszał. Miał teraz przed sobą najpotężniejszego hersira w niezbyt rozległej krainie zwanej Hedemarkiem, o którym mówiło się, iż jest *riki maðr* – bogaczem. Połacie pól, pastwisk i lasów oraz stada bydła i koni stanowiły znaczny majątek, na który konungowie patrzyli z zazdrością. Ale na patrzeniu się kończyło, ponieważ

Erling słynął z bitności, a do służby w jego przybocznym drotcie garnęli się najznakomitsi drengowie w Östlandzie. A ci zaprawieni w wojnach drottnadowie skutecznie dbali czynem oraz słowem, by ich pan uchodził wszem wobec za sprawiedliwego, dobrego i silnego naczelnika, którego sojusznikom – a nawet niewolnikom! – nie mogła stać się krzywda z ręki obcych.

– Pozwól, że się przedstawię – ciągnął nieznajomy, uprzedzając pytanie jarla. – Ainarem Skaldem^[10] mnie zwą i zaprawdę jestem biegły w poezji. Jak świat długi i szeroki znane są moje visy i drapy^[11], kunszt moich pieśni wzbudza zazdrość Göllnira, a o moich wojennych dokonaniach rozprawia się na dworach konungów.

– Doprawdy? – burknął Erling z powątpiewaniem, jakby imię obcego nie było mu w ogóle znane.

Ainar nie zareagował na zaczepkę, choć był pewien, że jarl chciał być złośliwy. Nie wierzył, by ktoś – a już szczególnie którykolwiek z władców – mógł o nim nie słyszeć.

– Ród mój szlachetny od wieków jest zaprzyjaźniony z władcami nie tylko naszej krainy, ale i panami Vallandu, Northumbrii, Gardariki czy Bjarkamal.

– Skaldowie słyną z tego, że umieją posługiwać się językiem. Ty jednak, jak widzę, równie pięknie układasz słowa, jak ścinasz głowy moim drengom. A nikt nie może tego robić bez mojej zgody. Wyjaśnij mi zatem, skąd bierze się twoja zuchwałość. Otacza cię tuzin zbrojnych, a za zbrodnię mam pełne prawo cię powiesić. Dodatkowo wygląda na to, że jesteś, jak to nazywa zwyczaj, *varg í véum*, wilkiem w świętych miejscach, czyli wygnańcem. A zabijanie banitów to obowiązek każdego naczelnika.

– Przyczyn mojej śmiałości jest kilka, ulubieńcu Göllnira. Po pierwsze, nie widzę tutaj człowieka, który zdołałby zwyciężyć mnie w uczciwej walce. Gdybyś natomiast postanowił wykorzystać przewagę liczebną, wiele tutejszych kobiet zostałyby wdowami.

Pomruk gniewu wydobył się z licznych gardeł, ale żaden z ich właścicieli nie odważył się zaprzeczyć skaldowi słowem ani czynem.

– Po drugie, w moim postępowaniu nie było nic niewłaściwego. Po babce odziedziczyłem skłonność do nauczania dobrych obyczajów. Pod nieobecność gospodarza pozwoliłem więc sobie dać lekcję grzeczności twoim drottmadom, którzy nie wiedzieli, że lepszym od siebie należy się szacunek. Czyż nie jest prawdą, że wiele wiosen temu nasz władca, Gudröd Myśliwy^[12], król Vestfoldu, Ringerike, Raumarike i Hedemarku, wydał prawo określające, jak gospodarze powinni gościć podróżnych? Przypomnę zatem, że każdy podróżny ma prawo do miski polewki, schronienia przed deszczem i słońcem oraz jednego noclegu pod dachem gospodarza.

– Ach, więc jesteś też nauczycielem? Niestety, spóźniłeś się. Już stara Hilda uczy nasze dzieci dobrych obyczajów.

Przybocznik hersira ryknęli śmiechem, bezbłędnie odczytując chwilę, kiedy powinni wzmocnić szyderstwo naczelnika.

Skald zignorował złośliwość.

– Po trzecie, przybyłem ostrzec was przed zbrojnymi, którzy zbliżają się do twoich włości.

– Ha! Teraz wiem, że kłamiesz. Z żadnym z sąsiadów nie jestem w sporze. A nawet gdybym był, żaden z tych psów nie odważyłby się zaszczekać na swojego pana.

Ainar sposepniał i bezwiednie uniósł prawą brew. Zawsze się unosiła, gdy zaczynał się denerwować. Po chwili w jego oczach pojawiała się isierka szaleństwa.

– Skoro mamy wspólnie stawić im czoło, musimy jedno ustalić: nie pozwolę się obrażać! Jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie kłamcą, nie pozostawisz mi wyboru. Zdam się na sprawiedliwość miecza.

Dla wzmocnienia tych słów Ainar pogładził, niby od niechcienia, głowicę

swojego miecza Kvernbita, Gryzącego Kamień. Była to niezwykła broń – jej poprzedni właściciel utrzymywał, że wykuły ją karły^[13] w swojej podziemnej kuźni, a niezwykłą wytrzymałość zawdzięczała hartowaniu w lawie. Skald wątpił, by była to prawda, gdyż podobne ostrza widywał daleko na południu, w Vallandzie, gdzie karły się nie zapuszczały. Znał się też trochę na kowalstwie i przypuszczał, że rdzeń ostrza wykonano z trzech splecionych ze sobą żelaznych prętów, a krawędzie wykuto ze stali. Cały sekret tkwił bowiem w węglu – pozbawione go żelazo odpowiadało za wytrzymałość broni, a nasycona węglem stal zapewniała ostrość i twardość. Miecz ten miał jeszcze jedną przewagę nad żelaznymi pobratymcami z krain Północy – był zakończony sztychem ostrym, a nie półokrągłym, dzięki czemu świetnie nadawał się nie tylko do cięć, ale i do pchnięć.

– O żadnym „wspólnym stawianiu czoła” nie było jeszcze mowy – odpowiedział jarl, mocno podrażniony bezczelnością przybysza – a za kolejną groźbę poznasz smak sprawiedliwości Hangaguda, Powieszzonego Boga. Miejsce wargów jest na gałęzi.

Twarz Skalda jeszcze bardziej spochmurniała. Lewa brew dołączyła do prawej i złączyły się w jeden marszczący się nad czołem włochaty pasek. Źrenice zwęziły się tak, że oczy wydawały się jeszcze głębiej osadzone niż w rzeczywistości. Niewielu drengów mogło pochwalić się taką biegłością w robieniu min, a tylko Grimnir, bóg masek, znał ich więcej. Przez sześć uderzeń serca wędrowiec straszyl hersira groźnym grymasem, po czym rozchmurzył się. Brwi wzięły rozwód, powracając do pilnowania swoich łuków, a kąciki ust wystrzeliły do góry, doprowadzając do powstania dołeczków na policzkach. Gdyby nie blizny na czole wędrowca, jego uśmiech mógłby uchodzić za życzliwy.

– Dobrze, to lubię. Mądrze jest ustalić zasady wspólnych działań już przy ich rozpoczęciu. A skoro zwyczajowe groźby mamy już za sobą, przejdźmy do zacieśniania naszego sojuszu. Szkoda czasu na kłótnie o drobnostki, gdy można się spierać o srebro.

Poeta zamilkł, dając rozmówcy czas na oswojenie się z tymi słowami. Wzmianka o bogactwie zawsze sprawia, że ludzie słuchają uważniej.

– Jak już powiedziałem, do Sker zbliżają się zbrojni. Już wspólnie ustaliliśmy, że nie może ich wieść żaden z twoich sąsiadów. Więc kto? Taki dociekliwy drottinn jak ty zapewne zadaje sobie to pytanie. A taki nauczyciel z powołania jak ja spieszy z odpowiedzią. Podąża tu Harald Hakonsson, jarl Vestfoldu, który ma siedzibę w Gullbergu. Wraz ze swoim drottem, rzecz jasna.

– Harald? A czegoż on może tu szukać? Nigdy go nie spotkałem, zatem i zwady żadnej mieć z nim nie mogę.

– I tutaj dochodzimy do drażliwej części naszego współdziałania. Otóż on szuka mnie.

Ciekawość Erlinga wzięła górę nad gniewem, co dało się poznać po podekscytowaniu, nieudolnie skrywanym pod płaszczkiem obojętnego, opryskliwego głosu:

– A w jakiej sprawie, jeśli wolno spytać?

– Wnosząc po tym, że zarąbałem jego dwóch synów i poużywałem sobie z jego jedyną córką, zapewne chce mnie zabić. Jego przednia straż, którą spotkałem wczoraj, próbowała mi to zresztą przekazać słowem i czynem. Teraz ani do słowa, ani do czynu straż ta nie jest już zdolna, że się tak wyrażę.

– Tak. To rzeczywiście słaba strona twojego planu. Powiedz, dlaczego nie miałbym rozkazać moim ludziom, by cię zwięzali i przekazali jarlowi Haraldowi w ramach powitalnego daru? Godne podjęcie szlachetnego gościa jest pięknym, choć nieco już dzisiaj zapomnianym zwyczajem.

– Cieszy mnie twój szacunek dla tradycji. Ale to nie byłoby rozważne, o mądry i przenikliwy hersirze. Bo widzisz, on myśli, że jesteś moim *fóstri*, przybranym ojcem, który wychowywał mnie w dzieciństwie. A że Harald jest wyjątkowo mściwy, nie poprzestanie na zabiciu mnie. Zaraz potem zabierze się do twojej żony, twojego brata, później do wszystkich twoich krewnych,

a w końcu do ciebie. Możesz być tego pewny. Jeden z jego ludzi, gdy jeszcze oddychał, wykrzyczał mi w twarz mniej więcej to: „Harald zabije wszystkie ścierwa z domu Eysteinsona, jego żonę, brata, córkę, a na końcu jego samego!”. Po tych słowach skonał. Ponieważ jestem drengiem, który nie zostawia przyjaciół w potrzebie, przybyłem co sił w nogach, by cię ostrzec.

Jarl poczerwieniał na twarzy. Jego głowa wyglądała jak dojrzałe jabłko owinięte w zielony liść myśliwskiego kaptura. Do tego owocowego obrazu nie pasowały tylko gęste, czarne włosy oraz długa broda.

Koń, wyczuwając nastrój swojego pana, zarżał, zarzucił grzywą i mocno wdepnął przednimi kopytami w wysychającą kałużę. Krople błota prysnęły na niebieskie spodnie Ainara.

– Jesteś najbardziej bezczelnym i zuchwałym nidingiem^[14], jakiego spotkałem. A oburzasz się z powodu nazwania cię kłamcą? Dwulicowy *ormr* z ciebie, wąż zjadający własny ogon!

Tym razem twarz Skalda nie przybrała złowrogiego wyrazu. Ainar zachował obojętność, udanie skrywając rozbawienie. Denerwowanie ludzi było jego pasją.

– Po cóż się tak wściekać? Nie zapominaj o naszej umowie. Przy układach muszą obowiązywać pewne zasady. Nie chcemy przecież zachowywać się jak Irskmadowie^[15], którzy skaczą sobie do gardeł z powodu byle kozy czy kobiety. Poza tym jest jeszcze coś, co skutecznie wzmocni naszą przyjaźń i sojusz. Skrzynia ze srebrem. Wypełniony po brzegi peningami^[16] dębowy kufer. Tak ciężki, że i trzech mężczyzn z trudem go podniesie. A na każdej monecie widnieje dumny wizerunek samego Adalsteina^[17], zapewniający, że kruszec jest najwyższej jakości, i kuszący obietnicą rozkoszy, jakie mogą płynąć tylko z bogactwa.

Jarl starał się zachować groźną i władcą pozę, co powinno mu przyjść tym łatwiej, że siedział na koniu i patrzył z góry na przybysza. Ale wprawny obserwator od razu dostrzegłby, że pochyła się, jakby lepiej chciał usłyszeć słowa rozmówcy i nie zaciska dłoni na wodzach, co zwykł robić, kiedy się

złościł. Gniew jarla był udawany, jednak nieufność głęboko w nim tkwiła.

– Skrzynia, powiadasz? Jakoś nie widzę, byś cokolwiek taszczył, a sam wyglądasz mi raczej na włóczęgę, który nie ma jednego peninga, by zapłacić za posiłek i piwo.

Pieśniarz prychnął i uśmiechnął się bezczelnie.

– Czego nie mam dziś, będę miał jutro, czego nie będę miał jutro, będę miał pojutrze, a trzeciego dnia będę miał to, co prawie miałem przedwczoraj. Bo właśnie wtedy drottadowie Haralda przeszkodzili mi w wydobyciu skarbu z pewnej jaskini, leżącej... O, nieco się zagalopowałem. Takie rzeczy mówi się tylko przyjaciołom i sojusznikom. Czy jesteśmy nimi?

– Co o tym sądzisz, Brodirze?

Uwagę Skalda po raz pierwszy przykuł drottmad, który był z jarlem na polowaniu, a potem zatrzymał swojego konia tuż obok wierzchowca władcy. Był to postawny mężczyzna o dziwacznym wyglądzie. Nie miał włosów na czaszce, choć wcale nie wyglądał na starego. Zacięcia na skórze wskazywały, że regularnie golił sobie głowę nożem, ale chyba niezbyt umiejętnie, gdyż pojedyncze wysepki włosków nadal toczyły walkę o przetrwanie. Golarskie zamięłowanie Brodira nie dotyczyło jednak jego twarzy, porośniętej bujną, czarną brodą i grubymi na dwa palce wąsami.

– Myślę, że to kłamca. Najlepiej będzie, jeśli go zabijesz.

Ainar rzucił mu wyzywające spojrzenie, ale napotkał zimny, nienawistny wzrok drenga. Naszło go przeczucie, że z tym drottmadem będzie miał same kłopoty. Później dowiedział się, że był to syn Jökula, słynnego drenga, który wiele lat temu poległ w służbie Erlinga.

Eysteinnsson zastanawiał się przez dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na zachowanie przybocznego. Zdjął kaptur i podrapał się po przyprószonej siwizną czuprynie. Podkręcił wąsa, z którego przy okazji strącił kilka okruszków chleba. W końcu odpowiedział, starając się być równie tajemniczym jak przybysz:

– Wielu zostało przyjaciółmi przy rogu z piwem. Omówimy tę sprawę podczas wieczerzy i zobaczymy, czy twoja obietnica zdobyczy zdoła mnie przekonać, że z nawiązką zostaną wyrównane moje dotychczasowe straty.

3

Mnich zawiesił głos. Chciał, by ludzie przemyśleli jego słowa, by w duchu odpowiedzieli sobie na pytanie, czy duma i pycha rządzą ich postępowaniem. Duma, wróg cnoty i pokory, matka niegodziwości. Był pewny, że tak właśnie było. Dla tingu, honoru wojownika, gotowi byli zginąć, a im głośniej się nim chwalili, tym wydawali się więcej warci dla pobratymców.

– A gdy wyzbędziecie się dumy – nauczał dalej – zwróćcie całą swoją siłę, jaką obdarzył was Kristr, do walki z kolejnym występkiem plamiącym duszę człowieka. Z obżarstwem i pijaństwem! Po to bowiem Wszechwiedzący dał wam rozum, byście umieli zachować umiar. Nie jesteście przecież głupimi bydlętami, żrącymi wszystko i w każdych ilościach. Poście więc raczej, bo to pomoże wam oczyścić ciało i skierować myśli ku Bogu. Sam nasz Zbawiciel dał nam przykład umartwiania się, kiedy przez czterdzieści dni i nocy przebywał na pustyni bez jedzenia, choć podły diabeł kusił go wszystkimi smakołykami świata. I pamiętajcie! To łakomstwo, pragnienie zjedzenia zakazanego owocu, wyгнаło Adama i Ewę z ogrodu edeńskiego!

Papar otarł spocone czoło. Nawracanie Östmadów nawet w tak chłodne dni jest równie męczący, jak koszenie łąki w środku lata. Dobrze wiedział, że tutejszy mieszkańcy są zatwardziali w grzechu i przywiązani do tradycji. A tradycję, tak jak stary dąb, trudno podkopać. Wystarczyło, by któryś z nich przypomniał stare porzekadło: „jedz i pij, jakby słońce miało jutro nie wstać”, a całe jego kazanie pójdzie na marne. Ale musiał próbować.

– I wspomnijcie też, że pijaństwo nie tylko szkodzi zdrowiu, ale prowadzi do innych grzechów. Język wam się płacze i obgadujecie bliźnich. Kłamiecie,

złorzeczycie i obrażacie się nawzajem! Mało tego. Niejednego z was trunek przywiódł do cudzołóstwa. A to kolejny występek główny. Gdy piwo zaszumi w głowie, z lubieżnością patrzycie na córki, a nawet żony waszych przyjaciół. Miód i *nabid*^[18] zagłuszają sumienia i otwierają drogę pożądaniu, z którego tylko Zły się raduje.

Papar rzucił zgromadzonym srogie spojrzenie i wskazał ich palcem. On, munk, dawno wyrzekł się już namiętności i dzięki wyrzeczeniom osiągnął *baanmartre*, białe męczeństwo. Ale nieoświeconym *geinte*^[19] trudno było zrezygnować z cielesnych popędów.

– A rozpusta i pijaństwo zawsze sprowadzają na człowieka kłopoty! To przez nie Surowy Sędzia postanowił zniszczyć Sodomę. Uważajcie zatem, byście i wy swoimi grzechami nie ściągnęli na siebie nieszczęścia i gniewu Sprawiedliwego.

4

Jeleń wpadł we wnyki – pomyślał Ainar, gdy podczas wieczerzy posadzono go po prawicy jarla Erlinga, a sam gospodarz wzniósł toast za jego zdrowie. Wszystko szło dobrze, choć poeta martwił się, by wicher nadchodzących wydarzeń nie przeszkodził mu w przygotowaniach. Zdążył się bowiem przekonać, że nawet najlepszy plan może spełznąć na niczym, gdy na drodze stanie jakiś głupiec lub gdy zapijaczona norna, tkająca płótno przeznaczenia, pomyli szwy i przez to ześle pecha. Właśnie tak jak uczyniła to trzy tygodnie temu.

Trzy tygodnie temu Ainar uczestniczył w jakże podobnej wieczerzy – tyle że nieco huczniejszej – korzystając z gościny jarla Haralda Hakonssona. W swojej okazałej posiadłości w Gullbergu hersir biesiadował z przyjaciółmi i rodziną.

Na ścianach halli powieszono pasy haftowanych tkanin przedstawiające

walczących i uczujących drengów i bogów. Na jednej z nich widać było Alfadira – z jego otwartych ust wynurzał się tułów Göllnira. Bitewny Krzyk jak zwykle zachowywał się nieprzyzwoicie i pluł złotymi pasmami, które na materiale ciągnęły się ku pozostałym postaciom – jego braciom.

Specjalnie na ucztę wniesiono do sali ciężkie dębowe stoły, które ugiwały się pod ciężarem pieczonego prosiaka, mis z polewką, w której pływały kawałki wołowiny, cebuli i czosnku, tac z borowikami zapiekаныmi w cieście, półmisków kaszy z gulaszem z dziczyzny, drewnianych talerzy z marynowanymi w serwatce rybami, dzbanów koziego i owczego mleka, bochnów czerstwego chleba, a ponad wszystko – ogromną misą ze słonińca^[20], wypełnioną jęczmiennym piwem. W misie tej raz za razem zanurzano rogi, z których biesiadnicy parami pili ulubiony trunek Göllnira. Tego dnia Ainara spotkał wielki zaszczyt. Ulubieniec Haralda – a zarazem jego nadworny skald – dzielił się jednym rogiem z piękną Halfridą, córką jarla, o której mówiono, że jest biegła w kobiecych sprawach.

Pieśniarz, jak zwykle w towarzystwie kobiet, był czarujący i zachowywał się nienagannie. Gdy chciał splunąć, odwracał się do dziewczyny plecami, a gdy niewieście spadł na podłogę kawał mięsa, podnosił go, wycierał o własne spodnie i podawał jej z grzecznym skinieniem głowy. Opowiadał jej o swoich przygodach i podróżach, pokazywał złote pierścienie, które otrzymał od władców w zamian za pieśni, chwalił się bliznami wyniesionymi z niezliczonych bitew i pojedynków. Halfrida grzecznie przytakiwała, wzdychała z podziwu lub popiskiwała ze strachu, kiedy było to na miejscu, a sama prawiała mu o niedawno zdechłym dwugłowym cielaku, o żonie Olafa – zdradzającej go z Gunnarem oraz o wywarze ze słonecznych grzybów, który nagotowała jej wółwa^[21], gdy kiedyś dziewczyna zachorowała. W przerwach między opowieściami słuchali poematu o Ragnarze. Recytował go Gunnar, jeden z synów Haralda, przy wtórze dźwięku dwóch fletów. Ainar objaśniał dziewczynie co trudniejsze kenningi^[22], a przy okazji złośliwie wykazywał językowe niedociągnięcia utworu. I właśnie gdy się popisывał, mówiąc

o nowatorskim szyku poetyckim zwanym *runhet*, dosiadł się do nich Sjolff, najniższy spośród Haraldssonów.

– Moja siostra z pewnością nie zaprzeczy, że sztuka skaldów nie jest ci obca. Jednak gdyby twój talent był choć w połowie tak wielki, jak się przechwalasz, byłbyś znany i w Vallandzie, i w Bjarkamal, a nawet w Glaesvair.

Ainar powoli dopił piwo, nie spiesząc się z odpowiedzią. Rękawem koszuli, ozdobionym wokół mankietu haftem przedstawiającym złotego węża zjadającego własny ogon, otarł usta i spojrział wprost w oczy Sjolffa.

– Często dziecko jest za niskie, by dostrzec to, co leży na stole. Tak i ludzie mali nie dostrzegają tego, co ich przerasta.

Pieśniarz, tak jak każdy z domowników Haralda, wiedział o bolączce Sjolffa. Syn jarla był najniższym spośród pięciu braci, ale lichy wzrost nie świadczył wcale, że takich samych rozmiarów są jego duma i zadziorność. Na każdym kroku starał się udowodniać, że nie zbywa mu na sile ani zręczności. I zazwyczaj mu się udawało. A że – jak każdy rudzielec – był pamiętliwy, więc mścił się za każdą zniewagę, rzeczywistą lub wydumaną.

Skald z nieskrywanym zadowoleniem obserwował, jak nos młodzieńca drga z wściekłości niczym u gotującego się do ataku tura, a jego dłonie zaciskają się w pięści.

– Gdybyś nie był gościem mojego ojca, pokazałbym ci, że lepiej widać świat z mojej wysokości niż z ziemi pod moimi stopami, gdzie ległaby twoja okrwawiona głowa.

Właśnie takiej odpowiedzi poeta spodziewał się po młodzieńcu, któremu wystarczyło szepnąć o możliwej zwadzie, a atakował na oślepa jak koguta w obronie kury. Ainar nie miał ochoty studzić jego zapału. Piwo szumiące mu w głowie sprawiło, że postanowił zabawić się kosztem chłopaka.

– Dobrze zatem, że twój ojciec potrafi dostrzec to, co tak lekceważył jego syn i objął mnie opieką przed zadziornym owocem swojego nasienia.

– Wiecznie nie będziesz gościem mojego ojca.

Ktoś głośno beknął i trzymając dłonie przy ustach, wybiegł za próg. Pieśniarz spojrzał na niego wyrozumiale. Nie każdy miał zdrowie do męskich rozrywek, ale ten był przynajmniej dobrze wychowany.

– Nie sądzę, by moje drapy miałyby szybko mu się znudzić.

– Tak to już jest ze skaldami, że nie mając własnych dokonań, opiewają cudze, a nie mając odwagi, ukrywają się za plecami potężniejszych.

– Podobnie mówią o młodszych synach, którzy nie dorastają do wielkości swoich przodków.

Sjolf nie wytrzymał i grzmotnął pięścią w ławę. Drewniane miski podskoczyły, tak jak i głowa jednego z biesiadników, który, znużony trudami ucztowania, drzemał przy stole, podpierając się łokciami. Teraz nawet ci, którzy wcześniej nie przysłuchiwali się sprzeczce, odwrócili się w ich stronę.

– Wyjdź ze mną za drzwi – powiedział królewski syn – a przekonasz się, czy jestem synem swojego ojca.

Dookoła zapadła cisza. Wszyscy wyczekiwali odpowiedzi Ainara. Ten sięgnął po kawałek dorsza w maśle i zaczął go niespiesznie przeżuwać. Wstał, podszedł do misy z piwem i napełnił swój róg. Wrócił na miejsce, pociągnął łyk trunku i w końcu odpowiedział żartobliwym tonem:

– A co? Piwo naciska ci na brzuch, że chcesz nas opuścić? Bądź odważny. Jesteśmy z tobą. Na pewno dasz radę sam się wysikać.

Halfrida zachichotała, nie zwracając uwagi na wściekłe spojrzenie, które rzucił jej brat. Jak każda kobieta, miała słabą głowę i niewiele było trzeba, aby ją rozbawić, za to wiele wysiłku wymagało jej uspokojenie.

– Nikt nie będzie ze mnie szydził! – Młodzieniec zdołał w jakiś sposób otworzyć zaciśnięte szczęki. – Wstawaj, tchórze, i chwyć się ze mną za bary. Zobaczysz, że moje ramiona, choć krótkie, potrafią złamać twoje plecy na pół.

– Sjolfie, mój przyjacielu. Chcesz się ze mną bić w domu twego ojca? Nieładnie tak łamać prawo gościnności. To uchybia dobremu imieniu

gospodarza. – Poeta pogroził palcem młodzieńcowi i ciągnął dalej: – Toż to uczta, a na niej walczy się kielichem i pieśnią. Mam rację?

Siedzący najbliżej w lot pojęli, co Skald miał na myśli, i zaczęli wołać: „Miodowy pojedynek, miodowy pojedynek!”. Reszta szybko podchwyciła okrzyk. Biesiadnicy unieśli rogi i zaczęli miarowo uderzać nimi o dębowy stół, nie przejmując się chlustającym na boki piwem.

– No jak tam, zaniemówiłeś? A może wolisz popijać serwatkę z kobietami, zamiast raczyć się napojem prawdziwych mężczyzn?

– Skoro taka jest wola gości mojego ojca – oznajmił Sjolf. – Upokorzę cię w każdym rodzaju *einvígi* – obojętne, czy to będzie pojedynek na miecze, czy na słowa!

– Możesz spróbować. Obetrzyj tylko brodę z mąki. Dobry z ciebie syn, skoro tyle pomagasz matce w kuchni.

Wydawało się, że chłopak nie może już bardziej poczerwieniec. Teraz jednak jego twarz przybrała kolor purpury.

– Oszczędzaj swój gadzi język na *lausavísur*^[23]. Mimo że nie jestem skaldem, pokonam cię twoją własną bronią.

– Zdziorność potwierdza, że jesteś synem swojego ojca. Zobaczymy, czy w innych rzeczach też się w niego wdałeś. Nie byłoby jednak sprawiedliwe, gdybyś mierzył się ze mną w pojedynek. Znaj moją wspaniałość. Weź sobie do pomocy brata, Gunnara, który raczył nas pieśnią o Ragnarze. Piękną, choć nie jego autorstwa.

– Pomocą nie wzgardzę, bo rozważnym jest ten, kto mimo swojej przewagi ma towarzysza u boku.

– Mądrze powiedziane. Jeszcze tylko jeden szczegół dzieli nas od pojedyнку.

– Jaki?

– Zgoda jarla Haralda. Nie będziemy przecież rywalizować bez

przyzwolenia gospodarza!

Hersir był jedyną osobą na sali, która nie przysłuchiwała się sprzecze. Drzemał na swoim siedzisku, stojącym na podwyższeniu wysokim krześle, którego poręcze zakończone były wyrzezanymi w drewnie paszczami wilków, a oparcie pokrywała płaskorzeźba przedstawiająca drzewo o rozłożystej koronie. Łysina drottinna, połyskująca potem i kroplami piwa, kontrastowała z długą, siwą brodą, tylko miejscami zdradzającą dawny ognisty kolor. Gdy Ainar i Sjolff potrząsnęli jego ramieniem, jarl wzdrygnął się, rozlewając przy tym połowę napitku z rogu, który trzymał w dłoni.

Pokrótko wyjaśniono mu sprawę. Hakonsson uśmiechnął się, wzniosł naczynie i krzyknął:

– Miodowy pojedynek!

Wniesiono gliniany dzban z miodem i postawiono go na stole. Zaopatrzony był w solidny uchwyt i okrągły wylew przylegający krańcem do przedniej ścianki naczynia. Górna część dzbana ozdobiona była liniami wzoru składającego się z trójkątów, natomiast na pękatym brzuścu przedstawiono orła wymiotującego Miód Poezji na muzyków przygrywających na piszczalce tańczącym wilkołakom.

Obok dzbana postawiono dwa drewniane kubki.

Po jednej stronie stołu posadzono Ainara, a po drugiej Sjolffa i Gunnara. Ich śladem podążyła większość biesiadników, którzy wybierali sobie miejsca jak najbliżej tego, kogo zamierzali wspierać.

Pojedynek rozpoczął hersir, który napełnił oba kubki miodem i podał je poecie.

– Urać nas dobrą strofą, Skaldzie.

Mężczyzna jednym haustem wypił alkohol z pierwszego kubka. Zastanawiał się, jaką *háttr* – miarę wierszową, wybrać. *Dróttkvaett* wydawał mu się zbyt wyszukany i naprawdę szkoda było go bezcześcić pijackimi wersami. *Galdralag* najlepiej nadawał się do zaklęć, więc też nie był odpowiedni.

Odrzucił *kviðuhátt*, gdyż nie chciało mu się rygorystycznie liczyć sylab. Nieco już zapomniany *fornyrðislag* nigdy mu się nie podobał, bo wymagał zastosowania dwóch rodzajów wersu. A on zawsze wolał uporządkowany *málahátt* lub dający więcej dowolności *ljóðahátt*.

Zdecydował się na ten ostatni, w końcu pili miód, a przy nim najlepiej się improwizowało. Sięgnął po natchnienie i wychylił je z drugiego naczynia^[24]. Wstał, nalał miodu do obu kubków, nie rozlewając ani kropli, i podał je przeciwnikom.

W końcu wyrecytował:

O pojedynek mnie poprosili
synowie potężnego pana,
mężniejsi od muła mego.
Nie wiedzą jednak wcale,
że miód wodą jest wybrańca,
którą od kołyski kosztuje.

Bracia wypili miód, każdy po jednym kubku, i naradzili się po cichu. Starszy, Gunnar, odróżniał się od brata gęstymi, brunatnymi włosami, poza tym przewyższał go pod względem postury, urody i talentu. Dlatego to on szeptał więcej, nachylając się do ucha rudzielca.

Zdecydowanie to ciemnowłosego Ainar uważał za groźniejszego rywala. Nie dlatego, że szanował jego marne umiejętności poetyckie, ale z racji wielkiego brzucha, w którym mogło się zmieścić wiele miodu. Na szczęście norny musiały rozlać piwo na tkaninę życia syna Haralda, gdyż miał on wielkie pragnienie – i z radością zaspokajał je od początku uczy. A nikt nie ma brzucha bez dna.

W końcu bracia doszli do porozumienia i napełnili naczynia trunkiem. Sjolf niedbale podał je Ainarowi, a Gunnar wygłosił wspólnie ułożone wersy:

Pojedynkować nam się przyszło,
bo choć brakuje nam boskiego talentu,
chcemy upokorzyć haga^[25],
drenga, co w boju i w łożu niedomaga.

Sala rozbrzmiała śmiechem, a zgromadzeni za braćmi uczujący poklepywali ich po ramionach, chwając cięty język.

Ainar też się uśmiechnął. Lubił, gdy walka się zaostrzała i umiał docenić sprawnie ułożone wersy. Jego uwadze nie uszły jednak wyraźne błędy w aliteracji oraz rozkładzie sylab i akcentów. Poza tym trudno było określić, w jakiej mierze wierszowej została stworzona ta strofa. Upewniło go to w przekonaniu, że mierzy się z dziewicami w sztuce skaldycznej.

Wypił pierwszy kubek i głośno beknął. Pokręcił szyją w obie strony, strzelając kręgami. Sięgnął po drugie naczynie i przełknął kolejną porcję inspiracji. Tym razem, gdy napełniał kubki, kilka kropel spadło na stół. Gdy podawał naczynia braciom, tak im odpowiedział:

W wielu bitwach walczyłem,
rany włócznią rozdając
na placu puchowych pierzyn.
Żadna disa drzewca dłuższego
od drenga się nie domagała,
też grot mej włóczni jest gruby.

O ile poprzednia strofa wywołała powszechną wesołość, ta sprawiła, że wszyscy zataczali się ze śmiechu. Najbardziej sam jarl, który podszedł do Ainara i klepnął go tak mocno w plecy, że ten wyprostował się jak młot we

wzwodzie. Potem hersir, najwyraźniej zmęczony zabawą, odszedł i przysiadł na ławie zajmowanej przez stronników Skalda.

Bracia nie byli tak rozbawieni. Popatrzyli na siebie i wypili swoje porcje miodu. Naradzali się dłuższą chwilę, a gdy Sjolf nalewał miód do kubków, strumyczki złocistego płynu popłynęły po ich ściankach, a następnie utworzyły na stole małą rzeczkę, dotarły do krawędzi blatu i zmieniły się w wodospad. Podając kubki poecie, Gunnar tak mu rzekł:

Pięknie słowa skald układa... *hmmm...*

zabawia kobiety tylko zwrotkami...

Hm, jak to szło? A, już wiem.

Biegli w boju widzieli często

jego plecy podczas pościgu.

Kolejny wybuch śmiechu wstrząsnął zebranymi. Jeden z nich zakrztusił się ze śmiechu, inny aż przysiadł na ziemi. Tym razem Ainar wysłuchał odpowiedzi z kamiennym spokojem. Wypił duszkiem oba kubki, napełnił je na nowo i bez ociągania odparł:

Przód mój podziwiają

mężatki, panny, mężowie,

bo drengom w walce dogadzam.

Was widziano wczoraj

wypiętych w łożu wojów

karlmadów kochających.

Tylko niewielu ośmieliło się zaśmiać z tej obelgi. Oskarżenie o uprawianie *ergi*, miłości między mężczyznami, należało do najpoważniejszych w prawie zwyczajowym. Ainar widział, że bracia z trudem utrzymują nerwy na wodzy.

Lubił jednak denerwować przeciwnika. Bracia nie zawiedli go – zerwali się z zaciśniętymi pięściami. Mętными od nadmiaru napitku oczami ciskali pioruny na wszystkie strony. Czterech roślących mężczyzn chwyciło ich za ramiona, a jeden z nich szepnął im coś, czego poeta nie dosłyszał. Nieoczekiwanie Gunnar, a potem Sjolff wybuchli szaleńczym śmiechem. Po chwili przyłączyła się do nich cała sala. W końcu usiedli i wypili swoje porcje alkoholu.

Ainarowi wydawało się, że ich przerywana chichotaniem narada trwała wieczność. W końcu starszy z braci napełnił naczynia, rozlewając przynajmniej tyle samo miodu, ile zmieścił w kubkach, które zaraz podał przeciwnikowi. Młodszy natomiast tak powiedział:

Piwo i miód się pomieszało... *yp!*

Dlatego muszę... *hmmm...* muszę ja wyznaczyć

wam ja muszę, czym jest poetycki dar.

Tym bowiem jest... *hmmm...* co zostaje po piwie.

Strumień rzygowin wystrzelił z ust Sjolffa prosto na uda Gunnara. Ainar domyślił się, że został wycelowany w niego, ale młodzieniec poślizgnął się na rozlanym na podłodze miodzie tak, że wylądował na kolanach, tuż obok nóg brata. Oburzony Gunnar wstał i wyraźnie chciał coś powiedzieć. Poeta nigdy nie dowiedział się co, ponieważ grubas, spojrzawszy na zwracającego wieczkę Sjolffa, chlusnął na jego plecy własnymi wymiocinami.

Skald uśmiechnął się. Upokorzenie jego przeciwników było pełne. Nie tylko zawiedli jako poeci, ale też okazali się marnymi pijakami. Opróżnił kubki z miodem i napełnił je po raz kolejny. Wznosząc po jednym w każdej ręce, rzucił w kierunku braci:

Dla wron przyjaciela są te visy,

wiarołomnego wroga porządku,

na cześć Göllnira wychylał czaszę.
Pociechę tę przyjmijcie, przegrani,
że poległście z pijącym miód
z orlego dzioba i z misy Odreri.

Obdarzy pierścieniem wasz ojciec
dis oblubieńca, ostoję drap,
mistrza miodowych mów.
Bo Kvasir (miód) katem jest karlmadów,
on krzykiem i kwikiem karze
skaldów słabych w strof składaniu.

Ci, którzy trzymali się jeszcze na nogach, wołali: „Ainar Skald! Ainar Skald!” i niezbornie uderzali w stół czym popadło. Większość jednak leżała już na ławach lub pod nimi, ponieważ każdy z widzów starał się wychylać tyle samo rogów z piwem, ile kubków miodu wypijali wybrani przez nich zawodnicy. Do nielicznych przytomnych należał jarl Harald, który zdołał jakoś wstać od stołu i szedł w kierunku Skalda, podpierając się na głowach siedzących biesiadników. Chybotął się przy tym na wszystkie strony niczym wierzba podczas wichury, ale jego wielki brzuch, tak jak wcześniej umożliwił mu przetrwanie alkoholowej nawałnicy, tak samo teraz pomagał utrzymać równowagę. W końcu szczęśliwie dotarł do zwycięzcy, chwycił go w niedźwiedzi uścisk, pocałował w oba policzki i rzekł:

– Jesteś mi jak syn, Ainarze. Takiego skalda i takiego pijaka nie znały te ziemie od czasu, gdy sam byłem młody i ucierałem nosa wszystkim rozkochanym w poetyckim napoju. Zaiste, przydała się moim chłopakom ta lekcja pokory. Popatrz, jak teraz śpią pod ścianą. Z pewnością nie obudzą się aż do południa.

Pieśniarz posłusznie zerknął na pijanych braci. Rzeczywiście leżeli bez

przytomności pod jedną ze ścian, na szerokiej, usypanej z ziemi ławie pokrytej deskami i podpartej po bokach drewnianymi słupkami. Owinięci w skóry, obejmowali się ramionami. Gdyby nie bijący od nich smród wymiocin, miodu i piwa, mogliby sprawiać wrażenie niewinnych jak niemowlęta w kołysce.

– Zaprawdę pokazałeś, że jesteś biegły w poezji. Powinieneś zebrać te strofy w stadko i ułożyć je w jeden *flokkr*^[26]. Powiedz, jaka nagroda jest odpowiednia dla kunsztu, który okazałeś? Kolejny złoty pierścień, garść monet?

– Jesteś bardzo łaskawy, ojciec mojego zwycięstwa.

Po ostatnim kubku Skaldowi już mocno kręciło się w głowie. Później lubił wspominać, iż to, co miał teraz powiedzieć, od początku należało do jego planu, ale w głębi serca wiedział, że odwagi dodały mu miód oraz ręka Halfridy, której dotyk poczuł na własnym kroczu. Albo też głupota – jak wiadomo, u drenga rodzi się ona pod brzuchem, ale pod wpływem trunku lub podniecenia unosi się do głowy.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy zostali rodziną – zaproponował. – Masz przecież piękną córkę.

– Mam, zaiste mam! – krzyknął hersir, jakby dopiero dowiedział się o jej narodzinach. – Czy Halfrida ma być nagrodą za twoje lausavisy?

– Jeśli taka będzie wola rozdawcy pierścieni.

– Ale czy ma być nagrodą na jedną noc czy na dłużej?

Jarl szturchnął Ainara ramieniem i zarechotał rubasznie. Nie miał wyszukanego poczucia humoru, zwłaszcza gdy dużo wypił. Gdy się śmiał, krople piwa spadały mu z brody na ziemię, a szwy niebieskiej bluzy trzeszczały na brzuchu. W końcu dodał:

– Wystarczy tych żartów na dzisiaj. Idź i weź swoją wybranekę! Macie ojcowskie przyzwolenie.

Babka mówiła poecie, że dzięki bezczelności można daleko zajść albo spaść z wysoka. Wziął sobie do serca tylko pierwszą część tej nauki. Dwa lata

wcześniej, dzięki zuchwałemu wyzwaniu jarla Haralda Hakonssona na poetycki einvigi, został pierwszym skaldem w gullberskim dworze. Potem, dzięki śmiałemu uwiedzeniu większości tutejszych mężatek, wiedział wszystko o najpotężniejszych drengach z otoczenia hersira. Pyskatymi zaczepkami i szyderczymi przyśpiewkami studził zapal każdego, kto mógłby zagrozić jego pozycji. Kłamliwie wychwalając męstwo i poetycki talent hersira, stał się jego ulubieńcem. Nawet lekkomyślne zadzieranie z synami Haralda uchodziło mu płazem, a w noc pijackiego pojedynku mogło mu nawet przynieść korzyści. Jednak bezczelność Ainara nie znała granic. Później wielokrotnie rozważał, jak wielki wpływ miały te wydarzenia na jego późniejsze życie. Gdyby zachował się, jak przystało na porządnego drenga i sięgnął po kolejny kubek miodu, a potem po następny i – jak Göllnir przykazał – upił się do nieprzytomności, ta noc przyniosłaby mu nową porcję sławy. Ale nie. Kolejny raz postanowił być zuchwały. Skorzystał z ojcowskiego przyzwolenia.

Ile warte jest przyzwolenie pijaka, przekonał się nazajutrz w południe.

Obudziło go głośne walenie w drzwi. O wiele za głośne, zważywszy na ilość miodu, jaką wypił minionego dnia. Zaspanym wzrokiem rozejrzał się po sypialni córki Haralda. Spojrzał na nagą piękność leżącą po swojej prawicy i natychmiast przypomniał sobie wydarzenia ostatniego wieczoru. Nocą wziął wybrankę, zapobiegawczo nie pytając jej o przyzwolenie, a odczuwana teraz pustka w podbrzuszu podpowiadała mu, że uczynił to nie jeden raz. Przyglądając się leżącej na brzuchu Halfridzie, której zgięta nóżka celowała kolanem w jego brzuch, a rozcięcie na pupie zaczęło wywoływać u niego poranne orzeźwienie, pomyślał, że było warto. Dziewczyna tylko początkowo się wzbraniała, gdy ciągnął ją do jej izby i rozłożył na wielkim dębowym łożu, o wezglowiu ozdobionym dwiema rzeźbami koni o tak zakręconych szyjach, że ich pyski dotykały piersi i tworzyły idealne koła. Później jęczała z rozkoszy tak głośno, że tylko ilość spożytego wczoraj piwa i miodu sprawiła, iż nikt ze śpiących w głównej sali domowników się nie obudził.

Huk wyważanych drzwi przerwał mu rozmyślenia. Do pokoju wpadli Sjolf

i Gunnar, ściskając obnażone miecze.

– Właśnie przekroczyłeś granicę. Teraz nasz ojciec nie zdoła cię obronić! – krzyknął niższy z synów władcy, choć wcale nie wyglądał na zmartwionego z powodu pohańbienia swojej siostry. Sprawiał raczej wrażenie zadowolonego, podobnie jak jego brat, który niezbyt przyzwoicie spoglądał na nagą Halfridę. Ciemnowłosa i rudzielec obnażyli zęby niczym ogary podniecone widokiem suki oraz zbliżającej się walki.

Ainar mógł spróbować wyjaśnień, przecież nie złamał zasad gościnności. Ale nie lubił strzępić języka. Dobrze wiedział, że bracia od dwóch lat tylko wyglądali okazji, by pozbyć się go z Gullbergu. Było zresztą jasne, że nikt z mieszkańców posiadłości jarla nie stanie w jego obronie. Wszyscy tak opili się na uczcie, że albo przespali jego oświadczyzny, albo rano o nich zapomnieli. Był przekonany, że wśród zapominalskich był i drottinn.

Sjolf pierwszy dał do zrozumienia, że nie obudził Skalda, by życzyć mu miłego dnia i zapytać o wrażenia z miłosnych zapasów. Rudzielec wzniósł miecz, uważając, by nie zahaczyć o niski sufit, i ciął.

Pieśniarz stoczył się z łóżka na podłogę, nie myśląc nawet, jak głupio musi wyglądać, świecąc przed braćmi gołym tyłkiem. O włos uniknął żelaza, które przebiło niedźwiedzią skórę oraz siennik i utknęło w deskach ramy łoża. Na szczęście zawsze trzymał przy posłaniu broń, bo – jak mawiała jego babka: „Dreng nie powinien oddalać się od swojego oręża ani o krok, ponieważ nie wiadomo, czy wieść się nie rozniesie po drogach, że mu brak miecza w potrzebie”. Głupi syn hersira najwyraźniej nie znał tej starej prawdy albo zbyt dosłownie potraktował inne znane powiedzenie: „Dreng nie potrzebuje żelaza, by walczyć w damskim łożu”.

Skald chwycił rękojeść Kvernbita, zerwał się na nogi i jednym uderzeniem odrąbał rękę Sjolfowi, próbującemu wyrwać własną broń z ramy łoża. Krew siknęła, płamiąc belki pod sufitem. Ainar wyhamował cios, nim jego miecz sięgnął podłogi, po czym cofnął rękę, aby ostrze wróciło ku górze – prawie tym samym torem. Prawie, bo nieznacznie skrzył nim w lewo, omijając ucięty

kikut. Sztych z trzaskiem łamanych kości wszedł w podbródek rudzielca, przecinając szczękę, wargi i nos. Zaklinował się dokładnie między oczami.

Poeta nie popełnił błędu Sjlufa. Widząc opadający ku sobie miecz Gunnara, puścił własny oręż i rzucił się do tyłu. Jego fylgja musiała zrobić sobie wolne, gdyż szczęście go opuściło. Poślizgnął się na świeżej krwi i huknął plecami o podłogę, aż ściany domu zadrżały. Był na łasce grubasa, który dobrze o tym wiedział. Syn Haralda ryknął triumfalnie, kopnął leżącego w brzuch i przyłożył mu żelazo do piersi.

Wtedy z łóżka wstała naga kobieta. Halfrida wcale nie była onieśmielona swoją nagością. Trzymała niewielki kozik, taki, jakich używają rzeźbiarze. Skald uświadomił sobie, że dziewczyna cały czas miała go ze sobą w łóżku i mogła użyć w każdej chwili. Aż go ciarki przeszły, gdy przypomniał sobie jej groźbę: „Wykastрую każdego, kto tknie mnie bez pozwolenia”. Ale dobrze mu się zdawało – jej nocny opór był tylko miłosną gierką.

Ulubiona córeczka tatusia przyłożyła szpic noża do szyi Gunnara, lekko nacinając skórę. Taki obrót sprawy zdziwił grubasa, który zastygł w bezruchu.

– Co robisz? Przecież ratuję twoją cześć.

– Moja cześć ma się dobrze, braciszku. Martwię się raczej o twój tign. Dlaczego napastujesz mojego kochanka, który na dodatek jest nagi?

– Co... co... chcesz przez to powiedzieć? – Gunnar zmienił minę z zaskoczonej na gniewną, gdy dotarło do niego, o co go oskarżano. – Ty, ty suko! Rozwiążła kapłanko Gefny! Wypinasz się przed nim z własnej woli, a mnie oskarżasz o niemęskie zachowanie ergi? I jeszcze bronisz tego, który zamordował ci brata! Zabierz ten nóż albo przerzucę cię przez kolano i zleję po dupie do krwi.

– Nic z tego, braciszku, choć wiem, że o tym marzysz. Odrzuć grzecznie miecz, inaczej wyrzeźbię ci dziuplę w szyi.

– Nigdy! Skald dzisiaj zginie. Wybieraj. On albo twój ród.

Latorośle Haralda były uparte i nigdy nie zmieniały zdania. Nie było sensu

z nimi dyskutować, gdy coś sobie postanowiły. Halfrida wbiła nóż w szyję brata. Gunnar zaskrzeczał, zakwicział i zakrzuszył się własną krwią. Przed śmiercią próbował jeszcze pchnąć mieczem pierś poety, ale Ainar odtrącił ostrze.

Nagi Skald podniósł się z podłogi i wytarł zakrwawione dłonie o uda. Kochanka przyłożyła mu do brzucha nożyk, który wyszarpnęła z szyi Gunnara.

– Zabiłeś dwóch moich braci.

– Zabiłem.

Nie zwracając uwagi na szpic przebijający mu skórę, objął Halfridę, chwycił ją za pośladki i po raz pierwszy pocałował. W nocy nie marnował na to czasu, ale wiedział, że kobiety lubią takie błahostki. Córka Haralda odwzajemniła pieśczętę. Gdy skończyli, wsunęła mu nożyk do ręki.

– Starczy tych czułości. Nie możesz tu zostać.

– Nie mogę.

Skald podszedł do jeszcze ciepłego Sjolfa i wyszarpnął z jego czaszki ostrze Gryzącego Kamień. Usłyszał złowrogie hałasy dobiegające z głównej izby halli. Biesiadnicy w końcu się obudzili i wyciągali żelazo z pochew. Ktoś zalecił ostrożność, inny ponaglał drengów, by sprawdzili sypialnię córki Haralda.

Ainar po raz ostatni spojrział na przyczynę swojej zguby. Na krągłe piersi oblane krwią brata, na jędrne pośladki z czerwonymi śladami po jego silnych dłoniach. Stała obrócona do niego bokiem i niewinnie trzepotała rzęsami okalającymi nieskazitelnie błękitne oczy.

Nagi i zakrwawiony, czyli taki, jakim go Göllnir stworzył, wyskoczył przez okno. Usłyszał za sobą wrzask Halfridy, jej krzyk: „Łapać mordercę!” i przekleństwa drottmadów Haralda.

Mnich musiał chwilę odsapnąć. Lata młodości tak dawno miał za sobą, że nawet wśród starców uchodził za osobę wiekową. Zimny wiatr nie tylko szarpał jego habitem, ale i przenikał wątłe ciało. Papar czuł ból w gardle, ale do tego zdążył przywyknąć w trakcie lat spędzonych na kaznodziejstwie. Nie zwracał też uwagi na kłucie w piersi, zrzucając je na karb zdenerwowania i podekscytowania. Z radością znosił cierpienie dla swojego Pana.

– Duma, pycha, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu oraz rozpusta nie są jedynymi zagrożeniami czyhającymi na wasze dusze – podjął wątek. – Jest taki grzech, który pozornie wydaje się niegroźny, ale właśnie przez to jest śmiertelnie niebezpieczny. Lenistwo, moi drodzy. Czyha ono, by pochwycić was w łapy beczynności. Człowiek leniwy unika pracy, a ta jest przecież miłą Bogu. Taki węglózerca zatracą się w cielesnych i błahych pragnieniach, zaniedbując to, co jest ważne. Nie uczestniczy w życiu swego ludu, nie myśli o obowiązkach wobec rodu i przyjaciół. Zapomina o własnym zbawieniu, rezygnując z niego dla próżnych uciech. By walczyć z lenistwem, musicie modlić się, ciężko pracować i kontemplować Jedyne.

Munk zauważył, że jego słowa odniosły skutek. Większość zgromadzonych spuszczała głowy, jakby zaczęła wstydić się swoich grzechów. Ucieszył go ten widok. Łajanie musi wywoływać skruchę. Teraz byli gotowi, by ich trochę pocieszyć.

– Nawet jeśli dopuściliście się wszystkich tych grzechów, nie popadajcie w zwątpienie, nie poddawajcie się. Nie traćcie nadziei! Postępujcie raczej tak, jak poradził nam Ojciec w mądrej księdze: „Zgrzeszyłeś, mój synu. Nie czyni tego więcej, ale za poprzednie grzechy proś o przebaczenie”. I wy musicie robić podobnie. Żałujcie, ale nie rozpaczajcie, błagajcie o boże zmiłowanie, ale nie unikajcie pokuty. Nie szczędźcie łez, ale uważajcie, by skrucha była szczerą! Jedyne jest bowiem miłosierny i wraz z przebaczeniem ześle wam sprawiedliwą karę.

Ainar grzał się w porannym słońcu. Siedział na ławie, odwrócony plecami do długiego domu jarla Erlinga. Budynek o łukowatych ścianach wykonano z ustawionych pionowo przepołowionych belek, których zaokrąglone części zwracały się na zewnątrz. Choć owe ściany były niskie – dorosłemu mężczyźnie sięgały zaledwie do szyi – utrzymywały ciężar dwukrotnie wyższego dachu. Pomagały im w tym drewniane słupy, pod ostrym kątem tworzące solidne przypory. Dach kryty gontem wieńczyła wybrzuszona kalenica, biegnąca równolegle z dłuższymi ścianami. Na jej obu końcach, wystających poza pokrywę z gontu, wyrzeźbiono głowy drengów z wąsami i brodami, którym spiczasty kształt nadawały ostro zakończone hełmy.

Skald obserwował poranną krzątanicę ludzi hersira. Dwie kobiety szły nad strumień, by napełnić wodą cedrowe wiadra. Trzy następne podążały ich śladem, niosąc kosze z brudną bielizną i drewniane tarki do prania. Przysadzista blondynka w sile wieku z dekoltem odsłaniającym pokaźne, acz obwisłe piersi, człapała w stronę kurnika, by podkraść jaja wszędobyłskim kurom. Ptaki te czuły się panami tego miejsca, wchodząc wszędzie, gdzie miały ochotę, nie wyłączając domu hersira, i srając nawet w halli. Ich jedynym postrachem była bura suka, która warczała za każdym razem, gdy któraś kwoka się zbliżyła.

Woń gotowanej kaszy podpowiedziała Skaldowi, że żona i córka Erlinga przygotowują śniadanie, zapewne w żelaznym kociołku zawieszonym na trójnogu nad paleniskiem.

Jakiś mężczyzna szedł w kierunku stajni przylegającej wschodnią ścianą do domu drottinna, by wyprowadzić konie na popas, a dwóch innych poganiało leszczynowymi kijami krowy, zaganiając je na poranny wypas. Ainar usłyszał, jak szeptali między sobą: „Przeklęty węgłozerca. Siedzi tu od świtu i palcem nie kiwnie, by nam pomóc”.

Określenie *kólbitr*, węgłozerca, towarzyszyło mu od dzieciństwa. W istocie

miano kogoś, kto wyleguje się przy ciepłym palenisku, przy zwęglonych szczapach drewna, i stroni od pracy, w pełni do niego pasowało. Ojciec próbował zrobić z niego gospodarza – jakby sam miał pojęcie o hodowli i pracy na roli. Głupiec musiał jednak szybko zmienić swoje plany po tym, jak wysłał syna z krowami na pastwisko, a ten pogonił je kijem prosto w przepaść. Ainar dostał porządne lanie, ale wspominał ten dzień jako zwycięstwo nad starym pijakiem, który już więcej nie zmuszał go do pracy.

Gdy ujrzał zbliżającego się jarla Erlinga, powrócił myślami do wydarzeń ostatnich dni. Stracił wszystko, co posiadał, ale nie bardzo się tym przejmował. Trochę szkoda mu było zostawionych u Haralda własnych złotych pierścieni, które były nagrodami za wspaniałe drapy, ale w końcu były to tylko błyskotki. Dla skalda najbardziej liczy się talent, a tego Ainarowi nigdy nie brakowało. Nie żałował też zabicia Sjolfa ani śmierci Gunnara, bo byli to głupcy, którzy sami prosili się o leże usłane z ziemi. Poza tym znudziło mu się już pozostawanie w otoczeniu Haralda, nawet jako szanowany poeta, gdyż Sjolf miał trochę racji: ileż można układać wisy o wciąż tych samych przygodach władcy, które miały miejsce przed wieloma laty? Pora samemu stać się bohaterem drapy. Przygoda zaś, która się szykowała, była warta stracenia każdej ilości złota, bo dobry temat to tajemnica sukcesu nowego utworu.

Łatwiej niż myślał przyszło mu wkupienie się w łaski Erlinga. Przybył tu raptem przedwczoraj, a już po dwóch wieczerzach i niezliczonych wspólnie wzniesionych toastach jarl ufał mu jak synowi. Obietnica bogactwa i niezaprzeczalny urok osobisty pieśniarza zrobiły swoje.

– Widzę, że doglądasz mojego dobytku.

Drottinn usiadł koło niego na ławce i serdecznie poklepał gościa po ramieniu. Ainar nienawidził, gdy się go dotykało.

– Oceniam tylko co dorodniejsze sztuki.

Odprowadził wzrokiem młodą, jasnowłosą kobietę, zalotnie kołyszącą niebieską spódnicą. Rozweselony Erling spojrzał w tym samym kierunku i jego

oblicze natychmiast spochmurniało.

– To moja córka! Lepiej trzymaj się od niej z daleka.

Powiedzieć skaldowi, by nie zwracał uwagi na kobiety, to jakby zabronić psu merdania ogonem. Ale Ainar posłusznie spuścił wzrok. Za dużo się napracował, by zdobyć zaufanie hersira i nie zamierzał go stracić z powodu dziewczyny. Choć chętnie by sprawdził, czy jest równie namiętna, jak latorośl jego poprzedniego opiekuna.

– Piękno córki dowodzi męstwa jej ojca. Szukałem tylko potwierdzenia tych słów. Muszę być pewny, że drengskap bohatera mojej kolejnej drapy jest bez zarzutu.

Eysteinsson rozchmurzył się nieco, bo rzeczywiście – nikt nie mógł zarzucić jego córce brzydoty. A na wzmiankę, że zostanie o nim ułożona pieśń, mimowolnie wyprostował plecy i wciągnął brzuch. Nie udało się go całkiem schować, za to zgromadzone w nim powietrze powędrowało w górę, wypinając pierś władcy jak u szarżującego indyka.

– Mojemu męstwu niczego nie brakuje. Powie ci to każdy z moich drottnadów, a nawet wrogów. Ale twój utwór byłby lepszy, gdyby miał świeży temat. Na przykład wyprawę po skarb. Zamiast więc wpatrywać się w moją córkę, powiedz mi coś więcej o skrzyni ze srebrem.

Ainar westchnął. Przestał liczyć, który to już raz Erling pytał go o to samo.

– Jak mówiłem, jest pamiątką po młodzieńczych wyprawach Haralda do kraju Englismadów^[27]. Jarl zakopał ją w ziemi, uważając, że łupu, dzięki któremu zdobył tign i tirr, honor i sławę, nie powinien oddawać spadkobiercom. Ale to nie jedyny powód. Stary jest sprytny. Wierzy, że skrzynia jest jego zabezpieczeniem na wypadek, gdyby umarł ze starości, a nie w walce. Za taką ilość srebra nawet boski Valfud zgodzi się wpuścić go do swego podniebnego Gmaszyska Zarzniętych Bohaterów, przymykając oko na to, że nie poległ z bronią w rękę. A ja, po starej znajomości, dopilnuję, by wola Haralda się spełniła, choć pewnie nie w taki sposób, jaki sobie

wymarzył. Gdy zginie w boju, trafi wprost w szeregi bohaterów Valfuda. Przekupstwo nie będzie potrzebne.

– A zarazem spełnimy jego drugie życzenie: zadbamy, by jego spadkobiercy nie dostali skarbu – uzupełnił władca.

– Właśnie.

Jarl rozmarzył się na chwilę. Bezwiednie wyciągnął dłoń ku twarzy i podkręcił wąsa. Skald zdążył się zorientować, że był to nawyk hersira.

– A jak tam nasze przygotowania? – Ainar wyrwał Erlinga z zadumy.

– Wszystko jest tak, jak zaplanowałeś. Łucznicy leżą na dachach zewnętrznego pierścienia domów, a drottnadowie i karlmadowie trzymają miecze i włócznie w pogotowiu.

– Świetnie.

– Jedno mnie tylko martwi. Podobno czułeś na plecach oddech ścigających cię ludzi Haralda, a po dwóch dniach jeszcze tutaj nie dotarli.

Skald w duchu przyznał rację jarlowi. Sam nie wiedział, co o tym myśleć. W końcu mógł się spodziewać, że śmierć dwóch synów skłoni Haralda do natychmiastowej zemsty, a nie do długotrwałych podchodów. Wątpliwości pozostawił jednak dla siebie.

– Może nie dotarli aż tutaj, a może chcą, byśmy myśleli, iż ich tu jeszcze nie ma. Hakonsson to mądry i przebiegły przywódca. Często powtarzał mi: „Orzeł, gdy poluje, szuka i wypatruje, przyczajony nad brzegiem morza”. Cenną jest rzeczą poznać przeciwnika, samemu będąc niezauważonym.

– Myślisz, że mogą nas właśnie obserwować? – wyszeptał jarl, jakby sądził, że wróg również ich podsłuchuje.

– Niczego nie można wykluczyć. Ale jeśli tak, to warto byłoby o tym wiedzieć. Daj mi dwóch ludzi, a pójdę się rozejrzeć po okolicy.

Do pomocy dostał Thorbjörna – barczystego niemowę, z którym spotkał się zaraz po przybyciu do Sker, i który od tamtego czasu starał się unikać go za wszelką cenę, oraz Hrolfa, ponoć najlepszego tropiciela i łuczника w okolicy.

Początkowo hersir nie chciał słyszeć o zwiadach, twierdząc, że lepiej nie zdradzać się z podejrzeniami i udawać nieświadomych zagrożenia. Gdy już Ainar wybił mu to z głowy, Erling chciał pójść razem z nimi. Skald podejrzewał, że jarl nie do końca jednak mu ufał. Drottinn dał się jednak przekonać, że lepiej będzie, jeśli zostanie w swojej posiadłości na wypadek niespodziewanego ataku. Nie ruszył się więc z ławeczki, ale pod nosem mamrotał przekleństwa.

Ainar poprowadził swój niewielki oddział do bukowego lasu nieopodal domostwa Eysteinsona. Nie sądził, by udało im się kogokolwiek znaleźć, ale wyprawa miała jeszcze jeden cel, znany tylko jemu. Chciał dokładnie poznać okolicę. Taka wiedza mogła okazać się potrzebna, gdyby musiał szybko i niepostrzeżenie opuścić zacnych mieszkańców Sker.

Rozglądali się bardzo uważnie. Zaglądali za każdy krzak i głąz. Kiedy natrafili na ślady stóp dwóch mężczyzn, Ainar zdecydował, że pójdą tym tropem. Szybko ich dogonili, ale ścigani okazali się niewolnymi zbierającymi chrust.

Gdy później zwiadowcy dotarli do jaskini, zwanej przez miejscowych Zimną, Skald zajrzał do środka, notując w pamięci zalety tego miejsca. Wąskiego wejścia łatwo można było bronić, a rozległe wnętrze dawało w miarę wygodne schronienie. Wbrew nazwie w grocie wcale nie panował zbyt dotkliwy chłód, a w okolicy nie widać było śladów niedźwiedzi, czyli nie miały tutaj barłogu.

Mimo iż słońce było już wysoko na niebie, oni wciąż nie znaleźli nic, co zdradzałoby obecność nieprzyjaciela. Jediną korzyść z poszukiwań odniósł Hrolf, który natknął się na dorodne borowiki i uparł się je zebrać. Przekonywał, iż żadna pora nie jest zła na grzybobranie.

W południe Ainar zdecydował, że się rozdzielią. Thorbjörna wysłał na wschód, Hrolfa na zachód, a sam przysiadł na korzeniach rozłożystego jawora, oparł się wygodnie o pień, wyciągnął drewnienko oraz kozik i zaczął rzeźbić. Pięciopalczaste liście dawały przyjemny cień, chroniący przed spiekotą

popołudnia.

Nie zdążył dokończyć figurki. Właściwie dopiero ją zaczynał, gdy kątem oka uchwycił ruch nadlatującej strzały. Odruchowo schylił głowę, choć nie było to potrzebne. Pocisk wbił się w pień sześć pięści nad jego karkiem. To miało być ostrzeżenie lub miał do czynienia z marnym łucznikiem. Przytulił się do ziemi i przeczołgał na drugą stronę jaworu. Wstał, niedźwiedzim zwyczajem ocierając się plecami o korę i utkwiał wzrok w lesie. Nikogo nie zauważył, za to dostrzegł, że drzewa rosną tutaj gęsto, co mogło być dla niego szansą. Ufał, że biegnąc od pnia do pnia, uda mu się dobiec do posiadłości Erlinga i uniknąć strzału w plecy. Oczywiście, jeśli jego fylgja nie zaśpi.

– Tylko ktoś, kto wiele narozrabiał, tak lękliwie chowa się za drzewem.

Głos wydał się Ainarowi znajomy. Był władczy jak u hersira, głęboki jak u grubasa i nieco zmęczony jak u starca.

– Zgadzam się. Wyjdźcie zatem z ukrycia.

Odpowiedział mu szczery śmiech. Ten rechot poznałby wszędzie. Wyzbył się wątpliwości, że rozmawia z jarlem Haraldem Hakonssonem.

– Nigdy nie brakowało ci bezczelności, Skaldzie. Ale to tobie radzę grzecznie opuścić kryjówkę.

– Dlaczego mam zaufać komuś, kto strzela z ukrycia do bezbronno go rzeźbiarza?

– Bo nie masz wyboru?

Mając złe przeczucia, poeta jeszcze raz spojrział na drzewa przed sobą. Mignął mu zielony kaptur. Jak głupiec dał się zagadać, podczas gdy drottnadowie Haralda otoczyli go. Teraz już ucieczka nie wchodziła w grę. Pozostawała walka albo usłuchanie poleceń jarla. Przeklął norny, gdyż uświadomił sobie, że jego miecz został po drugiej stronie pnia. W ręce trzymał tylko mały nożyk, którym mógł co najwyżej kogoś podrapać.

– Nie obawiaj się. Chcę tylko porozmawiać – zapewnił go Hakonsson, wyczuwając wahanie pieśniarza.

Ainar wiedział, w jaki sposób hersir rozmawia ze swoimi wrogami. Niczym Hangagud siada pod ich kołyszącymi się stopami i tłumaczy wisielcom, dlaczego musieli zadyndać na gałęzi. W poecie tliła się jednak nadzieja, że może Harald rzeczywiście chce zamienić z nim kilka słów. Przecież nie zadawałby sobie tyle trudu, by go po prostu zabić. Zresztą Skald nie miał wielkiego wyboru. Umrzeć zawsze zdąży.

– Dobra. Wychodzę! – ostrzegł, by nerwowy łucznik nie zdecydował się zwolnić cięciwy, myśląc, że Ainar chce ich zaatakować.

Schował nożyk do zawieszanej na szyi pochewki i włożył ją pod koszulę. Przy odrobinie szczęścia jego prześladowcy rzeczywiście pomyślą, że jest całkowicie bezbronny. Ostrożnie wychylił głowę zza drzewa, a gdy nie przywitała go żadna strzała, wyszedł z ukrycia.

Poczuł się głupio, stojąc na polance na łasce wrogów. Niemal czuł ukłucia wymierzonych w siebie strzał, choć nikogo nie dostrzegął. Jego niepewność nie trwała jednak długo. Zza starego buka wyszedł Hakonsson, odziany jak prosty myśliwy w szare spodnie, lnianą, zieloną koszulę, tego samego koloru kaptur i wełniany płaszcz. Ten ostatni spinała na piersi jedyna oznaka zamożności właściciela – złota szpila o okrągłej, płaskiej głowicy, na której wyryto paszczę wilka.

Za przykładem swojego pana poszło pięciu łuczników z nałożonymi na cięciwy strzałami. Ich myśliwski ubiór tłumaczył, dlaczego Ainar dał się tak łatwo podejść. Spodziewał się, że cały drott rozjuszonego władcy przyjedzie na koniach, pobrękując kolczugami, szyszakami i zawieszonymi na plecach tarczami. Że będzie palił oraz rabował po drodze wszystkie ludzkie siedziby na ziemiach Erlinga. Takiego oddziału nikt by nie przegapił.

Skald nie wierzył, że ma przed sobą wszystkich ludzi Haralda, ale to nie miało żadnego znaczenia. Gdyby doszło do walki, nie zdołałby pokonać nawet tych, których widział.

– Siadaj i dokończ rzeźbę, mamy sporo do omówienia – zaproponował Hakonsson.

– Chętnie, ale nie mam przy sobie noża.

– A ten na szyi?

Hersir za dobrze go znał. Ainar mógłby zaprzeczyć, ale możliwość trzymania broni – nawet tak mizernej – wcale nie była zła. Nożem dobytym można było działać więcej niż nożem schowanym.

Wzruszył obojętnie ramionami i przysiadł na korzeniach jawora, w tym samym miejscu co poprzednio. Niedaleko leżał jego miecz, przykryty czerwonym kyrtillem, który wcześniej ściągnął z powodu upału. Wrócił do rzeźbienia.

– Co cię tu sprowadza, ojciec mojego sukcesu?

– Nie przesadzaj z tym zuchwalstwem. Zabiłeś moich synów. Prawda, byli trochę nierozgarnięci i przysparzali mi więcej kłopotów niż radości, ale to była krew z mojej krwi. A prawo rodowe mówi jasno. Muszę dokonać zemsty.

Choć jarl pozwolił Ainarowi usiąść, to sam nie miał zamiaru dać odpocząć swoim patykowatym nogom, które wbrew wszelkiemu rozsądkowi potrafiły utrzymać ciężar wielkiego brzucha. Drottinn wolał stać i obserwować przeciwnika z góry, zaznaczając swoją władzę. Głupiec miał pewnie nadzieję, że zapewniało mu to jakąkolwiek przewagę, gdyby doszło do walki z siedzącym Skaldem.

– Co cię zatem powstrzymuje? Jestem tu przecież sam. Możesz mnie zabić. Albo chociaż spróbować.

Ainar nie byłby sobą, gdyby nie zwrócił wrogowi uwagi na trudności, jakie go czekają, jeśli podniesie na niego miecz. Nie dawał sobie jednak wielkich szans w starciu z drotmadami hersira. Wiedział, że byli to bitni drengowie. Więcej nadziei wiązał z Hrolfem i Thorbjörnem, którzy mogli wrócić ze zwiadu i pomóc mu walczyć – jeśli byli dostatecznie głupi. Jeśli jednak norny wszyły w tkaninę ich życia choć nitkę mądrości, pobiegną wezwać na pomoc Erlinga, gdy tylko zobaczą, co tu się dzieje.

– To, że jesteś na mojej łasce, a twoje życie zależy od mojego kaprysu, nie

ulega wątpliwości. Równie pewne jest, że jesteś tu sam jak osaczony przez ogary jeleni. Ustrzeliliśmy twoich dwóch towarzyszy. Trzeba przyznać, że mieli wprawę w uciekaniu. Padli dopiero z kilkoma strzałami w plecach. Powiedz, czy wszyscy ludzie Eysteinsona są tak niewiele warci?

– Tylko ta dwójka. Reszta oddziału jest bardziej bitna. Pewnie już teraz sprowadzają swojego drottinna na pomoc.

– Znamy się nie od dziś. Stać cię na lepsze kłamstwa.

Temu Ainar nie mógł zaprzeczyć. Nauczył się kłamać w dzieciństwie, kiedy musiał zwałać winę za liczne psoty na swoich braci. Zresztą umiejętność mijania się z prawdą musiał posiadać każdy skald układający strofy o swoim opiekunie.

– Moje zdolności rzeczywiście są wielkie. W każdej dziedzinie. Ale nie odpowiedziałeś na pytanie. Dlaczego marnujesz czas na rozmowę ze mną, skoro uważasz, że jestem w twojej garści?

– Tylko niewolnik mści się od razu, a tchórz nigdy. A co mnie powstrzymuje przed wypruciem ci flaków i obwiązaniem nimi pnia tego jawora? Powiedziałbym raczej: wstrzymuje. A jak długo, to będzie zależało od ciebie.

– Przywykłem do tego, że norny tkają wedle moich zamiarów. – Skald przestał na chwilę rzeźbić i strząsnął wióry z kolan. Po chwili wrócił do dłubania w drewnie.

– Nie drwij, tylko słuchaj. Muszę przyznać, że zdołałeś mnie mocno zdenerwować swoim *niðingsverg*, podłym postępowaniem. Traktowałem cię jak syna, sadzałem po mojej prawicy, wywyższałem nad własne dzieci i obdarowywałem najwspanialszymi pierścieniami. A ty mnie zdradziłeś, uwiodłeś córkę, zabiłeś dwóch synów i uciekłeś bez pożegnania.

Uwadze Ainara nie uszło, że hersir przypisuje mu śmierć nie jednego, ale dwóch synów. Tak jak przypuszczał, Halfrida zataiła swój udział w zdarzeniu. Mądra dziewczyna.

– Göllnir zesłał więc na mnie słuszny ojcowski gniew – ciągnął władca –

i dlatego wysłałem za tobą kilku najbardziej niecierpliwych drengów.

– Wiem. Spotkałem ich. Przekazali mi twoje pozdrowienia i zaprosili na ucztę w Gmaszysku Zarzniętych. Grzecznie im podziękowałem i wysłałem przodem, by naszykowali dla mnie stół.

Hersir wyglądał na podrażnionego, ale bardziej tym, że Skald mu przerywa, niż utratą ludzi. Oparł dłoń o głowicę schowanego w pochwie miecza.

– Zatem słusznie się domyślałem, że już do mnie nie wrócą. Trudno. Nigdy nie przynosili chluby mojemu domowi, więc przynajmniej zginęli z honorem i dodali nieco blasku sławie swojego drottinna. A wracając do mojej opowieści. Gniew Göllnira szybko się we mnie wypalił, a Mimir, najmądrzejszy z olbrzymów, zesłał na mnie roztropność. Wiem, że moi synowie od dawna chcieli się ciebie pozbyć i tylko szukali okazji. Uważałem, że walka z tobą będzie dla nich dobrym sprawdzianem, a dla mnie przednią rozrywką. Jeśli uporaliby się z takim przeciwnikiem jak ty, naprawdę pokazaliby, że są synami godnymi swojego ojca. Zawiedli jednak, we dwóch nie mogąc pokonać jednego pieśniarza, więc śmierć była słuszną karą. Potem porozmawiałem z Halfridą, a ona przypomniła mi, że... hmmm... – Harald po raz pierwszy zawahał się, jakby do ostatniej chwili rozważał, czy powinien poruszać ten temat – oświadczyłeś się, a ja... no, może nie do końca odesłałem cię z niczym.

– Zgodziłeś się.

– Tak. Mogłeś to tak odebrać – hersir przyznał niechętnie. – A ponadto córka przekonywała mnie, że, no cóż, ma się ku tobie.

– Tak jak połowa żon i córek twoich drottnadów.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości! Starość dodaje mi mądrości, ale młodzieńcza porywczność nie całkiem mnie jeszcze opuściła! Moja córka chce cię za męża. Uważaj więc na słowa.

Ainar pomyślał, że musiał się przesłyszeć. To prawda, że wiele kobiet chwaliło go jako dobrego kochanka i uważało za przystojnego, ale jeszcze

żadna na poważnie nie rozważała poślubienia go. Nie miał ziemi, wbrew temu, co mówił, pochodził z lichego rodu, a włóczenie się po świecie przedkładał nad domowe zacisze. By się upewnić, zadał najgłupsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy:

– Chcesz mnie na swojego zięcia?

Hersir spojrział na niego z niechęcią i jeszcze mocniej zacisnął dłoń na głowicy miecza.

– Istnieje taka możliwość.

Ainar rozpromienił się w uśmiechu, jakby właśnie wygrał z Göllnirem w pojedynku na zagadki albo ograł karła w *hnefatafl*^[28]. Jedna z jego brwi powędrowała do góry, a blizny na czole i policzkach na moment stały się mniej szpetne. Czuł zadowolenie, że sam jarl przyszedł do niego, by prosić o załagodzenie sporu i zaoferować rękę córki. Przeczuwał, że w propozycji drottinna musiał być ukryty jakiś haczyk, ale wiedział jednocześnie, że teraz jego pozycja przetargowa zmieniła się. To hersir czegoś od niego chciał.

– Nie ciesz się tak bardzo. Jeszcze nie zostałem twoim teściem. Nadal pozostaje kwestia moich zabitych synów. Nieważne, czy zasłużyli sobie na śmierć, czy nie. Muszę mieć swoją zemstę, tak mówi prawo i tego wymaga tign mojego rodu. A ród jest najważniejszy.

– Twoja córka nie może poślubić trupa.

Czerwona mrówka ugryzła Ainara w dłoń. Palcami drugiej ręki zgniół podłe stworzenie. Chwilowa radość oderwała go od rzeźbienia, ale teraz do niego wrócił. Praca w drewnie zawsze pomagała mu opanować zdenerwowanie.

– Niestety, nie może – z żalem przyznał Harald – choć to rozwiązałoby nasze problemy. Zgodzę się zatem na *gjald*, głów szczyzną. Ale bardzo wysoką, godną królewskich synów.

Skald podrapał się za uchem. Propozycja hersira mocno go zdziwiła. Tylko tchórze noszą zabitych członków swojej rodziny w sakiewce. Wiedział jednak,

że dawanie „monet krwi” było zwyczajem coraz szerzej rozpowszechnianym przez konungów, którzy chcieli ukrócić właśnie rodowe. Główszczyzna umożliwiała honorowe, przynajmniej według niektórych, zakończenie krwawych zemst. Jednak Ainar myślał, że jarl hołduje starym obyczajom i za krew płaci krwią. Chyba zmiękł na starość.

– Niewiele mam dobytku. Właściwie wszystko, co posiadałem, zostało u ciebie po tym, jak zapragnąłem pospiesznie odwiedzić inne regiony naszego kraju. Możesz to sobie zatrzymać.

– Nie oferuj mi czegoś, co już posiadam. Na główszczyznę musisz, mój drogi Skaldzie, zapracować. Bo widzisz, jarl Erling, nieważne, czy to rzeczywiście twój fostri, słynie z tego, że ma rozległe ziemie i okazały majątek w bydło i srebrze. A przy tym nie ma synów, którzy mogliby go po nim odziedziczyć. Ja zaś starzeję się i muszę zapewnić godziwy spadek moim pozostałym dzieciom.

Pieśniarz odłożył dokończoną rzeźbę. Figurkę żmii o głowach wieńczących oba końce ciała. Gadzi tułów skręcony był w taki sposób, że rozwidlone języki mierzyły do siebie, jakby głowy chciały się pocałować. Albo pozabijać.

– Mów dalej.

– Musisz wciągnąć swojego przybranego ojca i jego drott w zasadzkę.

7

Munk odchrząknął, by pozbyć się chrypy. Napominanie pogan w taką pogodę nie było łatwe. Robiło się coraz zimniej, co miało przynajmniej tę korzyść, że przestał się pocić. Nie tracił jednak czasu na uzalanie się nad sobą. Nie zamierzał również sięgnąć po rzuconą przy podwyższeniu kukullę, szeroki czarny płaszcz z długimi rękawami. Tutejsi ludzie byli twardzi, jaki więc dałby im przykład, gdyby przegrał z byle chłodem czy śniegiem? Nie. Musiał im pokazać, że *kristrmaðr*, człek Krista, nie lęka się niczego, bo umacnia go

łaska boża. Zresztą lata spędzone na *munka-lifnaðr*, klasztorным życiu, skutecznie go zahartowały. Powrócił do kazania:

– Nie są to jeszcze wszystkie występki główne, których jest dokładnie osiem. Pouczyłem was już o sześciu: o dumie, pysze, pijaństwie, cudzołóstwie, lenistwie i zniechęceniu. Wszystkie one ranią Miłosiernego i oddalają was od Jedności. Jest jednak taki grzech, który jest szczególnie niemiły Wszechmocnemu Ojcu, bo przemienia jego dzieci w dzikie bestie.

Zamilkł. Pozwolił, by sami domyślili się, o jaki występki mu chodziło. Nie było to wcale trudne. Ale dobrze wiedział, że niewielu zdawało sobie sprawę, jak wielkim złem jest uleganie tej niszczycielskiej słabości. Utwierdził się w tym przekonaniu, spoglądając na ich głupkowate uśmiešky, nerwowe przestępowanie z nogi na nogę i wzruszanie ramionami. Tę namiętność szczególnie się tutaj ceniło, czcząc ją nawet jako stan zesłany przez bogów.

– Tak! Nie wierćcie się jak grzesznik podpiekany przez ogień piekielny, bo dobrze odgadujecie: to gniew jest owym przewinieniem! Albowiem jeśli nie trzymamy go w cuglach za pomocą rozsądku i nie potrafimy go opanować dzięki modlitwie, zamienia się w szaleństwo. Wtedy człowiek nie panuje nad sobą, traci kontrolę nad wolną wolą i robi rzeczy, które szkodzą nie tylko jemu, ale i bliźnim. Zabija, rabuje, gwałci. Niszczy majątek i rani swoją rodzinę. A ponad wszystko sam ściąga na siebie cierpienie, rujnując swój wewnętrzny spokój i zabijając w sobie miłość. Nie warczcie więc na siebie jak wilki i nie skaczcie sobie do gardeł niczym wściekłe psy. Nie idźcie śladami plugawych hamramirów, którzy pielęgnują w sobie nienawiść i wpadając w amok, mordują wszystkich, którzy staną im na drodze, nawet jeśli są to przyjaciele. Myślicie, że nie mam racji? Że gniew daje im siłę i odporność na ból oraz ogień? No cóż, może i czasem pomaga w zwycięstwach, ale za jaką cenę! Czy ktoś spotkał kiedykolwiek hamramira, który miałby rodzinę i przyjaciół? Nie? Oczywiście, że nie! Wasze milczenie to potwierdza! Wyrzeknijcie się zatem gniewu, jeśli nie chcecie, by was zniszczył. A jeśli pragniecie poskromić wściekłość, ćwiczcie się

w umiarkowaniu i powściągliwości.

8

Trzy dni drogi od Sker znajdowała się wąska dolina. Biegła nią stara droga handlowa łącząca Hladir z portem w Kaupang, oknem na świat dla całego Östlandu. Szlak na tym odcinku wiódł wzdłuż płytkiego potoku, który późnym latem przeradzał się w okazałą rzekę, a w zimie, zwykle tuż przed świętem Yule^[29], tworzył zamrznięty trakt, po którym na saniach podróżowali kupcy wiozący na południe miód, drewno oraz wilcze, sobole i niedźwiedzie skóry, a na północ – wino, jedwab oraz żelazo i stal z zamorskich krajów. Skaliste zbocza po obu stronach drogi tylko w kilku miejscach przyozdobione były jodłami, które swoim zielonym igliwem ożywiały szaroziemisty krajobraz. Właśnie to przejście wybrał Skald dla siebie i swoich towarzyszy.

– Wciąż nie do końca rozumiem, dlaczego musieliśmy opuścić Sker? – zapytał jarl Erling, doganiając Ainara.

Poeta ściągnął wodze konia i zrównał się z gniadoszem hersira. Zapowiadała się kolejna nudna rozmowa. Drottinn jeszcze nie osiwiął, ale starcza tępota musiała mu już doskwierać. Wszystko trzeba mu było powtarzać po kilka razy.

– Ponieważ lepszym rozwiązaniem będzie wciągnięcie Haralda w zasadzkę.

– No tak. Ale to było naszym planem od samego początku. Mieliśmy czekać w mojej posiadłości, udając nieprzygotowanych, a gdy zjawi się drott Hakonssona, zarzucić go strzałami, otoczyć i wybić w pień. Jesteś jeszcze młody i możesz tego nie wiedzieć, ale wydawanie bitwy na znanym terenie zawsze daje przewagę.

Ainar nienawidził, gdy wypominano mu młody wiek, sugerując brak doświadczenia. Przypominał mu się wtedy zapijaczony ojciec, który wiecznie wywyższał się nad syna z racji swojego – niezaprzecznego wszak –

starszeństwa. Także potem ludzie często brali pieśniarza za młodszego, niż był w rzeczywistości. Już gdy miał kilkanaście lat, brodaci rówieśnicy podśmiewali się z jego ładniutkiej, chłopięcej twarzy. By z tym skończyć, pociął sobie twarz nożem. Szramy zawsze dodają powagi. W dorosłym życiu kolejne jego blizny, będące już efektem bitewnych ran, zazwyczaj skutecznie odstraszały szyderców.

– Tak było trzy dni temu, kiedy liczyłem na porywczość Haralda i jego nieprzemyślany atak. Wszystko się jednak zmieniło. W lesie rosnącym obok Sker natknąłem się na drengów Hakonssona. Razem z Hrolfem i Thorbjörnem stoczyliśmy z nimi bohaterską, choć nierówną walkę. Tylko mnie udało się wyjść z niej cało, a twoi ludzie zostali schwytani. Teraz Harald wie o nas wszystko i nie zechce łaskawie wpaść w zasadzkę. Zdaje sobie sprawę, że zatrzymałem się w Sker i domyśla się, że obiecałeś mi pomoc. Pan na Gullbergu zapewne szykuje się do długotrwałej waśni, nocnych podjazdów, wyrzynania twojego bydła i plądrowania twoich spichlerzy.

Zniecierpliwiony jarl machnął dłonią, odganiając przy tym tłustą muchę, która skończywszy posiłek na końskim zadzie, bezczelnie latała wokół brody hersira.

– Wszystko to już mówiłeś. Dlaczego jednak Harald miałby rezygnować z tych rozrywek? Dlaczego miałby porzucić grabieże i gwałty, by uganiać się za nami po lasach? Niejeden doradzał mi, że głupotą jest porzucanie posiadłości w obliczu najazdu nieprzyjaciela.

– Przecież i tak zostawiłeś swój dobytek dobrze strzeżony i posłałeś do sąsiadów po pomoc. Jeśli twoi ludzie wykażą się mądrością, mogą się bardzo długo bronić, nawet bez ciebie i twoich dwudziestu drottnadów. Poza tym są dwa powody, dla których Hakonsson musi za nami pojechać.

Ainar poklepał po szyi swojego srokatego wierzchowca. Nie było to piękne zwierzę, ale wyglądało na wytrzymałe. Inne nie przeżyłoby tutaj, na zimnej Północy. Dostojne i szybkie rumaki bardziej pasowały do lubujących się w przepychu możnych z ciepłego Vallandu.

Poeta nie spieszył się z dalszymi wyjaśnieniami. Czekał na pytanie, które jarl musiał zadać.

– No mówże wreszcie! Jakie to powody?

– Pierwszy: to ja z tobą jadę. A nie zapominaj, mój *mikill vinr*, najdroższy przyjacielu, że właśnie z mojego powodu Harald postanowił cię odwiedzić, a norny wplotły w twoje przeznaczenie złotą nić prowadzącą do skarbu.

– Nie zapomniałem i lepiej będzie dla ciebie, jeśli ta skrzynia ze srebrem okaże się dostatecznie ciężka, by przeważać straty, które dotychczas poniosłem. A jaki jest ten drugi powód?

– Drugi powód jest jeszcze ważniejszy i myślałem, że sam się go domyślisz.

Zamilkł, dając Erlingowi czas na zastanowienie. Poprawił na głowie szyszak z zasłoną na nos. Powgniatany i miejscami zardzewiały hełm dobrze pasował do starej kolczugi z krótkimi rękawami, którą zdarł z ciała jednego z ludzi Haralda niedługo po swojej ucieczce. Od Erlinga dostał włócznię o stożkowatym grocie z zadziorami, którą przymocował przy tylnym łuku siodła i która teraz mierzyła prosto w przedpołudniowe słońce. Taka broń bardziej nadawała się do polowania i rzucania niż do walki wręcz, jar poskąpił mu jednak włóczni o smukłym żeleźcu ze skrzydełkami, a takie właśnie dzierżyli jego przybocznicy. Inny dar hersira, drewniana tarcza pomalowana w niebiesko-czerwone półksiężycy, rozchodzące się promieniście od żelaznego umbu, miarowo postukiwała o plecy poety.

– Srebro! – krzyknął ucieszony jarl, a wierzchowiec, wyczuwszy nerwowe pociągnięcie wodzami, zatrzepotał grzywą i zarżał, jakby trochę z wyrzutem. Erling zaraz jednak przypomniał sobie, że przecież jest hersirem i nie wypada mu krzyczeć z radości jak karlmad. Natychmiast się opanował i już spokojnie dodał: – Hakonsson zapewne chce bronić swojego skarbu.

– Twojej przenikliwości dorównuje tylko twój drengskap, karmicielu kruków. Tak, chce bronić swojej skrzyni. Twoi dwaj zwiadowcy, których pochwycił Harald, zapewne zdradzili mu nasze plany. Znam go od dawna

i wiem, że umie dobrze pytać, a jego więźniowie sypią odpowiedziami niczym rolnik ziarnem podczas zasiewu.

– Zatem i my musimy jechać w miejsce ukrycia kufra, by przejąć go pierwsi – hersir oznajmił z mądrą miną. Ainar musiał się bardzo napracować, by jarl przyjął jego plany za własne.

– Tam właśnie jedziemy.

– Tam, czyli dokąd? – Drottinn jeszcze bardziej przysunął się do pieśniarza, tak że ich konie prawie dotykały się brzuchami, i wyszeptał: – Byłoby bezpieczniej, gdybyś zdradził mi to miejsce. Nie wiadomo przecież, czy jakaś zabłąkana strzała nieprzyjaciela nie zrani cię albo, co gorsza, tfu, nie zabije. I wtedy skarb przepadnie na zawsze. Valfud przesypie go do swojego skarbcza, albo będzie gnął w ziemi, aż za tysiąc lat znajdą go i przepiją jacyś głupi karlmadowie.

Skald przyzwyczał się już do faktu, że Mimir nie obdarzył hersira mądrością. Władzę na swoich ziemiach musiał utrzymywać dzięki sile i bezwzględny karaniu wszelkiego nieposłuszeństwa. Gdyby polegał na swoim sprycie i bystrości, szybko skończyłby jako nędzarz. Eysteinnsson okazał się kolejnym dowodem na prawdziwość powiedzenia „i bogacz może być głupcem”. Ainar nie mógł jednak znieść, że zadane pytanie obrażało i jego. No bo jak mocno ojciec musiałby go w dzieciństwie bić w ciemność, by teraz chciał zdradzić hersirowi jedyną rzecz, która gwarantowała mu bezpieczeństwo? Wziął głęboki wdech i opanował brwi, które zaczęły unosić się, by ułożyć się w gniewny grymas. Jarl spoglądał na niego wyczekująco i zanosilo się na to, że pieśniarz będzie musiał spokojnie wytłumaczyć, dlaczego prośba władcy jest niedorzeczna.

– Miałem mądrą babkę, która często mi powtarzała, że po wyjawieniu pieniężnego sekretu strzały przyjaciół trafiają cię częściej niż pociski wrogów.

– Jak możesz tak mówić? – drottinn udał oburzonego, prychnął i odsunął się od Ainara. I dobrze, bo śmierdział zjedzoną na śniadanie cebulą. – Moja przyjaźń jest szczerą i możesz mi zaufać.

Tak jak wilkowi strzegącemu owce albo złodziejowi na letnich pastwiskach – pomyślał w złości poeta, ale na głos powiedział:

– Na razie wystarczy ci wiedzieć, że jest ukryty nieopodal Posępnych Mokradeł. Jest to zresztą świetne miejsce na zasadzkę.

Rozmowę przerwało im zamieszanie. Kolumna zbrojnych zatrzymała się, a Brodir Jökulsson, jadący dotychczas na przedzie, przygalopował do nich i mocnym szarpnięciem wodzy osadził konia w miejscu. Tylne kopyta wierzchowca zaryły w ziemię, a przednie nieznacznie uniosły się nad ziemię. Ogier był już chyba przyzwyczajony do tak ostrego traktowania, gdyż w ogóle nie protestował. Sposób, w jaki dreng radził sobie z koniem, był taki sam jak jego stosunek do ludzi. Był szorstki, władczy, opryskliwy i aż do bólu poważny. Nikt nigdy nie widział, by na jego twarzy gościł pogodny uśmiech. Aż dziw, że taki człowiek był najbardziej zaufanym doradcą jarla, zarządcą jego dóbr i rzeczywistym dowódcą drottu.

Ainar był przyzwyczajony, że bliscy doradcy różnych hersirów nie przepadali za nim, słusznie wyczuwając, że ich pozycja jest zagrożona przez sprytnego poetę. Niechęć Brodira w stosunku do Skalda była jednak wyjątkowa i wydawało się, że dreng szczerze go nienawidzi.

– Musisz coś zobaczyć, drottinnie – oznajmił łysy brodac, jak zawsze nie zwracając uwagi na Skalda.

Jarl ruszył do przodu, a w jego ślady poszedł pieśniarz. Mijając Brodira, puścił do niego oczko, a w odpowiedzi otrzymał warknięcie i pogardliwe spojrzenie. Drottnad też skierował konia ku czołu pochodu. Ainar nie czuł się dobrze, mając tego człowieka za plecami.

Znalazłszy się na przedzie zbrojnych, spojrzeli we wskazanym przez Brodira kierunku. W oddali zobaczyli drzewo, zwalone w poprzek drogi, w towarzystwie kilku głazów i całego mnóstwa kamieni. Byli już niemal w końcu wąwozu i trakt nie był już taki wąski. Wcześniej ledwo dwóch jeźdźców mogło jechać obok siebie, tak by nie zamoczyć się w potoku, teraz

zmieściłoby się i pięciu, dlatego też przeszkoda nie zamykała całego przejścia. Przylegała do prawego zbocza, zmieniając koryto rzeczki w podkowę otaczającą koronę zwalonej jodły. Jeźdźcy mogli bez problemu ominąć osuwisko, chociaż pojedynczo i zmuszając konie do brodzenia w wodzie.

– To na pewno pułapka! – Brodir zawyrokował na tyle głośno, że musieli go usłyszeć nawet jeźdźcy z końca oddziału. Drottnadowie widać byli przyzwyczajeni, że jego słowo jest równe rozkazowi hersira, gdyż posłusznie zaczęli sięgać po broń.

– Nie tak szybko – ostudził ich zapędy Ainar. – Jest takie stare przysłowie: „Mądrość zawodzi, kiedy jest najbardziej potrzebna”. To niebezpieczny wąwóz. Lawiny mogą tu spadać samoistnie i najwyraźniej robią to często. Spójrzcie do góry, widać tam ułamany pień tej jodły.

– I spadają. Zapewniam cię, że spadają, tylko rzadko bez czyjejs pomocy – obstawał przy swoim Brodir, wściekły, że ktoś ośmielił się podważyć jego słowo. Spojrzał znacząco na drottinna i już w jego kierunku dodał: – A pień może być nie złamany, ale zrąbany toporem.

Poeta spojrzał z politowaniem na łysego brodacza. Pomyślał, że hersir nie lubi otaczać się ludźmi mądrzejszymi od siebie.

– Znam Haralda i jeśli przygotował zasadzkę, to taką, którą trudno dostrzec. Zwalone drzewa w wąwozie są dobre w opowieściach sagnamadów^[30]. W rzeczywistości tak widoczna przeszkoda jest jak szczekanie psa, którym ostrzega o niebezpieczeństwie. Widząc leżące drzewo, każdy spodziewa się ataku i zaczyna się pilnować. I gdzie tu zaskoczenie?

– Za dużo myślisz, Skaldzie – wtrącił Olaf, osiłek o kwadratowej szczęce porośniętej gęstą, rudą brodą, który przypominał rozbójnika z opowieści dla dzieci. – Sprawa jest prosta. Zwała się drzewo, by była przeszkoda, której nie można łatwo przebyć. Wtedy z obu stron jaru zbiegają zbrojni, a zza drzew szyją łucznicy.

Ainar pokręcił głową z niedowierzania. Jakim sposobem jarl zdobył tak

wielki majątek, skoro słuchał doradców z kamieniami w głowach?

– Może to i działa. Ale na pieszych kupców i wracających z krowami karlmadów. Oddział jeźdźców z łatwością może się przecież wycofać. Poza tym trudno się ukryć na tych skalistych zboczach.

– Nie znasz okolicy, więc lepiej zamilcz! – poradził mu Brodir, trzęsąc się ze złości. – Krzaki i drzewa rosną tu gęsto, bo za zakrętem kończy się wąwóz. Można też schować się w lesie na szczycie. I wcale nie jest tak trudno zjechać stamtąd na dół, chociażby na tyłku.

Pieśniarz nie zraził się wrogością doradcy hersira. Wręcz przeciwnie, bawiła go. Zdawał sobie sprawę, że dreng łatwo wpadał w gniew i z pewnością należał do ludzi, których nie warto było denerwować. Nie mógł się jednak powstrzymać. Pogłaskał szyję swojego zaniepokojonego wrzaskami konia.

– Mimo wszystko nie sędzę, by to była zasadzka. Ale jeśli się tak boisz, możesz pojechać sprawdzić, najdzielniejszy spośród drottmadów.

Brodir zacisnął pięść na przednim łąku siodła. Włócznia, którą kurczowo trzymał w prawej dłoni, zadrżała, a jej grot, dotąd wymierzony w słońce, zaczął ciężać ku dołowi. Ainar nie miał wątpliwości, którą pierś chciała obrać za cel.

– A może ty pojedziesz, skoro jesteś taki pewny naszego bezpieczeństwa!

– Może i pojedę.

– Dosyć! – krzyknął Erling, unosząc prawicę. Dotychczas nie brał udziału w kłótni, tylko słuchał doradców. – Brodir ma rację. To może być zasadzka...

Łysy udowodnił, że jednak potrafi się uśmiechać, choć grymas, jaki przywołał na twarz, nie miał nic wspólnego z wesołością.

– ...ale Ainar słusznie wskazał, że warto to najpierw sprawdzić – dokończył hersir i sprawił, że mina jego drottmada powróciła do zwyczajowej powagi. – Skald jest jednak moim sprzymierzeńcem i cennym towarzyszem. Nie wypada, by narażał dla nas życie. Olaf, Brodir! Jedźcie przodem!

Jarl nie musiał ich ponaglać. Brodir, chcąc zapewne udowodnić swoją rację, szybko przyszykował się do ataku. Poprawił hełm, zdjął z pleców pomalowaną w pasy tarczę i ujął ją lewą ręką. Pochylił się w siodle, wymierzył grot włóczni przed siebie, spiął konia piętami i ruszył, od razu przechodząc w galop. Jego śladem podążył Olaf. Obaj jak na komendę krzyknęli: „Za Erlinga!”. Niesieni pędem końskich kopyt i swoim zawołaniem bitewnym szybko znikli po drugiej stronie zwalonego drzewa i kamieni.

Po chwili wrócili z uniesionymi włócznie, ale spuszczone głowami. Ainar wiedział, że od tej pory Brodir będzie nienawidzić go jeszcze mocniej i nigdy nie zapomni tego upokorzenia. Skald uśmiechnął się do jarla i ruszył przed siebie. Za nim w milczeniu podążyła reszta. Nikt nie skomentował oczywistego. Nie było żadnej zasadzki.

Wpadli w nią za to w niepozornym miejscu. Pod wieczór wjechali do bukowego lasu, gdzie trakt był szeroki, a teren płaski jak lico tarczy. Buki tylko gdzieniegdzie oddawały pola dębom, jesionom i jaworom, razem tworząc ze swoich koron rozłożysty wachlarz rzucający cień i półmrok na cały las. Ainar jechał wtedy u boku Erlinga w samym środku pochodu i opowiadał o dziwnej religii ludzi zza morza, którzy wierzyli, że ponad dziewięć setek lat temu ich bóg sam siebie złożył w ofierze, podobnie jak zrobił to Göllnir. Tyle że tamten bóg, któremu budowano kamienne świątynie, miał to zrobić z miłości do ludzi, a nie z pragnienia zdobycia wiedzy i powiększenia własnej mocy. Eysteinsona tak rozbawiła ta opowieść, że aż zgiął się wpół ze śmiechu. To uratowało mu życie. Strzała wbiła się w pień drzewa tuż za jego plecami.

Równocześnie z przodu i z tyłu kolumny wyrosli jak spod ziemi piesi wojownicy z włócznie i toporami, chronieni tarczami i kolczugami.

Z prawej strony spadł na konnych grad strzał. Którys wierzchowiec zakwiczał, gdy strzała przebiła mu szyję. Inny stanął dęba i bił kopytami w powietrze, dopóki pocisk nie ugodził go w brzuch.

Ainar zaklął pod nosem. Szybko ocenił położenie. Dwóch jeźdźców – poeta był przekonany, że jednym z nich jest Olaf – pognało na spotkanie

nacierającego od przodu oddziału. Reszta drużyny Erlinga nie wiedziała, co robić. Kilku zeskoczyło z koni i niemrawo próbowało stanąć obok siebie, by utworzyć ścianę tarcz i obronić siebie i towarzyszy przed ostrzałem. Inni dalej siedzieli w siodłach, nie mogąc się zdecydować, czy szarżować, czy wycofać się. Skald zrozumiał, że nie uda im się utworzyć zwartego szyku. Podjął decyzję.

– Do lasu! Kryć się i wyróżnić łuczników!

Nie czekał, kto pójdzie jego śladem. Chwytał wierzchowca jarla za uzdę i pociągnął za sobą. Na ich drodze stanął dreng z uciętym nosem i brakującym uchem. Skald cisnął w niego włócznię, do bogatej kolekcji ran dorzucając mu dziurę w piersi.

Gdy wjechali między drzewa, zeskoczyli z koni i skryli się za grubym bukiem o tak powykręcanych konarach, że niektóre z nich rosły w kierunku ziemi, protestując przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy.

Opierając się plecami o pień i kryjąc za tarczą, Skald jeszcze raz przemyślał położenie oddziału Erlinga. A to było kiepskie. Czterech drottnadów już leżało nieruchomo na trawie, trzech innych dawało oznaki życia, ale było niezdolnych do walki. Z tych ostatnich najbardziej wojowniczo wyglądał Olaf, który złamał drzewiec strzały tkwiącej w jego udzie i krzychał ile sił: „Chodźcie, sucze syny”. Jego wołanie nie było bezzasadne – sam nie był w stanie do nikogo podejść.

Lepiej wyglądali pozostali. Skald z zadowoleniem zauważył, że jego wezwanie poskutkowało. Przybocznicy jarla weszli między drzewa, formując szereg zwartych tarcz. Udało im się zatrzymać nacierających nieprzyjaciół, przynajmniej na razie. Wciąż mieli szansę. Musieli jednak coś zrobić z tymi łucznikami, którzy weszli głębiej w las, schowali się w skupiska karłowatych leszczyn i z ukrycia strzelali do każdego, kto wychylił nos zza drzewa.

Poeta czuł, jak narasta w nim wściekłość. Po raz kolejny Harald przez swoją nieudolność narażał go na niebezpieczeństwo. Ustalili przecież, że drott Erlinga ma wpaść w zasadzkę dopiero przy Jaskini Żmii. Przeklinał pecha,

który prześladował go od tej nieszczęsnej pijackiej nocy, złorzeczył nornom, które tkwały postrzępioną tkaninę jego życia, raz po raz wplatając w nią czerwoną nić.

Skierował myśli ku Göllnirowi, Bitewnemu Krzykowi, który opiekował się zarówno skaldami, jak i szaleńcami. Patronowi szału, podniecenia i nienawiści. Temu, którego krzyk tworzy i niszczy, daje życie i zabija. Bogowi, który złożył się w ofierze dla samego siebie, by poznać sekret ekstazy. Jednookiemu, przed którego szaleństwem drżą olbrzymy. Wędrowcowi, który dzięki gniewowi stał się nieśmiertelny. Pijakowi, który zsyła natchnienie i wściekłość.

Pozwolił opanować się furii. Serce zaczęło bić szybciej, oddech stał się głośniejszy. Zmarszczył brwi, a jego oczy się zwężyły. Świat wokół przybrał czerwony odcień. Zawładnęły nim nieświadome odruchy. Krzyknął i przejechał mieczem po własnym lewym przedramieniu. Krew zabarwiła koszulę, a ból spotęgował szal. Nie zastanawiając się, uderzył płazem miecza w zad swojego wierzchowca. Zwierzę zerwało się do biegu, a pieśniarz pobiegł za nim.

Ogier wziął na siebie trzy pierwsze strzały, a mimo to dalej pędził w stronę ukrytych łuczników. Powaliły go dwa następne pociski.

Ainar przeskoczył nad ciałem konia. Dwie strzały wbiły się w jego tarczę, a trzecia musnęła udo. Wpadł między leszczyny. Pierwszego wroga powalił płaskim cięciem w brzuch, zanim ten zdołał wyjąć miecz. Bebechy owinęły się wokół Kvernbita, ale Skald strząsnął je niedbałym ruchem ręki.

Dwóch pozostałych drengów, widząc umierającego i wymiotującego towarzysza, odrzuciło jesionowe łuki i z saksami^[31] w dłoniach rzuciło się w stronę pieśniarza.

Ainarem zawładnęła żądza mordu. Otoczenie zniknęło, kształty zmieniły się w rozmazane cienie. Gardząc obroną, cisnął tarczę na ziemię i stanął w pozycji jastrzębia. Dopadli go równocześnie. Pierwszemu wymierzył cięcie w ramię, ale miecz zatrzymał się na głowni saksa i ze zgrzytem zsunął się na

krótki jelec. Poeta skokiem w tył uniknął zwarcia i zbił pchnięcie drugiego nożownika. Wykorzystując jego zachwianie, walnął go pięścią w twarz. Nos chrupnął, z wargi popłynęła krew, a z ust soczyste przekleństwo. Rana nie osłabiła wściekłości przeciwnika. Kiedy przyszedł mu z pomocą drugi towarzysz, zaatakowali razem.

Skald zwinnie przeskoczył nad nisko prowadzonym saksem i zbił drugie pchnięcie – na wysokości swojej szyi. Czuł się, jakby walczył nie z dwoma ludźmi, ale z czteroręką bestią – tak dobrze rozumieli się jego wrogowie. Tuż po każdym ciosie pierwszego z nich natychmiast szło pchnięcie drugiego, a potem na odwrót.

Napastnicy umiejętnie krążyli wokół Ainara. Gdy udało mu się zablokować wyprowadzane od dołu cięcie w krocze, poczuł na plecach dotyk żelaza przedzierającego się przez kolczugę i przyjemny, szczypiący chłód. Zaśmiał się jak szaleniec.

Przeciwnicy spojrzeli po sobie niepewnie i zaczęli się cofać. Skald nie pozwolił im uciec. Atakował, jeszcze szybciej niż poprzednio, a każdy z wypadów był precyzyjny i pełen gracji – niczym jego pieśni. Łucznicy z coraz większym trudem blokowali ciosy. W końcu jeden z nich nie zdążył się uchylić. Dźwięk przecinanej krtani i charczenie krztuszącego się krwią ożywiło – przynajmniej w uszach pieśniarza – monotonne pobrzękiwanie mieczy. Dreng wypuścił broń z ręki, padł na kolana i rozpaczliwie próbował zahamować dłońmi wypływające z siebie życie.

Ostatni zbrojny natarł na Ainara ze zdwojoną zaciętością. Pewnie chciał pomścić zabitych towarzyszy. Ale walka nie trwała długo. Jednym gniew dodaje sił, innych zaślepia.

Skald sięgnął po najgłębsze pokłady wściekłości i otrzymał błogosławieństwo Göllnira. Wziął potężny zamach, resztkę sił wkładając w rąbnienie wymierzone w nogę nożownika. Uderzenie było sygnalizowane i dreng z łatwością przygotował się do jego sparowania. Nic mu z tego nie przyszło. Gryzący Kamień zadowolili się innym posiłkiem. Przeciął ostrze

saksa, zagłębił się w skórę i mięso, rozrąbał kość, po czym łatwo wyszedł po drugiej stronie uda.

Płaczący mężczyzna zawsze wygląda żałośnie. Tym bardziej taki, który oplakuje swoją uciętą nogę i próbuje przyłożyć ją do kikuta, jakby kończyzna mogła się zrosnąć. Umierać też trzeba umieć – Ainar odwrócił się z pogardą od konającego.

Szaleństwo powoli go opuszczało. Las na powrót stawał się zielony, drzewa przestawały być rozmazane. Przypomniwał sobie o bitwie, która toczyła się za jego plecami, i pomyślał, że warto byłoby tam wrócić. Nie zdążył.

Szyję ścisnęła mu cięciwa, a za plecami wyczuł napastnika, który ciągnął jej końce. Próbował się obrócić twarzą do dusiciela, ale ten umiejętnie trzymał się z tyłu. Skald miotał się dookoła, młóćąc mieczem na wszystkie strony. Wolną ręką udało mu się chwycić czuprynę przeciwnika, ale uścisk na szyi nie zelżał. Zalewała go ciemność. Czwarty łucznic – pomyślał, nim osunął się na ziemię.

9

Starzec chrząknął. Zauważył, że ma coraz więcej słuchaczy. Jego donośny głos, natchniony mądrością Wszechwiedzącego, musiał skruszyć ich serca i skłonić do uwagi. Mimo zmęczenia i zimna doskwierającego starym kościom oraz powykrzywianym stawom zebrał się w sobie i z całą mocą dostępną wątłemu ciału krzyknął:

– Bracia! Jesteście jak dzieci, które w ciemności szukają Ojca. Po omacku, bez światła bożego słowa, dopuszczacie się grzechów głównych. A oprócz dumy, pychy, rozpusty, pijaństwa, lenistwa, zniechęcenia i gniewu waszą duszę plami jeszcze jeden występki. Chciwość!

Był to grzech bogaczy, a zgromadzeni tu ludzie wyglądali na ubogich karlmadów. Ale z doświadczenia wiedział, że każdy z Östmadów lubi

świecidełka. Dlatego też ta część kazania zawsze była najtrudniejsza, nieważne przed kim ją wygłaszał.

– Każdy chce być majątny i żyć dostatnio. Ale nie powinniście tego pożądać, bo bogatemu trudno jest wejść do Królestwa w niebie. Powiadam wam bowiem, że człowiek owładnięty żądzą posiadania jest jak nienasycony grubas, który tym więcej jadła i napitku pragnie, im więcej zje i wypije. Człowiek chciwy nie cofnie się przed kradzieżą ani zdradą. Nawet brata swego i przyjaciela zabije za garść srebrnych monet! Sprzeda go za trzydzieści srebrników, jak Judasz sprzedał Zbawiciela. Radzę wam, byście nie podążali tą drogą, tylko odwrócili wzrok od rzeczy doczesnych! Gromadzicie bowiem majątek, ale czy weźmiecie go do grobu?

Nie był to najszcześniejszy dobór słów. Östmadowie rzeczywiście chowali zmarłych z dorobkiem ich życia, o ile ci nie mieli skąpych spadkobierców. Powinien do nich dotrzeć w inny sposób.

– A nawet jeśli krewni włożą wam do mogiły błyskotki – poprawił się – to zapewniam was, że na nic wam się one przydadzą w obliczu blasku Jedynego. Dla żłudnych skarbów tego świata nie rezygnujcie więc z prawdziwego bogactwa, jakim jest szczęście wieczne w niebie.

10

Tam gdzie kończyła się puszcza, zaczynały się mokradła. Olchy o cienkich, choć wysokich pniach wyrastały z błota, wody, a tylko gdzieniegdzie u ich podstaw widniała rozmiękczona ziemia, zarośnięta wysoką trawą, paprociami lub trzcina. Walczyły o życie ze smukłymi brzoźami o pniach bielejących, jakby oblepionych śniegiem. Wysoko umiejscowione konary drzew pięły się ostro w górę – chyba chciały sięgnąć nieba i uciec z tego ponurego miejsca.

Niemal wszystko porastał mech. Był widoczny tuż obok porostów na zwalonych pniach, na niewielkich głazach, a niekiedy na samej ziemi, tworząc

grząską ściółkę. Mimo to w całej okolicy przeważała nie zieleń, ale brąz. Mętna woda przybierała kolor błota, a większość roślin było tak pobrudzonych, że na łące mogłyby uchodzić za badyle. Zieleń królowała jedynie w koronach drzew, które przepuszczały niewiele światła, zagarniając większość życiodajnych promieni dla siebie.

Te zdradzieckie tereny, niegościnne dla większości zwierząt, były rajem dla żab i kumaków, których kijanki mąciły toń zabłoconych bajor, a rechot dorosłych osobników zagłuszał świergot nielicznych ptaków. Nie gorzej na tym wilgotnym terenie czuły się węże i jaszczurki, które uganiały się za innymi mieszkańcami mokradeł, owadami. Ważki bezszelestnie szybowały między drzewami lub wisiały w miejscu, przebierając podwójną parą skrzydeł. Chmary komarów i much były wszechobecne. Obsiadały zarówno żywe zwierzęta, które niebacznie się tu zapuściły, jak i martwe, które tu na zawsze zabłądziły. Teraz za cel wzięły sobie inne stworzenia, rzadko tu spotykane. Wznosząc brzęczący okrzyk bitewny, nacierały na garstkę wędrowców oraz ich wierzchowce, które ci prowadzili.

Ainar pacnął komara siedzącego na szyi i zaklął szpetnie. Niewielu rzeczy nienawidził bardziej od owadów. Oprócz ukłucia poczuł przenikliwy ból mięśni karku. To przypomniało mu o świeżej bliźnie i o tym, jak ją zdobył.

Kiedy ocknął się po bitwie, okazało się, że ludzie Erlinga zwyciężyli, w głównej mierze dzięki jego szalonemu atakowi na łuczników. Zdołali odeprzeć przeciwników i zabić większość. Sami stracili jednak połowę oddziału. Powiedziano mu, że życie uratował mu Erling, który podciął gardło czwartemu łucznikowi. Potem klęczał nad nim i troskliwie uderzał go otwartą dłonią w twarz, krzycząc do ucha: „Gdzie jest skrzynia?“, aż Skald odzyskał przytomność i odpowiedział mu: „Tam gdzie żmije gryzą umrzyków”.

Poeta prowadził szóstkę ludzi, omijając większe bajora i sobie tylko znanym sposobem odnajdując ścieżkę wijącą się między drzewami i mokradłami. Bitwę stoczoną dwa dni temu przeżył Erling, Brodir i sześciu drottmadów, ale dwóch z nich zmarło po drodze. Pierwszy w wyniku rany

w udo odszedł, gorączkując i majacząc. Nie pomógł mu nawet okład z tutejszego błota, znanego z licznych właściwości leczniczych. Drugiemu błoto również się nie przysłużyło. Pokąsany przez żmiję, uległ strachowi, potknął się o wystający korzeń i upadł twarzą prosto w brązową breję. A że pod mazią ukryty był głaz, nieszczęśnik rozbił sobie głowę.

W południe dotarli do celu. Z ulgą stanęli na twardym i suchym gruncie. W dalszym ciągu znajdowali się jednak na obszarze przejściowym, gdzie głązy i skały rywalizowały ze strumieniami i podmokłymi łąkami. Rzadki łęgowy las skrywał grootę widniejącą w samotnej skale, która wynurzała się z ziem niczym głowa olbrzyma. Jego rozwarta paszcza straszyla nieproszonych gości, kamienny czerep pokryty był ziemią, trawą i liśćmi, a na jego szczycie rosła karłowata brzoza.

Stali przed Jaskinią Żmii.

– Wygląda dokładnie tak jak w opowieści o Sigurdzie i smoczym złocie^[32]. Nie musisz już nic mówić, Skaldzie. Srebro na pewno jest w środku – zawyrokował dumny z siebie Erling.

Ainar nie miał już nawet siły dziwić się tępotcie hersira ani złościć, że wszystko musi mu tłumaczyć:

– Gdyby skarby ukrywano w jaskiniach, tak jak opowiadają sagnamadowie, to nie byłoby już żadnych skrzyń do odnalezienia. Karlmadowie już dawno przeszukali wszystkie groty i pieczary, a odnaleźli tylko niedźwiedzie czaszki i bezużyteczne krzemienne toporki.

Jarl spojrzał na niego nieufnie. Żaden władca nie lubi się mylić, zwłaszcza gdy jest przekonany o błyskotliwości swojego pomysłu. Jak zawsze, kiedy zaczynał się złościć, poczerwieniał na twarzy niczym dziewica w noc poślubną.

– Skoro nie ma tu srebra, to po co nas przyprowadziłeś w to odludzie?!

Skald, nie przejmując się gniewem drottinna, prychnął lekceważąco, głaszcząc pysk swojego nowego konia. Przywłaszczył go sobie po bitwie –

wcześniej należał do jednego z poległych drengów Erlinga.

– A kto powiedział, że nie ma? W każdej opowieści jest ziarno prawdy. Co prawda jaskinie nie są dobrym miejscem na skarbiec, ale świetnie nadają się na punkt orientacyjny i to punkt bardzo trwały. A że jest to istotne, wie każde dziecko znające opowieść o Hallbjörnie. Zapomniał on, pod którym dębem zakopał złoty pierścień ojca. Wie o tym doskonale również Harald i dlatego możemy być pewni, że przyjdzie dokładnie do tej jaskini. A my tę wiedzę wykorzystamy.

Eysteinnsson nie wydawał się zadowolony taką odpowiedzią. Odkąd ledwo uszedł z życiem z zasadzki, stał się bardziej nerwowy i gorzej nastawiony do wyprawy niż jeszcze kilka dni temu.

– Mam już tego dość! Jestem najpotężniejszym hersirem w Östlandzie, a po ojcu odziedziczyłem tytuł jarla. Mój ród, założony przez samego Magniego, zasiedlił te ziemie pierwszy i wydał wielu potężnych władców. Jestem drottinnem najbitniejszego drottu Północy i właścicielem największego majątku w całej okolicy. A mimo to z dobrej woli uwierzyłem i zaufałem włóczącemu się po lasach skogarmadowi. I na co mi to było? Dostałem tylko obietnicę, nic nieznaczące słowo zmijowego języka, a straciłem większą połowę mojej drużyny...

Ainar zrozumiał, że nie jest to dobra chwila na zwracanie uwagi jarlowi. A przecież połówki zawsze są równe i powinny takimi zostać. Wystarczy spojrzeć na damskie pośladki, by się o tym przekonać.

– ...żądam zatem, byś mi natychmiast wyjawiał miejsce ukrycia skrzyni. Zrób to, albo każę nabić cię na pal, a potem zabiorę swoich ludzi i zasadzę się na kupców wracających z Kaupangu. Na grabieży też można się dorobić. Z pustymi rękami do domu nie wrócę.

Plan drottinna był całkiem sensowny, choć nie dla Ainara. Skald musiał mu dać coś więcej niż obietnicę. Ale w obliczu zbliżającej się potyczki nie byłoby roztropnie zdradzać wszystkiego, by miecz sojusznika przypadkiem nie ciał go w kark. Na szczęście był hagiem, zręcznym w słów składaniu. Ułożył

więc zgrabną lausavisë:

Drengów nagrodę dostanie
żelazne drzewo przed żmiją,
od ubóstwa umykając.
Ile zakłęb zna władca złota, zbrojny
zrobi kroków za zabójcą olbrzymów,
z wojny z wielkoludami wracającym.

Jarl musiałby myśleć rok, by rozwikłać taką zagadkę, jeśli w ogóle byłby w stanie tego dokonać. Ainar zaś popadł w samozachwyty i przyjacielsko poklepał zdeorientowanego hersira po ramieniu.

– Właśnie tam ukryta jest skrzynia, mój drogi Erlingu. Dokładnie według słów Haralda, które wyjawiał mi podczas jednej z uczt – skłamał. Hakonsson znał się na układaniu strof, ale nie byłby w stanie wymyślić tak zmyślnego utworu. Ale rzeczywiście wyjawiał mu sekret srebra podczas biesiady, tyle że bełkocząc po pijanemu.

Drottinn stał w milczeniu, poruszając bezgłośnie ustami. Skald mógłby się założyć z normami o rok swojego życia, że jarl powtarzał w myślach usłyszaną strofę, starając się ją zapamiętać. Ten wysiłek, niemal nadludzki – oceniając po liczbie zmarszczek na czole – sprawił, że gniew uszedł z niego, a twarz wróciła do zwyczajowej bladości. Ainar odniósł wrażenie, że hersir ma ochotę poprosić go o powtórzenie, ale wstyd mu było przyznać się do ułomności umysłu. W końcu, zrezygnowany, machnął ręką i odszedł robić to, co władca umie najlepiej. Wydawać rozkazy.

Nie tracąc czasu, cała siódemka zabrała się do przygotowania zasadzki. Zrobili ją w trzech krokach – wymyślonych przez Ainara, wysmianych przez Brodira i zatwierdzonych przez Erlinga.

Najpierw sprawdzili okolicę. Nie byłoby dobrze, gdyby zasadzka została

już zastawiona, tyle tylko że nie przez nich, a na nich. Skald wątpił, by ludzie Haralda zdążyli tak szybko pozbierać się po przegranej potyczce w lesie i przybyć tu przed nimi, ale przezornemu norny również szyją. Dlatego poszli na zwiad parami, z żelazem w rękach. Z polecenia hersira Ainarowi towarzyszył Brodir, dlatego oprócz rozglądania się poeta musiał uważać na plecy. Poruszali się cicho, by nie wypłoszyć ptactwa i tym samym nie ostrzec przeciwników o swojej obecności. Nie natknęli się na nic szczególnego. O podobnych wynikach poszukiwań pozostałych tropicielei dowiedzieli się, kiedy powrócili na miejsce zbiórki, czyli pod jaskinię. Znajdowali się na odludziu, gdzie nawet bogom nie chciało się zapuszczać.

Krok drugi polegał na ukryciu własnej obecności. Zaskoczenie to najważniejszy element zasadzki, bez którego byłaby ona tylko otwartą bijatyką dwóch wrogich sobie drottów. Zacieraniem śladów nie musieli się przejmować, gdyż zaczęło padać i mocz Magniego skutecznie zatarł odciski ich stóp. Cały wysiłek włożyli więc w to, by dla zbliżających się napastników pozostać jak najdłużej niewidocznymi. Trzech drotmadów Erlinga, razem ze wszystkimi ich końmi i jukami, skryło się w pieczarze. Szczęściarze zachowali suche odzienie, ale to oni mieli wziąć na siebie główne uderzenie – byli więc zarówno tarczą, jak i toporem ich oddziału. Dowodził nimi Brodir, któremu wydawało się, że sam zgłosił się do tego zadania. Rzeczywiście nikt go nie zmuszał do zapowiedzi: „Pokażę wam, jak walczy prawdziwy dreng”, ale Ainar delikatnie popchnął go do tej decyzji, naśmiewając się z jego męstwa. Równie bohaterska jak naiwna trójca, uzbrojona we włócznie, miała zaatakować i związać walką siły nieprzyjaciela, podczas gdy pozostali dostali za zadanie oskrzydlenie drottu Haralda.

Dwóch drengów, którzy najlepiej radzili sobie z łukami, ukryło się między drzewami, skąd mieli dobry widok na wejście do groty. Ich zadaniem było ostrzelanie nieprzyjaciół i zaatakowanie ich z boku, kiedy ci będą już zajęci trójką włóczników z jaskini. Wspólnie z drotmadami Brodira mieli również odciągać uwagę od najważniejszej dwójki w oddziale. Ainara i Erlinga.

Skald i jarl górowali nad pozostałą piątką. Nie tylko męstwem, walecznością i urodzeniem – a pieśniarz również bystrością – ale wybrali taką pozycję, że dosłownie spoglądali na nich z góry. Po tylnej ścianie skały, która łagodnie wyrastała z ziemi, wspięli się na jej szczyt i zajęli miejsce nad wejściem do jaskini. Skald wybrał sobie jedno za karłowatą brzozą, bo nawet cienki pień jest lepszą osłoną niż powietrze. Położył się na brzuchu i okrył szarym płaszczem. Przed sobą umieścił nagi miecz, ale przysypał go ziemią i liśćmi, by stal nie odbijała promieni wychodzącego już zza chmur słońca. Przy lewej ręce położył cisowy łuk, a po prawej wbił w ziemię kilka strzał. Zauważył, że hersir przygotował się w dokładnie taki sam sposób. Może i Mimir nie poczęstował go miodem ze źródła wiedzy, ale widać było, że na zasadzkach hersir zna się jak mało kto.

Przystąpili do ostatniego i najtrudniejszego kroku. Czekania.

Ainar radził sobie z beczynnością lepiej niż jarl. W końcu był urodzonym węglózercą i lenistwo miał we krwi. Dni spędzone w dzieciństwie na całodziennym gapieniu się w niebo i wylegiwaniu przy palenisku w końcu na coś się przydały, wbrew przewidywaniom jego zapijaczego ojca. To właśnie w szczenięcych czasach nauczył się walczyć z nudą poprzez rzeźbienie, więc również teraz miał wielką ochotę sięgnąć po zawieszony na szyi nożyk. Powstrzymał się jednak. Nie miał zaufania do hersira, a ich życie zależało od tego, by jak najwcześniej wypatrzeć zbliżających się nieprzyjaciół. Zabijał więc czas w inny sposób. Wymyślał *kenningi* i układał je tak, by tworzyły *nýgervingar* – zgodny szyk w zdaniu, w którym każde poetyckie określenie nawiązuje do poprzedniego. Takie gotowce przydadzą mu się, gdy będzie musiał coś szybko ułożyć.

Eysteinnsson nie miał równie twórczego zajęcia. Skald patrzył z politowaniem, jak hersir nerwowo uderza palcami o ziemię i wierci się z powodu byle pająka przebiegającego mu po dłoni czy kropli spadającej z drzewa na twarz. Ale trzeba mu było przyznać, że nie zasnął, tylko uważnie wpatrywał się w linię drzew. To właśnie on pierwszy zauważył ruch

w krzakach olszy, choć jego sprawcą okazał się tylko samotny wilk. Dobry zwiastun przed walką.

Kiedy słońce pokonało już trzy ćwiartki dziennej wędrówki, deszcz przestał padać i ukazał im się Bilröst, tęczyowy most, wiodący z ziemi do krainy bogów. Zaczęło grzać i ich ubrania trochę się podsuszyły. Zapowiadało się pogodne popołudnie. Ainara wcale to nie cieszyło, bo dobra pogoda oznaczała, że staną się lepiej widoczni dla przeciwników.

Zahuczała sowa. Nikt nie zwrócił na to uwagi; byli przecież w lesie. Ale zaraz potem odpowiedziały jej dwie inne, których głosy brzmiały tak, jakby wrywano im pióra z ogona. To już wzbudziło podejrzenia Skalda. Wyteżył wzrok i po chwili zauważył trzech mężczyzn przemykających między drzewami. Trącił Erlinga łokciem i wskazał mu ich palcem. Jednak gdy hersir sięgnął po strzałę, położył mu dłoń na ramieniu. Im dłużej nie zostaną wykryci, tym lepiej. Poza tym nie wierzył, że są to już wszyscy przeciwnicy. Nie chciał ujawniać swojej pozycji, dopóki nie będzie znał dokładnej liczby wrogów. I rzeczywiście. Po chwili zauważyli trzech kolejnych drengów skradających się w kierunku grotu, tyle że oddalonych o kilkadziesiąt kroków od poprzedniej trójki. Było oczywiste, że będą się starać okrążyć skałę i dostać się na nią od tyłu. A na to już Ainar nie mógł pozwolić. Nałożył strzałę na cięciwę, wstał i rozpoczął potyczkę.

Pierwszy z szóstki napastników padł trupem z grotem w szyi. Reszta ludzi Hakonssona zareagowała natychmiast. Przestali się skradać i pognali z krzykiem w stronę jaskini, wybierając najkrótszą drogę.

Łucznicy Erlinga, ukryci za drzewami, rozpoczęli ostrzał. Udało im się trafić jednego z szarżujących w brzuch, ale ten splunął tylko krwią i biegł dalej. Z jaskini wyskoczyli włócznicy i pognali na spotkanie drottnadom Haralda. Obie grupy zderzyły się ze sobą ze szczękiem żelaza. Ogłuszająco wrzeszczeli przekleństwa. Do walczących doskoczyli łucznicy, którzy nie mogli już strzelać, by nie zranić swoich. Dwa oddziały zwały się w kłęb beładnie walczących wojowników. Włócznie przebijały kolczugi, topory

miażdżyły tarcze, miecze wgniatały hełmy. Dreng ze strzałą w brzuchu zemścił się na którymś z łuczników, odrąbując mu rękę, po czym sam padł przebity włócznią. Zwycięzcy krzyczeli, umierający jęczeli. Wszystko szło zgodnie z planem.

Erling chciał zbiec ze skały do swoich ludzi, ale Ainar, który z powrotem położył się na ziemi, chwycił go za rękę i zatrzymał na miejscu. Na placu boju wciąż brakowało Haralda Hakonssona. Skald obawiał się, że stary jarl przezornie zostawił w odwodzie najlepszych ludzi i zwlekał z decydującym natarciem, aż będzie pewny zwycięstwa. I tę pewność należało mu dostarczyć, bo bez niej ostrożny hersir mógł się wycofać i wrócić do domu po posiłki.

– Król nie atakuje razem z pionkami – powiedział najuprzejmiej, jak potrafił, a w myślach dodał: „Chyba że jest tak głupi jak one”.

Ainar widział, że Erlingiem targały sprzeczne uczucia. Chęć pomocy własnym ludziom i wysrane z mlekiem matki upodobanie do rąbania mieczem przegrało jednak z rozsądkiem. Albo mocnym uściskiem Skalda. Jarl zazgrzytał zębami, uderzył wolną pięścią w ziemię i mrużąc pod nosem wyzwiska, posłuchał przyjacielskiej rady.

Kolejne dwa trupy zostały zaproszone na biesiadę przy stole Valfuda. Jeden, po ciosie topora, stracił pół twarzy. Na jego miejscu Ainar by się martwił, czy Ojciec Zarzniętych rozpozna go podczas uczyty. Drugi stracił męskość, choć nie odwagę, za co należał mu się szczerzy szacunek. Miecz przeciął go od kroku do pępka, a on tylko się zaśmiał i krzyknął: „Młot i tak mi się już nie przyda!”. Nawet jego przeciwnik to docenił i zaraz dał mu łaskę szybkiej śmierci.

Obaj polegli byli ludźmi Erlinga. Przewaga wynosiła teraz czterech do dwóch na korzyść drottnadów Haralda. Nawet Ainar patrzył w dół z niepokojem. To był najważniejszy moment jego planu. Dłuższa bezczynność groziła utratą wszystkich ludzi Erlinga, z kolei pochothane działanie mogło spłoszyć Haralda.

Na szczęście ojciec Halfridy okazał się niecierpliwy.

Skald dostrzegł trzech jeźdźców zbliżających się galopem. W jednym rozpoznał przysadzistego Haralda, noszącego żelazną kolczugę i ukrytego za okrągłą tarczą. Gestem nakazał Eysteinsonowi sięgnąć po strzałę, czym wyraźnie go ucieszył. Wstali, przyklękli na kolano i równocześnie zwolnili cięciwy, mierząc w miejsce, które dla pędzącego jeźdźca było najgroźniejsze. W pierś wierzchowca. Obie strzały minęły cel o kilka palców. Kolejna salwa była bardziej udana dla Erlinga. Żelazny grot utkwiał pod szyją jednego ze zwierząt, które zaryło nogami w ziemię i zważyło się na bok, przygniatając jeźdźcowi nogę. Po trzasku łamanej kości poznali, że na dłuższą chwilę mają go z głowy. Strzała Ainara tylko musnęła końską szyję, nie wyrządzając nikomu żadnej szkody. Łuk nie był ulubioną bronią Skalda. W dzieciństwie ojciec lał go cięciwą za każdym razem, gdy chłopak nie trafił do celu, ale to było mniej bolesne niż pełne wyższości spojrzenie Erlinga, który w końcu okazał się w czymś lepszy.

Co gorsza, w trzeciej salwie ponownie górą był hersir. Każdy samolubny, małostkowy i zazdrosny dreng zdenerwowałaby się z tego powodu. Ainar był wręcz wściekły. Nienawidził przegrywać. Pocisk Erlinga wprowadził tylko otarł się o koński brzuch, ale zaraz potem przeciął łąk. Siodło razem z jeźdźcem runęło na ziemię. Mężczyzna zdołał się jednak szybko podnieść i pieszo pognął za ostatnim jeźdźcem, jarlem Haraldem. Dalszy ostrzał nie miał szans powodzenia, gdyż hersir wpadł między walczących.

W końcu nadeszła pora, by i oni zaatakowali. Zrozumiał to nawet Erling, który bez ponaglenia podniósł miecz z ziemi i pognął w dół. Poeta wybrał drogę na skróty. Zeskoczył z czoła skały i miękko wylądował przy wejściu do grotu. Wszystkie pionki znalazły się na placu gry.

Harald zauważył Skalda, wyciągnął miecz w jego stronę i spiął konia piętami. Ainar ruszył mu na spotkanie. Biegł, trzymając Kvernbita w obu rękach tak, że zasłaniał prawy bark poziomo dzierzonym ostrzem. Górna zastawa była najlepsza w walce z jeźdźcem.

Ogier galopował, jakby jarl chciał stratować poetę. Skald wiedział

dlaczego – był w końcu świetnym szermierzem, więc próba uniknięcia bezpośredniej walki z nim była rozważnym posunięciem Haralda.

Znajdując się zaledwie siedem stóp od wierzchowca, Ainar skręcił w lewo. Uniknął zderzenia i wyprowadził cięcie. Nie musiał nawet wkładać w nie dużej siły. Wystarczyło dobrze ustawić ostrze, a pęd konia zrobił resztę. Miecz przeciął nogę zwierzęcia w kolanie. Ogier zarył pyskiem w ziemię, a drottinn wyleciał z siodła. Wymachując w powietrzu rękami, grubas wyglądał jak bąk zakuty w zbroję, a gdy z kolei w poszarpanej kolczudze i powgniatanym hełmie podnosił się z ziemi, przypominał rozbite jajko.

Widząc upadek jarla, drottnadowie rzucili się mu na ratunek, a ludzie Erlinga ruszyli za nimi w pościg. W jednej chwili potyczka przeniosła się bliżej jaskini, a Ainar znalazł się w środku walki. W końcu był skaldem. Przyciąganie uwagi było jego specjalnością.

Pierwsi wyrazy uszanowania złożyli mu dwaj drengowie Haralda, uzbrojeni w typowe maekiry^[33], miecze z Północy o zaokrąglonych sztychach i trójkątnych głowicach. Poeta podniósł z ziemi tarczę, którą jarl zgubił podczas upadku, i przygotował się do obrony. Wiedział, że w drotcie Haralda nie służyły ułamki, więc nie zamierzał ich lekceważyć. Przyjął na tarczę pierwsze rąbnięcie, a potem kolejne. Oszczędzał ostrze. Bitwa jest niczym łożkowe zapasy z kobietą. Najlepszym drengiem nie jest ten, kto na początku najzajadlej atakuje, ale ten, którego miecz zostanie jak najdłużej ostry i twardy.

Z pierwszym drottnadem uporał się łatwo. Nie uchylił się przed ciosem zza głowy, ale nadstawił krawędź tarczy. Miecz przebił żelazną obręcz i na pół oddechu utkwiał w drewnie. Tyle wystarczyło. Pieśniarz przekręcił tarczę i miał przed sobą bezbronnego wroga, który zaczynał zdawać sobie sprawę, że już jest trupem. Ainar okazał *grið*, prawo łaski. Odrąbał mu stopę, by przed śmiercią miał czas przemyśleć swoją głupotę. Valfud zapraszał do siebie poległych w boju einherjów^[34], ale tumanom pozwalał tylko na noszenie w swoim podniebnym dworze broni lepszych od siebie.

Korzystając z chwili wytchnienia, rzucił okiem na Haralda. Ten

najwyraźniej wyszedł z upadku bez większej szkody, bo skutecznie bronił się przed atakami młodszego i szybszego przeciwnika, którym był Eysteinnsson. W tej rozgrywce w hnefatafl królów było aż dwóch, a żaden z nich nie miał zamiaru uciekać. Tym bardziej że obrońców mieli coraz mniej.

Przerwa nie trwała długo. Drugi dreng atakujący poetę, otrząsnąwszy się po śmierci towarzysza broni, znów natarł. Co gorsza, dołączył do niego drottnad uzbrojony w brodaty topór. Ainar nie cierpiał toporów o dolnej części żeleźca rozciągniętej w długą „brodę”. Ta potężna broń wymagała jedynie siły i odrobiny drwalskiej wprawy. Przewaga długiego trzonka i szerokiego na dwie ludzkie głowy żeleźca sprawiała, że nawet nędzny karlmad mógł dzięki tej broni stać się niezwyciężonym w boju. Wystarczyło, że dostatecznie szybko i mocno nią machał.

Obaj zbrojni nosili długie, czarne brody i mieli tak podobne rysy twarzy, że Skald od razu przypomniał sobie tych braci. Widywał ich wielokrotnie na dworze Haralda, ale że nie należeli do ulubionych drużynników jarla, to poeta nie zaprzętał sobie głowy zapamiętywaniem ich imion. Ten z mieczem trzymał się z przodu, a ten z toporem o długim trzonku starał się zająć go od tyłu. Mądra taktyka. Dwa ciosy bitewnej siekiery wystarczyły, by tarcza Ainara rozleciała się na kawałki, a jego lewa ręka zdrętwiała. Walka przybrała niekorzystny dla niego obrót. Miecz zaczynał się tępić, a kolczuga była naruszona w kilku miejscach. Cofnął się ku drzewu, by mieć pień za plecami, a przeciwników przed sobą.

Stąd miał też lepszy widok na Haralda i Erlinga. Między własnymi cięciami i pchnięciami obserwował pojedynek hersirów. Przewagę powoli zyskiwał Erling, który był młodszymi siłami wyraźnie przewyższał przeciwnika. Trzeba było jednak przyznać, że Hakonsson walczył dzielnie i zaciekle, niczym ranny niedźwiedź. Obaj przesuwali się w kierunku wylotu groty. Po jednym z nieudanych wypadów Harald został draśnięty w ramię. Zaraz po tym odwrócił się i pognął w kierunku jaskini, znikając w jej czeluściach. Zapewne liczył, iż półmrok i lepsza znajomość pieczary zrównoważą przewagę

młodości jego przeciwnika. Erling pobiegł za nim z głośnym okrzykiem zwycięstwa, biorąc ucieczkę Haralda za oznakę tchórzostwa.

Skald uchylił się, ale topór strącił mu hełm z głowy, po czym otarł się o pień drzewa, zostawiając w nim wcięcie głębokie na trzy palce. Podglądanie innych o mało nie przypłacił własnym życiem. Zganił się w myślach, że zlekceważył rywali. Uratowało go tylko szczęście. Wiedział jednak, że nie warto oddawać się w ręce fylgji, bo opiekunka szczęścia, jak każda kobieta, zmienną jest. Walka niebezpiecznie się przedłużała, ale nie miał pomysłu, jak ją zakończyć. Dreng z toporem trzymał go na sporą odległość. A kiedy pieśniarz próbował wykorzystać długie przerwy między zamachami przeciwnika, by skrócić tę odległość, spotykał na swojej drodze zbrojnego z mieczem, który chronił brata. Dłuższa wymiana cięć z obrońcą także nie wchodziła w grę, bo Ainar musiał cały czas uważać na świszczącą koło jego uszu bojową siekierę. Zaczynał się denerwować, ale postanowił, że nie może znów wpaść w bitewny szal. Nie chciał, by gniew zmącił mu umysł, a nie był przecież prawdziwym hamramirem, więc nie umiał w pełni panować nad krwawym szaleństwem.

Nieoczekiwanie z pomocą przyszedł mu jeden z drużynników Erlinga, którego wszyscy trzej uznali za niezdolnego do walki. Ranny, nie bacząc na połamane nogi, w nagłym porywie odwagi podpełzł i chwycił brodacza z toporem za stopę. Tyle wystarczyło. Wykorzystując chwilowe zachwianie drwala, Ainar wbił mu miecz pod żebra. Walka wyrównała się, przynajmniej pod względem liczebnym, bo Skald był przekonany, że w uczciwym pojedynku jeden na jednego nikt go nie zwycięży.

Drottnad Haralda stracił całą odwagę, gdy u jego boku zabrakło brata. Widać to było po jego nerwowych ruchach, nieostrożnych cięciach i rozbieganych oczach. Gdy wzniosł żelazo – biorąc o wiele za duży zamach jak na walkę z szybszym przeciwnikiem – poeta skoczył do przodu i uderzył go barkiem. Zanim plecy mężczyzny dotknęły ziemi, pieśniarz ciął i ukarał ręce, które śmiały podnieść na niego broń. Miecz przeciwnika wbił się w ziemię

kilka kroków od nich, a jego rękojeść dalej ścisnęły dwie ucięte dłonie.

Skald rozejrzył się, utrzymując dolną zastawę, ale nie było już przed kim się bronić. Wyglądało na to, że reszta drottnadów wykończyła się nawzajem. Na nogach stało jeszcze tylko dwóch, ale i oni byli zajęci sobą. Jednym z walczących był Brodir. Krwawił z kilku ran, jego kolczuga wisiała w strzępach, a miecz był złamany w połowie. Ainar mógł mu pomóc. Wystarczyło podejść i wbić jego przeciwnikowi miecz w plecy. Ale nie zrobił tego. Zamiast tego cieszył oko widokiem drottnada Haralda, który rozbił łośolowi kolano nasadą topora. Dopiero gdy Brodir padł, Skald doskoczył do zwycięzcy i rąbnął go mieczem w kark.

Jeszcze nim ciało zbrojnego przygniotło Brodira, poeta był już w połowie drogi do jaskini. Nie mógł pozwolić, by jarlowie rozstrzygnęli swój spór bez jego udziału.

Zanim zobaczył walczących naczelników, usłyszał brzęk ich drogiej, godnej jarłów, broni. Stał zgrzytała o stal, a czasem o skałę. Tym hałasom wtórowały głośne wyzwiska i rzenie ukrytych w pieczarze koni. Minęła chwila, zanim oczy Skalda przyzwyczyły się do ciemności. Dostrzegł sylwetki walczących. Przewagę miał Erling, który przyparł przeciwnika do ściany i z brutalną siłą rąbał resztki jego tarczy. Obaj stracili hełmy, a na czole Haralda widać było obficie krwawiące rozcięcie.

Pierwszy zauważył go Harald, który stał twarzą do wyjścia. Siwobrody zaryczał z wściekłości. Rzucił w Eysteinsona ostatnim kawałkiem drewna pomalowanego w pasy. Trafił go w głowę i od razu, wykorzystując dezorientowanie wroga, wykonał jeszcze mniej spodziewany ruch. Z szybkością, o jaką nikt by go nie podejrzewał, pochylił się, wyprostował, odgiął do tyłu i wyrzucił do przodu swój ogromny brzuch. Sadło, oplecione kolczugą niczym wędzona szynka sznurkami, trafiło w tułów Erlinga. Czarnobrody stracił równowagę. Rozpaczliwie machając rękami, poleciał do tyłu i uderzył plecami o kamieniste podłoże.

– *Griðníðing!* – krzyknął Harald, człapiąc w stronę Skalda. – Wyrwę ci ten

zmijowy język i przybiję do drzewa, by każdy mógł przekonać się o twojej hańbie. Zaufałem ci, ale znów okazało się, żeś *klækismaðr*!

Rzeczywiście, na miano gridninga, łamacza ugód, mógł sobie zasłużyć. Ale żeby nazwać go klaekismadem, nikczemnym tchórzem? To już przesada. Wszak wszystko, co zrobił, wymagało dużej odwagi. Choć poeta musiał przyznać, że Hakonsson miał powody do zdenerwowania.

– Tylko spokojnie – rzekł Ainar, ale na wszelki wypadek przybrał postawę obronną. – Porozmawiajmy jak teść z zięciem. Jeszcze możemy sobie wszystko wyjaśnić.

– Spokojnie?! Mam być spokojny?! Sprowadziłeś *skömm*, hańbę, na mój ród i wymordowałeś moich najlepszych ludzi!

Skald umiał poznać, kiedy dyskusja z Haraldem nie miała sensu. Ten sam upór widział w Halfridzie, która musiała go odziedziczyć po ojcu. Poprawił zatem uchwyt spoczonej dłoni na rękojeści Gryzącego Kamień i wyprowadził pchnięcie. Równocześnie drugą ręką chwycił przegub jarla, który zamachnął się na niego swoim mieczem. Z trudem zdołał odsunąć broń drottinna od swojej twarzy. Ostrze Kvernbita najpierw musnęło pierścieniową koszulę Haralda, a potem sztych zanurzył się w brzuchu Erlinga.

Trudno powiedzieć, który z hersirów był bardziej zaskoczony. Ten młodszy, który wypuścił broń z rąk, opadł na kolana, zakrztusił się krwią i próbował wepchnąć sobie wnętrzności do brzucha, czy ten starszy, który przestał siłować się z Ainarem, wsparł się ciężko na mieczu i gapił na umierającego. Harald był bystry, więc musiał się szybko połapać, co się przed chwilą wydarzyło – kiedy był zajęty rozmową ze Skaldem, Eysteinnson wstał z ziemi i zaszedł go od tyłu, szykując się do zadania ostatecznego ciosu. Poeta zaś uratował mu życie.

– Mimo wszystko jesteś po mojej stronie – powiedział siwobrody jarl, kiedy niedowierzenie w końcu znikło z jego twarzy.

– Mówiłem przecież, że wszystko mogę wyjaśnić.

Pieśniarz wytarł Kvernbita o rękaw białej koszuli i schował go do pochwy. O broń należało dbać, a postrzępione ubranie i tak nadawało się do wyrzucenia.

– To teraz masz możliwość.

Skald spodziewał się, że hersir będzie bardziej domyślny. Nienawidził się tłumaczyć.

– Postępowałem zgodnie z umową. Przekonałem Erlinga, by opuścił Sker i przywiodłem go pod Jaskinię Żmii. Wykonałem wszystkie twoje polecenia.

– Moje polecenia? – Gniew może i opuścił Haralda, ale na pewno nie niecierpliwość. – Czy kazałem ci mordować moich drottmadów? Miałeś sprowadzić Erlinga w zasadzkę, a nie zastawiać ją na mnie!

– Śmierci swoich ludzi winien jesteś sam. Nie moja wina, że napadli nas w lesie, a nie tu, jak to było umówione. Trzeba ich było też ostrzec, że nie dam się pokroić na kawałki, gdy mnie zaatakują. Umowa nie zakładała mojej śmierci!

Hersir miał przynajmniej tyle przyzwoitości, by nie kłamać. Ale nie miał zamiaru raczyć poety jakimikolwiek wyjaśnieniami, co było typowe dla kogoś, kto przywykł do wydawania rozkazów. Skald z łatwością odgadł jednak, co kierowało jarlem. Harald był przebiegły i nikomu nie dowierzał. Znając trasę przejazdu drużyny Erlinga, wysłał swoich ludzi w nieznane Ainarowi miejsce, by ten nawet przez przypadek nie mógł się zdradzić przed wrogim hersirem, że wie o zasadzce. Kazał też atakować Skalda, by umocnić jego wiarygodność w oczach pana Sker. A gdyby któryś z drengów zdołał jednak zabić pieśniarza? Tym lepiej, nikt w otoczeniu Haralda by po nim nie płakał.

– Wychodzi na to, że oboje przewiniliśmy brakiem zaufania.

Ainar skinął głową, choć akurat on nadal popełniał tę przewinę.

– A co z naszymi poprzednimi ustaleniami?

Krew spływająca jarlowi na oczy przypomniawsza mu, że jest ranny. Podeszedł do zwłok Eysteinsona, oddał kawał jego koszuli i zrobił opaskę, którą

obwiązał swoje czoło.

– Duszno tu i zimno. Wyjdźmy z tej nory – zaproponował starzec, jakby nie usłyszał pytania.

Na świeżym powietrzu Skald dał Haraldowi czas, by ten obejrzał pobojuwisko. A było co podziwiać, jeśli ktoś lubował się w rzeziach. Jucha szybko krzepła i wsiąkała w ziemię, przybierając ciemnobrunatny kolor. Martwi kochali się z ziemią w najróżniejszych pozach, dla większości niedostępnych za życia. Z uciętą nogą pod pachą, z głową leżącą na ramieniu, z jelitami obwiązanymi wokół dłoni, z przetrąconymi kręgosłupami, z połamanymi żebrami i z cudzymi stopami w ustach. A ranni jęczeli. W ustach niektórych odgłosy te przeradzały się w błagania o łaskę szybkiej śmierci, w ustach innych – w wezwania bliskich lub przeklinania wrogów. Dwaj konający nadal szarpali się za włosy, jakby nie zdawali sobie sprawy, że wypływa z nich życie. Kruki i wrony, które już podczas bitwy krążyły nad lasem, teraz rozpoczęły ucztę. Nie wszystkie ich dania były martwe. Ci, którzy byli w stanie to robić, odganiaли ptaszyska, ale te nigdy nie odlatywały daleko. Stały nieopodal, kręciły głowami z boku na bok, wpatrywały się w ofiary i cierpliwie czekały, aż te staną się zdatne do spożycia.

– Drogo mnie kosztowało przymierze z tobą – ponuro oświadczył Hakonsson.

– Za cenne rzeczy trzeba słono płacić.

– W istocie. Nigdy nie możesz być jednak pewny, czy wschodzące słońce będzie równie piękne, jak obiecywało, zachodząc minionego dnia. A skarb tak ciężki, jak wskazuje na to jego skrzynia. Prawdą jest to, co mówią o bogactwie Erlinga? Że ma garnce ze srebrem i złotem zakopane nieopodal domu, że jego stada są liczone w setkach sztuk, że lasy są pełne zwierzyny, a pola urodzajne jak w Bjarkamal?

– Nie inaczej.

– W takim razie śmierć moich drottnadów nie poszła na marne. Musimy

wrócić do Gullbergu, by zebrać nowy oddział, zanim wyruszymy zająć posiadłość Eysteinsona.

Harald rozejrzył się w poszukiwaniu konia. Jeden wierzchowiec pasł się luzem, dwa inne leżały na ziemi. Do tego bardziej od nich oddalonego, ze strzałą w piersi, nie było po co podchodzić. Był martwy i cały pokryty muchami. Hersir zbliżył się natomiast do swojego trójnogiego ogiera, którego ciche rzenie przypominało błaganie o łaskę. Jarl podniósł z ziemi topór i skrócił zwierzęciu męki. Stał chwilę, jakby się zastanawiał, czy zdoła złapać luzaka, ale musiał sobie przypomnieć o wierzchowcach w jaskini, gdyż zawrócił w jej stronę. Ainar zagroził mu drogę.

– Nie zapomniałeś o czymś?

Drottinn uniósł pytająco brwi i wytarł czerwony pot ciekący mu spod opatrunku na czole.

– Chodzi ci o Halfridę? Nie martw się, nie zmieniłem zdania. Jeśli nasz łup będzie tak wielki, jak obiecałeś, zostanie twoją żoną. Dorzucę nawet małe gospodarstwo i kilka krów. W końcu się usatkujeś. Tylko od tej pory masz dbać, by mój ród się powiększał, a nie zmniejszał. Zabrałeś mi synów, to daj chociaż wnuki.

– Brzmi obiecująco.

Naprawdę brzmiało. Życie u boku Halfridy nie byłoby złe. Göllnir krzyczał mu jednak do ucha, wzbudzając wątpliwości.

– Powiedz mi, dlaczego żelazne drzewo umyka przed żmiją? – zapytał, chwytając za ramię hersira, który najwyraźniej uznał, że rozmowa skończona i chciał wyminąć Skalda.

– To jakaś zagadka? Wiesz, że ich nie lubię. Musimy się spieszyć. Niedługo zmrok, a nie chcę tu być, gdy zjawią się wszystkie wilki z okolicy. A możesz być pewny, że przybiegną, bo nie starczy nam czasu, by pochować trupy. Musimy też zająć się rannymi. Może któremuś z naszych uda się przeżyć.

– Odpowiedz mi na pytanie, a już o nic nie będę cię prosił.

Jarl zmarszczył brwi, zdziwiony naleganiem poety.

– No dobrze. Żelazne drzewo to pewnie dreng w zbroi. A dlaczego ucieka? Może oddala się od Jaskini Żmii. Aaa, już rozumiem! Mówisz o skrzyni, którą tu ukryłem i która miała być wabikiem na zachłannego Erlinga. – Władca cofnął się o krok, lekko zaniepokojony. – Jeśli myślisz, że ją wykopię, to jesteś w błędzie. Skarb zostaje w ziemi. Niepotrzebnie ci o nim mówiłem.

– Nie denerwuj się tak, tato. Chciałem się tylko przekonać, czy to na pewno o tę jaskinię chodzi. Bo widzisz, często śni mi się żmija i wydaje mi się, że jest to moja hamingja. Dziwne, prawda? Ma kształt węża, a nie wilka, niedźwiedzia czy kobiety, jak u większości ludzi. I w tym śnie nawet najwięksi i najdzielniejsi drottinnowie uciekają przed tym małym, niepozornym gadem.

Hersir obrócił się i zaczął biec, nie próbując nawet zrobić użytku z wiszącego przy boku miecza. Na starość każdy zostaje tchórzem. Pieśniarz podniósł leżący w trawie saks i z łatwością dogonił grubasa. Obrócił jarla twarzą ku sobie i wbił mu nóż pod pachę. Sztych z łatwością przebił żelazną korę i gładko wszedł w pień ciała. Oba konary próbowały odepchnąć poetę, ale szybko obwisły bezsilnie. Ainar podtrzymał walące się drzewo i spojrzał w dziuple wypełnione żrenicami.

– Dlaczego? – odpowiedział na nieme pytanie władcy, którego nie były w stanie zadać zalane krwią usta. – Dałeś mi córkę za żonę i obietnicę bogactwa. Ale widzisz, węże nie są stworzone do rodzinnego życia, a twoją córkę i tak już miałem. Po co mi zatem żona, jeśli mogę mieć sam posag?

Nóż Ainara ominął serce, więc Haraldowi pozostała jeszcze chwila życia. Skald postanowił zostać z nim do końca. Delikatnie ułożył jarla na ziemi, wyjął jego miecz z pochwy i położył mu go na piersi. Był mu winien to małe oszustwo. Gdy przyjdą po niego dysy, pomyślą, że zginął w boju jak wielki dreng i wezmą go ze sobą do Gmaszyska Zarżniętych. Okup dla Valfuda, który drottin sobie przyszykował, nie będzie mu już potrzebny.

Choć Ainar ich nie zauważył, opiekunki einherjów musiały przyjść od razu, a do tego wyglądały wcale powabnie, albowiem nim hersir skonał, uśmiechnął

się lubieżnie. Skald zamknął mu powieki i zostawił ciało własnemu losowi. Może i był winien drottinnowi ostatnią posługę, ale nie chciało mu się nosić ciężkich kamieni na kopiec godny władcy. Tym bardziej że czekała go jeszcze ciężka praca. Poszedł do jaskini i w jukach konia Erlinga znalazł drewnianą łopatę. Wyszedł na zewnątrz i spojrzął w niebo, by ustalić, z której strony będzie nadchodzić Magni, zabójca olbrzymów, wracając z ich krainy, Jötunheimu. Wiedząc już dokładnie, gdzie leży zachód, ustawił się plecami do Jaskini Żmii i odmierzył w tym kierunku osiemnaście kroków – dokładnie tyle, ile zaklęć znał Göllnir, władca złota. W miejscu, które wskazały mu nogi, zaczął kopać. Pod wieczór łopata zastukała o drewnianą skrzynię. Potrzebował jeszcze chwili, by wyciągnąć kufer z dołu. Kiedy wreszcie się z tym uporał, podważył wieko. Aż usiadł z wrażenia i długo cieszył wzrok nagrodą drengów – monetami z wybitą podobizną konunga Adalsteina.

Skarb rozdzielił do dwóch worków, które wpakował do juków na grzbiecie swego konia. Rannych zostawił własnemu losowi. Niektórzy mieli szansę przeżyć, ale to nie miało dla niego znaczenia. Nie zamierzał wracać w te strony, a jeśli ocaleli rozpowiedzą, co się wydarzyło, tym lepiej. Sławy nigdy dość.

11

Kazanie prawie dobiegło końca. Została tylko ostatnia część pouczenia. Musiał im pokazać, że nawet dla największego grzesznika otwarta jest droga do nawrócenia. Lata wyrzeczeń nauczyły go pokory, ale i tak trudno mu było przyznać się do występków młodości. Wziął głęboki oddech i w myślach odmówił krótką *lorica* – iryjską modlitwę, w której poprosił Wyrozumiałego o odwagę.

– A jeśli trwać będziecie w tych grzechach, nic was nie uratuje przed potępieniem wiecznym. Jeśli nie będziecie znać cnoty ani *Słowa Bożego*, boża

łaska was nie dosięgnie. Myślicie, że nie wiem, o czym mówię? Że nie znam pokusy grzechu? Nie poznajecie mnie, ponieważ w czasach, gdy żyłem w tych okolicach, wy byliście jeszcze w powijakach.

Mnich zobaczył zdziwienie na twarzach zgromadzonych. Wielu uważnie mu się przyglądało, jakby chciało dostrzec na jego twarzy znajome rysy. Kręcili głowami z niedowierzaniem, że ten kulawy starzec może być ich dalekim krewnym czy niegdysiejszym sąsiadem.

– I powiadam wam, że w młodości nie byłem lepszy od was. Zanim popłynąłem do krainy paparów, gdzie nawróciłem się i pobierałem nauki, mieszkałem niedaleko stąd. W Sker. Byłem prawą ręką jarla Erlinga Eysteinsona, przyjacielem jego żony i towarzyszem w jego rozbojach. Wtedy zwano mnie Brodirem Jökulssonem, a mówiono o mnie, że jestem *mikill dreng*, wielkim wojownikiem. Pewnie zapytacie od razu, jeden z drugim, czy znałem Ainara Skalda, tego wiarołomnego nidinga, zdradzieckiego skogarmada i okrutnego mordercę? Tak, mało tego – byłem jednym z nielicznych, którzy przeżyli masakrę pod Jaskinią Żmii. Właśnie od tamtego czasu kuleję.

Munk uniósł habit i pokazał im nogę. Była cała powykrzywiana, jakby kości nie zrosły się równo po złamaniu, a kolano zostało trwale strzaskane. Mnich dobrze wiedział, że taki naoczny dowód znaczy więcej niż tysiąc słów. Niektórzy podeszli bliżej, by dokładnie się przyjrzeć. Kiedy zainteresowanie jego kulasem osłabło, opuścił *munkakufi* i wrócił do opowieści.

– Wielu z was zna tę historię, choć większość jej wersji jest kłamliwa. Ja powiem wam, jak było naprawdę. Najpierw podążałem śladem Ainara, by pomścić śmierć swojego drottinna i... przyznaję to z bólem serca: odzyskać skarb. Potem zrozumiałem jednak, że zemsta nie jest rozwiązaniem. Zostawiłem ją Sprawiedliwemu, porzuciłem myśli o bogactwie i nawróciłem się. Zrezygnowałem z życia doczesnego i przez wiele lat wiodłem żywot ascety w klasztorze paparów. A kiedy starość pobieliała mi włosy na głowie, wyruszyłem na *peregrinatio Kristi* w moje rodzinne strony, by głosić Słowo

Boże, a jeśli Jedyńy pozwoli, doświadczyć *dercmartre*, czerwonego męczeństwa.

Zgromadzeni słuchali uważnie, ale wydawali się trochę zawiedzeni. Munk nie był tym zdziwiony. To byli prości i głupi karlmadowie, którzy niewiele wiedzieli o świecie. Uśmiechnął się z wyższością, ale zaraz spoważniał, przypominając sobie o cnocie pokory.

– Dostrzegam wasze wyczekujące spojrzenia. Pewnie chcecie słuchać o Skaldzie, którego wspominać tu jako bohatera minionych czasów. Oczywiście. Kto nie lubi sag o śmiałych drengach i ich niezwykłych przygodach. Los starego i nieznanego mnicha nikogo nie obchodzi. Myślicie sobie pewnie, że życie spędzone w cnocie i na modlitwie jest mało ciekawe. Może nawet nudne? Ale powiem wam jedno. To ja będę triumfować, radując się jednością z Bogiem. A wiecie, co czeka takich grzeszników jak Ainar? Chcecie poznać zakończenie jego historii?

Pytanie nie było potrzebne. Tłum zbliżył się do mnicha, a niektórym, głównie młodzieńcom, oczy zaświeciły się z ciekawości. Przygody Skalda były z chęcią opowiadane w tych okolicach, ale niewielu poznało ich zwieńczenie. Munk był jednym z nielicznych, którzy na własne oczy widzieli, jak podle skończył Ainar.

– Ten prawdziwy konung ponad grzesznikami zginął tak, jak Wszechmogący przewidział, mówiąc nam w *Piśmie*: „od miecza padnie ten, kto mieczem wojuje”. Osaczony na krańcu świata, wygnany z kraju przodków, opuszczony przez krewnych i przyjaciół, został rozniesiony na mieczach przez *milites Kristi*, rycerzy Pana. Zapewne smaży się teraz w piekielnych płomieniach, a jego duszę raz po raz przeszywa miecz, by nieustannie pamiętał, jak występne życie prowadził.

Mnich poczuł ulgę, wyznając na starość swoje grzechy, których przez lata tak się wstydził. Jeśli jednak jego upokorzenie i hańba mogły pomóc ludziom w nawróceniu, to z całego serca cieszył się, że dane mu zostało złożyć taką ofiarę. Niech to będzie jego pokuta. Wszystko dla chwały Pana. I tak był

wdzięczny Najwyższemu, że dostał dość czasu, aby odwiedzić ziemię ojców i przemówić do pobratymców w języku, którego od tak dawna nie używał.

Zapieкло go w piersiach. Był już stary i słaby, więc takie dolegliwości zdarzały mu się coraz częściej, zwłaszcza gdy był podekscytowany. Nie zamierzał ulegać tej słabości i pozwolić sobie na odpoczynek. Wciąż do wygłoszenia pozostało mu ostatnie pouczenie.

– Pytam was więc po raz kolejny! – krzyknął tak głośno, na ile starczyło mu tchu w piersi. – Czy nawrócicie się? Czy wyrzekniecie się zła i wybieriecie drogę ku zbawieniu? Wybierzcie mądrze i nie zwlekajcie długo, bo nie wiadomo, kiedy Sędzia wezwie was do siebie na rozprawę. Bądźcie jednak pewni, że jeśli zlekceważycie moje słowa i dalej będziecie pławić się w grzesznych namiętnościach i uciechach tego świata, czeka was piekło, gdzie ogień będzie pożerał wasze nieśmiertelne dusze aż do końca świata!

Mnich zwałił się ciężko z piedestału. Trzymał się za serce, nie mogąc złapać oddechu. Ból rozsadzał mu pierś. Wiedział, że nadchodzi koniec, ale czuł się szczęśliwy. Radował się, że umarł, głosząc chwałę Najwyższego.

Nagle ból minął.

Poczuł zapach fiołków.

Wypełniła go ekstaza, gdy połączył się z Jednością.

12

Ogień wesoło trzaskał w palenisku. Ściany i sufit okrągłej halli pokryte były tarczami o różnorodnych kształtach i kolorze. Okrągłe, drewniane i pomalowane w promieniście rozchodzące się pasy wisiały obok żelaznych w kształcie liścia dębu. Te z kolei sąsiadowały z małymi puklerzami i wielkimi prostokątnymi wrogami mieczy. Jedynymi przerwami w tej opancerzonej ścianie były odrzwia dziewięciu wejść do Gmaszyska Zarzniętych.

Na stołach leżały mięsiwa – wszelakie, jakie tylko drengowi mogły się zamarzyć. Pieczone bażanty, przepiórki i kury. Prosiaki oblane miodem wpatrywały się śliwkowymi oczami w baranie uda, cielęce schaby, pieczenie z jeleni i sarn. Głównym daniem był nabity na rożen dzik Saehrimnir, który zawsze od nowa obrastał mięsem, nieważne jak gruby kawałek szynki się ukroiło.

Choć zapach, smak i ilość pożywienia sprawiłyby, że nawet paparski asceta złamałby post, einherjowie jedli niewiele, albowiem zajęci byli pić. A wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, stały puchary z winem, dzbany z piwem, kubki z *acquavita*^[35] oraz naczynia z nabidem. Najznakomitszy trunek wypływał jednak z wymion kozy Heidrun, ustawionej na podeście w samym środku gmaszyska. Była to tylko drewniana rzeźba, ale miód, który nieprzerwanie spływał do ustawionej pod nią misy, był prawdziwy i tak mocny, że przepalał gardło. Kiedyś mieszkała tutaj żywa koza, która pasła się na dachu budynku, zajadając liście boskiego drzewa Laerad, ale jacyś pijani wesołkowie wrzucili ją dla żartu do kotła i ugotowali w jej własnym miodzie. Göllnir, który był właścicielem zwierzęcia, trochę na nich pokrzyczał z tego powodu, ale w końcu dał się udobruchać i sprawił einherjom nową miododajkę. Drewnianą, by nie zdołali jej zjeść.

Ainar wybrał sobie miejsce przy palenisku, jak na węgłozercę przystało. Było tam ciepło, ale nie za gorąco, czyli właśnie tak jak lubił. Gładził rękoma pełne piersi służki i czuł, że znowu budzi się w nim pożądanie. Już miał ją posiąść, gdy zauważył inną dziewczynę, lekko stąpającą w jego kierunku, której rude włosy tylko nieznacznie zakrywały piersi i wcale nie skrywały łona. Podążyła mu kielich z winem i odwróciła się od niego, prezentując jędrną i kształtną pupę. Przyciągnął ją do siebie i ustawił na czworakach.

Przez wszystkie dziewięć drzwi wdarł się do gmachu krzyk. Był tak głośny, że ściany się zatrzęsły, a einherjowie wypuścili kielichy z dłoni. Drengowie dołączyli do niego własne głosy i sięgnęli po broń. Budził się w nich gniew. Wprawdzie Valfud był właścicielem Gmaszyska Zarzniętych,

ale to jego brat, Göllnir, co rano wzywał mieszkańców dworu na bitwę.

Ainar zostawił niewiasty, szybko przywdział kolczugę i nałożył hełm. Nie były mu co prawda potrzebne w walce, podczas której i tak nie mógł zginąć, ale jakoś głupio mu było bić się w samej bieliźnie. Z mieczem u pasa i włócznią w dłoni wybiegł w ślad za innymi z budynku.

U boku innych einherjów walczył aż do wieczora. Pośród zgiełku bitwy wypatrzył jarla Haralda Hakonssona i pozdrowił go uniesionym mieczem. Hersir odpowiedział mu tym samym. Od czasu do czasu w czasie nocnych uczt przepijali do siebie i dawne zatargi puścili w niepamięć.

Ainar przestał liczyć, ile thursów, trolli, jötunów, smoków i wargów zabił w zmaganiach z synami Muspella, z którymi einherjowie potykali się co dzień, doskonaląc się w sztuce walki.

Tak jak każdego dnia, o zachodzie słońca Ainar wrócił do Gmaszyska Zarzniętych po kolejnej wygranej bitwie. Chociaż kilka razy został przeszyty mieczem, zraniony toporem oraz włócznią, po ranach zostały tylko blizny, chluba bohatera.

Dziewki posłusznie na niego czekały z rogiem pełnym piwa i kielichem wina. Nareszcie mógł dokończyć to, co zaczął przed bitwą. Wziął najpierw jedną, a potem drugą. Podobnie jak walka, kobiece ciało nigdy mu się nie nudziło. Nigdy też nie czuł zmęczenia.



Pieśń trupa

1

Przyszli do niego w południe.

Ainar, owinięty w skórę białego niedźwiedzia, siedział przy palenisku i strugał figurkę wilka. Miał to być podarunek dla dwuletniego chłopca, którego ojciec, Gizur Vigfusson, gościł poetę w swoim domu.

Było chłodno i ponuro, jak to wczesnym vetem^[36], kiedy słońce świeci trzy razy krócej niż księżyc.

Po dzisiejszej nocy podejrzewał, że będzie mieć gości. Śniło mu się, że wilki biegają wokół zmi i wyją do księżyca, a *úlfsrödd*, wilcze wycie, zawsze wieszczy kłopoty. Coś mu mówiło, że ten wąż był jego hamingją, a zapijaczne norny na swój nieudolny sposób zsyłały mu ostrzeżenie.

Przybyszów usłyszał na długo, nim ich zobaczył. Rozróżnił trzy głosy. Z łatwością poznał, że ten głęboki i władczy należał do wpływowego bondiego^[37], a dwa pozostałe, potakujące, do thraellów, domowych niewolników. Wszyscy przyjechali konno, co nietrudno było zgadnąć po rzeniu i stukaniu podków o zmrożoną ziemię. Bogacz miał na imię Ospak, co pieśniarz także wyłowił z toczonej na zewnątrz rozmowy.

– Witaj pod moim dachem, zacny Ospaku Glumsonie – powitał przybysza Gizur. Jego głos był oschły i przeczył gościnności deklarowanej słowami.

– Bądź pozdrowiony, roztropny i hojny gospodarzu – odpowiedział gość tonem, jakby z jego ust wypadały kamienie, a nie pochwały.

– Zapraszam do środka.

Ainar usłyszał, że thraellowie pospiesznie zeskoczyli z koni i pomogli zsiąść Ospakowi. Jeden przytrzymał konia za uzdę, drugi podał rękę bondiemu. W nagrodę otrzymali naganę za opieszałość, obietnicę pozbycia się ich na wiosnę i nakaz rozsiodłania wierzchowców.

Drzwi otwały się i do środka wdarł się zimny podmuch wraz z płatkami śniegu. Ainar zobaczył Ospaka. Przybysz był gruby, miał krótką, rudą brodę, płomienne wąsy i ogniste włosy – mocno przerzedzone. Małe, sprytne oczy uważnie rozglądały się po pomieszczeniu, zatrzymując się na dłużej tylko na przygarbionym Skaldzie. Ospak zdjął *röggvarfeldr* – gruby, wełniany płaszcz przypominający futro, uwalniając się przy okazji od bagażu białego puchu. Idąc w ślady gospodarza, podszedł do paleniska i przysiadł na ławie.

Gizur sięgnął po worek wypełniony rozgrzanyymi w ogniu kamieniami i położył go sobie na kolanach. Starość krzywiła mu kości i mroziła krew, ale nawet siedząc i grzejąc się niczym stary pierdziel, prezentował się dostojnie, jak przystało na wpływowego naczelnika okręgu. Mimo pięciu tuzinów przeżytych lat plecy miał proste, był szczupły, a pierś prężył dumnie. Długie, siwe włosy opadały mu na ramiona, a tegoż samego koloru broda sięgała brzucha.

Ainar siedział dokładnie naprzeciw nich, po drugiej stronie paleniska i kociołka, w którym gotowała się zupa rybna.

– Mroźno dziś, choć jeszcze daleko do *miðr vetr*^[38] –niezręczne milczenie przerwał Gizur, którego obowiązkiem było zabawianie gościa rozmową. – Oby sztormy ucichły do *vár*^[39], bo młodzi muszą wiosną opuścić wyspę.

– Taaa – zgodził się Ospak, drapiąc się po rudej brodzie. – Oby śniegi puściły przed *dísablót*^[40]. Zużyłem już połowę paszy przeznaczonej dla zwierząt na zimę.

Poeta nie przestawał rzeźbić. Kończył właśnie głowę wilka – małym kozikiem ostrzył jego zęby. Rozmówcy przyglądali mu się przez chwilę

w milczeniu.

– A jak tam w domu? Żona, dzieci zdrowe? – Gizur próbował wywiązać się z obowiązku.

– Zdrowe.

Skald przeszedł do strugania łąp. Wióry leciały w stronę ognia, który wyciągał po nie zachłanne jęzory.

Gospodarz pogładził siwą brodę i wydał usta, jakby o czymś usilnie myślał. Zwrócił się do Ospaka:

– Przypomniały mi się jesienne walki koni. Przednia to była rozrywka. Pamiętacie tego małego ogiera Eldfjalla? Piękne zwierzę. A pamiętacie tego chłopaka, Bossiego, co to wygrał szczęśliwą kozę?

– Ludzie mówią, że się ożenił i został godim^[41] – wysapał rudy grubas.

– To prawda.

Przez tuzin uderzeń serca przysłuchiwali się wiatrowi szalejącemu na zewnątrz. Belki podtrzymujące darniowy dach zaskrzypiały, być może od zbyt dużej ilości śniegu.

– Mówcie, co chcecie, ale lepsze i tak były zawody zapaśnicze w Vik – przekonywał gospodarz tonem znawcy, chociaż nikt mu nie zaprzeczał, bo nikt oprócz niego się nie odzywał. – Grettir walczył z... no, jak mu tam było... Kalfem i wygiął go tak, że aż mu plecy złamał. A temu drugiemu, Gylfiemu, ścisnął tak mocno łeb, że aż duch z niego uciekł.

– Było na co popatrzeć – zgodził się Ospak z grzeczności.

Ainar skończył już ogon i wprawnymi ruchami nożyka żłobił wcięcia imitujące wilczą sierść. Przysłuchiwał się nudnej rozmowie i nie wtrącał się. Dobrze wiedział, że obaj bondowie nie przepadają za sobą. Powiedziałyby nawet, że się nienawidzą. Ale Gizur był zbyt uprzejmy, by złamać zasady gościnności, a jedną z nich był zakaz pytania przybysza o cel wizyty. Dlatego teraz siedzieli i paplali o niczym, jak baby przy praniu.

– Z pełnym brzuchem lepiej się gada. Może coś zjemy? – zaproponował

gospodarz, klepiąc się po lichych fałdkach tłuszczu pod żebrami.

Burczenie brzucha zakomunikowało Skaldowi, że rzeczywiście zbliżała się pora *dagverðr*, posiłku dziennego. Większość domowników jadła go po zakończeniu pracy, ale że Ainar, jako gość, ani tym bardziej wiekowy Gizur nie ścigali się ze słońcem we wstawaniu i obowiązki pozostawiali niewolnikom, spożywali go około południa.

Zjedli przy stole. Gospodyni postawiła przed nimi miskę zupy rybnej z trzema drewnianymi łyżkami. Polewka smakowała wybornie. Tego samego zdania były cztery tłuste muchy, które wpadły do naczynia, stając się średnio smaczną wkładką.

Po posiłku wrócili na swoje miejsca przy palenisku.

Przez dłuższą chwilę upajali się sytością. Rudobrody poluzował pasa. Widać było, że zmęczył się jedzeniem, gdyż otarł rękawem niebieskiej koszuli spocone czoło. Ainar głośno beknął i zamknął oczy, próbując się zdrzemnąć. Siwy gospodarz wyciągnął ręce w stronę kociołka i grzał zeszywniałe palce.

Pierwszy znudził się Ospak, który oznajmił:

– Być może domyślacie się, po co przyjechałem.

Poeta domyślał się i był pewien, że Gizur też. Wiele się słyszało, zwłaszcza zimą, kiedy opowieści i plotki były główną rozrywką. W Ospakstadir, osiedlu Ospaka, w tajemniczych okolicznościach ginęli ludzie i zwierzęta. Mówiono, że zamieszane są w to siły nadprzyrodzone: trolle, karły, seidmadowie^[42] czy inne szkarady z koszmarów. Takie tam gadanie karlmadów znudzonych odśnieżaniem, zimową głodówką i oziębłością żon. Wyobraźnia prostaków nie ma sobie równych. Najbardziej rozbawiła pieśniarza wersja opowiadana przez podrostków, a nawiązująca do trzech marzeń młodości: pożądania, zabijania i jedzenia – że to mistrzyni trollskap^[43] uwodziła mężczyzn czarami, by ich wykorzystać w swoim łożu, uśmiercić i przerobić na pasztet.

– Wiele mówi się o wydarzeniach z Ospakstadir, ale większość to babskie bajanie – rzekł przybysz, jakby słyszał myśli Ainara. – Prawdą jest jedynie to,

że giną ludzie i mój rogaty dobytek.

– Przykro mi – wyznał Gizur, choć nikogo nie nabrał.

– Nie szukam współczucia! – Ospak podniósł głos, a gniewne spojrzenie, które rzucił gospodarzowi, nie pozostawiało wątpliwości, do kogo kierował słowa.

– Po co więc przyszedłeś?

Gość prychnął kilka razy przez nos jak nadąsana dziewczyna, ale w końcu przełknął drwinę i odpowiedział:

– Słyszałem, że Ainar umie radzić sobie z... niezwykłymi kłopotami.

To zaciekało gospodarza, którego siwe, krzaczaste brwi powędrowały do góry.

– A słyszałeś również o wdzięczności, jaką ludzie darzą go za rozwiązywanie kłopotów?

– Nikt mi jeszcze nie zarzucił, że moja sakiewka jest lekka. Stać mnie na królewską wdzięczność.

Obaj bondowie zamilkli, czekając na odzew poety. Ten naciął po raz ostatni drewno, zdmuchnął z figurki wióry i postawił wilka na ławie. Schował nożyk do pochwy zawieszanej na rzemieniu u szyi. Po raz pierwszy podczas tego spotkania odezwał się:

– Wystarczy tej babskiej szermierki językami. Kłamiesz jak bóg Lopt złapany w sieć, Ospaku. Nie unoś się tignem, bo honoru i tak nie posiadasz... i zostaw ten nóż. Wiem, że to nie od żaru ognia tak się czerwienisz. Siadaj, jak mówię, bo gdy ja chwycę za miecz, już go nie schowam.

Przybysz klapnął z powrotem na ławę i posłusznie zdjął dłoń z rogowej rękojeści saksa. Broń schowana była w przepysznie zdobionej pochwie, która wisiała na pasie przerzuconym przez ramię.

– Mówię tylko, jak jest. Źle jest odmawiać sąsiadowi w potrzebie – warknął.

– Ja twoim sąsiadem nie jestem, a ty zatajasz to, co niewygodne. Chcesz

pomocy, to powiedz wszystko od początku. Przecież sam dobrze wiesz, że jesteście nawiedzani przez drauga. Inaczej nie szukałbyś pomocy u skalda.

– Ja się przesadami nie zajmuję. Ktoś po prostu zabija mi ludzi i kradnie bydło. Nie trzeba od razu szukać winnych w zaświatach. Mało to na Island – Lodowej Wyspie – wielbicieli cudzej własności?

– Skoro tak, zgłoś sprawę na thingu, wiecu tej ziemi. Wtedy na pewno skrzyknie się kilku drengów i rozprawi z włóczęgami.

Ospak utkwiał wzrok w popiele. Pomruczał, pomarszczył brwi, powykrzywiał usta. Duma walczyła w nim z przekonaniem, że sam nic w tej sprawie nie zdoła. W końcu duma przegrała.

– Może i jest to draug – przyznał zrezygnowany – ale zrozumcie... Krewni, karlmadowie i niewolni thraellowie boją się wieczorami wychodzić z domu, a wielu ucieka, porzucając dobytek. Gdyby dowiedzieli się, że nawiedza nas żywy trup, nikt nie zostałby bronić moich włości! Lepiej, aby myśleli, że to banda zbójów.

– Nie obchodzi mnie, co myślą twoi ludzie. Jeśli mam ci pomóc, muszę wiedzieć, kim za życia był draug i gdzie został pochowany.

– Powiem wszystko. Tylko zaklinam was na trolle tych gór i alfy tych dolin^[44], nie mówcie o tym nikomu!

Gizur i Ainar skinęli głowami. I tak nie byli plotkarzami.

– Dobrze. Minionej wiosny kupiłem thraella o iryjskim imieniu Brian. Był to silny łotr, a do tego niebrzydki, tak że kobiety rumieniły się, gdy na nie spoglądał. Zapewniono mnie, że jest pracowity i zna się na koniach, choć było to tylko w połowie prawdą. Ogiery rzeczywiście jadły mu z ręki, ale leniwy był tak, że co rano musiałem go budzić cebrzykiem zimnej wody, a co wieczór ćwiczyć różgą, by zapamiętał obowiązki na dzień następny. Przeklęty kolbit, węgłożerca. Obijał się przez całe lato i większość jesieni, krnąbrnie odporny na moje razy, aż którejś burzowej nocy zniknął.

– Zniknął? – nie dowierzał Gizur.

– Ano zniknął. Wichura szalała wtedy straszliwa, drzewa łamała, dachy zrywała. Słysząc było zawodzenie umarłych i wycie trolli. Magni rozwalał łby jötunów kamiennym młotem i sikał deszczem na ziemię. Wiedźmy latały na piorunach. Wszyscy o zdrowych zmysłach siedzieli w domach, prosząc Rudobrodego Boga o grid, a ten niedołęga postanowił iść na spacer! W taką pogodę! Wybiegł i już nie wrócił.

– Był niewolnikiem. Może uciekł? – dopytywał się siwy mąż.

– Może i uciekł. Ale niedaleko. Szukaliśmy go potem kilka dni, aż w końcu mój syn znalazł go w lesie, przykrytego liśćmi i gałęziami naniesionymi przez wiatr. Był martwy, cały siny i śmierział. Próbowaliśmy go przenieść i usypać mu mogiłę, ale nie daliśmy rady. Trup był tak ciężki, że we czterech nie mogliśmy go podnieść. Pochowaliśmy go więc na miejscu.

– Zabity przez *andi*, złego ducha obudzonego przez burzę. Musieliście podejrzewać, że może powstać z martwych – zawyrokował Skald. – Zrobiliście tak, jak obyczaj nakazuje?

– Tak. Wykopaliśmy dół i sturlaliśmy go do środka. Na piersi położyliśmy ogromny głaz, by nie mógł wstać. Oczy zakryliśmy szmatą, by złe oko nikomu nie zaszkodziło. Potem przysypaliśmy go ziemią i kamieniami.

– Hm. – Ainar zamyślił się. – Zwykle to wystarcza. Ale lepsze byłoby ucięcie głowy albo spalenie.

– Ale to był tylko zwykły niewolnik, a nie potężny dreng. Jak nędzny thraell mógł zamienić się w potężnego drauga?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi.

– W każdym razie – bondi ciągnął opowieść – po tym, jak zabił pierwszych ludzi, nająłem kilku thegnów^[45], by rozprawili się z tymi... hm, zbójami. Żaden nie wrócił. Wtedy przypomniały mi się opowieści starej niańki, że tylko skald może namówić drauga do pozostania w ziemi.

– Poezja nie zna granic śmierci, bo sama nie pochodzi ze świata śmiertelników.

- Więc jak? Pomożesz?
 - Muszę się zastanowić.
- Ciężka sakiewka zabręczała u stóp Ainara.
- Masz dar przekonywania.

2

Drugiej nocy miał ten sam sen. Zmija osaczona przez wilki.

Tym razem goście zjawili się rano, a przyjechali saniami – od wczoraj zdążyło porządnie napadać, więc był to teraz najwygodniejszy środek transportu. Przybyszów było dwóch – jeden wysoki, szczupły i jasnowłosy, drugi niski, gruby i ciemnowłosy. Obaj w średnim wieku, z zaznaczonymi zakolami i rzedniejącymi włosami.

- Zwą mnie Bruni Guthbrandsson – powiedział jasnowłosy, strząsając śnieg z głowy.

- A mnie Kari Ingisson – dodał ciemnowłosy, zrzucając biały puch ze spodni wprost na suchą podłogę Gizura.

Tym razem pójdzie szybciej – pomyślał Ainar. Jak co dzień siedział przy palenisku i rzeźbił. Tym razem miał to być żuraw. Gdy osobliwa dwójka wprosiła się do domu Gizura i przysiadła przy kociołku u boku gospodarza, kończył właśnie szyję ptaka i zabierał się do tułowia.

- Słyszeliśmy, że zbratałeś się z Ospakiem Glumsonem – powiedział chudzielec, nie marnując czasu na grzeczności. Spodobało się to Skaldowi, który lubił samodzielnie planować marnowanie własnego czasu.

- Ani on mi bratem, ani fostrim – oznajmił i szeroko ziewnął. Był znudzony swoją przenikliwością, która nie zostawiała miejsca na niespodzianki. Wiedział, że w każdej sprawie istniała druga strona, niezadowolona z postępowania tej pierwszej. Wystarczyło poczekać, a obie się ujawnią.

– A jednak chcesz mu pomóc, jak bratu, uwolnić się od kłopotów – oskarżycielsko dodał grubasek.

– Nie wasza sprawa, komu pomagam.

– Nasza! – krzyknęli równocześnie, po czym chudzielec, już ciszej, ciągnął:
– Wszystko, co dzieje się w Arnessysla, jest naszą sprawą.

– Jestem Austmadem^[46], Człowiekiem ze Wschodu. Sprawy waszego okręgu mnie nie obchodzą.

– A jednak mieszasz się w nie!

Nie odpowiedział. Nie chciał się kłócić. Mieszkańcy Lodowej Wyspy mieli ogień we krwi, a spory o wpływy w każdym jej regionie przeradzały się w rodowe waśnie, a nawet kilkuletnie wojny. Wprawdzie kłótnia byłaby dla niego jakąś rozrywką, rozjaśniającą ten krótki i ciemny zimowy dzień, ale wolał najpierw usłyszeć, z czym przybyli. Na wadzenie się zawsze będzie czas.

– Nie przyszlście tu chyba rozwodzić się nad władzą w okręgu – wtrącił się do rozmowy Gizur, widząc, że wymiana zdań zmierza w niepożądanym dla wszystkich kierunku. Tego poranka gospodarz zrezygnował z ogrzewania się workiem kamieni, zamiast tego siedział owinięty futrem z białego niedźwiedzia. – Mówcie, z czym przychodzicie. Mój *mikill vinr*, wspaniały przyjaciel, nie lubi, gdy zaprzęta mu się głowę błahostkami.

Skald uśmiechnął się. Gospodarz dobrze go znał. W końcu nie po raz pierwszy wspólnie zimowali. Odkąd kilka lat temu uratował jego córkę przed zalotami nachalnego hamramira, Gizur nie mógł mu odmówić gościny. Nie odwrócił się od niego także i tego roku, kiedy w Östlandzie Ainar został skazany na banicję za zabicie dwóch wpływowych jarłów i musiał szukać schronienia na Lodowej Wyspie.

Chudzielec i grubasek popatrzyli po sobie i kiwnęli głowami. Ten pierwszy, bardziej wygadany, zwrócił się do poety:

– Słyszeliśmy, że jesteś człowiekiem czynu. Nie zabierzemy ci dużo czasu.

Z pewnych źródeł wiemy, że zgodziłeś się pozbyć utrapienia Ospaka.

– Powiedzmy, że wysłuchałem jego opowieści. Jestem skaldem, muszę umieć słuchać.

Ainar przerwał rzeźbienie i dotknął nożem ucha. Już dawno się nauczył, że gesty są ważne, bo bardziej działają na wyobraźnię rozmówcy niż słowa. Wrócił do zabawy z drewnem i wyźłobił zarys skrzydeł żurawia.

– Akurat propozycji Ospaka słuchać nie warto, bo są to słowa kłamcy! – oburzył się Bruni. – Pewnie próbował ci wmówić, że cierpi z powodu bandy włóczędzów? Chyba nie dałeś się nabrać?

– Mnie nie tak łatwo oszukać. Jestem *óðar smiðr* – kowal, który zamiast żelaza, ugniata słowa. Znam się na kłamstwach.

– Jeśli twoja sława jest choć w połowie prawdziwa, to giętkością języka możesz się równać z samym Göllnirem – polechtał go Kari. – Wiesz już zatem, że utrapieniem tego höfdinga^[47], który rości sobie prawo do władzy nad regionem, nie są żywi, ale umarli. A właściwie tylko jeden z nich.

Grubas udawał, że dobrze znosi zimno, więc jako jedyny z obecnych siedział w samej koszuli. Zdradzała go jednak gęsia skórka na dłoniach, której próbował zaradzić, przysuwając się do ognia. Zdjął płaszcz tylko po to, by babskim zwyczajem pochwalić się zieloną koszulą haftowaną złotymi nićmi. Chciał dać wszystkim, a może tylko Ainarowi, do zrozumienia, że jest bogaty i stać go na wynagradzanie swoich sprzymierzeńców.

– A podobno natura kłopotów Ospaka jest owiana tajemnicą? – zadrwił Skald. Już samo to, że Kari i Bruni przyszli się z nim rozmówić, zdradzało, że dwójka bondów domyślała się prawdy.

– Nie obrażaj nas, Austmadzie – ostrzegł go chudzielec. – Tylko głupi Ospak myśli, że ludzie wierzą w jego zapewnienia. Każdy z głową na karku wie, że tylu morderstw i zniszczeń nie dokonałby żaden śmiertelnik. Zresztą co to za włóczędzy, którzy niszczą, a nie kradną? Żaden z jego sąsiadów nie odważyłby się też prowadzić z nim otwartej wojny. Poza tym pod groźbą

wygnania wszyscy przysięgli na ostatnim Althingu^[48] przestrzegać zimowego pokoju. Nie. Ludzie w nocy słyszą pohukiwania i zapewniają, że w Ospakstadir hula nie tylko wiatr, a tamtejsze dachy uginają się nie tylko od padającego śniegu. Mamy do czynienia z draugiem, i to potężnym.

– I zapewne wy, dobrzy sąsiedzi, wiedzeni sąsiedzką troską, przysłuchacie się mi, żebyście udzielić mi rady, jak mam zgładzić tego drauga. Czekałem więc – Skald udawał naiwnego.

Goście ponownie popatrzyli po sobie, lekko zmieszani.

– Tak. Zgładzić truposza należy bez wątplenia – zgodził się chudzielec takim tonem, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. Jego powieka zaczęła drżeć. – Ale czy koniecznie od razu? Przecież mamy porę vetu. Nie lepiej grzać się przy ogniu i poczekać, jak sprawy się ułożą?

Ainar uniósł pytająco brew. Nareszcie dochodzili do sedna.

– Bo widzisz – podjął grubas – Ospak jest wrzodem na tyłku naszej społeczności. Powie ci to nawet twój gospodarz. To niding, kłamca, skąpiec, tchórz, człowiek gniewny i pamiętliwy. Powiązany był z wieloma spiskami, morderstwami, kradzieżami i zajęciami cudzego mienia. Zawsze wymiguje się w rozprawach wytoczonych przeciwko niemu na Althingu, bo jego szwagier jest lögsögumadem^[49], a na dodatek zawsze otacza się zgrają bitnych łotrów. Wielu w naszym okręgu cieszyłoby się, gdyby ten draug jeszcze trochę go postraszył i zmusił do opuszczenia tych ziem...

– A przed ucieczką sprzedania wam owych ziem za bezcen? – przerwał mu pieśniarz. Skończył już rzeźbić i ustawił żurawia obok figurki wilka.

Grubasek splunął na ziemię, a chudzielec zaczął tarmosić brodę. Nie bardzo wychodziło im udawanie, że składanie tej niegodnej drenga propozycji sprawiało im trudność. Ainar wiedział, że zestrzelił pszczołę w locie.

– Cóż z tego, że trochę zarobimy, zrywając tę pijawkę z żyły naszej społeczności? Przecież i ty na tym nie stracisz – zapewnił gruby Kari.

Sakiewka wylądowała u stóp Ainara.

– To tylko za zwłokę – wyjaśnił chudy Bruni. – Gdy przyjdzie wiosna, a Ospak sprzeda ziemię, dostaniesz drugie tyle za posiekanie drauga.

– Macie dar przekonywania.

3

Szarość, wszędzie szarość. Jakże bym chciał rzucić okiem na biel zsiadłego mleka, na żółć sera, na brąz kielbasy, na czern pieczonej kaszanki, na czerwień soku z jeżyn. Rozpamiętuję widok płaczącej wierzby, schylonej w ukłonie w stronę jeziora, zanurzającej w aksamitnej wodzie dolne gałęzie, sięgającej górnymi konarami błękitu nieba, której liście odbijają promienie południowego słońca, której pień jest schronieniem czarno-białego dziecięcia z czerwoną czapeczką, dwóch rudych wiewiórek i czterech niebieskoskrzydłych sójek zza morza, a cień daje podróżnym osłonę przed spiekotą. Przypominam sobie drewniany młyn w otoczeniu domków o darniowych dachach. Wysoki, dostojny, stawiający wyzwanie dziełom przyrody, którego koło jest obracane przez rwący nurt rzeki, do którego dzierżawcy przywożą wory pełne złotego ziarna, a wywożą słód na jasne piwo i białą mąkę, i gotowe bochny ciemnego, czerstwego chleba. Wszystko to jednak blednie przy wspomnieniu czerwieni ust mojej Halldory.

Wstaję, opuszczając ziemię, która jest tak miękka, puszysta, wygodna. Szczelnie przylega do mego ciała, kołysze mnie do snu niczym matka, chroni przed wilkami niczym ojciec, grzeje w chłodne dni niczym kożuch, chłodzi w upały niczym piwo, osłania przed światłem niczym kaptur. Ach, jak bym chciał w niej zasnąć na wieki i zapomnieć. Zapomnieć o bólu, cierpieniu, o ranie na plecach i przebitym sercu. Przestać tęsknić za smakiem ust mojej Halldory.

Krocząc przez las, wspominam dzień, w którym leżeliśmy na łące. Ja nagi,

ona naga. Przytuleni, wsłuchani w bicie swoich serc, chłonęliśmy ciepło naszych ciał, pozwalając, by namiętność powoli opuszczała nas po spełnionej miłości. Rozmawialiśmy o błahostkach. Gdy się śmiała, odrzucała głowę do tyłu, smagając powietrze kruczoczarnymi włosami, na jej policzkach pojawiały się dołeczki, a w oczach wesołe iskierki i łyzy szczęścia. Gdy się smuciła, jej dolna warga wibrowała jak źdźbło podczas wichury, nosk rozszerzał się i zwęzał jak u prosiaczka, brwi marszczyły się i wyginały ku górze. Wszystko to zostało mi odebrane. Nie zobaczę już mojej Halldory.

Przedzieram się przez zasy, przeciskam między drzewami i gniewam się. Myśleli, że ten ciężki, szary głaz zatrzyma mnie w grobie, w mojej mogile, w tym żalonym kopcu. Mnie, Briana mac Congalacha z rodu Ui Neill^[50]. Już pierwszej nocy po przebudzeniu zgmiotłem kamień w rękach i wygrzebałem się z ziemi, chłonąc promienie księżyca, słuchając pohukiwania sowy. Tej nocy siedziałem na deszczu, próbując płakać. Łzy nie chciały lecieć. Nie ukończyły mego żalu, mojej rozpacz, mojego smutku. Po kolejnym wschodzie księżyca poszedłem zabijać, mordować, rozszarpywać, siać zniszczenie. Dzisiejszej szarej nocy zrobię podobnie. Będę karać zbrodniarzy, którzy odebrali mi zapach włosów Halldory.

Powłóczę nogami w stronę Ospakstadir. Zwierzęta uciekają przede mną, ludzie zamykają okiennice i zaryglowują drzwi. Nikt nie chce ze mną porozmawiać, nikt nie rozumie mojego pohukiwania, wszyscy brzydzą się dotyku. Niegdyś dla dźwięku mojego głosu, dla pieszczot dłoni, Halldora wpadała w me ramiona.

Nadciągę z zemstą, choć grobowe postanie woła mnie z powrotem. Nie pora jeszcze na sen, na wieczny spoczynek. Dopóki tutejsi askmadowie^[51], niegodziwi grabieżcy i gnębiciele niewolników, nie popadną w nędzę i niesławę, dopóki ich krewni, przyjaciele i sąsiedzi nie wyrzekną się ich, dopóki ich ręce nie zrobią ostatniego gestu, dopóki ich piersi nie oddadzą ostatniego tchnienia – nie zaznam spoczynku, nie złożę pocałunku na ustach

mojej Halldory.

Dzisiejszej nocy zabiję gniadego ogiera. Wypruję flaki, uduszę jelitami, połamię nogi, rozerwę na strzępy, wypiję krew. Tamten najpodlejszy z askmadów lubił swoje konie, dbał o nie lepiej niż o ludzi. Będzie cierpiał, będzie płakał, będzie się bał, gdy rano znajdzie głowę ulubionego ogiera na swoim progu. Będzie tęsknił za gniadoszem, jak ja za uśmiechem Halldory.

Słyszę muzykę z oddali. Słodko-gorzka melodię piszczałek, zagłuszającą śpiew skowronka, wycie wilka, pohukiwanie sowy. Dobiega zza moich pleców, z mojej mogiły. Przypomina mi o kwitnącej jabłoni, skąpanej w słońcu i osaczonej przez pszczoły, o dojrzałych jabłkach, na których czerwień wygrała z zielenią, o przejrziałych, gnijących owocach zjadanych przez robaki i o małych pąkach jabłoni. Przypomina mi o obietnicy złożonej Halldorze.

Myślę, że to musi być ona! Odnalazła drogę do mojego łóża i przyszła dać mi ukojenie! Zawracam. Zemsta może poczekać. Już biegnę, najdroższa Halldoro! – wołam, a wiatr porywa moje pohukiwanie i zwraca mi je echem.

4

Gdy draug wylazł z mogiły, Ainar obserwował go zza drzewa. Ledwo powstrzymywał się przed wymiotami. Śmierdziało zgnilizną.

Truposz był wysoki i wyglądał na silnego. Tylko część robaków odpadła od niego, gdy zaczął iść. Kilka żeber przebijało się przez wysuszoną skórę, zwały mięśni i resztki koszuli na plecach. Na lewym podudziu ciało prawie całkowicie odeszło od kości. Pojedyncze włosy sterczały w nieładzie na pomarszczonej głowie. Chodzącemu umarłemu towarzyszyła lekka niebieskawa poświata, tak że zwłoki były dobrze widoczne nawet w ciemności. Nikt tak dokładnie nie wiedział, czy draugowie to tylko ożywione trupy, czy widma przybierające postać gnijącego ciała.

Skald pozwolił mu odejść. Ze zmarłymi najlepiej rozmawiać o północy, a do tej pozostało jeszcze trochę czasu.

Gdy truposz zniknął mu z oczu, pieśniarz poszedł obejrzeć mogiłę. Kopiec nie był wysoki. Sięgał mu zaledwie do piersi, a i to tylko dlatego, że pokrywała go gruba warstwa śniegu, która upodabiała go do lodowych domków, jakie podobno budują mieszkańcy śnieżnego królestwa Snaera. Od północnej strony w stercie ziemi, kamieni i śniegu znajdowało się wąskie wejście wydrążone przez trupa. Skald zrzucił płaszcz, ściągnął pas z mieczem i wczołgał się do otworu. Tunel prowadził ukośnie w dół, wprost do komory. W grobie było sucho, ciepło, ciasno i choć wydawało się to niemożliwe, śmierdziało jeszcze bardziej niż od drauga.

W panującym tu mroku Ainar zaczął macać ziemię wokół siebie. Miał nadzieję znaleźć miecz drauga, gdyż trupiej broni uroki się nie imały. Ale Ospak musiał go okłamać, zapewniając, że pochowali thraella z mieczem, bo zamiast ostrza natrafił tylko na robaki i jakąś tkaninę. Wściekły, zacisnął palce na materiale i wygramolił się na zewnątrz, nogami do przodu.

Wciąż miał sporo czasu. Ubrał się, pozbierał swoje rzeczy i wdrapał się na szczyt kopca. Usiadł tak, by wejście do mogiły mieć pod nogami.

Przyjrzał się materiałowi, który wciąż ścisnął w dłoni. Był to czerwony szal z wytwornej tkaniny. Kiedyś, zanim stał się brudną szmatą, musiał być ozdobą jakiejś kobiety.

Robi się coraz ciekawiej – pomyślał. – Thraell miał przy sobie ten szal w chwili śmierci. Poeta domyślił się, że to nim zakryto trupowi głowę. Tylko skąd u niewolnika tak cenna tkanina? Był kochankiem właścicielki szala czy po prostu złodziejem?

Gdy księżyc stał już wystarczająco wysoko, Ainar wyciągnął z sakwy u pasa flet i zaczął grać wesołą melodię, którą usłyszał w kraju paparów. Miał nadzieję, że ona przypomni draugowi o zamorskim domu i powstrzyma jego krwiożercze zapędy.

Nie czekał długo.

Trup nadszedł od strony Ospakstadir. Poruszał się niezdarnie, jakby próbował biec, ale ubytki mięśni w lewej nodze utrudniały jej zginanie i w efekcie draug mógł ją tylko powłóczyć. Gdy truposz zauważył Skalda, zatrzymał się. Wydawał się zdziwiony, jakby spodziewał się ujrzeć kogoś innego. Ale muzyka najwyraźniej mu się podobała, gdyż zaczął się kiwać w przód i w tył. Gdy poeta skończył grać, draug przemówił:

To nie jest Halldora, to nie jest kobieta.

Kim jest ten wojownik, który na mnie czeka?

Białawe ma włosy i kanciastą gębę.

Na grobie przygrywa i gapi się wrednie.

Ainar spodziewał się czegoś takiego. Umarli nie umieli kontaktować się z żyjącymi inaczej niż za pomocą poezji. Również tylko strofy potrafili zrozumieć. Miał już przygotowaną odpowiedź w miarze *galdralg*, którą powszechnie uważano za odpowiednią na rozmowę z trupem.

Królów obręczami

obdarowany,

kruków karmiciel.

Słowa składa

lausavisy układu.

Skald nad skowronkami.

Chwilę trwało, zanim draug odpowiedział. Ainar już zaczynał się martwić, że ma do czynienia z bezmózgim trupem, który umie rymować, ale nie potrafi słuchać.

Czy on jest truposzem, czy on mnie usłyszy?
Mowę zna umarłych, choć pierś mu wciąż dyszy.
Nie jest on Halldorą, zabić go więc muszę,
głupi ten poeta, odczuje katusze.

Tak jak pieśniarz się obawiał, rozmowa zapowiadała się na długą. Jak większość umarłych, także ten myślał chaotycznie i stosował przedziwne stopy poetyckie. Poeta miał wątplą nadzieję, że przynajmniej nie trafił mu się okaz rozczulający się nad własnym losem. Nie ma nic gorszego niż tkliwy i płaczący trup.

A jednak dowiedział się czegoś nowego. Halldora była osobą, która musiała wiele dla niego znaczyć. Być może była nawet właścicielką szala.

Tym razem spróbował miary *málaháttir*. Miał nadzieję, że zwięzła forma pięciosylabowca łatwiej dotrze do potwora. Słysząc było zresztą, że draug ma słabość do stałej liczby sylab.

Zna bitewny zgiełk
poezji znawca,
Choć pytać chce, nie
za bary chwytać.
Zagadkę zadać
problem twój zbadać,
drogę do domu
wskazać draugowi.

Tym razem nie musiał długo czekać.

Podstęp w tym dostrzegam, nędzną twą ciekawość.
Trzy zadaj zagadki, dam ja ci zadość,

pobić się zdążymy, przyjdzie na to pora.
Zagramy w zagadki, jeśli skald podoła.

Ainar zaryzykował spojrzenie w oczy drauga. Zobaczył w nich niebieski ogień. Szybko spuścił wzrok. Złe oko mogło dosięgnąć i jego.

Pięciosylabowiec najwyraźniej leżał umarłakowi. Dalej więc składał wersy w malahacie.

Ukradkiem jej skradł
szkarłatny szalik,
Halldora kim jest,
hagr wiedzieć chce.

Hag, czyli biegły w poezji, jak pieśniarz lubił sam siebie nazywać, był dumny ze swoich wersów. Powoli strofy zaczynały układać się w całość. Później pomyśli, czy nie zrobić z nich flokku, kompletnego utworu. Szkoda by było zmarnować tak piękne aliteracje i wyszukane kenningi.

Draug tak mu odparł:

To ma ukochana, lecz żona innego.
Za miłość dostałem nożem zazdrosnego.
Zabijam i niszczę, nie znając wytchnienia,
by w końcu odnaleźć okruch zapomnienia.

Znów brak dokładnych wiadomości. Musiał się dowiedzieć, czyją żoną była Halldora i co się z nią stało.

Pchnął pugiuałem,
płuco przebiwszy,

mężny ten mściciel
mężowskiej dumy.

Na ramieniu truposza usiadł kruk, dziobnął go w szyję i odleciał z kawałkiem ciała w dziobie. Draug, zajęty wymyślaniem odpowiedzi, nie poświęcił ptakowi nawet spojrzenia.

Zagadka twoja jest bardzo łatwa.

Imię tchórza nosi jego dziatwa.

Ospak to niding i wróg odwagi,
żonie i thraellom rozdawał lagi.

Ainar zauważył, że tym razem draug pomylił się w liczeniu sylab. Choć miał zacięcie poetyckie, trup nie był jednak prawdziwym skaldem. Pieśniarz rzekł, wsłuchując się z zadowoleniem w rytm swojej strofy, przypominający miarowy odgłos wioseł uderzających o fale:

Znikła jak zjawa
zdradziecka luba,
która kochanka
tęsknotą kara.

Draug zaatakował.

Ainar zaklął. Popełnił błąd. Trup chyba rzeczywiście czuł się zdradzony przez Halldorę. A on, jak ostatni głupiec, mu o tym przypomniał i to zanim dowiedział się, co stało się z kobietą.

Umarłym nadal władały ludzkie uczucia: tęsknota i nienawiść. Ożywiały martwe ciało i dawały nadludzką siłę. Skald wiedział o tym, ale i tak się dziwił, jak trup o gnijących mięśniach, który większość swojego nieżywota przeleżał w ziemi, może być tak szybki i zwinny. Przecież gdy nie ćwiczy się

mięśni, te wiotczeją i tracą siłę. Gdy dreng zaniedba się w zimie, w lecie zawodzi go sprawność i ginie na wyprawie.

Trup nie boi się śmierci, dlatego walka z nim nie przypomina pojedynku z jakimkolwiek innym przeciwnikiem. Podczas gdy każda żywa istota, może z wyjątkiem hamramirów, stara się nie tylko atakować, ale i bronić, draug nie dba o swoje martwe ciało. Naciera, nie zważając na razy. Jego szaleńcza odwaga ma jeszcze jedną przyczynę. Złe oko, które sprawia, że wszelka ludzka broń staje się wobec potwora bezużyteczna.

Zwłoki, zwinne niczym Brian za swego życia, w mgnieniu oka znalazły się obok Skalda.

Ainar podejrzewał, że to i tak na nic, ale dobył miecza. Sieknął drauga w lewe ramię. Ku jego zdziwieniu miecz ukąsił. Życiodajna krew, która już dawno zakrzepła w trupie, nie trysnęła. Trup popatrzył na ostrze tkwiące w ranie, jakby od niechcienia chciał sprawdzić, co się stało. Na moment miecz rozblysnął niebieskim światłem.

Skald wyszarpnął żelazo i wyprowadził kolejne cięcie, mierząc w prawy bok. Tym razem, tak jak się obawiał, ostrze odbiło się od zgnilizny, nie pozostawiając na niej śladu. Miecz został stępiony czarami. Poeta odrzucił go i pognął na drugą stronę kopca, gdzie tuż po zachodzie słońca schował zapasowy oręż – grubą pałkę oparł o mogiłę, a Gryzącego Kamień owinął w grube szmaty i przykrył ziemią oraz śniegiem.

W biegu chwycił lagę, odbił się z prawej nogi, wykonał półobrót w powietrzu i trzasnął w łeb ścigającego go trupa. Ten zatrzymał się i potrzęsął głową. Trzy ostatnie zęby, które mu pozostały, teraz spadły w śnieg. Ainar poprawił maczugę w ramię i brzuch, a potem znów zaczął uciekać. Zwłoki ruszyły za nim.

Tak wykonali tuzin okrążeń. Po każdym trzech Ainar zmieniał kierunek biegu na przeciwny. Co jakiś czas zatrzymywał się i lał umarłego pałką tak mocno, że aż kości trzeszczały. Uważał przy tym, by nie patrzeć przeciwnikowi w oczy. Za każdym razem udawało mu się umykać przed gnijącymi ramionami,

ale szybko się męczył. Okrążenia były krótkie, lecz składały się z jednego niekończącego się zakrętu na stromiźnie, który wymagał biegu na ugiętych nogach. Ten wymóg powodował również, że draug, który nadal miał problem ze zginaniem lewej nogi, ślizgał się na śniegu. Poeta był pewien, że na prostej i równej drodze trup dopadłby go w kilku susach.

Kiedy po raz dwunasty dobiegli do wejścia, Ainar zatrzymał się zziębnięty. Odwrócił się i złamał pałkę na czerepie umarlaka. Tym razem nie zdołał wymknąć się z jego ramion. Truposz chwycił go w niedźwiedzi uścisk, przytulił i wyśpiewał do ucha:

Pozbawiony bitewny pień pałki,
uspokoi uciekiniera mój uścisk.

Bitewny pień, jak go poetycko przezwał trup, skrzywił się ze zdziwienia, bólu i obrzydzenia. Nieudolnie, bo nieudolnie, ale draug nauczył się układać lausavisy. Poeta wolałby jednak, by trup już się nie odzywał. Każde poruszenie jego sinych warg uwalniało falę smrodu nie do wytrzymania.

Z ust stworza wylał włochaty pajak wielkości dziecięcej pięści i przysiadł na resztkach zgniętego nosa. Ainar nienawidził pajaków. Zamknął powieki w obawie przed złym okiem, odchylił głowę do tyłu i walnął umarlaka z czółka. Rozpłaszczony ośmionogi robał i chrząstki nosa wbiły się w głąb czaszki przeciwnika, pozostawiając trójkątną dziurę. Na trupie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Choć Skaldowi wydawało się to niemożliwe, draug ścisnął go jeszcze mocniej.

Na szczęście nieżywy kiepsko znał się na zapasach. Miał straszliwą krzepę, ale umiał ją wykorzystać tylko w najprostszym, wyuczonym za życia sposobie – „chwycić i nie puszczać”. Dlatego nie zareagował, gdy Skald objął go przedramionami w pasie, uniósł i przewrócił się wraz z nim na lewy bok.

Ainar lubił się chełpić swoją biegłością w zapasach. W dzieciństwie, kiedy rówieśnicy i starsi wytykali mu nieróbstwo i nazywali kolbitrem, dużo czasu

spędził, grając w *knattleikr*. Wszyscy chcieli go mieć w swojej drużynie nie tylko dlatego, że dobrze łapał i wybijał piłkę, ale dlatego, że był mistrzem w powalaniu przeciwników. W dorosłym życiu często wykorzystywał nabyte wówczas umiejętności. Tak było i tym razem.

Upadając, przytulił się mocniej do trupa i nieznacznie wychylił do przodu. Dzięki temu większą część siły uderzenia przyjął bark drauga, a obaj przetoczyli się po śniegu w taki sposób, że Ainar znalazł się na górze. Skald cały czas zaciskał powieki, ale wzrok nie był mu teraz potrzebny. W odruchu wyniesionym z dzieciństwa wymacał szyję wroga i zacisnął na niej palce. Nie łudził się, że duszenie poskutkuje na nieoddychającego przeciwnika, ale miał nadzieję, że zdoła zmiażdżyć mu krtań i skrócić kark.

Draug był jednak za silny. Choć po upadku na chwilę rozluźnił uścisk, teraz znów objął plecy człowieka i z łatwością przyciągnął go do siebie. Następnie wykorzystując swoją surową siłę, obrócił się, przygniatając człowieka do śniegu.

Poeta był zmuszony puścić szyję truposza i przejść do obrony. Wykręcił się i założył nogę za jego głowę. Naparł i po chwili siedział okrakiem na draugu, okładając go pięściami po głowie. Tamten nic sobie z tego nie robił i z łatwością ponownie przytulił pieśniarza, po czym obrócił go, wgniatając w śnieg i błoto. Ainar zdołał się wszakże rozbijać i znów znalazł się na wierzchu. Jednak po chwili powtórnie musiał ulec tężyznie wroga i zniknął pod zwłokami.

Przez jakiś czas tarzali się tak po śniegu, zamieniając się pozycjami. W końcu poeta zmienił sposób walki. Przekręcił się tak, by mieć trupa na plecach. Gdyby siłował się z wprawnym zapaśnikiem, ten zapewne próbowałby mu wtedy założyć dźwignię na głowę, ale umarły nadal trzymał go i nie puszczał. Skald zgiął kolana, przechodząc do pozycji „na czworakach” i rzucił się w bok. Trup wylądował plecami na śniegu. Ainar pomyślał, że być może to nie był dobry pomysł. Draug ścisnął go pod brzuchem tak mocno, że żołądek podszedł człowiekowi do gardła. Z trudem zdołał się obrócić twarzą

do przeciwnika, unieść, na krótko oswobodzić się z uścisku i usiąść na nim okrakiem. Tym razem nie próbował walić go po głowie, ale obrócił się i chwycił go za nogę. Założył dźwignię i napierał tak długo, aż kolano wygięło się w drugą stronę. Nie zdołał go jednak wyłamać. Umarlak sięgnął po poetę łapami i znów pociągnął ku sobie, tuląc do piersi jak matka karmiąca niemowlaka. Skald ponownie znalazł się na śniegu.

Zrozumiał, że w ten sposób nie wygra. Wcisnął kolana pod brzuch drauga i rękami oraz nogami odepchnął go, przerzucając na bok. Uwolniony z uścisku, zerwał się na nogi. Otworzył oczy i zobaczył, że truposz żwawo wstaje. Biały puch, który oblepił zgniłe ciało, sprawiał, że wróg wyglądał nieco mniej odrażająco. Skald zwrócił się do niego:

Briana bękarta
wezme za bary.
Wróg wiatru życia
kąskiem będzie wron.

Ten, którego pierś nie dęła wiatrem życia, przyjął wyzwanie. Chwycili się za bary, a ich czoła zetknęły się. Ainar mógł patrzeć pod nogi, więc nie musiał zamykać oczu. Zaczęli się przepychać.

Najpierw przewagę zyskał Skald, który zmusił truposza do cofnięcia się o dwa kroki. Później sam poddał się naciskowi przeciwnika i zrobił trzy kroki w tył. Żaden z nich nie mógł uzyskać przewagi. Złączeni w uścisku, tkwili w miejscu lub przesuwali się nieznacznie w tym niezdarnym niedźwiedzim tańcu. Ainar nie miał wyjścia, jeśli chciał zwyciężyć. Musiał się otworzyć.

Poczuł tęsknotę i nienawiść. Wspomnił zielone wzgórza ziemi paparów, zachwycił się krągłym biustem Halldory. Wzgardził askmadami, którzy pojмали go w niewolę podczas napadu na krainę jego ojca, Congalacha, ardiego – najwyższego króla Tary. Wściekł się, że on, dziedzic najpotężniejszych władców Irów, musiał na obcej ziemi doić kozy i korzyć się

przed Ospakiem. Nienawiść do tego grubego wieprza bolała, chociaż dodawała sił.

Ainar pokręcił głową, otrząsając się z obcych myśli. Nie mógł przyjąć na raz wszystkich uczuć drauga, bo to groziło szaleństwem. Czuł jednak, że teraz trup, pozbawiony cząstki tęsknoty i nienawiści, osłabł. Poeta przepchnął go o kilka łokci, dając odpocząć swojemu umysłowi. Wymienił w pamięci imiona norn i dis, policzył od dwunastu do jednego. Kilkakrotnie wymamrotał pod nosem: „Ainarem mnie zwa, złamię wolę twą”, po czym przyjął kolejną porcję wspomnień.

Przypomniał sobie pierwszy raz z Halldorą, taką niedoświadczoną, choć już nie dziewicą. Leżała i czekała, spragniona pieśczoć i czułości. Wszedł w nią delikatnie, jak kapłan do świątyni miłości. Orgazm przeszedł w ból i nienawiść. Nóż przebił mu plecy i dotarł do serca. Śmierć była szarą pustką wypełnioną nienawiścią. Ospak i jego tłuste paluchy, oblizywane z tłuszczu przez psy. Ospak i jego trzy podbródki, falujące w rytm szyderczego śmiechu. Ospak i jego złośliwe oczka, cieszące się widokiem pręg na niewolniczych plecach.

Skald odchylił się i uderzył czołem w głowę drauga. Musiał wyrzucić z siebie trupie myśli. Tym razem dochodzenie do siebie zajęło mu więcej czasu niż poprzednio. Pokłady nienawiści i tęsknoty w martwym przeciwniku okazały się większe, niż przypuszczał. Miał jednak nadzieję, że odebrał umarlakowi wystarczająco wiele uczuć, by móc zakończyć walkę za pomocą siły mięśni. Draug rzeczywiście wydawał się spokojniejszy i opadał z sił. Nie trzymał już Ainara tak mocno i częściej dawał się przepychać. Nie zareagował, gdy Skald podłożył mu nogę, przewrócił trupa na plecy i wylądował na jego brzuchu.

Owładnięty myślą o rychłym zwycięstwie Ainar popełnił błąd. Zapomniał zamknąć oczy. Leżąc na wrogu, napotkał jego wzrok.

Czuł, jak pochłania go niebieski ogień, jak zetraca się w dzikim żywiole. Ciało płonęło nienawiścią i marzło tęsknotą. Spalone tkanki odrastały, dając

pożywkę ogniewi, lód tęsknoty przygaszał płomień nienawiści. W umyśle człowieka nie pozostało nic poza wszechogarniającym niebieskim płomieniem.

Po trwającym w nieskończoność pożarze z popiołów narodziła się myśl. Początkowo niezrozumiała, z czasem stała się natarczywa. Kołatała w ludzkim umyśle, choć nie pochodziła od człowieka. Nie dawała o sobie zapomnieć. Usta musiały ją wypowiedzieć:

Nienawiść, nie miłość, jest mu przeznaczona,
lubą jego będzie czyjaś cudza żona.

Tęsknota za słońcem, za swą ukochaną
przekleństwem poety, klątwą się staną.

Rozpoznał własny głos, ale usłyszał cudze słowa. Powoli wracała mu świadomość. Wspomniał pierwsze dokonane przez siebie zabójstwo i swój pierwszy poemat. Powtórzył imiona bogów i jötunów. Wypowiedział głośno imię Ainar. Wymacał palcami krew ciekącą mu z nosa i uszu. Poczł smród zgnilizny, który pomógł mu się na dobre ocknąć. Przypomniał sobie, gdzie był i jak się tu znalazł.

Leżał na zwłokach. Na pozbawionej tęsknoty i nienawiści pustej skorupie.
Zwymiotował.

Z pustym żołądkiem czuł się odrobinę lepiej. Zmusił się, by wstać. Nie był to jeszcze czas na odpoczynek.

Począł do kopca, wygrzebał spod śniegu miecz i odwinął go ze szmat. Sprawdził na przedramieniu, czy broń zachowała ostrość. Ucieszył się, gdy głównia zabarwiła się na czerwono. Wrócił do trupa i rąbnął go w szyję. Głowa, która i tak ledwo trzymała się na przegnitym korpusie, potoczyła się po śniegu.

Zaciągnął zwłoki do kurhanu i ułożył je w komorze. Odrąbaną głowę położył między kolanami trupa, twarzą do ziemi.

Nie zasypał wejścia do mogiły. Wciąż miał jeszcze coś do zrobienia.

5

Puk, puk.

– Kogo tam o brzasku niesie?

– Wybawcę.

Drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się głowa zeszpecona wyrazem nieufności. Oczy zmrużyły się, oślepione wschodzącym słońcem, i nie były w stanie rozpoznać przybysza. Nos poczuł za to zimne dotknięcie stali. Cała głowa zaczęła się cofać, a za nią we wnętrzu chaty pojawiały się po kolei: miecz, dłoń w skórzanej rękawicy, ręka w czerwonej, wełnianej koszuli, a na koniec cała postać Ainara Skalda.

– Witaj, Ospaku.

– Tfu. Ostrzegano mnie, by nie ufać Austmadowi. Zdradziłeś mnie!

– Nie w sposób, jaki podejrzewasz.

Gospodarz nie przestawał się cofać, aż tyłem uderzył nogami o ławę przylegającą do ściany. Ainar skinął głową. Bondi ostrożnie usiadł, uważając na miecz, który ani na chwilę nie przestawał ziębić czubka jego nosa.

– Nie? Myślisz, że nie wiem o srebrze Brunego i Karego? Zlecili ci morderstwo!

Nosowy głos Ospaka brzmiał śmiesznie, mimo iż jego właściciel starał się wyglądać groźnie.

– Zabiłem twojego drauga.

Höfding zamilkł. Nie tego się spodziewał. Zmarszczył czoło i mimowolnie poruszał uszami, zdradzając rozmówcy swoje zdezorientowanie.

– Po co więc ten miecz? – zapytał w końcu. – Chcesz więcej monet?

– Zabiłem truposza, ale może wrócić, jeśli nie dostanie tego, czego chce.

– Czyli czego?

– Mam dość twoich kłamstw. Opowiedz mi o Halldorze.

– To stara historia. Po co chcesz do tego wracać?

Nacisk miecza na nos zwiększył się.

– To moja żona, która zaginęła kilka miesięcy temu.

– I kochanka Briana?

Drzwi otwarły się i do środka wbiegło czterech mężczyzn z bronią w ręku. Dwaj z nich, ci dzierżący miecze, z pewnością byli bliskimi krewnymi Ospaka – mieli rude brody i, mimo młodego wieku, byli grubi. Pozostała dwójka z sierpami odziana była w łachmany. Musieli być karlmadami lub thraellami. Mężczyźni przytomnie rozdzielili się i otoczyli Skalda. Jeden odgradzał go od drzwi, dwóch pilnowało jego pleców, a ostatni doskoczył do ściany, przy której siedział zakładnik.

Usta Ospaka wykrzywiły się w uśmiechu, który zmienił się w grymas bólu, gdy sztych miecza zaczerwienił się.

– To moi synowie – wyjaśnił gospodarz przez zaciśnięte zęby. – Poddaj się, a nikomu nie stanie się krzywda.

Ainar prychnął lekceważąco.

– Kim byłby Skald bez widowni? Powiedz synalkom, że mogą się przyglądać. Niech tylko opuszczą broń.

– Ty pierwszy.

– Mroźno dziś. Ręka może zacząć mi drżeć.

I zadrżała. Miecz przeciął tłusty policzek Ospaka.

– Schowajcie broń! – krzyknął bondi, jak na mężczyznę stanowczo za bardzo wystraszony widokiem cienkiej stróżki krwi ściekającej mu na koszulę.

Synowie i niewolnicy posłusznie opuścili żelazo, choć nie wypuścili go z rąk. Cofnęli się też kilka kroków, co gestem nakazał im poeta.

– I kochanka Briana? – Austmad powtórzył pytanie.

– Tak. Od dłuższego czasu podejrzewałem, że mnie zdradza. Widziałem te ich maślane spojrzenia. Ale do końca nie mogłem uwierzyć, że wskoczy do łóżka niewolnika! Wszetecznicą Gefny! Tamtej burzowej nocy poszedłem śladem thraella.

– A Halldora?

– Jej nie było w domu. Kilka dni wcześniej udała się do swojej siostry, która była w połogu. To niedaleko stąd. A ja, głupi, uwierzyłem, że to siostrzana miłość ją tam zagnała, a nie wilgoć pod spódnicą! Przez te wszystkie lata dbałem, by niczego jej nie brakowało, kupowałem suknie z Vallandu, naszyjniki z Noregu, grzebienie z Bjarkamal. Przeklęta niech będzie norna, która wyszyła mi ten los. Po co mi było brać drugą połowicę po śmierci pierwszej? A ostrzegali: „młodej żonie sąsiedzi służą wiernie”.

– Nie zmieniaj opowieści.

– Tylko uzupełniam, jak chciałeś. Śledziłem więc Briana tej przeklętej nocy. Strasznie mu było spieszo, więc i ja musiałem wyciągać nogi. W końcu dotarł do starych dębów, a ta ladacznica już na niego czekała! Nie przeszkadzała im ani ulewa, ani przeszywający wiatr. Ledwo ją pocałował, a ta zległa na ziemi i rozłożyła przed nim nogi. Co miałem zrobić? Krew mnie zalała i zareagowałem tak, jak każdy mężczyzna powinien. Zgwałciłem nożem tego, kto używał sobie z moją żoną.

– A przy okazji chlasnąłeś żonę.

– Przysięgam na Jednorękiego, że nie!

– Niewiele warte są przysięgi składane z mieczem przy nosie.

– Nie wierzysz, spytaj, kogo chcesz. Moja żona zaginęła dwa miesiące po tych wydarzeniach.

– To prawda, Skaldzie – wtrącił jeden z synów. – Przez osiem tygodni macocha chodziła taka osowiała, z podbitymi oczami i potłuczonymi żebrami. Ojciec ją widać lał. Wtedy nie rozumieliśmy dlaczego.

– Tak, przyznaję. Prałem wywłokę prawie codziennie. Pierwszy raz dostała

tamtej nocy. Kiedy krew kochanka zalała jej twarz, zaczęła się strasznie wydzierać, więc przylałem jej kilka razy pięścią. Ale powstrzymałem nóż, choć wielu na moim miejscu nie cofnęłoby ręki. Potem kilkakrotnie ją oćwiczyłem, myśląc, że batami wybiję młódce pożądanie z dupy. Gotów jej byłbym nawet wybaczyć, bo głupota wpisana jest w młodość.

– Ale nie przebaczyłeś.

– Nie, bo nie zdążyłem. Wstyd się przyznać, ale uciekła ode mnie.

– A ty po prostu siadłeś, zapłakałeś i zapomniałeś o niewiernej.

– A co mogłem zrobić? Uciekła w nocy, nikt nie wie, w którym kierunku.

– I co ja mam z tobą zrobić? Wężowy język, mimo groźby śmierci. Wynająłeś mnie, bym uwolnił cię od niebezpieczeństwa. Ale draug będzie wracał, dopóki nie połączy się ze szczątkami Halldory. Wiem, że ją zabiłeś. Mów, gdzie jest jej ciało.

Ospak spojrzał na synów i zobaczył odrazę na ich twarzach.

– Co się gapicie, tępaki! Ojca nie szanujecie? I co z tego, że zabiłem? Taka dobra dla was ta macocha była? Dupy wam dawała?

Ainar musiał cofnąć miecz, jeśli nie chciał od razu zabić bondiego. Ten się bowiem tak podniecił karceniem synów, że zrobił się purpurowy, potrząsał wszystkimi trzema podbródkami i pluł przy każdym słowie.

– Zabiłem! Ale uszłaby z życiem, gdyby po raz kolejny mnie nie zdradziła! Lekki mam sen i obudziłem się, gdy uciekała. Nie wiedziałem, w którą stronę pobiegła, ale poszedłem w stronę mogiły Briana. Miałem rację! Dogoniłem ją w połowie drogi i zatłukłem gołymi pięściami. Śmiała mi się w twarz, krzycząc, że i tak chciała się pchnąć nożem na grobie tego nędznego niewolnika.

– Głupcze. Gdybyś jej na to pozwolił, draug by nie wstał. Zgaduję, że nawiedzenia zaczęły się następnej nocy.

Milczenie potwierdziło domysł pieśniarza.

– Co zrobiłeś z ciałem?

– Wrzuciłem do wąwozu. Nad ranem zaczął padać śnieg, który zakrył zwłoki. Pewnie odnajdą je wiosną.

Ainar opuścił miecz. Ospak odetchnął z ulgą.

– Czyli wystarczy odnaleźć szczątki Halldory i zakopać je przy trupie Briana? – upewnił się höfding.

– Nie. Nie wystarczy.

Skald wziął zamach. Uderzył z góry, trafiając grubasa w kark. Cielsko runęło na klepisko. Poeta przyciągnął z paleniska pniaczkę i podłożył go pod szyję trupa. Kątem oka obserwował zachowanie synów i niewolników. Ci unieśli broń, ale nie wykonali kroku w jego stronę.

– Poczekaj! – krzyknął w końcu jeden z synów, chyba ten starszy.

– Nie próbujcie mnie powstrzymywać – ostrzegł Skald, biorąc zamach do kolejnego rąbnięcia.

– Poczekaj! – powtórzył rudobrody. – Pię z szopy przyniosę.

6

Gizur i synowie Ospaka pomogli mu w poszukiwaniach. Długimi żerdziami dźgali całe połacie śniegu w wąwozie, a gdy natrafiali na coś twardego, rękami rozgrzebywali zasy.

Pod wieczór znaleźli zamrożone ciało Halldory. Gdy Ainar delikatnie brał ją na ręce, była tak lekka, jakby w ten sposób zachęcała Skalda do przeniesienia swego ciała. W czerwonym świetle zachodzącego słońca z jej twarzy można było wyczytać tęsknotę i przerażenie.

Wszyscy razem poszli na grób Briana. Zbliżał się wieczór.

W drodze Gizur rozmawiał z synami Ospaka o niczym, ukrywając skrępowanie. Jak zawsze próbował być grzeczny i dodawał sierotom otuchy. Przychodziło mu to wszakże z trudem, a to z racji pogardy, jaką żywił do

zabitego grubasa. Młodzieńcy równie uprzejmie mu odpowiadali, choć najchętniej uciekliby od niego na drugi koniec wyspy. Nieudolnie próbowali ukryć smutek po śmierci macochy, wstyd za czyny podłego rodzica i hańbę za pomaganie zabójcy ich ojca.

Na miejscu Ainar zabrał się do dokańczania tego, co zaczął zeszłej nocy. Tuląc ciało Halldory, wczołgał się do kurhanu. Sprawdził, czy zwłoki, które tam w nocy zostawił, nadal są martwe. Tak jak się obawiał, wyczuł w nich ślad tęsknoty i nienawiści. Może nie jutro, może nie za miesiąc, ale draug by powstał. Pieśniarz był tego pewien.

Ułożył Halldorę u boku Briana tak, by jej głowa oparła się na piersi kochanka. Gizur podał mu głowę Ospaka, którą przynieśli tu w worku. Skald ułożył ją między kostkami Briana, po czym wypełził z grobu.

Z pomocą reszty zgromadzonych zasypał wejście. Praca nie była łatwa, gdyż ziemia była zmrożona. Najpierw musieli rozbić ją toporami, a później wrzucić drewnianymi łopatami do otworu kurhanu. Na końcu przytaszczyli ogromny głaz i zastawili nim wejście.

– To na pewno koniec? Draug nie wstanie, by zniszczyć owoc lędźwi Ospaka? – zapytał Gizur, patrząc przepaszajaco na młodzieńców.

– Raczej nie. Ale dla pewności zasadźcie wiosną na mogile drzewo. Tylko niech to nie będzie jakiś lichey głóg, ale solidny dąb lub buk. Nic tak skutecznie nie zatrzymuje trupów w ziemi jak objęcia korzeni.

Na pobliskim drzewie przysiadły dwa kruki, które głośno skarżyły się na marnotrawienie zgniłego mięsa.

Przez chwilę stali w milczeniu, oddając szacunek zmarłym. Synowie Ospaka wyraźnie mieli ochotę coś powiedzieć. Wiercili się i rzucali sobie porozumiewawcze spojrzenia.

– Wspólnie doszliśmy do wniosku – oznajmił starszy – że sprzedamy ziemię Ospaka. Tutaj, nie tyle na grobie naszego rodzica, ile przy pomniku jego zbrodni, przyrzekamy, że nie staniemy się synami podobnymi do ojca.

Własnymi rękami zdobędziemy sławę i chwałę. Wyrzekamy się ojcowizny i rodowego imienia.

– Cieszy mnie, że nie pójdziecie drogą niemądrej tradycji i nie będziecie mścić śmierci rodzica – oświadczył, choć z podejrzliwością, Gizur.

– Skald może czuć się bezpiecznie – zapewnił młodszy z synów.

– Ulżyło mi – powiedział Ainar i uśmiechnął się paskudnie. Nie chciało mu się udawać, że cokolwiek z tego, co zostało tu powiedziane, go obchodziło. Coś sobie jednak przypomniał, więc zapytał:

– A komu sprzedacie ziemię?

– Od dawna chcieli ją kupić Kari i Bruni. Pewnie oni dadzą najwięcej.

Czyli nie będę musiał łamać obietnicy danej Giaurowi – pomyślał Ainar. Zapewnił go bowiem, że zatrzyma obie sakiewki tylko wtedy, gdy uda mu się zadowolić obie strony. Synowie Ospaka wyglądali na uszczęśliwionych, a dwaj łotrzy, Kari i Bruni, otrzymali to, o co prosili: trupa znenawidzonego sąsiada i jego ziemię.

Gdy tylko księżyc mocniej zaświecił, synowie zabitego bondiego pożegnali się i odeszli. Nie biegli, by nie oskarżano ich o tchórzostwo, ale widać było, że się spieszą. Ainar był przekonany, że jeszcze przez wiele tygodni będą z lękiem omijać kurhan, zwłaszcza nocą.

Niedługo potem w swoją stronę udali się Ainar z Gizurem. Skald mógłby przysiąc na pierścień Jednorękiego, że wśród szumu drzew, wśród fal rozbijających się o pobliskie fiordy, wśród śpiewów nocnych ptaków można było usłyszeć krótką miłosną pieśń:

Twoja kibić, tak zimna, rozgrzewa mą duszę,
a dotyk odejmuje wszelkie me katusze.
Twoje piersi i usta, choć trochę przegniłe,
nawet w ciemnym grobie pozostaną mi miłe.



Wielość i Jedność

1

Tuż po północy obudziło go skrobanie za drzwiami. Otworzył oczy, ale nie ruszył się z miejsca. Leżał na plecach i nasłuchiwał. Gdy dźwięk się powtórzył, przerzucił nogi przez kant ławy, schylił się i wyciągnął spod łóżka miecz. Zawsze trzymał broń pod ręką. Wstał najciszej jak potrafił i bosy, po drewnianej podłodze, podszedł do drzwi. Stał plecami do drewnianej ściany i sięgnął do skobla.

Był gotów na wszystko. Gdyby do pomieszczenia wpadło tuzin drottmadów Brodira Jökulssona, bez cienia żalu oddałby życie, by potem wznieść toast w Gmaszysku Zarzniętych. A gdyby to król Brian przysłał posłańca z prośbą o pieśń, z miejsca zaimprovizowałby zgrabną wisę, a może i drapę. Gdyby z kolei wszetecznicą Gefny przyszła kusić go miłością za pieniądze, wzięłby ją, nie płacąc. Gdyby natomiast karzeł odwiedził go z propozycją gry w hnefatafl, ograłby go do ostatniego peninga.

Kiedy otworzył drzwi, nie wiedział, co zrobić.

Spoglądała na niego mała, na oko trzyletnia, dziewczynka. Stała z otwartymi ustami, wlepiła w niego załzawione niebieskie oczęta i pociągała noskiem, jakby miała się rozpląkać. Jednak zamiast ronić łzy na widok żyłastego, owłosionego i ubranego jedynie w kalessony zbrojnego, wypowiedziała słowo, które Ainar miał nadzieję nigdy nie usłyszeć:

– Tata?

Poecie zadrżały kolana. Rozejrzał się. Niczego nie zauważył, choć księżyc świecił wyjątkowo jasno. Usłyszał pohukiwanie sowy, miauczenie kota i odgłos kroków na brukowanej dróżce. To ostatnie dobiegało z oddali i było tak ciche, że mogło być omamem. Przez chwilę rozważał, czy nie podejść do którejś z cel i nie poprosić o pomoc, ale porzucił ten pomysł. Znajdował się przecież w miejscu, w którym gospodarze każą tytułować siebie „ojcami”, ale każdy z nich boi się, niczym ognia piekielnego, słowa „tata”. Klasztorne życie munków ma swoje zalety.

Przed oczami mignęły mu wszystkie kobiety, z którymi spał w minionych latach. Trochę ich było. Ale żadna, naprawdę żadna nie знаła miejsca jego pobytu. Zatem mała nie mogła być jego dzieckiem. Ani jego kłopotem.

Coś go jednak tknęło, by po raz ostatni spojrzeć na dziewczynkę, zanim zatrześnie jej drzwi przed nosem. Wyglądała niewinnie, patrzyła się na niego z nadzieją i ścisnęła w małych rączkach dziwny przedmiot. Wydawało mu się, że go rozpoznaje, ale schylił się, by przyjrzeć się z bliska. Dziecko bawiło się ludzkim uchem.

Wpuścił małą do środka.

2

– Jest jeden Bóg.

W obszernej izbie słowa Maelruaina zabrzmiały donośnie i władczo. Biła z nich pewność siebie i nagana pod adresem wszystkich niedowiarków. Gdyby wypowiedziano je na ambonie, wszyscy wierni pospuszczaliby oczy, wstydząc się, że śmieli w to wątpić.

– Przemierzyłem świat wzdłuż i wszerz. Choć w odległych krainach można znaleźć rzeczy rzadkie i dziwne, to regułą jest, że nic nie jest niepowtarzalne ani jedyne w swoim rodzaju – bezczelnie odpowiedział Ainar, za nic mając gromy bijące z oczu mnicha, który był abbasem, czyli opatem tego

szanowanego muintiru.

– Głupiś, geincie, wyznawco demonów. Skoro istnieje wielość, musi być i Jedność. Tak rozum nam podpowiada. A wszelka wielość ma swój początek w Jedności. Weźmy te pajdy chleba, które spożywamy. Jest ich wiele tylko dlatego, że z jednego bochenka chleba zostały wydzielone. Jak naucza nas Eriugena, wszystko pochodzi od Jedności i do Jedności kiedyś powróci. *Exitus–reditus!*

– Rozumiem. To tak jak z tymi pajdami. Zjadłem ich wiele, ale wydałem je w jednym kawałku.

Myślałem, że wyprowadzi tym opata z równowagi, ale ten tylko popatrzył na niego z politowaniem. *Princeps* klasztoru miał wygląd poczciwca. Choć czarne, obfite brwi i tegoż samego koloru włosy oraz krótko przystrzyżona broda bardziej pasowałyby do zbója, to dzięki temu, że czas przyprószył je siwizną, twarz abbasa miała sympatyczny wygląd. Przypominała oblicze mędrca, takiego, do którego człowiek chętnie przychodzi po radę i zawsze wychodzi zadowolony, nawet jeśli został złajany. Na Północy, w krajach askmadów, nosiłby pewnie przydomek *fródi*, mędrzec, ale tutaj, na Wyspie Irów, nazywano go filidem, uczonym.

– Sposobem głupca jest – tłumaczył opat spokojnie, jak dziecku – zakrywanie swojej niewiedzy szyderstwem.

– Wiedzy nigdy dość. Oświecisz zatem głupca?

– Postaram się. W naturze można zaobserwować dwa procesy. Pierwszy to *divisio*, czyli rozwój Jedności w wielość. A Jednością tą jest Wszechmocny Nasz Ojciec, który udziela się dla świata.

– Znam tę opowieść. Ciało boga zostaje rozerwane i z niego rodzi się świat. To tak jak w tej *pátrr*^[52] o rozmnożeniu chleba, którą mi opowiadałeś.

– Głupiś, geincie. Bóg to nie materia. *Divisio* to akt natury, sposób, w jaki Jedyne Bóg rozwija się, objawia w naturze stworzenia i wyraża w hierarchii bytów. Dzięki temu w każdej istocie, a nawet w rzeczy, znajduje się cząstka

Boga.

Każde zdanie opat wypowiadał z taką stanowczością, że brzmiało niemal jak rozkaz. Ainar wiedział, że taki charakter może mieć tylko osoba pochodząca z *cenél*, rodu możnowładców, który wydał na świat niejednego *rí túaithe*, lokalnego króla. Ale w tym kraju tak szlachetne pochodzenie nie było wcale nadzwyczajne ani rzadkie. Tutejszym ludziom brakowało może odwagi, ale z pewnością nie chutliwych władców ani ich krewniaków.

– A czy w świecie doczesnym i życiu codziennym ten... proces też występuje? Czy może jest wyłącznym sposobem rozrywki waszego boga?

– Błuźniercze są słowa wężowego języka. Otwórz swój umysł i serce na prawdę! Nie tłamsz ich bezczelnością! Czy nie słuchałeś, co do ciebie mówiłem? – Mnich pokręcił głową. – *Divisio* można spotkać na każdym kroku. Weźmy historię stworzenia. Na początku był jeden człowiek, ojciec wszystkich ludzi. Adam było mu na imię. Wykorzystując łono grzesznej kobiety, zasiedlił cały świat swoimi potomkami. Z Jedności powstała wielość.

3

W klasztorze mieszkało wielu ojców, ale prawdziwym tatą mógł być tylko jeden z nich. Wielość musiała w tym wypadku przegrać z jednością. Opracowany przez Ainara plan poszukiwań owego tatusia był prosty. Należało zacząć od znalezienia właściciela ucha. Poecie udało się to szybciej, niż przypuszczał.

O świcie, gdy jak co dzień obudziło go pojedyncze uderzenie dzwonu, zostawił dziewczynkę śpiącą na jednej z ław domku gościnnego i udał się do kościoła. O dziecko się nie martwił. Po tej ilości piwa, jaką wypił nocą, powinno spać do południa.

Gościł w klasztorze od kilkudziesięciu dni i zdążył się nauczyć, że paparzy

przywiązują dużą uwagę do mierzenia czasu. Jemu wystarczało wiedzieć, kiedy jest świt, południe i zmierzch, ale mnisi podzielili dzień na cztery części, a początek każdej z nich obwieszczali biciem w dzwony. I tak jedno uderzenie o wschodzie słońca oznaczało nastanie *hora prima* i wzywało do odprawienia jutrzni. Trzy pociągnięcia dzwonnika, kiedy słońce miało pierwszą kwartę na niebie, mówiło, że jest *hora tertia* i wzywało do odprawiania tercji. Południe to już sześć uderzeń i *hora sexta*, czyli pora odmawiania seksty. Gdyby jeszcze kogoś nie rozboleła głowa od tego walenia, to kiedy słońce minie trzecią ćwiartkę na niebie, musi znieść kolejnych dziewięć uderzeń wzywających do klepania non podczas *hora nona*. Na szczęście po tej porcji lorik następowała najprzyjemniejsza pora dnia, czyli czas obiadu. O zachodzie słońca dzwonnik po raz ostatni trapił mieszkańców muintiru uderzeniami w dzwon, za to aż dwunastoma. Mnisi gromadzili się wtedy w oratorium, by śpiewać wespery. *Hora vesperae* przynosiła przynajmniej tyle dobrego, że po modlitwach asceci szli spać i Ainar mógł się w spokoju upić. Pomyliłby się jednak ten, kto podejrzewałby, że mnisi przynajmniej nocy dali spokój. Tę podzielili na cztery części zwane wigiliami. Paparzy byli owładnięci manią zapanowania nad czasem i narzuceniem dniowi oraz nocy takiej samej dyscypliny, jakiej wymagali od siebie. Tyle tylko, że Dagr i Nótt, ta stara para kochanków, pieprzyli się, kiedy chcieli i jak chcieli, rozciągając się i skracając naprzemiennie w ciągu roku, i za nic sobie mając porządkujące wysiłki munków. W ten sposób w porze śniegów mnisi ledwo kończyli jutrznię, a już musieli się szykować do tercji, podczas gdy latem między tymi nabożeństwami byli w stanie wykonać większość prac gospodarczych.

Czerwone słońce przebijało się przez szarość i mgłę, i podświetlało małe oratorium, którego ściany były mokre od rosy. Budynek, łącznie ze spadzistym dachem i stożkowatą wieżyczką, wykonano z kamieni. Na szczycie baszty wisiał dzwon. Do jednego z rogów kościółka przylegał drugi budynek, będący kopią domu chrześcijańskiego Krista, tyle że mniejszą i pozbawioną

dzwonnicy. Ainar wiedział, że właśnie tam mnisi trzymali swoje osławione księgi iryjskie, *baekr írskar*, oraz to, co mieli najcenniejsze – naczynia liturgiczne. Wiele by dał, by móc niepostrzeżenie się tam dostać.

Podzielał opinię swoich rodaków, że ciężki kamień nadaje się jedynie na fundamenty. No bo jak trzeba być głupim, by zbudować sufit z kamienia i wierzyć, że głązy nie przeważą powietrza? Dlatego po otwarciu solidnych dębowych drzwi, ozdobionych płaskorzeźbą ukazującą rozłożyste drzewo, zostawił je uchylone i stanął tuż przy wyjściu. Gdyby dach miał nagle runąć na głowy paparów, zdążyłby uciec.

W środku panował półmrok. Ale nie z powodu pory dnia, tylko dlatego, że munkowie-budowniczości zapomnieli o oknach. A może zrobili to celowo? W każdym razie w bocznych ścianach nie było w ogóle otworów, a jedyne – niedorzecznie małe – okienka umieszczono na ścianie wejściowej i przeciwnej. Paparowie twierdzili, że istniała przyczyna takiego sposobu budowania. Ponieważ oratorium było zorientowane na linii wschód-zachód, dwa okienka, ustawione jedno pod drugim na ścianie przeciwległej do wejścia, przepuszczały pierwsze promienie słońca. Jeden snop światła, ten wpadający przez wyższy otwór, padał dokładnie na środek kościoła, a drugi, ten z niższego okna, tuż przed kamienny stół. Podobny efekt munkowie otrzymywali o zachodzie słońca, ale wtedy światło wpadało przez okienka na ścianie wejściowej.

Wnętrze było bardzo surowe. Ściany boczne, tak jak i wejściowa, nie były w żaden sposób zdobione i wyglądały prawie tak samo jak zewnętrzne, choć nie były zniszczone słońcem, wiatrem i deszczem. Jedynie na ścianie, do której przylegał kamienny stół, wisiała ozdoba, choć trudno ją było nazwać ładną. Był to wielki, drewniany krzyż zbity z desek. W porównaniu z pięknie rzeźbionymi kamiennymi krzyżami stojącymi na terenie muintiru ten prezentował się naprawdę mizernie.

Ainar przytulił się do muru, nie zważając na jego chłód, i obserwował. Mnisi mamrotali modlitwy, z których niewiele rozumiał. Nie posługiwali się

miejscowym językiem Irów, którego zdążył się nauczyć, ale mową Romverjów^[53]. Strasznie nudne przedstawienie, choć śpiew był miły dla ucha. Poeta wychwycił i zrozumiał dwa słowa, które ciągle powtarzali, a które w obecnej sytuacji wydały mu się zabawne: *pater noster*.

Gdyby uczestniczył wcześniej w jutrzni, do czego namawiał go abbas, wiedziałby, że jego obserwacje nie na wiele się zdadzą. Zakonnicy modlili się bowiem w kapturach. Nawet opat, stojący przy stole i bawiący się kielichem z winem, nie raczył ściągnąć nakrycia głowy. Później wyjaśniono mu, że akurat w ten dzień modły w oratorium wyglądały inaczej niż zwykle. Mieli bowiem *dies Dominica*, ten dzień w tygodniu, który był poświęcony ich martwemu bogu.

Skald porzucił zatem śledztwo i pożądlivym okiem spojrział na naczynie, które tak zajmowało princepsa. Wykonano je ze srebra, a krótka nóżka i uchwyty po bokach sprawiały, że podobny był do czarki. Chociaż Ainar mógłby w Vallandzie dostać za nie ze cztery wierzchowce, to jednak wydawało się nic niewarte wobec skrzynki leżącej na środku stołu, tuż przy ścianie. Była z pewnością najpiękniejszym przedmiotem w oratorium, więc pieśniarz przeniósł na nią całą swoją uwagę. By ją lepiej obejrzeć, zaryzykował nawet podejście kilka kroków do przodu. Domyślił się, że ma przed sobą jedną z tych kasetek, które paparzy nazywają relikwiarzami. Zapewne mnisi trzymali w niej szczątki jakiegoś nieszczęśnika, choć nie miał pojęcia, za jakie przewiny skazano trupa na pośmiertny pobyt w ciasnej skrzynce. Domek zmarłego przypominał kształtem kościółek, w którym się znajdowali, ale jego ściany i dach nie były z kamienia, tylko ze srebra, a na dodatek zamknięto je w złote ramy. Zamiast okien miał dwa krążki, oddzielone kwadratową płytką, które były wykonane ze złota i tworzyły tło dla czerwonych kamieni w ich środku. Za te świecełka Ainar mógłby kupić snekkję, łódź bojową, i najać wioślarzy. Podobne ozdoby urozmaicały płaszczyznę dachu skrzynki, choć tutaj tworzyły odmienny wzór: dwie płytki były przedzielone jednym krążkiem. Relikwiarz miał nawet kalenicę, długi

srebrny pręt zwieńczony po obu stronach zawijasami, takimi jak u pastorału czy klucza. W środku tych ślimaków ulokowano, dla urozmaicenia, niebieskie kamienie, a każdy z nich był wart więcej, niż można było wziąć za sprzedaż w niewolę wszystkich zgromadzonych tu mnichów. Od kalenicy aż do połowy ściany relikwiarza ciągnął się prostokątny, wykonany z brązu uchwyt zamku. I on, choć miał tak praktyczne zastosowanie, nie był pozbawiony misternych ozdób. Pokryto go czerwoną emalią i wyryto na nim liściaste zawijasy otaczające słońce.

A jednak opat nie był takim samolubem, jakim początkowo wydawał się poecie. Poczęstował winem z kielicha każdego z wyjątkiem Ainara. Pozostał jednak skąpcem – dał im tylko po łyżku.

Bicie dzwonu oznajmiło koniec modlitw. Nim rozbrzmiało ostatnie uderzenie, mnisi pozamykali antyfonarze – śpiewniki ze spisаныmi pieśniami na cześć ich boga – i z pośpiechem nieprzystającym ascetom opuścili oratorium. Większość udała się brukowaną dróżką na wschód, w stronę drewnianego domku zbudowanego z poziomych belek. Budynek zwany refektarzem nie różnił się zbytnio od domów, jakich pełno było w każdym osiedlu w Östlandzie, choć tam wcale nie służyły sługom bogów.

Od grupy odłączyło się dwóch paparów, którzy wybrali południową dróżkę. Do ich obowiązków należało poranne karmienie zwierząt. Ainar poszedł ich śladem. Mnisi co prawda codziennie dawali paszę i jego wierzchowcowi, ale o szczotkowanie musiał dbać sam.

Zatrzymali się przy studni. Znajdowała się ona na niewielkim okrągłym placu nieopodal kościoła. Munkowie podeszli do kamiennej cembrowiny i za pomocą liny nabrali wody do trzech wiader. Popatrzyli wyczekująco na pieśniarza, ale nie miał zamiaru im pomóc. Gardził fizyczną pracą, jak przystało na drenga. Zawiedzeni duchowni chwycili po jednym cebrzyku i stękając wrócili na kamienną dróżkę, stukając o nią sandałami i znacząc ją małymi kałużami.

Opactwo było samowystarczalne i zdolne do utrzymania kilkudziesięciu

mnichów. Sądząc po wysokim ziemnym wale, otaczającym wszystkie budynki, mieszkańcy byli też w stanie sami bronić klasztoru. Choć akurat to nie najlepiej im wychodziło, powiedziano mu bowiem – i z niejakim wyrzutem – że kiedyś istniało tu spore osiedle, a okoliczni chłopcy pomagali paparom w wypasie zwierząt, rzemiośle i uprawie ziemi. Teraz jednak, po dziesiątkach lat plądrowania tych ziem przez Finn-Gallów – „Obcych z Daleka”, jak Irowie zwali przybyszów z Północy – okolica wyludniła się i mnisi musieli sami dbać o swoje utrzymanie. Gdyby nie zabrali się do roboty, ich i tak ascetyczny tryb życia zamieniłby się w prawdziwą głodówkę. Praca nie przeszkadzała im jednak, gdyż traktowali ją jako środek do walki z pokusami. Ainar nie rozumiał, co może być niewłaściwego w pokusach, ale wiedział, że munkowie mieli obsesję na ich punkcie.

Doszli do hodowlanej części klasztoru. Tutaj dróżka się rozgałęziała. Ta w prawo prowadziła do owczarni, a ta w lewo do stajni. Idąc z kolei prosto, dochodziło się do kolejnego rozwidlenia: w prawo do chlewu, w lewo do obory. Wszystkie budynki wyglądały podobnie nie tylko do siebie, ale również do tych spotykanych w innych krajach leżących wokół Haf^[54] – Wielkiego Morza. No bo czymże mogą się różnić pomieszczenia dla jedzących, śpiących i srających czworonogów?

Mnisi udali się w stronę chlewu, a Ainar wybrał drogę do stajni, przedzierając się przez chmury much. W celowość ich stworzenia przez bogów szczerze wątpił, choć paparzy próbowali mu to kiedyś wytłumaczyć. Powiedzieli, że uciążliwe owady, tak jak i pasożyty, mają przypominać człowiekowi o kruchości jego ciała. Widział w życiu tyle trupów, tyle flaków i poucinanych kończyn, że taka lekcja była mu zbędna. Obstawiał, że bogowie stworzyli te robale z czystej złośliwości. Dlatego soczyście kłął i przeklinał norny, gdy któraś z tłustych końskich much próbowała na nim usiąść.

Każdy obcy bez trudu rozpoznałby konia Ainara, gdyż był to jedyny ogier w stajni. W boksach obok stały jeszcze dwie wychudzone klacze, ale bardziej nadawały się do ciągnięcia wozu niż jazdy wierzchem. Skald dał koniowi

marchewkę, którą zachował z kolacji, po czym sprawdził mu pęciny. Były w porządku. Sięgnął po szczotkę leżącą przy ścianie, ale zaledwie kilka razy zdążył przejechać nią po końskim grzbiecie, nim usłyszał krzyk.

Wybiegł – choć to może za dużo powiedziane. Marszem opuścił stajnię i udał się tam, skąd dobiegał wrzask. Do chlewu. Wrzeszczący mnisi stali w wejściu i pokazywali mu leżącego między świniami człowieka. Człowieka bez ucha.

Był mnichem, *munkakufł* – czarny habit – i tonsura nie pozostawiała co do tego wątpliwości. Ktoś mógłby pomyśleć, że to leniuch, który przesypiał w zacisznym chlewie poranne modlitwy; również Ainar potrafił zrozumieć, że niektórzy z munków są znudzeni mniszym życiem. Nos podpowiadał mu jednak, że śpiący już się nie obudzi. W chlewie śmierdziało trupem.

Zakonnicy nie kwapili się do oględzin zwłok. Zawodzili, mamrotali modlitwy, na przemian wznosili ręce ku niebiosom, to znów je składali. Po prostu stracili głowy.

Skalda nie zdziwiło takie zachowanie munków, które w jego stronach mogło być tylko udziałem dziewczynek, i to tych najmniejszych. Nie siląc się na słowo czy gest pogardy względem paparów, podszedł do zwłok i zaczął je badać. Mnich leżał na boku, tyłem do wejścia, dlatego początkowo nie można było dostrzec jego obrażeń. A były one znaczne. Duchowny miał rozcięty brzuch, który w środku był już prawie pusty. Świnie dobrały się do swojego hodowcy i wyjadły większość jego wnętrzności. Zlizały również krew z rany po brakującym uchu.

Nawet Ainarowi skurczył się żołądek. Większość zaprzestałaby oględzin, zadowolając się wnioskiem: śmierć przez wypatroszenie. On był jednak dociekliwy. Na szyi zmarłego zauważył siną pręgę, wskazującą, że mnich został uduszony lub przynajmniej przyduszony. Jego habit był podciągnięty do brzucha i odsłaniał niewielki mniszy sekret. Pośród woni potu, śmierci i świńskiego gówna Ainar poczuł zapach niepasujący do tego miejsca. Przyjrzał się zaschniętej plamie na desce boksu i już wiedział. Woń ludzkiego

nasienia.

– Odejdź, geincie, wyznawco demonów. Pozwól nam zająć się współbratem
– powiedział ktoś stojący za plecami poety.

Skald obrócił się i ujrzał rudzielca, którego bujna broda i grube brwi kontrastowały z łysym kółkiem na czubku głowy. Nie był to jedyny nowo przybyły. Gdy Ainar badał zwłoki, do chlewu przybiegli już chyba wszyscy mieszkańcy klasztoru, zaciekawieni krzykami i lamentami mnichów–pastuchów.

– Nie ma na co czekać – pieśniarz zwrócił się do rudzielca, patrząc mu prosto w oczy. – Jeszcze dzień pracy waszej trzody, a nie byłoby co chować.

– Pamiętaj, że jesteś tu gościem, geincie – zganił go ten sam munk. Ainar przypomniał sobie, że miał na imię Rudan. – Winien jesteś szacunek swoim gospodarzom, zwłaszcza kiedy jeden z nich nie żyje...

– Znalazłeś coś ciekawego? – przerwał mu ktoś z tłumu.

Człowiek z Północy wzruszył ramionami.

– Został uduszony i dla zatarcia śladów rzucony świniom. Ale wcześniej sobie pofolgował. Czy sam z sobą czy może z mnichem lub, jak wy to mówicie, z Marią Magdaleną, to już wy wiecie najlepiej. Ale zgaduję, że dostarczyciel tych uciech jest zabójcą.

– Uciszyć się, potomku Kaina! – zganił go Rudan. – O zmarłych tylko dobrze!

– Daj mu mówić! – uciszył rudego jakiś mnich, a inny dodał: – Musimy schwycić mordercę!

– Przecież to Finn-Gall, obcy z dalekiej Północy – obstawał przy swoim Rudan, czym denerwował już nie tylko Ainara. – Nie będziemy go słuchać. Sami sobie poradzimy! Patrzcie, ojciec Nannyd nie ma ucha. A wszyscy pamiętamy, że jeszcze wczoraj mu go nie brakowało. Łatwo wywnioskować, że morderca musiał je zabrać ze sobą. Znajdźmy ucho, znajdziemy zabójcę!

– To co z tym drugim ruchem? – zapytał Ainar.

– Miło mi słyszeć, że pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę – odpowiedział opat. – Przeciwnieństwem, a raczej uzupełnieniem *divisio* jest *analysis*, czyli rozwój wielości w Jedność. Tym samym każda wielość, która swój początek wzięła w Jedności, do Jedności wraca.

Mnich przerwał, by wznieść ręce i popatrzeć na belki pod sufitem. Po chwili kontynuował:

– Wszelka wielość dąży do Boga, Jedności ostatecznej. Nawet i ty, geincie, będziesz mógł się z nim zjednoczyć, bo i w tobie objawia się częśćka Boga.

– Nawet we mnie? Zawsze wiedziałem, że jestem wyjątkowy.

– Nie bardziej niż żaba czy pies. Czyś nie słuchał, co do ciebie mówiłem? Jak naucza święty Dionizy, a za nim Eriugena, częśćka boskiej esencji jest w każdym stworzeniu. Nawet w tak plugawym jak ty. Kiedyś bramy niebios otworzą się i dla ciebie. Wszystko bowiem podlega *analysis*. Ale nie łudź się, dla ciebie to będzie długi proces.

– Jestem cierpliwy. A jak tam obrady waszej rady sędowniczej? – znudzony rozmową Ainar postanowił zmienić temat.

– *Seniores*, starsi opactwa, uznali cię za winnego. Próbowałem cię bronić, ale przekonali mnie, że nie można ufać geintowi. Nawet i do nas dotarły wieści o twojej niechlubnej przeszłości.

Ainar nie bardzo przejął się wyrokiem. Nie potrafił poważnie traktować mniszego sądownictwa, które jak wierzył i tak nie było mu w stanie wymierzyć surowej kary. Paparzy nie uznawali kary śmierci. A gdyby jednak zmienili zdanie, to był przekonany, że zdoła uciec.

Poważny nastrój karno-religijnej dysputy przerwała dziewczynka. Jak każdy maluch, nie miała jeszcze imienia, a przynajmniej takowego nie zdradziła. Dla ułatwienia sobie życia Ainar nazywał ją Znajdą.

– Tata! Nie widzę tu żadnych baranów! – wyrzeszczała, dumnie demonstrując palec wyjęty z nosa.

– Kóz! I mówiłem, żebyś mnie tak nie nazywała – zganił ją Skald, bardziej rozbawiony niż zagniewany.

Znajda była tu z nim zamknięta od tygodnia, czyli od poranka, kiedy mnisi znaleźli trupa i oskarżyli Ainara o kradzież ucha, a w efekcie – o morderstwo. Nikt nie dał wiary wyjaśnieniom, że to trzylatka przyniosła Finn-Gallowi paparski narząd słuchu. „A może jeszcze zabiła Nannyda?” – śmiali się zakonnicy.

Zamknięto go w tym samym budynku, który zajmował wcześniej. Chociaż dumnie nazywali go domem gościnnym lub domem pielgrzyma, to jego ściany od dawna nie widziały ani gości, ani pielgrzymów – poza Ainarem. Podobno kiedyś budynek ten pękał w szwach od podróżnych, ale działało się tak, zanim Finn-Gallowie zaczęli plądrować okolice. „Więzienie”, przeznaczone pierwotnie dla szacownych gości, nadal było więc całkiem wygodne. Nie to, co dół w ziemi wykopany przez Englismadów, w którym poeta gnił zeszłego lata. W zasadzie nawet nie zauważyłby, że jest więźniem, gdyby nie zaryglowane od zewnątrz drzwi i dwóch mnichów o posturze drabów, którzy dzień i noc sterczeli przy wejściu do budynku.

Dom nie był gorszy od tych, jakie spotykało się wśród Englismadów. Nie nazwałby go hallą, gdyż był stanowczo mniej okazały i krótszy od dworów Noregu, miał jednak podobny kształt. Dwie ściany były wyraźnie dłuższe, a wszystkie wykonano z pionowych bel wkopanych w ziemię. W środku było tylko jedno pomieszczenie, za to obszerne. Podłoga z desek ułożona została na poziomie ziemi, a na jej środku wycięto koło odsłaniające ziemię i umieszczone w niej palenisko. Przy wygaszonym ogniu stały pniaki, a jeden z nich wykorzystywał teraz opat, który w pozycji siedzącej i z rozpostartym habitem wyglądał jak iryjski dzwon. Do ścian przylegały ławy do spania, mogące pomieścić tuzin mężczyzn, ale obecnie użytkowane tylko przez drenga i dziecko...

– Nie wypieraj się, geincie. Przecież nie obowiązują cię śluby czystości. Nie bez powodu dziewczynka nazywa cię tatą.

– Powód jakiś ma, to pewne, ale nie ona, a jej matka, która ją tego wyuczyła. Ojcem zaś, jak już mówiłem, musiał być ten papar bez ucha.

– Widzę, że dobrze się nią opiekujesz – opat jakby nie dosłyszał wyjaśnienia. – Zrobiłeś jej nawet zabawkę.

Maelruain z pewnym żalem spojrział na dziewczynkę, która zrezygnowała z szukania dobytku rogatego w nosie i bawiła się drewnianą figurką konika. Na czworakach chodziła wzdłuż ścian i kłusowała konikiem po drewnianej podłodze, mamrocząc pod nosem „patataj, patataj”. Gdy zbliżyła się do ławy, na której siedział Ainar, przejechała mu konikiem po kolanach i pognała dalej.

– Rzeźbieniem zabijam czas – odpowiedział poeta, stukając w nożyk zawieszony na szyi, który mnisi łaskawie, i bardzo lekkomyślnie, pozwolili mu zatrzymać. Reszta jego broni i dobytku zniknęła. – Wolałbym jednak, by zwolniono mnie z niańczenia. Co wieczór muszę odstępować jej swoją rację piwa, by w końcu zasnęła.

– Niańka jest w drodze. Najbliższa osada leży jednak cztery dni drogi stąd. Posłałem po opiekunkę najszybszego z mnichów, ale trochę potrwa, nim tu dotrą. Tymczasem obiecuję przysyłać więcej piwa. Przynajmniej jutro.

– Dlaczego tylko jutro?

– Mówiłem już, że zostałeś uznany za winnego.

Princeps, jak zwykle, był stanowczy. Oznajmił wyrok takim tonem, że nawet niesłusznie oskarżony uwierzyłby w swoją winę. Ainar był więc pewien, że wyrok jest ostateczny. Szkoda tylko, że nie dali mu się wytłumaczyć przed tymi seniorami, którzy służyli radą opatowi. Skald nie potrafił jednak ukryć wesołości:

– I z tego powodu chcecie mnie pozbawić piwa? Litości! Weźcie chleb, ale zostawcie piwo!

– Nie drwij, Finn-Gallu. Zostaniesz surowo potraktowany. Nie uznajemy

kary śmierci, ale zostałeś skazany na banicję. Masz opuścić klasztor bez broni i dobytku.

Poeta ledwo się powstrzymał, by nie roześmiać się opatowi w twarz. Zdążył się wykurować, a towarzystwo paparów już mu się znudziło.

– Wasza surowość nie przystoi do grid, jakim wasz miłosierny bóg zwykł obdarzać grzeszników.

– Cieszę się, że zapamiętałeś coś z moich nauk. Nawet jeśli wykorzystujesz je, by z nas szydzić. A nasza łaska, zgodnie z przykładem Pana, objawia się w tym, że dostałeś trzy dni na możliwość nawrócenia się i przyjęcia chrztu.

– Na krzyk Göllnira! Jeszcze trzy dni mam znosić te kazania? A myślałem, że będę musiał się jutro wynieść.

– Stanie się wedle twojej woli. Wczoraj, dzisiaj i jutro – oto twoje trzy dni na nawrócenie. Nie przekazałem ci decyzji seniorów od razu, gdyż groźba śmierci sprawia, że nawrócenie nie jest szczerze. Ale lepsze takie niż żadne. Dlatego widząc twój upór, mówię ci o wyroku w przeddzień wygnania. Niech widmo wiecznego potępienia zatrwoży twoją duszę.

Śmierć i potępienie? Czegoś tu nie rozumiał. Albo się przesłyszał.

– Zaraz, zaraz. Przecież zostałem skazany na banicję.

– My nie splamimy naszych rąk krwią, ale ci, którzy czekają na ciebie poza wałem muintiru, nie wydają się mieć takich oporów.

Abbas nie mógł się powstrzymać przed uśmiechem zadowolenia – takim, jaki maluje się na twarzy nauczyciela, któremu udało się zaskoczyć zarozumiałego ucznia.

Ainar zaklął po cichu i splunął, ale szybko się opanował. Nie miał zamiaru okazywać, że groźba princepsa zrobiła na nim wrażenie. Aż do tej chwili był przekonany, że żaden z jego prześladowców, a było ich wielu, nie miał pojęcia o miejscu jego pobytu. Sam nie był pewny, gdzie się znalazł, gdy miesiąc temu, ranny i wycieńczony, przedarł się przez okoliczne mokradła i dotarł do zapomnianego przez świat klasztoru położonego nad niewielkim jeziorem

między wzgórzami. Czyżby więc Maelruain kłamał? Skald zaczął nawet rozważać, czy nie zabić princepsa. Miał przy sobie nożyk, który na szpakowatego i cherlawego mnicha powinien w zupełności wystarczyć. Ale: przy wejściu czekało dwóch mnichów-osiłków, z którymi nie poszłoby mu tak łatwo, poza tym mógł tu jeszcze zostać przez cały następny dzień. A przez ten czas wiele mogło się wydarzyć. Przekonał więc sam siebie, że będą jeszcze inne okazje do zabicia opata. Choć gdy teraz patrzył na jego uśmiechniętą złośliwie twarz, miał ochotę ukatrupić go na miejscu. Powstrzymał się jednak i darował munkowi życie. Albo raczej odroczył wyrok.

Dziewczynka, nie zważając na przejaw grzesznej próżności opata ani na zadumę Ainara, wskoczyła na pryczę, wjechała konikiem na ramię Skalda i zawołała „ihaaa”.

5

Następnego dnia kaznodzieja odwiedził go dopiero wieczorem. Tak jak zwykle uklęknął przed krzyżem wiszącym na ścianie, wymamrotał modlitwę w języku Romverjów i usiadł na pniaku pośrodku izby. Następnie oznajmił:

– Są cztery natury świata.

Wspaniale. Kolejne kazanie – burknął do siebie Skald, a trochę głośniej dodał:

– Cztery? Myślałem, że wszystkiego macie po jednym.

– Cztery – opat pokazał to na palcach, jakby mówił do głupka – ale tworzą Jedność. Pierwsza – Maelruain złożył pięść, a uniósł kciuk – to natura tworząca, ale nie stworzona, czyli Bóg. Był pierwotny i niepoznawalny. Źródło i cel wszystkiego.

Ainar ziewnął.

– Druga – kontynuował mnich, dokładając do kciuka palec wskazujący –

natura tworząca i stworzona. Zespół idei, poprzez które możemy poznać Boga. To Logos, Syn Boży, przez którego Bóg stworzył świat...

Pieśniarz założył nogę na nogę i zaczął czyścić podeszwy butów. Bardziej niż kazanie interesowały go osoby, które czekały na niego za wałami klasztoru. Opat nie znał lub nie chciał zdradzić ich imion. Skald obstawiał, że to Brodir i jego drottnadowie. Już od jakiegoś czasu deptali mu po piętach i tylko oni byli tak zawzięci, by podążyć za nim do tej zapomnianej przez bogów mniszej twierdzy. Głupcy myśleli, że nadal ma przy sobie srebro jarla Haralda Hakonssona.

– Trzecia – opat dołożył kolejny palec – jest naturą nietworzącą i stworzoną. To świat rzeczywisty, będący urzeczywistnieniem boskich idei. Sam będąc stworzonym, nie jest w stanie tworzyć nowych idei ani kreacji wielkich i miłych Bogu.

Znajda przemknęła przed oczami mnicha, trzymając w uniesionej ręczce figurkę żurawia i krzycząc „fru, fru”.

– A figurka – Ainar przerwał czyszczenie buta – którą wyrzeźbiłem? Czy jest dowodem mojej boskości? Tego, że potrafię tworzyć?

– Nie bluźnij, geincie. To tylko marna, choć ładna, imitacja prawdziwego ptaka. Nic nie stworzyłeś, tylko skopiowałeś naturę.

– A poematy, które układam? Jest w nich boska moc tworzenia?

– One tylko opisują rzeczywistość, nieważne jak doskonałe są w swojej formie. Ale dobrym tropem podążasz. Są pisma, które tworzą rzeczywistość, są natchnieniem dla ludzi i kolebką idei. Ale choć zapisywane są ręką ludzką, powstają dzięki podszeptom Logosu. Sam człowiek w swojej ułomności nie jest bowiem w stanie stworzyć niczego oryginalnego.

Skald skrzywił się, unosząc jedną brew. Jego dzieła wydawały mu się bardzo oryginalne. Gdy rzeźbił, starał się niczego nie kopiować, ale dodawał naturze coś od siebie. Czasem był to inny kształt piór w ogonie żurawia, niekiedy osiem nóg konia. Jego poematy pisane według ścisłych reguł miar

galdralag, malahatt bądź kviduhatt miały doskonałą formę, błyskotliwą treść i metaforyczne znaczenie. Zgadzał się jednak, że nie stworzyłyby ich bez natchnienia. Bez krzyku Göllnira. Czuł jednak, że nie warto kłócić się z opatem.

– I w końcu – podjął wątek mnich i uniósł palec serdeczny. Sprawilo mu to nie lada trudność, gdyż mały palec chciał bardzo dołączyć do swoich towarzyszy; musiał go więc przytrzymać drugą ręką – mamy czwartą naturę. Naturę nietworzącą i niestworzoną. Natura ta jest tożsama z pierwszą. To Bóg, do którego dąży całe stworzenie. Kres i początek świata.

Trzylatka potknęła się o nogę munga i padła na twarz. Usłyszeli trzask, a zaraz potem płacz dziecka. Dziewczynka wstała i pokazała im żurawia ze złamaną szyją. Podbiegła do Ainara i wskoczyła mu na kolana. Pochlipując i ocierając umorusaną twarzyczkę o koszulę Skalda, powtarzała mu spod pachy:

– Ja nie będę płakać, tata.

Za każdym razem, gdy to mówiła, zanosila się głośniejszym płaczem. Poeta nie bardzo wiedział, co zrobić, mung wydawał się wiedzieć jeszcze mniej. W końcu Finn-Gall poklepał ją po plecach i zapewnił:

– Zrobię ci nową figurkę. A wieczorem dostaniesz piwo.

Dziewczynce od razu się poprawiło. Dalej popłakiwała, ale już na tyle cicho, że dorośli mogli wrócić do rozmowy.

– Ładnie to sobie wymyśliłeś – Ainar zwrócił się do mnicha. – Trzeba ci przyznać. Domyślam się, że *divisio* i *analysis* są regułami rządzącymi tymi naturami. Poprzez *divisio* pierwotna Jedność, niestworzona i tworząca, objawia się w Logosie. Ten z kolei tworzy wielość świata rzeczywistego, czyli trzecią naturę. Tutaj zaczyna się proces *analysis* i wielość, istota trzeciej natury, powraca do Jedności, z której powstała. Czwarta natura jest zwieńczeniem *analysis*. Mam rację?

Maelruain uśmiechnął się. Rozpierała go duma z postępów ucznia.

– Wiedziałem, że nie marnuję tu czasu – przyznał. Prawdą jest, że skaldowie to jedyni geinci, którzy na drogę objawienia mogą wejść za pomocą rozumu. Skoro zatem poznałeś prawdę o świecie i Bogu, to czy weźmiesz udział w rytuale zanurzenia i zostaniesz prawdziwym, jak wy to nazywacie, *kristrmaðr*^[55]?

– Pozostanę przy *primasignan*.

Princeps był wyraźnie zawiedziony, bo wymyślony przez Kościół specjalnie dla geintów z Północy „rytuał oznaczenia krzyżem” tak naprawdę nie świadczył o szczerym nawróceniu. Wyznawcy bogów dawali się oznaczyć tylko po to, by móc swobodnie handlować z kristmadami i służyć w armiach bogobojnych królów iryjskich. Zgarbił się jeszcze bardziej na pniaku i wlepił oczy w swoje sandały. Porażka uczyniła go starszym, niż był w rzeczywistości.

– Jesteś jak ta żaba – rzekł w końcu – która tapla się w błocie błędnych doktryn i nie tylko odrzuca prawdziwą naukę, ale w swojej głupocie rechoce z niej.

Ainar roześmiał się. Faktycznie śmieszyła go ta religia, choć za błotem nie przepadał.

– Kristus trzy dni leżał w grobie, ukrzyżowany za grzechy ludzi, zanim zmartwychwstał i otworzył grzesznikom drogę do raj. Zrobił to wszystko z miłości do ludzi. Widać jednak serca Finn-Gallów są zbyt zatwardziałe, by dostrzec i wykorzystać tę łaskę, z której inni korzystają już ponad dziewięć setek lat.

Skald wiedział, że umarli mogli wstawać z ziemi po trzech dniach, a nawet szybciej. Na Północy zwano ich draugami. Ale wstawali nie z miłości, tylko z nienawiści i kalali świat żywych swoim trupim bezdechem, dopóki nie rozerwali na strzępy swoich zabójców. Po co ktoś miałby czcić martwego boga, który nie umiał się nawet zemścić za swoją śmierć? Jedyne powód, jaki przychodził mu do głowy, to taki, że ich bóg znał zaklęcie na zamianę wody w wino. Przydatna rzecz.

– Przemyśl to jeszcze – cicho dodał munk, kręcąc głową. – Do północy masz opuścić klasztor. Gdybyś zdecydował się pójść drogą oświecenia, daj mi znać.

Niewiele z tego, co mówił abbas, Ainar brał na poważnie. Ale nurtowała go jedna sprawa.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? Nie idziesz śladem innych paparów, którzy opowiadają w kółko sagę o Kristosie, pokropują wszystko wodą i wymachują krzyżem przed oczami. Jesteś inny.

– Albowiem, jak nauczał nas Eriugena: *Nemo intrat in caelum nisi per philosophiam* – „Nikt nie wejdzie do nieba inaczej jak przez filozofię”. Wydałeś mi się wystarczająco mądry, by wypróbować to na tobie.

Poeta uśmiechnął się i skinął głową. Też uważał się za mądrego.

– Wieczorem przyślą ci ostatni posiłek – mnich rzucił na odchodne. – Dostaniesz, co mamy najlepszego.

Po wyjściu opata pieśniarz wrócił do tego, co robił przed jego przyjściem. Do planowania ucieczki. Nie zamierzał pozwolić, by zakonnicy przekazali go wrogom jak owieczkę na rzeź. Nie dostrzegał, wbrew zapewnieniom paparów, żadnego pasterza, który by nad nim czuwał. Zresztą iryjską opowiastkę o pasterzu i owieczkach uważał za głupią – pasterz może i czuwa nad zwierzętami, ale tylko po to, by je później ogolić, zarznąć i zjeść. Zamiast liczyć na pasterski kostur, wolał odzyskać broń oraz wierzchowca.

Miał kilka możliwości. Najłatwiejszym sposobem ucieczki byłoby namówienie strażników do współpracy. Albo zabicie ich. Tyle że munkowie zupełnie nie zwracali uwagi ani na jego życzliwe propozycje, ani na groźby. W ogóle nie chcieli z nim rozmawiać, tak że Ainar zaczął wątpić, czy w ogóle potrafią mówić. Ich opór podsunął mu pomysł, żeby podpalić dom, zaczynając od ściany, za którą stali, i próbować się tamtędy przebić. Nie miał jednak pewności, czy wcześniej nie udusi się dymem, no i żał mu było trochę dziewczynki, której nie zamierzał zabierać ze sobą. Zresztą nie miał ognia ani

oliwy pod ręką. Możliwy byłby również podkop, ale nie bardzo chciało mu się brudzić rąk. Pewnie i tak nie zdążyłby go wykopać. Został mu więc dach. Zdarzało mu się wchodzić tą drogą do budynków, ale jeszcze nigdy wychodzić. Rozbiórka dachu od wewnątrz była znacznie trudniejsza niż od zewnątrz, ale jednak możliwa.

Podskoczył i chwycił rękami jedną z czterech belek łączących dłuższe ściany. Podciągnął się, przełożył łokcie i uniósł tułów, tak że belka znalazła się na wysokości jego pasa. Znajda zapiszczała z zachwytu. Przełożył lewą nogę, usiadł i wstał, wyciągając ręce dla utrzymania równowagi. Podeszedł do ściany i chwycił się trójkątnego dachu w miejscu, gdzie zeszłej nocy zaczął pracę. Wyciągnął nóż z pochwy na szyi i wziął się do podważania kolejnych deszczulek.

– Co robisz, tatku?

Znowu to samo. To dziecko mnie zamęczy – wyszeptał, a na głos powiedział:

– Bawię się w pajaka i chcę ci nałapać much na kolację.

Na potwierdzenie swych słów plasnął dłonią siedzącego obok owada i rzucił go w stronę dziewczynki. Znajda uskoczyła przed pociskiem, strasznie przy tym piszcząc.

– Ty się wygłupiasz, tata – oświadczyła i roześmiała się. – Much się nie je.

– Je się, tylko trzeba skrzydełka odrywać. Pajaki je wcinają i patrz, jakie są zwinne.

Znajda znów zachichotała.

– A dlaczego trzeba odrywać skrzydełka? – zapytała już mniej pewna swego.

– Żeby ci nie uciekły z miski.

– To ja ich nie będę urywać. Niech sobie uciekają.

Wobec takiej odpowiedzi nawet Ainar się uśmiechnął. Mądra dziewczynka – pomyślał. Szkoda, że będzie musiał zostawić ją wśród ponurych mnichów.

Wiedział, że również i ten klasztor, tak jak wszystkie inne w tej krainie, przyjmował kiedyś dzieci na kilkuletnie wychowanie. *Fosterage* był popularnym zwyczajem, także i w północnych krajach. Dotyczył jednak bardziej dzieci możnych niż osieroconych dziewczynek. Poeta podejrzewał, że mnisi nie będą sobie zawracać nią głowy i podrzucą jakiejś rodzinie wolnych gospodarzy, zwanych tutaj *fine*.

– Te może uciekną – podjął wątek – ale mnisi na pewno przyniosą nam muchy na kolację. I to bez skrzydełek.

– Śmieszny jesteś, tata. – Znów zachichotała.

– Ty się nie śmiej, tylko powiedz, czy wolisz muchy zapiekane w cieście, czy topione w piwie? Ja zamawiam te w piwie.

– Ty głupoty mi mówisz. – Tupnęła i zmarszczyła nosek. Jednak po chwili z niepokojem zaczęła zerkać na drzwi.

Nożykiem do strugania obrobił kolejną deszczułkę, a potem następną. Dziewczynka spoglądała na niego z dołu, o dziwo w ciszy. Wreszcie skończył. Teraz musiał tylko mocnym szarpnięciem zerwać deseczki, odłożyć je na belki i precyzyjnie się przez dziurę. Ale nie zamierzał tego robić już teraz. Opat obiecał mu ucztę skazańca, a jak uczyła go babka, niegrzecznie jest wychodzić tuż przed wieczerzą. Zresztą nie ma nic gorszego niż uciekanie z pustym brzuchem.

Gdy tylko słońce schowało się za widnokrzem, gruby mnich przyniósł im kolację. Znajda powitała go śmiechem i piskiem. Ostrożnie przyjrzała się tacy z jedzeniem, a potem rzuciła Ainarowi zwycięskie spojrzenie, mówiące: „Miałam rację, nie będziemy jedli much”.

Maelruain nie kłamał. Rzeczywiście dostali to, co najlepsze. Na tacy znalazł się cały bochen okrągłego chleba, pasztet z kaczki, śledzie w śmietanie i dzban piwa. Wszystko pachniało przepięknie, co zaostriło ich – i tak niedźwiedzi – apetyt. Wzięli się do jedzenia. O wieczerzaniu w ciszy pieśniarz mógł jednak tylko pomarzyć.

– Tata, opowiedz mi sagę.

– Jedz.

– Proszę!

Dziewczynka popatrzyła na niego niebieskimi oczętami. Kiedyś staną się przyczyną niejednej bójki – pomyślał. W jej króciutkich, ciemnych włoskach już tkwiły okruszki chleba, a nosok był ubrudzony śmietaną, mimo że dopiero zaczęli jeść.

– A może tym razem to ty mi opowiesz? Na przykład o swojej matce.

Ainar kilkakrotnie o to pytał, ale za każdym razem dziewczynka tylko płakała i upierała się, że imię jej rodzicielki brzmi „mama”. Teraz też łzy napłynęły jej do oczu i jak zwykle powiedziała:

– Mama poszła spać. I już nie wstanie.

– Pewien lisek żył w lesie – zaczął Skald, widząc, że mała zaraz się rozplacze. – Był synem Brunn-migiego i był cały rudy. Tylko na jego szyi lśniła biała łata, która miała kształt obroży. Dlatego nazwano go Hring, czyli Kółeczko.

Pieśniarz ugryzł kawałek pasztetu i popił piwem.

– Był z niego znakomity młodzieniec, sprytny i szybki. Był też jednak strasznie ciekawski.

Znajda zapomniała o płaczu i żuła śledzia, strasznie się przy tym krzywiąc.

– Bardzo chciał wiedzieć, z czego ludzie robią czapki na zimę. Chodził więc po całym lesie i pytał. Spytał brunatnego niedźwiedzia o zębach długich jak moje palce – Ainar pokazał dziewczynce rozłożoną pięść – potem szarego wilka o pazurach ostrych jak mój nóż – wyźłobił ślad w ławie, na której siedział – a w końcu jelenia tak chyżego jak ta myszka, która przed chwilą przebiegła koło ciebie.

Dziewczynka rozejrzała się bardziej zaciekawiona niż przestraszona, ale żadnej myszki nie dostrzegła.

– Wszyscy mówili mu jednak – kontynuował poeta, drapiąc się nożem po

skroni – że sprawy ludzi nie powinny go obchodzić. Nie chciał dać za wygraną i postanowił spytać samych ludzi.

– Kiedyś widziałam lisa. Był rudy.

– Nie przerywaj. Pewnego razu, gdy do lasu przyszli myśliwi z włóczniami, łukami i mieczami, wszystkie zwierzęta pouciekały, tylko mały lisek podszedł prosto do ludzi i zapytał, z czego zrobione są ich czapki.

Skald wziął się do śledzi. Nie zanosił się na to, że zamierza ciągnąć opowieść.

– I z czego są zrobione? – nie wytrzymała dziewczynka.

– Z lisich futerek. Dlatego myśliwi zabili liska, zdjęli z niego skórę, wyprawili ją i zrobili z niej czapkę.

– Brzydka ta saga – oznajmiła płaczącym głosem.

– Ta. A wiesz, co z niej wynika?

– Mam o nic nie pytać?

– Nie. Pytać możesz, ale odpowiedź nie zawsze musi ci się spodobać. Może być nawet śmiertelnie groźna.

Skald zwięził oczy i zrobił groźną minę. Co dziwne, mała wcale się nie przestraszyła, tylko roześmiała.

Skończyli śledzie i pasztet, teraz zajadali się samym chlebem. Ainar urywał sobie kawałki z jednej strony, Znajda rozgrzebywała go z drugiej. Skald właśnie dopijał resztki piwa, gdy zobaczył, że mała znalazła coś w bochenku i oczyszcza to z okruszków.

– Czym się bawisz?

Pokazała. Tym razem to jemu nie spodobała się odpowiedź. Trzylatka trzymała w rączkach ludzkie ucho.

Przyszli po Ainara przed północą. Zaprowadzili go do kuchni, która mieściła się w budynku przylegającym do refektarza. Tam pewien mnich piekł się na rożnie. Ktoś przewiesił jego ciało przez żelazny pręt wiszący nad dogasającym paleniskiem. Zarówno dłonie, jak i stopy zabitego dotykały podłogi. Habit został podwinięty powyżej *cingulum* – sznura opasającego ubiór ofiary – i teraz jego dolna, nadpalona część zakrywała głowę. Tym samym wątpliwej urody owłosione nogi i tłusty tyłek gorszyły swoją nagością prawie wszystkich zebranych zakonników. Prawie, bo jeden z młodszych munków, cały zarumieniony, to zerkał na zmarłego, to wlepiął wzrok w plamy na drewnianej podłodze.

Ainar podszedł do przypieczzonego mnicha i z niechęcią pomacał jego jądra. Były puste. Niedługo przed śmiercią musiał odbyć stosunek. Poeta chwycił duchownego i zrzucił go z rożna. Ciało wylądowało na plecach, a nogi zamordowanego wpadły do dziury wyciętej w podłodze, rozrzucając żarzące się węgle z paleniska. Kilka z nich poturlało się pod podłogę, ale było ich zbyt mało, by wzniecić pożar.

Skald przyjrzał się ciału mnicha. Tak dla pewności, gdyż niemal miał pewność, co zobaczy. Ręce – aż po łokcie, i nogi – aż po kolana, były poparzone, a tłące się rękawy habitu miały wypalone dziury. Pod brzuchem widniała czerwona pręga – odbicie gorącego rożna. Łysy czerep był zaróżowiony, oszpecony białymi bąblami oraz spopielonymi brwiami. Poza tym brakowało ucha, a szyję zdobiła sina pręga. Nie było wątpliwości – przed podpiekaniem na rożnie mnich został uduszony.

W kuchni znajdowała się ledwie garstka zakonników, ale lamentu robili za kilkudziesięciu. Opat, kilku seniorów, postawni strażnicy Ainara oraz dwóch młodych paparów. Po przestraszonych minach tych ostatnich poeta domyślił się, że to oni znaleźli zwłoki. Często się zdarza, że właśnie zabójca, pragnąc uniknąć podejrzeń i ponapawać się swoim dziełem, „odnajduje” swoją ofiarę. Ale ci mnisi cali się trzęśli, mamrotali modlitwy i zalewali łzami jak małe dziewczynki. Z pewnością brakowało im czegoś między nogami, by byli

w stanie udusić i utopić starszego munka. Tylko co robili tak późno w nocy w kuchni?

Podobne wątpliwości musiał mieć opat, który przywołał do siebie młodzieńców i skarcił ich wzrokiem. Nie musiał o nic pytać. Tchórze sami się do wszystkiego przyznali.

– Wybacz nam, abbasie – poprosił ten, który szybciej powstrzymał się od płaczu. – Jesteśmy słabi i zostaliśmy skuszeni. Nie mogłem spać w nocy, więc wyszedłem na spacer, by pod gwiazdami doświadczyć wspaniałości bożego stworzenia i modlić się o sen. Spotkałem brata Cathala i... – zawahał się – razem zgrzeszyliśmy. Nie zważając na pokutę milczenia, którą na nas nałożyłeś, zaczęliśmy rozmowę. Wspólnie doszliśmy do kuchni i zobaczyliśmy światło dobiegające ze środka. Pospiesziliśmy tam w obawie, że zostawiono rozpalone palenisko i budynek może spłonąć. I wtedy – wzdrygnął się na to wspomnienie i znów łzy popłynęły mu po policzkach – znaleźliśmy ojca Adomnana.

– Płacz, bracie Malo, płacz – zachęcił go opat, który poklepał papara po ramieniu, choć jego głos nie złagodniał. – Należy opłakiwać zmarłych. A waszą sprawą zajmiemy się w bardziej odpowiednim czasie i z należytą uwagą.

Nawet Ainar nie miał wątpliwości, że oznaczało to surową pokutę. Bez względu na to, czy młodzi mnisi rzeczywiście tylko rozmawiali. Wyrył sobie w pamięci imiona tych munków, Malo i Cathal, gdyż również planował rozmówić się z nimi. A nuż wiedzieli coś o tajemniczym ojcu Znajdy.

Skald czekał, aż abbas przywoła i jego. Nie zależało mu na przeprosinach, ale miło byłoby zobaczyć, jak princeps przyznaje się do błędu i fałszywych oskarżeń. Ale że nic takiego nie nastąpiło, poecie nie pozostawało nic innego jak uznać, że mnisi uznali go za niewinnego. W końcu ostatnie dni spędził w zamknięciu i nawet najgłupszy spośród nich nie mogli mu zarzucić popełnienia kolejnego morderstwa. Chociaż sądząc po cudach, w jakie wierzyli, wszystkiego można się było po nich spodziewać.

Rzucił przelotne spojrzenia swoim strażnikom i puścił do nich oczko. Nie zwrócili na niego uwagi. Podszedł więc ponownie do ciała i rzucił na nie ucho, które trzymał ukryte w rękawie koszuli. To zauważyli wszyscy. Podniósł się harmider, a niektórzy munkowie zaczęli wytykać go palcami i żegnać się w zwyczajowym geście odganiania złych mocy. Strażnicy zrobili krok w jego stronę, wyraźnie zamierzając położyć mu łapy na ramionach. Wszystkich powstrzymał opat, który chrząknął, wyjął dłonie z rękawów habitu, zamasyście podniósł ręce na wysokość szyi, po czym wolno je opuścił. Mnisi zrozumieli. Należało zachować milczenie i spokój z szacunku dla zmarłego. Paparzy powrócili więc do kontemplowania, a Ainar napawał się chwilą zwycięstwa. Podziękował w myślach strażniczce swego szczęścia, fylgji, która przytuliła go do cycków, nie pozwalając na ucieczkę zeszłej nocy.

W końcu z otępienia wyrwało się kilku seniorów, by zadbać o zwłoki. Bezuchy mnich z gołą dupą nie wyglądał świątobliwie i mógł rozpraszać nawet modlących się munków. Zmarłemu poprawiono habit, by zakryć nagość. Jeden ze starszych paparów wyczarował skądś białą tkaninę i zakrył nią ciało, od szyi po stopy. Opat podszedł do swojej martwej owieczki, zrobił znak krzyża na jej czole i zamknął powieki. Pieśniarz pomyślał, że jest świadkiem kolejnego bezsensownego zwyczaju paparów i marnowania okazji, by się czegoś dowiedzieć. W oczy powinno się spojrzeć, a nie zamykać je. Jeśli zabójstwa dokonano niedawno, można było ujrzeć w źrenicach ostatnie chwile życia mnicha, a być może i twarz mordercy. „Oczy nie zapominają” – głosiło stare porzekadło.

Jeden z munków wybiegł z kuchni. Skald uznał, że pewnie jest tchórzem ze słabym brzuchem, ale po chwili zrozumiał, że był w błędzie. Usłyszeli bicie dzwonu. Jeden ze strażników – który, jak się okazało, nie był niemową – wyjaśnił poecie, że to sygnał, by mnisi zebrali się w kapitularku. Pobrmiewająca metalem pieśń dzwonu organizowała całe życie paparów niczym bat na niewolniczym statku ciemnych Serkirów. Stawiała ich na nogi nie tylko podczas stałych, modlitewnych pór dnia, ale za każdym razem,

gdy wydarzyło się coś niezwykłego. A widokowi mnicha pieczonego na różnie nie sposób było odmówić niezwykłości.

Oczywiście ciekawość, której munkowie tak się wypierali, spotęgowana przez lament i głośne modlitwy, już wcześniej obudziła większość mnichów. Trudno by było inaczej – zanim abbas zarządził ciszę, zgromadzeni przy ciele paparzy beczeli jak owce na widok wilka. W klasztorze mieszkali jednak i głusi starcy, którym należało pomagać we wstawaniu. Poza tym wielu paparów mieszkąło poza wałem, wiodąc w pełni eremicki żywot, polegający na zjadaniu korzonków i sypianiu na posłaniu z jarzębiny. Życie na łonie natury nie zwalniało ich jednak od żelaznych reguł oznajmianych dźwiękiem dzwonu. Musieli stawiać się na każde jego wezwanie. Ainar pomyślał, że głupi munkowie nie do końca zapomnieli o tradycji filidów, mędrców z dawnych czasów. Znane już im zalety owoców jarzębiny i spania pod chmurką mogły dawać mądrość i natchnienie, choć jemu, poecie z Północy, wystarczał do tego mocny miód.

Odar smid, kowal słów, wraz z innymi wyszedł na zewnątrz. Bicie dzwonu przstraszyło również nietoperze, dotąd spokojnie drzemiące w dzwonnicy, a także wrony, które zerwały się z dachu refektarza. Ze wszystkich stron po drózkach człapali zaspani, ale i podnieceni paparzy, by połączyć się w jedną pielgrzymkę zmierzającą do kapitularza. Wilk zjadł tej nocy aż połowę księżycy, ale ocalała część, wspomagana przez gwiazdy, dawała wystarczająco dużo światła.

Nikt nie chciał z nim rozmawiać. Grzeczni chłopcy słuchali swojego szpakowatego ojca i starali się zachować ciszę. Poeta miał już dość tych munków bez skazy, którzy wstawali, jedli, modlili się i spali na rozkaz. Rzeczywiście musieli mieć między nogami trzonki zamiast młotów. Gdy jego ojciec w dzieciństwie próbował mu narzucić kijem pory wstawania i pracy na gospodarstwie, wierzgał, przeklinał i oddawał mu, czym tylko mógł. I nigdy się nie ugiął.

W końcu pieśniarz znalazł mnicha, który nie trząsał się jak sarna podczas

podrzynania gardła i nie nadstawiał pleców do bicia za każdym razem, gdy opat podnosił głos. Był to młodzieniec, z którym wcześniej nawiązał nic porozumienia nazywaną przez papara przyjaźnią, a przez Ainara korzystną znajomością. Na imię miał Finlog i wyglądał na przeciętniaka. Był średniego wzrostu, ani za chudy, ani za gruby. Nawet jego włosy wydawały się nijakie – po prostu szare. Wyróżniał się jedynie długim, garbatym nosem oraz błyskiem w oku, który zdradzał, że ascetyczne życie nie zdołało zabić w nim młodzieńczej tęsknoty za przygodą.

Już wcześniej zdarzało się, że młody mnich wyjaśniał Skaldowi, jak jest zorganizowane klasztorne życie. To właśnie on zdradził mu, że munkowie dzielą się na braci, którzy tylko się modlą, i ojców, którzy przewodniczą mszom, jak nazywali wspólne modlitwy. Ainar miał nadzieję, że teraz dowie się czegoś ciekawszego.

– Wiele się wydarzyło, gdy cię więziono – szepnął Finlog, osłaniając usta dłonią. Jego odwaga miała swoje granice, a rozwiązywała mu język tylko pod warunkiem utrzymania rozmowy w tajemnicy przed opatem. Dobrze i to – pomyślał Skald. – Wśród tchórzy nawet bojaźliwy jest bohaterem. A młody zakonnik ciągnął: – Po pierwsze, mieliśmy trzydniowe modlitwy i msze żałobne za ojca Nannyda. Później odbył się pogrzeb. Zmarłego ubrano w najlepszy habit i przyszyto mu ucho, by usłyszał słowa niebiańskiego furtianina. Potem...

Przez jakiś czas Finlog nudził go opowieścią o pogrzebie, ale Ainar nie przerywał mu w nadziei, że dowie się czegoś ważnego. Niewiele tego było. Usłyszał, że Nannyda pochowano na cmentarzu w okolicach wieży. Mnich nie omieszkał też wyjaśnić, że zakopują zmarłych w obrębie muintiru, by groby przypominały żywym o kruchości ich ciała i nieuchronności śmierci. Poecie wydało się to głupie, tak jak ta sprawa z owadami. Skoro munkowie ciągle chcą pamiętać o śmierci, to zamiast narzekać, powinni wielbić najeźdźców z Północy, najlepszych nauczycieli ulotności życia.

– Musisz też wiedzieć – zmienił temat młody papar – że wielu z nas wątpiło

w twoją winę. Przecież nie miałeś powodów, by zabijać ojca Nannyda. Nawet go nie znałeś.

Powód zawsze mógł się znaleźć. Nudził się tutaj okrutnie, a świętoszkowaci munkowie z każdą chwilą denerwowali go coraz bardziej. Ale nie byłoby rozsądnie zdradzać to młodzieńcowi.

– Słusznie. Szkoda, że wasi seniorzy tego nie dostrzegli.

– Są starzy i pamiętają czasy, gdy Finn-Gallowie plądrowali te ziemie. Choć nigdy się do tego nie przyznają, zaślepiła ich nienawiść. Niektórzy mówili nawet, że ciebie i twoich rodaków nie powinno się nawracać. „Jaka to kara – pytali – jeśli zbrodniarz po śmierci wejdzie do Królestwa Bożego? Sprawiedliwy byłby dla niego ogień piekielny” – upierali się. Opat ich jednak zganił i pouczył, że po pierwsze, każdy może zostać zbawiony, a po drugie, nie znaleziono niezbitych dowodów twojej winy. Nie zdołał cię uratować, choć starań nie można mu odmówić. Wszyscy seniorzy głosowali przeciwko tobie, a princeps nie mógł otwarcie sprzeciwić się woli całego gremium. Zrobił jednak dla ciebie coś więcej. Przekonał seniorów, by pozwolono ci zapoznać się z nauką Kristosa. „Ocalę jego duszę, jeśli ciała nie mogę” – powiedział nam wtedy.

Ainar wprost nie umiał wyrazić słowami wdzięczności za łaskę okazaną mu przez opata. Miał za to ochotę okazać ją gołymi pięściami.

– A kto dokładnie należy do tych seniorów? – Spróbował niewinnie się uśmiechnąć, ale jak zwykle wyszła mu szpetna mina. Niewinność nie pasowała do blizn na twarzy.

– No jak to? Ojciec Rudan, Senach ... – Papar zawahał się. – A dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Chciałem im podziękować, że zmienili zdanie i uznali mnie za niewinnego. Nie jest łatwo przyznać się do błędu.

– Aha. – Finlog odetchnął z ulgą. – Bo zabrzmiało to tak, jakbyś chciał im... no wiesz... coś zrobić. Nie opuszcza cię humor.

A jednak poeta miał rację. Wszyscy paparzy to głupcy. Tego chyba klacz kopnęła, gdy był mały. Pieśniarz miał ochotę roześmiać mu się w twarz i opowiedzieć, co zwykł robić z tymi, którzy nastają na jego życie. „Gdy ktoś raz chce cię zabić, będzie próbował i drugi” – wpoila mu w dzieciństwie babka. Coraz trudniej przychodziło Skaldowi udawanie życzliwości, ale musiał się przemóc, jeśli chciał się jeszcze czegoś dowiedzieć.

– Wystarczy już tych żartów – zganił go mnich, przyjacielsko kładąc mu rękę na ramieniu. Ainar nienawidził, gdy się go dotykało. – Jak już mówiłem, wielu z nas nie wierzy w twoją winę i podejrzewa, że prawdziwy morderca jest dalej na wolności. W klasztorze zapanowała groza. Mnisi boją się własnego cienia, nie ruszają się nigdzie pojedynczo, a po wesperach prawie biegiem udają się do swoich celi w obawie przed mrokiem. Tym bardziej że zaczęły mieć miejsce osobliwe wydarzenia. Kilka rzeczy zginęło, a w nocy słyszano dziwne hałasy. Trzask drzwi, skrzypienie dachu, odgłos kroków.

Tchórzliwi paparzy. Też mi nowość – burknął w duchu Skald, ale na głos powiedział coś innego:

– Nietrudno to wyjaśnić. Macie w klasztorze złodzieja, który grasuje nocą.

– Nie. To nie to. Albo przynajmniej: nie tylko. Bo widzisz, niekiedy daje się słyszeć jeszcze inny hałas. Odgłos, który w tym świętym miejscu nie powinien się rozlegać. – Młody mnich rozejrzał się, czy aby na pewno nikt ich nie słyszy i jeszcze bardziej przybliżył usta do ucha Skalda. – Jest to bowiem krzyk, ale taki specyficzny. Gorszący i niemiły dla ucha. Obrzydliwy, powiedziałbym nawet. Słyszałem go jeszcze w czasie, kiedy nie byłem zakonikiem, a moje życie było grzeszne. Hm. Naprawdę trudno mi o tym mówić i pewnie nie powinienem. Ale... może ma to związek z tymi morderstwami? Sam nie wiem. Bo to jest, jakby ci to powiedzieć, wrzask rozkoszy, a czasem tylko jęk. I zawsze jest to męski głos.

Poety nie powinno zdziwić to wyznanie. Zawsze uważał za podejrzanego miejsca, gdzie mężczyźni żyli ze sobą w zamknięciu, bez kobiet i przez długi czas. Mierziło go to, jak każdego zdrowego wojownika, ale nie urodził się

wczoraj. Wiedział, że takie rzeczy się zdarzają, nawet u nich, na Północy. Miłośników ergi nigdzie nie brakowało. Problemem były zwłaszcza długie morskie wyprawy, kiedy kilkudziesięciu mężczyzn musiało spać przytulonych do siebie na ciasnym okręcie. Różnie umilano sobie czas. Ale gdy złapano kogoś na udawaniu kobiety, wiązano go i wrzucano do morza. A by jego hańba była znana i żywym, i martwym, po dobieciu do brzegu stawiano mu *treniðr*, słup hańby, by upamiętniał niegodne czyny skazanego.

Finlog nie miał powodów, by kłamać. Jednak Ainar wiedział, że podejrzliwość zawsze popłaca.

– Ja niczego takiego nie słyszałem.

– Odgłosy dochodzą tylko z mniszych cel, a dom gościnny jest od nich oddalony.

Proste wyjaśnienie, trudno było się z nim nie zgodzić. Ale młodzieniec podał je bardzo szybko, zbyt szybko, jakby było wyuczone. Pieśniarz podejrzewał więc, że młodzian może wiedzieć więcej.

– To czego ode mnie oczekujesz? Mam wytropić rozpustników i ich uciszyć?

– Uciszyć? Co przez to rozumiesz?... Na Stwórcę, nie! – prawie krzyknął munk. – Musisz zrozumieć, że takie rzeczy się u nas nie zdarzają. Dlatego wydało mi się to podejrzane, zwłaszcza w obliczu ostatnich niezwykłych wydarzeń.

– Finlogu! Sprawiasz mi zawód. – Opat zaszedł ich od tyłu i położył rękę na ramieniu młodego mnicha. Jak dla Skalda paparzy zdecydowanie za bardzo lubili się dotykać. – Będzie jeszcze czas rozmów, teraz milczeniem czcimy pamięć naszego współbrata.

– Wybacz, abbasie. – Finlog pokornie schylił głowę i schował ręce w rękawy. Tchórzostwo znów wzięło w nim górę.

Przywoławszy swoją owieczkę do porządku, princeps spojrział karcąco na Ainara. Szpakowatemu paparowi wydawało się, że zdoła go tym przestraszyć.

Ale Skald był wilkiem, nie baranem, i na widok pasterza zwykle szczyrzył zęby, a nie uciekał.

– A ty, geincie, zostałeś uwolniony, lecz nie masz prawa nam przeszkadzać. Możesz nam towarzyszyć, ale nie odzywaj się niepytany.

Człowiek z Północy wytrzymał spojrzenie mnicha. Nic nie powiedział, choć przyszło mu to z wielkim trudem. Pozwolił opatowi na to małe zwycięstwo.

Resztę drogi przeszli w milczeniu. Kapitularz nie był jednak daleko, więc Ainar zdążył wypowiedzieć w myślach zaledwie tuzin przekleństw, nim dotarli na miejsce. Budynek, w którym mnisi zwykli obradować, był niemal kopią refektarza. Tylko pachniał inaczej. Nie jedzeniem ani rozlanym piwem, ale księgami i świecami z domieszką żywicy. Od zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym: podłużny, zbudowany z belek wbitych w ziemię, o dachu krytym gontem – wiele takich można było spotkać w tym kraju czy na Północy. Za to niezwykle było jego wnętrze. Zamiast przyściennych ław, jakie spotykało się w długich domach w Östlandzie, stał tu najdłuższy dębowy stół, jaki poeta widział w swoim życiu. Zajmował prawie całe pomieszczenie. Cóż za marnotrawstwo miejsca. Nie było tu paleniska wyciętego w podłodze z desek, a głównym źródłem światła były trzy żelazne świeczniki, zawieszane na co drugiej z sześciu belek łączących dłuższe ściany. Jeden z mnichów zapalał je właśnie za pomocą długiego kija z płonącym knotem. Zrobiło się jasno jak w dzień. Ainar domyślił się, że ogień miał sprawić, by paparzy nie zasypiali podczas nocnych spotkań takich jak to.

Mnisi kolejno zajmowali miejsca na ławach ustawionych wzdłuż stołu. Na początku, czyli najdalej od drzwi, usadowił się opat. W blasku świec jego szpakowate włosy i surowe spojrzenie nadały mu wygląd krwiożerczego konunga, który za chwilę rozkaże podać pieczeń z człowieka. Chociaż sądząc po osobliwych wierzeniach munków, byłyby to pewnie pieczeń z ich boga.

Przy princepsie i po przeciwnej stronie stołu zasiedli najgrubszy albo najchudszy, kompletnie łysi albo ci z najbardziej siwymi włosami. Jednym słowem: najstarsi. Seniorzy, którzy służyli radą abbasowi. Choć paparzy

zapewniali, że wszyscy ludzie są równi przed ich bogiem, to podział miejsc w ich sali obrad nie różnił się od tego w konungowej halli. Władza zawsze znajdzie sposób, by pokazać swoją wyższość. Za seniorami siedzieli młodszy, choć pomarszczone czoła i poważne miny świadczyły, że nie najmniej znaczeni. Na samym końcu usadowiono pokornych młodzieńców, lękających się nawet podnieść głowę w obecności tylu poważanych munków. Byli to mnisi, którzy nie przeszli jeszcze inicjacji. A inicjacja ta, wbrew tradycji wszystkich zdroworoządkowych ludów, nie polegała na upolowaniu dzikiego zwierza czy zjedzeniu jego serca, ani nawet na rytualnej walce, tylko na poście, kilkudniowej modlitwie i składaniu ślubów *stabilitas, conversatio morum* oraz *oboedientia*, cokolwiek to znaczyło. Głupi ci munkowie – po raz kolejny pomyślał Skald.

Miał nadzieję, że uda mu się usiąść obok Finloga, by mogli dokończyć rozmowę, ale opat osobiście wskazał niepokornemu ascecie miejsce z dala od Östmada. Pieśniarza umieszczono na samym końcu ławy, tuż obok przyszczatego młodzieńca bez zarostu, który nawet jak na papara był bardzo strachliwy. Bał się nie tylko starszych współbraci, ale i, a może przede wszystkim, Finn-Galla. To przynajmniej Skald był w stanie zrozumieć. Spojrzał na sąsiada, wygiął górną wargę, odsłaniając zęby niczym wilk, i uniósł jedną brew, robiąc się jeszcze szkaradniejszym niż był. Przyniosło to spodziewany efekt. Młodzieniec w sukience jeszcze bardziej przytulił się do współbrata siedzącego z jego drugiej strony. Wykorzystując zwolnione miejsce, Ainar rozsiadł się wygodnie, opierając łokcie o stół. Zgłodniał. Naprawdę miał nadzieję, że podadzą coś do jedzenia. Pocięła mu ślinka na myśl o serze i piwie.

Nadzieja nie ziściła się, za co poeta przeklął niewierną fylgję. Ale ziścić się nie miała prawa, ponieważ kapitułarz służył do kontemplacji, dysput i modlitw. Skald nie rozumiał, po co w ogóle wybudowano tak nieprzydatny dom, w którym nie można było ani objeść się, ani upić, ani wyspać. W końcu mieli już jeden taki bezużyteczny budynek, zwany oratorium.

Gdy wszyscy siedzieli na swoich miejscach, a każdy z paparów zmówił po

cichu krótką modlitwę, władca mnichów wstał, dając podwładnym znak, by zrobili to samo. Ainar, oczywiście, nie miał ochoty podnosić się z miejsca. Korzystając ze sposobności, że pod stołem zrobiło się luźniej, rozprostował nogi. Żałował, że ławy nie mają oparcia, gdyż tak łatwiej byłoby się zdrzemnąć.

Munkowie złożyli dłonie do modlitwy i zwrócili się w stronę dwóch desek zbitych w krzyż, które wisiały na przeciwległej do drzwi ścianie. Pod przewodnictwem princepsa wyrecytowali sennymi, choć stanowczymi głosami loriki, których treść pozostawała dla Ainara tajemnicą. Zresztą nawet gdyby rozumiał mowę Romverjów, to akurat tę tajemnicę niespieszno byłoby mu poznać.

Po odmówieniu pacierzy abbas nakazał wszystkim usiąść, choć sam nie miał zamiaru wycierać habitem ławy. Zwyczajem paparów było, by każdy, kto przemawia, okazywał słuchaczom szacunek poprzez męczenie własnych nóg.

– Wielu z was zadaje sobie pytanie – zaczął princeps – dlaczego zaburzyłem rytm nocy, wzywając was na to niespodziewane spotkanie. Krótki sen, jaki każdy z nas co noc zażywa, jest przecież tak samo ważny w chwaleniu Włocznie Czuwającego, jak kontemplacja i modlitwa.

– Ciekawe, czy również wtedy – szepnął Skald – gdy śnią o potomkiniach Marii Magdaleny.

Pryszczaty mnich, który musiał to usłyszeć, oblał się rumieńcem.

– To jednak nie z powodu próżności czy lekkomyślności kazałem bić w dzwon, ale z powodu niezwykłych wydarzeń, jakie miały miejsce w klasztorze. Niektórzy z was już o nich wiedzą, inni, słusznie oddając się modlitwom, a nie plotkom, nie mają o nich pojęcia.

Większość munków, skarconych przez opata, pospuszczało wzrok, a tylko nieliczni nadstawili uszu i jeszcze bardziej się wyprostowali, słabo kryjąc dumę. Plotka była jedną z największych pokus paparów.

– Nastał bowiem dla nas czas próby i niepokoju. Ten Który Jest

Przeciwieństwem Dobra zakrada się w cieniu, by splamić nasze dusze. Jedność naszej wspólnoty została zagrożona przez grzech. Proście zatem Wyznawcę, by dał wam siłę z nim walczyć.

Ainara już wcale nie zdziwiło, że wszyscy mnisi przeżegnali się i to niemal równocześnie. Jeśli bali się czegoś bardziej od pokusy, był to właśnie grzech, czymkolwiek by on był.

– A w swoich modłach wspomnijcie też tego, kto został już owładnięty grzechem i sieje strach w naszym zgromadzeniu. Dwóch braci poniosło straszliwą śmierć. Zostali okaleczeni i zamordowani. I choć już sama ta zbrodnia wydaje się niepojęta, wszystko wskazuje na to, że mordercą jest któryś z nas.

Na sali zawrzało jak na targowisku niewolników w Serklandzie, południowej krainie ciemnych ludzi. Wszyscy, nawet ci najstarsi, zaczęli mówić równocześnie, a nawet wytykać się palcami. Nikt nie miał jednak nic mądrego do powiedzenia.

– Uciszcie się! – Opat podniósł głos. – Jesteśmy tu po to, by wspólnie zdemaskować zabójcę. Pomódlmy się, by Pan nasz Wszechmogący natknął grzesznika do wyznania swoich win.

To jakiś żart – pomyślał Ainar. Ale mnisi nie żartowali. Powstali i znów zaczęli recytować modlitwy i śpiewać, a przerwali te głupoty tylko po to, by odczytać ze swej świętej księgi część *Sagi o Kristosie*. Zrezygnowany Skald wstał, wrócił do swojego domu gościnnego i zasnął.

Finlog obserwował wychodzącego Finn-Galla i po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo przybysz nie pasuje do tego miejsca. Wysoki, choć nie najwyższy spośród ludzi Północy, których Finlogowi zdarzyło się spotkać,

mocno, ale i zwinnie stąpał po ziemi, tak jak to potrafią tylko biegli w walce *milites*, rycerze. Był szczupły i kościsty, choć nie wychudzony jak eremita. Przypominał raczej starożytnego atletę, którego Stwórca pobłogosławił mięśniami, a nie tłuszczem. Jego pokaleczona twarz, często wykrzywiana grymasem pogardy lub złośliwym uśmiechem, wyróżniała się pośród łagodnych i pełnych pokory oblicz mnichów. Niebieskie oczy były zimne, choć potrafiły zapłonąć żądzą mordu, gdy Skald wpadał w gniew. Gdyby nie te wszystkie blizny, niedbale golony zarost i nierówno przystrzyżone jasne włosy, mógłby uchodzić za przystojnego. Był dumny i szorstki w obyciu. Biła z niego wielka pewność siebie, tak jakby nigdy nie żałował swoich czynów i nie zważał na to, co myślą o nim inni. Mówiło o tym już samo jego ubranie, bezczelnie kolorowe na tle czarnych mniszych habitów. Niebieskie, wełniane spodnie, między kostkami a kolanami ciasno owinięte *spjarrar* – skórzanymi pasami – lniana koszula, ozdobiona na mankietach złotym wzorem, a szczególnie rzucający się w oczy krwiście czerwony *kyrtill* – tunika z krótkimi rękawami, sięgająca połowy ud i przepasana zieloną szarfą. W jego dumnej postawie było coś przyciągającego.

Nie umiał stłumić w sobie zazdrości, choć wstydził się jej. Życie pełne przygód, bez zobowiązań, bez nakazów. Była to droga, o jakiej zawsze marzył, ale nie miał odwagi jej wybrać. I dobrze, bo takie życie było grzechem, a samo myślenie o nim występkiem.

Wrócił myślami do kapitulacza. Rozdawali właśnie psalterze i lekcjonarze. Szykowały się śpiewy i czytanie *Słowa Bożego*. Najpierw jednak opat rozpoczął kolejne loriki. Wszyscy, w tym Finlog, wyrecytowali słowa znanych im modlitw.

Powtarzał pacierze mechanicznie, nie mogąc skupić się na ich treści. Oczy same się zamykały, a myśli biegły w stronę niezwykłych wydarzeń. Choć były one straszne, to jednak na swój sposób interesujące, ożywcze dla monotonii życia klasztornego. Princeps ciągle go napominał, że nudzenie się jest grzechem, a uporządkowane życie zachęca do gorliwych modlitw. Ale on

przeżył dopiero – i aż – dziewiętnaście zim, a nie mógł nawet sam zdecydować, o której może iść spać. Przeszli do śpiewania. Po 134. psalmie brat Declan nie wytrzymał i oznajmił gotowość wyznania grzechów. Nastąpiła chwila pełna napięcia. Na twarzach mnichów widać było zainteresowanie, które niektórzy próbowali maskować poprzez ukrycie twarzy w dłoniach i odmawianie bezgłośnych modlitw.

– Przyznaję się! – płaczącym głosem oznajmił cenobita. – Korzę się przed wami i Miłosiernym, naznaczony wstydem. Wczoraj podczas jutrzni zasnąłem.

Po sali przeszedł pomruk dezaprobaty. Zawiedzeni asceci pokręcili głowami i karcąco spojrzeli na współbrata. Również Finlog odczuwał niedosyt. O słabości brata Declana i tak wszyscy wiedzieli, a niektórzy – ci, którzy zwykli modlić się koło niego w oratorium – nawet ją słyszeli. Finlog w pewien sposób nawet go podziwiał. W kościele nie było przecież żadnych ławek, a spanie i chrapanie na stojąco lub na klęcząco nie należało do łatwych.

– Zgrzeszyłeś – wypowiedział opinię całego zgromadzenia princeps – ale nie martw się. Rozpacz jest występkiem, gdyż pozbawia nas nadziei na miłosierdzie boże. Ojczy Senachu! Jaką karę przewidziano w naszym penitencjale za to przewinienie?

Senach cieszył się wśród mników prawdziwym szacunkiem, nawet jeśli był on podszyty lękiem. Chudy i kościsty senior był w zgromadzeniu strażnikiem kar. Z namaszczenia opata pilnował litery penitencjału i dbał, by nikt, nawet princeps, nie łamał reguły. Doglądał też, czy pokuta jest dobrze wypełniana, a sam wymierzał kary cielesne. Kochano go tutaj za tę surowość, która jest przecież najlepszym sposobem do walki z pokusą.

Łysy senior otworzył niewielki kodeks i zaczął przerzucać *chartae*. Wszyscy wiedzieli, że jest to tylko rytuał – Senach znał penitencjał, spis kar, na pamięć, jakby sam go napisał.

– A, jest – powiedział w końcu, wskazując palcem kolumnę tekstu. – Zgrzeszyłeś lenistwem. Kodeks mówi słowami naszego Pana, że całonocna

modlitwa w oratorium w pozycji *vigilia crucis*, czyli w takiej, jakiej Zbawiciel oddał życie za nasze grzechy, pomoże ci zwyciężyć w sobie gnuśność.

Seniorzy siedzący najbliżej opata skinęli głowami, zgadzając się z wyrokiem.

– Niech więc i tak się stanie – zgodził się princeps. – Dzisiaj w nocy brat Declan będzie czuwał i prosił Miłosiernego, by gnuśność nie przekształciła go w *sarabaite*, odszczepieńca, który tylko udaje mnicha, a za nic ma naszą regułę.

Modlono się dalej. Otworzono lekcjonarze i każdy po cichu czytał *Słowo Boże* – fragment, który wskazał im opat. Po przeczytaniu mieli kontemplować treść lekcji.

Finlog znów wybiegł myślami w kierunku Ainara. Tajemniczy skald, który pojawił się ranny kilka tygodni temu i który nigdy nie okazał wdzięczności swoim wybawcom i gospodarzom. Okrutnik, o którym szeptano, że wyprawił na drugi świat więcej ludzi, niż jakikolwiek mężczyzna zdołał spłodzić dzieci. A jednak to on zajął się małą, przygarnął dziewczynkę, która uparcie nazywała go tatą. Czy Finlog mógł zaufać takiemu człowiekowi? Pomóc mu i powiedzieć wszystko, co wie?

Kontemplacja przyniosła wynik. Kolejny manach wstał, chcąc wyznać winy. Był to ojciec Fidelis, jeden z seniorów i właściciel najdłuższej brody w całym zgromadzeniu. Zakonnik przyznał się, że podczas wspólnego poszczenia w refektarzu dopadła go gorączka i niemoc starcza, przez co pomyślał, że kęs mięsa go wzmocni. Mało tego, odchodząc od stołu, nie podziękował braciom za towarzystwo, kucharzowi za podanie wody, a Jedynemu Żywicielowi za dar chleba.

Finlog był pełen podziwu dla ojca Fidelisa, który dawał przykład, jak należy dbać o sumienie, by uwrażliwić je na nawet najmniejszy przejaw grzechu. Po minach współbraci odczytał, że byli podobnego zdania. Jednak skrucha nie mogła uwolnić grzesznika od kary.

Rytuał z przewracaniem kart księgi powtórzył się, a ojciec Senach triumfalnie krzyknął „ha”, gdy wskazał szukany fragment. „Za chęć złamania postu: siedem dni o chlebie i wodzie. Za brak wdzięczności: siedem kijów” – brzmiał jego wyrok.

Amnchar, duchowy opiekun i spowiednik całego zgromadzenia, rzadko ingerował w kary zapisane w księdze, ale tym razem Maelruain nałożył na Fidelisa dodatkową pokutę. Senior miał jutro udać się do spizarni, wysmarować sobie miodem nogę, odnaleźć mrowisko z czerwonymi mrówkami i rozgrzebać je stopą. W ten sposób miał przekonać się na własnej skórze, jak nisko upadają stworzenia, które dbają tylko o jedzenie. Bo choć mrówki mogą być przykładem rzetelnych pracowników, to gdy w pobliżu jest słodycz, zapominają o cnotach i nie myślą już o swoim zniszczonym domu, ale tylko o tym, jak napełnić brzuchy.

Modlono się dalej. Po czytaniu lekcji znów przyszła pora na loriki. Pacierze nie nakłoniły jednak już nikogo do zwierzeń. Nie oznaczało to jednak końca kar.

Abbas wywołał braci Malo i Cathala, przypominając ich przewiny. To oni odnaleźli ciało ojca Adomnana, a do tego odkrycia przywiodło ich gadulstwo, którym złamali nałożoną na nich pokutę milczenia.

Senior od kar ponownie przewertował kodeks, bezbłędnie odnajdując właściwy akapit.

– Napisano tu, że za gadulstwo należy się pokuta milczenia, która powinna trwać od *dies Dominica* do *dies Dominica*. Ale ponieważ nasi bracia złamali już taką pokutę, należy im pomóc, by tym razem sumiennie ją wypełnili. Winni zatem nosić między zębami kawałek drewna, tak gruby, by usta pozostawały otwarte na całą ich szerokość. Knebel ten będzie im przypominał o cnotcie milczenia przez siedem dni, a wyjmować go będą mogli tylko raz dziennie, by posilić się chlebem i wodą. W tym okresie będą zwolnieni od głośnego odmawiania pacierzy, choć wszystkie loriki powinni kontemplować w ciszy.

Opat zmierzył winowajców wzrokiem i skinął głową, zatwierdzając wyrok zapisany w penitencjale.

Trudno było orzec, czy Malo i Cathal postanowili od razu poddać się pokucie, czy raczej jej treść odebrała im mowę, ale nic nie odpowiedzieli. Kiwnęli tylko głowami w podziękowaniu opatowi oraz ojcu Senachowi, ciężko opadli na ławę i wściubili nosy w lekcjonarze.

Powrócono do modlitw. Odmawiano pacierze, śpiewano psalmy, czytano lekcje. *Matutinum*, trzecia ćwiartka nocy, niepostrzeżenie przeszła w czwartą wigilię, a potem zaczęło dzień. *Ante lucem*, brzask, dał o sobie znać czerwoną poświatą, wpadającą do kapitułarza przez niewielkie okna i szpary w belkach.

Nastanie nowego dnia należało uczcić jutrznią. Przypomniał im o tym dzwonnik, który odpowiednio wcześniej wymknął się z kapitułarza. Udano się więc do oratorium. Mimo że było chłodno, a wiatr uderzał w plecy niczym najtwardszy kij mistrza Senacha, spacer dla wszystkich był wybawieniem. Po całej nocy na stojąco, siedząco i klęcząco przyjemnie było rozprostować kości.

W kościele kontynuowano modlitwy. Jutrznia przebiegła bez zakłóceń. Finlog miał nieśmiałą nadzieję, że po jej zakończeniu opat da im chwilę wytchnienia i pozwoli udać się na śniadanie. Na próżno. Princeps zarządził kolejne modły, choć tym razem zmieniono ich cel. Nie można powiedzieć, że poprzednie odmawianie pacierzy nie zakończyło się sukcesem – w końcu czterech ich współbraci zdołało się wyrwać z sieci zła – ale jednak nie przyniosło ono takiego rezultatu, jakiego się spodziewano. Tożsamość mordercy nie została ujawniona. Skupiono się zatem na jego ofierze, by ograniczyć skutki zbrodni. Jeśli dusza zamordowanego zostanie zbawiona, grzech mordercy stanie się lżejszy.

Adomnan, przedmiot ich modłów, był za życia jednym z seniorów, choć w hierarchii doradców abbasa zajmował odległe miejsce. Podczas gdy większość mnichów modliła się w kapitułarzu, wyznaczeni przez opata bracia zajęli się ciałem, które teraz leżało w otwartej trumnie ustawionej na podeście

z belek na środku kościoła. Na rogach tego podestu zatknięto pochodnie, które rozświetlały na czerwono ciemne wnętrza świątyni i prezentowały chaotyczny taniec mniszych cieni na kamiennej posadzce, ściganych przez pierwsze promienie słońca.

Finlog nie znał zmarłego zbyt dobrze. Mnisi co prawda tworzyli wspólnotę, ale rzadko umacniali ją rozmowami. Ludzka mowa, dar Stworzyciela, winna być wykorzystywana do chwaleń Pana. Finlog z bólem przyznawał przed sobą, że i w ten sposób zgrzeszył. Kilkrotnie rozmawiał z Adomnanem o rzeczach mało ważnych. Dlatego wiedział, że łysy mnich także nie był wolny od pokus, zwłaszcza tych dotyczących jedzenia i picia. Zdarzało mu się złamać post, a w czasie świąt przesadzić z akwawitą, tak że wymiotował z obżarstwa, pijaństwa i wstydu. Był też człowiekiem wąpiącym. Szeptał, że na kontynencie reguły zakonne nie są tak rygorystyczne, a tamtejsze opactwa przychylają się naukom Benedicta, a nawet zastanawiają się, czy mnisi na iryjskiej wyspie nie żyją w herezji. W tutejszym klasztorze niby nikt nie odrzucał nauk świętego i wszyscy żyli wedle *regulam Sancti Benedicti et Sancti Colombani*, ale nikt też nie zapominał o tradycji starożytnych mnichów, choć nie stosowano już ich tonsury. Zwłaszcza opat był miłośnikiem odmienności rytu klasztornej wyspy Eriu, a nawet głosił jej wyższość nad kontynentalnym, trapiącym przez panujące wśród mnichów pogorszenie obyczajów.

Wraz z każdą modlitwą i każdym psalmem nasilała się w nim wątpliwość. Czy powinien wyjawić geintowi to, co wiedział? Czy obcy powinien wiedzieć, że niektórzy spośród seniorów uważnie go obserwują? Finlog nie był pewny, czy jego wątpliwości są w ogóle zasadne. Nie miał przecież pojęcia, czy to, co zdradzi, ma w ogóle jakiś związek z morderstwami.

Powoli dojrzewała w nim myśl. Skoro inni członkowie zgromadzenia uzyskali przebaczenie opata i współbraci, to może i jemu się uda? Cóż może być wspanialszego od pojednania ze Zmartwychwstałym? Pokuta będzie ciężka, nie miał co do tego złudzeń, ale by Litościwy odpuścił mu grzechy,

musi najpierw wyznać swoje zbrodnie. Jeśli ma pomagać obcemu i wyjawiać mu sekrety swoje i innych cenobitów, sam musi stać się czysty.

Mnich powinien być roztropny, sprawiedliwy i opanowany. Ale czwartą najważniejszą cnotą było męstwo, a ono podpowiadało mu, że ze złem powinno się walczyć bez zastanowienia.

– Wybaczcie mi, albowiem zgrzeszyłem! – krzyknął o wiele głośniejszym głosem, niż to było stosowne.

Cenobici zgromadzeni w kręgu wokół trumny spojrzeli na niego z zaciekawieniem. Czuł na sobie ich palące spojrzenia. Byli ustawieni w ten sposób, że nie musieli się nawet obracać, by patrzeć na jego skruchę. Tylko niektórzy, ci, którzy nie zmieścili się w pierwszym rzędzie żałobnego pierścienia, musieli się trochę wysilić, by zza pleców braci mieć lepszy widok. Opat, który klęczał przy trumnie, wstał z niewesołą miną i zmierzył Finloga od stóp do głów. Młody mnich przełknął głośno ślinę, próbując opanować drżenie kolan. Wolał nie myśleć o pokucie, jaka go za to spotka. Przerwanie modlitw w oratorium było surowo karane, a czas wyznań dobiegł końca w kapitulacji. Jednak mnisi czekali w napięciu na jego słowa, a opat kiwnięciem głowy zezwolił, by zaspokoili ich ciekawość.

– Manachowie! Proszę was, a zwłaszcza naszego wyrozumiałego princepsa, o wybaczenie, że przerywam nabożeństwo żałobne.

Był już mniej pewny swojej decyzji, ale nie było odwrotu. Tama z grzechów pękła po jego nagłym zrywie i teraz wystarczyło kilka przełamujących słów, by zalała go fala miłości bożej i mniszego przebaczenia. Poczł się odrobinę odważniejszy, gdy abbas, najwyraźniej usatysfakcjonowany przeprosinami, machnął mu dłonią na zachętę.

– Korzę się przed wami jak robak, wijąc się w błocie swoich przewinień. Zbłądziłem straszliwie, a co gorsza, długo zwlekałem z wyznaniem swojej zbrodni, lękając się waszego potępienia i bożego gniewu. Dłużej nie chcę jednak milczeć!

Ale milczał. Słowa ugrzęzły mu w gardle.

– Wyspowiadaj się bez lęku, mnichu – ciągnął go za język abbas głosem znacznie łagodniejszym niż wtedy, gdy przemawiał w kapitularku. Jego sroga mina gdzieś się ulotniła. – Wszyscy jesteśmy grzeszni, ale w każdym z nas znajduje się cząstka Boga, która pomaga nam zwalczać zło i pokusy, a przez to zbliżyć się do Jedności z Najwyższym.

– Poprzedniej nocy miałem sen – zaczął nieśmiało i poczuł, że czerwienieją mu uszy. – Śniła mi się niewiasta z kruczoczarnymi włosami, która położyła się obok mnie na posłaniu. Targnęła mną wtedy taka namiętność, że zamiast o wypoczynku i modlitwie, zacząłem marzyć o zaspokajaniu cielesnej żądz. Walczyłem, jak mogłem, ale jej nagie ciało nie chciało opuścić mojego snu, choć wzywałem imienia Nieskalanego i wyobrażałem sobie ciernie wbijane w mój brzuch. W końcu, po długiej walce, zdołałem otworzyć oczy, ale moje ciało nadal płonęło pożądaniem, a twarda męskość szydziła z cnoty opanowania. Sięgnąłem zatem dłonią w dół i zrobiłem jedyną rzecz, którą mężczyzna może zrobić, by pozbyć się ognia we krwi – chwyciłem za modlitewnik, otworzyłem go i zacząłem odmawiać pacierze. To pomogło. Nad ranem wspomnienie snu odeszło. Ale tylko do czasu, gdyż wciąż powraca, zadając katusze memu słabemu ciału. Myśl o Czarnowłosej nie daje mi od tej pory spokoju i zakrada się do mojego umysłu, nawet gdy się modłę.

Kamień młyński spadł mu z serca i potoczył się w kierunku opata. Teraz od princepsa zależało, czy Finlog będzie musiał go nadal dźwigać, czy ciężar grzechów zostanie mu odjęty poprzez odpuszczenie win. Spuścił głowę i pokornie czekał na wyrok.

– Niech ten mnich będzie dla was przykładem! – krzyknął opat.

Zdziwiony Finlog podniósł wzrok i nie zauważył potępienia w oczach cenobitów. Raczej zrozumienie i współczucie. Jeszcze bardziej zdumiony wydawał się Senach. Mistrz kar przerwał wertowanie penitencjału, z którym nigdy się nie rozstawał, i nadstawił ucha, czy aby na pewno się nie przesłyszał.

– Choć Bóg zesłał na niego wielką pokusę, którą mężczyźni rzadko potrafią zwyciężyć – ciągnął ogłaszanie wyroku princeps – on wyszedł zwycięsko z tej batalii. W naszym penitencjale stoi, że pożądanie należy zwalczać, siedząc w lodowatej wodzie i odmawiając loriki. Jestem przekonany, że ojciec Senach nam to potwierdzi. – Abbas poczekał, aż strażnik pokut skinął głową. – Ale ponieważ stopniały już śniegi, a drzewa pokryły się pąkami, woda w strumieniach stała się zbyt ciepła. Dlatego co wieczór przed zaśnięciem siadaj przy ogniu, tak blisko, jak tylko zdołasz, byś poczuł jego żar na twarzy, i proś Wyrozumiałego o siłę w walce z namiętnością. Bierz przykład z salamandry, ognistej jaszczurki, która przechodzi przez ogień, by pokonać pokusy i oczyścić się w płomieniach.

8

Obudził go pocałunek. Smakowała malinami. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła, ale w tej chwili mało go to obchodziło. Poruszała się lekko jak zjawą, jak marzenie senne. Pachniała kwiatami jaśminowca. Łaskotała go długimi, czarnymi włosami. Całowała jego tors.

Była naga. Światło księżyca padało na jej dorodne piersi, różowe brodawki i sztywne sutki. Przykryła go swoim ciałem i ocierała się o niego. Potem usiadła na czworakach i pozwoliła, by chwycił ją za pupę. Ale tylko na chwilę.

Była silna. Zbyt silna, jak na te smukłe ramiona i chudą kibić. Porwała mu koszule na strzepy i przycisnęła jego ręce do pryczy. Objęła go udami w pasie. Nie mógł się obrócić i nie miał na to ochoty. Przyjęła go do siebie, sama odnajdując drogę.

Na twardej ławie, naprzeciwko krzyża i obok śpiącej Znajdy, miłowali bliźniego.

Zniknęła tak niespodziewanie, jak się pojawiła. Bez słowa, bez pożegnania. Idealna kochanka. Zostawiła po sobie zapach jaśminowca i smak świeżych malin. Został sam, z pustką w kroczu, ulgą w lędźwiach i sennością pod powiekami.

Ainar odruchowo chwycił się za uszy. Były na swoim miejscu. Zasnął, a może tylko dalej śnił.

9

Przez trzy dni nikt nie chciał z nim rozmawiać. Nawet Finlog, zwykle ciekawy świata poza opactwem, nie odzywał się do niego. Mnisi byli w żałobie i opłakiwali łysego współbrata. Ainar miał więc dużo czasu, który spędził na spaniu, spacerowaniu, rozmyślaniu i daremnych próbach uwolnienia się od Znajdy, która wszędzie za nim chodziła.

Zastanawiał się, czy nie odjechać. Trzymała go tu tylko ciekawość i świadomość, że poza klasztornym wałem czyhają na niego wrogowie. O ile opat, któremu nie dowierzał, mówił prawdę. Mnisi ukryli jednak jego broń oraz dobytek. I choć zapewniali, że nie jest więźniem, nie chcieli ich oddać, tłumacząc, że zajęci są przygotowaniami do pogrzebu. Ainar szukał więc swojej własności na własną rękę. Równocześnie rozglądał się za osławionymi skarbami paparów, które mogłyby mu wynagrodzić wielodniową nudę, jakiej tu doświadczył.

Pierwszego dnia przejrzał chlew, stajnię, oborę, owczarnię, magazyn na narzędzia, spiżarnię oraz spichlerz. Nie było to trudne, gdyż mnisi byli zajęci modlitwami i zaniedbywali codzienne prace. Dzięki temu mógł swobodnie krążyć po budynkach gospodarczych. Jedyne utrudnieniem pozostawała Znajda.

Dziewczynka plątała mu się pod nogami, jęcząc, że chce się bawić. On był bystrym skaldem, a ona tylko głupim dzieckiem. Nauczył ją więc zabawy

w tchórzliwego papara, która pozwoliła mu choć trochę skupić się na tropieniu bogactw munków. Zasady gry były bardzo proste. Grupa dzieci udawała drott, który napadał na muintir, a jeden chłopiec wcielał się w papara, który zamiast walczyć o swój dom, chował się przed nieprzyjacielem. Szukanie kończyło się, gdy dzieciaki odnajdywały tchórze i udawały, że nabijają go na włócznię. Ainar często bawił się w to w dzieciństwie, choć nigdy nie udawał tchórze. Nieraz próbowali go do tego zmusić, ale on po prostu nie umiał usiedzieć na miejscu i za każdym razem wyskakiwał z ukrycia, by tłuc się na kije z innymi dziećmi.

Znajda w lot pojęła zasady i niechętnie zgodziła się odgrywać rolę munka, choć nie omieszkała zaznaczyć: „Ale ja jestem dzielna, tata” i schowała się dopiero, kiedy Skald przyznał jej rację.

Gdy siedziała w kryjówce, Skald miał chwilę spokoju, choć nie ciszy. Milczenie było bowiem umiejętnością, której Znajda nie potrafiła opanować. Nawet schowana, mówiła do niego: „Szukaj mnie, tato”. A gdy nie przykładał się do zabawy, wołała: „Gdzie jestem? Zastanów się, tato”. Chcąc nie chcąc, poeta musiał więc na głos zastanawiać się i udawać, że szuka tchórzliwego papara a to pod stogiem siana, a to w boksach dla zwierząt, a to w skrzyniach na narzędzia czy między półkami uginającymi się pod ciężarem dzbanów i mis z żywnością. A od czasu do czasu musiał ją również znajdować, a potem po raz kolejny udawać, że nie ma pojęcia, gdzie jest, mimo iż zawsze chowała się w te same miejsca.

Nie znalazł tego, czego szukał, ale podwędził ze spiżarni trochę mięsa i dzbanek akwawity. Wieczorem zrobili sobie z dziewczynką małą biesiadę.

Drugiego dnia zajął się kapitularem i refektarzem. Było już trudniej, zwłaszcza w kapitularku, gdyż mnisi wracali tam od czasu do czasu, przenosząc do niego z oratorium fragmenty nabożeństwa. Tym razem Ainar nauczył dziewczynkę zabawy w poszukiwanie skarbów i obiecał jej nagrodę w postaci dodatkowego piwa za każdą rzecz z metalu, która się świeci. Zabawa skończyła się, kiedy dziewczynka znalazła nóż i skaleczyła się

w palec. Wtedy zaczęła płakać i Ainar musiał ją zaprowadzić z powrotem do domu gościnnego, obawiając się, że zostaną wykryci.

Trzeciego dnia wstał jeszcze przed pierwszym paniem i wymknął się z domu, kiedy mała spała. Jak niemal codziennie, padało i wisiała mgła.

Zamierzał przeszukać pozostałe budynki w klasztorze. Nie bardzo wiedział, jak to zrobić, gdyż ciągle krążyli wokół nich mnisi. Z oratorium musiał na razie zrezygnować. Munkowie modlili się tam całymi dniami i droga do cennych naczyń liturgicznych była niedostępna. Kusiło go, by zajrzeć do dużego budynku z kamiennymi fundamentami, który nazywano tutaj skryptorium. Wiedział, że to w nim paparzy kopiowali manuskrypty, które widać były bardzo cenne, gdyż mnisi nie dopuszczali go do gmaszyska, a na dodatek jego drzwi były zamknięte na kłódkę. Pozostała mu więc wieża, najbardziej okazała budowla w klasztorze.

Kamienna wieża była okrągła i miała wysokość starego dębu. Zwieńczona była stożkowatym daszkiem, który nadawał jej wygląd pilnującego muintiru drenga w szyszaku. Stała na północnym krańcu klasztoru, tuż przy wale ziemnym. Jak prawie każda budowla paparów, miała zaledwie kilka bardzo wąskich okienek. Była podobna do zamkowych baszt, jakie Ainar widział w Vallandzie. Od Finloga wiedział, że mnisi nazywają ją *cloicthech*, czyli domem dzwonu, gdyż pierwotnie służyła za dzwonnice. Podobno wzniesiono ją niecały wiek temu, tak jak wiele podobnych na wyspie, by podnieść znaczenie zgromadzenia. Rzeczywiście, musiała spełniać swoją funkcję. Wyłaniając się z białej zawiesiny poranka, wyglądała jak olbrzymia kamienna maczuga lub obsceniczny gest palca^[56] wymierzony we wszystkich, którzy śmieliby zaprzeczyć potędze klasztoru. Ainar podejrzewał jednak, że mnisi zbudowali ją nie z chęci ukazania swojej potęgi, jak utrzymywali, ale z tchórzostwa, by mieć gdzie się ukrywać przed iryjskimi czy finngallskimi rozbójnikami. Podziwiając wieżę, pomyślał, że jednak paparzy zawdzięczali coś jego rodakom: najbardziej okazałą kamienną budowlę, jaką mieli. A tak narzekali na przybyszów z Północy.

Gdy podszedł bliżej, zdziwił się, że wcześniej nie zauważył, iż wieża nie ma drzwi. Kolejny przykład wyścigu kamieniarskiej biegłości paparów z ich głupotą. Bo budynek bez wejścia może i jest łatwy do obrony, ale trudny do użytkowania. Oceniał, że mnisi musieli wchodzić do niej za pomocą lin i drabinek, które zwisały z niżej położonych okien. Szczerze wątpił jednak, by munkowie byli w stanie sprawnie i szybko dostać się do środka w razie niespodziewanego ataku Finn-Gallów. W końcu klasztor leżał nad jeziorem, które było połączone z morzem wcale niemałą rzeką. Pełna askmadów snekkja mogła się tu pojawić szybciej, niż trwa odmówienie jednej loriki.

Brukowane dróżki stały się śliskie od deszczu, ale i tak chodziło się po nich znacznie łatwiej niż po widniejącym wokół wszechobecnym błocie. Musiał stąpać ostrożnie.

Przez krople deszczu, które z uporem Znajdy gęsto i głośno rozpryskiwały się na kamieniach, trawie i błocie, nie usłyszał mnicha, który zaszedł go od boku.

– Dokąd ci tak spieszo, Ainarze? – zagadnął papar.

Od razu poznał, że coś jest nie tak. Munk mówił co prawda w tutejszym języku, ale – podobnie jak on – z wyraźnym melodyjnym akcentem ludzi Północy. A nigdy wcześniej nie spotkał tu nikogo, kto byłby jego krajanem.

– Rozmyślam – odburknął i od razu wymacał pod koszulą nożyk do rzeźbienia, swoją jedyną broń. Niepostrzeżenie wyjął go z pochwy i schował w rękawie koszuli.

– Ainar Skald rozmyśla wśród paparów. Kto by pomyślał. Czyżbyś jednak zdradził wierzenia swoich ojców?

Mnich podpierał się na kosturze, choć nie wyglądał na starca. Z twarzy nie można tego było wywnioskować, gdyż ta była ukryta pod ociekającym wodą kapturem, ale wyprostowana sylwetka, szerokie bary i pewne ruchy wskazywały na młodzieńczą siłę i gibkość.

– Dziwne słowa jak na mnicha. Nie cieszysz się, że pragnę oświecenia?

Munk zawahał się. Trzymał drewnianą łagę stanowczo zbyt mocno i za mało obciążał ją ciężarem ciała, by Ainar mógł się nabrać, iż jest to tylko laska niedołęgi.

– Raduje się moje serce z tego powodu. Jednak by zasiąść na uczcie z Bogiem i wypić z nim na pohybel Złemu, musisz wyznać swoje grzechy.

Ainar był pewien, że nie rozejdą się w pokoju. Ale wolał wiedzieć, z kim będzie walczyć. Jeśli ten przebieraniec zamierzał dalej udawać mnicha, to mógł mu w tym pomóc.

– Czy mogę to zrobić teraz?

– Zawsze jest dobra pora na nawrócenie – powiedział tamten, zbyt szybko jak na opanowanego papara.

– Piłem, zabijałem i uprawiałem nierząd z wieloma kobietami.

Fałszywy mnich nie był ułomkiem i nowicjuszem. Nie spuszczał oczu z rozmówcy i starał się, jakby od niechcienia, znaleźć się po lewej stronie poety, jak najdalej od jego prawicy, która mogłaby sięgnąć po jakąś ukrytą broń. Cofnął się też o pół kroku, by mieć rozmówcę w zasięgu kostura. To wszystko wskazywało, że jest ostrożny i choć nie mógł wypatrzeć u Ainara żadnej broni, to był gotowy na jej obecność. Dało to Skaldowi do myślenia. Munk musiał zostać ostrzeżony, by nie lekceważyć pieśniarza.

– Te drobne przewiny zostaną wymazane, gdy zanurzysz się w świętej wodzie. Musisz jednak wyznać wszystkie swoje grzechy, bez zatajania. A zwłaszcza te najpoważniejsze. Jeśli munkowie nie nauczyli cię, jak należy się spowiadać, chętnie ci w tym pomogę i zadam pomocnicze pytania.

– Zaprawdę norny dzisiaj prosto tkają, że zesłały mi tak wspaniałego papara. Pytaj, a ja chętnie odpowiem.

Skłonił głowę, udając pokorę, i przyjrzał się stopom nieznanego. Te nie były bosc ani odziane w sandały, jak to mieli w zwyczaju paparzy, ale ukryte w skórzanych butach, podobnych do tych, jakie sam nosił. Z pewnością nie miał do czynienia z munkiem.

– Dobrze. Czy aby niczego w życiu nie ukradłeś?

– Zgrzeszyłem i w ten sposób. Ukradłem kiedyś skrzynię ze skarbem.

Wyraźny błysk pojawił się w oku przebierańca.

– Musisz ją oddać właścicielowi.

– Gdybym tylko mógł. Jej właściciel nie żyje.

– To może jego spadkobiercom?

– To tchórze, których nie obeszła nawet śmierć ojca. Zresztą pewnie i tak zapili się już na śmierć albo posieczono im plecy, gdy uciekali z pola bitwy.

Mężczyzna w habicie mocniej ścisnął laskę i zazgrzytał zębami. Tu cię mam – pomyślał Ainar.

– Możesz też przekazać skarb na rzecz klasztoru. Wystarczy, że powiesz, gdzie go ukryłeś, a nasi mnisi odnajdą srebro i wykorzystają go do głoszenia *Słowa Bożego*.

Przebieraniec znów popełnił błąd. Poeta nic nie wspominał o srebrze. Był już pewny, że mężczyzna zna opowieść o skrzyni pełnej monet z podobieństwem konunga Adalsteina. Tylko czy był drottnadem Brodira, co zgadzałoby się ze słowami princepsa, czy stronnikiem synów jarla Haralda, którzy przypomnieli sobie o ojcowiznie? Sposób, w jaki przyjął słowa o spadkobiercach hersira, wskazywał na to drugie.

– Jeśli Brodir albo bękart Haralda chcą odzyskać srebro, niech sami do mnie przyjdą.

Ainar zaatakował, ale mnich, choć zdziwiony, nie dał się zaskoczyć. Uchylił się przed nożem, który pojawił się w prawicy Skalda, po czym sam boleśnie uderzył poetę laską w ramię. Odskoczyli od siebie.

Ostatni raz pieśniarz był w takiej sytuacji, kiedy miał siedem lat. Ojciec uczył go wtedy odporności na razy kijem, a on próbował nie stracić przytomności. Szczęśliwie miał na podorędziu mały nożyk i wściekle rzucił nim w rodzica. Trafił go w nogę. Ojciec ze spokojem wyciągnął ostrze, odrzucił je na bok i zlał syna do nieprzytomności. Potem wyjaśnił mu, że

dostał nie za to, iż próbował się bronić, ale za to, że rzucając nożem jak ostatni głupiec, stracił broń i jedyną szansę na zwycięstwo. Choć Skald szczerze nienawidził tego wiecznie pijanego grubasa, zawsze słuchał jego rad.

Dlatego teraz był opanowany i spokojnie okrążał mnicha, kołyszając nożem i patrząc wrogowi w oczy. Ten zaś skończył z udawaniem, odrzucił kaptur, by nie przesłaniał mu widoku, i chwycił gruby kostur dwoma rękami, niczym maczugę. Ainar starał się trzymać dróżki, bojąc się ugrzęznąć w błocie.

– To nie musi się tak skończyć – oznajmił przebieraniec. – Możesz pójść ze mną i wszystko wyjaśnić Brodirowi.

Poeta nie odpowiedział. Dowiedział się już tego, czego chciał. Zmienił uchwyt na rękojeści i zamiast celować sztychem w ziemię, wymierzył go w pierś oszusta. Zmrużył oczy, gdyż kwaśny deszcz zmieszany z potem ściekał mu z czoła do oczu, utrudniając widzenie. Udał uderzenie z prawej, ale ciął z lewej – od góry na dół. Drottmad Brodira uskokczył zwinnie i pchnął końcem kija w pierś pieśniarza. Powietrze wyleciało z piersi Skalda jak z przebitego krowiego pęcherza. Cofnął się dwa kroki, wpadając w błoto. Przez chwilę nie mógł złapać oddechu, ale nie stracił równowagi.

Wykonał dwa kolejne wypadki, oba nieudane. W pierwszym ostrze o pięść minęło szyję munka, w drugim sztych nie dosięgnął serca odskakującego do tyłu nieprzyjaciela. Przebieraniec był bardzo szybki. Ainar postanowił oddać mu prowadzenie walki.

Uchylił się przed płaskim uderzeniem w głowę. Potem przeskoczył nad lagą, której cios miał podciąć mu nogi. Później, choć przypłacił to potwornym bólem, zablokował przedramieniem kostur zmierzający w lewy bok. Zaraz sam ciął ukośnie, z dołu do góry. Nóż przeciął habit, zwolnił na brzuchu i wyszedł przy żebrach, znacząc swoją trasę czerwoną plamą. Przebieraniec zachwiał się, ale nie przewrócił. Rana była powierzchowna.

Pieśniarz wrócił do okrążania przeciwnika, by wyrównać oddech. Trochę ślizgał się po błocie, ale jego przeciwnik miał ten sam kłopot. Poeta wiedział, że w większości pojedynków wygrywa ten, kto lepiej panuje nad oddechem

i umie dostosować go do pracy mięśni. Przeciwnik natomiast albo nie miał o tym pojęcia, albo nic sobie z tego nie robił, gdyż atakował z młodzieńczą pasją, biorąc bierność Ainar za jego słabość. Skald pozwolił mu się wyszumieć. Przestał atakować, cofał się i uchylał, starając się tracić jak najmniej sił. Był pewien, że ranny drottmað wraz z upływem krwi będzie coraz słabszy. Był jak myśliwy, który po ustrzeleniu jelenia nie podchodzi do wierzgającego rogacza, ale cierpliwie czeka, aż wypłynie z niego życie.

Przebieraniec nie był jednak śmiertelnie ranną zwierzyną łowną, więc Ainar musiał się trochę napracować, by go powalić. Poczekał, aż zamachy przeciwnika stały się wyraźnie wolniejsze. Dopiero wtedy zaatakował. Okazało się, że trochę za wcześnie. Wróg – z trudem, ale jednak – uchylił się przed pchnięciem i uderzył go kijem w żebra. Ból był znośny i przyjemny na swój sposób, gdyż wskazywał, że przeciwnik nie jest w stanie uderzać mocniej. Od zwycięstwa dzieliła poetę tylko chwilka.

Znów uskoczył poza zasięg kostura i pozwolił nacieszyć się przeciwnikowi chwilą pozornego zwycięstwa. Wszak nie o liczbę trafień tu chodziło. Widział, że nieprawdziwemu mnichowi wyraźnie zaczyna przeszkadzać habit, który nasiąkł wodą i przybrał postać krępującego ruchy worka.

Pieśniarz wszedł w kałużę, ale jego przemoczone nogi nawet tego nie odczuły. Jedyne efektem były chlupnięcia wody, kiedy w niej broczył. Plamami na drogich niebieskich spodniach też się nie przejmował. Nie był miłośnikiem ergi, by dbać o ubranie z niewieścią dokładnością.

Przeciwnik stracił głowę. Zamiast oszczędzać siły, ciągle próbował szaleńczych ataków. Ainar zdążyłby obieć go dwukrotnie w czasie, gdy tamten brał zamach znad głowy i z całych sił opuszczał kostur w kierunku jego karku. Ale Skald nie marnował czasu na bezsensowne bieganie, tylko lekko się uchylił, pozwalając, by laga minęła go o pięść, z płaskim uderzyła w błoto i wzniosła gejzer brązowych grudek. Wtedy nadepnął na kostur i pozbawił przeciwnika broni. Ten poślizgnął się i z pluskiem usiadł w kałuży. Pieśniarz zobaczył w jego oczach tak dobrze mu znaną mieszankę strachu i nienawiści.

Poderznął wrogowi gardło, urywając w połowie jego krzyk.

Stał chwilę nad ciałem, zastanawiając się, co zrobić. Możliwe, że to Brodir i jego ludzie odpowiadali za śmierć mnichów, ale wątpił w to. Po cóż mieliby to robić?

Mógłby jednak powiedzieć paparom, że właśnie zabił mordercę, tyle że opat wydawał się znać Brodira i nie wiadomo, czyją wzięłby stronę. Tym bardziej że nie po raz pierwszy mnisi zastaliby go w dwuznacznej sytuacji, a już poprzednio uznano go za winnego. Choć Finlog zapewniał go, że wielu munków jest po jego stronie, poeta nie miał złudzeń, że przynajmniej tak samo wielu nienawidzi go i przypisze mu wszelkie zło, jakie wydarzy się w klasztorze... Wtedy przyszło mu coś do głowy. Uklęknął i uciął zmarłemu ucho. Miał nadzieję, że tyle wystarczy.

Zniknął, a deszcz zatarł wszelkie ślady walki, obmywając trupa z krwi i potu niczym najtroskliwszy grabarz.

10

Choć pogrzeb odbył się poprzedniego dnia, mnisi nadal nie chcieli rozmawiać z Ainarem. Od rana byli przejęci i szeptali między sobą o kolejnej ofierze Uchacza, jak nazwali mordercę. Nikt nie czuł się już bezpieczny i każdy oglądał się za siebie, nawet idąc do oratorium w biały dzień. Ich spojrzenia były nerwowe i, choć wydawało się to niemożliwe, jeszcze częściej niż zwykle kreślili w powietrzu znak krzyża.

Podjezwano, że zamordowany był wędrownym kaznodzieją, oddanym *peregrinatio Kristi*, który szukał u nich schronienia na noc, a znalazł wieczne w raju. Nikomu nie przyszło do głowy, że ani poderżnięte gardło – co rzucało się w oczy, ani brak wzrodu przed śmiercią – czego już nikt nie raczył sprawdzić, nie pasują do metod Uchacza. Za to, ku zadowoleniu Skalda, wszyscy mówili tylko o uciętym uchu.

Znalazł opata przed południem. Znajda w końcu zasnęła po porannych zabawach i przynajmniej na chwilę mógł się od niej uwolnić. Próbował dotrzeć do konunga klasztoru wcześniej, ale ten był zajęty. Zaledwie wczoraj pochował podopiecznego, a już dzisiaj musiał zajmować się kolejnym bezuchym trupem i pilnować, by mnisi się modlili, a nie plotkowali.

Abbas klęczał w błocie przed kamiennym krzyżem, najokazalszym spośród trzech, które znajdowały się w muintirze. *Ardchros*, jak miejscowi zwali zdobiony postument, był dwukrotnie wyższy od *Ainara*. Poziomy blok służący za belkę był znacznie krótszy od pionowego, ale oba zwężyły się w miejscu, w którym się krzyżowały. Miejsce to wpisane było w pierścień o rozpiętości niemal równej krótszym ramionom krzyża. Tworzyło to charakterystyczny dla wszystkich tego typu rzeźb kształt, w którym przestrzeń, dzięki sztuczce rzeźbiarza, została zamknięta między obręczą a czterema grubymi i równymi sobie kamiennymi ramionami. Na tym objętym w pierścieniu krzyżu wyrzeźbiono rozpiętego między gałęziami drzew *Göllnira*. Chociaż nie – poeta skarcił się w myślach. – To musi być ten ich martwy bóg, o którym ciągle mi opowiadają. Powyżej koła wyrzeźbiono jakiegoś konunga siedzącego na *öndvegi*, wysokim siedzisku. *Ainar*, jako rzeźbiarz, patrzył z uznaniem na dokładność tego przedstawienia. Poniżej obręczy, na całej długości pionowego słupa, przedstawiono trzy scenki ujęte w kwadratach ustawionych jeden nad drugim. W najwyższym dwóch thegnów znęcało się nad więźniem, w środkowym dwóch mnichów stawiało *ardchros*, a w najniższym grzebano jakiegoś wychudzonego nieszczęśnika. Krzyż ustawiony był na masywnym bloku skalnym. Na nim wyryto inskrypcję, którą *Ainar* z łatwością mógłby zrozumieć, gdyby znał pismo *Romverjów*.

– *Columbe et Benedicti Crux* – przeczytał na głos opat, widząc, że *Ainar* przygląda się napisowi. – Wzniesiony na chwałę naszych dwóch wielkich patronów.

– Odjeżdżam. – *Skald* nie zwrócił uwagi na wyjaśnienia. – Oddajcie mi broń, siodło i juki.

Abbas wstał i popatrzył na niego w milczeniu. W końcu przyjacielsko objął go ramieniem i zaproponował:

– Przejdźmy się.

Nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku sadu. Ainar pospieszył za nim.

Tego dnia było słonecznie, choć ziemia nie zdążyła jeszcze wyschnąć po wczorajszej ulewie i porannej mżawce. Tu, gdzie nie było drzew, znajdowały się klomby z kwiatami, których nazw Ainar nie znał i poznawać nie miał ochoty. Nie był cikliwą babą, ale nawet on musiał przyznać, że skąpane w przedpołudniowym słońcu pąki i płatki, jeszcze mokre od deszczu, wyglądały urzekająco.

– Tak ci spieszno nas opuścić? – podjął temat opat. – Przecież masz tu wszystko, czego potrzebujesz.

Z wyjątkiem rozrywek – pomyślał pieśniarz, ale na głos powiedział:

– Moja sprawa, dokąd mi spieszno. Nie lubię być więźniem.

– Nikt cię tu siłą nie trzyma. Dostaniesz wszystko z powrotem, jeśli zdecydujesz się odjechać. Ale nie chcę widzieć, że nosisz broń na terenie klasztoru. Pobożni mnisi nie życzą sobie, by geint spacerował między nimi z mieczem u pasa i arogancko, bez jakiegokolwiek śladu pokory, chełpił się swoją brutalną siłą i wojenną sławą.

– Odjadę o świcie. Masz moje słowo.

– Ależ jesteś uparty – zganił go opat tak, jak mówi surowy ojciec do krnąbrnego syna. Ainar nienawidził tego tonu. – Przecież na zewnątrz czeka na ciebie drott Brodira. Tutaj jesteś bezpieczny. Pewnie nie wiesz, bo my, mnisi, nie lubimy się chełpić, ale pochodzę ze sławnego rodu Ui Neill, tak jak *rí túaithe*, król okolicznego ludu. To daje mi nieco władzy, także tej świeckiej. Jestem też amncharem klasztoru, a także spowiednikiem wielu spośród okolicznych *cenél*, możnych. – Poeta nie wtrącił, że już domyślił się większości tych rzeczy. – Gdyby ścigający cię Finn-Gall odważył się wejść na

teren muintiru i zagroził któremuś mnichowi lub jakiemuś mojemu podopiecznemu, to sprawiedliwi władcy tych ziem wbiliby jego głowę na włócznię, a ciało obdarli ze skóry i starym zwyczajem przybili do bramy naszego klasztoru.

Nawet gdyby wczoraj jeden z ludzi Brodira nie pokazał, co myśli o nietykalności mieszkańców klasztoru, Ainar i tak byłby pewny, że władza opata – przede wszystkim urojona w jego głowie – nie zrobiłaby wrażenia na którymkolwiek spośród Finn-Gallów. Była jednak nadzieja, że Brodir nie zaatakuje muintiru, jeśli ma za mało ludzi. – Trochę znam tego Brodira. Może i brak mu odwagi, ale z pewnością nie uporu. Będzie na mnie czekał choćby i rok. A kiedyś będę musiał wyjść.

Przechodząc między starymi jabłoniami, musieli się schylić pod niskimi konarami. Sad był tu gęściej zadrzewiony i musieli iść gęsiego.

– To naprawdę niesamowity ogród – pochwalił się opat. – Błogosławiony przez Stwórcę, który wynagradza nam gorliwą służbę. Wiesz, że maliny owocują nam od wiosny do pierwszych śniegów? A krzewy, które wszędzie na świecie dzielą się swoimi owocami tylko w upalne dni, nas karmią przez pół roku.

Mało to obchodziło pieśniarza, ale udał zainteresowanie, unosząc brew.

– Główna brama nie jest jedynym wyjściem – oznajmił abbas. – Mamy tu tunel wybudowany jeszcze w mrocznych czasach, gdy tutejszy lud nie znał *Słowa Bożego*. Prowadzi wprost do lasu. Mogę ci zdradzić, gdzie znajduje się wejście.

Ainar nie lubił opowieści o tajnych przejściach. W ogóle pomysł chodzenia pod ziemią, gdy można było spacerować po niej, był dla niego odpychający. Sekretne chodniki są dobre w sagach dla dzieci. Z niechęcią musiał jednak przyznać, że na wyspie paparów, tak jak i na sąsiedniej ziemi Englistadów można znaleźć wiele tajemniczych kamiennych budowli – i to tak starych, że nikt już nie pamięta, kto je wybudował. Słyszał nawet pogłoski, w których prawdziwość wątpił, o istnieniu niezwykle długiego podwodnego tunelu

łączącego Northumbrię z Vallandem.

– Nie trzymaj mnie w niepewności.

– Zdradzę ci jego sekret, ale najpierw chciałbym cię o coś prosić.

– Proście, a będzie wam dane – zadrwił słowami, które kiedyś usłyszał od opata. Ale dodał: – Być może.

– Tylko bez bluźnierstw – rozgniewał się abbas, ale po chwili jego oblicze znów złagodniało. – To dla mnie trudne, bo opat o pomoc może się zwracać tylko do seniorów. Ale ja zrozumiałem, że sami sobie nie poradzimy, a gdy pasterz chce przegonić wilka z zagrody, nie prosi o pomoc owieczki, ale walecznego psa. Dlatego przez wzgląd na gościnność, jakiej ci udzieliliśmy, błagam cię, byś odnalazł mordercę.

Ainar naprawdę był pod wrażeniem. Paparzy może i unikali walki, ale byli twardzi i dumni jak konungowie. Ciągłe głosili swoją wyższość nad Finn-Gallami, nawet kiedy ginęli od ich mieczy. Błagający papar... Poeta miał zamiar ułożyć o tym pieśń.

– A gdy go już znajdę, to co z nim zrobić? Nie powiesz mi chyba, że wy, miłosierni munkowie, chcecie jego śmierci?

Abbas zatrzymał się i odwrócił w stronę rozmówcy. Stali pod wysoką gruszą, która miała już liście i pąki kwiatowe.

– Zrobisz to, co uważasz za słuszne. Nie będę decydować o jego życiu, ale jestem pewien, że Bóg ukarze zbrodniarza, nawet jeśli będzie to musiał zrobić ręką geinta. Błagam cię! Mam paść przed tobą na kolana?

– Byłby to przyjemny widok. Wy, paparzy – poeta dźgnął palcem w pierś princepsa – pogardzacie moimi rodakami, ale wysługujecie się nami, gdy brak wam odwagi.

Princeps miał łzy w oczach.

Ainar zrobił zamyśloną minę, by jeszcze trochę potrzymać opata w niepewności i choć w części zemścić się za jego świętoszkowate kazania.

– Dobrze, pomogę wam – powiedział w końcu. – Ale od tej pory niech do

posiłków przynoszą mi dwa razy więcej piwa i dzbanek akwawity. Mam teraz uciążliwą podopieczną na głowie. Muszę pić za dwóch.

Akwawita była zdecydowanie najlepszym napojem spośród robionych w klasztorze. Pierwszy raz mnisi dali mu jej spróbować, gdy zmarznięty i gorączkujący trafił do ich zgromadzenia. Mówili, że to go rozgrzeje. I mieli rację. Nigdy nie pił niczego tak dobrego, tak mocnego i tak rozweselającego ciało, umysł i ducha. Czuł, jakby pił miód wprost z magicznego naczynia Odreri. Nie miał pojęcia, jak mnisi wytwarzali akwawitę, ale w tym złocistym trunku wyczuł posmak jęczmienia.

Opat popatrzył na niego z naganą. Smutek ustąpił miejsca niedowierzaniu.

– Akwawita? Naprawdę tylko o tym myślisz? Moi bracia...

– Wystarczy! Zgodziłem się pomóc, ale nie będę wysłuchiwać więcej kazań. Nudzi mnie ta wasza nauka, a z całej *Sagi o Kristosie* podoba mi się jedynie opowieść o rozmnożeniu chleba. Na tym dałoby się zarobić.

Opat poczerwieniał, ale Ainar nie zwrócił na to uwagi.

– Postawiłem swoje warunki. Przyjmujesz je?

– Niech Bóg zlituje się nad twoją grzeszną duszą. Zgoda.

Princeps stał jeszcze chwilę naburmuszony, po czym obrócił się i gestem dłoni nakazał Skaldowi iść za sobą.

Szli teraz między jarzębinami.

– Masz jakiś trop?

Dreng wzruszył ramionami.

– Ucho. W chlebie, który przynieśli mi do więzienia, było ucho. Trzeba przepytąć kucharza.

– To akurat będzie trudne. Naszym kucharzem był Adomnan, druga ofiara mordercy. I zapewne to jego ucho dostałeś.

– W takim razie muszę wiedzieć, kto owej nocy miał dostęp do kuchni.

– Z tym też może być kłopot. Do kuchni, którą zamykamy tylko na skobel,

przed zwierzętami, mógł wejść każdy. Jeśli ci to jednak pomoże, porozmawiaj z ojcem Brandanem. To on przyniósł ci chleb i powinien wiedzieć, kto kręcił się koło refektarza. Tylko postępuj dyskretnie.

– Pewnie nie masz też pojęcia, kto pracował w stajni, kiedy zginął Nannyd?

– Wiem. Faerghal i Blathmac. To oni odnaleźli ciało.

Ainar odgonił pszczołę. W jarzębinowym sadzie było ich jeszcze więcej niż wśród jabłoni, tak że nawet ich rozmowę zagłuszało nieustanne bzyczenie.

– Gdzie ty mnie prowadzisz?

– Chcę ci coś pokazać.

Poeta wiedział, co w takim odludnym gaju można pokazać głupiutkiej dziewczynie, ale nie miał pojęcia, co może być tu ciekawego dla niego.

– A co z trzecią ofiarą? – zapytał podejrzliwie opat, głaszcząc się po czarnej brodzie.

– Oto prawdziwa tajemnica – pieśniarz nawet się nie zająknął. – Podobno nic o nim nie wiadomo poza tym, że zginął tak jak pozostali.

– Tak, to naprawdę dziwne. Tym bardziej że jako opat znam wszystkich mnichów w muintirze i większość samodzielnych eremitów z okolicy. Jego zaś na oczy nie widziałem. Zdumiewające jest również to, że miał jasne włosy i niebieskie oczy jak Finn-Gall. Może warto by było spytać Brodira, czy go nie rozpozna?

– Brodir rzeczywiście jest w niezłych kontaktach z miejscowymi Finn-Gallami, ale nie wiem, czy zechce pomóc. Nie zaszkodzi jednak spróbować. – Sprzeciw nie miałby sensu. Ainar był przekonany, że opat i tak kogoś do niego pošle, jeśli już tego nie zrobił.

– Zostawmy to na razie. Jesteśmy na miejscu.

Przystanęli, a princeps wskazał dłonią przed siebie. Na niewielkim placu, w samym środku sadu, stało siedem uli. Ze wszystkich stron wracały i we wszystkie strony odlatywały pszczoły. Na razie ich nie atakowały, ale kilka z nich, zebranych w chmarę, zbliżyło się, zagradzając im drogę do uli.

– I po to mnie tutaj przyprowadziłeś? Myślisz, że pszczoły nie widziałem?

– Spójrz na te ule. – Abbas z wrodzonym sobie spokojem nie zwracał uwagi na docinki. Gdy zaczynał płomienną mowę, nic nie było w stanie go od niej oderwać. – Są niczym klasztor. Królowa, jak opat, dba o pszczoły, a one bez sprzeciwu i bez ociągania wykonują swoje obowiązki. Rytm ich pracy jest uporządkowany niczym życie zgromadzenia. Nie znają przyjemności, poświęcając się dla wyższych celów. Nie skosztują nawet nektaru, który zbierają. Tak samo jest z mnichami, którzy porzucają wszystko, co im jest drogie, by osiągnąć *báanmartre*, białe męczeństwo, pokutują i okazują skruchę, by dostąpić *glasmartree*, zielonego męczeństwa, oraz znoszą krzyż i umierają za swoją wiarę, by doznać *dercmatre*, czerwonego męczeństwa. I choć tylko nielicznym i najbardziej wytrwałym z nas Bóg zsyła wszystkie trzy męczeństwa, to wszyscy do nich dążymy, by uzyskać nasz miód, który dla nas jest zjednoczeniem z Jedynym. Nasze zgromadzenie jednak podupadło. Oddaliło się od wspólnego dobra. Jest jak ul, do którego wdarł się truteń, by zniszczyć w nim harmonię.

– Pomogę wam, jak powiedziałem. Jednak chyba nie zdajesz sobie sprawy z jednej rzeczy.

– Mianowicie?

– Truteń jest kobietą.

Princeps prychnął.

– Nie drwij ze mnie. Na terenie klasztoru nie ma ani jednej kobiety. To nie te czasy, kiedy mnisi żyli we wspólnych kongregacjach z mniszkami. A najbliższa osada leży kilka dni drogi stąd.

Rzeczywiście leżała. A obiecana przez princepsa niańka dla Znajdy jakoś nie mogła tu dotrzeć. Opat miał rację. Czarnowłosa nie mogła mieszkać w żadnej znanej im osadzie. Ainar podrapał się w nos, gdy przysłała mu do głowy pewna myśl.

– Może i mieszkacie na odludziu, ale życie nauczyło mnie jednego. Tam

gdzie w odosobnieniu żyje grupa mężczyzn, zawsze waży się piwo, a niedaleko mieszkają wyznawczynie Gefny.

– Gefna? A cóż to znowu za demonica?

– Bogini, która wszystkim daje. Jak to mawiał pewien skald: *grey þykki mér Gefna* – „wydaje mi się, że Gefna to suka”. I zawsze znajdują się takie, które za pieniądze naśladowują swoją boginię. Na Północy zwiemy je córkami albo czcicielkami Gefny.

Skald osobiście nic nie miał przeciwko tej religii, pod warunkiem, że wyznawały ją piękne kobiety. Wiedział jednak, że paparzy mieli zgoła odmienne zdanie na ten temat. W ich ulubionej sadze można było przecież znaleźć historię wszetecznicy, której za ciężką pracę zapłacono ukamienowaniem.

– Płatna miłość? To niedorzeczne. Mnisi żyją w czystości i ubóstwie. Jawnogrzesznice umarłyby tu z głodu. Miałeś nam pomóc, a nie sączyć jad i wysuwać bezpodstawne oskarżenia.

– To, czy jej płacą, czy nie, nic mnie nie obchodzi. Nie możesz jednak zaprzeczać oczywistemu. Munkowie oddają się, jak wy to nazywacie, rozpuście. Nawet do mnie dotarły skargi o dziwnych dźwiękach dobiegających z mniszych cel.

Abbas machnął lekceważąco ręką. Na ten ruch rój pszczół wzburzył się niebezpiecznie.

– To pewnie nocne modlitwy. Zaleciłem odmawianie dodatkowych lorik w intencji zabitych.

– A jednak dziś w nocy widziałem jedną czarnowłosą niewiastę. Przyszła do mojej chaty.

Opat spieszył się, a porośnięte czarnym zarostem policzki wzbogaciły się o nowy, czerwony kolor. Wyglądał niedorzecznie – rumieniec i broda pasowały do siebie tak, jak dziewictwo do wszetecznicy. Po chwili princeps schował jednak dłonie w rękawy i znów przybrał minę mędrca, jaką Ainar

widował na twarzach posągów w Vallandzie.

– Czarnowłosa, powiadasz. Dobrze. Nie chciałem o tym mówić, bo nie widziałem między tymi zdarzeniami żadnego związku. Niektórzy rzeczywiście uskarżają się na męczące sny. Zwłaszcza młodzi miewają z tym problem...

Skald dawno już nie miał kobiety. Ale nie był chłopcem. Choć nocna wizyta miała coś z marzenia sennego, czuł, że była czymś więcej. Miał pewne podejrzenia co do jej natury, ale nie chciał ich jeszcze zdradzać. Skoro abbas postanowił kryć swoich współbraci, to niech tłumaczy się dalej.

– Skoro to tylko sny, kto jest zabójcą? Wiemy, że ofiary przed śmiercią uprawiały miłość. Mówisz, że nie ma tu żadnej kobiety? Że winną nie jest chodząca nocą niewiasta, która – oprócz nasienia – zabiera kochankom życie? W takim razie pozostaje *argr*, zniewieściały mężczyzna. Jest nim jeden z mnichów.

Opat wyjął dłonie z rękawów i, co wydawało się nieprawdopodobne, zacisnął je w pięści. Pszczoły jakby wyczuły jego nastrój i niebezpiecznie zbliżyły się do ludzi, bzycząc jeszcze głośniejszym głosem niż przedtem.

– Jak śmiesz, geincie – krzyknął – oskarżać nas o grzech sodomski?! Modlimy się, pracujemy, kontemplujemy i znów się modlimy. Nie mamy czasu na cielesne pożądanie! Ale ty, leniwy Finn-Gallu, który w próżności zatracasz swoją duszę, nie możesz tego pojąć!

Ainar rzeczywiście nie pojmował. Celibat wydawał mu się sprzeczny z naturą mężczyzny. Odwrócił się i odszedł, zostawiając konunga klasztoru, który z zamkniętymi oczami i rękami uniesionymi ku niebu próbował się opanować i odgonić atakujące pszczoły.

do swoich cel, a on siedział samotnie w refektarzu przy palenisku. Ogień osmalał mu brwi, żar zalewał twarz. Spocił się i poczerwieniał na całym ciele.

Diablica przeszła przez ogień. Miała kruczoczarne włosy i iskry w smolistych oczach. Wydawała się płonąć. Była naga. Finlog przysunął się w stronę paleniska. Habit zaczął dymić, a mnich poczuł na skórze swędzenie. Rozpoczął kolejny pacierz.

Rozsunęła nogi, pokazując, czym Ewa skusiła Adama. Podniosła mu habit i usiadła okrakiem na kolanach. Modlił się coraz głośniej, ale wizja nie ustępowała. Zamknął oczy, by nie patrzeć na grzeszne ciało. Ale ona się nie poddała. Ugryzła go w ucho, potarłosiła je, aż zabolęło. Pocałowała go w usta. Smakowała malinami, a jej włosy pachniały kwiatami jaśminowca. Odwiązała jego cingulum, symbol czystości, i zawiesiła mu je na szyi. Uległ słabości. Otworzył oczy i ujrzał płonące czerwienią sutki. Chwycił ją za pupę. Uniósł zjawę i wszedł w nią. Zgrzeszył, a był to występki wart potępienia. Senna mara nie wydała odgłosu. Ciszę nocy przerywał jedynie krzyk mniszej rozkoszy.

12

Zakonnicy mieszkali w ulach z kamienia, tak jak ich ulubione owady. Ainar widział takie domki wcześniej, na Lodowej Wyspie, gdzie znajdowały się pozostałości po pobycie paparów. Zwano je tam *steinnar*, a tutaj używano innych nazw, takich jak *cellae* w języku Romverjów. Miały półokrągły kształt i przypominały babki z piasku. Właściwie były stosami różnej wielkości kamieni, które tworzyły ściany i kopuły. Ainar nie zauważył na nich śladu zaprawy murarskiej. Jedynym otworem w tych domkach było prostokątne wejście, którego przeważnie nie przesłaniały żadne drzwi – mnisi mieli się umartwiać chłodem nawet w nocy. Tylko najstarsi i chorzy mogli zasłaniać

wejście płachtą lub prostokątną platformą zbitą z desek. Budowle ustawione były bardzo blisko siebie, tak że niemal stykały się ścianami, ale do każdej prowadziła oddzielna brukowana dróżka. Wszystkie łączyły się i biegły razem wprost do placu przy oratorium, tak by żaden mnich nie zabłądził w ciemnościach, gdy spieszył na jutrznię lub wracał z wespierów.

Cele rozmieszczone były w zachodniej i wschodniej części muintiru, wszystkie nieopodal ziemnego wału. Wczoraj, tuż po rozmowie z opatem, poeta udał się do wschodniej części, ale wielu mnichów nie zastał w ich ulach, był to bowiem czas na pracę fizyczną. Ci, których zdołał przepytac, nie powiedzieli mu nic ciekawego. Obiecali tylko, że pomodlą się w intencji odnalezienia sprawcy. Ainar wyrzucał sobie, że był dla nich za miękki. Poszukiwania przerwał mu jednak nie opór mnichów do dzielenia się swoją wiedzą, ale płacz Znajdy. Dziewczynka w końcu się obudziła i wybiegła z domu, wydzierając się, ile miała sił: „Gdzie jest tata?!”. Wzbudziła tym większe przerażenie wśród munków niż całodzienne przesłuchiwanie Skalda. Chcąc nie chcąc, musiał wrócić do domu gościnnego i uspokoić małą. By to zrobić, wziął ją na barana i podskakując, kręcił się w kółko, jak hamramir podczas obrzędowego tańca przed walką. Cieszył się, że nikt tego nie widział.

Dziś pieśniarz miał inny plan. Chciał wstać przed pierwszym paniem, wymknąć się niepostrzeżenie z domu, poszukać Finloga i nakłonić go, prośbą lub groźbą, by popilnował małej. Jednak Znajdzie udało się wstać wcześniej. Wskoczyła na jego pryczę i pociągnięciami za nos oraz skokami po brzuchu zmusiła do wstania jeszcze przed wschodem słońca. Nie miał wyjścia i musiał zabrać ją ze sobą.

Tym razem poszło mu lepiej. Wyruszył wczesnym rankiem, kiedy mnisi po jutrzni kontemplowali w swoich celach. Nie była to ich zwyczajowa pora rozmyślań, ale opat ograniczył przedpołudniowe prace fizyczne, zalecając modlitwę, wspólną lub indywidualną.

Najlepszym tropem pozostawało ucho w chlebie, dlatego w pierwszej kolejności postanowił przepytac Brandana. Już wczoraj dowiedział się, gdzie

mniej więcej znajdowała się jego cela, ale i tak jej odnalezienie nie było łatwe. Wszystkie domki-ułe wyglądały identycznie, po drodze wstąpił więc do kilku innych cel, pytając ich mieszkańców o drogę, a przy okazji – o minione wydarzenia. Pracowite pszczołki zajęte były bżyczeniem swoich modlitw, a niektóre odpowiadały dopiero, kiedy pacnęło się je kilka razy w twarz. Ale i tak trudno mu było cokolwiek wychwycić z lawiny wyzwisk ubranych w religijne słówka. Zdołał wszakże dowiedzieć się kilku interesujących rzeczy o Adomnanie. Choć kucharz był bogobojnym mnichem, to zanim zamknął się w klasztorze, żył całkiem normalnie. Lubił pić i uwodzić kobiety, co nie sprawiało mu trudności, gdyż wywodził się z wpływowych cenelów. Los chciał jednak, że Adomnan nie był najstarszym ani nawet drugim w kolejności synem możnego pana, tylko dopiero piątym. Gdy dorósł, nie miał ze sobą co zrobić, więc został mnichem – zgodnie z wolą swego skąpego ojca. Podobno niegdyś dobrze władał mieczem i włócznią, a zdarzało mu się nawet stawać na wałach klasztoru, gdy atakowali go łupieżcy. Bo choć mnisi przemocą się brzydźili, to obrona muintiru była ich obowiązkiem. A w dawnych czasach, kiedy jeszcze geintowie nie prześladowali mieszkańców wyspy, zdarzało się nawet, że paparzy brali udział w wyprawach zbrojnych, spełniając swój obowiązek wobec lokalnego ri tuaithe’a.

W końcu poecie udało się znaleźć steinn Brandana. Znajda była już wtedy trochę zmęczona, więc wziął ją na ramiona. Wbrew jego obawom okazała się bardzo dzielna i prawie nie płakała, kiedy Ainar przepytawał mnichów. Tylko na początku trochę pochlipywała, ale przestała, gdy wyjaśnił jej, że to tylko taka gra w zgadywanki.

Brandan nie mieszkał sam. Niewielu mnichów, tylko opat i niektórzy seniorzy, cieszyli się przywilejem samotności. Reszta gnieździła się po dwóch lub trzech w jednej celi. Brandan dzielił domek z jasnowłosym młodzieńcem o twarzy ozdobionej meszkiem zarostu. Takie wspólne mieszkanie starszego i młodszego mnicha było tu powszechne. Finlog wytłumaczył mu kiedyś, że dojrzały papar dawał przykład wzorowego życia klasztornego i pilnował, by

młodszy nie ulegał pokusom. Ainar wierzył, że sflaczałe ciało starego mnicha skutecznie obrzydzało młodemu cielesne kontakty, ale nie był pewien, czy było to równie skuteczne w drugą stronę. Finlog przekonywał go jednak, że to i tak lepsze, niżby młodzi mnisi mieli mieszkać razem, bo zamiast modlić się, dawaliby upust młodzieńczemu zapałowi i marnowaliby czas na błahych rozmowach o trunkach, wojnach, przygodach i życiu poza wałami klasztoru. Głupi ci paparzy – ponownie ocenił poeta.

Ainar chciał trochę postraszyć Brandana. Z doświadczenia wiedział, że z przelęknionym munkiem łatwiej się rozmawia. Popęłnił jednak błąd. Wskakując niespodziewanie do środka przez niskie wejście, zapomniał o Znajdzie siedzącej mu na ramionach. Dziewczynka rąbnęła głową w kamień i rozpląkała się. O dziwo, wyszło to nawet na dobre, gdyż płacz dziecka bardziej wystraszył mnicha niż niespodziewana wizyta. W tym akurat paparzy nie różnili się od normalnych mężczyzn.

Poeta przerwał mnichom modlitwę. Zerwali się z klęczek i zdziwieni patrzyli to na drenga, to na rozwrzeszczaną dziewczynkę. Byli bladzi, jakby zobaczyli demona. Rzeczywiście, wchodząc do środka, Ainar przysłonił jedyne źródło światła, przez co przez chwilę mógł wraz z dziewczynką na karku wyglądać jak dwugłowy potwór, podświetlony od tyłu czerwonymi promieniami wschodzącego słońca. W końcu paparzy zrozumieli, kogo mieli przed sobą i zrobili to, co umieli najlepiej. Klękali z powrotem i wrócili do odmawiania lorik.

Pieśniarz rozejrzył się. Wnętrze tego ula, jak każdego innego, było surowe, więc ścian z nierówno ułożonych kamieni nic nie ozdabiało oprócz dużego drewnianego krzyża. Wisiał on w miejscu, w którym płaszczyzna ściany przechodziła w półokrągły sufit. Jeden siennik leżał pod krzyżem, a drugi przy przeciwległej ścianie. Łączenie sienników było niedozwolone nawet w mroźne zimowe noce.

Zsadził małą z ramion i kazał jej się pobawić. Dziewczynka nie chciała jednak przestać płakać, dopóki nie wyjął spod koszuli skórzanego bukłaka

i dał jej się napić kilku łyków piwa. Nagle poweselała, rozłożyła ręce i zaczęła biegać dookoła, bawiąc się w łabędzia.

– Wynoś się stąd, geincie. Nie widzisz, że się modlimy?! – zganił go hardo młodszy mnich, odwracając się i rzucając mu wrogie spojrzenie.

– I tak w kółko paplacie to samo. Nawet waszemu Wszystkosłyszacemu musi się to nudzić.

– Odejdź stąd i weź swojego bachora – powiedział jeszcze bardziej wściekły papar. – Możesz wrócić w południe, wtedy odpowiemy na twoje pytania.

– Grzeczniej, synku, bo podwinę ci sukienkę i zleję kijem po dupie.

– Jak śmiesz nam grozić, Finn-Gallu?! Myślisz, że się ciebie boimy? A co ty nam możesz zrobić? Nasze życie oddaliśmy Jedynemu i do niego teraz należymy. A ojciec Brandan to święty mnich, który modli się tak zażarcie, że Bóg zsyła mu krwawy pot i pozwala połączyć się ze sobą w ekstazie. Nie będziesz mu przeszkadzał swoim bezbożnym paplaniem.

Starszy mnich rzeczywiście nie zwracał na nich uwagi, tylko z zamkniętymi oczami mamrotał modlitwy, kołysząc się w przód i w tył jak wółwa podczas odprawiania czarów.

– Wasza ekstaza mnie nie obchodzi, co więcej, wydaje mi się czymś odrażającym. Ostrzegam cię po raz ostatni: milcz, bo starsi chcą porozmawiać.

– To ty zamilknij, geincie. Zobaczysz, przyjdzie jeszcze czas, gdy moi rodacy zjednoczą się i wygnają za morze wszystkich Finn-Gallów, by nie bezcześcili naszych ziem.

Ainar wyszczerzył zęby w brzydkim uśmiechu.

– Jeszcze bardzo długo będziemy bezcześcić te ziemie i wasze kobiety. Pokażę ci czemu.

Skald doskoczył do klęczącego młodziana i podniósł go za sznur, którym ten był przewiązany w pasie. Niosąc w jednej ręce wrzeszczącego i wyzywającego go od diabłów chudzinę, podszedł do wyjścia, wziął zamach

i wyrzucił go na zewnątrz. Mnich krzyczał, dopóki nie zarył twarzą w brukowaną dróżkę. Wtedy się rozpłakał. Wstał niezdarnie, przyłożył dłoń do krwawiącego nosa i uciekł. Ainar był pewien, że na skargę, ale wątpił, czy znajdzie gdzieś swoją mamusię.

– To jeszcze dziecko. Mogłeś być łagodniejszy. – Brandan przerwał modlitwę i odwrócił się w jego stronę. – Chociaż lekcja pokory z pewnością mu się przyda. Na drugi raz będzie wiedział, że geint nie rzuca ostrzeżeń na wiatr.

Dopiero gdy mnich się odezwał, Ainar zauważył, że paparowi brakuje przednich zębów, przez co strasznie seplenił.

– Cieszy mnie twa wiedza, bo ostatnie ostrzeżenie było dla ciebie.

Mnich zmarszczył czoło, próbując sobie przypomnieć jego treść. Lekko rozszerzył źrenice, gdy uświadomił sobie, że nie słowa miał na myśli Skald.

– Daruj sobie groźby. Powiem wszystko, co wiem. Wszystkim nam zależy na odnalezieniu mordercy.

Brandan właściwie nie był leciwy, tylko chudy i przygarbiony, a jego tonsura rozszerzyła się na całą głowę, tak że wyglądał dużo starzej, niż powinien.

– W takim razie powiedz – Ainar zrobił groźną minę i wycelował w niego palec – dlaczego zabiłeś tych dwóch mnichów.

– Kto? Ja? – zmieszał się papar. – Ależ ja nikogo nie zabiłem.

– Nie? Przecież upiekłeś chleb z uchem w środku.

– To nie ja. Nie bądź śmieszny. Nie wiem nic o tej sprawie, ale każdego dnia modlę się za naszych zamordowanych braci i proszę Boga o surową karę dla zabójcy. Jestem tylko prostym cenobitą. Przez wzgląd na moje chore plecy opat zwolnił mnie z prac fizycznych, więc prawie w ogóle nie wychodzę z celi. Nie mogę ci pomóc, bo nic nie wiem. Ale radzę ci, byś nie wysuwał bezpodstawnych oskarżeń w stosunku do mnichów, bo będę musiał o tym powiadomić abbasa. Zresztą sam pomyślałem, że ktokolwiek spośród sług

Jedynego może być zabójcą, jest niedorzeczny. My przecież brzydzimy się przemocą!

Mimo przebijającej z jego głosu pewności krople potu zaczęły świecić na łysinie chudzielca. Ainar wyczuł w nim tchórza, a tacy zawsze kłamią i mają coś do ukrycia. Nie spodziewał się niczego więcej po kimś, kto przedkłada książki nad wojaczkę.

Miał już tego dość. Przez dwa dni nie dowiedział się niczego istotnego i zanosilo się, że i z tej celi wyjdzie z niczym. Nie miał zamiaru pozwolić kolejnemu paparowi wodzić się za nos. Dotychczasowe metody przesłuchań nie sprawdziły się i trzeba było zrobić to tak, jak na Północy.

Podszedł do krzyża, zdjął go ze ściany i rzucił na ziemię, nie zważając na głośnie protesty mnicha. Papar po raz kolejny zerwał się z kolan, tym razem nie ze strachu, ale by ocalić przedmiot, do którego przed chwilą się modlił. Jednak nie zdołał do niego dotrzeć. Ainar chwycił munka w pasie, podniósł i powiesił na haku za habit.

Duchowny był mały, ale nawet on ledwo zmieścił się na niskiej ścianie. Nogi zawisły mu stopę nad ziemią, a głowę musiał pochylić, by dopasować się do półokrągłego sufitu. Materiał na jego plecach rozciągnął się, ale nie puścił. Munk kołysał się jak szczupak w wędzarni.

Znajda zanosila się śmiechem, obserwując bezradnie wymachującego rękami i merdającego nogami bezzębnego chudzielca. Ainar ukrył rozbawienie i przywołał groźną minę. Oparł się o ścianę i zaczął bawić się nożykiem do rzeźbienia. Mnich miał łzy w oczach.

– Nie róbcie mi krzywdy – zaskomlił.

Ainar nie od razu odpowiedział. Dał munkowi czas, by sam siebie zamęczył wizjami katuszy, jakie podpowiadał mu umysł. Z opowieści opata o karach piekielnych wiedział, że mnisi mają bujną wyobraźnię i znajdują się na krzywdzeniu. W swojej księdze kar mieli pokaźną listę cierpień i mąk, którymi się często raczyli. Dlatego poeta miał pewne obawy, czy papar da się łatwo

przestraszyć, ale po raz kolejny przekonał się, że ból zadawany sobie jest niczym w porównaniu ze świadomością, że dozna się go od kogoś innego.

– Zawisłeś tu, na miejscu krzyża, nie bez przyczyny. – Skald wymierzył w niego nożyk. – Będiesz tu cierpieć za grzechy. Ale nie tak jak twój bóg, za cudze przewiny, ale za własne. Morderco i sodomito – to ostatnie słówko podchwycił od opata. Podobało mu się jego brzmienie i zauważył, że zakonnicy uważają je za niezwykle obraźliwe.

– Morderco? Sodomito? O czym ty mówisz, Finn-Gallu? Mówiłem już, że nie mam z tym nic wspólnego!

– Tylko mi tu nie kłam! Wszystko świadczy przeciwko tobie. Lepiej się przyznaj. Opat obiecał okazać *miskunn*, łaskę, temu, kto dobrowolnie wyzna winy.

– Ale ja nic nie wiem.

Skald widział w oczach mnicha, jak strach zmienia się w przerażenie.

– Nie kłam. I tak wszystko już wiemy. Nannyda zamordowałaś w nocy w chlewie. Pewnie był twoim kochankiem. Lubieś go przyduszać, co? Zarzucać sznur na szyję swojemu argiemu. Aby zatrzeć ślady, rzuciłaś go świniom na pożarcie.

– Nie, nie. Nie chcę tego słuchać.

Rzeczywiście nie chciał, a dla podkreślenia swojego życzenia zatkał sobie uszy dłońmi – jak mała dziewczynka, która myśli, że to uchroni ją od przykrych słów. Skald nie był kozą spełniającą życzenia. Powoli zbliżył się i ukuł mnicha w nos czubkiem noża. Munk był mały, więc mimo tego, iż wisiał nad ziemią, ich czoła prawie się zetknęły, gdy Ainar przybliżył głowę do jego twarzy.

– Potem – kontynuował, przebijając się słowami przez nieuszczelną barierę mniszych palców – dałaś Znajdzie ucho, by podrzuciła je obcemu, geintowi, którego łatwo będzie oskarżyć. A gdy odnaleźliśmy ciało, wmówiłaś innym, że to ja jestem sprawcą. Przekonałaś nawet opata i seniorów.

– Nie dręcz mnie. Nawet nie było mnie przy chlewie, gdy odnaleźli ciało.

I nie należę do seniorów, a mało kto liczy się tutaj z moim zdaniem.

– Nie zaprzeczaj. Zrobiłeś to wszystko, ale było ci mało. Czując się bezkarnie, znalazłeś sobie nowego kochanka. Udusiłeś go sznurem i podpiekłeś na rożnie. A jego ucho dodałeś do chleba. Tylko dlaczego byłeś na tyle głupi, że przysłałeś go do mnie? Przecież musiałeś przewidzieć, że będzie to dowód mojej niewinności. A może to była pomyłka? Piekłeś chleby dla wszystkich i myślałeś, że znajdzie je jakiś przypadkowy mnich. Chciałeś wszystkich przechytrzyć, ale norny zakpiły z ciebie.

– Ale ja... ja, ja – zająknął się – ja nawet nie znam się na gotowaniu.

– Pasztet był dobry – dodała Znajda, która przerwała zabawę w łabędzia, z coraz większym lękiem obserwując rozmowę.

– Sam widzisz... – Ainarowi z coraz większym trudem przychodziło ukrywanie rozbawienia. By nie roześmiać się paparowi w twarz, odsunął się od niego i zaczął spacerować po celi. Gdy odwrócił się do Brandana plecami, pozwolił sobie na mały uśmiech w kierunku Znajdy. To ją trochę rozluźniło, choć wciąż miała niepewną minę. Gdy ponownie spojrzał na mnicha i wymierzył w niego nożyk, znów wyglądał groźnie jak wściekły hamramir. – Lepiej przyznaj się od razu.

– Nie rozumiecie! – Zrozpaczony munk puścił w końcu swoje uszy i zaczął trzeć zażawione oczy. – Ja naprawdę nie znam się na gotowaniu i nie pracuję w kuchni. Tylko roznoszę posiłki, jeśli ktoś nie może wieszczać z nami. Tego dnia kazali mi zanieść wam jedzenie, więc wziąłem misy ze stołu w refektarzu i zaniósłem je wam. Nawet nie zbliżyłem się do kuchni ani paleniska!

To samo mówił mu opat. Pieśniarz nie miał podstaw, by im nie wierzyć, ale miał nadzieję, że Brandan przynajmniej kogoś widział.

– Kto w takim razie przygotowywał jedzenie?

– Adomnan jest... to znaczy był naszym kucharzem.

– A Adomnana znaleziono na rożnie. Bardzo wygodne, zwalić winę na nieżyjącego współbrata. Jeszcze mi powiesz, że kucharz sam odciął sobie

ucho, przygotował nam jedzenie, zaniósł je do refektarza, a potem się zabił?

– Nie... nie wiem. Może. Albo ktoś zabił go później.

– Nie. To morderca musiał upiec chleb tuż po tym, jak udusił kucharza i uciął mu ucho. A potem zaniósł pieczywo na stół, do refektarza. Zaraz – Skald udął zawahanie – a kto roznosił posiłki tego dnia? A tak, to byłeś ty.

– Ale ja nie zaglądałem do kuchni. Nie donosiłem jedzenia na stół!

– W takim razie kto?

– Nie wiem, nie widziałem, ale... Nie, to pewnie nieważne...

– Z pewnością nieważne. I tak twoja wina jest oczywista.

– Nie, czekaj. Gdy wchodziłem do refektarza, widziałem, że dwóch mnichów kręciło się koło kuchni. Było ciemno, ale to chyba byli Faerghal i Blathmac.

Dwójka, która znalazła ciało Nannyda – przypomniał sobie Ainar. W końcu coś przydatnego. Już wiedział, kogo następnego odwiedzi.

Nie sądził, że Brandan powie mu coś więcej. Ale chciał go jeszcze trochę pomęczyć. Należało mu się za ten upór.

– Marne te twoje tłumaczenia. Seniorzy uznają cię za winnego.

– Ale ja naprawdę nic nie zrobiłem. – Bezzębny mnich rozplakał się, przez co jeszcze bardziej seplenił. – Przysięgam na Wszechmocnego.

Znajda spojrzała na szlochającego mężczyznę. Oczka jej się zaszkliły. Poeta przywołał ją i wziął na rękę. Szepnął jej do ucha, że zakonnik próbuje ich zwieść, by wygrać w zgadywanki.

Trzylatka zrobiła oburzoną minę, a gdy Finn-Gall postawił ją na ziemię, wskazała zaciśniętą piąstką na munka i zadziornie wykrzyczała:

– Zły, niedobry papar. Oszust!

Asceta jeszcze głośniej zapłakał.

Ainar przestał się dziwić, dlaczego nosi się tu sukienki.

– Przecież wszyscy wiedzą – spróbował kłamstwa, wiedziony przecuciem

– że nie tylko lubieżnie spoglądałeś na Nannyda i Adomnana, ale i na tego młodzieńca, z którym dzielisz celę. Myślisz, że nie zauważyłem, jak zażarcie cię bronił? Powiesz mi, że łączy was tylko mnisza przyjaźń?

– Zlituj się nade mną, geincie. Niech twe serce z kamienia rozkują moje łzy. Czym ci przewiniłem, że oskarżasz mnie o te grzechy śmiertelne? Cały dzień modłę się i pracuję, by zachować czystość ciała i umysłu.

– Mam uwierzyć, że morderca nie ma pokus cielesnych?

– Ile razy mam powtarzać? Nie jestem mordercą – mnich szedł w zaparte. – Ale powiem, wyznam wszystko. Czasem nachodzi mnie pokusa. Ale ma ona kształt Marii Magdaleny, a nie mężczyzny! Przysięgam.

Ainar doskoczył do niego i skrobął nożykiem po siwiejącym zarostie munka.

– A jak dokładnie wygląda ta pokusa?

– Nie dręcz mnie, geincie. Wstydzę się tego i żarliwie modłę, by odgonić od siebie te wspomnienia.

– Mów, albo ten nożyk zedrze ci zarost razem ze skórą. Opat prosił mnie, by to żelazo wymierzyło mordercy sprawiedliwość. Chociaż i tak nie prosiłbym o zgodę na zarżnięcie argiego, który oddaje się mniszej miłości.

– Ma krucze włosy, pachnie jaśminowcem i smakuje malinami! – wykrzyczał na jednym wydechu. – Jest naga i przysięgam, że ma piersi!

Jakby na znak wagi tych słów habit w końcu się rozdarł i zakonnik z hukiem zwałił się na klepisko. Mnisza pszczołka, śniąca o zakazanym miodzie, pospiesznie zwinęła się w kłębek i choć wydawało się to niemożliwe, zaszlochała jeszcze głośniejsze niż poprzednio.

Ainar i Znajda opuścili celę, zostawiając jej mieszkańca w objęciach strachu, wstydu i rozpacz.

Na zewnątrz natknęli się na tłumek paparów, którzy, przestraszeni wrzaskami, przerwali modlitwy i wybiegli z uli. W oddali poeta dostrzegł zbliżającą się procesję z jasnowłosym o rozbitym nosie i opatem na czele. Po

chwili ze wszystkich stron otoczyli go mnisi, a każdy z nich krzyczał coś do niego. Pieśniarz poczuł się jak truteń osaczony przez pszczoły.

13

Musiał wyznać komuś swoją winę. Wyrzuty sumienia były nie do zniesienia. Zasnął podczas modlitwy pokutnej. I zamiast odkupić swoje winy, jeszcze je powiększył. Zhańbił siebie, zbezczeszczył szaty, które nosił. Śnił o diablidy i zamiast wyrzec się zła, pozwolił, by zbliżyło się do niego. A potem się w nim zanurzył. I sprawiło mu to przyjemność. Do teraz odczuwał ból krtani, a na szyi miał ślady po duszeniu. Bardzo dziwne zważywszy na to, że Czarnowłosa była senną marą.

Najgorsze było to, że nie mógł wzbudzić w sobie szczerego żalu. Wiedział, że zrobił coś obrzydliwego i wstydził się tego z całego serca. Jednak ten grzech dał mu tyle radości, a tak uciążliwe od miesięcy napięcie pod habitem prawie całkowicie znikło. Gdy wrócił do celi, mógł spokojnie zasnąć nieopodal ojca Pecthelma, pobożnego mnicha, który przybył do nich aż z ziem zamieszkiwanych przez Englismadów. A spał głęboko jak nigdy. I pewnie spóźniłby się na jutrznię, gdyby Pecthelm go nie obudził. A na jutrzni? Modlił się tak zażarcie, że po nabożeństwie opat pochwalił go przy wszystkich. W końcu nic nie zaprzątało jego głowy i mógł myśleć tylko o Bogu i swoich winach.

Zauważył grupkę mnichów, idących z opatem na czele ku celom położonym we wschodniej części muintiru. Schował dłonie w rękawy i spuścił głowę, na którą miał naciągnięty kaptur. Udał, że kontempluje. Liczył, że przy odrobinie szczęścia opat nie będzie chciał mu przeszkadzać, a może w ogóle go nie rozpozna. I rzeczywiście. Wzburzony tłumek minął go bez słowa. Odprowadził współbraci wzrokiem i dostrzegł, że otoczyli Ainara, który wyszedł z jednej z cel. Domyślił się, że Finn-Gall znów narozrabiał, choć zmartwiło go to

mniej, niż powinno. Niesforność Skalda mogła pomóc Finlogowi ukryć przed opatem odwiedzin u ojca Oengusa.

Należący do opiekuna szkoły klasztornej *clocháin* – jak paparzy zwali ulowe domki we własnym, iryjskim języku – znajdował się tuż przy siedzibie abbasa. Ojciec Oengus, najbardziej wpływowy spośród seniorów, wydawał się Finlogowi bardziej wyrozumiały niż przełożony zgromadzenia. Princeps, choć nie można mu było odmówić troski o sumienia mnichów, nie rozumiał ludzkich słabości i oceniał każdego miarą swojej świętości i pobożności. Finlog wstydził się więc przyznać Maelruainowi, że dzień po tym, jak został pochwalony za wytrwałość w walce z pokusą, oddał się rozpuście. Nie chciał mu sprawić zawodu, choć zdawał sobie sprawę, że strach przed wyznaniem win nie może być miły Wyrozumiałemu.

Z zewnątrz ul Oengusa wyglądał jak każdy inny, ale dziura wejściowa zastawiona była płytą zbitą z desek. Finlog zastukał w nią i usłyszał stanowcze „wejść”.

Wnętrze było trochę lepiej wyposażone niż w zwykłej mniszej siedzibie. Siennik nie leżał na ziemi, lecz na pryczy z desek, a na środku celi stał skromny stół. Wokół niego rozmieszczone były trzy pniaczki. Na jednym z nich siedział Oengus, który czytał lekcjonarz. Przygarbiony, siwy i chudy, uosabiał zakonne cnoty: pokorę, roztropność i ubóstwo.

Finlog podszedł pod krzyż wiszący na ścianie, uklęknął i zmówił krótką modlitwę. Potem siadł na jednym z pniaków i cierpliwie czekał, aż Oengus skończy lekturę.

– Mów śmiało, Finlogu – gospodarz odezwał się w końcu, zamykając księgę. – Czy ktoś cię napadł?

– Napadł? A, nie... – Zrozumiał, że siwy mnich patrzy na pręgę na jego szyi. – To stało się podczas snu, ale – oblał się rumieńcem – wstyd mi o tym mówić.

– Niepotrzebnie. Po twoim zaskakującym wystąpieniu w oratorium wszyscy wiedzą o twoim problemie. Rozumiem, że pokusa nie ustąpiła.

Finlog pokręcił głową.

– I jeszcze się nasiliła – dodał.

– Dobrze, że odczuwasz żal. Ale nie zadręczaj się tym. Człowiek, nawet najświętszy cenobita, jest istotą słabą. Takie kuszenie jest w twoim wieku naturalne. Ciało po prostu przypomina ci, że jesteś zdolny do zaludniania ziemi, jak Stwórca nakazał człowiekowi.

– Ale abbas twierdzi, że uleganie pokusom jest niegodne mnicha.

– Z pewnością powinniśmy z nimi walczyć. Maelruain jest świętym mnichem i wymaga tej doskonałości od podopiecznych. Ale zapomina, że ważniejsze jest dążenie do świętości niż bycie doskonałym. Nasze życie jest bowiem *peregrinatio Kristi*, pielgrzymką ku Zbawicielowi. A gdy droga jest wyboista, czasem się potykamy. Ja też w młodości nie ustrzegłem się błędów.

– Ty, ojcze Oengusie? Nie wierzę. Razem z opatem jesteście wzorem mniszych cnót.

– A jednak, mój młody bracie. A jednak.

Siwy zakonnik wstał i zaczął spacerować wokół stołu, głaszcząc się po brodzie sięgającej mu do połowy piersi.

– W twoim wieku marzyły mi się podróże po świecie, kobiety, zaszczyty na dworach. Ale zrozumiałem, że Wszechwiedzący wybrał dla mnie inny los i że tamte rzeczy przeminą razem z moją młodością, sławą i bogactwem. Wieczny i prawdziwy jest bowiem tylko Bóg. – Oengus podniósł wzrok, jakby ten mógł przeniknąć przez kamienne sklepienie, sięgnąć nieba i ujrzeć oblicze Doskonałego. – Z czasem i twoje pokusy znikną. Ale by lepiej panować nad swoim ciałem, wykonuj więcej prac fizycznych. Nuda jest bowiem najlepszym sprzymierzeńcem grzechu.

Finlog podejrzewał, że starszy mnich chciał go tylko pocieszyć. Był w końcu *fer léogind*, przełożonym szkoły klasztornej. I choć po szkole został tylko budynek i tytuł Oengusa, to wszyscy uważali go za mędrca i stawiali młodszym mnichom za wzór do naśladowania.

– Zostawmy to jednak. – Poczciwy cenobita uśmiechnął się. – Lepiej powiedz, czego dowiedziałeś się o Ainarze.

Finlog poczuł ulgę, że gospodarz nie chce dłużej pastwić się nad jego występkiem i że jest dla niego wyrozumiały jak rodzic, który daje rady, a nie karze. Młodzieniec nie potrafił tak łatwo uwolnić swoich myśli od wspomnienia Czarnowłosej, ale – zgodnie z prośbą Oengusa – postarał się skupić na osobie Skalda. Zgodnie z zaleceniem starszego mnicha zaprzyjaźnił się z Ainarem, kiedy tylko ten przybył do muintiru. Starszy manach nie był tak ufny w stosunku do obcych jak opat, dlatego nakazał Finlogowi dowiedzieć się o przybylszu, jak najwięcej zdoła.

– To człowiek o złożonej naturze, choć powierzchowności rudy żelaza. Jest surowy, odpychający i twardy. Choć targają nim żądze, wydaje się człowiekiem rozumnym, a nawet mądrym. Ma jednak tę wadę, że doszukuje się w ludziach złego, nie wierząc w ich dobre intencje.

– A co z tym Brodirem, który kręci się za murami?

– Podobno był jakiś zadawniony zatarg pomiędzy nimi. Ainar nie chciał mi o tym opowiedzieć. Ale jeden z mnichów słyszał od pewnego wędrownego duchownego, że podobno poróżniło ich srebro. Zresztą o cóż innego mogliby się wadzić geinci? Chciwość dziedziczą przecież z mlekiem matki. Nikt jednak nie wie, na czym dokładnie polegał ten konflikt. Połapanie się w ich rodowych waśniach jest trudne nawet dla samych Finn-Gallów.

– Myślisz, że możemy mu zaufać?

Gdy popełniono pierwsze morderstwo, Oengus dał Finlogowi inne zadanie. Miał ocenić, czy obcy może być zamieszany w zbrodnię, a gdy wyszła na jaw jego niewinność, wy badać, czy Ainar byłby w stanie im pomóc. Młodzieniec czuł się trochę niezręcznie, gdyż miał to robić w tajemnicy przed opatem. Oengus wytłumaczył mu jednak, że princeps ma ważniejsze rzeczy na głowie, gdyż musi opiekować się zgromadzeniem i przywrócić porządek klasztornego życia. Ale Finlog nie był głupi. Wiedział, że Oengus nie zgadza się z abbasem w wielu sprawach i że najstarszy spośród seniorów niejednokrotnie próbował

podważyć autorytet princepsa. Dlatego powątpiewał, czy jego działania mają pomóc zgromadzeniu, czy też zaszkodzić opatowi. Wmawiał sobie, że chodzi o to pierwsze.

– Trudno powiedzieć. Finn-Gallowie słyną z przestrzegania przysięg, ale tylko tych, które złożą rodakom i wzywając swoich bogów na świadków. Ten wydaje się uczciwy i jeśli obiecałby nam pomoc, to pewnie byśmy ją dostali.

– Zawahał się. Obmawianie drugiego człowieka jest grzechem, tym bardziej jeśli dotyczy przyjaciela. Ale lojalność wobec zgromadzenia była silniejsza. Nie powinien nic zatajać. – Skald jest jednak osobą niezwykle gwałtowną i przewrażliwioną na punkcie własnej sławy i honoru. Jego wsparcie dla sprawy mogłoby okazać się dosyć kłopotliwe. Wydaje mi się, że abbas właśnie się o tym dowiaduje. Kiedy tutaj szedłem, Ainar znajdował się w środku kolejnego zamieszania.

– Tak. Decyzja opata mogła być pochopna. – Oengus przystanął i zamyślił się. – Wszystkich zaskoczył, prosząc o pomoc geinta. Ale być może wyjdzie to nam na dobre. Niezbadane są wyroki Opatrzności. Widać nasza obawa, że princeps nie poświęci należytej uwagi na rozwiązanie tej sprawy, okazała się płonna.

– Zawsze wierzyłem w mądrość ojca Maelruaina – szczerze i z wyraźną ulgą wyznał Finlog. – Nasz opat jest surowy, ale robi wszystko dla dobra zgromadzenia. Cieszę się, że nie muszę dłużej działać za jego plecami.

– Ależ mój młody bracie. – Siwy cenobita zaszedł go od tyłu i pobłażliwie położył mu dłoń na ramieniu. – Nie zrobiliśmy nic złego. Po prostu chcieliśmy pomóc opatowi w opanowaniu sytuacji, nie zaprzatając mu głowy nowymi problemami i naszymi podejrzeniami. Mnie również cieszy, że abbas tak sprawnie zapanował nad chaosem. Czy mamy go jednak zostawić w potrzebie i pozwolić, by w pojedynkę zmagał się ze wszystkimi trudnościami nękającymi klasztor? Bezczytność jest przecież śmiertelnym wrogiem cnoty. Musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by odciążyć go z obowiązków i wspomóc w walce o dobro naszego muintiru. Nie uważasz?

– Tak... Pomoc jest obowiązkiem mnicha. – Młodzieniec przeczuwał, że po raz kolejny jest wciągany w rozgrywkę między najbardziej wpływowymi mnichami, ale nie mógł odpowiedzieć inaczej. – Zrobię wszystko dla dobra zgromadzenia.

– Odpowiedź godna świętego. Powiedz mi więc, czy dowiedziałeś się czegoś o wynikach śledztwa tego geinta.

– No cóż... Wśród braci krąży plotka, że Ainar nie jest wyrozumiałym spowiednikiem i przedkłada siłę fizyczną nad łagodność. Dzięki temu poznał kilka szczegółów z życia zamordowanych mnichów, ale chyba nie odkrył nic ważnego. Z pewnością przydałoby mu się wsparcie kogoś, kto lepiej zna nasze obyczaje.

– Nie – senior zaprzeczył stanowczo. – Lepiej będzie zostawić mu wolną rękę, przynajmniej na razie. Nie jestem przekonany, czy powinniśmy zdradzać mu nasze sekrety. To, co cenobici robili przed wstąpieniem do muintiru, jest ich sprawą, tutaj nikomu nie wypominamy przeszłości. Zresztą geint nie ma prawa oceniać postępów świętobliwych mnichów. Ale mam pewien pomysł. – Oengus puścił ramię współbrata i znów usiadł na pniaczku. Pogładził wąsy i podrapał się po skroni. – Ty, Finlogu, jesteś jednym z nas. Tobie manachowie zaufają. Zgromadzenie jest przecież jak rodzina: tworzy je wiele osób, ale stanowi jedność, przed którą nie można mieć tajemnic. Porozmawiaj z braćmi, popytaj tych, którzy najlepiej znali zamordowanych, i tych, którzy odnaleźli ciało, i tych, którzy kręcili się wokół miejsca zbrodni. Szczególną uwagę zwróć na ojca Rudana. Ostatnio zachowuje się dziwnie. Takiej gorliwości w modlitwie dawno już u niego nie widziałem.

Udało mu się wyłgać, choć było gorąco. Nie spodziewał się, że tym niewinnym żartem wprowadzi mnichów w taki gniew. Dopiero teraz przekonał

się, jak wielką wagę przywiązywali do tych ozdób na ścianach. Dobrze, że trzymał na rękach Znajdę – to trochę studziło ich mordercze zapędy. Zniewieściali paparzy, którzy w pojedynkę uciekali na samo jego spojrzenie, w kupie robili się zaskakująco odważni. Gdyby nie obecność opata, polałaby się krew.

Nawet jednak sam abbas nie był spokojny. Wyzwał go od bluźnierców i zagroził wydłużeniem procesu *analysis* do wieczności, co nie dawało Ainarowi wielkich nadziei na szybki powrót do Jedności. Poecie udało się udobruchać konunga klasztoru zapewnieniem, że jest bliski pojmania złoczyńcy. Obiecał też, że już nie będzie się nad nikim znęcać. Kłamstwa przychodziły mu coraz łatwiej. Princeps z kolei zdołał uspokoić tłum na tyle, że pieśniarzowi pozwolono wrócić do domu gościnnego.

Chcąc nie chcąc, Ainar musiał odłożyć na jutro dalsze przesłuchania. I dobrze, bo dzisiejszej nocy planował się trochę zabawić.

To Finlog podrzucił mu ten pomysł, a raczej umocnił jego wcześniejsze zamierzenia. Mnich mówił o dziwnych nocnych odgłosach i znikających przedmiotach. Nie zaszkodzi, jeśli kilka takich przedmiotów znajdzie się w sakwie Ainara. Przy odrobinie szczęścia i tak wszystko spadnie na karb mordercy.

Czyli dziura w dachu, którą zrobił, planując ucieczkę, miała się przydać, gdyż princeps nie do końca uwierzył w ostatnie wyjaśnienia Skalda i poprosił brata Osilka – jak nazywał go Ainar – by pilnował drzwi domu gościnnego. Poeta wolałby poprzednich strażników, tych milczących, gdyż ten ciągle na głos klepał pacierze, przeszkadzając małej w spaniu.

Tuż przed północą podważył deszczułki i cicho odłożył je na bok. Wciągnął się na dach i zamarł. Nieopodal, na kalenicy, siedział kruk i wpatrywał się w niego. Mężczyzna poczekał chwilę, ale że ptak nie przejawiał ochoty do krakania ani nagłego zrywu, czym mógłby zaniepokoić strażnika, poeta ostrożnie podpełzł na skraj dachu i zeskoczył na trawę. Przywarł do ściany, nasłuchując, czy brat Osilek nie ruszy się ze swojego miejsca. Ale tamten dalej

odmawiał loriki.

Podczas wcześniejszych wycieczek przeszukał już magazyny, pomieszczenia dla zwierząt, kapitularz i refektarz. Z kolei do cel nie miał po co zaglądać – w przeciwieństwie do prawdziwych pszczół mnisi nie trzymali w swoich ulach miodu. Ten, jak Skald się domyślał, zgromadzony został w oratorium, a raczej w dobudowanym do niego skarbczyku. Wyobrażał sobie, że pomieszczenie jest wypełnione po sufit pucharami, krzyżami i manuskryptami.

By się tam dostać, potrzebował liny. Szczęśliwie podczas ostatnich poszukiwań znalazł skład sprzętów gospodarczych, więc właśnie tam się teraz skierował.

Minął wschodnie domki, nadstawiając ucha na rozpustne wrzaski, o których mówił Finlog. Niczego nie usłyszał. Było wręcz podejrzenie cicho. Wolałby, aby odgłosy nocy zagłuszały jego kroki, bo choć szedł po trawie, unikając brukowanych drózek, to nie był tchórzem wyćwiczonym w bezszelestnym chodzie. Wrony siedziały na drzewach, a koty na dachach, ale wszystkie zachowywały ciszę. Jakby nasłuchiwały i na coś czekały.

Składu nigdy nie zamykano, z łatwością więc znalazł linę i przewiesił ją przez ramię. Był to zwyczajny sznur ze splecionych witek wierzbowych, ale nie przypuszczał, by paparzy mieli doskonałe rzemienie ze skóry wielkiej ryby czy chociażby z łyka, czyli takie, z jakich wytwarzania słynęli żeglarze Północy.

Droga do oratorium wiodła nieopodal refektarza. Już prawie go minął, gdy usłyszał osobliwy dźwięk, który do siedziby ascetów pasował tak, jak hamramir do królewskiego dworu. Coś jakby męski odgłos satysfakcji i zadowolenia. Zatrzymał się i nasłuchiwał dalej. Nie czekał długo, nim dobiegł go kolejny jęk rozkoszy, tym razem wydany przez kogoś innego. Cofnął się, idąc wzdłuż ściany refektarza. Tak dotarł do budynku kuchni, przylegającego do jadalni. Znalazł szparę i zajrzał.

W środku dwóch paparów siedziało przy świecy i zaspokajało cielesne zachcianki, bezwstydnie przy tym mrucząc i pojękując z radości. Zajadali się

kiełbasą.

Ainar oderwał oko od szpary i zasłonił usta dłonią, by się nie roześmiać. Pokręcił głową, dziwiąc się własnej głupocie i ganiąc za wybujałą wyobraźnię. Fylgja szepnęła mu do ucha, że odgłosy, o których opowiadał mu Finlog, mogły być także przejawem mniszego łakomstwa, a nie rozpustnej żądz. Chociaż miały dobiegać z mniszych cel, a nie z kuchni. Może więc munkowie ukrywali kiełbasy pod habitami i zjadali je nocą w swoich celach, gdzie wzrok opata nie sięgał? Uśmiechnął się na tę myśl. Przypomniał sobie jednak o Czarnowłosej, która nie wyrzekła słowa podczas wizyty u niego. Jeśli Brandan, bezzębny asceta, mówił prawdę, to niema kochanka mogła odwiedzić więcej mnichów i sprowokować ich do wydawania odgłosów, które bardziej pasują do mężczyzn niż łakomczuchów. Wyznawcy bogini Gefny wciąż mogli być odpowiedzialni za zakłócanie ciszy między nocnymi wigiliami.

Zajrzał przez szparę jeszcze raz. Wydawało mu się, że rozpoznał obżartuchów. To Faerghal i Blathmac, dwójka, która odnalazła bezuchego mnicha w chlewie. Postanowił ich trochę postraszyć.

Podniósł kamień i przerzucił go przez kalenicę. Kamień poturlał się po deszczułkach i spadł po drugiej stronie domu. Przez dziurkę obserwował, jak paparzy zrywają się z miejsc, otrzepują habitę z okruszków chleba i kiełbasy, a następnie gaszą świecę.

Sięgnął po kolejny pocisk, ale tym razem wybrał inny cel. Cisnął w burego kocura siedzącego na dachu pobliskiej kuchni i złośliwie wpatrującego się w Skalda świecącymi w ciemnościach ślepiami. Trafił. Zwierzak wrzasnął tak, jak tylko koty potrafią – przedrzeźniając płacz dziecka i krzyk mordowanego. Drzwi otworzyły się i z refektarza wypadli munkowie, chyżo przebierając nóżkami niczym młode jelonki. Obżartuchy pognały w kierunku swoich cel, nie oglądając się za siebie i nie myśląc nawet o przymknięciu drzwi, które skrzypiały, targane podmuchami wiatru.

Ainar ruszył w swoją stronę. Już wiedział, o czym nad ranem porozmawia

z Faerghalem i Blathmacem. Zastraszenie ich będzie równie łatwe, jak zabranie paparowi modlitewnika.

Tak jak oczekiwał, przy oratorium nie było nikogo. Mnisi wreszcie skończyli obrzędy pogrzebowe i w świątyni nikt już nie musiał czuwać nad zwłokami. Jeszcze wczoraj, przed pochówkiem, byłoby to nie do pomyślenia, munkowie bowiem byli zwariowani na punkcie nękania swoich braci po śmierci. Czy mieli nadzieję obudzić trupa zawodzeniami, skłonić go do pozostania w ziemi, czy po prostu pożegnać go płaczem, tego poeta nie wiedział, ale zmarły mógł sobie od nich odpocząć dopiero w grobie. To, czy ten odpoczynek był stały, czy okresowy, zależało jednak od warstwy ziemi, jaka go odgradzała od odgłosów świata na powierzchni, gdyż paparzy ciągle przychodzili na mogiłę i zanudzali trupa pacierzami. Nawet śmierć nie przynosiła wybawienia od nudy klasztornego życia.

Brak zwłok w oratorium oznaczał jeszcze jedno. Ciało mnicha przebierańca musiało zostać odesłane Brodirowi, bo z pewnością nie zostało pogrzebane na paparskim cmentarzu. Skald bez wątpienia zauważyłby nowy pochówek, życie nauczyło go bowiem, że liczba trupów zawsze powinna zgadzać się z liczbą zakopanych zwłok. A to przynajmniej z dwóch powodów. Pierwszy zna każdy, kto choć raz poczuł swąd gnijącego trupa. Drugi wiązał się ze sprawami eschatologicznymi, jak mówili o tych sprawach munkowie. Trup, który przez siedem dni nie znajdzie się w ziemi, może powstać i szukać krewnych, by poprosić ich o usypanie kopca, oraz towarzyszek, by uwieść je trupim bezdechem i zaprosić do ogrzewania go w mogile.

Pewne było więc, że opat odesłał przebierańca do Brodira, ale niewiadome pozostało, co z tego wyniknie. Östmadowie mogli przyznać się do swojego towarzysza i pochować go zgodnie z północnymi obyczajami, obwieszczając tym samym Maelruainowi, że ich umowa o niewkraczaniu do muintiru, jeśli kiedykolwiek coś znaczyła, właśnie straciła ważność. I pokazując, że tak wychwalanych wpływów opata na dworze ri tuaithe'a obawiają się tak, jak uzbrojony dreng modlącego się papara. Mogli też działać bardziej ostrożnie

i zwlekać z udzieleniem odpowiedzi, by potrzymać opata i Ainara w niepewności. Poeta, znając charakter powolnego w działaniu Brodira, stawiał na to drugie. Östmad nie będzie ryzykował otwartego ataku na muintir, dopóki dokładnie nie pozna sytuacji. Wcześniej czy później odeśle opatowi zwłoki i przełknie hańbę związaną z wyrzeczeniem się własnego drottmada.

Mnisi nie mieli w zwyczaju zamykać drzwi w klasztornych pomieszczeniach – żyli w końcu we wspólnocie i nie powinni się lękać kradzieży czy przemocy współbraci. Ale po pojawieniu się Ainara ufność mnichów widocznie zmaląła, gdyż coraz więcej budynków było na noc ryglowanych. Także i dębowe, masywne drzwi oratorium zamykała teraz potężna, żelazna zasuwka zabezpieczona wielką kłódką. Sam sprytny i kłamliwy bóg Lopt nie byłby w stanie wejść tędy niepostrzeżenie.

Wprawnym okiem ocenił ściany i w myślach ułożył najdogodniejszą drogę. Iryjski zwyczaj wznoszenia budowli z kamienia tym razem zadziałał na korzyść pieśniarza. Z łatwością znalazł uchwyty, najpierw dla dłoni, później dla stóp, i wspinał się na spadzisty dach, wyganiając z dziur pająki i robaki. Buty z jeleniej skóry, mocno przylegające do stóp, świetnie nadawały się do wspinaczki. Ale nie butom zawdzięczał łatwość, z jaką wdrapywał się po tej kilkudziesięciometrowej ścianie. Wiedział, że po prostu był w tym znakomity.

W dzieciństwie, kiedy zapijaczony ojciec wyganiał go paść gęsi, kozy czy konie, zostawiał zwierzęta ich własnemu losowi i wymykał się na fiordy lub na skały. Bardzo szybko stał się znany jako najzwinniejszy wspinacz w Östlandzie. A przynajmniej sam się za takiego uważał.

Przemknął na czworakach po kamiennym dachu do dzwonnicy i ostrożnie wstał, przytulając się do okrągłej wieżyczki jak do kochanki. Zajrzał do środka przez wąskie okienko. Lina wprawdzie już tam była, ale przywiązana do serca dzwonu, czyli dla niego nieprzydatna, jeśli nie chciał obudzić całego muintiru. Zdjął z ramienia własny sznur i przywiązał jego koniec do solidnej belki, na której zawieszony był dzwon. Belka ta, znajdująca się na poziomie dolnej krawędzi okna, dzieliła wnętrze wieżyczki na połówki, a była tak

szeroka, że ktoś grubszy od niego nie zdołałby się precyzyjnie przycisnąć między nią a ścianą. O ile wcześniej w ogóle zdołałby przejść przez niewielkie okienko. Przypomniał sobie, co babka mawiała: „Brzuch wrogiem jest złodzieja”.

Ainar, choć do cherlaków nie należał, a w ramionach był szeroki, zaliczał się do ludzi szczupłych. Jednak i dla niego wejście do środka okazało się trudne. Wczołgał się przez wąski otwór, głową do przodu, chwycił się belki i powoli opuścił ciało. Przez dwa oddechy wisiał na rękach, uważając, by rozhuśtane nogi nie dotknęły dzwonu. Następnie odnalazł stopami swoją linię i ostrożnie zsunął się w dół.

W kościele było ciemno. Spory kawałek księżycy został tej nocy odgryziony przez wilka, dlatego do budynku wpadało mało światła. Na szczęście poeta pamiętał, że na kamiennym stole zwykle stały świece. Odnalazł je po omacku i zapalił jedną z nich krzesiwem, które przezornie zabrał ze sobą.

Zawiódł się. W oratorium nie zauważył ani wysadzanego klejnotami relikwiarza, ani nawet srebrnego kielicha. Fylgja, opiekunka jego losu, musiała zasnąć tej nocy. Przeklął swój pech i głupotę, które zawsze za sobą podążają. Powinien się domyślić, że munkowie zamkną skarby na noc w kamiennej przybudówce świątynnej. Niestety, do niej nie można było wejść ze środka kościoła – jedyne wejście znajdowało się na zewnątrz, a strzegły go dębowe drzwi opatrzone jeszcze większą kłódką niż ta na wierzejach domu martwego boga.

A jednak piastunka szczęścia i jemu postanowiła okazać trochę względów – i choć w pełni go nie zaspokoila, to jednak sprawiła mu nieco radości. Gdy jego oczy przyzwyczały się do mroku, ujrzał w kącie świątyni pulpit, a na nim ciężki manuskrypt. Któryś z munków musiał zgrzeszyć lenistwem i nie schował książki. Nie była tak bogato zdobiona jak kodeksy, które pieśniarz widział w Vallandzie, ale i tak twórca jej twardej oprawy nie miał się czego wstydzić. Od jej srebrnych okuć odchodziły ramiona krzyża, zajmującego całą przednią okładkę. Tam gdzie się łączyły oraz tam gdzie stykały się z okuciami bocznymi, wprawiono czerwone kamienie, na których widok oczy Ainara zapłonęły.

Sięgnął po nożyk do strugania i popracował chwilę. Wydłubał pięć kamyczków, oderwał srebrne okucia, a okaleczony kodeks rzucił z powrotem na pulpit.

15

Przeszukali dom gościnny bardzo dokładnie, ale niczego nie znaleźli. Ainar stał przy drzwiach w towarzystwie zaspanej Znajdy i dobrze mu znanego brata Osilka. Z obojętną miną patrzył na Maelruaina, który osobiście przeszukiwał jego rzeczy.

– Jesteś pewny, że nigdzie w nocy nie wychodził? – opat zapytał strażnika, porzucając grzebanie w cudzej własności. – Nie zmorzył cię sen?

– Całą noc odmawiałem loriki, jak nakazałeś – Osilek odpowiedział pokornie, ale stanowczo.

Skaldowi się udało i aż korciło go, by ułożyć zgrabną lausavisę, wychwalającą to dokonanie. Wymknął się niepostrzeżenie przez dziurę w dachu i wrócił tą samą drogą. A potem jeszcze ułożył deszczułki na swoje miejsce, by nikt nie odkrył jego nocnej wyprawy. I zrobił to wszystko pod nosem strażnika, który ani na chwilę nie zmrużył oka.

– No cóż... – Opat zmieszał się, ale natychmiast ukrył to pod uśmiechem i zapewnił: – Dziękuję ci, Ainarze, że pozwoliłeś nam przeszukać swoje rzeczy.

– A co się stało? Coś zginęło? A może szukacie kolejnego ucha?

– Księga. Zginął nam manuskrypt, bardzo cenny, gdyż zapisano w nim *Słowo Boże*.

Ainar domyślał się, że księga była ważna dla paparów. Nauczył się już dawno, że wartość kodeksu należy oceniać po okładce, a okucia zniszczonej księgi były wcale okazałe. Szczerze wątpił jednak, by na samych kartach mógł

zarobić, dlatego je zostawił. Mnisi nie bardzo chcieli kupować ksiąg od jego rodaków, słusznie podejrzewając, że pochodzą z rabunku.

– Może pomóc wam ją odnaleźć – podjął grę opata. Nie sądził, by po jego odejściu księgę rzeczywiście ktoś ukradł, podejrzewał natomiast, że Maelruain próbuje zastawić na niego sidła, prowokując, by zdradził się ze swoją wiedzą.

– Wilk ma szukać zaginionej owcy? Dopiero po końcu świata. Na razie się tym nie kłopotcz. Sami znajdziemy.

Poeta stłumił niechęć. Drażniły go powtarzane do znudzenia zwierzęce i biblijne porównania. Najchętniej dałby przemądrzałemu opatowi po mordzie, ale powiedział tylko:

– Jak chcesz.

Czy princeps chciał, czy nie chciał, Skalda mało obchodziło. I tak nie miał zamiaru pomagać im w poszukiwaniach rzekomo zaginionych kart ze świńskiej skóry. Przypomniawszy sobie jednak słowa Finloga i uznał, że to świetna okazja, by odwrócić uwagę mników od prowadzonych przez niego przesłuchań, które zaczęły budzić w mnichach nie mniejszą grozę niż same zabójstwa.

– Jednak – dodał – kradzież może być związana z morderstwami.

– Rozpustnik, morderca i do tego złodziej? Tak. Jest w tym logika – zgodził się princeps. – Jeśli przy zabójcy znajdziesz księgę, pamiętaj, by nam ją oddać.

– Zapamiętam. Nic mi po waszym manuskrypcie.

Zwłaszcza takim – wtrącił w myślach – którego okucia i klejnoty leżą bezpiecznie zakopane w ziemi, w miejscu, które tylko ja znam. Nie był głupi, by trzymać zdobycz przy sobie. Wiedział, że mnisi i tak będą go podejrzewać, nawet bez twardych dowodów przeciwko niemu. A jeszcze nikt nigdy nie wymyślił – i podejrzewał, że nie wymyśli – lepszej kryjówki dla skarbu niż dziura w ziemi.

– Jestem ci wdzięczny za pomoc. Choć jestem daleki od nieufności wobec ciebie, dla uspokojenia moich wątpiących braci musiałem przeszukać twoje

rzeczy.

Ainar uśmiechnął się brzydko. Nie umiał inaczej. Blizny na policzku i czole układały się przeciwstawnie do zmarszczek w kącikach ust i nawet dołeczki, zwykle dodające uroku młodym i zawadiackim drengom, były u niego brzydkimi dziurami, nierównymi, jakby wydłubanymi nożem.

– Wszystko w imię wspólnego dobra.

– Ciesz się, że choć zatwardziały z ciebie geint, zaczynasz nabierać szacunku dla prawdziwej wiary. Ufam, że twoje wczorajsze zachowanie już się nie powtórzy.

– Postaram się pohamować – gładko skłamał, planując już nie rzucać się w oczy podczas przesłuchań.

Rozeszli się bez gniewu, ale i bez przyjaźni. Tej wprawdzie nigdy nie było pomiędzy nimi, ale ostatnio opat zachowywał się w stosunku do niego wyraźnie chłodniej.

Ainar nie mógł znaleźć Finloga – jak zwykle, kiedy go potrzebował. Zamierzał zostawić mu małą, ale mnich musiał mieć nad wyraz dobrze rozwinięty instynkt ojcowski, skoro tak wprawnie udawało mu się zapadać pod ziemię, kiedy poeta chciał go prosić o opiekę nad rozwydrzonym bachorem. Nie miał więc wyjścia i znów musiał matkować Znajdzie.

Do tej pory myślał, że Göllnir stworzył miód i piwo, by uprzyjemnić życie mężczyzny. Teraz wiedział, że bóg w swojej mądrości zesłał ludziom alkohol także po to, by ułatwić im wychowywanie dzieci. Wlał w marudną dziś Znajdę kubek ciemnego *ale*^[57] i ruszył wraz z nią rozerwać mnichów rozmową.

– Tatku, dzisiaj też będziemy się bawić w zgadywanki? – zapytała, unosząc niebieskie oczęta.

– Patrz pod nogi.

Ostrzeżenie przyszło za późno. Mała potknęła się o kamień, ale nie upadła – Ainar trzymał ją za rączkę. Obejmowanie długimi palcami wątlej dłoni dziewczynki budziło w Skaldzie uczucie, którego nie potrafił nazwać.

– Tatku – Znajda nie przejęła się wypadkiem, chociaż uderzenie bosą stopą o bruk mogło spowodować grymas bólu nawet na twarzy dorosłego – czy dzisiaj też będziemy bić oszustów?

– Tylko jeśli będą bardzo kłamać.

– Tatku, a jaką zagadkę im zadamy?

– Hm, niech pomyślę. A, mam. Dzisiaj to ty będziesz zadawać zagadkę, która brzmi: „Mnichu, mnichu, zły paparze, kto mi dziś tatusia wskaże”.

– Chi, chi. Śmieszne. Ale przecież to ty jesteś moim tatkiem.

– Mówiłem ci, że nie jestem. Dzisiaj go poszukamy. I nie nazywaj mnie tak, bo zamknę cię w stajni – powiedział bardziej rozbawiony niż zagniewany.

Rozpoczął przesłuchania od mieszkańca pierwszego napotkanego steinna. Dzisiaj zamierzał porozmawiać z munkami mieszkającymi w północno-wschodniej części klasztoru, choć nie miał pomysłu co do kolejności odwiedzin. Wiedział, że gdzieś tam był domek Faerghala i Blathmaca, do których zamierzał dotrzeć – bardziej dla rozrywki niż w nadziei, że dowie się czegoś przydatnego. Po drodze odwiedzali przypadkowo wybrane ule i odrywali mnichów od modlitw. Rozporządzenie opata, by munkowie w celach rozmyślali nad losem zgromadzenia, bardzo mu pomogło – prawie wszystkie pszczołki grzecznie siedziały u siebie.

Przykład ojca Brandana zrobił swoje. Większość mnichów było zastraszonych i skorych do mówienia. Niektórym trzeba było jednak przypomnieć, że za grzechy odpowiedzą już za życia, a nie dopiero po śmierci. Wyjątkowo upartych przesłuchiwał na osobności, pomny doświadczeń, by nie mieć świadków.

Wszystkie rozmowy z tymi, którzy chcieli współpracować, przebiegały podobnie. Po wejściu słyszał życzliwe „witam”, pogardliwe „geincie” i fałszywie usłużne „w czym mogę pomóc”. Uprzejmie odpowiadał: „Mam kilka pytań”, hardo dodawał „nie próbuj kłamać” i groził „bo gębę obję”. Następnie wkraczała Znajda, która powtarzała wyuczony wierszyk albo po

prostu pytała: „Czy jesteś moim tatusiem?”. Wtedy przestraszeni mnisi zaczęli spowiadać się niewiernemu.

Ich zeznania były do siebie zbliżone. Wszyscy zarzekali się, że z morderstwami nie mają nic wspólnego, a na dźwięk słowa „sodomita” pienili się ze złości. Tylko dwóch braci oblało się przy tym rumieńcem i wyglądało bardziej na zawstydzonych niż wściekłych. Ainar pytał wszystkich o sny. Kilku opowiedziało o kruczowłosej zmorze pachnącej jaśminowcem i malinami, która nie pozwala im odpoczywać i przeszkadza w modlitwach.

Tliła się w nim nadzieja, że któryś z mnichów zdradzi współbrata. Wiedział, że łatwiej opowiedzieć o cudzych zbrodniach, niż przyznać się do własnych. Tak się rzeczywiście stało, ale waga tych przewin rozczarowała go. Jeden z mnichów wyznał, że brat Declan zazdrości mu obowiązków ogrodnika, a inny oskarżył opata o zbyt długie kazania i pobłażanie tym, którzy zasypiają na mszy. Hardy staruch o imieniu Senach ponarzekał na zbyt łagodną regułę i powspominał z rozrzewnieniem, że za młodu jadał tylko dwa razy w tygodniu i całymi dniami leżał krzyżem na zimnej posadzce kościoła. Ojciec Pecthelm, z którym mieszkał Finlog, wyjawiał, że skrycie podziwiał młodszego brata za jego nienaganną sylwetkę podczas modlitwy i wytrenowane w postach, chude ciało. Nietrudno było się domyślić, że munk należał do tych, dla których życie z dala od kobiet było nagrodą, a nie karą. Ainar obiecał sobie, że przy najbliższej okazji pozartuje sobie z Finloga, który – mimowolnie lub nie – stał się obiektem zakazanej miłości.

Nikt jednak nie wiedział nic – albo nie chciał powiedzieć – o morderstwach i cielesnych igraszkach, jakim oddawały się ofiary Uchacza. Niepowodzenie wzmogło w nim gniew, a kiedy był zdenerwowany, bił mocniej. Nim dotarł do celi Faerghala i Blathmaca, rozbolała go dłoń, a Znajda zaczęła narzekać na zmęczenie. Znów musiał napić ją piwem.

Sześć uderzeń dzwonu oznajmiło nastanie *hora sexta*. Dzwonnik był bardziej sumienny niż słońce, które schowało się za chmurami i nie chciało ujawnić światu, że to już południe.

Zwykle o tej porze dnia mnisi nie zbierali się w oratorium, ale modlili w zaciszu własnych domków z kamienia. Poszukiwanej dwójki nie było jednak w ich celi. Od sąsiadów, w których oczach Ainar dostrzegł iskierkę zazdrości, dowiedział się, że obaj pracują dziś w ogrodzie warzywnym. Bo choć kontemplacja i modlitwa były głównymi obowiązkami ascetów, zwłaszcza teraz, w ciężkim dla munków okresie, princeps wybrał kilka mniszych pszczołek-robotnic, by zadbały o pojawianie się jedzenia na jego opackim stole.

Poeta i mała znaleźli obzartuchów pośród grządek, gdzie motykami odprawiali stary jak świat rytuał: gwałcili ziemię narzędziami, zapładniali ją nasionami i zraszali własnym potem, by ta nakarmiła ich w przyszłości swoimi płodami. Patrząc na opasłe brzuchy zgarbionych i sapiących w akcie rolniczej miłości mnichów, Ainar uświadomił sobie, że praca ta mogła nie być nagrodą, ale pokutą.

Faerghal i Blathmac byli w podobnym, dojrzałym wieku. Żaden z nich nie był na tyle młody, by potrzebować ojcowskiej kontroli starego mnicha, ani tak leciwy, by samemu dostać pod opiekę młodego cenobitę. Dlatego, jak wyjaśnił poecie Finlog, mogli mieszkać razem, a także wykonywać wspólnie swoje obowiązki. Nawet ich wygląd zdawał się pasować do ich zażyłości – byli prawie identyczni. Właściwie dla Ainara niemal wszyscy paparzy – ubrani w czarne suknie oraz kaptury i wygoleni na czubku głowy – wyglądali podobnie, ale ci w sztuce dopasowania się do siebie osiągnęli mistrzostwo. Byli tego samego wzrostu, na pierwszy rzut oka tej samej wagi, a na drugi – tej samej brzydoty. Więcej rzutów nie potrzebował, by dostrzec, że ich pobożność i słabości też były podobne.

Tak zażarcie pracowali, że nie zauważyli Skalda i dziewczynki. Finn-Gall podszedł do stojącego bliżej niego Faerghala i klepnął go w plecy, równocześnie mówiąc:

– Ziemia jęczy z rozkoszy, czując wasze pieśszoty.

Mnich podskoczył przestraszony i obracając się, machnął na odlew

kopaczką. Ainar prawie się przewrócił, gdy odskakiwał przed ciosem. Faerghal przystanął, wyraźnie niezdecydowany. Trzymał narzędzie obiema rękami, ciężko oddychał, a jego dolna warga i zwisający podbródek drżały jak u rechoczącej żaby. Blathmac, tylko trochę mniej przestraszony, stanął u boku współbrata, również mocno dzierząc motykę.

– Atakować bezbronnego gościa? Hańba to dla gospodarzy. Ale jeśli taka wasza wola, mogę zaciągnąć was do lochu siłą. Tfu – splunął przez ramię – jakiego lochu? Przecież nie macie tu lochu. Ale nie martwcie się. Skaldowie szybko się uczą. Wiem, że ludzie na waszej wyspie, tak jak i na sąsiedniej, umieją sobie radzić z brakiem więzień. Za ich przykładem wykopiecie więc dziurę w ziemi, głęboką na dwóch chłopa, i w niej pozostaniecie. We własnych szczytach i odchodach, morzeni głodem, pragnieniem, zimnem i słońcem, przemyślicie zbrodnie morderstwa i wszetecznictwa. Będziecie cierpieć w samotności, bo nikt nie zechce – osobiście tego dopilnuję – zbliżyć się do nędznych, plugawych pomiotów zrodzonych z harców trolli i demonicznych andich. I módlcie się, by do tego rowu nie napadało więcej, niż ziemia jest w stanie wypić.

Magni wyczuł właściwą chwilę i grzmotnął błyskawicą. Mnisi odruchowo spojrzeli w górę i zobaczyli zbierające się czarne chmury.

– Lepiej zaczynajcie te pacierze. Zaczyna kropić.

Odrzucili motyki i padli na kolana. Wytarli brudne ręce w czarne fartuchy zwane szkaplerzami, które munkowie zawsze wkładali do pracy, a następnie złożyli dłonie do modlitwy. Paparzy zawsze dbali, by ich ciało, choć nie ubiór, było w miarę czyste, gdy chwalili martwego boga. Tym razem nie zwrócili się jednak do swojego bóstwa.

– Zlituj się nad nami, Skaldzie, i zrób to! – krzyknęli niemal równocześnie.

Zaskoczenie jest ważną częścią przesłuchań, pod warunkiem że to przesłuchiwany jest zaskoczony.

– Chcecie, żebym was zamknął? – głupio zapytał Finn-Gall, ale szybko

rozprostował zmarszczone ze zdziwienia czoło i wrócił do roli bezwzględnego sędziego. – A więc przyznajecie się do winy.

– Tak! – krzyknął Faerghal.

– Nie! – zaprzeczył Blathmac.

Powiedzieć, że mnisi byli przestraszeni, to tak, jak przyznać, że wulkaniczna lawa jest ciepła. Obaj byli śmiertelnie przerażeni i trzęśli się niczym śledzie wyciągnięte na brzeg.

– To znaczy tak, zamknij nas, ale jesteśmy niewinni – wyjaśnił Faerghal.

– Jesteśmy kolejnymi ofiarami Uchacza – wyznał jego brat.

Pieśniarz wiedział, że paparzy są tchórzami, ale ich wyznanie przerosło jego oczekiwania. Czyżby to wszystko było efektem jego nocnej psoty?

– Wy ofiarami? Tchórzliwe paparskie ścierwo! Przyznajcie się do winy jak mężczyźni, jeśli maczugi Magniego dyndają wam jeszcze między nogami! Dobrze wiem, że nocą, kiedy Adomnan postanowił zrobić z siebie pieczeń, myszkowaliście po kuchni. Ktoś was widział! Powiecie mi może, że to przypadek? A może przypadkiem było i to, że to wy znaleźliście trupa Nannyda w chlewie? Wielu mnichów, z abbasem na czele, zeznało, że często wymykacie się w nocy z celi i opuszczacie modlitwy w oratorium. Nawet wasze brzuchy zdradzają, że ascetyczne życie macie w dupie, a żądze są dla was ważniejsze niż nauki waszego princepsa!

– Nie jesteśmy wolni od słabości – przyznał jeden z mnichów.

– Ale kto jest bez grzechu, niechaj pierwszy rzuci kamień! – dodał drugi.

Ainar schylił się, podniósł dwa kamyczki i cisnął nimi z całej siły. Jednego munka trafił w brzuch, drugiego w nogę. Nie wiedział, o co chodziło im z tymi grzechami, ale był pewny, że ma to coś wspólnego z paparskim poczuciem wyższości nad geintami. Zawsze umiał rozpoznać, kiedy się go obraża.

– Za co? – zapytali z nienawistnymi spojrzeniami, masując obolałe miejsca.

– Za bezczelność. Dość mam religijnych kazań. Mówcie, co wiecie o zabójstwach!

Znajda, która śladem mnichów też padła na kolana, chichotała radośnie, wyciągając brudne rączki na kapiącą z nieba wodę. Widząc zabawę Ainara, podchwyciła jego pomysł, ulepiła kulki z błota i zaczęła rzucać nimi w mnichów. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Będzie bez kazań. I tak nikt nie uwierzył princepsowi, że da się nawrócić Finn-Galla – powiedział z wyrzutem Faerghal, lecz na widok grożącego mu palcem Ainara dodał szybko: – Ale zostawmy to już.

– To prawda, że często wymykaliśmy się w nocy – ciągnął Blathmac. A może Faerghal? Poeta nie był pewny, czy nie pomylił imion podobnych do siebie paparów. – Ale to przez nasze łakomstwo. Opat wiedział o naszej słabości i zlecał nam ciężkie prace, gdyż zmęczone ciało lepiej znosi post. Dlatego wcześniej pracowaliśmy w chlewie, a teraz w ogrodzie.

– Łakomstwo. Z pewnością to wszystko przez nie. Łakomi na kielbasę, tę w spiżarni i tę między mniszymi udami. Spragnieni krwi, krzyków, próśb i błagalnych spojrzeń waszych ofiar. Och, wiem, że wielkie z was obzartuchy.

Cenobici załkali. Płacz paparów przestał już dziwić pieśniarza.

– Mów, co chcesz – wyjęczał ten bardziej zrozpaczony.

– Zapłacisz za swoje oszczerstwa, wisząc na rożnie i smażąc się w ogniu piekielnym – zagroził ten odważniejszy, wycierając oczy rękawem habitu.

Odmienna postawa mników sprawiła, że poeta łatwiej ich już rozróżniał. Faerghal, ten głośniejszy szlochający, miał trochę rzadsze włosy i był naznaczony czarną plamką na policzku. Blathmac, ten odważniejszy, miał gęstszy zarost, a z nosa wystawały mu czarne kępki.

– Tu, na ziemi, możesz nas oskarżać. Tylko zamknij nas i strzeż przed Uchaczem – poprosił Faerghal.

– I jak mam wam wierzyć? Uszy całe, szyje bez sinych pręg, brzuchy falujące w rytm oddechów. Nie tak wyglądają ofiary Uchacza.

– Ale będziemy tak wyglądać. Zeszłej nocy słyszeliśmy jęki konającego, choć nikt nie zginął. Nasza babka mawiała...

To tłumaczy podobieństwa – są rodzonymi braćmi lub przynajmniej kuzynami – uzmysłowił sobie Ainar. Nie wątpił już, że to jego psikus tak ich wystraszył.

– ...że ci, którzy mają umrzeć, słyszą jęk konającego w przededniu swojej śmierci.

Nie wydawało mu się to zgodne z paparską wiarą. Widać wyspane z mlekiem matki iryjskie przesady tkwiły w nich silniej niż przyjęta w wieku dorosłym surowa nauka ich boskiego drauga.

– Ale to nie koniec złych omenów. Dzisiejszego poranka na szczycie naszej celi przysiadł kruk, który zakrakał trzy razy. Przeganialiśmy go, ale ciągle wracał i siadał w tym samym miejscu. Geintowie z Północy i ludzie z niektórych naszych klanów wierzą, że te podłe ptaki wyczuwają, gdy ktoś ma umrzeć i czekają koło nieszczęśnika, by pożywić się jego trupem.

Z tym Ainar musiał się zgodzić. Nie bez przyczyny nazywano go przyjacielem kruków lub karmicielem wron. Dawno już przyzwyczał się, że czarne ptaki krążą w pobliżu niego, by pożywić się trupami, które zostawiał na swojej drodze.

– Niestraszne nam geintowskie przesady... – zaczął ten odważniejszy.

Wylękniony Faerghal rozejrzał się w poszukiwaniu ptasiego zwiastuna śmierci, dowodząc, że przynajmniej jemu są straszne.

– ...ale te plugawe ptaki, które odwróciły się od Noego, były też świadkami śmierci naszego Pana. Siedząc na krzyżu, z łakomstwem przyglądały się jego męce.

W to Skald mógł uwierzyć. U nich na Północy kruki zakładały gniazda na drzewach, na których zwyczajowo wieszano przestępców.

– Symbolizują przeto nie tyle śmierć, ile mord i kaźń – rolę objaśnicza przejął Faerghal.

– Nie zapomnij dodać – wszedł mu w słowo drugi munk – że w nocy z oratorium zniknęła *Święta Księga*. Zniknęła, chociaż drzwi były zamknięte

i żadna istota cielesna nie mogła wejść do środka. Strach padł na cały klasztor. Mówi się, że to musi być sprawka jakiejś zjawy. Ale ja wam mówię, że to sam Najwyższy sięgnął po swoją księgę i odebrał nam słowa, które objawił świętym prorokom. Surowy Sędzia odwrócił się od nas.

– Nie bluźnij, Blathmacu. Bóg w swoim miłosierdziu nie może odwrócić się od ludzi. To my odwróciliśmy się od Niego, grzesząc i nie słuchając Jego przykazań. Ojciec nasz w niebie zabrał pismo, by nas ukarać.

– Masz rację, bracie. Wybacz mi moje pochopne słowa. Ale zgodzisz się chyba, że zniknięcie *Pisma* zwiastuje wielkie nieszczęście nie tylko dla nas, ale dla każdego członka tego zgromadzenia, a kto wie, może i dla całego Eriu.

– Tak. Z pewnością masz rację. Jesteśmy zgubieni, ale nie zapominajmy...

Kolejne kamyki poleciały w stronę mnichów. Jeden dostał w brzuch, drugi w nogę – dokładnie w to samo miejsce, co poprzednio.

– Nie ma więc wątpliwości. Śmierć jest waszym przeznaczeniem – odpowiedział Ainar na pełne wyrzutu spojrzenia mnichów. Musiał jakoś przerwać tę religijną dysputę. Był już świadkiem, jak nic dla niego nieznaczące różnice w budowie jednego zdania stawały się tutaj tematem wielodniowych sporów.

Na obliczach masujących słuczenia paparów ból i pretensje ustępowały miejsca jeszcze większemu niż poprzednio smutkowi. Skald dał im czas, by ów smutek i uczucie beznadziejności całkowicie nad nimi zapanowały.

– Chyba że... – zaczął po chwili.

– Chyba że co? – ze słabą nadzieją w głosie wyszeptał Blathmac.

– Znam taką sagę dla dzieci.

– Saga, saga – przypomniła o sobie Znajda, przerywając rozgrzebywanie kretowiska i polowanie na jego mieszkańca. – Opowiedz nam bajkę, tatku.

– Cicho, Znajda. Złap tego ślepego szczura, a dostaniesz dzban piwa na wieczerzę.

Dziewczynka wróciła do łowów ze zdwojonymi siłami. Rzuciła się twarzą

w błoto i zaczęła wpychać małe rączka w każdą dziurę w ziemi.

– O czym ja to... – Ainar wrócił do tematu. – A tak. Pewien myśliwy polował na niedźwiedzia. Niedźwiedź został ranny i był pewny, że zaraz zginie. Zasadził się więc na myśliwego...

– I zwierz pożarł człowieka – dokończył zniecierpliwiony Blathmac. – Nie jesteście głupkami. Skończ z tymi bajkami, których opowiadanie nie przystoi dorosłemu mężczyźnie.

Bajkami? Był pewien, że spodoba im się opowieść o zwierzętach. W końcu sami go w kółko takimi raczyli.

– Chcesz, byśmy odnaleźli Uchacza, zanim on zabije nas – błysnął mądrością popłakujący Faerghal. – Zgoda. Zrobimy wszystko, co każesz.

– Wszystko? Hm.

Olśniło go. Fylgja, duch szczęścia, dała mu liźnąć swojej mądrości.

– Gdy byłem więziony i niesłusznie oskarżony o morderstwo, podobno mnisi radzili nad moim losem. Który z seniorów najbardziej nalegał, by wydać mnie Brodirowi?

Paparzy popatrzyli po sobie i zarumienili się. Gdyby nie lejący się z góry i ściekający po ich twarzach mocz boskiego Magniego, można by dostrzec na ich czołach kropelki potu.

– A dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Ten, który nastawał na moje życie, mógł chronić prawdziwego mordercę. Albo sam nim jest.

Blathmac zawahał się. Faerghal też nie wyglądał na pewnego siebie. Gdyby byli osobno, pewnie zemdleliby ze strachu i wstydu, że myśl o zdradzie w ogóle pojawiła się w ich umysłach. Wzajemne wsparcie dodało im jednak odwagi.

– Oengus – wyszeptał Blathmac, jakby spodziewał się, że ich bóg w niebie nie usłyszy tej zdrady. Ainar wiedział, że marne są na to szanse. By słowa nie dotarły do uszu bogów, trzeba je wypowiedzieć, będąc schowanym pod

dachem. – Opiekun szkoły klasztornej od początku radził, byśmy ci nie ufali i nie mieszały się w spory Finn-Gallów. Ale nie sądź go pochopnie. On nie życzył ci źle.

– Z pewnością. *Miskunn*, miłosierdzie, jakie paparzy okazują geintom, jest powszechnie znane – zadrwił. – To wszystko, co chciałem wiedzieć. Chodź, Znajda.

Podszedł do dziewczynki i wyciągnął ją z błota. Zaparła się nogami, więc musiał ciągnąć ją po brązowej mazi, co z kolei zmieniło naburmuszenie Znajdy w radość.

– Zaczekaj! Jest jeszcze coś – Faerghal zdobył się na odwagę, gdy Ainar odwrócił się już do nich plecami. – Jeden z mnichów przekonywał, by nie wydawać cię Finn-Gallom, tylko zabić i obdrzeć ze skóry, zgodnie ze starym iryjskim zwyczajem.

Skald stanął, ale się nie obejrzał.

– Który?! – w jego pytaniu słychać było żądanie, a nie prośbę.

– Rudan.

Ruszył dalej, ale w innym kierunku niż poprzednio.

– A co z nami? – rzucił za nim trwożliwie któryś z mnichów.

– W szopie są łopaty. Kopcie, jeśli chcecie.

16

Woda nie była lodowata. Niestety. Była jednak na tyle zimna, że po odmówieniu pięciu lorik dostał dreszczy, a kończyny mu zdrętwiały.

Po klęsce ogniowych katuszy wybłagał u opata pozwolenie na tradycyjne odprawianie pokuty dla rozpustników. Tuż po jutrzni udał się za wał klasztorny nad pobliskie jezioro i teraz siedział w nim, zanurzony po szyję. Nie śmiał się rozebrać. Namoknięty habit stał się ciężki jak zbroja z żelaznych pierścieni, szorstki w dotyku niczym włosienica oraz twardy jak drzewo krzyża. Nawet

gdy Finlog zakończy pokutę, mokry strój będzie mu przypominał popełnione grzechy, a bracia przekonają się, jak ciężko pokutował i staną się świadkami jego żalu oraz skruchy.

Modlił się o to, by o niej nie myśleć. Starał się skupić na pacierzu. Na próżno... Wspomniął smak malin, zapach jaśminowca, widok stwardniałych sutków...

– Odejdź, zgiń, przepadnij, zjawo nieczysta! – krzyknął, by odegnąć plugawe myśli.

Wrócił do modlitwy. Udało mu się odmówić kolejne dwie loriki, nie zważając na zimno, dreszcze, a nade wszystko – na rosnące pod habitem pożądanie. Jego męskość powinna kurczyć się ze strachu przed chłodną wodą, którą przecież sam Miłosierny wybrał, by obmywała ludzi z grzechów, ale zamiast tego drwiła sobie ze świętości i oddawała hołd rozpuście.

Wspomniął dzieciństwo. Choć był najmłodszym synem, ojciec darzył go miłością. Tata dostrzegał w nim zadatki na mnicha, a jego umysłem nie kierowało skapstwo i chęć pozbycia się gęby do wykarmienia, tylko rodzicielska troska.

W wieku chłopięcym Finlog marzył, by zostać filidem, czyli bardem i mędrcom – wędrownym nauczycielem. Chciał – niczym wielcy druidzi ze starodawnych opowieści o herosach – podróżować po świecie, zdobywać mądrość, miewać przygody i spotykać na swojej drodze młode dziewczęta, które smakowałyby malinami, miały jędrne pupy i różowe sutki...

– Nie! – krzyknął przez zaciśnięte zęby, gryząc się w dolną wargę.

Odmówił kolejne loriki, ale myśli o dzieciństwie nie dawały mu spokoju. A że były mniej grzeszne niż wspomnienia rozpusty, zagłębił się w nie.

Byli ubodzy, ale dumni. Gdy najstarszy brat ożenił się, dostał od ojca połowę jego ziem. Kolejnych dwóch braci wyruszyło na wojnę, wiedząc, że nie mają widoków na wiano, a bez niego – na dobry ożenek. Do dziś Finlog nie wiedział, co się z nimi stało. Sam też rozważał zaciąg na służbę u któregoś

z licznych ri, ale ojciec przekonał go, że lepiej nadaje się do księgi niż do miecza. Rodzic sprzedał trzy najdorodniejsze krowy i za tak zdobyte pieniądze wysłał najmłodszego syna do szkoły w klasztorze. Dziecięce marzenia o zostaniu filidem kołatały się Finlogowi pod czaszką od czasu do czasu, ale musiał pogodzić się z wyrokiem Opatrzności. Filidów było w Eriu coraz mniej, na dodatek tylko nieliczni spośród nich służyli na królewskich dworach i rzadko brali uczniów. To noszący habity uczniowie świętego Columbana byli w tym kraju uznawani za nowych mędrców, zatem najlepszym sposobem na zdobycie wiedzy było zostanie mnichem. Zresztą jedynie oni szerzyli prawdziwą wiarę, a tylko ona gwarantowała wejście do Królestwa Bożego.

Uczył się więc i modlił, nie marnując czasu na myślenie o świecie poza wałami. Ostatnio się to jednak zmieniło. Gdy zasmakował pocałunków, poznał jędrność niewieścich ud...

– Wybacz mi, Boże – wyjęczał i spoliczkował się.

Pomogło na chwilę. Ale nie aż tak, by zdołał wrócić do modlitw. Ostatnio zaczął dużo myśleć. Po spotkaniu zjawy marzenia o świecie zewnętrznym powróciły do niego ze zdwojoną siłą. I może to one były groźniejsze niż jednorazowy występki z marą. Takiego właśnie zdania był opat, jego amnchar. Finlog modlił się jednak, by Bóg choć raz dał mu możliwość przeżycia przygody za wałem zgromadzenia. Przysięgał też Najwyższemu, że potem będzie mu wiernie i pokornie służył aż po kres swoich dni.

Taką szansą było dla niego śledztwo. „Porozmawiaj z mnichami, wybadaj ich przeszłość” – zlecił mu Oengus. Gdyby rozwiązał zagadkę i odkrył mordercę, okryłby się nic nieznaczącą – choć zawsze miłą – sławą wśród współbraci oraz nieśmiertelną chwałą w oczach Boga. Być może wtedy opat pozwoliłby mu nawet opuszczać klasztor w charakterze posłańca lub chociaż gońca. Podróżowałby do innych klasztorów w Eriu, a może i dalej, na kontynent.

Tyle tylko że niczego się nie dowiedział. Oengus miał rację – mnisi rozmawiali z nim chętniej niż z Ainarem. I choć rozpamiętywanie czasów

przed wstąpieniem do zgromadzenia było zabronione („Zostaw przeszłość za tym wałem” – opat mówił każdemu nowemu mnichowi), to ojcowie nadspodziewanie chętnie wracali myślami do czasów młodości. Cóż z tego, skoro opowiadali mu jedynie o swoich ukochanych lub znieawidzonych matkach i surowych ojcach? Najlepiej słuchało się brata Colmana, prostego i nieco rubasznego mnicha, który nigdy nie dostąpił prawa odprawiania mszy. Pochwalił się Finlogowi, że w młodości potrafił wypić tyle piwa, co trzej inni mężczyźni, a potem nie zwymiotować. „Nie sztuka wypić – powiedział z dumą – ale utrzymać”. Zarzekał się też, że raz na własnych barkach przez pół dnia niósł do domu woła ze zwichniętą nogą, który zgubił się w lesie. W to akurat Finlog nie wierzył, ale prawdą było, że spośród wszystkich manachów właśnie on był najsilniejszym, a Ainar przeważał go nawet bratem Osikiem.

Colman wyznał też z żalem, zaprawionym pewną dozą niegodnego mnicha zadowolenia, że podczas swojego grzesznego życia nie przepuścił żadnej niewieście, która wyrosła już z wieku dziecięcego, a nie wkroczyła jeszcze w stan bezpłodnej starości. Na koniec wyzalił się, że jego okrutny, choć – jak z trudem przyznał – rozważny ojciec przerwał to błogie życie i jako najmłodszego z pięciu braci wysłał go do muintiru, by wiódł tam życie z dala nie tyle od świata zewnętrznego, ile rodzinnego majątku. To naprawdę zadziwiające, ilu w klasztorze było młodszych, niekochanych synów, których surowi ojcowie odrywali od ukochanych matek. Matek, które, jak wiadomo, zawsze są kochające i nadstawiają pierś wciąż głodnym, najmłodszym synkom. A pierś jest oznaką grzesznej urody kobiety. To wzniesienie, delikatne jak śnieżna zaspą, jędrne niczym ciasto na chleb oraz zwieńczone stwardnieniem o kształcie, kolorze i słodczy dojrzewającej poziomki...

– *Sancti Patri et Columbani*. Dajcie mi siłę – wyjęczał przez zaciśnięte zęby i zanurzył głowę w wodzie.

W bezdechu miał nadzieję zwalczyć pokusę. Pomogło. Widok piersi odpłynął wraz z falami bijącymi o brzeg jeziora nad jego głową. Myślał tylko o tym, by trzymać usta i nos zamknięte. Potem pozwolił sobie na myśl

o Najwyższym, który cielesne pożądanie zwalczył postem i modlitwą na pustyni. W końcu dało o sobie znać klucie w piersiach, które przerodziło się w ból. I dobrze. Niech to serce, trapione przez namiętność, pęknie na tysiące kawałków i pozwoli mu żyć według wskazań Jedyne. Zakręciło mu się w głowie. Pojawiły się mroczki przed oczami, a mętne wody jeziora stały się jeszcze mniej przejrzyste. Zadanie sobie śmierci było grzechem, którego nie zamierzał popełniać. Choć to byłoby takie łatwe. Kres wszystkich katuszy, koniec pokus, tylko on i Ten, Który Jest. Zawroty głowy powoli przeradzały się w ekstazę.

Coś przemknęło mu przed oczami. Pokręcił głową w prawo i lewo, ale zobaczył tylko sumiastą rybę, dziwnie mu się przyglądającą. Ból stawał się nie do zniesienia. Wiedział, że dłużej nie wytrzyma. I wtedy ją ujrzał.

Wyłoniła się od dołu, choć nic tam nie było oprócz mułu. Naga jak zwykle, ze stwardniałymi sutkami – jak zawsze. Kruczoczarne włosy rozwiewały się... nie, przecież byli pod wodą – rozpląwały się na wszystkie strony. Uśmiechała się do niego lubieżnie, choć przecież powinna zaciskać usta i wydmać policzki jak każdy nurek.

Odbił się od dna i wynurzył, zachłannie chwytając powietrze. Zachłysnął się przy tym wodą i zakasłał. Spróbował stanąć, ale jego nogi nie znalazły podłoża i na krótką chwilę znów znalazł się pod wodą. Dno jeziora było bardzo zdradliwe – mógłby przysiąc, że nie przesunął się ani o krok, a przecież dopiero co woda sięgała mu tu zaledwie do szyi. Tylko dlatego nie wpadł w przerażenie, bo umiał pływać jak każdy, kto wychował się nad morskim brzegiem. Wynurzył się i pracując rękami, zaczął się kręcić w kółko w poszukiwaniu zjawy. To tylko przywidzenie – wmawiał sobie. Zbyt długo był pod wodą. Serce w końcu zaczęło bić wolniej, gdy upewnił się, że jest sam. Czuł jednak niepokój, którego nie umiał wyjaśnić. Czegoś mu tu brakowało. O mało znów nie zakrztusił się wodą, gdy uświadomił sobie czego. Brzegu, nie dostrzegał brzegu! Jak mógł odpłynąć tak daleko? Chwilę trwało, nim przekonał sam siebie, że to pewnie przez mgłę. Poranna

zawiesina, która towarzyszyła mu od początku modlitw, musiała jeszcze zgęstnieć, gdy siedział pod wodą. Wystarczyło kilka mocnych zamachów ramionami, by znów poczuć ziemię pod stopami – był tego prawie pewien. Tylko w którą stronę płynąć? Stracił orientację od tego kręcenia się w kółko. Zdecydował się poczekać, porzucając pierwotną myśl o płynięciu na oślep. Pogoda zmieniała się w tym kraju szybko. Chwila porywistego wiatru zwykle wystarczała, by mgła zrzedała w słonecznym przedpołudniu. Wziął głęboki oddech i zaczął odmawiać kolejny pacierz.

Ledwie zdążył zapewnić Najwyższego o swojej wierności i miłości, gdy poczuł delikatne dotknięcie w stopę. Stłumił lęk i powrócił do modlitwy. Przypomniawszy Jedynemu swoje grzechy i zapewniwszy o chęci poprawy. Coś chwyciło go za kostkę. Wyszarpnął się i zamłócił nogami. Pobożny mnich nie powinien odczuwać lęku przed śmiercią, bo tylko dzięki niej można zjednoczyć się z Nieśmiertelnym. A jednak się bał. I czuł podniecenie. Tym razem obce dłonie ścisnęły obie jego kostki. Szarpanie nic nie dało. Ręce demonicy nie ciągnęły go jednak w dół. Przeciwnie, same starały się przedostać w górę. Delikatnie pieściły go po łydkach i powoli przesuwwały się w stronę ud. Pożądanie towarzyszyło mu od samego początku modlitwy w jeziorze, ale teraz jego siedlisko grzechu było tak twarde, że aż bolało. Spojrzał w dół i zobaczył pod wodą cztery nogi oraz jedną zgrabną pupę. Górna połowa ciała demonicy zniknęła pod jego habitem. Dłonie wreszcie sięgnęły wychudzonych ud, ale wcale się tam nie zatrzymały. Nie znały granic w rozpuszczeniu ani bezwstydnosci. Kobięca ręka delikatnie, ale pewnie chwyciła go za berło, z którego powodu Adam został wygnany z Raju.

Nie miał już siły walczyć. Opór był tu na nic. Musiał uznać swoją porażkę i przyznać się do słabości, grzechu śmiertelnego, który palił jego duszę. Ale, o Boże, jaki ten ogień był przyjemny. I gdy już myślał, że grzeszna rozkosz nie może być większa, usta demonicy, czerwone i zmysłowe – jak widział je w swojej wyobraźni – pocałowały go tam, gdzie żaden mnich nie spogląda nawet podczas oddawania moczu. Usta owe zamknęły się na słupie jego hańby

i zaczęły odmawiać bluźniercze modlitwy. Z rozkoszy zaczął tracić przytomność. Zachłysnął się wodą i odruchowo ją wypluł, nawet nie zauważając, jak bliski był utonięcia. Jeszcze kilka ruchów, kilka niesłyszalnych słów demonicy, a sam zaśpiewa pieśń rozpustnika. Wtedy pozwoli, by wody jeziora przyjęły go do siebie. Nie był wart nazywać siebie mnichem, więc niech ten grzech cudzołóstwa będzie mu chociaż pociechą w piekielnych katuszach.

Uratowało go bicie dzwonu.

Dzwonnik obwieścił *hora tertia*, połowę przedpołudnia. Finlog już wiedział, w którą stronę płynąć. Wstąpiła w niego nowa nadzieja.

Nigdy do tej pory nie zdobył się na takie wyrzeczenie. Jeszcze chwilę temu nie spodziewał się, że byłby do tego zdolny. Ale porzucił rozkosz i zaczął bić rękami o wodę, próbując płynąć. Nogi nie chciały go słuchać, ale zmusił je do posłuszeństwa i przydusił demonicę. Puściła go – ku radości jego duszy i katuszy jego ciała. Płynął, starając się nie myśleć o pożądaniu. Wspomniał wierzbową witkę, którą zwykł bić się po plecach. Pamięć o bólu na krótko stłamsiła podniecenie.

Niedługo potem zobaczył brzeg i natrafił rękami na grząskie dno. W pośpiechu, ocierając brzuchem o muliste podłoże i wrywając się z uchwyty wodorostów, wpełznął w sitowie jak upadły wąż. Usiadł w płytkiej wodzie i dopiero teraz odważył się obejrzeć. Z rozkoszą i lękiem ujrzał, że Czarnowłosa podążała za nim, choć wcale nie płynęła. Jakby samo jej istnienie nie było wystarczającą obrazą dla cnoty, bluźniła sposobem poruszania się. Chodziła po wodzie niczym Nazarejczyk demonstrujący apostołom swoją boską moc. Naga, o piersiach, od których nawet eunuch nie potrafiłby oderwać oczu, z gracją stąpała, kołysząc biodrami. A na biodrach tych miała przewiązany mniszy sznur, po który teraz sięgała.

Zrozumiał. To, co od dawna kołatało się w jego umyśle, a co było tłumione przez rozkosz, w końcu do niego dotarło. Właśnie ona, czarnowłosa demonica, była zabójczynią, plugawą Lilith, która mordowała swoich kochanków. I to

poczucie nieuchronnej śmierci i diabelskiej rozkoszy płynącej z widoku krągłej pupy, twardych sutków i warg o smaku malin sprawiło, że wybuchnął. Poplamił mokry habit, po czym, upodlony i sponiewierany przez występpek, czekał na śmierć.

Ta jednak nie nadeszła.

Usłyszał głosy. Oderwał oczy od demonicy w poszukiwaniu świadków swojego upadku, a gdy znów spojrział w kierunku Czarnowłosej, już jej nie było. Zapadła się pod wodę, rozwiął ją wiatr, odleciała w kierunku słońca? Było mu wszystko jedno, ważne, że znikła tak nagle, jak się pojawiła. Odetchnął z ulgą i chwycił się radosnej myśli, że jednak nie zginie. Najwyższy okazał łaskę. Oszczędził mu śmierci w grzechu i dał szansę na odkupienie win.

Głosy stawały się coraz donośniejsze. Ich bliskość przypomniła mu o wstydzie i grzechu śmiertelnym, jakim przed chwilą zbrukał swoją duszę. Nie chciał, by ktokolwiek zobaczył go w takim stanie. Na czworakach wszedł głębiej w sitowie, znalazł miejsce, gdzie rosły przybrzeżne krzaki i schował się w ich cieniu.

Z łatwością, choć nie bez zdziwienia, rozpoznał głosy. Ten cieplejszy, mentorski, wyraźnie słabszy i jakby zmęczony życiem należał do Oengusa. Ten chrapliwy i stanowczy należał do Rudana. Dało się w nim wyczuć lekki strach przed rozmową ze starym cenobitą. Finlog nie widział dobrze ich sylwetek. Ostrożnie odgarnął dłońmi zasłaniającą mu widok gałązkę leszczyny, ale bał się bardziej zbliżyć, by mnisi go nie dostrzegli. Rudan klęczał przed siedzącym na ziemi opiekunem szkoły klasztornej i zwierzał mu się. Młody podglądacz domyślił się, że była to spowiedź. Nagle stanowczy do tej pory głos Rudana zaczął się łamać i pobrzmiwać tak dobrze znanym Finlogowi poczuciem winy. Zastanowiło go jednak, dlaczego rudy cenobita wyznawał swoje winy Oengusowi, a nie, tak jak wszyscy, opatowi, który był przecież amncharem zgromadzenia.

– To, co stało się za wałem, odpokutowałeś, prowadząc żywot przykładnego mnicha – tłumaczył Oengus.

– Ale to nie wszystko. Oddawałem się temu grzechowi także i tutaj.

Mentor i nauczyciel Finloga okazał się skuteczniejszy od ucznia. Nie dość, że młodzieniec rozczarował sam siebie, oddając się nierządowi, to jeszcze nie spełnił pokładanych w nim nadziei. To on miał porozmawiać z Rudanem, wybadać jego przeszłość i dociec przyczyn dziwnego zachowania ojca. Nieważne, że ze wszystkich swoich sił próbował wykonać to zadanie. Liczyło się to, że zawiódł, ponieważ mnich ciągle go unikał i całe dnie spędzał na modlitwie, odganiając każdego, kto śmiał mu przeszkadzać. „Nie z chęci będziesz sądzony, ale z dobrych uczynków” – jak mawiał princeps.

– Nikt z nas nie jest wolny od słabości – starszy z seniorów pocieszał pokutnika dobrze znaną, do znudzenia powtarzaną, ale jakże prawdziwą formułą.

– Nikt – zgodził się Rudan. – Ale moje przewiny są cięższej wagi. Choć wobec Nieskończonego wszyscy grzesznicy pozostają równi, brzemień moich występków sprawia, że kajam się przed tobą zgarbiony. W kolejce do zjednoczenia się z Jedynym stoję bowiem na samym końcu, daleko w tyle za najbardziej występnyymi mnichami.

– Wyznaj więc bez lęku, co cię trapi.

Ostatnie zdanie siwy cenobita wypowiedział z mniejszą pewnością siebie, a między słowami kryła się obawa o treść wyczekiwanej odpowiedzi. Ten nastrój udzielił się Finlogowi, który poczuł mrowienie w plecach, tak jak zawsze, gdy dopadała go ciekawość.

Podglądacz nie znał zbyt dobrze Rudana, ale wszyscy postrzegali rudego mnicha jako zamkniętego w sobie, opryskliwego i surowego, który dzięki przykładnej ascezie i długoletniej wytrwałości dostąpił zaszczytu zostania jednym z seniorów. Nikt nie miał też wątpliwości, że wzorowo znosił białe i zielone męczeństwo. Rudan nigdy nie okazywał słabości i przykładnie tłumił w sobie wszelkie uczucia. Teraz jednak wydawał się bliski płaczu. A nikt nigdy nie widział, by rozpaczał w ten sposób. To potęgowało jeszcze zniecierpliwienie i zaskoczenie zarówno Oengusa, jak i Finloga. Bo czymś

częstym i normalnym jest płacz dziecka, a czymś rzadkim i szokującym są łzy surowego ascety, ronione tylko z okazji prawdziwego nieszczęścia.

Młodzieniec zrozumiał, że winy Rudana musiały być wielkie. Kto wie – przemknęła mu przez głowę niegodna myśl – czy nie większe niż moje? Świadomość, że to nie on może być największym grzesznikiem w klasztorze, przyniosła niewielką pociechę.

– Ja jestem odpowiedzialny za zabójstwa mnichów – wydusił z siebie Rudan i zapłakał.

Władca Świata zobaczył tę scenkę i zagrzmiał. Ciemne chmury zbierały się, zapowiadając ulewę. Zaczęło kropić.

Finlog wmawiał sobie, że się przesłyszał. Przecież to Czarnowłosa była zabójczynią. Chwilę temu próbowała go zamordować, chociaż w końcu tego nie zrobiła. Czy uciekła spłoszona nadejściem mnichów? Czy może zadowolona się jego poniżeniem?

Tych wątpliwości nie miał ojciec Oengus. Nie wiedział przecież nic o rozpustnej przygodzie Finloga. Tak jak większość manachów, był przekonany, że między budynkami zgromadzenia krąży Uchacz, który zabija cenobitów. Dlatego odruchowo cofnął się, choć nie wstał z miejsca. Po jego minie dało się poznać, że strach walczył w nim z ciekawością i niepewnością. Skoro Rudan był mordercą, dlaczego spowiadał się i do tego płakał?

Zerwał się wiatr i Finlog z wielkim trudem mógł teraz zrozumieć, o czym rozmawiali. Zdawało mu się, że słyszy słowa „grzeszna miłość”, „zbrodnia”, „Czarnowłosa”. Na dźwięk tego ostatniego wysilił słuch i zaryzykował podpełznięcie do przodu. Podśluchiwanie było grzechem, ale ciekawość okazała się silniejsza.

Gałązka, którą przygniótł kolanem, pękła z trzaskiem. Zamarł, modląc się, by go nie wykryto.

Mnisi usłyszeli hałas i nieufnie spojrzeli w stronę jeziora, ale kolejna błyskawica, która rozświetliła niebo, musiała im uzmysłowić, że to tylko

odgłosy burzy. Finlog odetchnął z ulgą. Zaczęło padać, co go ucieszyło. W deszczu zawsze czuł się bliższy Natury Stworzonej i Natury Tworzącej. Woda z nieba oczyszczała, choć wątpił, by wstyd rozpustnika, a do tego podglądacza i podsłuchiwacza, dało się tak szybko zmyć.

Słota zagłuszyła wszelkie hałasy, nie musiał się już więc martwić o wykrycie. Niestety, krople z nieba sprawiły też, że głosy rozmawiających stały się mniej wyraźne. Na szczęście, dzięki Opatrzności, a może dzięki Niegodziwemu, który lubuje się w podsycaniu ciekawości, wiatr zawirował, zerwał kilka liści z drzew, wzburzył wodę w jeziorze i zaczął wiać prosto w twarz Finloga, wywołując nie tylko zimny dreszcz, ale i przywiewając do jego uszu słowa wypowiedane przez seniorów.

– Cztery lata temu poznałem pewną niewiastę o czarnych włosach – zaczął Rudan, a świadkiem jego wyznania były błyskawice, padający ulewnie deszcz i Finlog o policzkach czerwonych z zawstydzenia, oburzenia i niedowierzania.

17

Czekał na niego w ulu. Magni musiał wypić dużo piwa, gdyż sikał na świat mocnym strumieniem. Deszcz nic sobie nie robił z kamiennego sufitu – przedostając się przez szpary, padał Ainarowi na głowę. Podczas ulewy poeta zawsze robił się zły. Tym gorzej dla Rudana.

Powiedziano mu, że znajdzie mnicha w celi, gdyż całymi dniami modli się i kontempluje, opuszczając nawet nabożeństwa w oratorium. A jednak rudy senior postanowił się wybrać na spacer w tak lichą pogodę.

Zawołał Znajdę, by weszła do środka. Posłuchała, tak jak wtedy, gdy kazał jej stać na deszczu, by woda zmyła z niej błoto. Była w wieku, w którym dziecko cieszy się wszystkim, choć szybko się tym nudzi. Dlatego choć najpierw ochoczo tańczyła i skakała po kałużach, teraz mokra i gotowa na nowe wyzwania porzuciła zabawę i przybiegła w podskokach. Trzęsła się

z zimna. Zdziwił się, że go to obeszło, a jeszcze bardziej, że zdobył się na ojcowski gest. Sięgnął po szmaty leżące na podłodze – zapewne część mniszego posłania – i owinał nimi dziewczynkę. Denerwujące szczękanie jej zębów w końcu ustało, a raczej zostało zamienione na szczebiotanie i marudzenie. Znajda była w końcu małą kobietką, a te, jak wiadomo, w sztukę narzekania oraz paplania wprawiały się od najmłodszych lat. W końcu zmęczyła się, a jej powieki zaczęły się kleić. Posadził małą przy ścianie, jeszcze szczelniej owinał szmatami i pozwolił się trzymać za rękę, aż zasnęła.

Gdy zamknęła oczy, do celi wszedł Rudan. Woda lała się z niego strumieniami, ale nie zdołała ukryć łez na mniszych policzkach. Rudy mnich zdziwił się na widok Skalda, szybko jednak przybrał paparską minę wyższości.

– Wynoś się z mojej celi, Finn-Gallu!

Duchowny zaczął ostro, darując sobie grzeczności. Ainar docenił, że munk nie udaje przyjaźni i od razu zdradził swoje nastawienie do gościa. Inni często udawali pomocnych, naprowadzali go na ślepe tropy, a za jego plecami złorzeczyli religijnymi przekleństwami. Postanowił nagrodzić szczerść gospodarza grzecznością ze swojej strony. Nie od dziś wiadomo, że uprzejmością najłatwiej rozwścieczyć gbura.

– Nie ma powodu, by się unosić. Obudzisz dziecko.

– Dziecko? Phi – zachnął się mnich. – Nie chcesz chyba, bym uwierzył, że mordercę i złodzieja obchodzi jakaś smarkula.

– Wiem, że nie uwierzysz. Co zamknięty z mężczyznami sodomita, marnujący dni na nikomu niepotrzebne modlitwy i rozmyślenia o tworzeniu, samemu nic nie stwarzając, może wiedzieć o relacjach między ojcem a córką.

– W myślach zaś dodał: A raczej między skaldem a mniszym bękartem.

– Nie będę z tobą rozmawiał. Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Coś tam jednak masz. Ale nie martw się, pomogę ci to wyznać. Będę pytał, a ty grzecznie odpowiesz. Nie słyszałeś, co dzieje się z zamkniętymi

w sobie i nieskorymi do współpracy mnichami?

– Wszyscy słyszeli. Karmisz nas ułudą pomocy, udajesz przyjaciela, wkupujesz się w łaski opata, a myślisz tylko o tym, by nas pobić, zabić i okraść. Myślisz, że uwierzyłem w opowieści o zjawie rabującej naszą bibliotekę? Powiedz mi, co zrobili ci Malo i Cathal, że skatowałeś ich prawie na śmierć?

„Skatowałeś” to za dużo powiedziane – pomyślał poeta. Rzeczywiście, dość brutalnie ich wczoraj, tuż przed wizytą u Brandana, przesłuchał i plasnął kilka razy w twarz. Może i trochę przesadził, ale przecież stali o własnych siłach, gdy wychodził z ich celi.

– Według opata to oni mogli upiec munka – skłamał. W rzeczywistości ani on, ani princeps nie wierzyli, by nieszczęśni znalazcy Adomnana mogli być mordercami. Ale przepytać ich należało, choćby po to, by przekonać się, czy to rzeczywiście gadulstwo wyгнаło ich z cel w noc morderstwa.

– Twój język jest narzędziem fałszu! Opat nie mógł zlecić ci tego przesłuchania, gdyż sam nałożył na nich pokutę milczenia!

To wyjaśniło Skaldowi, dlaczego paparzy nic nie powiedzieli i z większą gorliwością dbali, by kołki nie wypadły im z ust, niż osłaniali się przed ciosami. A już zaczął podejrzewać, że zetknął się z odważnymi munkami. Powinien się domyśleć, że za ich łakomstwem na drewno kryło się coś więcej niż chęć wzmocnienia szczęki poprzez naśladowanie psich zwyczajów.

– W swojej mądrości abbas postanowił wzbogacić pokutę o cielesny ból – wymyślił kolejne kłamstwo, nie chcąc przyznać się do poprzedniego. Był skaldem, więc sztuka wymyślania kłamstw na poczekaniu była jego wierną kochanką. – A w zadawaniu bólu mam pewne doświadczenie, o czym sam możesz się niebawem przekonać.

Ainar przesunął się tak, by zasłonić wejście i odciąć mnichowi jedyną drogę ucieczki. Rudan nie wyglądał co prawda na tchórza, ale strzeżonego norny strzegą.

– Nie wątpię. Możesz mnie bić, ile chcesz. Tam, w rogu, znajdziesz splecione wierzbowe witki do biczowania. Mam odsłonić plecy?

Pieśniarz nie widział powodu, by go katować. Trafiła mu się twarda sztuka albo, co gorsza, taka, którą podnieca ból. Spotykał już takich, a raz nawet słyszał o mieszkańcu Holmgardu, który nosił strzałę zatknętą za fałdkę tłuszczu na brzuchu. Także sam Göllnir przebił się włócznią i krzyknął z rozkoszy, by poznać sekret cierpienia. To samo robią hamramirzy – podczas swoich obrzędowych spotkań tańczą i tną się mieczami, by nauczyć się przyjemności płynącej z bólu. Ainar uważał się za człeka starych zwyczajów, więc jedynymi przyjemnościami tłumiącymi cierpienia były dla niego dzban piwa i róg miodu.

– Dlaczego miałbym cię bić? Jesteś moim gospodarzem. Chcę porozmawiać jak przyjaciel. Bo widzisz, wziąłem sobie do serca nauki opata i myślę, że jestem gotowy się nawrócić. Chciałbym jednak, byś wyjaśnił mi kilka spraw.

– Skoro tak – Rudan spojrzał na niego nieufnie – nie mogę odmówić.

Żaden mnich nie mógł przepuścić okazji do głoszenia bożej łaski i udowadniania swojej wyższości nad geintami.

Senior wskazał na dwa pniaczki na środku celi i sam zajął jeden. Ainar skorzystał z zaproszenia. Usiadł i wyprostował nogi, zakładając jedną na drugą. Sięgnął ku szyi po nożyk i zaczął się nim bawić, by mnich wiedział, że jego grzeszność może zamienić się we wrogość. Przybrał maskę lekceważenia i wlepiając wzrok w Rudana, zapytał:

– Czy wolno zabijać? Mam dużo wrogów i nie wiem, czy zdołam im uciec bez sięgania po miecz.

– Oczywiście, że nie wolno – zgodnie z przewidywaniami oburzył się mnich. – Zabójstwo jest grzechem, które bierze się z gniewu, zazdrości lub chciwości. Jestem pewien, że zasłużyłeś na nienawiść wielu wrogów. Musisz im jednak wyznać winy, obiecać zadośćuczynienie i zdać się na ich łaskę.

– Mądra rada. Czy zatem i ty oddasz się w moje ręce i będziesz prosił

o wybaczenie? Przecież chciałeś mnie zabić i namawiałeś do tego innych.

Rudan zasępił się i podrapał po rudej brodzie, strząsając krople deszczu na habit. Sięgnął za siebie i nie zważając na Znajdę, śpiącą pod ścianą i opatuloną w stary habit, wyszarpnął spod niej brudny kawał materiału. Wytarł twarz i rzedniejące włosy z deszczówki. Gdy skończył, wyciągnął rękę ze szmatą w kierunku Ainara, a kiedy ten nie odebrał podarunku, wzruszył ramionami, rzucił tkaniną przez ramię i odpowiedział:

– Zatem wiesz. Nie spodziewałem się, że któryś z mnichów mnie zdradzi. Treść obrad seniorów zawsze powinna zostawać w kapitularku.

Ainar uśmiechnął się z satysfakcją. Upewnił się, że Blathmac mówił prawdę.

– Nie ciesz się tak, grzeszniku, i nie myśl, że zdołałeś mnie przejrzeć. Dobrze się stało, że dowiedziałeś się prawdy, jeśli rzeczywiście zależy ci na oświeceniu. Bo widzisz, zabójstwo może być też usprawiedliwione przez Boga. Gdy naród wybrany walczył z niewiernymi, Najwyższy tak długo im sprzyjał, jak długo jego prorok trzymał ręce uniesione do nieba. Pomagał tym, którzy walczyli z jego imieniem na ustach i bronili prawdziwej wiary. Ten Który Jest opiekował się swoimi wyznawcami, daleko niósł strzały, które wypuszczali, kierował włóczyniami, które dzierżyli. Dlatego wbrew temu, co głosi nasz opat, cieszyłby się z twojej śmierci, bo jesteś geintem, mordercą, złodziejem i wrogiem prawdziwej wiary. Obdarcie cię ze skóry i przybicie jej do drzwi naszego oratorium byłoby dowodem na naszą wierność Jedynemu i ostrzeżeniem dla twoich plugawych pobratymców.

Poeta nie przestawał się uśmiechać.

– Każdemu zdarza się zabijać za swoje przekonania. Paparzy nie różnią się w tym od innych ludzi. Potrafię to zrozumieć i widzę mądrość w twojej nauce. Ty pewnie też – wskazał go nożykiem – spiskowałeś i zabijałeś w imię wyższych celów. Bo przecież nie zniżyłbyś się do mordu z pożądania, nienawiści czy zazdrości.

Rudan zawahał się na moment, a potem prychnął.

– Nie będę się przed tobą spowiadał, geincie. Nie dam się sprowokować.

Skald cały czas wpatrywał się w oczy mnicha, nie pozwalając sobie choćby na mrugnięcie. Sztukę denerwowania ludzi miał znakomicie opanowaną. Także teraz zaczynała przynosić wyniki. Rudan spocił się, a jego prawa powieka zaczęła drżeć. Jedną ręką chwycił za sznur, którym był opasany, a drugą nerwowo bawił się dyndającą tuż nad ziemią końcówką cingulum. Siedział jednak wyprostowany, jakby samą postawą zamierzał się umartwiać i podkreślać opanowanie oraz samodyscyplinę.

– Powiedz mi zatem, czy kopulowanie z kobietą to coś niewłaściwego?

– Jeśli robisz to dla przyjemności, a nie po to, by zasiedlać ziemię potomstwem, to tak. Jednak geinci powinni powstrzymać się od kontaktów z kobietami. Ziemia nie potrzebuje już owoców waszego plugawego nasienia. No chyba że zamierzasz się nawrócić i wychować dzieci w prawdziwej wierze. Pamiętaj również, że szczególnie naganne w oczach Wszystkowidzącego jest cudzołóstwo, wykorzystywanie cudzej żony.

– Zapamiętam – skłamał Finn-Gall. Cudze żony były najlepsze. Wiedziały, co do czego służy, nie zakochiwały się i szybko wracały do mężów, by to ich męczyć swoim paplaniem.

– Jeśli pokusa dalej by cię nie opuszczała, możesz zostać mnichem. Modlitwa i praca to najlepsze sposoby na walkę z rozpustą.

– Mogę w to uwierzyć. Mieszkacie zamknięci w towarzystwie innych mnichów. Trudno tu znaleźć cudzą żonę, choćby nawet nasza na nią kogoś z was ochota. Z tego, co słyszałem, macie tu tylko jedną czarnowłosą istotę, która nosi sukienkę.

– Przyszedłeś bluźnić, a nie się nawracać.

– Och, ależ chcę się nawrócić. Nie mogę tylko odegnąć od siebie widoku Czarnowłosej, a raczej jej skaczących piersi, kiedy mnie dosiadała. Cóż to była za rozkosz. Nie rozumiem, jak zdrowy mężczyzna może się bez niej

obejść.

– Kłamiesz, geincie. Nie ma tu żadnej Czarnowłosej.

– Ależ jest. Wielu mnichów mi o niej mówiło. Zabawiało się z nią, aż szwy habitów pękały. Niektórzy nawet oddają jej cześć jako bogini z jeziora – przyszło mu to teraz do głowy – i kradną dla niej klejnoty z opraw manuskryptów.

Rudan spurpurowiał jeszcze bardziej niż jego ruda broda. Zacisnął dłonie na cingulum, aż knykcie mu zbieleły. Zaczął się trząść z wściekłości i unikać spojrzenia Ainara.

– Wyglądasz, jakbyś chciał zdjąć ten sznur i mnie nim udusić. Czy tak robiłeś ze swoimi ofiarami, tymi mnichami, którzy cudzołożyli z Czarnowłosą? A może to ty ich gwałciłeś przed śmiercią? Powiedz, bardziej cię podniecało patrzenie, jak ucieka z nich życie, czy wkładanie swojej miękkiej kuśki pod mnisze habity?

Mnich puścił sznur, zacisnął pięści, uniósł je i opuścił na bok pniaka, na którym siedział. Potem zrobił to ponownie i powtarzał bicie, dopóki nie pojawiła się krew. Wtedy położył rozprostowane dłonie na kolanach, splunął pod nogi poety i jeszcze bardziej się wyprostował.

– Wyjdź stąd, Finn-Gallu. Nie zdołasz mnie wyprowadzić z równowagi.

– Jeśli krew płynąca na habit ze zranionych pięści nie jest oznaką zdenerwowania, to ciekawe, co sobie zrobisz, gdy naprawdę się wściekniesz. Wierzbowa witka musi często pieścić twoje nagie ciało. Przede mną nie musisz się wstydzić. My, geintowie, rozumiemy przemoc. Ból, który tak kochasz, może być podniecający.

– Ból przypomina mi o kruchości ludzkiego ciała i o cierpieniu, jakie Jedyny doznał za moje grzechy. Wyjdź. Nie kuś mnie, demonie, bo gniew nie zapłonie dziś we mnie.

Pieśniarz nie spodziewał się, że pójdzie mu tak łatwo. Miał szczęście, że trafił mu się nerwus – i to zapewne taki, który miał niejedno na sumieniu.

Z radością dołoży trochę drewna, by podniecić ogień płonący pod habitem i przebraniem z mniszej obojętności.

– Wyjść? Przecież tak dobrze nam się rozmawia. Już dawno chciałem zwierzyć się ze swojego oczarowania Czarnowłosą przed kimś, kto też gościł między jej udami. Nie wstydz się tak. Dzielenie się jedną kobietą tworzy między mężczyznami nierozwalną więź. Teraz możemy sobie mówić wszystko. Co się tak rumienisz? Dobrze wiem, że tobie też dogadzała i chciałbyś podzielić się ze mną wrażeniami. Powiedz: wolałeś ją brać od tyłu, jak ogier bierze klacz, czy od przodu, jak wojownik napawający się strachem branki? Na pewno od przodu. Tak jak ten... jakże mu tam było... Adam, który wlaź na Ewę i zrobił jej bachora.

– Kto ci o tym powiedział?! – krzyknął cenobita, opluwając przy okazji rozmówcę i udowadniając, że asceci za nic mają pielęgnację jamy ustnej. Do Ainara dotarł smród zgniłego mięsa.

– Dobrzy ludzie – skłamał, nie mogąc się przyznać, że był to strzał na ślepo.
– Mawiali także, że właśnie u ciebie widzieli ją zeszłej nocy.

– Wczoraj? O czym ty mówisz? Czasem nawiedza mnie we śnie i pastwi się nade mną, ale nie widziałem jej od czterech lat. I każdego dnia przepraszam Miłosiernego za to, co jej wtedy zrobiłem.

Nożyk, który Ainar obracał w dłoni, zatrzymał się między środkowym a wskazującym palcem. Gdyby nie deszcz bijący o kamienie nad ich głowami, można by powiedzieć, że zapanowała cisza i cały świat zamarł, zszokowany słowami seniora. Wyczekiwanie przerwał poeta, który zerwał się z pniaka, wziął zamach i wbił ostrze w dłoń mnicha, przytwierdzając ją do uda. Munk krzyknął z bólu, ale jego głos został zagłuszony przez kolejny grzmot. Znajda obudziła się i zaczęła płakać, przestraszona burzą, wrzaskami duchownego i krwią sikającą ze zranionej dłoni.

– Widzisz, przestraszyłeś dziecko – Skald warknął do ucha zakonnikowi, wycierając rękawem mniszą krew ze swojej twarzy. – Poznaj córkę Czarnowłosej, która szuka ojca i ma trzy latka. To mówisz, że kiedy widziałeś

jej matkę?

– Ja, ja... Nic ci nie powiem. Możesz mnie zabić, bo na to zasłużyłem, ale niczego nie powiem.

Rudan wzniósł oczy ku niebu i zaczął się modlić.

– Ty, który przebaczyłeś łotrowi, wybacz i mnie. Pomnij, że pościłem i pokutowałem przez te wszystkie lata, by zasłużyć na przebaczenie...

– Żelazo nie zna litości. – Ainar chwycił za rękojeść noża i lekko przekręcił ostrze. Mnich zawył z bólu. – Co jej zrobiłeś i gdzie jest teraz?

– Puść go, geincie! – Skald usłyszał głos dochodzący zza swoich pleców.

Wolno obrócił się i ujrzał wściekłego i mokrego opata. Błyskawica, która właśnie rozświetliła południowe niebo, odbiła się w jego piwnych oczach i w kolczugach jego obstawy. Towarzyszyło mu bowiem dwóch zbrojnych z nagimi mieczami, a dwóch kolejnych czekało na zewnątrz w tłumie przemoczonych mnichów.

– Nie przeszkadzaj, paparze – poeta z pogardą położył nacisk na słowo „papar”, tak jak munkowie kładli nacisk na „geint”. – Zaraz dowiem się wszystkiego o waszej czarnowłosej morderczynie.

– Puść, powiedziałem! Znam sprawę Czarnowłosej.

Ainar dopiero teraz rozumiał. Oczywiście, że abbas musiał ją znać. Jak on, sprytny skald, mógł być tak głupi i dać się oszukać? Nic, co działo się w klasztorze, nie mogło ujść uwadze amnchara, lekarza dusz, jak go tu nazywano. Tak, to od princepsa powinien rozpocząć przesłuchania.

– A więc to tak. Zdradziłeś mnie i dogadałeś się z Brodirem.

– Nie, to ty zdradziłeś mnie. Nadużyłeś mojego zaufania. Obiecałeś pomoc, a dostarczyłeś naszemu zgromadzeniu kolejnych zmartwień i cierpień. Torturowałeś i kaleczyłeś moich braci! – grzmiał opat, zagłuszając nawet burzę. – Najpierw Brandan, teraz Rudan, a niektórzy donoszą, że pobiłeś również Malo i Cathala, choć sami poszkodowani milczą, do końca będąc wierni odprawianej pokucie! Prawdą jest, że ból może pomóc w walce

z pokusą, ale mnich może go zadawać tylko sobie lub bratu, który go o to prosi! I jakby mało ci było przemocy, którą nam zadałeś, musiałeś nas jeszcze okraść!

Opat odsłonił przedmiot, który do tej pory trzymał zawinięty w szmaty. O swoje łyse głowy mnisi nie dbali, ale o księgi już tak. Pod tkaniną znajdował się manuskrypt, który Ainar rozpoznał od razu.

– Jeden z mnichów znalazł to u ciebie, ukryte pod dachem. Wszchemocnemu niech będą dzięki, że zesłał na niego nieufność, gdy ja straciłem swoją, i wysłał go do twojego domu, by go powtórnie przeszukać. Musiałeś tak okaleczyć nasz święty wolumin?

– Nie ukradłem waszej księgi. Po cóż by mi ona była? Nawet nie umiem czytać. A takiej zniszczonej nikt nie chciałby nawet kupić. Lepiej zapytaj tego szczęśliwego znalazcę, gdzie był w noc kradzieży, bo pewnie sam jest złodziejem!

Ainar nie łudził się, że tłumaczenie cokolwiek da. Umiał poznać, że jego winę już stwierdzono, chciał jednak przedłużyć rozmowę. Potrzebował czasu, by ocenić swoje położenie. Kątem oka spojrzał na Rudana. Nóż dalej tkwił w jego dłoni, przybijając ją do uda jak gwóźdź, który przytwierdził rękę paparskiego boga do krzyża. Mnich patrzył otępiąłym wzrokiem na ciekącą z nogi krew, chyba nie zdając sobie sprawy z przybycia gości, i dalej mamrotał pacierze. Pieśniarza dzieliło od ostrza tylko pół kroku i był pewien, że zdążyłby wyciągnąć broń z rany mnicha, nim drengowie zdolaliby do niego doskoczyć.

– Nikt już nie będzie słuchał twoich kłamstw. Poddaj się. Zbyt wiele krwi splamiło bruk tego muintiru. Brodir obiecał potraktować cię sprawiedliwie, a dzięki memu wstawiennictwu – również litościwie.

Z dwoma drengami dałby sobie radę. W ciasnej celi nóż był skuteczniejszy od długiego ostrza. Nie dało się tu wykonać porządnego zamachu, a ruchy szermierza ograniczone były do pchnięć. Pchnięcia zaś nie były ulubionym sposobem walki rębaczy z Północy, wyposażonych w miecze o zaokrąglonych

sztychach.

– Nie biorę grid od byle kogo.

Wszak byłby głupcem, gdyby liczył na litość. Nie po tym, co zrobił jarlowi Erlingowi Eysteinsonowi, umiłowanemu hersirowi Brodira.

– To nie bierz. Twoja sprawa. Ale nasza gościna dobiegła końca.

Tych dwóch mógłby zabić, opłacając to kilkoma draśnięciami. Tymczasem mnisi pewnie by uciekli. Wiedział jednak, że na zewnątrz czekają kolejni zbrojni. Poradziłby sobie jeszcze z jednym lub dwoma – pod warunkiem, że wyszarpnąłby miecz któremuś z drengów. Ale skoro opat dogadał się z Brodirem, to znaczyło, że za wałami czekała na niego cała oblawa. Daleko by nie uciekł. Miał tu zresztą ukrytych kilka świecidełek, bez których nie zamierzał rezygnować z paparskiej gościny. Pozostawała jeszcze Znajda. Sam się zdziwił, że przyszła mu do głowy w takiej chwili. Umorusana smarkula, płacząca, psocąca, śmiejąca się, paplająca, marudząca, ciągle głodna, ciekawska i wszędobylska, ostatnio coraz częściej zaprzętała mu myśli. Jej los zaczął go jakby obchodzić. Nie była mu już obojętna.

– A co z małą?

– Z kim? – zdziwił się opat i podążył wzrokiem w stronę, w którą Ainar machnął głową. Wydawało się, jakby dopiero teraz zauważył dziewczynkę, wcześniej będąc zaślepionym przez święty i słuszny – a nie ten grzeszny, geintowski – gniew.

Znajda, gdy mnisi i zbrojni weszli do celi, przestała płakać i teraz tylko cicho pochlipywała. Była wystraszona i tuliła się do ściany, jakby chciała w nią wniknąć i stać się niewidzialna. Gdy usłyszała, że o niej mowa, przestała pociągać noskiem i z wrogością spojrzała na abbasa.

– A tak, ze Znajdą. – Głos opata złagodniał. – Urocza sierota. Mała zostanie tu, aż przybędzie opiekunka. Nie stanie jej się krzywda.

– Ja chcę iść z tatą! – wrzasnęła dziewczynka i szybciej, niżby zdołali to zrobić ludzie Brodira, doskoczyła do Ainara i chwyciła go za nogę.

Princeps oniemiał, a drengowie ryknęli śmiechem.

– Klasztorny wikt cię rozmiękczył, Skaldzie. Zostałeś tatusiem? – zaszydził jeden ze zbrojnych, gdy skończył się śmiać.

Już wcześniej Ainarowi wydawało się, że gdzieś już widział tego brodacza o złośliwym wyrazie twarzy. Teraz, gdy usłyszał jego głos, był już pewny, że spotkali się w Östlandzie. Dreng należał do świty jarla Erlinga Eysteinsona i chyba nosił imię Örm.

– No tak, mnichów w spódnicach tu nie brakuje. Który jest mamusią? – dodał drugi drottmad z okazałym jasnym wąsem, ale uśmiech znikł mu z twarzy, gdy poczuł na sobie piorunujące spojrzenie opata.

– To moja wychowanica. Ma więcej odwagi niż wasz Brodir, którego zgwałciłem mieczem podczas naszego ostatniego spotkania.

– Jeszcze to odszczekasz, zmijowy języku – wycodził Örm przez zaciśnięte zęby.

– *Pax Kristi!* – zawołał opat. – Uspokójcie się! Ainarze, wzywam cię na wszystko, co święte, i na to, co dla ciebie ważne, zaniechaj oporu. Jeśli nie ze względu na szacunek dla życia, to dla tej małej, którą możecie zranić podczas walki.

Poeta cofnął się o pół kroku, wlokąc za sobą zawieszoną na jego nodze Znajdę.

– Nawet o tym nie myśl! – krzyknął wąsacz w kolczudze. – Dziecko cię nie uratuje. Posiekamy je razem z tobą.

Poeta nie zwrócił na niego uwagi. Powoli pochylił się, jedną ręką objął nadgarstek Rudana, a drugą sięgnął po rękojeść noża.

– Zostaw! – ostrzegł Örm i zrobił krok w stronę Ainara.

– Czeka! – rozkazał opat i chwycił uzbrojone ramię brodacza.

Skald bez pośpiechu wyciągnął kozik, delikatnie go przy tym przekręcając, co dało się poznać po krzyku Rudana. Otarł ostrze o rękaw swojej białej koszuli, pozostawiając na niej smugi pasujące kolorem do czerwonego

kyrtillu. Ciężar nożyka go uspokajał, dodawał pewności. Ścisnął mocniej rękojeść i schował broń do pochwy na szyi.

– Skald jest niczym bez języka, a rzeźbiarz bez nożyka. Musiałem wziąć, co moje. Jestem wasz.

Na dowód wyciągnął puste dłonie w ich kierunku.

– Nie zostawiaj mnie, tatku – wyjęczała Znajda.

Drengowie popatrzyli niepewnie najpierw na niego, a potem na abbasa, jakby potrzebowali jego zgody. Tchórzliwe bękarty. Dopiero ośmieleni skinieniem głowy opata podeszli do poety, ale powoli i ostrożnie, spodziewając się podstępu i nie dowierzając w pokojową możliwość rozwiązania sporu. Za nimi ruszył princeps.

Ainar pozwolił, by opat oderwał mu dziewczynkę od nogi, a sługusy Brodira wykręciły mu ręce do tyłu i zerwały nożyk z szyi. Dał się wyprowadzić na deszcz. Nienawidził takiej pogody.

18

Nie zginął tylko przez chciwość. Kiedyś go już uratowała, jednak tym razem życie zawdzięczał cudzej, a nie własnej żądzy monet.

– Gdzie jest srebro?! – krzyknął Brodir i po raz kolejny uderzył go pięścią w twarz.

Oblicze drenga, który kiedyś był najbardziej zaufanym doradcą jarla Erlinga, nie zmieniło się od ich ostatniego spotkania. Brodir Jökulsson nadal regularnie golił głowę, a blizny na skórze wskazywały, że często się zacinał. Broda i wąsy pozostały tak samo gęste, choć teraz wplątały się w nie siwe włoski. Z resztą ciała czas nie obszedł się tak łaskawie. Łysol był chudszy i bardziej żyłasty, jakby ostatnie cztery lata niewiele jadł i spał, za to nieustannie włóczył się po świecie. Największą zmianą było jednak to, że

mężczyzna kulał. Ainar z satysfakcją uświadomił sobie, że musi to być pamiątka po bitwie pod Jaskinią Żmii. Żałował tylko, że to nie jego miecz ją zostawił.

Skald zastanawiał się, czy nie krzyknąć. Nie ze strachu ani bólu, ale w nadziei na ratunek. Oceniał jednak, że wał klasztoru, choć widoczny w świetle zachodzącego słońca, był za daleko, by go usłyszano, nawet gdyby rzednący już deszcz przestał wreszcie padać. Ziewnął więc tylko, udając znudzenie, co przyplącił bólem twarzy.

– Gdzie ukryłeś skarb?!

Tym razem dostał pięścią w brzuch. Przyprawiono go tu w połowie popołudnia, w *hora nona* według paparskiego czasu, i postawiono przed obliczem Brodira. Östlandczycy zapomnieli o zasadach gościnności i nie pozwolili poecie usiąść, za to przywiązali go do słupa na stojąco. Może to i lepiej – nie musiał siedzieć w kałuży, która się pod nim zrobiła.

– Zatonął razem ze statkiem – odpowiedział Skald.

– Kłamiesz!

Pięść znowu trafiła go w policzek, ześlizgując się po mokrej skórze. Ainar oblizwał krew z pękniętej wargi. Pomyślał, że jednak mógł walczyć.

– Przepiłem i wydałem na córuchny Gefny. Coś niecoś dostało się twojej żonie.

– Nie mam żony.

– Wybacz. Matce.

Brodირ uderzał nieprzerwanie. Tym razem przyszła kolej na brzuch. Pieśniarz zakasłał krwią i z zadowoleniem stwierdził, że czerwone kropelki śliny padły na poharataną głowę Brodira. Uznał to za małą zemstę za smród z ust oprawcy, który wykrzykiwał pytania wprost do jego nosa.

– Gdzie moje monety?!

– Zakopałem za radą jarla Erlinga. A nie, czekaj! Już sobie przypomniałem. W drodze obrabowały mnie jötuny. Pewnie jest w ich pieczarze w górach.

I znów w twarz. Chrupnęły chrząstki w nosie. To przynajmniej rozwiąże problem smrodu – pomyślał.

– Mów, a otrzymasz szybką śmierć drenga.

Brodir sięgnął za siebie i ostrożnie wyjął z pochwy miecz o bogato zdobionej rękojeści z krótkim jelcem. Głowica miała kształt trójkąta, a wygrawerowane na niej oko zostało otoczone splecionymi gałęziami dębu. Długie ostrze o zaokrąglonym sztychu było starannie wypolerowane i naostrzone. Nie było mętne, więc Ainar był przekonany, że – podobnie jak jego Kvernbita – wykuto je z i żelaznych, i stalowych prętów, tworząc mieszankę twardości i wytrzymałości, którą osiągnąć umieli tylko najlepsi kowale. – Poznajesz?

Ainar poznał. A nawet gdyby nie, łatwo było się domyślić, czyją broń Brodir mógł przechowywać z taką pieczołowitością. Bo swoją raczej by się nie chwalił.

– Tym ostrzem twoja matka zabiła ojca, który zdradził ją z teściem?

Brodir, nawet wściekły, nie zapomniał o kolejności. Pieśniarz dostał w twarz, aż zadzwoniły mu wszystkie zęby. Muzyka zawsze towarzyszy skaldowi.

– Ten miecz należał do jarla Erlinga Eysteinsona. Do wspaniałego hersira, któremu obiecałeś skrzynię srebra, po czym okłamałeś go, zdradziłeś, wciągnąłeś w zasadzkę, a w końcu zabiłeś. W dniu, kiedy to się stało, podniosłem ten miecz i poprzysięgłem wypruć ci nim flaki. Ta myśl pozwoliła mi wtedy przeżyć, mimo iż pozostawiłeś mnie umierającego w lesie. Jeśli wyznasz, gdzie ukryłeś skrzynię, tę zimną stal wbiję ci prosto w kark.

Ainar poczuł zimne dotknięcie sztychu w miejscu, gdzie szyja łączy się z prawym ramieniem. To go uraziło. Był skaldem. Potrafił sobie wyobrazić, jak pochylony miecz przenika przez skórę, tłuszcz i mięso, aż dociera do serca. Czy Brodir naprawdę łudził się, że nakłoni go do mówienia tak marną nagrodą?

– Mnie nie oszukasz – Ainar postanowił zmienić temat. Skoro już był skazany na tę rozmowę, mógł spróbować podpuścić drenga i sprawdzić swoje przypuszczenia: – Los jarla nic ciebie nie obszedł. Człowiek, dla którego tign nie jest pustym słowem, nie sprzymierzyłby się z synami największego wroga swojego hersira.

Cios w twarz przyjął niemal z zadowoleniem. Nawet pobity i związany potrafił doprowadzać wrogów do wściekłości.

– A co ty możesz wiedzieć o tignie? Honor to dla ciebie tylko temat na pieśń. Dla mnie jest on wszystkim i żyję tylko po to, by go odzyskać. Bo widzisz, po masakrze pod Jaskinią Żmii na zapraszające do Gmaszyska Zarzniętych disy wypiął się również Örm, drottnad Erlinga – Ainar przypomniał sobie brodatego drenga, który przyszedł po niego do celi – oraz dwaj thegnowie Haralda. Początkowo, owładnięci nienawiścią, chcieliśmy się pozabijać, ale zrozumieliśmy, że sobie z nas zakpiłeś. Dlatego opatrzyliśmy się nawzajem i przysięgliśmy, że cię odszukamy i zabijemy. Mieliśmy tylko jeden problem.

– Brak odwagi?

– Brak srebra. Szybko rozeszła się wieść, że uciekłeś z Östlandu jak pies z podwiniętym ogonem, a pościgi nie są tanie. Erling nie pozostawił dziedzica, więc do niego nie mogliśmy się zwrócić. Pozostali tylko synowie Haralda.

– Nie mogę uwierzyć, że te tchórzliwe bękarty zgodziły się wam pomóc.

Wspomniał niedoszłych szwagrów. Jarl Harald, choć sam był mężny i bystry, nie doczekał się takich potomków. Najbardziej podobni do ojca byli Gunnar i Sjolf, ale ci zginęli z ręki Skalda i swojej siostry. Pozostała trójka Haraldssonów, Sigvat, Skapti i Soti, byli otyli, powolni w działaniu i nie potrafili nawet porządnie rąbać mieczem.

– Zgodzili się, choć nie było to łatwe. Doprawdy, nie można mieć honoru, by ociągać się z zemstą za śmierć ojca i dwóch braci, ale... – Brodir zauważył, że dwóch jego drottnadów nerwowo przebiera nogami, więc szybko się

poprawił: – ...w końcu zrobili, co należało.

Pieśniarz domyślił się, że zniecierpliwiona dwójka należała do stronników Haralda. Drott Brodira nie był zatem tak zgodny, jak go przedstawiał kulawy mściciel. Skald uznał, że warto pielęgnować te niesnaski wewnątrz oddziału.

– Nie bądź taki skromny – spróbował pochlebstwa, na które łasy jest każdy samochwała. – Z pewnością musiałeś się nieźle napracować, by skłonić tę tłustą trójkę do działania.

– Rzeczywiście. Początkowo nie chcieli o niczym słyszeć, ale byliśmy na to przygotowani. Mieliśmy ukrytą w worku uciętą głowę jarla, więc pokazaliśmy ją jego synom, a martwe oczy ich ojca tak długo się w nich wpatrywały, aż cała trójka spełniła swoją powinność. Ale starczy już tych opowieści. Myślisz, że nie widzę, do czego dążysz, zmijowy języku? Chcesz nas skłócić, ale to ci się nie uda. Nienawiść do ciebie potrafi łączyć ludzi mocniej niż niewolnicze kajdany.

Tym razem prawy prosty był tak silny, że potylicą więźnia uderzyła o belkę. Zakreśliło mu się w głowie, a do oczu popłynęła krew z rozciętej brwi.

Nieopodal Skalda leżał spróchniały pień, z którego wyrastał szary grzyb z blaszkami pod kapeluszem. Pokusa i szyderstwo. Kęs tego grzyba mógł mu zaoferować zapomnienie, koniec bólu, a może i wizję. Był tak blisko, a zarazem tak daleko.

– Nie odpływaj! – Brodir wrzasnął poecie wprost do ucha i spoliczkował go.

Cios był słabszy, choć ta owłosiona, twarda łapa nie była stworzona do delikatności.

– Musisz mi to wybaczyć – odezwał się w końcu oprawca, pokazując rękami okolicę. – Nie mieliśmy wiele czasu. Wiem, że jest to tylko namiastka słupa hańby. – Poklepał nadpalone drewno. – Dla ciebie powinno się przygotować wspaniałe trenid, belkę zwieńczoną podobizną twojej głowy, z wyrytymi zaklęciami i przekleństwami, by wszyscy wiedzieli, jaki z ciebie

tchórz, zdrajca i krzywoprzysięzca. Przywiązany do takiego drewnianego członka doznałbyś hańby wszetecznika, jakim jesteś. Ale musi nam wystarczyć ten słup, na którym niegdyś wspierała się świątynia tchórzliwego boga paparów. Czy wiesz, że spalili ją nasi rodacy?

Poeta wiedział. Mnisi nie omieszkali mu tego wytknąć, a także podkreślić, że specjalnie pozostawili te zgliszcza nietknięte, by pamiętano o krzywdzie, jaką tej ziemi wyrządzili Finn-Gallowie.

– Gdy zamienimy się miejscami, nie dopuszczę do takiego zaniedbania. Jestem rzeźbiarzem. Z łatwością wyryję na czubku tego drewnianego kutasa twoją kanciastą gębę.

Tym razem pięść, która wedle stosowanej przez Brodira kolejności uderzania powinna trafić w brzuch, uderzyła niżej.

– Prawdę mówią – wystękał Ainar nieco cieńszym głosem – że lubisz dotykać cudzych maczug.

I znów w twarz. Wargi już dawno popękały, ale i tak było w nich dostatecznie dużo krwi, by znów poczuł jej smak. Upewnił się językiem, czy ma jeszcze zęby. Choć wszystkie co do jednego trzęsły się jak podrostki przed bitwą, to jeszcze trzymały szereg.

Przez chwilę stali w milczeniu. Brodir napawał się cierpieniem więźnia, a Skaldowi chciało się nim rzygać. Mieszanka kaszy, piwa, śliny i krwi pociekła na czerwony kyrtil Ainarą.

– Muszę przyznać, że zdziwiłeś mnie – oprawca zmienił temat. – Poddałeś się naszym ludziom bez walki. Tak cię rozmiękczył pobyt wśród mnichów? A może to ta smarkula? Doniesiono mi, że stanęła w twojej obronie.

„Jeśli nie masz szans na wygraną, odwlekaj swoją śmierć” – pieśniarz przypomniał sobie słowa babki. Wmawiał sobie, że to z tego powodu zrezygnował z walki w celi.

– Po prostu chciałem cię osobiście zapytać, czy nadal masz kamienie w głowie.

– Służę.

Ainar bezwolnie przyglądał się, jak głowa Brodira odchyła się do tyłu, po czym błyskawicznie zbliża do jego czoła i pozbawia go przytomności.

Ocknęło go uderzenie otwartą dłonią w twarz. Przestało lać. Usłyszał suchy grzmot, dobiegający ze wschodu. Magni udał się zabijać trolle do Gardariki^[58].

Było już całkiem ciemno. W świetle gwiazd i z pomocą pamięci dostrzegął wszystkich dwunastu ludzi Brodira, którzy rozbili obóz w dole po jakimś spalonym domie. Większość twarzy należała do Östmadów, choć właściciele przynajmniej dwóch z nich mieli wyraźnie iryjskie cechy – niski wzrost i rude włosy. Połowa oddziału siedziała przy ognisku, druga stała w półkolu trzy, może cztery kroki za Brodirem i przysłuchiwała się rozmowie. Uśmiechali się złowieszczo i widać było, że chętnie zamieniliby się z dowódcą. Po każdym ciosie kąciki ich ust wędrowały coraz wyżej, wargi odsłaniały szczyrby w zębach, a oczy świeciły się od żądzы krwi. Czyżby zabił im kogoś bliskiego?

– Mnisi mawiają, że dziewczynka jest twoim bachorem. Nie mogę uwierzyć, że zdołałeś dogodzić jakiejś kobiecie. Wiedz, że gdy skończę z tobą, a mnisi wypuszczą małą, rzucę ją psom. Poznałeś już moich przyjaciół? Wabią się Hopp i Ho.

Brodir wskazał za siebie, gdzie nieopodal ogniska przywiązane były do palika dwa ogromne alaunty. Skald widział już kiedyś te hodowane na Wyspie Irów bestie. Wielkie hundy, psy z krótkimi ogonami i szerokimi szczękami, śliniły się i wlepiły w niego czerwone ślepie, ale nie szczekały.

– Hopp to ten ciemniejszy, Ho ma rudą pręgę na grzbiecie. Kiedyś pozwoliłem im złapać jednego papara, pustelnika. Zjadły go w całości, razem z habitem. – Zarechotał, a jego ludzie zawtórowali okrutnym śmiechem. – Kościsty był staruszek, ale i tak im smakował. Pomyśl, co te moje pupilki zrobią z twoim bękartem. Takie młode mięsko przełkną bez gryzienia.

– Rób, co chcesz. To nie moja córka. – Pieśniarz był przekonany, że mówi prawdę, ale wyrzeczenie się małej i zachowanie przy tym obojętności przyszło mu z trudem.

– Twoja, nie twoja. I tak zginie.

Brodir wpatrywał się w niego jeszcze uważniej niż przedtem. Ainar zrozumiał, że nie może okazać przywiązania do Znajdy, jeśli nie chce jej śmierci. W oczach oprawców musiał pozostać bezwzględny drengiem, nawet jeśli wściekłość mieszała się w jego umyśle z niezrozumiałą troską o dziewczynkę. Na szczęście z Grimmirem, bogiem o wielu twarzach, dzielił zamiłowanie do przybierania masek.

– Śmiało. Nareszcie przestaniesz za mną łązić.

Kulawiec zmrużył oczy i przysunął się jeszcze bliżej twarzy więźnia.

– Udajesz obojętność? Czemu sam jej nie zadźgałeś, skoro ci przeszkadzała?

– Nie morduję dzieci i ładnych kobiet – wybełkotał z trudem. – Pierwsze nic mi nie zrobiły, drugim, przeciwnie, ja mogę zrobić dobrze. Ale co może o tym wiedzieć morderca wdów i sierot?

– Skald z zasadami? A to nowość, chłopcy. – Drottmadowie wzmocnili szyderstwo rechetem. – Gdzie ukryłeś srebro, zawszony wszeteczniku paparów?!

– Nudny się zrobiłeś. Tyle zachodu o jedną skrzynię srebra? Jesteś w kraju paparów. Pal, rabuj i gwałć! Kilka miesięcy krwi i pożogi, a będziesz bogatszy, niż ten twój jarl Erling był kiedykolwiek. Chcesz? Pomogę ci zrabować ten klasztor – spróbował kolejnego kłamstwa. – Mają tam srebrne kielichy wysadzone drogimi kamieniami i manuskrypty ze złotymi okuciami.

– Nie paktuję z mordercami. Gdzie skrzynia?

Nie miał już siły odpowiadać. Gdyby nie to, że był mocno przywiązany, już dawno osunąłby się na ziemię. Brodir też zmęczył się przesłuchaniem, co wywołało w Ainarze ten rodzaj samozadowolenia, jaki odczuwa umierający

wojownik na widok zdychającego tuż obok przeciwnika. Kulawiec miał jednak zastępców. Drottnadowie Brodira nieuprzejmie wtrącali się do rozmowy, kopiąc go po nogach i objając mu żebra. Ból, początkowo dotkliwy, powoli stawał się znośny, by w końcu prawie zaniknąć. Ciało znudziło się ciągle przypominanie umysłowi, że jednak boli.

Poeta niczym przez mgłę zobaczył, jak Brodir gestem powstrzymuje swoich ludzi i krzyczy mu coś do ucha. Tylko co?

Kilka plaśnień w policzki ocudziło go na tyle, by zrozumieć.

– Przemysł to sobie do rana. Jeśli nie powiesz, gdzie jest srebro, wytnę ci krwawego orła mieczem jarła. Położymy cię nagiego twarzą do błota, tak jak ergiego, który wypina się przed kochankiem, i ponacinamy całe ciało. Będą to płytkie rany, by nie uszła z ciebie krew, ale by skóra zrobiła się czerwona. Potem wytnę ci nożem zarys orlich skrzydeł na plecach i natnę grzbiet, wzdłuż żeber...

Znów to samo. Kulawcowi wydawało się, że zdoła go przestraszyć. Przecież sam wymyślił ten rodzaj mąk w swojej drapie, choć nie przypuszczał, że ktoś wpadnie na pomysł, by naprawdę ją zastosować. I to na autorze... Ludzie nie rozumieją przenośnego znaczenia poezji.

– ...następnie wbiję ci miecz pod żebro i odegnę je do tyłu, tak by wyszło na zewnątrz. Potem zrobię tak z kolejnym i jeszcze kilkoma. Wtedy wyciągnę na wierzch twoje płuca. Myślisz, że to będzie koniec? Oj nie, to byłaby zbyt szybka i łaskawa śmierć dla takiego gridnidinga, gwałciciela pokoju i łamacza ugód. Płuc nie wyrwę, tylko delikatnie wyjmę, byś mógł dalej oddychać i by po twoim ciele dalej krążył, jak to mawiają paparzy, spirytus, tchnienie życia. Łudzisz się, że pokpię sprawę, że wystarczy jeden fałszywy ruch, bym przeciął tętnicę, dając ci upragnioną śmierć? Wiedz zatem, że ćwiczyłem to na niejednej świni, których pyski tak przypominały twoją gębę, a kwiki twoje daremne błagania o litość. Och, jakże wsłuchiwałem się w te dźwięki i jakże chętnie nurzałem się w zwierzęcej krwi, wyobrażając sobie, że to ciebie kroję.

– Kobięce jęki rozrywką są drenga, a świńskie kwiki – nidinga.

Brodir, podniecony opisem mąk, zapomniał nawet o biciu.

– A kiedy poranne słońce ogrzeje twoje wyciągnięte płuca, a jęki staną się poezją dla Göllnira, posolę twoje ciało. Nie będę żałować tego drogiego towaru na żadną z ran. Będę stał i wsłuchiwał się w najpiękniejszą z pieśni, w pieśń bólu i zemsty. Będę cierpliwie czekał, jak matka przy konającym synu, na twoje ostatnie tchnienie, by chwycić je w dłoń i rozetrzeć, tak by wieść o twojej śmierci nie dotarła do bogów i by żadna disa nie przyszła odebrać twojego ducha.

Łysol uśmiechał się i był z siebie wyraźnie zadowolony. Przerwał tylko na chwilę, by dać więźniowi czas na przemyślenie tego, co powiedział.

– Mam nadzieję, że jako skald docenisz moją pomysłowość.

– Bardzo oryginalne – Ainar wyseplenił z trudem. – Musisz powiedzieć o takim zastosowaniu soli rzeźnikom i rybakom. Może dzięki niej mięso będzie się lepiej trzymać.

– Mało? Dobrze. To jeszcze naszczam na twoje zwłoki i utnę ci łeb, by w pośmiertnej tułaczce nikt cię nie poznał i by pamięć o tobie zniknęła na zawsze. Na końcu rzucę twoje szczątki psom na pożarcie, a resztki – to, czego nawet moje ogary nie zechcą tknąć – wrzucę do jeziora.

Kulawiec w końcu zamilkł, mając chyba nadzieję, że jego ostatnie słowa zawisną w powietrzu i zjeżą włosy na ciele Ainara. Skald błędził opuchniętymi oczami dookoła, ale nie zauważył, by coś wisiało w powietrzu, a włoski – i owszem – stały, ale z zimna. Ze strachem zaś łatwo sobie poradził, wyobrażając sobie, że wszystkie te męki wypróbował na Brodirze. No, może oprócz sikania. Włóczył się tylko w damskim towarzystwie.

– To jak będzie? Szybka śmierć od miecza – wódz Finn-Gallów pogładził rękojeść broni – czy krwawy orzeł?

Skald wątpił, czy miał jakiś wybór. Łysol zbyt długo planował krwawą zemstę, by z niej zrezygnować, nawet gdyby dowiedział się prawdy.

– Niezwykłe życie warto zakończyć nieprzeciętną śmiercią – poeta powiedział szczerze i po raz pierwszy tego wieczoru bez śladu szyderstwa.

– Jak chcesz. Widzimy się o brzasku.

Pieść, wielka jak bochen chleba, spadła na jego skroń, przynosząc ciemność i ukojenie.

19

Deszcz łatwo zmył błoto, wstydu jednak nie zdołał. Finlog nie miał wszakże teraz czasu na rozpamiętywanie swojej hańby. Po tym, co zrobił i co usłyszał, nie mógł tak po prostu wrócić do rutyny dnia codziennego. Zresztą w ich klasztorze od wielu dni trudno było mówić o codziennych obowiązkach. Wszyscy je porzucili i spędzali czas albo na modłach w oratorium, albo na *lectia tacita*, czytaniu *Słowa Bożego*.

Dzwon obwieścił *hora sexta*. Zapewne wszyscy paparzy padali teraz w swoich celach na kolana i odmawiali południowe loriki.

Pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, gdy znów został sam nad brzegiem jeziora, było udanie się do opata i opowiedzenie mu o wszystkim. Kim jednak był, by donosić na skruszonego seniora, który żałował swoich występków? Sam był nędznym psem, który zjada własne wymiociny niczym rozpustny grzesznik wciąż powracający do grzesznych namiętności. Nie, nie będzie donosił. Bał się zresztą przyznać abbasowi, że podsłuchiwał czyjaś spowiedź. Nie z obawy przed karą. Zgrzeszył ciekawością, to prawda, ale wobec bezmiaru jego własnej nieprawości wydawało się to błażostką. Obawiał się, że opat zapyta, co robił w krzakach i dlaczego się ukrywał. Wiedział, że nie zdoła nic ukryć pod wnikliwym i surowym spojrzeniem princepsa. Wyjawiłby wszystko, a to złamałoby serce amncharowi, który tak w niego wierzył i dawał go innym za przykład bożego wojownika walczącego z pokusą.

Pokusa. Wątpił, czy zwalczenie jej w ogóle jest możliwe. Jak mógł być przykładem dla kogokolwiek? Chyba tylko dla grzesznika. Skoro nawet Rudan, tak ascetycznie żyjący mnich, ulegał jej wielokrotnie, to w jaki sposób on, pełen młodzieńczych sił, miałby się przed nią ustrzec? Czy walka, której nie można wygrać, ma sens? Skoro post, modlitwa, umartwianie się i pokuta nie są w stanie ustrzec najznakomitszych mnichów od grzechu, to czy warto dalej wieść klasztorne życie? Odegnał od siebie tę grzeszną myśl. To Niegodziwy, zawistny o miłość ludzi do Boga, czyha na Jego sługi i zsyła na nich największe pokusy. Jedyny pozwala na to, ufając w siłę i pobożność swoich wyznawców.

Spotkanie z opatem, przynajmniej teraz, nie wchodziło w grę. Finlogowi przyszło też do głowy, że w rozmowie z princepsem musiałby zdradzić Oengusa i wyznać, że stary cenobita próbuje zastąpić opata w roli amnchara, spowiednika i powiernika tajemnic zgromadzenia. A przecież już dawno obiecał sobie, że nie będzie się wtrącał w tę próbę sił między dwoma najbardziej wpływowymi mnichami. Niech wszelkie wątpliwości sami rozstrzygną między sobą. Liczy się tylko reguła *Columbe et Benedicti*.

Czuł jednak, że musi z kimś porozmawiać. Z Oengusem, to pewne. Powinni naradzić się w sprawie śledztwa, biorąc pod uwagę nowe informacje, jakie zdobyli. To mogło wszakże poczekać. Ponad wszystko musiał rozmówić się z Rudanem. Powiedzieć mu, że wie i spytać o więcej. Choćby miał zniżyć się do poziomu geintów i biciem wymuszać odpowiedzi, musi dowiedzieć się wszystkiego o zmarłej cztery lata temu kruczowłosej kusicielce.

Wychylił się zza krzaka tylko po to, by zaraz znów się za nim schować. Do bramy klasztoru zbliżyła się grupka zbrojnych i część z nich, niebawem, została wpuszczona przez furtianą do środka. Dwóch pozostało na zewnątrz, a czterech kolejnych rozbiegło się wzdłuż wału, jakby spodziewali się, że ktoś może tamtędy uciekać.

Zrozumiał, że to oznacza dla Ainara kłopoty. Słyszał plotki o Brodirze i choć nie znał szczegółów, wiedział, że obaj Finn-Gallowie się nienawidzą.

Sercem był za Skaldem, choć zdawał sobie sprawę, że to grzesznik nad grzesznikami. Östmad miał jednak w sobie coś budzącego zaufanie i szacunek. Choć niszczył, rabował i zabijał, to jednak także tworzył – i to w sposób, który musiał pochodzić z boskiego natchnienia. Finlogowi nie chodziło o rzeźby, uroczę dla oka figurki dla dzieci, ale o visy i drapy. Tak. Znał je, choć pewnie nie wszystkie. Sam poeta wyrecytował mu kiedyś dwa utwory. Inne słyszał już wcześniej, zanim jeszcze poznał ich autora osobiście. Nikt w klasztorze by się do tego nie przyznał, ale twórczość Skalda, choć tak plugawa i grzeszna w swojej treści, wśród wielu mnichów cieszyła się uznaniem. A surowe piękno jej *metrum* przywodziło na myśl morski sztorm lub burzę szalejącą między fiordami.

Z chęcią pobiegłby, by ostrzec pieśniarza. Ale cóż mógł uczynić? Ich było wielu, a on był tylko tchórzliwym mnichem, biegłym we władaniu piórem, a nie mieczem, przywykłym do modłów, a nie bitewnego zgiełku. Zresztą i tak było za późno. Ludzie Brodira weszli już do środka. Mógł tylko czekać i obserwować. I modlić się, by zjawa nie wróciła. Na samą myśl o niej znów poczuł napięcie pod habitem, choć dużo słabsze niż poprzednio.

Oczekiwanie tak naprawdę nie trwało długo, mimo to w odczuciu Finwala czas ciągnął się niemiłosiernie. W końcu brama ponownie się otworzyła i wyszło z niej czterech zbrojnych prowadzących Ainara, który, o dziwo, szedł spokojnie, a nawet, jeśli mnich dobrze ocenił z tej odległości, szyderczo się uśmiechał. Równie bezczelny, jak odważny. W bramie widać było opata odprowadzającego drengów wzrokiem. Zatem nie doszło do napadu, a zbrojni przybyli do klasztoru za zgodą Maelruaina. W tej sytuacji udzielenie pomocy Ainarowi byłoby wystąpieniem przeciw woli abbasa. To uspokoiło nieco sumienie mnicha. Nie przez tchórzostwo, ale przez posłuszeństwo princepsowi nie mogę nic zrobić dla Skalda – tłumaczył sobie.

Począł, aż zbrojni i ich więzień się oddalą. Obserwował, jak okrążali wschodni brzeg jeziora i znikali za drzewami. Dla pewności poleżał jeszcze chwilę, a potem następną i jeszcze kolejną. Nie mógł narażać się na wykrycie.

Dzwon obwieścił *hora nona*, brzuch poskarżył się burczeniem, a uciekające z nieba słońce przypominało, że niebawem nastanie *occusus solis*. Nadeszła pora, by wracać do klasztoru.

Wejście główną bramą nie wydawało mu się właściwe. Wolał uniknąć pytającego spojrzenia furtiana, który wypuścił go za wał jeszcze przed wschodem słońca. Nie miał zamiaru tłumaczyć się w na pół głuchemu starcowi, co tak długo robił poza wałami. Przy odrobinie szczęścia starzec zapomni nawet, że go dzisiaj widział, w końcu wypuścił i wpuścił tego dnia tylu ludzi – rzucających się w oczy wojowników i zapadających w pamięć seniorów – że wspomnienie skromnego i nic nieznaczącego mnicha powinno się zatrzeć w jego pamięci.

Wyszedł zza krzaków i pobiegł w stronę wschodniego wału, daleko od bramy. Habit, wciąż mokry po kąpieli w jeziorze, utrudniał mu ruchy. Mięśnie, zastane po wielogodzinnym leżeniu, także nie ułatwiały poruszania się. A mimo to im szybciej biegł, tym lepiej się czuł. Jakby wszystkie kłopoty zostawił za plecami. Życie staje się prostsze, gdy koncentrujesz się jedynie na miarowym przebieraniu nogami i równomiernym oddechu. Dopadł do wału i przytulił się do niego, jakby ktoś go śledził, jakby to nie mokre wrony siedziały na szczycie ziemnego nasypu, ale zakuci w zbroje wojownicy, czyhający za blankami na jego życie.

Gdy upewnił się, że żaden mnich nie spaceruje po wale i nie rzuca mu karzących spojrzeń, zaczął się wspinać. Było to trudne, choć nasyp olicowano biegnącymi w poprzek drewnianymi belkami, by w taką pogodę jak dziś umocnienia ziemne nie rozplynęły się na deszczu. Ręce Finloga ślizgały się po błocie, boscie nogi nie mogły znaleźć oparcia na mokrym drewnie. Udało mu się wymacać linę – używaną przez niektórych mnichów do wymykania się z klasztoru – i po niej wgramolił się na górę. Choć każdy kot uśmiełby się z jego zwinności, on sam czuł się jak heros z sagi o Cuchulainie. Samodzielnie wspiał się na ścianę błota, za nic sobie mając deszcz, gromy i krążących w okolicy zbrojnych. Ta namiastka przygody sprawiła, że na chwilę zapomniał

o kłopotach. Najwyższy, któremu miła jest tylko pokora, sprowadził go jednak na ziemię. I to dosłownie. Finlog poślizgnął się, próbując wstać z kolan na szczycie wału, i sturlał się po błocie na sam dół umocnień. Dzięki zrządzeniu Opatrzności wał od wewnętrznej strony opadał łagodnie, więc poza urażoną dumą, brudnym habitem i bólem dupy mnich wyszedł z tego cało.

Rozmasował stłuczenia, upewniając się, że niczego nie złamał, i przez chwilę wstydliwie żałował, że to nie jej ręka go dotyka. Uderzył pięścią w bolące udo, by odegnąć pokusy.

Wybłoconym ubraniem się nie przejmował – poza dniami świątecznymi wkładanie czystego habitu i tak było zabronione, podobnie jak czesanie się i wszelkie inne zabiegi pielęgnujące ciało. Dozwolone było jedynie mycie rąk przed modlitwą – na znak obmycia się z grzechów i po to, by unikać pobrudzenia cennych lekcjonarzy. W codziennym życiu brud miał przypominać mnichowi o pracy, niedoskonałości ziemskiego świata i występkach plamiących ludzką duszę.

Nie miał ochoty spotkać żadnego mnicha ani tłumaczyć się, dlatego nie odmawia lorik w swojej celi lub nie modli się wraz z innymi w oratorium. Wybrał więc drogę naokoło, szerokim łukiem omijającą środek klasztoru i kościół. Droga do odpowiedzi nigdy nie jest prosta. W tym wypadku prowadziła go okrężną ścieżką do celi Rudana.

W tej części zgromadzenia popołudniami zwykle nie było nikogo. Znajdował się tutaj browar, piekarnia, spiżarnia i magazyny, gdzie mnisi jeszcze do niedawna pracowali każdego ranka. Z polecenia opata wszelkie prace gospodarcze zostały zaniechane, dlatego całymi dniami hulał tu tylko wiatr, towarzysząc myszom i goniącym je kotom. Mimo to Finlog starał się stąpać po cichu, co dla bosych stóp nie było takie trudne, i trzymać się blisko zabudowań, by w razie czego móc łatwo się schować.

Przy browarze usłyszał hałas. Staął, nasłuchując, i przeżegnał się. Czyżby zjawa znowu go prześladowała? Nie, przecież ona porusza się bezszelestnie. Choć do *crepusculum*, zmierzchu, pozostało jeszcze trochę czasu, z powodu

burzowych chmur ciężko było cokolwiek dostrzec. Ruszył dalej.

Nie uszedł trzech kroków, gdy wyłowił kolejny dźwięk – tym razem skrzypienie drzwi. Kątem oka zobaczył cień odrywający się od mroku otwartych drzwi browaru, który pognał w jego stronę i chwycił go za nogę. Czując żołądek w gardle, spojrzął na mokrą i ubłoconą istotę, pociągającą nosem.

– Znajda? To ty? Co tu robisz?

Dziewczynka puściła go i otarła łzy rękawem.

– Żli, niedobrzy paparzy chcieli mnie złapać. Ale uciekłam. I wcale nie płakałam.

W takich chwilach Finlog nie różnił się od ojców żyjących w świecie otaczającym muintir, więc nie miał pojęcia, co zrobić. W końcu poklepał dziewczynkę po głowie i zapewnił:

– Dzielna dziewczynka.

– Wiem – zgodziła się, okazując Finlogowi pewność siebie, która coś mu przypominała. Pokazała mu wytartą buzię z zaczerwienionymi oczętami.

– Wiesz, nie musiałaś uciekać. Mnisi się tobą zajmą. Choć, pójdziemy do kuchni i znajdziemy coś do jedzenia.

Na wzmiankę o jedzeniu dziewczynka nieznacznie się uśmiechnęła, ale pozostała na miejscu. W jej wieku zawsze jest się głodnym. Finlog potrafił to zrozumieć. Od trzech lat, odkąd przekroczył bramę klasztoru, wciąż czuł głód, który jego przełożeni skrzętnie pielęgowali skromnymi racjami żywności. Umartwianie się było drogą do białego męczeństwa.

Nie spodziewał się, że dziewczynka zwalczy w sobie pokusę łakomstwa, ale jednak stawiała opór, gdy zachęcił ją do drogi, delikatnie popychając.

– Paparzy źli, zabrali mojego tatusia – upierała się. – Nie wrócę do nich.

– Ja też jestem, jak ty to mówisz, paparem.

Dziewczynka spojrzała na niego nieufnie, więc dodał:

– Ale ledwie nowicjuszem. Dopilnuję, żeby nikt ze starszych cenobitów nie zrobił ci nic złego.

– Obiecujesz, wujku Finlogu?

Wujku. Zaskakująco dobrze poczuł się, gdy dziewczynka tak go nazwała. Raz czy dwa miał ochotę ulec prośbie Ainara i pobawić się z małą, ale ogólnie rzecz biorąc, starał się jej unikać. Problemy świata doczesnego i strapienia zwykłych ludzi nie powinny odciągać cenobitów od modlitwy. A ta dziewczynka miała wyjątkowy dar do zakłócania obowiązków dnia codziennego i przywoływała w pamięci Finloga wspomnienia czasów, gdy nie nosił habitu.

– Obiecuję. Chodź już, tylko cicho, byśmy nikomu nie przeszkadzali.

Trzylatka podała mu rękę i dała się poprowadzić. Pomysł skradania się przypadł jej do gustu. Stąpała na paluszkach i o dziwo radziła sobie z bezszelestnym chodzeniem lepiej niż Finlog. Nie dała się jednak przekonać, że zachowanie ciszy wiąże się nie tylko z lekkim chodem, ale i zamkniętą buzią. Pomimo próśb i błagań nie przestawała trajkotać. Opowiadała, że widziała jaszczurkę, że wrzuciła kiedyś żabę do ognia, że w zimie jeździła na łyżwach po zamrzniętym jeziorze. Zrezygowany próbami jej uciszenia, skierował jej paplaninę na tory, które bardziej go zajmowały:

– Sprytna z ciebie dziewczynka. Skąd wiedziałaś, że w browarze nikogo nie będzie? Że można się tam schować?

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Ty się wygłupiasz, wujek. Nie wiesz, że piwo schronieniem jest mężczyzny?

– Kto ci tak powiedział? – spytał równie oburzony, jak rozbawiony, choć znał odpowiedź.

– Tata. Mówił, że róg piwa najlepszą jest ucieczką. Ale ja jestem już za duża. Do rogu bym się nie zmieściła. No to pomyślałam, że najlepiej schować się tam, gdzie to piwo wytwarzają.

Roześmiał się. Szczerze i bez skrepowania, jak nie zdarzyło mu się od lat. W klasztorze mnisi się nie śmiali. Powaga i kontemplacja były równie ważnymi modlitwami, jak wypowiedane na głos loriki i wyśpiewywane psalmy. Już prawie zapomniał, jak wspaniały jest śmiech.

– Mądra dziewczynka.

– Wiem – zgodziła się z geintowską bezczelnością.

Minęli cmentarz. Płyty nagrobne, zaokrąglone u góry, a czasem zwieńczone iryjskim krzyżem, stawały im na drodze, ale omijali je: Finlog – z nabożnym szacunkiem, a dziewczynka – z wesołym zainteresowaniem. Większość grobów zarosła trawą i nie różniła się niczym od reszty podłoża. Na niektórych, a było ich ostatnio stanowczo zbyt wiele, leżała świeża ziemia.

Przy kurnikach mała zatrzymała się.

– Wujek. To nie jest droga do kuchni.

I dobrze. Nie miał zamiaru zmieniać planu i zrezygnować z uzyskania odpowiedzi. Apetyt dziewczynki będzie musiał poczekać.

– Jest, tylko że bardziej okrężna. Po drodze odwiedzimy mojego przyjaciela.

– Nie. – Tupnęła nóżką. – Ja jestem głodna.

– Bądź grzeczna, bo poskarżę się tacie.

Na wzmiankę o tacie łzy napłynęły jej do oczu. Ale się nie rozplakała. Pokazała mu język i kopnęła go w kostkę.

– Zły, niedobry papar.

Sytuacją uratował indyk. Pan na kurniku, o budzącym respekt wśród drobiu czerwonym podgardlu, głośnym gulgotaniem nie pozostawił wątpliwości, kto rządzi w królestwie ptaków. Złość ulotniła się z dziewczynki jak po kąpieli w wodzie święconej. Schowała się za Finloga, wtulając w habit. Nie protestowała, gdy wziął ją za rękę i pociągnął w stronę celi seniora.

Nie chciał odbywać tej rozmowy z dzieckiem u boku. Na szczęście trzylatka zgodziła się pozostać na zewnątrz, by zbudować babkę z błota. Zostawił ją

i odsunął szmatę zakrywającą wejście do samotni Rudana. Samotni, ponieważ rudy mnich należał do tych wybrańców, którzy nie musieli dzielić clochainu z nikim innym.

– Rudanie? – Finlog zapytał mniej grzecznie, niż powinien nowicjusz zwracający się do seniora, ale po tym, czego się dowiedział, z trudem przychodziło mu zachowanie szacunku dla występnego cenobity.

Przywitało go milczenie. Senior nigdy nie słynął z otwartości i zwykł traktować młodszych współbraci z o wiele większym lekceważeniem, niż wypadało pokornemu cenobicie.

– Muszę z tobą porozmawiać, ojcze.

Dalej cisza. Finlog uznał, że ascety nie było w środku.

W celi panowała zaskakująca ciemność. Na zewnątrz panował półmrok, ale jeszcze nie zapadła noc. Młodzieniec doszedł do wniosku, że ktoś musiał zasłonić niewielkie okienko we wschodniej ścianie. Nie dostrzegając jego zarysów, choć wiedział, że każda cela takowe miała – wpadające przez nie poranne słońce budziło mnichów przed jutrznią. Wydało mu się to podejrzanym. Czyżby Rudan chciał coś zataić? Ukrywanie się, nawet we własnej celi, było niezgodne z regułą. Cenobici musieli wzajemnie się pilnować, zachęcać do wytrwałości w ascetycznym życiu i wspierać w walce z pokusami. Wymacał miejsce, w którym powinno znajdować się okno i odnalazł jakąś szmatę. Pociągnął ją. Słabe światło wpadło do środka. Obrócił się i poślizgnął. Rąbnął głową w coś twardego. W plecy mnicha.

Zerwał się przestraszony, odwrócił do ściany i zwymiotował, próbując się równocześnie przeżegnać. Nie było to łatwe, więc pobrudził sobie rękawy. Na szczęście nic dzisiaj nie jadł, więc nudności nie męczyły go długo. Zerknął ponownie na trupa i znów zwymiotował. Dopiero z całkowicie pustym brzuchem był w stanie obejrzeć zwłoki.

Rudan był nagi i leżał twarzą do ziemi. Plecy naznaczone miał podłużnymi bliznami – starszymi i świeższymi – ale te ślady nie zdziwiły Finloga. Każdy

z mnichów wiedział, że Rudan był najgorliwszym z ascetów, który biczował się codziennie. Na kilku pręgach nie zakrzepła jeszcze krew, a były one znacznie grubsze od pozostałych – tych od wierzbowej witki – tak jakby plecy oćwiczono grubą liną. Część z nich, o dziwo, znaczyła również mniszy tyłek. Ręce Rudana były związane na plecach sznurem. Młody zakonnik stłumił obrzydzenie i zdobył się na odwagę, by przewrócić ciało twarzą do góry.

Mnich został okaleczony tak samo, jak wszystkie ofiary – obcięto mu ucho. Usta miał zakneblowane czarną szmatą, niewątpliwie oderwaną od habitu, którego resztki leżały pod wiszącym na ścianie krzyżem. W nodze i dłoni widniały rany od noża. Żadne z tych obrażeń nie mogło być jednak przyczyną śmierci. Niewątpliwie jednak narzędziem, którym posłużył się morderca, był mniszy pas zaciśnięty na szyi seniora.

Choć wszystko to sprawiło, że Finlogowi ciemniało przed oczami, najgorszy był zapach bijący od mniszego torsu zarośniętego rudymi kędziorami. Woń malin i jaśminowca. Jakże przerażający, a zarazem kuszący zapach, przypominający o wiecznym potępieniu i nieziemskiej rozkoszy.

Pryśła ostatnia nadzieja młodzieńca, że to nie zjawa jest mordercą. Jego rozum wydał wyrok o jej winie już rano, ale serce próbowało jeszcze bronić demonicznej kochanki. Zabolało go również odkrycie, że widmo nie dochowało mu wierności. Co za głupia myśl! Cnota, choć określana wyrazem rodzaju żeńskiego, rzadko jest pielęgnowana przez kobiety. Łudził się jednak, że był oblubieńcem Czarnowłosej, a ich grzech był wyjątkowy i należał tylko do nich. Niestety...

Mimo przytłaczających dowodów, jakich dostarczał mu rozum, jego serce podjęło jeszcze jedną beznadziejną próbę obrony. Może kobieta wcale nie zgwałciła manacha, a jedynie zemściła się za straszliwe krzywdy wyrządzone jej za życia? Przecież Rudan był związany, zakneblowany i ubiczowany. To nie kojarzyło się z miłością, nawet tą grzeszną, chociaż w klasztorze szeptano, że ból nie sprawiał seniorowi tak wielkiego cierpienia, jak powinien.

Rozejrzał się po celi w nadziei znalezienia czegoś, co pozwoliłoby mu

poznać przebieg wydarzeń. Przy wyjściu ujrzał nóż w pochwie, który wydał mu się znajomy. Podniósł go i obnażył ostrze. Tak, z pewnością należał do rzeźbiarza z Północy. Dostrzegł na nim ślady świeżej krwi. Czyżby to wszystko było dziełem Skalda?

Przyklęknął przy trupie, który zaczął już pęcznieć, i przyłożył nóż do jego uda. Nie znał się na tym, ale umiał poznać, że ranę zrobiono wąskim ostrzem, takim, jak w tym nożu. Oględziny rany na dłoni przyniosły podobny wniosek. Ainar musiał maczać palce w tym zabójstwie.

– Bracie Finlogu? Co, co... robisz ojcu Rudanowi?

Obejrzał się i zobaczył Oengusa. Starzec stał w wejściu, trzymając w jednej ręce uniesioną do połowy zasłonę, a w drugiej dłoń Znajdy.

– Ja... ja tylko chciałem z nim porozmawiać – wyjąkał.

– Doprawdy? Opuść więc nóż.

Uświadomił sobie, że w drżącej ręce nadal trzyma ostrze, teraz wymierzone w pierś fer leoginda, opiekuna nieistniejącej już szkoły klasztornej. Opuścił kozik, ale nie wypuścił go z ręki, tylko schował w rękawie.

– Dlaczego ten pan śpi na golasa? – Dziewczynka wskazała trupa rączką.

– Ponieważ... – zaczął Finlog i zamilkł. W obliczu takiej zbrodni nic nie przychodziło mu do głowy. Przed oczami miał tylko krew i obraz duszonego sznurem ascety, który błaga o życie. Przestraszył się swoich myśli. Brzydził się przemocą, ale wcale nie było mu żal Rudana. Zasłużył sobie na to tym, co zrobił Czarnowłosej.

– Ponieważ był niegrzeczny i za karę musi spać w zimnie – przyszedł mu z ratunkiem starzec.

– Tak – podchwycił Finlog. – Odwróć się! Nie wolno podglądać starszych.

Dziewczynka ani myślała go słuchać, więc Oengus musiał zasłonić jej widok własnym ciałem. Jednak nawet wtedy spozierała zza pleców seniora.

– Zatem Rudan udał się na spotkanie z Najwyższym – podsumował Oengus.

Siwy mnich wcale nie wydawał się zaskoczony. Przyjrzał się zwłokom

bardziej z obowiązku niż ciekawości. Wśród mnichów krążyła pogłoska, że ferleogind był niegdyś wielkim wojownikiem i niejednego trupa widział na polu bitwy.

– Sprawiedliwy osądzi, czy zechce się z nim spotkać – odpowiedział Finlog, unikając wzroku przełożonego.

– Wcześniej czy później wszyscy przed nim staniemy.

Młodzieniec przytaknął. Doświadczony życiem senior miał oczywiście rację i o wiele lepiej umiał odczytywać wyroki Najwyższego. Wielokrotnie powtarzał, że śmierć jest tragedią dla żyjących, a radością dla zmarłych, którzy mogą oglądać oblicze Najdoskonalszego. Pewnie dlatego tak łatwo pogodził się ze śmiercią Nannyda, Adomnana i Rudana.

– Nie powinno cię tu być. – Słowa Oengusa zabrzmiały jak groźba. – Czemu nie modlisz się w oratorium lub we własnej celi?

Finlog zaczerwienił się. To nie on powinien się tu tłumaczyć. Był grzesznikiem i nierządnikiem, ale nie zbrodniarzem.

– Ja wiem. – Podniósł wzrok i spojrzał z wyrzutem na Oengusa. – Słyszałem waszą rozmowę nad jeziorem.

– Doprawdy? Nieładnie jest podsłuchiwać. Ciekawość zaprowadziła cię za daleko.

Starzec już jakiś czas temu puścił zasłonę. Teraz zrobił dwa kroki w kierunku nowicjusza, ciągnąc małą za sobą. Przez okienko wpadało coraz mniej światła. Byli sami w półmroku. Nikt nie mógł ich tu zobaczyć i usłyszeć. O tej porze wszyscy bogobojni mnisi winni śpiewać psalmy.

– Skoro już tyle wiesz, to popatrz, co znaleźliśmy z dziewczynką w błocie.

Uczony mnich sięgnął pod szkaplerz i rozsznurował zawieszony na szyi skórzany woreczek, w którym zwykł nosić przybory do pisania. Wyjął z niego niewielki przedmiot i podsunął rozwartą pięść pod nos Finloga. Na dłoni leżało ucho.

Gdy poczuł dotknięcie żelaza na plecach, był przekonany, że to już ranek i rozpoczęło się wycinanie krwawego orła. Zimny metal był miły w dotyku, jak pieszczota kochanki, bo szybka śmierć była pokusą, której warto było się oddać. Naparł na ostrze i poczuł, jak przecina mu skórę i wchodzi w ciało. Niestety, za płytko.

– Co robisz, Finn-Gallu? – wyszeptał ktoś stojący za jego plecami. – Stój spokojnie.

Otworzył oczy. Nadal było ciemno, ludzie Brodira spali przy dogasającym ognisku, a on wciąż stał przywiązany do słupa. Dotarło do niego, że śmierć jeszcze nie nadchodzi. Żelazo przejechało delikatnie po kręgosłupie, zatrzymało się przy sznurze okalającym mu ramiona i zaczęło go piłować. Musiała go dzierżyć niewprawną dłoń, gdyż trwało to długo, a sztych noża poharatał mu plecy poniżej łopatek. W końcu lina puściła i opadła na ziemię, wydając przy tym cichy, ale według Ainara stanowczo zbyt głośny, dźwięk. Sznur poruszył mały kamyczek, który przetoczył się o kilka palców i zderzył z innymi jajami karłów. Poeta nie miał już wątpliwości, że za jego plecami stała dziewica w bitewnym rzemiośle.

– Ostrożniej – szepnął najciszej, jak potrafił.

Ostrze przesunęło się niżej i o wiele szybciej niż poprzednio przepiłowało sznur krępujący mu dłonie. Właściciel noża uczył się na własnych błędach. Tym razem chwycił linę, zanim ta upadła.

Pieśniarz obawiał się, że gdy liny przestaną go utrzymywać, a jego stopy nadal będą związane, padnie na twarz, budząc oprawców. Całą noc stał związany jak prosię i ciało miał zdrętwiałe. Dlatego gdy nóż zbliżył się do liny przy jego pasie, rozkazał wybawcy:

– Najpierw nogi.

Nóż pracował coraz sprawniej i po chwili Skald mógł już ruszać stopami.

Musiał rozruszać kończyny i przygotować je do utrzymania ciężaru

własnego ciała. Gdy nieznany przyjaciel pracował nad ostatnim sznurem, poeta spróbował podnieść nogę, a potem drugą. Szło mu opornie, ale poczuł, że krążenie znów wraca, a serce pompuje coraz więcej życiodajnej posoki i gniewu. Już dawno się nauczył, że wściekłość jest najlepsza na pobudzenie mięśni, więc pozwolił jej sobą ować. Przypomnił sobie wszystko, co zrobił mu Brodir, wyobraził sobie jego brzydką gębę, i to, jak miażdży ją kamieniem. Rozmasował nadgarstki i kilka razy zacisnął pięści, aż czerwień wygoniła spod skóry biel. Przeciągnął się, wychylając łokcie do tyłu i spróbował chwycić garść powietrza nad swoją głową. Powoli powracało do niego życie. A także wolność i pewność siebie. Tę pierwszą poczuł, gdy ostatnia lina przestała go krępować, tę drugą zaś, gdy w dłoń włożono mu nóż. O obie już po chwili musiał walczyć, gdy pozbawiony wsparcia sznura omal się nie przewrócił. Odzyskawszy równowagę, z powrotem oparł się o słup i skrzyżował za nim ręce, ukrywając broń.

– Co robisz? Musimy uciekać.

„Pośpiech jest małżonkiem głupoty” – powtarzała mu babka. Jeśli ucieczka miała się powieść, jego zniknięcie nie mogło zostać zbyt wcześnie wykryte. Poszukał wzrokiem łysego oprawcy, ale nigdzie go nie zobaczył. Był jednak pewien, że któryś ze strażników musi być w pobliżu. Wiele można było zarzucić Brodirowi, lecz nie brak ostrożności. Nie pozostawiłby więźnia na całą noc bez opieki.

– Poszedł się odlać – kryjący się w mroku przyjaciel domyślił się powodu zwlekania poety.

To wyjaśniało, dlaczego nikt jeszcze nic nie zauważył. Norny łaskawie dziś dla niego przędły, skoro zesłały mu vardkarla, strażnika, który był wstydlivy i wolał w samotności załatwiać swoje potrzeby. Większość pewnie odlałaby się wprost na nogi więźnia.

– Poczekam. Spotkamy się nad jeziorem.

Troska o powodzenie ucieczki to jedno, ale nie miał zamiaru opuszczać krajanów bez pozostawienia im przykrewj pamiątki. Takie pragnienie nie

kierowało jego wybawcą – odgłos jego pospiesznych kroków szybko przebrzmiał w nocnej ciszy.

Lubiący sikać w samotności vardkarl wyszedł zza drzew, pogwizdując. Była to wesoła melodia z Północy. Głupiec nie wiedział, że wstyd jest pożądaną cechą tylko u dziewczyc. Ale Ainar, przez wrodzoną skłonność do pouczania innych, zamierzał mu to uświadomić.

– Psss.

Żadnej odpowiedzi. Poeta ścisnął mocniej rękojeść noża i uświadomił sobie, że skądś zna to narzędzie. Tak dobrze mógł w jego dłoni leżeć tylko kozik do rzeźbienia. Pamiątka po kochance, która kiedyś uratowała mu życie. „Skald jest niczym bez języka, rzeźbiarz bez nożyka, a dreng bez broni”.

– Psss – powtórzył nieco głośniej.

Strażnik spojrział na niego gniewnie.

– Stul pysk, gridnidingu, bo znów ci go obję – zagroził, ale na szczęście nie podniósł głosu. Głośna rozmowa mogłaby obudzić innych.

– Chcesz się wzbogacić? – wyszeptał pieśniarz, mając nadzieję, że sprawdzi się powiedzenie babki: „Za szeptem zawsze skrada się szept”.

Sprawdziło się. Östmad odpowiedział półgłosem:

– Wszystko, co miałeś, zostało ci odebrane. Nic nie możesz mi dać.

Może i powątpiewał w słowa Skalda, ale dał się owładnąć ciekawości. Tylko tego potrzebował Ainar.

– Nic oprócz tego, co wiem.

Drottmad zrozumiał, choć dalej był podejrzliwy. Zrobił dwa kroki w kierunku więźnia.

Księżyc i gwiazdy dawały tej nocy mało światła. To dawało Ainarowi przewagę. Strażnik nie powinien zauważyć braku więzów, dopóki nie zbliży się do Skalda na odległość kilku łokci.

– Zmądrzałeś? Chcesz wyjawić drottinowi, gdzie jest srebro?

Od odpowiedzi zależało powodzenie jego planu. Skald szybko rozważył dwie możliwości. Jeśli dreng należał do wiernych stronników Brodira, nie będzie chciał rozmawiać z więźniem i obudzi łysego. Jeśli jednak był jednym z ludzi jarla Haralda, który przyłączył się do Brodira bardziej z rozsądku niż z przyjaźni, Ainar powinien łatwo sobie z nim poradzić.

– Mądry byłem zawsze. Ale po co masz przeszkadzać Brodirowi? Pomyślałem, że monety bardziej przydadzą się jego ludziom, którym brakuje porządnych łupów oraz... szacunku ze strony wodza.

Strzelił na ślepo, ale trafił w jabłko na głowie dziewicy. Drottnadowie Brodira musieli być już znudzeni obłądnym pościgiem kulawego za pieśniarzem i skarbem. W okolicy było przecież tyle bogactwa, które można było zrabować.

Östmad zbliżył się o kolejne dwa kroki.

– Monety zawsze przydadzą się mężczyźnie. Co chcesz w zamian?

Skald uświadomił sobie, że strażnik nie był tak głupi, jak wstydlivy. Zanim zdecyduje się wdepnąć w zasadzkę, rozejrzy się w poszukiwaniu myśliwych. Ainar miał już jednak gotową odpowiedź:

– Przecięcia więzów nie oczekuję, ale mógłbyś mnie uwolnić. Pchnij mnie nożem.

Vardkarl zastanawiał się chwilę, drapiąc się po gęstej brodzie. Podszedł o kolejny krok.

– Skąd mam mieć pewność, że powiesz prawdę?

– Nie możesz jej mieć. Tak samo jak ja, że mnie zabijesz, gdy ujawnię miejsce ukrycia skarbu.

Oprawca zaśmiał się nerwowo, na szczęście niezbyt głośno.

– Och, zabiję cię z rozkoszą. Ledwo się powstrzymuję, by nie zrobić tego już teraz. Mogę nie przepadać za nadętym Brodirem, ale za to, co zrobiłeś mojemu jarlowi, z radością poderżnę ci gardło. Gdy dowiem się, czego chcesz, będziesz tak martwy, że nawet twój trup nie będzie miał ochoty pohukiwać

nocami. Możesz być pewny.

– Bardzo dobrze. To i ja przysięgam na Jednorękiego, że cię nie okłamię.

– Mów zatem, co wiesz.

Ainar rozejrzał się. Musiał zwabić tego głupca jeszcze bliżej, jeśli ma być w stanie dostatecznie szybko go uciszyć.

– Podejź do mnie – starał się być tak przekonywający, jak tylko umiał. – Chyba nie chcesz, by ktoś nas podsłuchał i ubiegł cię w odnalezieniu skarbu?

Tamten posłuchał. Dzieliły ich już tylko dwa kroki.

– Jedna skrzynia jest wianem na ślubie córek Aegira, a druga – zastawem u synów Suttunga.

Nie skłamał, choć po minie oprawcy poznał, że ten niczego nie zrozumiał. Ainar rzeczywiście, dla bezpieczeństwa, rozdzielił skarb do dwóch skrzyń. Jedna leżała zatopiona na dnie morza, wzięta w posiadanie przez córki boga fal, a drugą ukrył w ziemi, którą, jak wiadomo, władały karły, potomkowie pradawnego Suttunga.

Strażnik w końcu dostrzegł brak sznurów. Powinien to już dawno zauważyć, ale zaślepiła go chciwość. Cofnął się o pół kroku i sięgnął po miecz. Ainar skoczył do przodu. Dopadł vardkarla i w otwarte do krzyku usta wepchnął nóż. Aż po rękojeść. Ostrze wyszło z tyłu głowy i choć powstrzymało wrzask, to nie odebrało życia. Strażnik charczał, a zamilkł dopiero, gdy Skald wyszarpał żelazo i wyrzeźbił drengowi uśmiech na szyi. „Czym byłby skald bez języka, rzeźbiarz bez noża, a dreng bez broni?”.

Delikatnie przytrzymał drgające ciało, niczym bogini z paparskiej sagi, która opłakiwała śmierć ukrzyżowanego syna. Tryskająca krew miło grzała zziębnięte ciało poety. I tak cały był pokryty jednym wielkim strupem, więc trochę więcej czerwieni nie robiło mu różnicy. Zresztą na purpurowym kyrtyllu nie było znać plam. Grunt to odpowiednio dobrany ubiór.

Gdy trup zwiotczał, a spodnie umrzyka zaczęły śmierdzieć kałem, poeta zaciągnął go do słupa, posadził na ziemi i przywiązał do pala. Zwłoki miały

wyświadczyć mu ostatnią przysługę i udawać jego samego, przynajmniej do świtu. Przy odrobinie szczęścia ucieczka nie zostanie wykryta przed nastaniem dnia.

Odruchowo sięgnął po broń zabitego, ale po chwili namysłu zostawił ją przy zwłokach. Jest czas walki i czas uciekania, a z żelazem przy boku trudniej skradać się po nocy. Poza tym miecz, który zawiódł swojego poprzedniego właściciela, mógł i na niego sprowadzić pecha.

21

Czuł się wspaniale. Jak bohater z czasów, kiedy te ziemie nie znały jeszcze nauki Kristosa. Po raz pierwszy w życiu czuł, że żyje. Oswoił się już z myślą, że jest grzesznikiem i słabeuszem podatnym na pokusy, przestał się więc przejmować każdym pojedynczym występkiem. Jego prośby o przeżycie przygody wreszcie się spełniły. Właśnie oswobodził przyjaciela, uratował mu życie. Czy można sobie wyobrazić wspanialszy dobry uczynek? Takiej radości i poczucia dobrze spełnionego obowiązku nie doznał ani razu podczas całego trzyletniego pobytu w klasztorze.

Rozpierała go żądza czynu. Chciał coś zrobić. Ale Ainar kazał mu czekać nad jeziorem, więc siedział w krzakach i nasłuchiwał.

Czarny habit pomagał mu być niewidocznym w mrokach nocy. Kaptur, który symbolizował odcięcie się od świata, rzeczywiście świetnie nadawał się do ukrywania przed ludźmi. Suknia przypominała natomiast o mniszych cnotach, którym tak gorliwie dzisiaj hołdował. Mężnie uwolnił Skalda, sprawiedliwie wyrwując go od niezasłużonej śmierci i sprytnie przechytrzając jego prześladowców, a teraz pokornie kuczał w błocie i rozważnie ukrywał się w zaroślach.

Miał nadzieję, że Skald tylko ogłuszy strażnika. Udało mu się uwolnić Finn-Galla bez użycia przemocy i nie chciał, by czyjakolwiek śmierć obciążyla jego

sumienie. Bo przekonanie, że powinien zostać w oratorium i modlić się, dalej kołatało się pod jego czaszką, mimo iż zostało stłamszone podnieceniem i zadowoleniem. Rozum podpowiadał mu także, że powinien odrzucić podszepty Oengusa i nie mieszać się do jego walki z opatem. Ale jak mógł odmówić siwemu cenobicie, który ofiarował mu przygodę i rozgrzeszenie za każde konieczne zło, jakie będzie musiał popełnić w imię wyższego dobra?

Przyznawał, że początkowo przestraszył się opiekuna szkoły klasztornej, gdy ten przyłapał go przy zwłokach Rudana, a potem zadawał niewygodne pytania. Pomyślał, że może Oengus ma coś wspólnego z zabójstwami. W końcu podczas spowiedzi rudego ascety usłyszał, że starzec znał historię Czarnowłosej, a przynajmniej jej większą część. Już od dawna miał zresztą wrażenie, że starsi mnisi ukrywają jakiś sekret związany z wydarzeniami sprzed czterech lat. Czuł żal do fer leoginda, że ten zlecił mu zbadanie okoliczności zabójstw, a nie wyjawiał wszystkiego, co sam wiedział. Jednak gdy siwy senior poprosił go o uwolnienie Ainara, Finlog zgodził się bez wahania, choć nie bez obawy o swoją odwagę.

Nie zastanawiał się, dlaczego Oengusowi tak zależało na uwolnieniu geinta. Przyjął jego wyjaśnienie, że Skald jest w jakiś sposób związany ze sprawą zabójstw i bez niego trudno będzie znaleźć mordercę. Sędziwy manach powątpiewał bowiem, by Czarnowłosa mogła być rzeczywistym sprawcą. Widma, jak tłumaczył, nie były istotami cielesnymi i nie mogły działać na szkodę cenobitów, którzy przysięgli służbę Jedynemu. Finlogowi wszakże zjawy wydawała się bardzo rzeczywista i wiedział, że z powodzeniem mogła wpływać na losy żyjących. Swoje przemyślenia zostawił jednak niewypowiedziane.

Do *ante lucem*, brzasku, zostało najwyżej ćwierć wigilii. Powinni się pospieszyć, jeśli chcieli umknąć pod osłoną nocy. Ale Skald nie nadchodził, a bez niego młody mnich nie miał zamiaru się ruszać. Nie po to go uwalniał, by teraz zostawić na pastwę losu i pozwolić, by padł po drodze z wyczerpania. Musiał się nim zająć, jak dobry Samarytanin, a na własne oczy

widział, w jak kiepskim stanie był Finn-Gall.

Zastanawiał się, jak Ainar odnajdzie go w tych ciemnościach. Brzeg jeziora był długi, a krzaków bez liku. Nawet nie przeszło mu przez myśl, że poeta mógłby o nim zapomnieć. Wierzył, że choć pieśniarz jest wyniosły, opryskliwy i niczego nie bierze na poważnie, w głębi jego serca leżą pokłady dobroci i pamięta osławioną zasadę postępowania ludzi Północy, mówiącą, że o przyjaciółach się nie zapomina.

Rozmyślenia przerwało mu bicie dzwonu, co mocno go zdziwiło. Z nieba wciąż obserwowały go gwiazdy, więc na jutrznię było zdecydowanie za wcześnie. Uznał więc, że musiało się coś stać.

Zamarł, uświadamiając sobie, że gorliwość dzwonnika może oznaczać nowe kłopoty. Nadstawił ucha, bojąc się nawet głośno oddychać. Coś, pewnie ryba, plusnęło w wodzie. Sowa zahuczała, wrona zakrakała. Wiatr zakręcił koronami drzew i zerwał kilka liści. W oddali zawył wilk. Finlog odetchnął z ulgą, to były tylko odgłosy lasu i nocy.

Nagle dobiegł do niego złowieszczy dźwięk, który nie pasował do mowy dzikiej natury. Szczekanie psów.

22

Ainar zamierzał spokojnie oddalić się od obozu. Ciało miał obolałe, a każdy krok był katuszą, ale przyjemną, bo przypominającą, że żyje i do tego jest wolny. Kierował się słuchem. W ciemnościach niewiele widział, szedł zatem w stronę, z której dobiegał szum wody. Gdzieś tam chował się jego wybawiciel, którego tożsamości nietrudno było się domyślić. Któż inny mógłby być tak nieporadny jak papar i tak głupi, by mu pomagać, jak młody mnich oraz tak naiwny jak Finlog?

Nie miał ochoty szukać wybawcy. Papar mógłby co prawda służyć mu ramieniem, ale był bezużyteczny w walce, podczas biegu sapał jak świnia po

porodzie, a poruszał się głośniejsz niż podkuty koń po bruku. A jednak głupiec go uratował... Ainar nie miał serca zostawiać go na pastwę oprychów Brodira. Naprawdę musiał zmięknąć w tym klasztorze.

Były dwie możliwości ucieczki. Mógł podążać wzdłuż jeziora i dalej, w dół rzeki, aż znajdzie jakąś osadę i zdoła ukraść konia albo łódkę. Ryzykowne wyjście, ale mogło się udać, zwłaszcza że pływy jeziora zatra jego ślady. Mógł też wrócić do klasztoru. Skoro Finlog go uwolnił, powinien też mieć plan, jak ukryć go przed opatem.

Obie możliwości skurczyły się do jednej, gdy nagle usłyszał bicie dzwonu, a zaraz po nim szczekanie psów. Głupi paparzy obudzili drottmadów Brodira, a ci musieli spostrzec brak więźnia.

Zaczął biec, skręcając w kierunku klasztoru. Fylgja będzie musiała bardzo się postarać, jeśli miał dotrzeć do wału przed gończymi.

I tak, jak dotąd, dopisywało mu niezwykle szczęście, aż sam się dziwił przychylności norn, fylgji, hamingji i wszelkich innych dis czuwających nad jego tyłkiem. Nie chodziło tylko o to, że ogary były przywiązane po drugiej stronie obozu i nie mogły widzieć, jak wzgardził gościnnością ich pana. Swoimi psimi zmysłami i tak pewnie wyczuły jego zniknięcie. Brodir był jednak na tyle głupi, że zaopatrzył się w myśliwskie alaunty, a nie w hundy do pilnowania, które na pewno nie pozwoliłyby poecie na ucieczkę. Natomiast wytresowane ogary myśliwskie nie zaczynały pościgu bez rozkazu swojego pana, a czekały tylko dwa razy. Po raz pierwszy, by dać sygnał do rozpoczęcia łowów i po raz drugi, by wezwać myśliwych do osaczonej zwierzyny. W czasie pościgu zachowywały ciszę, żeby nie płoszyć ofiary.

Przeskoczył przez zwałony pień i złamał jakąś gałązkę. Nie przejmował się już hałasem. Psy i tak go wytropią.

Po prawej stronie coś poruszyło się w krzakach.

– Biegnij! – krzyknął i skrzywił się z bólu, gdy pękły mu świeże strupy na wargach.

Nie pomylił się. Z ukrycia wyskoczył Finlog i podążył jego śladem.

Gdyby nie to, że przez pół nocy bito go, a jego mięśnie były teraz miękkie jak glina w rękach garncarza, zostawiłby zziąjanego mnicha daleko w tyle. Pięści Östmadów wyrównały jednak szanse, więc biegli ramię w ramię: obolały geint i niezdarny mnich, unoszący habit, by się w niego nie zaplątać. Dreng i jego zniewieściałe przeciwieństwo.

– Wiedziałem, że mnie nie zostawisz – wysapał papar.

– Wiedziałem, że na mnie poczekaasz... – o wiele swobodniej odpowiedział Ainar, a w myślach dodał: – ...łatwowierny głupcze.

Złapał go skurcz pod kolanem. Zaciśnął zęby i biegł dalej. Starał się oddychać miarowo. Wdech na każde trzy kroki, wydech na trzy kolejne. Jego towarzysz był mniej doświadczony – łapał tyle powietrza, ile zdołał, i tak często, jak tylko był w stanie.

Zostawili za plecami rzadkie drzewa i krzewy. Od upragnionego wału dzieliło ich już tylko kilkaset stóp wolnej przestrzeni i dwa cienie. Cienie, które wybiegły zza zarośli po lewej stronie, skręciły w ich kierunku, a następnie rozdzieliły się i zaczęły się do nich zbliżać.

– Biegnij! – krzyknął Ainar. – Ja zatrzymam psy.

– Nie. Nie zostawię cię samego.

– Bohaterski głupiec – burknął na tyle cicho, by towarzysz go nie usłyszał. Miał nadzieję, że uciekający papar odciągnie od niego przynajmniej jednego hunda. Ale mnich się uparł i nic nie dało nawet wyzywanie go od sodomitów. Pieśniarz pocieszał się, że przynajmniej nie będzie musiał walczyć z tchórzem u boku.

A jednak norny nie zdecydowały się jeszcze na ucięcie nici ich życia, choć trzymały nożyce w pogotowiu. Ainar wskazał munkowi zrujnowany budynek, stojący kilka kroków dalej. Razem do niego doskoczyli.

Chałupie brakowało wschodniej ściany i dachu, który się zapadł. Niegdyś była to siedziba rybaka – resztki sieci niszczały jeszcze na stosie drewna.

Walący się domek nie nadawał się na schronienie, ale zachowane ściany przynajmniej osłaniały ich plecy.

Poeta pożałował, że nie wziął broni zabitego. Z dwojga złego wolałby miecz i pecha niż szczęście i psie zęby w tyłku. Nie był jednak paparem, by marnować czas na rozpamiętywanie. Kopnął w przegniłe obramowanie drzwi, po czym wyrwał krótką, acz grubą belę zakończoną pękiem drzazg. Finlog znalazł wśród zgliszczy długi drąg.

Cienie obu alauntów przekształciły się w żywe stworzenia. Jedno wypadło z prawej, drugie z lewej strony. Przystanąły i pokazały uzębienie, jak oprawca pokazujący ofierze narzędzia mąk. Psie wargi zadrżały, a z pysków pociekła ślina. Zawarczały, a potem zaszczekały równocześnie, dając znak swoim panom, że ofiary są osaczone i gotowe na śmierć.

Ale nie były. A przynajmniej jedna z nich. Finlog wprawdzie zęgnął się z życiem, mamrocząc loriki, ale Ainar zagłuszał je przekleństwami.

Drąg Finloga trzymał hundy na dystans. Te zresztą i tak nie miały zamiaru atakować. Krążyły po półkolu i pilnowały, by zwierzyna nie wyrwała się z pułapki. Wytresowane i mądre bestie. Błysk w oczach oraz ostrożny sposób zachowania zdradzały, że uczestniczyły już kiedyś w łowach na ludzi.

Skald zapamiętał ich imiona. Na tego ciemniejszego, bez ucha, wołano Hopp, na tego z rudą pręgą na grzbiecie – Ho. Oba miały szerokie piersi i chude boki z wyraźnie zarysowanymi żebrami. Z pewnością hodowano je tak, by ciągle były głodne, karmiąc tylko chlebem maczanym we krwi. Ten bez ucha wydawał się silniejszy, więc to jego poeta obrał za cel. W każdej sforze najlepiej na początku stłuc największego.

– Kijem trzymaj rudego z dala ode mnie – rozkazał mnichowi.

Nie czekając na odpowiedź, rzucił się do przodu z pałą w jednej i nożem w drugiej ręce. Zamachnął się maczugą. Ciemnobrązowy hund odskoczył, ale zaraz doskoczył, kłapiąc zębami tuż koło jego nogi. Pieśniarz przejechał nożem tuż przed jego pyskiem. Zwierzę ponowiło atak. Tym razem chwyciło zębami

spodnie, rozrywając nogawkę. Ainar kopnął psa z całej siły w brzuch. Alaunt cofnął się. Skald spróbował go dosięgnąć pałką, ale hund był poza jej zasięgiem.

Hopp ustąpił pola. Zapewne czekał, by jednym skokiem dopaść ludzkiego gardła. Ale zwierzę zawsze będzie głupsze od człowieka. Dlatego to ono służy myśliwemu, a nie odwrotnie.

Skald dał hundowi okazję. Opuścił pałkę trochę niżej. Wypuścił nóż, który wbił się w ziemię tuż koło jego stopy.

Alaunt dał się nabrać jak pospolity kundel. Ugiął łapy i wybił się w górę. Ainar zamachnął się pałką. Chybił. Zwierzę okazało się szybsze, niż przypuszczał – zamiast w łeb, trafił w przedpiersie. Dało się słyszeć odgłos łamanych żeber.

Impet skoku powalił Skalda. Wylądował na plecach z psem na brzuchu i obślinionymi kłami przed nosem. Na szczęście nie wypuścił maczugi. Walnął pałą na odlew, trafiając w pysk. Pies zawył, choć księżyc pozostawał schowany za chmurą. Ainar wymacał nóż, wyszarpnął go z ziemi i wbił w szyję jednouchego. Krew trysnęła jak woda z gejzeru, grzejąc ciało człowieka. Zrzucił z siebie ciężkie ścierwo i spojrzał na munka.

Finlog radził sobie bardzo dobrze – utrzymywał Ho z dala od Skalda kosztem własnego bezpieczeństwa. Rudy pies atakował, darł habit na strzępy i dotkliwie gryzł mnicha po nogach. Dług, jeszcze chwilę temu długi jak maczuga Magniego, był teraz zaledwie pałeczką, którą asceta rozpaczliwie wywijał przed psim pyskiem. Cienkie drewno musiało się złamać na twardym psim karku.

Ogar wyczuł, że zaraz przybędzie mu nowy przeciwnik i zaatakował papara ze zdwojoną zaciekłością. Zanurkował pod nieudolnie nastawionym do ciosu kijem munka i chwycił zębami dłoń ściskającą drewno. Zacisnął szczęki, szarpnął wściekle łbem i odskoczył, trzymając w pysku zdobycz – pałkę i trzy palce. Papar, jak na tchórza przystało, padł na kolana, wpatrując się mętym wzrokiem w dwupalczystą dłoń. O dziwo nie płakał. Były w nim jednak

zadatki na drenga.

Rudy pies nie znał ludzkich obyczajów. Nie wiedział, że zranionemu i niezdolnemu do walki przeciwnikowi przysługuje grid, prawo łaski. Tym bardziej nie miał pojęcia o mniszej zasadzie miłosierdzia, którą winno okazywać się klęczącym i błagającym o litość. Zgodnie z prawami sfory zamierzał wykorzystać to, że głowa klęczącego cenobity znalazła się na wysokości jego szczęk. Porzucił drewnianą zdobycz, przełknął palce zakonnika i skoczył. Asceta instynktownie zasłonił się ręką, dostarczając zwierzęciu kolejną smakowitą potrawę – kość zawijaną iryjskim mięsem. I pewnie pies ogryzłby ją do czysta, gdyby kopniak w zad nie oderwał go od przekąski.

Ainar włączył się do walki.

Cios miał tylko odciągnąć uwagę psa od papara. I to się udało. Ogar zwrócił w stronę Skalda zakrwawiony pysk. Czerwone ślepie zadawały kłam twierdzeniu, że tylko ludzie potrafią nienawidzić. Szczęki wypełnione ostrymi zębami, skrawkami habitu oraz kawałkami ludzkiej skóry drwiły z porzekadła, że pies to najlepszy przyjaciel człowieka.

Kowal słów zaatakował, mierząc zakończoną pękiem drzazg pałką w psie oko. Hund uniknął ciosu, po czym zacisnął pysk na drewnie z taką siłą, że to pękło. Skald porzucił bezużyteczne resztki, w porę cofając dłoń przed ugryzieniem. Nóż pozostawił w ciele poprzedniego psa. Teraz zostały mu tylko pięści.

Ho skoczył, ale tym razem Ainar był lepiej przygotowany. Zrobił unik. Pozwolił, by szczęki klapnęły mu koło ucha. Gdy rude cielsko mijało go, chwycił je wpół, obrócił w locie i cisnął z całej siły o ziemię. Nie czekając, aż pies zdoła się podnieść, przygniótł go do podłoża i wbił kolano w brzuch.

Mimo że obolały i z uszkodzonym grzbietem, hund nadal pozostawał groźny. Zwierzę próbowało dosięgnąć drenga zębami. Nie mając nic lepszego pod ręką, Skald sięgnął po kamień. Gdy ogar ponownie spróbował go ugryźć, wepchnął mu go do pyska. Zęby potarły o kamień, aż poleciały iskry. Ainar

naparł mocniej. Warczenie przeszło w stłumione skomlenie, a następnie w cichy, niemal błagalny pisk. Finn-Gall znał zasady udzielania grid, ale nie zamierzał z nich korzystać. Pies to tylko głupie zwierzę. Wepchnął kamień jeszcze głębiej i chwycił obiema rękami szczęki ogara. Rozwierał je tak długo, aż żuchwa pękła i zawisła bezwładnie na skórze.

Podnosząc się z kolan, miał ochotę splunąć na psie zwłoki, ale zaschło mu w gardle. Nie było zresztą na to czasu. Właściciele bestii mogli pojawić się lada chwila.

Wyciągnął nóż z szyi charczącego jeszcze Hoppa i otarł ostrze o jego sierść.

Finlog jak głupiec klęczał przy trupie Ho i próbował zajrzeć mu do gardła. Spodziewał się chyba odzyskać palce. Pieśniarz, sam nie wiedząc czemu, podszedł do zakonnika i poklepał go po ramieniu. Mnich dobrze się dziś spisał. Każda honorowa rana była dumą drenga. Poeta był pewien, że gdy minie otępienie, nawet zniewieściały munk będzie w stanie to dostrzec.

Ainar wyteżył słuch, ale nie usłyszał odgłosów pościgu. Wydało mu się to podejrzane. Nad Brodirem i jego drott mieli co najwyżej kilkaset stóp przewagi. Uwzględniając nawet utrudniające pościg ciemności, Östmadowie już dawno powinni ich dogonić.

Gdzieś w oddali rozległy się pluski wody i przekleństwa w języku jego rodzinnych stron, ale to nie wzbudziło jego niepokoju. Wyglądało na to, że norny znów zaczęły prząść równo. Nie zamierzał rozmyślać, jakim sposobem Brodir zgubił ich trop – wolał zadbać, by szczęśliwe zrządzenie losu nie poszło na marne. Pociągnął mnicha za jedyny ocalały rękaw habitu i zmusił go do ostatniego morderczego wysiłku.

Razem dokuśtykali do upragnionego wału i wspięli się po linie wcześniej przygotowanej przez papara.

Owinięta w szmatę prawa dłoń ciągle bolała, a do tego swędziała. Na cierpienia jednak się nie skarżył, dziękując Jedynemu, że pozwala mu odpokutować grzechy. Martwił się tylko, że brak palców uniemożliwia mu utrzymanie pióra. Upragniona przyszłość kopisty i skryby została przed nim zamknięta. Nie mógł przecież zapisywać Słów Jedynego lewicą, używaną tylko przez ludzi o słabym charakterze.

Oengus opatrzył mu rany i zajął się Finn-Gallem. Finlogowi przypadła w udziale opieka nad Znajdą i udawanie, że nie ma pojęcia, gdzie znajduje się Ainar. To drugie udawało mu się dość sprawnie, to pierwsze zaś było prawdziwą próbą cenobitycznej cierpliwości. Dziewczynka chciała wszędzie zajrzeć i wszędzie pójść – i to w tym samym czasie – a poza tym była ciągle głodna i nie przestawała mówić, gardząc mniszym umiłowaniem ciszy. Ponadto nieustannie pytała, gdzie jest Ainar i kiedy po nią wróci, a gdy słyszała „nie wiem”, zanosila się płaczem. Chcąc nie chcąc, Finlog musiał jej więc dawać piwo, by była spokojna i spała nie tylko w nocy, ale i popołudniami, między *hora sexta* a *hora nona*.

Starął się chować ręce w rękawach habitu, który dostał od opiekuna szkoły klasztornej. Wpływowy senior miał dostęp do wszelkich zasobów klasztoru. Habit był na tyle zużyty i na tyle dopasowany do szczupłej sylwetki Finloga, by żaden z mnichów nie dostrzegł, że jest nowy. Resztki starego młodzieniec upchnął pod swoim posłaniem w celi.

Kiedy już musiał wyciągnąć dłonie z rękawów, czyli przy wspólnej modlitwie i przy śniadaniu, tłumaczył, że miał wypadek podczas oprawiania manuskryptu. Oengus potwierdzał to wszystkim i nikt nie śmiał wątpić w jego słowa. Mimo to kłamstwo przychodziło Finlogowi z trudem i wstydził się go, zwłaszcza przed ojcem Pecthelmem, z którym dzielił celę i który przyłapał go wracającego z nocnego wypadu w podartym habicie. Na szczęście Pecthelm nie zdradził go, za to ciągle spoglądał na niego podejrzliwie, choć wcale nie karcąco, tylko... nieśmiało. Było to co najmniej dziwne.

Finlog nadal ufał Oengusowi i starał się wierzyć jego zapewnieniom, że

wszystko to robią dla chwały Najwyższego i dobra zgromadzenia.

Najtrudniej było oszukać opata. Dociekliwy wzrok Maelruaina wydawał się przenikać duszę. On wie – szeptało młodzieńcowi sumienie, ale amnchar nie podważał jego wyjaśnień. Kiwał tylko głową i patrzył z góry, jak surowy ojciec, który dowiedział się o psotach dziecka, ale oczekuje, że ono samo się do nich przyzna.

Dobiegał końca pierwszy dzień po nocnej przygodzie z psami. Nikt nie domyślał się, że Finlog w nocy pomógł przyjacielowi, a wszyscy, nawet ci najstarsi i najpobożniejsi, zastanawiali się, jakież to los Brodir zgotował Skaldowi. Większość obstawiała, że wódz obcych dotrzymał obietnicy złożonej opatowi i okazał Finn-Gallowi sprawiedliwość, czyli – w ich rozumieniu – miłosierdzie. Inni byli pewni, że głowa Ainara została już oddzielona od ciała i rzucona psom na pożarcie, a jeszcze inni, że podły Skald zdołał uciec, rzucił się do rzeki, dotarł nią do Wielkiego Morza, przepłynął je w pław i wrócił do swojego domu na mroźnej Północy. Oddzieleni od świata wysokim wałem cenobici mieli wybujałą wyobraźnię i małe rozeznanie w sprawach toczących się poza klasztorem. A życie owo było znacznie bardziej brutalne i mniej bohaterskie niż to opisywane w dawnych opowieściach o uprowadzeniu bydła, które przepisywali w skryptorium. Ból i swędzenie prawej dłoni ciągle przypominało o tej różnicy młodemu zakonnikowi.

Tajemnicą dla niemal wszystkich cenobitów pozostało również, kto w środku nocy uderzył w dzwon. Ojciec Aidan, odpowiedzialny za mierzenie pór dnia i nocy, zarzekał się, że w tym czasie spał, i rzeczywiście tak było. Zdarzenie to wyjaśnił Finlogowi Oengus, który przyznał się do zabawy w dzwonnika. Siwy senior chciał jednak dobrze – złękniiony zachmurzonym niebem obawiał się, że uciekinierzy nie znajdą drogi powrotnej do klasztoru, więc wskazał im kierunek dźwiękiem. Nie mógł wiedzieć, że ściągnie im tym na głowę pościg.

Finlog szedł właśnie na spotkanie z amncharem, który wezwał go bez

podania przyczyny. Opat co prawda nie dał po sobie poznać, że przestał wierzyć młodemu cenobicie, ale każda chwila spędzona z przełożonym groziła, że Finlog przyzna się przed nim do wszystkiego. Siedmiopalczasty papar, jak przezwiał go Ainar, nadal nie nauczył się dobrze kłamać.

Zbliżał się *occusus solis*, zachód słońca. O tej porze Znajda nigdy nie mogła zasnąć, nawet po całym kubku akwawity. Stawała się wtedy jeszcze bardziej wesoła i skłonna do zabaw. Tym bardziej nie mógł jej wziąć ze sobą. Wystarczyło, że musiał pilnować swojego języka i dbać o ukrywanie ran przed oczyma ciekawskich mnichów. Znalazł jej więc opiekunów, choć nie było to łatwe. Gdy prosił o pomoc, wszyscy mnisi przypominali sobie o nieodprawionych pokutach i z dawna planowanych umartwieniach. Woleli biczować się wierzbowymi witkami, klęczeć na deszczu z uniesionymi rękami, stać na jednej nodze na rozżarzonych węglach, nosić czerwone żelazo, odmawiać loriki aż do utraty głosu i moczyć nogi we wrzątku, niż opiekować się małą. Wcale im się nie dziwił. Po długich poszukiwaniach i jeszcze dłuższych błaganiach role mamek zgodzili się pełnić Blathmac i Faerghal. Nieco zbyt otyli jak na ascetów, wydawali się ostatnio przestraszeni i wzbraniali się przed opuszczeniem swojej celi, nawet by udać się do oratorium czy, co jeszcze dziwniejsze, do refektarza na posiłek. Finlog miał jednak wrażenie, że mnisi wzbraniają się przed opieką bardziej dla zasady, więc powiedział, że dzięki dziewczynce nie będą musieli spędzać wieczoru w samotności, czym ostatecznie ich przekonał.

Przed spotkaniem wstąpił jeszcze do oratorium. Musiał odmówić kilka lorik, by Stwórca zesłał mu odwagę i wybaczył kłamstwa, jakie miał zamiar wypowiedzieć. Zanim się spostrzegł, nastąpiła ciemność, a brat Cormac upomniał go, że pora zamknąć kościół na noc. Już nic nie mogło odwlec spotkania z abbasem. Poczuł ucisk w brzuchu. Uświadomił sobie, że wszyscy muszą już na niego czekać. Termin wyznaczono bowiem nietypowo, tuż po zachodzie słońca, choć o spotkaniu powiadomiono go już po południu, zaraz po *hora nona*.

Wezwano go do kapitulacza, a nie do celi opata, co wskazywało, że czeka go raczej zebranie, a nie rozmowa z samym abbasem. To dodawało mu nieco otuchy i nadziei, że princeps nie skupi się tylko na nim. I rzeczywiście. Gdy otworzył drzwi, zobaczył tłum. Dziesięciu ludzi to może niezbyt dużo, ale dla lubiącego samotność mnicha to już tłok. Zdążył schować dłonie w rękawy, zanim zgromadzeni zaczęli mierzyć go wzrokiem. A jednak się mylił – wolałby spotkanie z amncharzem na osobności.

W podłużnej sali siedzieli wszyscy seniorzy, zajmując co najwyżej ćwiartkę długiego stołu. Na zaszczytnym miejscu, tym naprzeciw drzwi, zasiadał opat, który sprawiał wrażenie, jakby wszedł do pomieszczenia zaledwie chwilę temu i został niespodziewanie oderwany od swoich obowiązków. Po jego prawicy spoczywał najstarszy spośród seniorów, Oengus. Siwy mnich skinął mu na powitanie, co sprawiło, że Finlog poczuł się pewniej. Dalej zasiadali ojcowie Senach, Fidelis, Ailbe, Arculf, Corentin i Dicuil. Pomędzy tą siódmką dwa miejsca pozostawały wolne. Zwykli je zajmować nieżyjący już ojcowie Rudan i Adomnan. Pozostaną nieobsadzone, dopóki po trzymiesięcznej żałobie opat nie zdecyduje się mianować nowych seniorów, by znowu mieć u boku dziewiątkę doradców.

Prawdziwy lęk wywoływały u Finloga jednak nie wyczekujące spojrzenia seniorów, ale dwóch nieznanym, którzy krążyli wokół stołu i straszili mnichów, raz po raz zatrzymując się za plecami któregoś z nich.

– Jesteś wreszcie, bracie Finlogu – powitał go oschle opat, podnosząc się z ławy.

– Wybacz spóźnienie, amncharze. Szukałem opiekunów do dziecka.

Maelruain machnął ręką, sygnalizując, że to go nie obchodzi i wskazując młodzieńcowi miejsce przy stole. Ale Finlog nie zdążył tam dojść.

– To ten? – spytał postawny mężczyzna o łysej głowie i bujnych węsach, który przestał niecierpliwie przechadzać się wzdłuż stołu. Wojownik nosił kolczugę, spod której wystawały obrzeża niebieskiej bluzy, a przez ramię miał przerzucony pas z mieczem. Wyraźnie kulał.

Brodir Jökulsson – domyślił się Finlog, choć widział go po raz pierwszy w życiu.

– Ten. Finlog zajmował się Ainarem, kiedy ten u nas gościł. I lubił z nim rozmawiać – wyjaśnił ojciec Senach takim tonem, jakby obmyślał już karę, jaką należy wymierzyć za pomaganie geintowi.

Brodir pokuśtykał w stronę młodego mnicha. Przy każdym kroku deski skrzypiały w podłodze, a kółeczka zbroi ocierały się o siebie, wydając metaliczny zgrzyt.

– Powiedz nam zatem, młody paparze, czy widziałeś ostatnio swojego przyjaciela? – wycharczał Brodir tuż przed nosem Finloga.

– Ja, ja... Czemu miałbym go widzieć? Przecież opat oddał go wam – ten wydusił z siebie.

Finn-Gall walnął pięścią w stół, aż jeden z lekcjonarzy spadł na podłogę.

– Spokój! – krzyknął abbas. Jego głos był donośny i nie dopuszczał sprzeciwu. Nawet Finn-Gallowie zamilkli i choć przeklinali pod nosem, nie ośmielili się przeciwstawić opatowi. Wtedy amnchar zwrócił się do Finloga: – Należy ci się wyjaśnienie, gorliwy oprawiaczu ksiąg...

On wie – krzyczało sumienie w głowie młodzieńca. Znów zaczęły go swędzieć kikuty palców, jak zawsze, gdy się denerwował.

– Brodir powiadomił mnie – ciągnął princeps – że Skald zbiegł zeszłej nocy. Zły, podły Ainar wzgardził gościnnością krajanów i wymknął się, jak mi powiedziano, za pomocą podstępu i geintowskich czarów. Dlatego musisz zrozumieć, że nasz kulawy przyjaciel jest trochę zdenerwowany. W końcu nie co dzień umyka mu więzień, mimo iż pilnuje go tuzin zbrojnych. Czy tak?

Finn-Gall rzucił opatowi gniewne spojrzenie i splunął pod nogi gęstą śliną. Jego oczy mówiły, że przełknie zniewagę, ale jej nie zapomni. Finlog na miejscu abbasa nie drażniłby tego człowieka.

– Uciekł – przyznał Brodir. – Albo został uwolniony. Ten gridniding zabił moje dwa ogary, tuż przy waszym klasztorze, a ślady krwi prowadzą wprost

do wału.

– Mówisz, że się tutaj ukrywa? – wtrącił Oengus, doskonale panując nad głosem. Kłamstwa przychodziły mu zaskakująco łatwo jak na mnicha. – Nikt go tu nie widział. Choć oczy kierujemy ku Najwyższemu, nie przeoczylibyśmy widoku plugawego geinta.

– Chyba że źmijowy język ukrywa się pod spódnicą jednego z was. Dobrze wiem, że jakiś papar pomógł mu w ucieczce. W zębach moich psów znalazłem resztki habitu.

Kuławy geint rzucił postrzępioną tkaniną w twarz opata. Princeps nie dał się wyprowadzić z równowagi i obojętnie patrzył, jak materiał ociera się o jego skórę i opada na podłogę. Tkanina, porwana na krótką chwilę przez przeciąg, zakręciła kółeczko w powietrzu, nim dotknęła desek.

– Nie rzucaj mi tu szmatami. Z takiego materiału robi się połowę płaszczy w tym kraju. Masz coś jeszcze?

– Mam. Tuzin mieczy na zawołanie.

– Nie waż się nam grozić! – krzyknął Fidelis, potrząsając długą brodą. – Jeśli któremuś z mnichów spadnie włos z głowy, ri tuaithe, władca tych ziem, zadba, by obdarto was ze skóry i wykastrowano!

– Ten wasz cały ri tuaithe jest daleko. Ja i moi ludzie podejmiemy ryzyko.

Mnisi poczerwienieli i sięgnęli po lekcjonarze wzmocnione żelaznymi ramami, jakby zamierzali nimi zatłuc zuchwałych geintów. Finn-Gallowie roześmiali się i pogłaskali trójkątne główce mieczy.

– Cisza! – abbas ponownie wszystkich uspokoił. – Nie jesteśmy tu po to, by się kłócić, ale dowiedzieć się, gdzie podział się Ainar. Wszyscy zgadzamy się, że Skald to wiarołomca oraz grzesznik i nikt tutaj nie jest mu życzliwy.

Wszyscy oprócz Finloga pokiwali głowami. Bunt młodego mnicha nie został jednak zauważony.

– Przyjmijmy, że rzeczywiście nic nie wiesz o Ainarze – zwrócił się do princepsa kulawy wąsacz. – Okaż zatem dobrą wolę i pozwól mi się rozejrzeć

po muintirze. Któryś z twoich podwładnych na pewno coś wie.

– Mieliśmy tu już takiego, który przepytawał cenobitów. Nie potrzebujemy kolejnego wścibskiego geinta. Jeśli mówię, że waszego Ainara tutaj nie ma, to tak jest. Żaden z mnichów nie okłamałby mnie, bo wie, że pogwałciłby tym prawa Najwyższego Sędziego, naszą regułę, a także zaufanie, którym obdarzam współbraci.

On wie – przypomniał o sobie głos w głowie Finloga. Młodzieniec miał ochotę uciec lub stać się niewidzialnym. Wstrzymał oddech, modląc się, by nikt nie zauważył jego czerwieniących się uszu. Wszystkosłyszący nie wysłuchał jego rozpaczliwych pacierzy. Brodir obrócił głowę w jego stronę i zmarszczył czoło.

– Ten młody munk jest coś dziwnie zalękniony, a czerwieni się jak dziewczyna na widok kochanka. Na pewno tylko opiekował się Skaldem? Wężowy język potrafi pięknie mówić i składać czcze obietnice. Nie takich jak on omamiał kłamstwami. Może i jego oszukał, by zyskać przyjaźń. Powiedz, młodzieńcze, co też ci przyrzekł nasz wiarołomny krajan w zamian za pomoc? Bogactwo, kobiety, przygodę?

– Nie mam przyjaciół wśród geintów – rzekł Finlog, dziwiąc się swojej zuchwałości. Towarzystwo Ainara wpłynęło na niego. Udzieliła mu się geintowska odwaga.

– Doprawdy? A co tam ukrywasz w rękawach, chłopcze?

Zaraz się wszystko wyda – krzyczał wewnętrzny głos Finloga. Macki strachu chwyciły go za szyję i zaczęły dusić. Kikuty palców zaswędziały, przypominając o grzechach i kłamstwach, ale też o dzielności. Przecież jeszcze minionej nocy przechytrył tego osiłka z Północy. Nie miał więc powodu teraz się go obawiać. Znalazł w sobie siłę, by odpowiedzieć, jak na męznego *milite Kristi* przystało:

– Ręce, które składam, by modlić się za wasze dusze. Ainar z pewnością by się tam nie zmieścił.

Mnisi się zaśmiali, co w klasztorze było równie niezwykle jak dziczyzna na stole. Ale Brodir pozostał poważny. Wydawało się, że jego wąskie usta o kącikach zawsze skierowanych w dół nie są w stanie zbeczczyć ponurej twarzy uśmiechem.

– Nie? A może jednak sprawdzę.

Brodir skoczył do przodu i nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić, chwycił za przeguby dłoni mnicha i rozprostował mu ręce. Oczy mu załśniły, gdy zobaczył opatrunek.

– A gdzież to zdołałeś się tak skaleczyć, paparze? Przy tych waszych modlitwach? A może to moje ogary cię nadgryzły?

Cała odwaga Finloga ulotniła się. Nie potrafił kłamać w żywe oczy. W oszustwie wciąż był nowicjuszem.

– Puść go! – zażądał princeps. – Chłopak stracił palce, pracując przy oprawie manuskryptu. Ręczę za niego.

– Najpierw odpowie na kilka moich pytań. Co robiłeś minionej nocy?

– Pracowałem do późna nad okładkami – ciągnięcie czyjegoś kłamstwa było prostsze niż wymyślanie własnego. Tym bardziej że sam abbas wyciągnął do niego pomocną dłoń. – Świeca mi zgasła i skaleczyłem się w dłoń.

– Zostaw go, geincie – bronił go amnchar. – Chłopak mówi prawdę. Chyba nie sądzisz, że ten wyrostek, któremu ledwo rośnie broda, a ramiona ma chude jak u dziewczynki, podkradł się do was w nocy, ukradł wam sprzed nosa Ainara i przyniósł go na plecach do klasztoru. Lepiej przyznaj, że finngallowskim zwyczajem spiłeś się z towarzyszami i za luźno związałeś Skalda. Wasz zbieg, wasza sprawa. Nie przerzucaj nieudolności swoich ludzi na moich podopiecznych.

Brodir zmierzył wzrokiem przestraszonego Finloga, jeszcze mocniej zacisnął włochate łapy na jego przegubach i patrzył, jak twarz młodzieńca wykrzywia się z bólu. Warknął mu do ucha „wszetecznik”, po czym odepchnął. Finlog poleciał do tyłu i uderzył plecami o pobliską ścianę tak mocno, że

żelazne świeczniki zakołysały się pod sufitem.

– Nikt by nam nie uciekł, gdyby nie czary – próbował się tłumaczyć drugi z Finn-Gallów, jasnowłosa i brodaty. – Kiedy spostrzeżliśmy zniknięcie więźnia, spuściliśmy ogary z łańcuchów i ruszyliśmy w pogoń. Wtedy, jakby znikąd, pojawiła się naga córka Gefny, która bezwstydnie się przed nami wypinała i potrząsała cyckami.

Finlog natychmiast przestał myśleć o bólu, jaki promieniował z jego krzyża. Czyżby mówili o Czarnowłosej? Nie mógł w to uwierzyć. Jak taka piękna istota o twarzy promieniejącej świętością, choć ciele grzesznej Lilith, mogła zdradzić go z brudnymi Finn-Gallami, którzy żyją dla przemocy? Musiał się upewnić:

– Czy, czy... miała czarne włosy?

Odwaga Finloga, przed chwilą tak sponiewieranego, zadziwiła wszystkich. Jasnowłosa Finn-Gall spojrzał na niego podejrzliwie.

– A kto, na jaja Magniego, zwracałby uwagę na włosy, kiedy przed oczami ma cycki?

– *Sancti Patri et Columbani!* – zawołał opat i przeżegnał się. – Zatem pozwoliliście mu uciec, by zaspokoić swoją chuć?

– Niektórzy próbowali – Brodir podjął opowieść towarzysza. – Chcieli przygwoździć ją do ziemi i nauczyć roli kobiety, ale ciągle im się wymykała. I rzuciła na nas klątwę: pojawiła się mgła i zgubiliśmy się. Raz po raz golaska przebiegała przed nami i rozkładała nogi, pokazując źródło wilgoci. W końcu zamiast Ainara znaleźliśmy jezioro, a zamiast kobiecych piersi – muł i wodę.

Dlatego udało nam się tak łatwo uciec – uzmysłowił sobie Finlog. Czarnowłosa im pomogła. I wcale go nie zdradziła! Nie mogła być zatem demonem. Choć lubieżna i grzeszna, dbała o jego bezpieczeństwo. Czyżby jej na nim zależało? Nie, to głupie – skarcił się. – Przecież to tylko widmo, a nie prawdziwa kobieta.

– Czary to kuglarstwo Złego albo sposób na usprawiedliwianie własnych

niepowodzeń – zawyrokował princeps. – Sami widzicie, że to nie mnich pomógł Skaldowi w ucieczce. Ainar pewnie popłynął w dół rzeki, ukradł konia i teraz śmieje się, że was oszukał. A wy marnujecie czas na czcze gadanie. Nie macie tu czego szukać.

Brodir zacharczał i znów splunął. Zastanawiał się przez chwilę.

– On tu jest. Nauczyłem się wyczuwać smród jego kłamstw. Tym razem mi się nie wymknie. Ale jeśli nie chcecie pomóc, dajcie nam coś, na czym mu zależy. Wtedy będzie musiał do nas przyjść.

– Chcesz jego konia, dobytku? Weźcie go sobie.

– Chcę dziewczynki. Podobno to jego bachor.

Nie, tylko nie Znajda – chciał krzyknąć Finlog. Dziewczynka może i była męcząca, ale i wesoła oraz pełna życia. Przypominała o świecie za wałem. Zdążył ją polubić, a ona przezwiała go wujkiem. Nie może pozwolić, by wpadła w brudne łapy Finn-Gallów.

– Mała nazywa go ojcem, ale on z pewnością nie jest jej prawdziwym rodzicem – spróbował ratować dziewczynkę.

– Zamilcz, chłopcze. – Brodir wskazał go palcem. – Lepiej dla ciebie, bym zapomniał o tobie i twojej ranie. A może wolisz, byśmy i ciebie zabrali? Myślisz, że Ainar odwdzięczyłby się za ratunek?

Finlog miał nadzieję, że tak, ale nie mógł być tego pewien. Przyczyny działań Skalda wciąż pozostawały dla niego tajemnicą.

– Weźcie mnie, jeśli chcecie, ale zostawcie dziewczynkę.

Drengowie roześmiali się przy wtórze metalicznego pobrzękiwania kolczug napinających się na ich brzuchach. Głębokie głosy wojowników brzmiały jak echo w górach.

– Słyszałeś, Örmie? – wódz obcych zwrócił się do towarzysza. – Trafił się nam zuchwały papar. Może rzeczywiście go weźmiemy? Dziewczynka będzie miała się z kim bawić.

– Dostyc tego – zagrzmiał opat. – Żaden mnich stąd nie odejdzie.

– A co ze Znajdą? – z niepokojem zapytał Finlog, który bezwiednie odsunął się od Finn-Gallów.

– Nie byłoby mądrze wydawać dziecka na pastwę wilków – zabłysnął rodzicielską troską Oengus. Siwy senior cenił sobie cnotę rozważli i zawsze bezbłędnie wyczuwał, kiedy należy wtrącić się do rozmowy.

– Dziewczynce nie spadnie włos z głowy – zapewnił Brodir. – Östmadowie nie są mordercami dzieci. Poza tym mogę znać jej matkę. Gdy załatwimy sprawę Ainara, odeślę ją do niej albo, gdyby nie żyła, oddam pod opiekę przyzwoitej rodzinie.

– Matkę, powiadasz. – Abbas zamyślił się i podrapał po czarnej brodzie. – Dobrze. Zobaczymy, co na to powie mała.

To nie może być prawda – oszukiwał się Finlog, kręcąc głową. – Opat nie może być tak głupi, by wierzyć zapewnieniom morderców. Ze zdenerwowania zapomniał nawet przeprosić Wyrozumiałego, iż w myślach obraził amnchara. Nie zabijają dzieci? A bo to mała było opowieści o Finn-Gallu, którego nazywano Bachorem, ponieważ uwielbiał nabijać noworodki na włócznie?

– Ale nie możemy oddać dziecka w obce ręce! Obiecaliśmy Skaldowi, że się nią zajmiemy – łamiącym się głosem spróbował ostatniego ratunku młody manach.

– Twoje serce jest wrażliwe, bracie, ale klasztor to nie miejsce dla małej dziewczynki. Mała odciąga mnichów od modlitwy – przełożony napomniął go łagodnie. – Będzie lepiej, jeśli Brodir znajdzie jej nowy dom. Powiedz, z kim zostawiłeś dziewczynkę?

Milczał. Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco.

– Bracie Finlogu? – ponaglił go princeps.

Spojrzał na Oengusa, który nieznacznie skinął mu głową.

– Z Blathmacem i Faerghalem – odpowiedział zrezygnowany.

– Prowadź zatem do nich – nakazał Maelruain.

Opuścili kapitularz. *Crepusculum*, zmierzch, minął już dawno, więc na

zewnątrz panowały ciemności. Szli gęsiego, stukając sandałami po brukowanej drodze. Zaufania między nimi było tyle, co wstydu u jawnogrzeszniczy. Mnisi oglądali się za siebie, czy geintowie nie chcą im wbić noży w plecy, z kolei dwaj Finn-Gallowie wodzili oczami, czy cenobici nie zamierzają ich obezwładnić uderzeniami ciężkich lekcjonarzy. Seniorzy nie chcieli bowiem zostawić swoich modlitewników, przeczuwając, że w każdej chwili mogą im się przydać: do modlitwy lub do obrony.

Procesję prowadził Finlog, a pochód zamykał opat. Geintowie szli w środku.

Do kamiennej celi, której wąskiego wejścia nie przysłaniały żadne drzwi, pierwszy wszedł Finlog. Chciał uspokoić dziewczynkę i szepnąć jej do ucha, by uciekła Brodirowi, gdy tylko nadarzy się okazja. W środku było ciemno, ale bez problemu dostrzegł zakonników i Znajdę. Wybiegł na zewnątrz i wymiotował.

Seniorów zaciekało jego zachowanie. Zapominając o cnocie umiarkowania, jeden po drugim zaczęli zaglądać do środka. Żaden z nich nie zniósł tego widoku dłużej niż dwa uderzenia serca. Dołączali do Finloga lub padali na kolana, wznosząc ręce i żegnając się zamasyście, by odpędzić zło. Najlepiej zniósł to Oengus, który skrzywił się tylko i pobłogosławił mieszkańców kamiennego ula.

Na końcu weszli opat i Finn-Gallowie. Nawet z zewnątrz dało się zauważyć, że czarnobrody mnich ledwie powstrzymał wymioty, przykładając rękaw do ust. Thegnowie zaś stali obojętnie. Na nawykłych do przemocy geintach takie widoki nie robiły wrażenia.

– Finlogu! – zawołał opat. – Zabierz dziewczynkę i zanieś ją do oratorium. Będziemy się za nią modlić.

Młody mnich posłusznie wszedł do środka i objął Znajdę.

– Ale ja jeszcze nie chcę iść, wujek! Wujek Blathmac zrobił mi taką fajną huśtawkę.

– Choć, zjemy coś razem. – Na samą myśl o jedzeniu znów zrobiło mu się niedobrze. – Puść ojca Blathmaca. On nigdzie się stąd nie ruszy.

Dziewczynka niechętnie posłuchała. Puściła nogę otyłego mnicha, a on stopniowo przestawał się kołysać, aż zawisł nieruchomo obok swojego towarzysza – Faerghala. Obaj jednosi wisielcy, dyndający na własnych sznurach od habitu, patrzyli na nich wyłupiastymi oczami, wystawiając zsiniałe języki.

24

Dzban akwawity pomógł mu znieść beczynność i skutecznie zatrzymał w budynku.

Kiedy Finlog przyprowadził go do pomieszczenia pełnego manuskryptów, a siwy mnich postawił przed nim chleb, ser i piwo, Ainar zjadł, wypił i zasnął, nie pytając o nic.

W południe obudziło go bicie dzwonów. Wstał, przeklinając ból każdej części ciała, i wysikał się w kącie, opryskując czerwonym strumieniem manuskrypty leżące na pobliskiej półce. Trawiła go ciekawość, jednak był sam i nie miał kogo przepytać. Już miał wykraść się na zewnątrz, gdy znalazł dzban złocistej akwawity. To z nim postanowił uciąć sobie pogawędkę. Rozmawiali całe popołudnie, dzieląc razem łożę, czyli zwój szmat leżących w kącie, po przeciwnej stronie tego, w którym oddawał mocz.

Przed południem dnia następnego, gdy otworzył oczy, ujrzał łysego mnicha sterczącego nad pulpitem. Jeśli dobrze pamiętał, był to jeden z seniorów o imieniu Dicuil. Manach pisał na pergaminie długim gęsim piórem. Jak co dzień, w pomieszczeniu śmierdziało świńską skórą, kredą i czarną mazią.

Maż, zwana przez munków *atramentum libarium*, była najgorszym ze znanych mu przykładów marnotrawstwa piwa. By ją zrobić, mieszało się sok kapuściany ze sproszkowanym sinym kamieniem i larwami żyjącymi

w naroślach liści dębu, a następnie gotowało w *gummi arabicum* i właśnie w piwie. Jakby mało było paparom tej zniewagi dla pijackiej przyzwoitości, maź umieszczano w rogach, szydząc ze znanego jak świat długi i szeroki alkoholowego przeznaczenia tych naczyń.

– Dobra robota, starcze.

Łysy mnich obrócił się w jego stronę, lekko zaskoczony.

– Ach. Obudziłeś się wreszcie? Prawdę mówią, że skaldowie to węgłozercy, którzy potrafią tylko pić, walczyć i spać.

– Prawdę, choć spierałbym się co do kolejności. Znam też kobiety, które dorzuciłyby do tej wyliczanki władanie włócznie.

Papar go nie słuchał albo udawał obojętność. Obrócił się do niego plecami i wznowił pracę. Jego przyborami były pióro, rożek z mazią, skamieniały fragment lawy, pilniczki, brzytwa, rysik i szpikulce ostre jak gwoździe. Nie pisał cały czas. Robił przerwy na punktowanie kart szpikulcami, kreślenie na nich linii, cięcie i wygładzanie pergaminu oraz na robienie zapisków na woskowej tabliczce.

– Dobra robota, dziadku – powtórzył.

– Słucham? Ach tak. Tego poranka jest dobre światło i mam pewną rękę. Ale jeszcze daleko do pełnej świetności tego kodeksu.

Na światło rzeczywiście nie miał co narzekać, gdyż stał przy samym oknie. Aż do *meridies*, kiedy wróg księżyca osiągał najwyższy punkt na niebie, światło słoneczne padało tam obficie, przynajmniej w bezchmurne dni. Dlatego Ainar spał przy przeciwnej ścianie.

– Mało mnie obchodzi księgi. Mówiłem o tobie. Nieźle zaplanowałeś moją ucieczkę. Tak omamić Finloga? Wyraży uznania. Sam lepiej nie potrafiłbym wykorzystać jego naiwności.

Dicuil spojrzał na niego, marszcząc czoło, jakby nie miał pojęcia, o czym mówi pieśniarz.

– Myślisz, że ja... Nie, nie. To nie tak. Ja jestem tylko prostym kopistą, który

opiekuje się skryptorium. Ukryłem cię tu na prośbę Oengusa, nie wnikając w zamysły najmądrzejszego spośród nas. Ale niebawem sam go wypytasz. Powinien tu być lada chwila.

I rzeczywiście. Łysy munk zdążył pobrudzić pergamin zaledwie kilkoma znakami, nim do skryptorium zawitał siwy senior.

– Finn-Gallowie równie dobrze znoszą pobicia, jak ich statki uderzenia fal – powiedział na powitanie. – Widzę, że rany dobrze się goją, choć twarz jeszcze długo będzie pasować kolorem do twoich niebieskich spodni.

– Skald musi wyróżniać się z tłumu.

– Zapewne nie skromnością – odparł Oengus, biorąc spod ściany mały zydel i siadając naprzeciw Ainara. – Poznałeś już ojca Dicuila? To nasz najwspanialszy kopista.

– Taaa. Powiedział, że to tobie powinienem dziękować za ratunek. Odpowiedziałem, że zrobię to tuż po tym, jak ty podziękujesz mnie.

Oengus uniósł brwi i uśmiechnął się serdecznie.

– Ja tobie? A za co?

– Za osłabienie pozycji opata. Mnisi z pewnością zapamiętają princepsowi, że wysługiwał się plugawym geinte. A ty wykorzystasz te nastroje, by zostać nowym abbasem.

Nietrudno było się domyślić, że Oengus miał zakusy na to stanowisko. Tylko to tłumaczyło, dlaczego mu pomógł. Zmieszanie siwego seniora potwierdziło, że miał rację.

– Jesteś bardzo przebiegły jak na geinta. Princeps ma rację. Skaldowie to jedyńi Finn-Gallowie, którzy nie mają kamienia zamiast głowy.

Ainar znał jednego Östmada, zwanego Kamiennym Łbem, który chwalił się, że żelazo nie rozpląta mu czaszki. Skald nie sprawdzał, czy to prawda, choć swój miecz przezywał Kvernbitem, Gryzącym Kamień. Rozwalił tamtemu głowę zwykłą drewnianą maczugą.

– Ale mylisz się co do mnie – starzec podjął wątek. – Mnisi sami wybierają

princepsa w wolnym głosowaniu, a potem są mu bezwzględnie posłuszni, tak jak i ja jestem. Nie znaczy to jednak, że nie należy dbać o sprawy zgromadzenia, gdy princeps je zaniedbuje.

Wolne głosowanie. Ainar coś niecoś o tym słyszał. Na Lodowej Wyspie też głosowaniem rozstrzygają na Althingach wszystkie spory, tyle że zawsze wygrywają je najbogatsi i najbardziej wpływowi naczelnicy w regionie. Dałby sobie miecz złamać, że tu również jest podobnie, a opatem zostaje przedstawiciel jakiegoś poważanego rodu. W końcu sam princeps chwalił się wpływami w otoczeniu ri tuaithe'a.

– Skromny, stary mnich, który dba o współbraci. Ściągnij maskę. Zbyt prosto siedzisz, zbyt łatwo wydajesz polecenia i za dobrze radzisz sobie z podwładnymi. Nawet lata ascezy nie ukryją dworskiego wychowania. Masz pewne ruchy, ręka ci nie drży, a dłonie masz żyłaste i umięśnione. Szkolono cię w walce mieczem i tarczą. W oku masz zimny błysk. Zabójca pozna zabójcę.

Zganiiony za swoją wyniosłość papar zgarbił się i spuścił głowę.

– Dawne życie, o którym już prawie zapomniałem. – Westchnął. – Od lat ćwiczę się w pokorze i przepraszam Miłosiernego za grzechy młodości. Rozejrzyj się. Tu teraz jest moje królestwo, a biegłe dłonie i jasny umysł wykorzystuję, by czytać księgi, nauczać braci i spisywać Słowa Prawdy.

Ainar był w takim miejscu po raz pierwszy w życiu. To skryptorium – przypomniał sobie nazwę tego najokazalszego po oratorium budynku w klasztorze. Wiedział, że drewniany dom z kamiennymi fundamentami stoi tuż obok kościoła, a jego drzwi są zawsze zaryglowane. Teraz zrozumiał, dlaczego paparzy tak skrupulatnie strzegli do niego dostępu – było tu pełno skarbów.

Pod ścianami stały półki pełne opasłych tomów, a przy dwóch oknach, największych, jakie widział w tej krainie, cztery pulpity. Nad jednym z nich pochylał się milczący Dicuil, który teraz odsunął się na bok, dając Skaldowi szansę na dokładniejsze obejrzenie manuskryptu. Ainar podniósł się z posłania i podszedł. Strony wypełnione były tekstem w dwóch kolumnach, a brzegi kart zdobione kwiatami, liściastymi gałęziami lub postaciami z głowami

wpisanymi w słońce. Pismo Romverjów było staranne i kanciaste. Kodeks nie różnił się z wyglądu od tych, które Ainar widział w Vallandzie, poza jednym szczegółem. Nie miał oprawy. Zszyte ze sobą karty pergaminu nie pozostawały jednak bez ochrony. Obok księgi leżało pudełko z do połowy wysuniętą przykrywką. Na brzegach wzmocnione było okuciami z brązu, a boczne ściany przecięte zostały pasami srebra, które w miejscu styku ze sobą zastąpiono wzgórkami ze złota, zwieńczonymi niebieskimi kamieniami. Najbardziej ozdobna była jednak przykrywka pudełka: srebrną ramę przynitowano do wykonanej z brązu podstawy w ten sposób, by obie płaszczyzny tworzyły geometryczny wzór. W srebrze wycięto kwadraty i prostokąty, które odsłaniały brąz pokryty czerwoną emalią. Na środku przykrywki znajdował się filigranowy krzyż o równych ramionach, wpisany w koło. Symbolu strzegły w parach cztery postacie, wykonane tą samą metodą zdobniczą co krzyż. Był to człowiek w towarzystwie trzech istot *eigi ein hama* – „niemających jednego kształtu”, jak nazywano takie stwory w języku Noregsmadów. Miały ludzkie ciała, ale zwierzęce głowy: woła, lwa i orła. Razem z wąsatym jegomościem tworzyły duży kwadrat, zamykający krzyż w środku. Od każdego z jego boków wychodził srebrny pas, który przy brzegu przykrywki tworzył kolejny czworobok. Te figury ozdobiono wykonanym ze złota motywem gałęzi, które oplatały czerwone kamienie.

– Umiesz pisać, Skaldzie? – odezwał się Oengus za jego plecami.

Ainar z niechęcią oderwał oczy od świecidełek. Zrabowanie okuć księgi z oratorium wydawało mu się teraz śmiesznie błahym wyczynem. Zmarnował czas na śmieci, podczas gdy prawdziwe skarby znajdowały się tutaj. Za jeden taki kamyczek mógłby nabyć duży *skip* i pożegłować nim do Gardariki po skarby wschodu. „Mógłby” – bo nie łudził się, że i tak przepiłby go i przehulał z rozpustnymi wyznawczyniami Gefny.

– Znam znaki Göllnira.

Jak każdy skald, musiał poznać tajemnice krzykliwego boga, zanim sam zaczął tworzyć.

– Zapisujesz więc swoje opowieści na pergaminie? Nie – senior odpowiedział sam sobie. – Przecież jesteś Finn-Gallem, a oni gardzą słowem pisanym, choć to największy z darów, jakie Stwórca zesłał człowiekowi.

– Pismo jest dobre dla czarowników i kupców. Ci pierwsi zapisują swoje zaklęcia na drewnie, ci drudzy za jego pomocą liczą, ile jeszcze śledzi muszą sprzedać, by wykarmić bachory. Drapy są zbyt piękne, by niszczyć je świńską skórą.

Starzec uśmiechnął się pobłaźliwie.

– My zapisujemy opowieści naszego ludu, nawet te, które dotyczą jego grzesznej przeszłości. Chcemy uchronić je od zapomnienia.

Ainar wiedział, że to robią. Znał nawet kilka historii o iryjskich bohaterach. Najbardziej podobała mu się saga o Cuchulainie. Przypominała mu opowieści z jego rodzinnych stron.

– Dobra opowieść nie zostanie zapomniana, gdyż ludzie będą chcieli ją powtarzać.

– Za to gdy ją zapiszemy, każdy będzie mógł ją przeczytać. Można też skodyfikować i utrwalić najpełniejszą wersję historii.

– Utrwalić? Chyba uśmiercić. Tylko ustna opowieść jest żywa. *Sagamaðr* podczas snucia historii może zmieniać głosy, nadawać im odpowiednie brzmienie, machać rękami, robić miny, udawać bohatera, przedrzeźniać głupca. I ponad wszystko: może przemilczeć lub dodać rzeczy, wedle zainteresowań słuchaczy. A najpiękniejsze jest to, że historia zmienia się wraz z ludźmi, którzy ją przekazują, a przez to ma tyle wersji, ile razy została powtórzona. Twoja pisana opowieść tego nie potrafi. Jest jak zawieszony w halli konunga łeb niedźwiedzia, który daje wyobrażenie, jak wygląda wróg pszczoł, ale jest żałosny w porównaniu z żywym władcą lasów.

– Mylisz się. Słowo pisane jest i będzie podstawą istnienia Państwa Bożego na ziemi. Kiedyś i ludzie Północy zmądrzeją i zapiszą swoje opowieści. Ja to zrozumiałem i dlatego chciałem ci pokazać to miejsce. Widzę jednak, że nie

dam rady cię przekonać. Zostawmy więc tę jałową dyskusję. Będiesz mi musiał uwierzyć na słowo, że piórem mogę działać więcej niż mieczem, a pokorną pracą nauczyciela przysłużę się lepiej zgromadzeniu, niż gdybym zarządzał klasztorem. Ale bym mógł spokojnie spełniać swoje powołanie, musisz mi pomóc.

– Zaprawdę nigdy nie wiadomo, jaki wzór utkają norny. Już drugi raz się zdarza, by papar prosił mnie o pomoc. Mnie, niewiernego geinta i stosującego siłę Finn-Galla. Najpierw płaszczy się przede mną opat, a potem siwy fer leogind. A choć obaj nie lubią siebie nawzajem, błagają mnie o to samo. Gdy ich Wszystkosłyszący zatyka sobie uszy na modły, zwracają się do obcego, by oddalił od nich kłopoty.

– Finlog dobrze cię ocenił. Jesteś bystry. Sporo o mnie wiesz jak na kogoś, kto widzi mnie po raz pierwszy.

Nie po raz pierwszy. Poeta widział go już przelotnie w refektarzu i w oratorium, ale wtedy nie znał jeszcze jego imienia. Dumny starzec, który tak bardzo starał się udawać pokornego, od razu przykuł jego uwagę.

– Dostatecznie bystry, by wiedzieć, że to od ciebie powinienem zacząć przesłuchiwanie. Trudno cię było jednak znaleźć. Mówią, że tylko winni się ukrywają.

Siwy papar znów się uśmiechnął.

– Na mnie tych sztuczek nie próbuj. Jestem już stary i wiele w życiu widziałem. Niełatwo mnie przestraszyć.

Co nie znaczy, że się nie da – pomyślał Ainar. Na każdego istnieje sposób.

– Zresztą i tak zamierzam powiedzieć ci wszystko, co wiem. I wcale się nie ukrywałem. – Skald miał rację. Mimo lat postów i modlitw mnich nie zdołał zwalczyć w sobie dumy, dlatego nie mógł puścić płazem oskarżenia o tchórzostwo. – Po prostu byłem zajęty. Ktoś musi dbać o funkcjonowanie klasztoru, gdy mnisi modlą się całymi dniami, a opat szuka zabójcy. Dzięki temu możemy teraz bezpiecznie rozmawiać, bo za moim wstawiennictwem

tylko ojciec Dicuil ma wstęp do skryptorium, jako jego opiekun.

– Skąd przypuszczenie, że chcę to wszystko wiedzieć? Dość mam już waszych paparskich tajemnic i knowań. Mam na głowie własne kłopoty.

– Kłopoty, od których ja pomogłem ci uciec.

– Kłopoty, z którymi sam bym sobie poradził. Ja, w przeciwieństwie do mnichów w sukienkach, nie zwykłem prosić o pomoc.

– Ale ją dostałeś! Okaż więc trochę wdzięczności!

– Wdzięczności? A może również mam podziękować za to, że pierwszy chciałeś wydać mnie Brodirowi, gdy uznano mnie za winnego zabójstwa mnicha w chlewie i skazano na trzydniowe wysłuchiwanie kazań opata?

Oengus nie potrafił ukryć zdziwienia, że Skald o tym wie. Nie spieszył się jednak, tylko lekko uniósł brwi i pogładził resztkę siwych włosów.

– Nie będę się tego wypierał. Rzeczywiście, początkowo nie chciałem, by geint mieszał się w nasze sprawy, tak jak nie zamierzałem dopuścić, by mnisi mieszały się w spory między Finn-Gallami. To chyba uczciwe postawienie sprawy? Wiedz też, że postulowałem, by wygnano cię z klasztoru z całym twoim majątkiem, a więc z koniem oraz bronią. Sądząc po twojej sławie, nie byłbyś bez szans na przeżycie.

Ainar musiał przyznać, że ów „postulat”, jak dziwacznie określił Oengus swoje wyrażone na radzie seniorów zdanie, rzeczywiście był honorowy. Znać było po mnichu wojowniczą przeszłość. Skald nie mógł mieć mu za złe, że był nieufny. Czuł nawet coś w rodzaju wdzięczności za to, że senior wraz z Finlogiem pomogli mu w ucieczce. Lubił jednak denerwować ludzi.

– I teraz twój pierwotny plan się ziści. Ja zajmę się sprawami Finn-Gallów, a wy sami uporacie się z paparskim kłopotem.

– *Sancti Benedicti et Colombani!* – wykrzyczał siwy munk w języku Romverjów. Ainar domyślił się, że miało to być jakieś przekleństwo.

Starzec wziął kilka oddechów, by się uspokoić. Najwyraźniej z gniewem też nie potrafił sobie dobrze radzić. Położył dłoń na ramieniu Dicuila

i powiedział:

– Dziękuję za twoją pracę. Dołącz do braci modlących się w kapitularku.

Łysy kopista posłusznie zamknął kodeks i włożył go do pudełka. Skrzynkę schował w jednym z kufrów pod ścianą – ze złodziejską dokładnością Ainar zapamiętał, w którym – po czym wyszedł.

– Nasze kłopoty są przecież wspólne – Oengus zwrócił się do poety po zamknięciu się drzwi. – Wiele się wydarzyło, gdy spałeś i piłeś. Nie zastanawiałeś się, gdzie jest twoja Znajda?

Rzeczywiście, poeta pomyślał o niej raz czy drugi, ale wyrzucał ją z głowy i cieszył się spokojem. Z małą skaczącą mu po brzuchu raną o wiele trudniej by się goiły.

– Tylko nie udawaj, że ci na niej nie zależy – munk uprzedził jego odpowiedź. – W równym stopniu nie pasuje do tego miejsca jak i ty. Wyroki Opatrzności są niezbadane i czasem niezrozumiałe, ale wydaje się, że wasze losy są w jakiś sposób związane. Dziewczynka ma poważne kłopoty.

– A co, znalazła kolejne ucho do zabawy? – zażartował.

– Gorzej. Huśtawkę z dwóch wisielców.

– Pomysłowe.

– Ciebie to bawi? Mnisi zastanawiają się, czy mała nie jest współwinna zbrodni albo czy sama nie jest morderczynią. Niektórzy mówią głośno, że została opętana i stąd jej ogromna siła. Jakby tego było mało, po dziecko zgłosił się Brodir, który zapewnił, że zabierze ją do matki.

– Tchórzliwy *morðvarg*^[59]. A mogłem go zgwałcić mieczem, gdy była okazja.

Teraz to Ainar wpadł w gniew, a on, w przeciwieństwie do seniora, nigdy nie widział potrzeby, by go studzić. Zaciśnął pięści, aż z poranionych dłoni pociekła krew. Postąpił krok w kierunku starca.

– Jak mogłeś do tego dopuścić, paparze? Mieliście jej pilnować! Taka była cena mojego poddania się.

– Proszę, proszę. A jednak ci zależy. – Siwy senior uśmiechnął się, ale widząc, że pieśniarz nie jest w nastroju do żartów, szybko dodał: – Tylko spokojnie. Brodir nie dostał małej. Początkowo opat rzeczywiście chciał ją oddać, ale gdy odkryto zbrodnię, seniorzy uznali, że bardziej od matki dziecku potrzebna jest modlitwa. Finn-Gallowie protestowali, grozili i złorzeczyli, ale musieli posłuchać głosu rozsądku i odejść z niczym. Było ich dwóch, a nas dziewięciu.

Ainar był pewien, że ów głos rozsądku zniknie, gdy stanie się ciemno i gdy Brodir będzie miał przy boku resztę drottmadów. Znajda nie była już bezpieczna w klasztorze.

– Przeprowadź ją do mnie. Znajdę sposób, by z nią uciec.

– To nie będzie takie proste. Dziewczynka została zamknięta w oratorium i mnisi nie odstępują jej na krok. Opat co prawda nie wierzy w opętanie, gdyż tak jawne działanie Złego nie jest zgodne z nauką Eriugeny, ale nałożył na nią pokutę. Większość seniorów zgodziła się, że jej grzechy są straszliwe i należy ją traktować z pełną surowością, jak dorosłego mnicha.

Poeta zaczął mieć złe przeczucia co do tej pokuty. Wiedział, że paparzy mają bujną wyobraźnię w tym względzie.

– Miłosierny? Takie jest jedno z imion waszego Boga? Tylko niding znęca się nad dziećmi. Nie zasługujecie, by wam pomagać.

Brak szacunku dla starszych to dla paparów grzech. Być może dlatego Oengus zdziwił się, gdy flegma Ainara wylądowała mu na twarzy. Błysk w jego oku zdradzał, że na krótką chwilę zawładnął nim dumny wojownik, drzemiący gdzieś w środku. Ale pokora zwyciężyła. Munk otarł plwocinę rękawem habitu i spojrzał przepraszająco, choć wciąż nieco wyniośle, na Skalda.

– Nie osądzaj nas zbyt pochopnie. Wielu mnichów zapomniało o życiu poza klasztorem i postrzega dzieci jako niedoskonałych ludzi, przywołując słowa Salomona: „Szaleństwo zamieszkuje w sercu dziecka”. Tłumaczyłem im, że tak

nie wolno, że to wbrew regule. Przecież sam Columban nauczał nas, że dzieci są miłe Bogu, ponieważ nie trwają w gniewie, nie żywią urazy, nie rozkoszują się urodą kobiety, mówią, co myślą. Ileż to dorośli mogliby się od nich nauczyć! Winniśmy im zatem wyrozumiałość, a nie surowość. Niestety, ascetyczny tryb życia sprawił, że ból i umartwienie jest dla zakonników jedynym sposobem walki z grzechem. Marnym usprawiedliwieniem ich zachowania jest to, że nie ukarali dziecka surowiej, niż ukaraliby siebie. Ja sam, tak jak niemal każdy mieszkaniec tego muintiru, doświadczałem takiej pokuty kilkakrotnie.

– Słowa i słowa. One nic nie znaczą, zwłaszcza w ustach paparów. Nie będę cię dłużej słuchał, starcze. Zejdź mi z drogi. Idę po małą.

Papar odsunął się na bok, odsłaniając Skaldowi drogę do drzwi.

– Możesz iść, jeśli chcesz. Twój miecz i dobytek schowane są w wieży. Rozumiem, że nie chcesz nam pomóc, ale nie mam o to żalu. Wysłuchaj mnie jednak do końca. Znam sposób, w jaki możesz uratować dziecko i wymknąć się Brodirowi, nie przelewając krwi. Znajda, chociaż pokutuje już całą noc i poranek, jest bezpieczna. A Finlog potajemnie ją dokarmia. Jest silna, krótka głodówka jej nie zaszkodzi.

Poeta zastanawiał się chwilę. To, co mówił mnich, nie było głupie, ale przybysz czuł, że nie powinien go słuchać. Walka była prostsza i uczciwsza, a jak dotąd gadanie i spiski paparów sprowadzały tylko kłopoty.

– Mów. Byle szybko.

– Znajdź prawdziwego zabójcę. Wtedy Znajda zostanie uwolniona i zyskasz wdzięczność opata.

Skald roześmiał się, brzydko jak zawsze.

– To twój plan? Od kilku dni szukam sprawcy, a dowiedziałem się tylko, że Blathmac i Faerghal obżerają się po nocach, jakaś Czarnowłosa daje dupy mnichom, a Rudan zapewne poznał ją aż cztery lata temu. Jeśli chcesz więcej szczegółów, spytaj rudego papara.

– To będzie trudne. Rudan nie żyje.

Nie zasmuciło to poety, ale trochę zdziwiło. Wprawdzie zranił go nożem, ale rana była płytka. Od tego się nie umierało.

– Nie zginął od żelaza. – Mnich jakby czytał w jego myślach. – Ktoś go udusił. Na szczęście przed śmiercią Rudan wyznał mi grzechy i opowiedział historię Czarnowłosej. Choć opat nie chciał, byś drażył ten temat, uznając, że mnisi nie mogą żyć przeszłością, ja myślę, że jest on kluczowy.

Ainar od dawna twierdził to samo, ale nikt nie chciał go słuchać.

– Dobrze odgadłeś – mnik zaczął opowieść – że Rudan poznał ją cztery lata temu. Tak jak wszyscy, którzy wówczas tu mieszkali. Pojawiła się u bram naszego klasztoru, prosząc o jałmużnę. Dostała jeść i pić, a także otrzymała prowiant na drogę. Tylko że ona wcale nie chciała odejść. Błagała nas na kolanach, byśmy przyjęli ją na służbę. Kleła się, że zna się na wypiekaniu chleba, na hodowli świń, na praniu i na wszystkich domowych sprawunkach. Zarzekała się, że możemy ją nawet zaprząć do radła, jeśli zabraknie nam wołów. Nie powinniśmy jej słuchać. Do dzisiaj wielu z nas przeklina ten dzień i zadaje sobie pytanie, czemu Sprawiedliwy wystawił nas na taką próbę. Lepiej by było, gdyby zesłał na nas głuchotę i ślepotę. Ulegliśmy jednak jej płaczom i sam opat zgodził się, by z nami została.

– Z pewnością to płacz was tak rozmiękczył, a nie celibat – wtrącił Ainar.

– Zasłużyliśmy sobie na tę drwinę. Masz rację. Gdyby kobieta była stara i brzydka, pewnie nie uleglibyśmy pokusie i poszczuli ją psami, gdyby nie chciała odejść. Ale była to najpiękniejsza niewiasta, jaką ktokolwiek z nas widział w swoim życiu.

To niewiele znaczyło. Ile pięknych dziewczyn mógł widzieć zamknięty w klasztorze mnich? – pomyślał pieśniarz, ale nie podzielił się wątpliwościami z Oengusem.

– Miała długie, czarne włosy i tego samego koloru oczy, wielkie jak u czarodziejskiego ludu. – Na twarzy Oengusa dało się wyczytać niegodny

ascety pociąg i do kobiet, i do żyjących w iryjskich opowieściach pięknych duchów *aes sidhe*. – Była szczupła i miała wszystko, czym Ewa skusiła Adama. Miała krągłe... – zająknął się – ...ale nie wypada mi o tym mówić. Wiedz jednak, że na jej widok nawet starzy mnisi miewali młodzieńcze pokusy. Pewnie gdyby chodziło o sam wygląd, opat od razu by ją przepędził, zamiast wpuszczać Lilith między mężczyzn, owcę między wilki. Ale te jej smutne oczy i melodyjny głos... Gdy prosiła, żaden mężczyzna nie mógł jej odmówić. Wiesz, jak trudno powiedzieć „nie” pięknej kobiecie, która klęczy przed tobą ze łzami w oczach?

Skald dobrze wiedział, że trudno, ale to, co miał na myśli, nie spodobałoby się starcowi.

– Każdemu było jej żal. Wszyscy dokładaliśmy wszelkich starań, by dopomóc nieszczęsnej żebracze. W dodatku opat przypomniał sobie o dawnych zwyczajach manachów z czasów, kiedy Finn-Gallowie nie trapiłi jeszcze naszych ziem. Tworzono wtedy męsko-damskie zgromadzenia, by synowie Adama i córki Ewy mogli codziennie zwalczać w sobie pożądanie. Abbas uznał, że i naszemu klasztorowi nie zaszkodzi taka próba, a walka z pokusą tylko umocni mnichów w wierze i w trwaniu we wspólnocie. Pozwolono jej zatem zamieszkać w stajni, w zamian za opiekę nad zwierzętami.

– Tylko mi tu nie opowiadaj, jak doiła krowy. Miało być zwierzę.

– Cierpliwości, już kończę. Na czym to ja... Ach tak. Te kilka tygodni, które z nami spędziła, były dla nas katuszą. Mimo modlitw i postów nie byliśmy w stanie przestać o niej myśleć. Ani oderwać od niej wzroku, gdy w zwiewnej sukience nachylała się nad studnię i nosiła wodę dla zwierząt. W końcu któregoś dnia znikła bez pożegnania.

Głupi paparzy nic nie wiedzą o kobietach. Nawet córuchny Gefny odchodzą bez pożegnania tylko wtedy, gdy się im dobrze zapłaci. Inne zawsze czegoś chcą i zawsze mają coś do powiedzenia – pomyślał pieśniarz.

– I uznaliście, że po kłopotach – dodał na głos. – Powodów zniknięcia nikt

nie dociekał?

– Nie nam wnikać w plan przygotowany przez Stwórcę. Przez cztery lata myślałem, że to Miłosierny wysłuchał naszych prośb i zlitował się nad naszą słabością, uwalniając od pokusy. Dopiero skruszony Rudan wyznał mi niedawno, co stało się z Czarnowłosą.

– Zgwałcił ją. Nietrudno się domyślić.

Starzec lekko się zarumienił. Mówienie o cielesności wyraźnie przychodziło mu z trudem. Ainar zawsze się dziwił, że paparzy, którzy z miłości uczynili opokę swojej religii, są tak wstydlivi w stosunku do kobiet.

– Dla ciebie to oczywiste, ale dla mnicha nie do pomyślenia. I wierz mi, że nikt z nas tego nie podejrzewał. Ale masz rację. Rudan zhańbił siebie i ją. Wyznał też, że towarzyszyło mu kilku współbraci. Dali się omotać grzesznym wdziękom kobiety i w nocy zakradli się do stajni. Tam ulegli rozwiązłości i wzięli ją, jeden po drugim.

– Niech zgadnę. Wśród nich byli Nannyd i Adomnan?

– Tak. A także Blathmac i Faerghal.

– Ci tchórze? Zatem słusznie mają się czego obawiać.

– Już nie. To oni byli wisielcami, na których huśtała się Znajda. Pięciu gwałcicieli i pięć trupów. Niech Miłosierny zlituje się nad ich duszami.

Cenobita przeżegnał się.

– Sześć trupów – poprawił go Ainar. – Nie zapominaj o wędrownym mnichu. Pewnie i on był gwałcicielem.

– Pięć ofiar Uchacza i jedna twoja. Nie obrażaj mnie, geincie. Teraz, kiedy twój spór z Brodirem został ujawniony, łatwo się domyślić, kim był fałszywy mnich. Brodir może sobie zaprzeczać do woli, ale nikogo nie oszuka. Jego człowiek zakradł się tu w przebraniu na przespiegi, a sądząc po ranach na jego ciele, znalazł ciebie i twój kozik.

– Zestrzelełeś hełm z głowy drenga. Starcze otępienie nie zawładnęło jeszcze twoim umysłem. Wiesz już zatem, że waszym mordercą jest

Czarnowłosa, która mści się na gwałcicielach i – dopiero teraz fylgja trzasnęła go w pysk, przynosząc olśnienie – ojcach Znajdy. To dlatego jej matka podrzuciła ją mnie. Wiedziała, że mała będzie za mną łązić i wzbudzi strach w sercach jej ojców.

– Gdyby to było takie proste. Bo widzisz, Czarnowłosa nie żyje.

– To niemożliwe. Wielu mnichów ją widziało.

– To tylko utrapiony duch nieszczęśliwej kobiety. Nie dałeś mi dokończyć opowieści. Rudan wyznał, że po wszystkim, a może i w trakcie nierządu, kobieta zasnęła. To znaczy początkowo myśleli, że zasnęła, ale nie mogli jej dobudzić. Nie pomagało bicie po twarzy ani polewanie wodą. Jej ciało zrobiło się zimne i sztywne. Zrozumieli, że kobieta nie żyje. Biednej dziewczynie musiało pęknąć serce, gdy zawiodła się na uczciwości sług Jedynego. Sprawiedliwy wezwał ją do siebie, by wyrzuty sumienia nękały grzesznych cenobitów.

Ainar nie wierzył w ani jedno słowo. Serce nie pęka, nawet wyjęte z piersi i rzucone o skałę.

– Od gwałtu się nie umiera. Albo mnisi pchnęli ją po wszystkim nożem, albo zasnęła, znudzona ich nieporadnością.

– Wszędzie doszukujesz się zła i okazji do szyderstw, geincie. Rudan przysiągł, że nie zabili jej umyślnie, a jej serce samo przestało bić. Nie ma powodu, by w to wątpić. Jednak... – senior zawahał się, jakby nie był pewny, czy to wyjawic – jest coś, co i mnie zdziwiło. Pewnie nie ma to żadnego znaczenia, ale Rudan przyznał się do jeszcze jednej zbrodni. Gwałciciele nie zadbali o pochówek. Przestraszeni tym, co zrobili i złęknieni karą za swój występki, postanowili ukryć ciało. Wynieśli je więc do lasu, przykryli gałęziami i tam porzucili. Po kilku dniach Najmądrzejszy zesłał im jednak opamiętanie. Wrócili na miejsce zbrodni, chcąc wykopać zmarłej grób, ale jej zwłok już tam nie było. Pewnie rozszarpały ją wilki albo ktoś inny ją odnalazł i pochował.

Albo sama wstała – dodał po cichu Skald. Słyszał już o wiedźmach, które mają bardzo głęboki i niebezpieczny sen. *Seiðkvenna* – „kobiety czarów seid”, zwykle jednak nazywane inaczej: „śniące”.

– Kto jeszcze zna tę historię?

– W całości? Trudno powiedzieć. O Czarnowłosej słyszeli wszyscy, którzy tu wtedy mieszkali. Kilku młodszych mnichów, jak Finlog, domyśla się czegoś, ale cztery lata temu jeszcze nie nosili habitów. Być może opat zna wszystkie szczegóły, jeśli gwałciciele wyznali mu je na spowiedzi. Jest w końcu naszym amncharem, opiekunem duchownym. Ale nie miej mu za złe, że niczego ci nie wyjawiał. Nie mógł złamać tajemnicy spowiedzi.

– Ty mogłeś.

– Nie powinienem i wstydzę się tego. Rudan już jednak nie żyje, a w zgromadzeniu należy przywrócić ład. Jestem gotów odpokutować za swój grzech.

– Twój grzech ocali wam skórę. Odnajdę waszego zabójcę.

– Nieskończonemu niech będą dzięki! – Oengus wzniosł ręce paparskim, jakże denerwującym zwyczajem. – Zatem odkryłeś, kto nim jest?

Odkryć to jedno, odnaleźć – drugie – pomyślał Skald. W pobliżu nie było żadnej osady, żadnej samotnej chatki ani nawet ziemianki. Śniąca musiała być jednak blisko. Czuł to. Odpowiedź krążyła mu po głowie, ale ciągle się wymykała. Czarnowłosa naga piękność, pachnąca kwiatami jaśminowca i smakująca malinami. Oczywiście! Wpadłby na to wcześniej, gdyby przed oczami wciąż nie pojawiały mu się jej uda, piersi i pośladki. Mężczyźnie trudno się myśli, gdy rządzi nim nie głowa, a twardniejący młot.

Odpowiedź kryła się w malinach i jaśminowcu.

Położył starcowi rękę na ramieniu, a potem poklepał go po policzku jak niedoświadczzonego ucznia.

– Kobiety nigdy nie odchodzą bez pożegnania – zdradził mu poeta. – I nigdy nie przebaczą.

Nauczyciel mnichów, otoczony manuskryptami, w których zapisano całą paparską mądrość, nie rozumiał.

25

Umarli mieli przewagę. Było ich czterech, a żywych trzech. Wszyscy znajdowali się w oratorium i wszyscy mieli ten sam cel: zmarli starali się nie zgnić, a żywi im w tym pomagali.

Finlog nie lubił tej pracy. Robiło mu się od niej niedobrze. Opat wyznaczył do niej doświadczonego mnicha, brata Meena, który od lat wypełniał obowiązki grabarza, oraz właśnie jego, tłumacząc, że każdy młody asceta powinien zaznajomić się z kruchością ciała ludzkiego.

Towarzysz Finloga był jednym z najdziwniejszych zakonników w zgromadzeniu. Choć już w podeszłym wieku, nie dążył, by zostać ojcem mogącym odprawiać msze, a nawet nie nauczył się pisać ani czytać. Całe swoje mnisze życie poświęcił zajmowaniu się zmarłymi i nawet upodobił się trochę do nich. Był blady, wychudzony, a łysa głowa o suchej skórze przywodziła na myśl czaszkę. Jego oczy o białkach poprzedzielanych żyłkami były osadzone ponad sinymi półksiężycami zmęczonych powiek. Miał też godną pozazdroszczenia łatwość w zachowywaniu milczenia. To, co dla innych cenobitów było trudnym do zniesienia obowiązkiem, dla niego było przyjemnością. Wydawało się nawet, że głośnie modlitwy i śpiewanie psalmów sprawiały mu prawdziwą przykrość.

Tej nocy księżyc i gwiazdy nie miały ochoty oświetlać wspaniałości bożego Stworzenia, więc w oratorium panowałyby kompletne ciemności, gdyby nie świece ustawione przy zwłokach.

Dwa ciała leżały już w prostych trumnach, zбитych z sosnowych desek. Rudan leżał w ciemniejszej, a tajemniczy mnich w jaśniejszej. Seniosem zajęto się już zeszłej nocy, tym drugim zaś jeszcze wcześniej. W to, że obcy był

wędrownym ascetą, wszyscy wątpili – zbyt dobrze był zbudowany, zbyt żyłaste miał dłonie i zbyt umięśnione ramiona. Ale Brodir nie chciał przyznać, że jest to jeden z jego ludzi, więc princeps zarządził, iż zmarłemu należy się chrześcijański pochówek, a ciało ma zostać przyodziane w strój, który nosił w chwili śmierci, czyli w habit.

Dwa najświeższe trupy leżały na marach rozłożonych na kamienistej posadzce. Blathmac i Faerghal. To właśnie nimi musieli się zająć tej nocy. Najpierw rozebrali ich i umyli. To drugie sprawiło im więcej kłopotu, bo nim mogli sięgnąć po szmatki namoczone wodą, musieli zeszkrobać ze skóry zmarłych grubą warstwę brudu. Jedynymi kąpielami, których za życia zażywali asceci, były pokutne – i bardzo rzadkie – przesiadywania w lodowatej albo wrzącej wodzie. Teraz widać było tego skutki.

W czyste już ciała wtarli olejek. Zużyli cały dzbanek, smarując tłuste brzuchy, choć te i tak były mniejsze niż za życia mnichów. Śmierć przyniosła im właściwszy dla ascetów wygląd. Widać to było zwłaszcza po ich twarzach, niegdyś pulchnych, teraz o zapadniętych policzkach – wyglądały tak, jakby ktoś naciągnął skórę na czaszkę, zapominając o tłuszczu.

Gdyby Finlog miał jakiegokolwiek wątpliwości co do istnienia duszy, teraz by się ich pozbył. W matowych oczach nie widział śladu życia, w ogóle trudno było uwierzyć, że te ciała kiedyś mogły się poruszać. Jeśli człowiek byłby tylko machiną napędzaną przez oddech, po śmierci po prostu przestawałby działać – jak wóz z zepsutymi kołami – a jego wygląd by się nie zmieniał.

Przystrzygli im brody i paznokcie. Palce zdążyły już zsinieć i zeszywnieć.

W pracy ciągle przeszkadzała im Znajda, która była trzecim żywym w świątyni. Odprawiająca pokutę dziewczynka niemal całą noc płakała. Zdumiewające, ile łez może się mieścić w tak malutkim ciele. Tuż przed północą, w *intempesta nox*, dostała kolejnego ataku rozpacz.

– Ja chcę spać, wujku Finlogu – wychlipała.

Młodzieniec, zgodnie z zaleceniem opata, starał się nie zwracać uwagi na

narzekania pokutnicy. Przyglądał się grabarzowi, który kościaną igłą nawlekł ucho na nić i szykował się do jego przyszycia do głowy Blathmaca.

– Ja chcę jeść, wujku! – tym razem krzyknęła i znów zaszlochała.

Finlog poszukał wzrokiem zgody towarzysza. Brat Meen nie był wtajemniczony w plan Oengusa, ale płacz dziecka bardzo go drażnił. Pozwalał więc od czasu do czasu uspokoić Znajdę. Także i tym razem skinął głową, więc Finlog zerwał się z kolan i podszedł do dziewczynki.

Trzylatka stała w misie z zimną wodą i rękami rozpostartymi tak, by jej ciało przybrało kształt krzyża. Oczywiście, nikt nie oczekiwał, że dziewczynka z własnej woli wytrzyma w takiej pozycji całą noc, dlatego przywiązano jej rękę do długiego kija położonego na barkach.

– Ja chcę do taty, wujku! – zawołała.

– Jeszcze nie teraz, dziecko. – Pogłaskał ją po głowie i dodał: – Musisz odmawiać paciorek, którego cię nauczyłem. Pamiętasz?

Podczas pokuty *vigilia crucis* mnich powinien cały czas odmawiać loriki i śpiewać psalmy. Tyle tylko że dziewczynka nie umiała się modlić. Nauczono ją więc szybko tylko dwóch słów, ufając, że Ojciec wybaczy jej nieznamość reszty modlitwy.

– *Pater noster*? To głupie jest, wujek. Nie wiem, co to znaczy.

– Mówiłem ci. To słowa „Ojciec nasz”, początek modlitwy do naszego Ojca w niebie.

– Moim tatą jest Ainar. A on mówi, że trzeba dużo spać. Jak się dowie, że nie śpię, będzie zły. I zbije niedobrych paparów.

Finlog sam miał ochotę to zrobić. Mnich, który z własnej woli przyjmuje pokutę, to jedno, ale dziecko, które nie wie, czym jest skrucha, to co innego. Zresztą ani przez chwilę nie podejrzewał, że dziewczynka może mieć coś wspólnego z zabójstwami. Wystarczyło spojrzeć w te jej niewinne, migdałowe oczy.

W myślach pobił już brata Meena, który z niewzruszoną miną słuchał

płaczu, a także, a może przede wszystkim, ojca Senacha, którego jeszcze do niedawna uważał za surowego, acz sprawiedliwego mistrza pokut.

– Bądź grzeczną dziewczynką i módl się. Bo usłyszysz cię ojciec Senach i znów tu przyjdzie.

– Zły, niedobry papar z kijem?

Tak, ten okrutny sarabaita, który z trudem ukrywał radość, gdy patrzył na cierpiące dziecko. Przychodził trzy razy na każdą wigilię nocy, a kiedy widział, że dziewczynka nie mówi modlitwy lub tylko ją szepcze, brał do ręki gałązkę wierzby i smagał ją po plecach. Finlog miał ochotę wziąć tę witkę i owinąć mu ją wokół gardła. Ale nie mógł nic zrobić, dopóki Oengus nie rozmówi się z Ainarem.

Zerknął przez ramię. Grabarz dalej zajęty był szyciem, Finlog sięgnął więc do miski, w której stała Znajda, zaczerpnął garść wody i podał ją dziewczynce. Wypiła zachłannie. Obejrzał się jeszcze raz, upewniając się, że nikt nie patrzy, i spod habitu wyjął kawałek sera.

– Jedz – szepnął – tylko szybko.

Dziecka nie trzeba było ponaglać. Jeszcze kończąc przeżuwać, wróciła do *Pater noster*, a Finlog do pracy przy trupie.

Grabarz akurat zabierał się do przyszywania ucha Faerghalowi. To ucho było w nieco gorszym stanie niż poprzednie, choć i tamto wyglądało jak ochłap i ledwo przypominało ludzki organ słuchu. Brakujące uszy Blathmaca i Faerghala znaleziono zaraz po tym, jak odkryto wisielców. Leżały w celi obok poplamionego krwią lekcjonarza i drewnianego krzyża. Wyglądały tak, jakby ktoś je zmiażdżył butem albo jakiś zwierz przeżuł je w pysku i wypluł.

Po krawieckiej robocie mogli w końcu ubrać ciała. Finlog przyjął to z ulgą. Nadzy mnisi – o obwisłej skórze i piersiach oraz plecach obficie porośniętych siwiejącymi włosami – wyglądali mało świątobliwie. Nawet krew chciała uciec z ich brzydkich ciał, gromadząc się w wargach oraz palcach rąk i nóg.

Meen i Finlog mieli nałożyć na nieboszczyków świeżo wyprane habitury – tak

czyste, jakich pewnie nie dane im było nigdy nosić. Strój żyjącego ascety powinien być odbiciem jego pustelniczego, pełnego pracy i umartwień życia, ale przed Najwyższym Sędzią każdy mnich winien stanąć w odświętnym ubraniu.

Grabarz, jako że był silniejszy, podnosił golasów do pozycji siedzącej, a Finlog wkładał im habity przez głowę. Ciała nie były lekkie, więc zajęło im to kilka pacierzy. Jeden ze strojów okazał się trochę ciasnawy, więc by wciągnąć go na Blathmaca, musieli naciąć nożem materiał na plecach.

Gdy skończyli, do oratorium wszedł Senach. Poruszał się cicho, jakby się skradał. Wysoki mnich był tak chudy, że nawet pomimo opinającego jego ciało habitu dało się zauważyć zarys żeber. Bose stopy wydawały się skupiskiem kosteczek, które w kupie trzymała tylko wysuszona skóra. W żylastych dłoniach trzymał cebrzyk z wodą. Brzydka twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, zapadłymi oczodołami i gęstymi od starości brwiami zwieńczona była jajowatą łysiną. Finlog obserwował z trwogą, jak mnich zbliża się do dziewczynki.

Znajda, która stała tyłem do wejścia, nie zauważyła go, aż podszedł do niej i krzyknął do ucha:

– Cichutko się modlisz, dziecinko! Miłosierny może cię nie usłyszeć.

Wystraszona trzylatka aż podskoczyła i natychmiast się rozryczała, zapominając o słowach modlitwy. Chudzielec pogłaskał ją po głowie i powiedział uspokajająco:

– Płacz, grzesznico, płacz. Żałuj za swoje grzechy.

– Ja żałuję – wydusiła, połykając łzy – że tata nie bawił się z tobą w zgadywanki. Głupi, niedobry papar!

– Niedobrze. – Chudzielec pokręcił głową, ale wcale nie wyglądał na zawiedzionego. – Zły duch jeszcze od ciebie nie odstał. Musisz się modlić i odczuwać ból. Cierpienie oczyszcza duszę jak ogień.

– Ogień? Taki ciepły? To dobrze, bo mi jest zimno.

– I będzie ci jeszcze bardziej, grzesznico. Zimno jest prawie tak samo dobre jak ogień.

Chudy cenobita podniósł wiadro i wylał jego zawartość na głowę dziewczynki. Finlog domyślił się, że była to lodowata, trzymana w piwnicy pod kościołem woda święcona. Znajda rozplakała się jeszcze głośniej.

Finlog rozkoszował się myślą, jak wspaniale byłoby podbiec do łąsola i walić jego głową o posadzkę, aż wąskie przestrzenie między kamieniami wypełniłyby się strumieniami krwi. Był grzesznikiem i czuł, że nawet jego sumienie nie powstrzymałoby go od morderstwa, gdyby nie słowo dane Oengusowi. „Bez względu na to, co będzie się działo, nie pomagaj dziewczynce, dopóki Ainar nie przystąpi do działania” – nakazał mu siwy senior.

– Ja chcę do taty. Wujku Finlogu, zabierz mnie do taty – jęczała mała, która zaczęła drzeć z zimna.

– Twój tata to morderca i geint. Wisi pewnie teraz na jakiejś gałęzi, a jego duszę trawi ogień piekielny.

– Głupi papar kłamie. Ja chcę do taty.

– Módl się, grzesznico.

– Ja chcę do taty.

– Mamy tu sposoby na takich, którzy nie chcą oddawać czci Sprawiedliwie Karzącemu.

Ojciec Senach, najchudszy spośród seniorów, sięgnął po leżący nieopodal kij z wierzby i wygiął go dla próby, sprawdzając giętkość. Zadowolony, wziął zamach i uderzył w plecy dziewczynki.

Krzyk dziecka nie może być miły ani Bogu, ani nawet tym brutalnym bożkom Finn-Gallów – pomyślał Finlog. Łzy napłynęły mu do oczu. Zacisnął pięści, marząc, by móc młócić nimi po twarzy Senacha, aż oczy starca spuchną, a nos wejdzie w czaszkę. Rana na dłoni młodzieńca otworzyła się pod wpływem wysiłku i opatrunek zabarwił się krwią. Grabarz zauważył jego minę i musiał

chyba odczytać krwiożercze myśli, gdyż pokręcił głową, jakby chciał go ostrzec przed zrobieniem głupstwa. Finlog znów przypomniał sobie o obietnicy złożonej Oengusowi.

Wiedział, gdyż nie raz sam to odczuł, że uderzenie kija na mokre plecy boli bardziej niż na suche. Koszula łatwiej przykleja się do rany, a przy każdym kolejnym razie materiał odrywa się, powodując dodatkową mękę.

Po trzech uderzeniach dziewczynka się ugięła i zaczęła krzyczeć: *Pater noster!*

Zadowolony Senach oparł kij o ścianę, by dziecko go widziało, i wyszedł z oratorium.

Nie czekając na przyzwolenie grabarza, Finlog zerwał się z kolan, doskoczył do małej i zarzucił jej na plecy szmatę, którą przed chwilą na sucho wycierał nieboszczyka.

– Zimno mi, wujek – szepnęła Znajda, wstrząsana dreszczami.

– Wiem, malutka. Wiem.

Najdelikatniej jak umiał wytarł ją do sucha.

– Musisz być dzielną dziewczynką i mówić paciorek. To taka zabawa w papara. Zrób to dla taty. On lubi odważne dziewczynki.

– Ja już nie płaczę, wujek – oznajmiła, choć jej oczy przeczyły słowom.

– Bracie Finlogu. Obowiązek wzywa – obwieścił Meen.

Siedmiopalczasty mnich poklepał dziewczynkę po ramieniu.

– Módl się, dziecko – poprosił i wrócił do zwłok.

Zakonnicy, chociaż chudsi niż za życia, i tak byli ciężcy. Finlog brał ich pod ramiona, a grabarz za nogi. Stękając, zdołali ich jednak podnieść i ułożyć w przygotowanych trumnach. Grabarz, jako ten bardziej doświadczony, wygładził habity nieboszczyków i splótł ich dłonie, by wyglądali na modlących się przez sen. Młodzieniec zajął się resztkami włosów na głowach zmarłych, układając je tak, by nie zasłaniały tonsury. Na piersiach położył im proste krzyże zrobione z gałązek.

Gdy skończyli, była już *media nox*. Do świtu pozostała jeszcze jedna, może półtorej hory. Teraz pora na czuwanie przy zwłokach. Choć samotność była towarzyszką życia ascety, to po śmierci, a przynajmniej przed złożeniem do ziemi, każdy mógł liczyć na współbraci.

Finlog uklęknął po prawej stronie Znajdy, grabarz zajął pozycję po lewej. Wszyscy troje byli obrócenii tyłem do nieboszczyków, a patrzyli na wielki krzyż zawieszony nad kamiennym ołtarzem. Mnisi odmówili wspólnie jedną z lorik, dając dziewczynce chwilę wytchnienia:

Ni artu ní nim

ni domnu ní muir...

Nic nie jest wyższe niż niebo,

nic nie jest głębsze niż morze.

Przez moc Cierpiącego,

który z krzyża przemawiał,

ześlij nam pokusy i pomóż je zwalczyć.

Nic nie jest gorętsze niż słońce,

nic nie jest zimniejsze niż lód.

Przez miłosierdzie Syna

miej litość nad zmarłymi,

cierpienie zsyłaj grzesznym.

Nic nie jest szybsze niż wiatr,

nic nie niszczy skał wolniej niż fale...

Finlog słyszał już tylko swój głos. Grabarz zasnął na klęcząco i lekko pochrapywał. Za takie przewinienie penitencją przewidywał pokutę podobną do tej, którą odbywała Znajda – całonocne czuwanie w pozycji, która

uniemożliwia zaśniecie. Finlog mógłby obudzić współbrata, ratując jego duszę przed grzechem, albo wezwać ojca Senacha, by ten wymierzył karę. Nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Zaczynał wątpić w sens ascetycznego życia.

Dziewczynka nie przestawała dygotać. Wczesną wiosną noce bywają zimne, a podczas tej *nox* Stwórcy był wyjątkowo surowy. Nawet Finlog czuł chłód przenikający przez gruby habit.

Znajda próbowała modlić się głośno, ale często wychodził jej tylko szept. Cały czas zbierało jej się na płacz, dlatego słowa były bardzo niewyraźne.

To była niezła okazja. Mógłby uwolnić dziecko, wziąć je na ręce i uciec. Tylko dokąd? Za wałem czekał na nich drott Brodira. W klasztorze mnisi bali się dziewczynki niczym pięknej kobiety, więc prośenie ich o pomoc byłoby szaleństwem. Musiał czekać i liczyć na mądrość Oengusa oraz spryt Ainara.

Jedna myśl nie dawała mu spokoju. Co widziała Znajda? Pozostawił ją pod opieką Blathmaca i Faerghala, a kiedy wrócił z opatem i seniorami, huśtała się na wisielcach. Czy była świadkiem morderstwa? Jeszcze dziwniejsze było to, że nikt ją o to nie spytał. Co do jej winy nie było jednomyślności, ale niemal wszyscy zgodzili się, że dziecko musi pokutować. Jeśli nie za morderstwo, to przynajmniej za brak szacunku dla zmarłych mnichów. „Czas na pytania – prawili seniorzy – przyjdzie, kiedy pokutnica spokojnie”.

Ciekawość była silniejsza niż polecenie przełożonych.

– Jesteś bardzo dzielną dziewczynką – zgrzeszył, przerywając dziecku modlitwę.

– I wcale nie płaczę – zgodziła się.

– Widzę – starał się mówić jak najciszej, by nie obudzić grabarza. – A powiedz, czy ojcowie Blathmac i Faerghal dobrze się tobą opiekowali?

– Aha. Tylko że oni nie są dzielni. Ciągłe płakali i modlili się. I chcieli, żebym ja też mówiła paciorek. Ale nie chciałam.

– A bawiłaś się może wtedy na zewnątrz?

– Aha. A skąd wiesz? Do ciebie też przyszła mama?

Mama? Czy to możliwe, by zjawa odwiedzała ją we śnie?

– Śniła ci się mama?

– Nie śniła. To ja się jej śniłam. Ale to tajemnica. Nie wolno mi o tym mówić. Mama zakazała. Tylko tacie powiedziałam, że mama śpi.

– Wujkowi też możesz powiedzieć. Nie powtórzę nikomu.

– Nikomu? Obiecujesz?

– Słowo. Masz tu trochę chleba.

Wyciągnął pajdę z rękawa, ułamał i włożył kawałek do buzi dziecka.

– No dobra – powiedziała z pełnymi ustami. – Mama mnie odwiedziła i pokazała ręką, żebym wyszła z celi. Bo mama jest samotna i też lubi się bawić. Tylko nie lubi, jak na to patrzę. Poszłam porobić babki z błota. I widziałam wtedy wronę, która zrobiła „kra, kra”. Rzuciłam w nią kamieniem. Ale nie chciała odlecieć, to pobiegłam za nią.

Czuł, że zna odpowiedź na pytanie, które chciał zadać.

– A czy twoja mama ma czarne włosy i chodzi bez ubrania?

– Aha? Mamie jest ciepło, jak śpi. A ty skąd wiesz? Też się z nią bawiłeś?
O nie!

Dziewczynka posmutniała i znów zaszklily jej się oczy.

– Nie płacz. Wszystko będzie dobrze.

– Ale jak mama się z kimś wygłupia, to on czasem też idzie spać i już więcej nie chce się ze mną bawić. Tak jak ojciec Bla i Fae – mała nie potrafiła wymówić trudnych imion. – Jak wróciłam, już spali. Ale – Znajda uśmiechnęła się przez łzy – oni przynajmniej zrobili mi husiu busiu, to nie było tak źle. Ale ja cię lubię, wujku. I chcę, byś się mną czasem opiekował.

– A czy twoja mama często się bawi?

– No, trochę często. Ona śmieszna jest, chociaż do mnie nie mówi. A czasem bierze mnie za rączkę i pomaga znaleźć zabawkę. Ale to są brzydkie zabawki, które się lepia. Tata Ainar robi lepsze figurki z drewna.

Nie wiedział, co było gorsze. To, że jego Czarnowłosa była ladaczną, czy to, że była morderczynią. Wszystko stało się jasne. Duch jej zwyrodniałej matki zabijał mnichów, zmuszał dziewczynkę do uczestniczenia w tych makabrycznych zbrodniach i dawał jej odcięte uszy do zabawy. Rozumiał, że zjawa mogła mścić się na Rudanie, który ją zamordował, ale co zawinili jej inni mnisi? Mógł lepiej wyteżać słuch, gdy podsłuchiwał spowiedzi. I co wspólnego z tym wszystkim miał Skald?

– Rozmawiamy podczas modlitwy?

Finlogowi zadrżało serce, gdy usłyszał głos Senacha. Chudy senior podszedł ich jak dzieci. Młodzieniec kątem oka zauważył, że grabarz zdążył się już obudzić i mamrotał pod nosem kolejną lorikę. Lata spędzone w klasztorze nauczyły go budzić się wtedy, gdy przełożeni patrzyli, a tysiące modlitw wyblagały u Stwórcy umiejętność przeczuwania niebezpieczeństwa.

– To moja wina. Uczyłem dziewczynkę nowych modlitw – kłamstwa przychodziły mu coraz łatwiej.

– Doprawdy? Pacierze miłe są dla uszu Wszechwiedzącego. To powiedz, dziecko, czego się nauczyłaś.

– No – zawahała się dziewczynka. – *Pater noster*.

– Nie tę – skarcił ją Senach. – Jakąś inną.

– Inną? Ja nie umiem, wujek – dziecko znów się rozpłakało.

– Nieładnie. – Mistrz pokut cmoknął i choć klęczący do niego tyłem Finlog nie mógł tego zauważyć, to był pewny, że cenobicie zaświeciły się oczy na myśl o karze, jaką zamierzał im wymierzyć. – Brat Finlog uczy cię modlitw, a ty niczego nie pamiętasz? Pewnie jest dla ciebie zbyt miękki. Kilka kijów odświeży ci pamięć. Ból jest najlepszym nauczycielem. Wie to nawet pies, którego można nauczyć posłuszeństwa, gdy się go regularnie bije.

Wprawdzie oszukiwanie przychodziło Finlogowi łatwiej, ale skuteczność jego kłamstw nadal pozostawiała wiele do życzenia. Młodzieniec przeprosił Miłosiernego za grzech, a siebie skarcił, że uszczerbku na duszy nie zdołał

przekuć na doczesne korzyści. Za jego nieudolność będzie musiała zapłacić dziewczynka.

Senach sięgnął po kij. Wziął zamach.

Finlog zerwał się z kolan i chwycił różgę opadającą na plecy małej.

– To moja wina, ojcze Senachu. Jestem złym nauczycielem. To mnie należy się kara.

– I otrzymasz ją, bracie Finlogu. Dobrze, że upominasz się o swoje. Sprawiedliwy doceni twoją pokorę i żal za grzechy. Klękaj, módl się i czekaj na swoją kolej. Trzy kije dla złego ucznia, jeden dla nieudolnego nauczyciela. Tak stoi w naszym penitencjale, prawda?

– Tak, ojcze Senachu.

Finlog klęknął, bo cóż innego mógł zrobić. Przyznanie się do kłamstwa przyniosłoby jeszcze więcej batów nie tylko dla niego, ale, co gorsza, dla dziewczynki, która nie ujawniła prawdy.

Świst różgi i trzask uderzeń przeszedł w krzyki dziecka. Jeden, drugi i trzeci, a każdy z nich zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

Młody mnich zacisnął pięści, prosząc Wszechmocnego o opanowanie i przeprasząc za to, co miał ochotę zrobić: smagać kijem plecy Senacha, aż ciało odeszłoby od kości.

Ból, który przeszył jego kark, był niemal kojący. Najważniejsze, że Znajda miała to już za sobą. On na karę sobie zasłużył. Nie kłamstwem, które sumienie nieśmiało mu wyrzucało, ale bezczynnością, przez którą cierpieć musi dziecko. Kipiała w nim wściekłość, którą dotąd, przez trzy lata zakonnego życia, tłumił pokorą i pokutą. Pełne przygód opowieści Skalda, chwile uniesienia z Czarnowłosą, a w końcu śmiech i łzy dziecka przypomniały mu o życiu poza wałem. Przed oczami przemknęły wyrzeczenia, które poniósł w imię ascetyzmu. Zakonnik musi zostawić za sobą chłopięce marzenia, namiętność, gniew, cielesną rozkosz i wszelkie rozrywki. Jedyną pociechą powinna być dla niego miłość Nieskończonego i chwalenie Jego

imienia. Ale Finlog pragnął żyć. Kochać i nienawidzić. Krzyczeć.

Milczał jednak i kontemplował cierpienie z pokorą. Obiecał Oengusowi zachować spokój. Do czasu.

– Módlcie się – usłyszeli surowy głos Senacha. – Do świtu zostało tylko pół hory.

Finlog poczekał kilka uderzeń serca, zanim się obrócił. Po chudym mnichu pozostał tylko kij oparty o ścianę.

Wrócili do modlitw. Znajda dalej płakała, ale nie przestała powtarzać *Pater noster*. Finlog z grabarzem odmówili kilka pacierzy, a potem zaintonowali psalmy.

Grabarz walczył ze snem, Znajda z głodem i bólem kończyn, Finlog z gniewem, a nieboszczycy z gniciem chcącym zjednoczyć ich z naturą. Wszyscy razem dotrwali do *ante lucem*, brzasku.

Ich czuwanie przerwał dzwonnik, który przyszedł do kościoła, aby obwieścić wszystkim mieszkańcom klasztoru, że nastąpiła *hora prima*. Ojciec Aidan pociągnął za sznur z gorliwością godną młodzieńca, choć plecy miał zgarbione od starości, a uszy reagowały tylko na krzyk.

Manachowie zaczęli się schodzić na jutrznię. Siła i żywotność były po stronie młodych, ale bezsenność była sojusznikiem starych. Dlatego pochód cenobitów otwierali seniorzy, dając przykład pobożności młodszym, zaspanym braciom. Finlog z grabarzem zdążyli odmówić jeszcze tylko jedną lorikę, zanim wszyscy asceci, z opatem na czele, zebrali się w domu Pana.

Nabożeństwo nie różniło się niczym od poprzednich, z tym wyjątkiem, że uczestniczyło w nim dziecko. Ten sam co zawsze zestaw psalmów i pacierzy przerywany był cichutkim płaczem Znajdy. Finlog i grabarz przez cały czas modlili się u boku małej.

Po jutrzni ich służba dobiegła końca, co grabarz przyjął z ulgą, a Finlog z niepokojem. Wolałby zostać i mieć oko na dziewczynkę, ale nie mógł się spierać z opatem. Ich miejsce zajęli bracia Malo i Cathal, wierni ascetycznym

cnotom cenobici, którzy nadal odprawiali pokutę milczenia. Finlog podejrzewał, że właśnie z tego powodu wyznaczono im rolę opiekunów małej, a spory udział w podjęciu tej decyzji miał Senach, zdenerwowany gadulstwem Znajdy. Zresztą mistrz kar nadal krążył w pobliżu oratorium, gotowy wypełniać swoje powołanie biczem bożego.

Finlog dostał od princepsa nowe zadanie, które było właściwie ciągiem dalszym poprzedniego. Miał pomóc grabarzowi wykopać groby. „Nic niewarte ciała muszą stać się Jednością z ziemią i przyrodą, czyli z Naturą Stworzoną i Nietworzącą” – powiedział mu opat na odchodnym.

Zrządzeniem Opatrzności poranek był słoneczny. Zanosilo się na ciepły dzień i pracę w pocie czoła. Cmentarz nieopodal wieży nie był zacieniony żadnymi drzewami.

Wzięli drewniane łopaty. Na szczęście dwa doły zostały już wykopane poprzedniego dnia, każdemu z nich przypadało więc dziś po jednym. Bez słowa zabrali się do roboty.

Ziemia była miękka z wierzchu, ale twarda w środku, jak to bywa wczesną wiosną. Mimo to praca szła im nadzwyczaj sprawnie. Mnisi nie mieli w zwyczaju grzebać ciał zbyt głęboko w ziemi, by po sądzie Ostatecznym martwi mogli łatwo wydostać się na powierzchnię i w chwalebny pochodzie dołączyć do swoich dusz w niebie.

Starał się oszczędzać robaki, ale i tak przepołowił łopatą kilka dżdżownic. To, co pełza, nie jest miłe Stwórcy – ukrywa się przecież w mroku i unika słońca, które daje życie. Nie powinien ich więc żałować. Ale z drugiej strony wszystko jest częścią Natury. Od Jedności przechodzi w wielość i od wielości w Jedność. Z przepołowionej dżdżownicy powstają dwie, a te po jakimś czasie umierają i stają się Jednością z ziemią. Zrobiło mu się przykro z powodu tych słabych istot, które stały się przedmiotem jego jałowych rozmyślań. Musiał jednak czymś zabić nudę i oderwać myśli od tego, co działo się w oratorium.

Próbował skupić się na pracy. Wbijał łopatę z całych sił i wyrzucał do góry

tyłe ziemi, że aż trzonek się ugiął. Na dłoniach szybko zrobiły się pęcherze, a szmata na prawej dłoni znów zabarwiła się na czerwono. Pot lał się z niego strumieniami i wkrótce cały habit był mokry. Udało mu się zwalczyć ból i zmęczenie, ale z myślami nie potrafił wygrać.

Martwił się o Znajdę, o nieznośną małą o migdałowych oczach. Zadręczał się wyobrażeniami, jakie nowe pokuty mogli dla trzylatki wymyślić mnisi. Noszenie gorącego żelaza, trzymanie w dłoni gniazda os, a może gniecenie bosymi stopami żmij? Wiedział, że są one mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Znajdzie wymierzono już wyznaczoną karę i seniorzy nie zadadzą jej nowej, chyba że mała zrobi coś nierozważnego. A po dziewczynce można było spodziewać się wszystkiego.

Czas nie znał miłosierdzia i dłużył się nieznośnie. Teraźniejszości jakoś nie spieszyło się, by przestać istnieć w przeszłości, a przyszłość ociągała się, by stać się chwilą obecną. Słońce osiągnęło pierwszą ćwiartkę nieba, dzwonnik obwieścił *hora tertia*, a Finlog wykopał tylko połowę dołu.

Nie mógł już dłużej walczyć z ciekawością, troską o Znajdę i chęcią działania. Jeśli miał zostać potępiony, to jeden grzech kłamstwa więcej nie wpłynie na wysokość ogni piekielnych.

– Bracie – zagadnął Meena, który pracował zgodnie z porzekadłem, że z pośpiechu rodzą się grzechy, w związku z czym wykopał dół o połowę mniejszy od jamy Finloga. – Nie czuję się najlepiej. Obawiam się, wstyd mi przyznać... ale – chwycił się za brzuch – ...moje słabowite ciało nie nadąza za pobożnością duszy.

– I pewnie chcesz zapaskudzić nasz piękny świat? Młodzi. – Grabarz zachnął się i pokręcił głową. – Tacy rozmodleni, a gdy zobaczą zwłoki i świeży grób, ich brzuchy nie mogą się pogodzić z myślą, że wszyscy kiedyś skończymy w ziemi. Idź, skoro musisz. Tylko odejdz dalej, by smród nie obudził zmarłych. I przynieś trochę wody w drodze powrotnej albo będzie trzeba wykopać kolejny dół dla mnie.

Młodzieniec posłuchał bez szemrania, ciesząc się z własnej pomysłowości.

Wyskoczył z grobu, ale nie pobiegł w stronę wału, gdzie mnisi załatwiali swoje potrzeby, tylko w kierunku oratorium.

Szedł wolno, by nie zwracać niczyjej uwagi. W oddali zobaczył spieszącego się mnicha z naciągniętym na głowę kapturem, którego sylwetka przypominała mu Ainara. Jeśli to rzeczywiście był on, znaczyło to, że w końcu rozmówił się z Oengusem. Finlog czuł, że w takim razie i on musi przyspieszyć.

Nie mógł tak po prostu wejść do kościoła. Przystanął w cieniu kapitulacza, obserwując, czy nikt nie kręci się wokół oratorium. Nastął już *ad meridiem*, przeto większość mnichów musiała odmawiać tercję w swoich celach. Gdy młody zakonnik upewnił się, że nikt go nie obserwuje, podbiegł do świątyni i zajrzał przez szparę w drzwiach.

Zobaczył ją. Nagą, bezwstydną, tańczącą między trupami i przed dwoma mnichami niezbyt skrupulatnie zasłaniającymi oczy rękami. Promienie wpadały przez wąskie okna i podświetlały jej blade piersi i długie nogi. Czarna czupryna prawie płonęła w blasku świec. Znajda, która obróciła się twarzą do wejścia, śmiała się i powtarzała:

– Ty się wygłupiasz, mama.

Finloga zalała wściekłość. Duch wyrodnej matki bezcześcił kościelne mury, szydził ze zmarłych, deprawował dziecko i... zdradzał jego, Finloga, wypinając się przed innymi mnichami. Świętokradztwo i czyste zło, zasługujące na wieczne potępienie. Zalało go pożądanie.

Oderwał wzrok od szpary i wziął kilka głębokich oddechów. Gdy spojrział ponownie, jawnogrzesznicy już nie było. Ktoś za to soczyście klepnął go w tyłek. Obrócił się i spojrział w migdałowe oczy zjawy. Chwycił ją w pasie i zaniósł na tyły kościoła. Postawił twarzą do poświęconego muru, rozwarł jej nogi, podciągnął swój habit do góry i wszedł w nią – mocno jak ogier w klacz. Poczuł, że żyje.

A za chwilę, że umiera. Sznur zacisnął się na jego szyi i zaczął odciągać do

tyłu. Z pomocą przyszła mu Czarnowłosa, która obróciła się i chwyciła napastnika za ręce. Ucisk sznura stał się słabszy. Młodzieniec wziął zamach i uderzył przeciwnika łokciem. Konopny powróż upadł na ziemię, ale Finlog poczuł na plecach uderzenie kija. Zdołał się obrócić.

– Jak psa trzeba cię ściągać z suki! – krzyknął Senach. – Już ja cię nauczę celibatu!

Chudy ojciec uniósł kij i uderzył młodego brata w ramię. W oczach starca płonął ogień, którym w piekle każe się grzeszników. A na karach ojciec Senach znał się jak mało kto. Żyłaste ramiona przez lata wykonywały to samo ćwiczenie różgą: w górę i w dół, z nieba na plecy grzesznika sprowadzał karę Sprawiedliwego. Tyle że przez te wszystkie lata posługi mnisi przyjmowali karę z pokorą, bez cienia sprzeciwu i w bezruchu. Temu ascecie znudziła się jednak uległość.

Finlog zniósł jeszcze jedno uderzenie i oddał się we władanie gniewu. Gdy Senach ponownie wzniósł kij, młodzieniec zacisnął prawą dłoń w pięść i trzasnął go w twarz. Choć opatrunek złagodził uderzenie, większy ból poczuł pewnie Finlog w swojej zranionej dłoni niż Senach. Chudy asceta doznał jednak szoku i znieruchomiał z kijem uniesionym nad głową i niedowierzaniem malującym się na twarzy. Nie był to jednak dla niego koniec niespodzianek. Młody mnich wyrwał mu kij i zdzielił go nim prosto w twarz. Na policzkach strażnika penitencjału pojawiła się czerwona pręga. Finlog po raz pierwszy w życiu znalazł się w roli tego, który trzyma kij – i spodobało mu się to. Wziął kolejny zamach i kolejny. Zdziwiony mistrz kar nie próbował się bronić, a tylko czasami zasłaniał twarz rękami.

Braciszek bił tak mocno, że patyk w końcu się złamał. Odrzucił go i przewrócił chudego cenobitę na ziemię. Usiadł na nim i zaczął go okładać pięściami, aż poleciała z nich krew. Zaczął też krzyczeć, najgłośniej jak umiał. Wynagradzał sobie trzy lata milczenia i pokutowania. Zjawa uśmiechała się do niego.

Oengus dał mu habit. Dzięki temu mógł, nierozpoznany, przemykać po brukowanych dróżkach. Przynajmniej dopóki miał nałożony kaptur i nikt go nie zaczepi. Po wyjściu ze skryptorium minął kurnik i gęsiarnię. Kilka ptaków zagrządzających mu drogę uciekło w popłochu, gdacząc, kwocząc i machając skrzydłami w daremnych próbach wzbicia się do lotu. Na rozwidleniu wybrał dróżkę w lewo, zostawiając po prawej stronie sad i ogród warzywny. Miał szczęście, że w tej części klasztoru nie było ulowych celi, dzięki czemu panował tu mniejszy ruch. W oddali dostrzegł jedynie mnicha, który plewił grządki w warzywniaku, i ogrodnika podsypującego drzewka gnojem.

W końcu dotarł do ogrodu zielarskiego. Rosły tam niezliczone rodzaje roślin, z których tylko część była Ainarowi znana. Rozpoznał szałwię, lulka czarnego, miętę, rozmaryn, lubczyk, anyż i wrotycz. Wiedział, że z niektórych mnisi potrafią robić lecznicze wywary.

Krzaki malin tworzyły żywopłot otaczający grządki niczym mur obronny. Kwitły i owocowały, mimo iż śniegi stopniały zaledwie kilka tygodni temu. Już dawno powinno wydać mu się to podejrzane, ale uwierzył w zapewnienia opata o cudowności ogrodu, który zawdzięczał swoją świetność tajemniczym czarom paparskiego boga. Pobyt w klasztorze nie tylko go rozmiękczył, ale i stępił umysł. Miał ochotę walnąć się w łeb. Maliny rosną przecież za sprawą gówna, którym się je nawozi. O wiele za późno wyczuł smród munkowskich tajemnic.

Za zieloną, ciernistą ścianą, tuż przy wale ziemnym, stała chatka zielarza. Nie można jej było pomylić z niczym innym – na drewnianych ścianach suszyły się powieszona na sznurkach zioła. Obok domku, wzdłuż nasypu, rosły krzewy nieco wyższe od dorosłego mężczyzny. Jaśminowiec, rzadki widok w tej części świata. Podobnie jak maliny, i te rośliny powitały lato zdecydowanie zbyt wcześnie. Setki białych kwiatów wyrosło na wątych i niepozornych gałązkach, wygrywając walkę o miejsce z liśćmi o kształcie vallandzkiej

podłużnej tarczy, a swój triumf obwieszczając intensywnym zapachem, od którego ręka sama podążała do nosa, by go zatkać. Ainar dosłownie czuł, że jest blisko.

Gdy otworzył drzwi chatki, dobiegła go jeszcze silniejsza niż na zewnątrz woń suszonych roślin i świeżych warzyw. W środku było mroczno. Przez małe okienko wpadało mało światła. Przy ścianach znajdowało się wiele pojemników z ziołami i warzywami oraz dzbanki ze świeżymi malinami. Na półkach, przytwierdzonych bezpośrednio do ścian, ustawiono słoje i butelki z korzonkami w zalewie. Poeta rozejrzał się dokładnie, ale niczego więcej nie zauważył. Żadnej pryczy, żadnej śpiącej kobiety. Poza nim w pomieszczeniu nie było żywego ducha.

Już się zastanawiał, czy nie wyjść na zewnątrz i nie przeszukać składów, gdy Mimir dał mu się napić ze swojego źródła mądrości. Olśniło go. Uklęknął i zaczął macać drewnianą podłogę. Na środku pomieszczenia wyczuł kontury włazu. Podniósł jego klapę i po drewnianej drabince zszedł do piwnicy.

Panował tu jeszcze większy mrok niż na górze, choć przez otwarty wąż wpadało nieco światła. Trochę potrwało, zanim oczy pieśniarza przyzwyczyły się do ciemności. Piwniczka była prawie pusta. Znajdowały się tu tylko stopy wysuszonych gałęzi jaśminowca, ułożone przy ziemnych ścianach utwardzonych deskami. Na środku, na pryczy zbitej z desek i wysłanej szmatami, spała kobieta. Leżała na plecach, jedną ręką obejmując do połowy opróżniony dzbanek z malinami. Był pewien, że pod powiekami o długich, czarnych rzęsach kryły się migdałowe oczy, równie kruczoczarne jak długie włosy śniącej.

Wziął seidkonę na ręce, zaniósł na górę, położył na podłodze i przyklęknął obok. W świetle ocenił, że nie była tak piękna jak zjawa. Z pewnością miała w sobie coś urzekającego i czarodziejskiego, ale nie była tak zjawiskowa i doskonała jak senna mara. W jej lokach dostrzegł pojedyncze siwe włosy, a pod oczami kurze łapki. W kącikach ust, poplamionych sokiem z malin, dało się dostrzec niewielkie zmarszczki.

Całowanie zawsze pomaga, gdy chce się obudzić śpiącą kochankę. Tym razem nie podziałało, więc Ainar trzasnął ją w twarz otwartą dłonią. I to zdało się na nic. Spróbował potrząsania, krzyków wprost do ucha i szczypania, ale kobieta pozostała obojętna na jego pieszczoty. Dał za wygraną. Jej ducha musiało nie być w środku. Zastanawiał się, czy powinien zabić morderczynię na miejscu, czy jednak zanieść ją opatowi. Oszczędność czasu przemawiała za tym pierwszym, tłumiona uczciwość za tym drugim. Uzmysłowił sobie również, że jeśli kobieta się nie obudzi, nie zdoła opowiedzieć mnichom o swoich przewinach. Jego wysiłek poszedłby na marne. Poza tym nie mógł zdobyć się na uduszenie kobiety, która – na co wszystko wskazywało – była matką Znajdy.

Rozterki zakłóciło mu bicie dzwonu. Nie był to czas na modlitwę, musiało więc stać się coś nadzwyczajnego. Nim rozbrzmiał ostatni dźwięk, ujrzał zjawę. Weszła drzwiami, jakby była zwykłym człowiekiem, choć poeta był pewien, że mogłaby przeniknąć przez ścianę. Teraz, kiedy był w pełni rozbudzony, dostrzegł, że choć wydawała się tak rzeczywista, jej skóra była nienaturalnie jasna, a postać jakby trochę rozmazana. Umiejętna seidkona potrafiła dowolnie kształtować swojego ducha, nadając mu kształt widma lub niemal ludzkiego ciała.

Zjawa też go zauważyła. Popatrzyła na niego lubieżnie i zmysłowo oblizwała wargi. Dotknęła palcem ust i powoli przesuwała go w dół, kreśląc szlaczek po smukłej szyi, pieszcząc nagie piersi, zataczając kręgi na brzuchu i zatrzymując go na zarośniętym łonie.

Ainar poczuł przyływ pożądania. Zjawa dostrzegła to, ale tylko się uśmiechnęła i wskoczyła do swojego naczynia.

Kobieta otworzyła oczy.

– W końcu mnie odnalazłeś. Mała nie sprawiała kłopotu?

Jej głos był równie zalotny jak spojrzenie. Niósł w sobie obietnicę rozkoszy i tęsknotę za pocałunkami. Oengus miał rację, żaden mężczyzna nie mógłby jej odmówić.

– Znajda? Wyjątkowo grzeczna sierota.

Słumił podniecenie i skupił się na rozmowie. Przyszło mu to z trudem.

– Nie jest sierotą.

Ojciec pewnie nie żyje, a matka też wkrótce do niego dołączy. Jak więc inaczej ją nazwać? Ale Ainar nie drążył tematu. Zamiast tego spytał:

– Dzwon obwieścił odnalezienie kolejnego gwałciciela?

– Nie gwałciciela. Kochanka. Ten mi się podobał i sama mu dałam.

Niewiasta usiadła, ale i tak musiała lekko przechylić głowę do tyłu, by spojrzeć poecie w oczy.

– Nie przedstawiono nas sobie – powiedziała z uśmiechem. – Jestem Hvita.

Imię z Północy wyjaśniało, skąd kobieta знаła czary *seiðr*. Nasuwało się jednak kolejne pytanie: skąd wzięła się w tej okolicy? Choć wielu geintów przebywało w tym kraju, to większość kobiet czekała na nich w domach na dalekiej Północy. Pieśniarzowi przyszło do głowy, że mogła być niewolnicą jakiegoś hersira, który zabrał ją na wyprawę, by ogrzewała go w chłodne noce.

– Ainar, ale to już chyba wiesz. Dlaczego przysłałaś do mnie dziewczynkę?

Pokręciła głową w geście niezadowolenia.

– Jeszcze nie zrozumiałaś?

– Zrozumiałem, aż za dobrze. Chciałaś zemsty i przyznaję, miałaś do niej prawo. Zbiegła niewolnica – zgadywał – której zrobiono brzuch. Ani pan nie przyjmie jej z powrotem, ani inny mężczyzna nie weźmie za żonę. Zrujnowali ci życie. Doceniam, że nie mściłaś się od razu jak niewolnik, ale dokładnie zaplanowałaś krwawy odwet, jak prawdziwy dreng. Musiałaś tylko coś zrobić z małą, by nie plątała się pod nogami. Wykorzystałaś ją do gnębienia munków. Któż przecież lepiej nastraszy ojców niż ich bękarcka córka, spłodzona podczas gwałtu? Podrzuciłaś ją zatem mnie, krajanowi, bym włóczył się z nią po klasztorze. I poszłaś spać. A w swoim śnie kusiałaś, przypominałaś o zbrodniach, pobudzałaś wyrzuty sumienia i mordowałaś. Ukatrupiałaś

wszystkich gwałcicieli, pięciu ojców swojej córki.

– Niby skald, a głupi jak każdy mężczyzna. Nikogo nie zabiłam.

Prychnął lekceważąco.

– Nie? To co tu robisz? Mnisi cię porwali i uwięzili? Chcesz powiedzieć, że darowałaś im winy, zapomniałaś o bólu, upokorzeniu i wstydzie? Wybaczyłaś gwałcicielom, którzy porzucili cię brzemienną w lesie? A może zostałaś mniszką i zacytujesz mi fragment *Sagi o Kristosie*, ten o wybaczeniu?

– Niczego nie zapomniałam ani nie wybaczyłam. – Zalotny uśmiech nie zniknął z jej twarzy. – Ale spójrz na mnie. Wyglądam jak skrzywdzona kobieta, która brzydzi się cielesną rozkoszą?

Nie, nie wyglądała, ale Ainar i tak jej nie wierzył. Spotkał już na swojej drodze zawistne kobiety, które kłamliwymi podszeptami potrafiły skuteczniej niż bat na galerze Serkirów^[60] zmienić mężczyznę w niewolnika. Hvita była dostatecznie piękna, by być jedną z nich.

– Jasne, że chciałam się zemścić – ciągnęła podniesionym głosem. – Pięciu podstarzałych dziadów weszło we mnie wbrew mojej woli. To ohydne dla każdej kobiety. Jedyną pociechą było to, że byli wyposzczeni i szybko kończyli. Ale żeby od razu zabijać? Nie wiesz, że w naturze kobiety leży miłowanie? Nie, nie. Przemoc niszczy urodę. Od złości można osiwieć albo nabawić się zmarszczek. Takiej niewinnej kobiecie jak ja wystarczyło kuszenie, które zapewniłam wszystkim munkom. W końcu są wspólnotą i należała im się wspólna kara. Obudziłam ich poczucie winy, a resztę załatwili sami. Z radością obserwowałam, jakież to męki sobie wymyślali. Każdy z nich spędził wiele godzin na moczeniu dupy w lodowatym strumieniu albo we wrzącej wodzie! Przez miesiące pościli, leżeli krzyżem na ziemi i biczowali się. Tak się umartwiali i krzywdzili, że nie zdołałabym wymyślić lepszych kar. Nie jestem przecież tak twórcza jak skald.

Było w tym sporo racji. Zemsta jest jednak jak lawina śnieżna, która zatrzymuje się dopiero na samym dole, niszcząc wszystko po drodze. Ainar nie

wierzył, by matka, kobieta owładnięta namiętnościami, potrafiła nad nią zapanować. Noszące spódnice nigdy nie zapominają, a w złości potrafią być okrutniejsze niż mężczyźni.

– A może jeszcze sami się zabili, uprzednio ucinając sobie uszy?

– Nie bądź śmieszny. Zabójca naprawdę istnieje. Tyle że nie ja nim jestem. Bo widzisz, twoje błyskotliwe wywody oparłeś na dwóch błędnych założeniach.

Poeta był pewien, że zaraz usłyszy kolejną wymówkę. Znał już wcześniej gospodynie, które gadulstwem i sprytem potrafiły wmówić mężczyznom, że powinni dzielić z nimi obowiązki domowe. Poza tym tchórzostwo jest wrodzoną cechą kobiet, które powiedzą wszystko, byle tylko nie przyznać się do winy. Postanowił jednak dalej ciągnąć tę grę. Hvita go zaciekała.

– W życiu pomyliłem się tylko dwa razy. Raz, zabijając nie tego bliźniaka, który mnie obraził, a drugi, wchodząc do łóżka nie tej dziewczyny, która mnie zaprosiła. Jestem więc bardzo ciekawy, jakimi to, twoim zdaniem, wadliwymi „słupami” podparłem mój niedoskonały osąd?

– Po pierwsze takim, że to jeden z mnichów jest ojcem dziecka.

Niewiele to zmieniało. Choć nie byli ojcami, i tak zgwałcili Hvitę. Miała za co się mścić. Z ciekawości zapytał jednak:

– A kto nim jest?

Spojrzała na niego karcąco, jak żona na pijanego męża.

– Naprawdę nie wiesz? Przecież dziewczynka ci to powiedziała.

Ainarowi zadrzało serce. Wmawiał sobie, że to nie może być prawda, choć czuł, że jest inaczej. Przestraszył się.

– Ale – uzmysłowił sobie z ulgą – ja cię nie znam. Nigdy wcześniej cię nie spotkałem!

– Nie. I tu dochodzimy do twojego drugiego błędnego założenia. Bo widzisz, ja wcale nie jestem jej matką, chociaż opiekuję się nią dostatecznie długo, by mała mnie tak nazywała.

Teraz poeta niczego już nie rozumiał. Dlaczego wymyślała te kłamstwa? Dlaczego go dręczyła? Dlaczego zjawiała się w klasztorze z cudzym dzieckiem? Pytania kołatały mu się po głowie, a odpowiedzi nie przychodziły. Bał się, że Hvita ma rację, choć część niego, ta dawno temu ukryta, cieszyła się z tego.

Nie wiedział, co powiedzieć.

– Zatem kto? – po dłuższej chwili zadał najgłupsze z pytań.

– Durny jak każdy mężczyzna. Przyjrzałeś się jej chociaż? Nie przypomina ci kogoś? Tak bardzo chcesz zostawić za sobą przeszłość, a ona wciąż cię dogania.

Wspomniał czarne włosy dziewczynki, jej trójkątną, urokliwą twarz i niebieskie oczy. Oczy, których kolor nie różnił się od koloru oczu tysięcy innych mieszkanek Północy, ale miały w sobie coś znajomego, wyjątkowego. Iskierkę odwagi, bezczelności i sprytu. Oczy, które musiała odziedziczyć po matce.

– Halfrida – wypowiedział to imię z troską i tęsknotą, której istnienia nawet nie podejrzewał. – Gdzie ona teraz jest?

– Nie żyje. Ale opowiedziała mi swoją historię. Po tym, jak zaszlachtowałeś jej ojca, jej bracia przejęli majątek i chcieli ją wydać za mąż. Tyle że już była brzuchata. A to, jak sam mądrze spostrzegłeś – położyła nacisk na „mądrze”, podkreślając, że miała na myśli coś przeciwnego – nie pomaga w znalezieniu męża. Postanowiła, głupia, uciec z domu i cię odnaleźć. Wmówiła sobie, że cię kocha. Takiego łotra, mordercę i złodzieja. – Pokręciła głową w niedowierzaniu. – Łatwo było ruszyć twoim tropem, choć już znacznie trudniej cię odnaleźć. Wielu o tobie mówi, a jeszcze więcej cię przeklina. Halfrida dotarła dość daleko, do Dyflinnu. Tam się poznałyśmy.

Przypomniał sobie wszystko. Wspólną noc. Poetycki pojedynek z jej braćmi, Sjolfem i Gunnarem. Walkę o srebro. I to, jak wbija miecz w zaskoczonego jarla Haralda, ojca Halfridy. Swojego niedoszłego teścia.

– Jak zmarła?

Jego słodka, dzielna Halfrida. Ukochana, którą zdradził.

– Obchodzi cię to? Zdechła z głodu w rynsztoku, została pchnięta nożem, wpadła do morza. Jakie to ma znaczenie?

W jakiś sposób miało.

– Powiedz.

Hvita spojrzała mu w oczy.

– W moich ramionach. Na kaszel. Miała dobrą śmierć kobiety. Wcześniej kazała mi przysiąc, że cię odnajdę i oddam małą. Kazała ci też przekazać, byś wymyślił jej ładne imię. „W końcu jest skaldem – powiedziała – zna się na słowach”.

Długo milczał.

– Dziękuję – powiedział w końcu. – Za to, że byłaś z nią do końca.

– Nie dziękuj, Skaldzie. Radziłam jej, by o tobie zapomniała albo, jeszcze lepiej, wynajęła zabójcę, który ciebie dorwie. I by wróciła do domu. Ale nie słuchała. Polubiłam głupią i pomagałam jej. I wypełniłam wolę umierającej.

– Ale... co ja mam zrobić z tym dzieckiem? – Zawahał się. – Może chcesz je zatrzymać?

Nie uchylił się ani nie zasłonił. Przez bardzo krótką chwilę czuł się jak papar, który wie, że należy mu się kara. Dłoń Hvity plasnęła go w policzek.

– Jej matka przebyła pół świata, byś mógł poznać córkę! Nie myśl sobie, że skoro przez rok opiekowałam się bachorem i tłukłam się z nim aż tutaj, to teraz będę go wychowywać! Twój kutas, twój problem.

Ainar nie planował mieć dzieci. Nigdy. Zdawał sobie sprawę, że może jakieś zrobić, ale żadnego nie zamierzał uznawać. Opanował wiele umiejętności, ale na ojca z pewnością się nie nadawał. Sam nienawidził swojego. Dziewczynka wzbudzała w nim mieszane uczucia. Polubił ją. Była bystra, sprytna i odważna. Zupełnie jak jej matka. Albo on sam.

Nie mógł się tak rozczulać. Jego czy nie jego, to wciąż tylko nieznośna dziewczynka. Później będzie się nią martwić. Teraz musiał się czymś zająć. Obojętnie czym, byle tylko wypełnić głowę innymi myślami. Najlepiej, by wiązało się to z zabijaniem. Przypomniawszy sobie o Brodirze i pomocy, jaką ten otrzymał od braci Halfridy. Trzej zniewieściali nidingowie – Sigvat, Skapti i Soti – ociągali się z zemstą za śmierć ojca i z pomocą dla siostry, ale spieszo im było zająć ojcowiznę. Nie mógł ich za to ganić, ale zabicie ich sprawiłoby mu wiele radości. Byli jednak daleko, a w pobliżu miał pełno wrogów, na których mógł stępić miecz.

– Przyjmijmy zatem, że nie jesteś matką, a żaden mnich nie jest jej ojcem. To jednak niczego nie zmienia w sprawie morderstw. Nadal miałaś powód, by nienawidzić mnichów, by ich gwałcić, okaleczać i dusić ich własnym sznurem od habitu. Symbolem ich czystości i pobożności.

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię, żelazna pało? A jak myślisz? Kto mnie tu wpuścił, kto karmił malinami, kto namówił, bym podsycala wyrzuty sumienia mnichów?

Zrozumiał. „Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha” – jak mówiła *Saga o Kristosie*, którą czytali mnisi. Kto nie słucha, łamie regułę – i nie zasługuje na uszy.

27

Najpierw poszedł po miecz. Znudziło mu się to śledztwo. „Gniew to grzech” – mawiał opat, Ainar grzeszył więc straszliwie. Zamierzał zabijać. Karać tak, jak umiał najlepiej. Ucinać ręce, rozcinać brzuchy, rozwalać łby. Nienawidził, gdy ktoś się nim bawił. Figurka planowała ostro odpłacić rzeźbiarzowi.

Broń miała być w wieży, jak powiedział Oengus, poeta skierował się więc w tamtą stronę. Nie miał już ochoty bawić się w przebieranki. Idąc, rozerwał

habit i rzucił szmaty za siebie. Nie rozumiał, jak mężczyzna może chodzić w sukience, która na dodatek krępuje ruchy. W jego rodzinnym Östlandzie za taki hańbiący ubiór żona mogła zażądać od męża rozwodu, a nawet bezkarnie uciąć mu młot, gdy spał.

Krocząc po brukowanych drózkach w swoich niebieskich spodniach i czerwonym kyrtyllu z krótkimi rękawami, z łatwością został rozpoznany przez kilku mnichów. Tchorze uciekli przed nim jeszcze szybciej, niż poprzednio zrobiły to kury i kaczki. Pewnie pognali zawiadomić opata. To już go jednak nie obchodziło.

Do wieży dostał się po drabince sznurkowej, czyli lichym sznurku z witek wierzbowych z węzłami umiejscowionymi w równych odstępach, który zwisał z niewielkiego okno-wejścia.

W środku kamiennej wieży znajdowała się wysoka drewniana konstrukcja – naliczył, że ma aż pięć pięter, wyznaczanych podłogami z desek. Do każdego piętra prowadziły drewniane schody i na każdym leżały skrzynie z prowiantem i różnorakim sprzętem. W takich wieżach paparzy chronili się przed napadami rabusiów i dlatego budynki musiały być odpowiednio przygotowane do długotrwałych oblężeń.

Tak jak mu powiedziano, broń oraz cały swój dobytek znalazł w skrzyni na drugim piętrze. Wziął, co jego i przeszukał resztę skrzyń. Znalazł solidną włócznię, saksa oraz hełm. Zatem nie samymi kijami bronili się mnisi, gdy atakowali ich zbrojni.

Nie zamierzał taszczyć ze sobą ciężkich juków i siodła. Nie miał również ochoty wracać po nie. Zabrał je więc do wyjścia, włożył do kosza i spuścił po linie na ziemię. Widział przedtem, że w taki sposób paparzy wnosili i znosili towary. Chwycił jeszcze po drodze kawałek szarej płachty i zszedł po drabince. Przeniósł swoje rzeczy na tyły wieży, gdzie niedawno zakopał okucia manuskryptu, po czym przykrył je szarą tkaniną, by nie przyciągały uwagi.

Jedno trzeba było przyznać munkom. W chwilach trwogi nie chowali się po

dziurach jak szczury, ale zbierali w jednym miejscu. Nietrudno było zgadnąć gdzie. Mnisi są niczym pszczoły, jak mówił mu abbas, dlatego teraz owadziom zwyczajem przybyli do największego z uli, by bżyczeniem oddawać cześć swojemu boskiemu władcy. Poeta skierował się zatem w stronę oratorium.

Nikt nie zagroził mu drogi. Żadna pszczołka nie wyleciała, by osłaniać swoje domostwo. Paparowie może i lubili naśladować owadzie rytuały, ale nie posiadali żadeł, by się bronić.

Dzwon bił jak oszalały. Śpiewy i modlitwy munków słyhać było z daleka, a z każdym krokiem stawały się coraz głośniejsze. Gdy dotarł do świątyni, głowa bolała go już od hałasu. Wszedł do środka po geintowsku, otwierając drzwi kopniakiem.

Żaden z mnichów nie odwrócił ku niemu głowy.

Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że w kamiennym domu zebrali się naprawdę wszyscy munkowie. Opat nie żartował w sprawie wielodniowych modłów i postów. Pieśniarz poznał to po wyglądzie mnichów, którzy aż słaniali się na nogach z wycieńczenia. Wiedział, że nawet za kasznięcie podczas pacierza asceta musiał pokutować. Dlatego nie zdziwił się, że nikt się nie wiercił. Przypuszczał też, że wszyscy będą udawać, że go nie ma, dopóki im nie zagrozi.

Na środku kościoła leżały cztery trumny z odsłoniętymi wiekami. Ustawiono je tak blisko siebie, że ledwie można było się między nimi precisnąć. Nieboszczycy w drewnianych łóżach udawali, że przysypiają podczas modlitwy, tak jak pewnie nie raz zdarzyło im się robić za życia podczas nudnych paparskich nabożeństw. O dziwo zmarli nie cuchnęli, ale pachnieli ziołami.

Po bokach, wzdłuż ścian, stali asceci z dłońmi ukrytymi w rękawach i głowami skrytymi pod kapturami. Było ich tak wielu, że nawet stojąc bark w bark, ledwo mieścili się w kościele, a przejście, które pozostawili na środku świątyni, było wąskie na dwóch drengów.

Przy kamiennym stole, nakrytym białą tkaniną, stał opat, który prowadził modlitwę. Czy dzisiejsze spotkanie było mszą, czy tylko zwyczajowymi lorikami, Ainar nie wiedział. I nie obchodziło go to. Jego uwagę przykuło coś innego. Przed ołtarzem znajdowały się dwie osoby. Ta z lewej wydała mu się znajoma, choć widział tylko jej plecy i łysinę na czubku głowy. Musiał to być Finlog. Młody mnich leżał twarzą ku posadzce. Stopy miał związane, a rozpostarte ręce unieruchomione dwoma płaskimi gładzami przygniatającymi mu przeguby. Na jego plecach mnisi urządzili sobie palenisko, rozżarzone węgliki przykrywały cały tułów. Dym i zapach spalenizny świadczyły, że w wielu miejscach przepaliły habit i dostały się do skóry. Zrobiło mu się żal naiwnego głupca, choć nie był pewny, czy Finlog sam zgłosił się do tych katuszy, czy został na nie skazany.

W drugiej osobie rozpoznał Znajdę. Dziewczynka pokutowała w pozycji stracha na wróble. Miała nawet kij, do którego przywiązano jej rozprostowane ręce. Nogi zanurzone były w misie z wodą, zapewne lodowatą, sądząc po dreszczach, jakie targały dzieckiem. Plecy nosiły ślady bicia.

Zalała go krew. Nie powinien słuchać Oengusa, który zapewniał, że małej nie dzieje się wielka krzywda. Należało posłuchać przecucia, przyjść tu wcześniej i pobić każdego papara, który stanąłby mu na drodze. Opuściło go współczucie dla Finloga. Młody munk miał się zaopiekować dziewczynką, a nie iść na męki razem z nią. Już nigdy nie zaufa mężczyźnie w sukience.

Zacisnął pięść na drzewcu włóczni, aż mu kłykcie zbieleły. Uniósł broń i wziął zamach zza głowy. W kościele było ciemno, a dym ze świec drażnił oczy, przez co ubrany na czarno cel z uniesionymi rękami był rozmazany. Poeta rzucił włócznią i chybił. Żeleźce otarło się o habit pod pachą opata i uderzyło z brzękiem o kamienną ścianę. Dopiero teraz wszyscy zwrócili uwagę na geinta.

Mnisi zagrodzili mu drogę. Ci, którzy stali najbliżej środka kościoła, niewiele do tego potrzebowali – w pomieszczeniu było tak ciasno, że wystarczyło zrobić dwa kroki, by znaleźć się między Skaldem a opatem. Kilku

unosło psalterze, jakby myśleli, że książka może powstrzymać miecz. Głupi paparzy. Inni zaczęli się żegnać z jeszcze większą niż dotychczas żarliwością. Dwóch ściągnęło kaptury i odsłoniło znajome Ainarowi gęby. Byli to ludzie Brodira, którzy teraz sięgnęli pod habity i wyjęli miecze. Wiedział, że prześladowca nie odpuści, gdy chwyci jego trop, i znajdzie sposób, by wprowadzić swoich drottmadów do klasztoru. Nie bardzo go to więc zdziwiło. Tak jak i to, że tchórzliwy Östmad nie pofatygował się osobiście, tylko wysłał pomagierów.

Chwycił rękojeść Kvernbita, wiszącego w pochwie przy jego boku. Stęsknił się za łatwymi rozwiązaniami. Żelazo jest proste, tak samo jak życie tego, który nim włada. Zabij lub giń, żyj lub umieraj. To jedyny wybór, jaki stoi przed drengiem, i jedyny, jakiego teraz pragnął Skald.

– Opuśćcie broń! – krzyknął opat.

Nikt go nie posłuchał. Mnisi stali blisko siebie, ale i tak było mało miejsca do walki. Poeta zdał sobie sprawę, że gdyby doszło do starcia, miecze zahaczyłyby o przypadkowych munków. Nie przejął się tym.

– Jesteśmy w domu Wszechobecnego! – krzyknął princeps. – Nie kalajmy świętych murów przemocą.

– I kto to mówi! – Ainar nie wytrzymał i roześmiał się jak szaleniec.

Wśród mnichów podniósł się szmer, ale nikt nie przesunął się choćby o pięść.

– Skaldzie! Opuść broń, a wszystko sobie wyjaśnimy! – krzyknął ktoś z tłumu duchownych.

Pieśniarz wypatrzył Oengusa, który – podobnie jak większość paparów – ściągnął kaptur, by lepiej widzieć, co wokół się dzieje. Siwy senior rozpychał się łokciami i próbował przedostać się w jego stronę. W końcu mu się to udało i stanął między Skaldem a uzbrojonymi w miecze drengami przebranymi za mnichów.

– Co robisz? – zapytał półgłosem starzec, mając chyba nadzieję, że

współbracia z tyłu tego nie usłyszą. – Miałeś przyjść do mnie, jeśli się czegoś dowiesz.

– Czas rozmów i chowania się dobiegł końca – odpowiedział, nie dbając, kto go usłyszy, ale po zdziwionych minach stojących najbliżej cenobitów poznał, że niektórzy wychwycili ich wymianę zdań.

Oengus spojrzał mu w oczy, a gdy wyczytał w nich, że nie powstrzyma poety, podniósł ręce, nakazując ciszę, i przemówił:

– Umiarkowanie jest cnotą! Proszę was zatem, współbracia, o powściągliwość i chwilę uwagi. – Przerwał, by zaczerpnąć oddechu, a następnie wyciągnął prawicę przed siebie i zaczął wodzić palcem po zgromadzonych. – Musicie wybaczyć naszemu przyjacielowi z Północy wrodzoną gwałtowność. Słabych spośród was trawi pewnie ciekawość, co robi tutaj Ainar, skoro wydaliśmy go Brodirowi. Wiedźcie więc, że to ja, razem z Finlogiem, którego nazbyt surową pokutą ukaraliśmy za pobicie ojca Senacha, uwolniliśmy Finn-Galla i ukryliśmy w muintirze.

Głosy niedowierzania i oburzenia przejęły władzę nad burzą odgłosów wydawanych przez munków. Ainar przyglądał się cenobitom z obojętną miną, a princeps obserwował wszystko z zaciekawieniem i niesłabnącą pewnością siebie, którą wyrażał lekkim uśmiechem, wyprostowaną sylwetką i władczym spojrzeniem. Uwadze Skalda nie uszło, że abbas zmienił wygląd od czasu ich ostatniego spotkania. Kiedyś jego gęste, kręcone włosy były wygolone jedynie na czubku głowy, a teraz łysina objęła w panowanie cały przód czaszki, aż do linii biegnącej od ucha do ucha. W połączeniu z czarną brodą Maelruaina ten sposób uczesania wyglądał niczym czupryny hamramirów, lubujących się w zastraszaniu wroga swoim wyglądem. Pieśniarz słyszał wcześniej, że podobnie strzygli się pradawni paparzy.

Nauczyciel mnichów po raz kolejny musiał unieść ręce, by uciszyć współbraci.

– Zrobiliśmy to – tłumaczył dalej – by poprosić go o pomoc w rozwikłaniu zagadki zabójstw. Uchacz od dawna sieje strach w naszej wspólnocie,

a rozmodlony i filozofujący opat zapomina czasami o doczesnych obowiązkach princepsa. Chcieliśmy go więc odciążyć i znaleźć sprawcę, którego on niezbyt gorliwie szukał.

Kilku mnichów skinęło głowami na znak zgody, a głosy oburzenia przycichły.

– Wnosząc po jego nieoczekiwanym pojawieniu się, Skald musiał się czegoś dowiedzieć i przybywa, by podzielić się z nami swoją wiedzą. Prawda? – Opiekun szkoły klasztornej wskazał palcem na poetę.

– Zgadza się – odpowiedział nagabywany. – Odnalazłem mordercę. To ten czarnobrody munk, śmiejący się z waszej łatwowierności. Wodzi was za nosy, z równą zawziętością prawi wam kazania, jak zadaje pokuty. Ma się za jedyne i wyjątkowe, a nie różni się niczym innym od nidinga, który z kłamstwa, tchórzostwa i zniewieścienia ustanowił podstawę swojego postępowania. Nawraca geintów i napomina ascetów, a za nieposłuszeństwo zaciska pętle na szyi i ucina uszy. Jak go tam nazywacie? Opatem? Princepsem?

Wszyscy mnisi spojrzeli na Ainara z pogardą i nienawiścią, a sporo karcących spojrzeń utkwilo też w Oengusie. Zakonnicy ruszyli się z miejsc i jeszcze bardziej zbliżyli do Skalda. Niektórzy zaszli go od tyłu, ale większość obstawiła jego boki. Duchowni przepchnęli również siwego seniora tak, że ten, chcąc nie chcąc, znalazł się przy Finn-Gallu. Ainar i tak miał szczęście, że paparzy szanowali swoich zmarłych i starali się ich nie podeptać. Dzięki temu miał przed sobą tylko kilku mnichów i cztery trupy w drewnianych skrzynkach.

– Spiskujesz z geintem?! – rzucił ktoś z tłumu, wskazując palcem na Oengusa.

– Zdradziłeś abbasa – dodał ktoś inny.

Poeta nie spodziewał się, że mnisi mu uwierzą. Nie zwątpią w swojego amnchara, opiekuna duchowego, spowiednika i nauczyciela tylko na podstawie

zeznania obcego, geinta. Zakręcił młynka mieczem, by paparzy nie zbliżyli się już bardziej. Nie jest dobrze, gdy przeciwnik czuje się zbyt pewnie. Asceci przystanęli, ale ani myśleli cofnąć się. Pierwotny plan poety – zabić opata, zanim ktokolwiek zdąży mu przeszkodzić – nie był już wzorem tkanym przez norny.

Pieśniarz przykucnął, wysunął prawą nogę i lekko poruszał mieczem przed oczami munków. Teraz bardziej obawiał się ich niż ludzi Brodira. Paparów było zbyt wielu, a jak to mawiają, w tłumie nawet Magni pada na twarz. Jednak ich strach był dla niego największym sprzymierzeńcem, miał więc nadzieję, że gdy poleje się krew, rozpierzchną się jak owce na widok wilka.

– Zachowujmy się, jak przystało na mnichów! – Z dumnej postawy i władczego głosu fer leoginda nic już nie pozostało. – Na pewno wszystko można jeszcze wyjaśnić. Ainar musiał się pomylić w swoich domysłach. Prawda, Skaldzie?

– Chciałeś rozwiązania, to je masz. Nie obiecywałem, że ci się ono spodoba. Ale dotrzymam słowa. Zabiję mordercę.

By nikt nie miał wątpliwości, że nie żartuje, machnął na próbę Kvernbitem. Świst ostrza przecinającego powietrze zwykle robi wrażenie tylko na dzieciach, ale tutaj spełnił swoje zadanie. Głośny pomruk niezadowolenia odbił się echem od kamiennych ścian.

– Zaraz sam zginiesz – rzucił jakiś mnich.

Skald wypatrzył w tłumie odważnego papara i wskazał go mieczem. Takie przechwałki były niebezpieczne i podniecały tłum. Musiał zgasić tę iskrę w zarodku.

– Ty będziesz pierwszy.

Odważny, kiedy został wyłuskany z tłumy, spuścił wzrok i jeszcze bardziej cofnął się za plecy towarzyszy.

– Spokojnie. Nie róbmy nic pochopnego – trzymając się blisko Finn-Galla, siwy munk próbował jeszcze wszystkich uspokoić. – A co z Czarnowłosą?

Opowiedz o niej! Mówiłeś, że to ona powróciła i jest zabójcą.

- Mylił się – oświadczył donośny damski głos dobiegający z tyłu świątyni.
- Tak jak i ty, dziadku.

Z tych, którzy stali tyłem do wejścia, tylko Ainar się nie obrócił. Wolał mieć oko na zbrojnych, choć i oni nie odmówili sobie, by spojrzeć na nowo przybyłą.

Paparzy, tak dumni ze swojej ascezy i tak pogardzający cielesną chucią, wlepili wzrok w kobietę. Zaczęli się żegnać, a tylko w oczach nielicznych, tych naprawdę starych, nie było widać iskierek pożądania. Wojownicze zapędy mnichów ustąpiły miejsca pragnieniu miłości, choć nie tej wzniosłej, do ich martwego boga, ale tej wstydlivej, do kobiety.

Skald rozpoznał ją po głosie. A to, że takowy słyszał, świadczyło, iż Hvita zjawiała się osobiście, we własnym ciele, które, choć zakryte ubraniem, nadal musiało wabić swoim wdziękiem.

- Co tu robisz, wiedźmo? – oburzył się opat. Uśmiech, z którym do tej pory obserwował całe zajście, zniknął mu z twarzy. – Powinnaś nie żyć!

- Mówisz o tym, jak twoi mnisi zostawili mnie na śmierć w lesie?

Finlog powiedział mu kiedyś, że poczucie skruchy i wstydu jest obowiązkiem mnicha wynikającym z reguły klasztornej. A wstydzić należało się nie tylko za swoje grzechy, ale i za przewinienia współbraci. Dlatego teraz poczerwienieli wszyscy asceci, choć kilku z nich trochę bardziej od pozostałych. To dało Ainarowi do myślenia. Sprawę musiało znać więcej osób, niż było w nią bezpośrednio zamieszanych.

- Czy może o tym, jak poszczułeś na mnie Skalda? – ciągnęła Hvita.

Teraz to Ainar poczuł się jak głupiec.

- Nie działałem z jego woli. Przysięgam! – zapewnił pospiesznie Oengus, czując na sobie wyczekujące spojrzenia mnichów i poety.

Paparzy wyglądali na zmieszanych. Niektórzy patrzyli po sobie, szukając otuchy, inni zaczęli mamrotać modlitwy i nerwowo przestępować z nogi na

nogę. Niespokojnie kręcili głowami, spoglądając to na opata, to na siwego seniora i pieśniarza. Słowa geinta, obcego, mogli odrzucić. Ale jeśli także druga osoba powtórzyła zarzuty względem ich opata, odważniejsi z paparów zauważyli brud na nieskazitelnym wizerunku przełożonego. Tym bardziej że ową osobą była piękna Czarnowłosa, której nie sposób było czegokolwiek odmówić i zwątpić w jej prawdomówność. Hvita kusiła ciałem i siała zwątpienie słowami. Ainar pomyślał, że paparskie opowieści o początkach świata kryją jedną prawdę – to kobieta musiała doprowadzić pierwszych mężczyzn do zguby.

Niezdecydowany tłum tkwił w zawieszeniu. Każdy z munków czekał, co zrobi jego towarzysz, a wszyscy niecierpliwie wyglądali odpowiedzi opata. W końcu abbas rozwiązał ich wątpliwości, choć pewnie nie w ten sposób, jakiego się spodziewali.

– To prawda – przyznał. – Nie wszyscy z was o tym wiedzą, ale cztery lata temu pięciu naszych braci zgwałciło tę wiedźmę i porzuciło ją w lesie. Kiedy znów się tu pojawiła, by kusić mnichów, poprosiłem Ainara, by ją znalazł.

Uwadze Skalda nie umknęło, że opat wspomniał o porzuceniu w lesie, a nie o zabójstwie. Od początku wiedział, że Czarnowłosa żyje. Musiał zatem poznać magię seid lepiej, niż można byłoby podejrzewać po przełożonym paparów. Ainar wymienił z Oengusem przelotne spojrzenie i zrozumiał, że siwy mnich doszedł do podobnych wniosków.

– Nie ty, ojcie opacie. – Głos fer leoginda znów brzmiał władczo. – To ja wpadłem na pomysł, że winną może być Czarnowłosa i poprosiłem Skalda o pomoc. Ty byłeś zajęty rozmyślaniami nad wielością i Jednością.

Abbas roześmiał się.

– Oengusie – powiedział niemal ze szczerą sympatią. – Jesteś wspaniałym ascetą, który zrobił wielkie postępy w walce ze swoimi słabościami. Ale pragnienia władzy, zazdrości i próżności nie udało ci się całkowicie pokonać. Czy naprawdę myślałeś, że nie wiem o twoim małym spisku? O knowaniach z Finlogiem i ukrywaniu Ainara w skrytorioium? Nietrudno było dostrzec, że

czyhasz na stanowisko opata i okazję, by zniesławić mnie w oczach całego zgromadzenia. Wystarczyło, bym skłonił ojca Rudana, aby poszukał innego spowiednika, starszego i bardziej doświadczonego ode mnie, skoro moje rady nie przynosiły mu spokoju ducha. A potem spokojnie czekać, aż grzecznie poprosisz Ainara o pomoc i naprowadzisz go na ślad Czarnowłosej.

– A potem miałem ją zarzącać, nie zadając pytań – dokończył poeta.

– Do tego przecież Wszechmocny stworzył Finn-Gallów. Po cóż by inaczej tolerował istnienie plugawych i krnąbrnych geintów, którzy odrzucają jego nauki? Mnisi są powołani do służby Jedynemu, ale nie nadają się na bicz boży. Każdy ma do odegrania rolę wyznaczoną przez Opatrzność.

– Tyle tylko że Czarnowłosa nie jest morderczynią.

– Jest nią. Zabiła pobożność i cnotę, zniszczyła spokój zgromadzenia. Była przyczyną naszych kłopotów, odciągnęła świątobliwych ascetów od modlitwy i sprawiła, że złamali regułę i odwrócili się od współbraci. Bo któż z was, cnotliwi asceci, nie doświadczył w ostatnich dniach pokusy cielesnej rozkoszy?

Nikt spośród mnichów nie odważył się odezwać, choć kilku było tak starych, że jedyną pokusą mogłaby być dla nich szybka śmierć.

Ainar roześmiał się, nie mogąc uwierzyć w naiwność mnichów.

– Pokusa, Jedyny? O czym wy tu, na cycki Gefny, mówicie? Sami obracacie się tyłem, by was dowolnie hańbiono. Żadna nienazwana siła, żaden martwy bóg nie wystawia was na próbę. To wszystko sprawa princepsa, który wpuścił do klasztoru Czarnowłosą. Powiedz, abbasie, też sobie z nią używałeś?

Hvita klasnęła w dłonie, wyginając pełne, czerwone usta w uśmiechu.

– Tak! Opowiedz, ojczulku, o naszej umowie. Cóż mi wtedy przyrzekłeś? A, już wiem: „Śnij, dziecko, a obiecuję ci zemstę na twoich gwałcicielach”. Śniłam więc, zabawiając się z mnichami. A wasz dobry opiekun przychodził do mnie i karmił mnie malinami, by moje pocałunki były jeszcze słodsze dla

munków, a w odpowiednim momencie naprowadziły Skalda na mój trop. Opowiadał mi na dobranoc *Sagę o Kristosie* i udawał, że nie patrzy na moje cycki, a kutas mu nie twardnieje na mój widok. A gdy spełniłam już swoje zadanie, zamiast kolejnej porcji chleba i owoców przysłał mi kochanka z mieczem.

– Zamilcz, wiedźmo! – krzyknął wściekły opat. – Dostałaś swoją zemstę. W umowie nie było słowa, że wyjdiesz z tego cało.

Na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Mnisi potrzebowali czasu, by przetrwać to, co usłyszeli: że właśnie opat najął Czarnowłosą, a potem próbował ją zamordować. Coraz więcej zakonników zaczęło niechętnie spoglądać na abbasa i ustawiać się za plecami Skalda. Jednak już nie po to, by uniemożliwić mu ucieczkę, ale by wyrazić poparcie dla niego i Oengusa. Jedność zgromadzenia została zachwiana – paparzy podzielili się na dwa obozy.

Ainar wykorzystał zamieszanie, by ocenić słabe punkty przebranych mnichów. Ten z jasną brodą po jego prawicy trzymał miecz w lewej ręce. Pewny uścisk zdradzał, że jest doświadczonym szermierzem. Zresztą Skald wiedział o tym już od dawna. Był to bowiem Örm, najbardziej zaufany człowiek Brodira. Drugi przeciwnik, rudzielec z grubym wąsem, był praworęczny i również zręcznie trzymał broń. Wyraźnie odstawiał jednak lewy bok, co świadczyło, że przyzwyczajony był do walki z tarczą i niezbyt pewnie czuł się z samym mieczem. To mogło dać poecie przewagę.

– Ale po co to wszystko? – Oengus zakończył wreszcie milczenie. – Dlaczego ukrywałaś Czarnowłosą i pozwalałaś jej na kuszenie? Dlaczego chciałaś jej śmierci? Po co ta cała gra? Namówiłaś Ainara do pomocy, ale nie udzielałaś mu wskazówek. Kazałaś go pojmać, choć wiedziałaś, że nie jest winny zabójstw mnichów. Wydałaś go ludziom Brodira, choć chciałaś, by został uwolniony i zabił dziewczynę.

Pieśniarz dobrze wiedział po co i podejrzewał, że siwy mnich również. Dobrze byłoby jednak, by usłyszeli o tym wszyscy mnisi, nawet ci głupawi –

a może zwłaszcza oni – z ust samego opata.

– Czy to nie oczywiste? – odparł oskarżony. – Wiedźma miała być próbą dla was wszystkich, ale przede wszystkim dla pięciu naszych współbraci, którzy cztery lata temu zhańbili zgromadzenie. Ainar miał ją zabić, ale dopiero we właściwej chwili. Gdy Czarnowłosa spełni swoje zadanie, a ja skarce występnych mnichów. Na szczęście pojawił się Brodir, gotowy zająć się naszym Finn-Gallem, gdy ten znalazł się zbyt blisko odpowiedzi. Ainar robił zresztą wszystko, by zasłużyć sobie na wydalenie i ułatwić mi zadanie. Nie wystarczało mu bowiem bicie mnichów i jawne lekceważenie moich poleceń. Musiał jeszcze ukraść kodeks. Zastanówcie się zatem, czyją stronę trzymacie. Waszego princepsa czy świętokradcy?

– Niektórych mnichów pobiłem, przyznaję. Ale to i tak nic w porównaniu z tym, co zrobił wasz opat. A manuskryptu nie ukradłem – wytłumaczył się poeta, choć nie zależało mu na rozgrzeszeniu.

– Nie, nie ukradłeś. Ale go zniszczyłeś i ograbiłeś z okuć. Nie wiem, gdzie udało ci się je schować, ale jestem pewien, że to ty byłeś złodziejem. Bo kto inny mógł to zrobić? Asceci nie potrzebują bogactw. Gdy o świcie znalazłem w oratorium zniszczoną księgę, wiedziałem, że będę mógł jej użyć, by ukazać geintowską chciwość. Ukryłem ją więc w domu gościnnym i kazałem ojcowi Senachowi jeszcze raz przeszukać budynek.

Grono tych, którzy stali za Skaldem, powiększyło się o kolejnych dwóch paparów. Jednym z ostatnich, którzy trwali przy princepsie, był chudy starzec z siniakami pod oczyma i powybijanymi zębami, który trzymał wierzbowy kijek tak, jakby był to miecz. Właśnie on wyseplecił słowa, które wszystkim mnichom, kręcącym głowami z niedowierzania, cisnęły się na usta:

– Zatem przyznajesz się do winy? Knowałeś, kłamałeś, składałeś kłamliwe zeznania i zabijałeś? Kara jest miła naszemu Surowemu Sędziemu i trzeba ją hojnie szafować, a jeszcze pokorniej znosić. Ale zabójstwo jest grzechem śmiertelnym, które rani serce Miłującego. Jeśli uśmierciłeś naszych współbraci, wyznaj grzechy i padnij na kolana. Ukarzemy cię surowo, ale

sprawiedliwie.

Opat roześmiał się, wzbudzając jeszcze większe zamieszanie.

– Przyznać się do winy? Czy niczego nie rozumiecie? Zrobiłem to wszystko dla dobra zgromadzenia, podzielonego i skłóconego przez nasze występki. Chciałem jego uzdrowienia, przywrócenia jedności. I udało mi się! Co tak patrzycie? Nie widzicie, czego dokonałem? Jestem duchowym lekarzem naszej wspólnoty. A jaki jest najlepszy sposób uzdrawiania? Co twierdził rzymski mistrz Galen? Trzeba upuścić zepsutą krew! Wiedzie już, czego dopuściło się kilkoro naszych braci cztery lata temu. Nie słuchali mnie, nie przestrzegali reguły. Dali się uwieść diablicy i zrobili jej dziecko. Tę zrodzoną z grzechu dziewczynkę, którą dzięki postowi, wodzie święconej i pokucie przywrócimy Bogu.

– Nie waż się jej tknąć! – krzyknął Ainar.

Maelruain znów się roześmiał.

– Bo co mi zrobisz, geincie. Zabijesz? Głupcze, jesteś tylko trybikiem w boskiej maszynie, jaką jest ten świat. Myślisz, że po co zatrzymałem cię w klasztorze i błagałem o pomoc? By zabić wiedźmę? Z nią poradziłbym sobie sam. Zostałeś nam zesłany przez Opatrzność i omamiony przez mój spryt tylko po to, by zgładzić największego z grzeszników. To jest zadanie, dla którego się urodziłeś. Dopiero kiedy je wykonasz, mój plan uzdrowienia zgromadzenia zostanie dokończony.

Poecie wydało się to głupie. Człowiek odważny pchnąłby się sam nożem i nie zawracał sobie głowy szaleńczymi planami. Paparzy słynęli jednak z tchórzostwa, a samobójstwo uznawali za coś złego. To nawet dziwne, zważywszy na to, że ich martwy bóg podobno dobrowolnie oddał się oprawcom na śmierć.

Ostatni dwaj paparzy opuścili przestrzeń między Skaldem a opatem. Stali tam już tylko dwaj zbrojni.

– Co się tak dziwicie? – dopytywał się princeps, choć trudno było orzec, do

kogo kierował te słowa. Patrzył bowiem w górę nieobecny wzrokiem szaleńca, jakby doznał widzenia. – Nigdy nie miałem zamiaru odwrócić się od społeczności klasztornej. Muszę odbyć pokutę, bo to przecież ja zapoczątkowałem to całe nieszczęście, wpuszczając po raz pierwszy diablicę do opactwa. Jednak już niedługo zjednoczę się z moimi braćmi w Bogu, bo jakkolwiek grzeszni jesteśmy, po surowej karze znów powrócimy do Jedności. *Exitus-reditus!*

– Pycha! – krzyknął Oengus, który mianował się przywódcą stronników Ainara. – Wielką pychę zgrzeszyłeś i ona nie pozwoli ci wejść do Królestwa Bożego. Bo jakkolwiek by zbłądzili nasi współbracia, zasłużyli na surową pokutę, ale nie śmierć.

– Dobry z ciebie mnich, Oengusie, ale nie dostrzegasz planu bożego. Postem i modlitwą próbowałem ich uleczyć. Czyż nie dałem im czterech lat na odwrócenie się od grzechu? Ale te środki zawiodły. Gdy diablica pojawiła się ponownie, cała piątka znów uległa rozwiązłości. Cóż miałem więc zrobić? Nie mogłem pozwolić, by zgnilizna zniszczyła nas wszystkich. Musiałem sięgnąć po stanowcze środki. Ukarać największych grzeszników, by odstraszyć od występków innych. Tak jak ogrodnik, który wycina bezowocne i chore drzewa, by nie szpeciły ogrodu...

Ainar ziewnąłby z nudów, gdyby nie to, że nadal był wściekły. Chętnie sam trochę by porąbał, gdyż uważał się za znakomitego drwala. Nie bez przyczyny mężczyźni nazywano w poezji jego kraju drzewami. Skald wilczym zwyczajem uniósł górną wargę, grożąc kłami dwóm solidnym dębom z mieczami.

– A za to, że nie słuchali, tracili ucho. Za to zaś, że ulegli żądzom, zostali uduszeni własnym sznurem, symbolem czystości, której nie umieli zachować. Musicie jednak zrozumieć, że to nie chęć karania była moim przewodnikiem. Już dawno przebaczyłem upadłym braciom. Związek zbrodni i kary jest przecież właściwy tylko barbarzyńskim geintom z Północy. To o miłosierdziu i naszą jedność tutaj chodzi, o wspólne trwanie w cnocie i mierzenie się z knowaniami Złego. Zabiłem gwałcicieli tylko po to, by mogli szybko

połączyć się z Jednością w niebie. I mam nadzieję, że Ainar wyświadczy mi tę samą łaskę.

Drottnadowie Brodira przysłuchiwali się temu beczynnie, najwyraźniej niewiele rozumiejąc. Albo po prostu ich to nie obchodziło. Spoglądali po sobie niepewnie i wbijali oczy w poetę. Ale nie atakowali. Skald był pewien, że czekają, aż mnisi zdecydują się napaść na niego kupą. Śmierdzieli tchórzem. Nie bez powodu Örm był jednym z nielicznych, którzy przetrwali rzeź pod Jaskinią Żmii – nie miał w zwyczaju walczyć do ostatniej kropli krwi.

– Jesteś szalony – zauważył któryś z mnichów.

– Szalony miłością do was i do Boga. Odstąpcie, bracia, i pozwólcie, by geint załatwił swoje sprawy z krajanami, a potem odegrał rolę, którą mu wyznaczyłem. Ja tymczasem zadbam, by owoc naszych grzechów zjednoczył się wraz z nami w Bogu.

Kilka rzeczy wydarzyło się równocześnie. Mnisi cofnęli się do wyjścia i bocznych ścian, opat rzucił się w kierunku dziewczynki, a Hvita zemdłała.

– Zostaw moją córkę, paparze! – krzyknął Ainar, ale Maelruain go nie słuchał. Już prawie był przy dziecku i wyciągał ręce ku jego szyi.

Od Znajdy dzieliło poetę tylko siedem kroków. Siedem kroków, które miał zapamiętać do końca życia. Bez przeszkód zdołał zrobić tylko pierwszy. Po nim musiał przystanąć, by uchylić się przed poziomym cięciem rudego drenga. Drottnadowie Brodira w końcu zrozumieli, że nie mają co liczyć na pomoc mnichów, więc zaatakowali.

Drugi krok był wypadem, ale jasnowłosy Örm odbił pchnięcie.

W trzecim susie poeta ponowił natarcie. Rąbnął, tym razem rudzielca, w ramię. Praworęczny drottnad wyglądał na zdziwionego, jakby zapomniał, że lewego boku nie osłania mu tarcza. Trysnęła krew. Miecz ranego Finn-Galla zabrzączał o posadzkę. Jednego przeciwnika pieśniarz miał z głowy.

Zamiast czwartego kroku przeskoczył ostrze leworęcznego wroga. Uniknął zdradliwego cięcia w nogi i natychmiast przyklęknął. Prawie mu się udało.

Żelazo Öрма uderzyło w bok hełmu Skalda. Zabolało, ale szyszak nie pękł. Wstając, kopnął przeciwnika w krocze. Ten runął do tyłu, na trumny i mnisze trupy, trzymając się lewą ręką za krocze. Rozległ się trzask łamanego drewna. Ainar zerknął na dziewczynkę.

Princeps był już przy niej, ale zamiast udusić ją, siłował się z nagą kobietą. A raczej jej duchem. Widmo Hvity przytulało mnicha do piersi, a ten młócił rękami, próbując się uwolnić. Gdy mu się nie udało, zaczął mamrotać modlitwy wprost w śliczne piersi Czarnowłosej. Skald domyślił się, że były to egzorcyzmy, bo widmo wydawało się blaknąć.

Zrobił piąty krok, nadeptując brzuch trupa w habicie. Örm nadzwyczaj sprawnie zdążył się podnieść i uderzył znad głowy. Poeta zbił cięcie płazem miecza i sam rąbnął od dołu. Ostrze o pięść minęło bok drottmada, który odskoczył do tyłu. Jednak nie na tyle, by Ainar mógł zbliżyć się do Znajdy. Przeciwnik wyprowadził pchnięcie. Pieśniarz wykonał półobrót, pozwalając, by ostrze otarło się o jego koszulę, a następnie chwycił wroga za przegub. Wziął wysoki zamach i uderzył. Trafił dokładnie w miejsce, w którym szyja łączy się z barkiem. Siknęła krew, zalewając twarz poety. Głowa leworękiego przechyliła się w prawo, odsłaniając tłuszcz, żyły i kości. Ciało runęło do trumny, zabierając miecz Skalda ze sobą.

Ainar wciąż miał do pokonania ostatnie dwa kroki, a raczej wielkie skoki. I czuł, że przybędzie za późno. Maelruain zdołał odegnać zjawę i teraz zaciskał palce na szyi dziecka. Twarz Znajdy siniała. Jej ojciec otworzył usta do krzyku, wypuścił prawą nogę do przodu, zacisnął pięść do ciosu. Nadepnął twarz jednego ze zmarłych mnichów i usłyszał, jak miażdży kości policzkowe.

Oczy dziewczynki zmętniały, jej kolana zwiotczały. Poecie wciąż pozostawał jeszcze jeden krok, o jeden za dużo, by zdążył ją uratować. Zrobił to bowiem ktoś inny.

Nad głową Maelruaina pojawił się żelazny krzyż. Gdyby Ainar wierzył w paparskie bajania, pomyślałby, że jest świadkiem cudu. Wydawało się bowiem, że przedmiot pojawił się znikąd. A nie był to bezużyteczny kawałek

drewna, który paparzy wieszali na ścianach, ale solidny kawał metalu. Ciężki przedmiot opadł na ciemię abbasa. Ten, nieprzytomny, zwałił się z hukiem na posadzkę, odsłaniając stojącego za jego plecami sprawcę cudu – Oengusa, który udowodnił, że nie zapomniał, jak posługiwać się porządną maczugą i że krzyż nie musi służyć tylko do modlitw. Skald był prawie gotów przyznać, że ukrzyżowanie paparskiego boga w końcu na coś się przydało.

W siódmym kroku dotarł do dziewczynki i zdążył chwycić jej bezwładne ciało, zanim padło na kamienie. Przytulił małą i sprawdził, czy oddycha.

Gdy miał sześć lat, ojciec zimą wrzucił go do jeziora, mówiąc, że mężczyzna nie boi się niczego, nawet zimna i śmierci. Ainar przebywał pod lodem, macając dłońmi w poszukiwaniu przerębli, przez trzydzieści uderzeń serca. Gdy wydostał się na powierzchnię i zaczerpnął powietrza, myślał, że człowiek nie może doświadczyć większej ulgi. Mylił się.

Gdy wyczuł, że malutka pierś porusza się w górę i w dół, a serduszko wystukuje równy wiosłarski rytm, wtedy nie kamień, ale cała lawina spadła mu z serca. Uniósł głowę i skinął fer leogindowi. Po raz pierwszy w życiu szczerze komuś podziękował.

Rozejrzał się. Ostatni paparzy wychodzili z kościoła, spełniając życzenie opata. Zabrali ze sobą rannego w ramię drenga i uwolnili od pokuty Finloga. Młody mnich, w ciągle dymiącym habicie, stał chwilę, upewniając się, czy dziewczynka żyje. Zawstydzony, unikał wzroku Skalda, słusznie podejrzewając, że ten ma do niego wielki żal za niedopilnowanie Znajdy. Widać było, że Finlog nie może się zdecydować: podejść do nich czy paparskim zwyczajem przeżegnać się i uciec ze świątyni. W końcu wybrał to drugie. Jego śladem poszedł Oengus.

Hvita również gdzieś znikła. Ainar nie przejmował się nią. Wiedział, że takie kobiety zawsze sobie poradzą. I znajdą innych do dręczenia.

W oratorium został tylko on, dziewczynka, opat i trupy. Kałuża krwi na środku kościoła zaczęła już krzepnąć.

Znajda była bardzo dzielna, gdy ciągnął jęczącego mnicha za nogi. Chciała nawet pomóc i dopytywała się, czy teraz zły, niedobry papar będzie pokutował i odmawiał pacierze. Dziewczynka nad wyraz sprawnie przebierała nóżkami, zważywszy na to, że miała za sobą całą noc stania, głodówki i próbę uduszenia. Odwagę i odporność z pewnością odziedziczyła po ojcu.

– Mówiłam im – powtarzała w kółko z dziecięcą dumą w głosie – że tata po mnie przyjdzie i będzie zły. Ale tylko wujek Finlog mi wierzył.

Po drodze zahaczyli o stajnię i wyprowadzili srokatego konia Ainara. Skald posadził córkę na oklep, a ta, jak na dzielną *meykongr* – wojowniczkę z Północy – przystało, uchwyciła się grzywy i nie spadła. O wiele prościej byłoby przetrząsnąć przez koński grzbiet półprzytomnego opata, ale poeta wolał go dalej ciągnąć za nogi po brukowanych drózkach. Podobały mu się jęki abbasa oraz dźwięki wydawane przez szargany habit i ścieraną skórę.

Zatrzymali się przy wieży, gdzie Ainar pozbierał swoje rzeczy, osiodłał konia i wykopał srebrne okucia. Potem zawrócili i udali się w kierunku chlewu.

Kazał dziewczynce poczekać na zewnątrz, choć ta płakała, zaciskała małe piąstki i błagała, by jej nie zostawiał. Zdołał jej jednak wmówić, że od pilnowania drzwi zależy powodzenie ich potajemnego zadania, jakim jest nauczenie opata nowych modlitw. Wiedząc już, że nauka bywa bolesna, zgodziła się, ocierając łezki i dumnie zadzierając nosa.

Chlew nie różnił się niczym od innych pomieszczeń, w których hoduje się świnie – gnój śmierdział jak zawsze, a roje much bzycały równie głośno jak wszędzie, gdzie mieszkają zwierzęta.

Poeta związał przeguby princepsa, a następnie zacisnął na nich długi powróż. Jego drugi koniec przetrząsnął przez belkę przy powale, a potem naciągnął sznur tak, że opat zawisł trzy stopy nad ziemią. Na koniec przywiązał linę do haka wbitego w ścianę chlewu.

Z boksów wyprowadził pięć świń i przywiódł je pod wiszącego mężczyznę. Do nóg opata przymocował pięć cienkich sznurków, zrobił z nich pętle i założył je na szyje zwierząt.

– Nie dbam o to, co mi zrobisz, geincie – wyjęczał abbas, który powoli dochodził do siebie.

Ainar milczał. Zaczął układać polana w niewielki stos pod nogami mnicha.

– Spalisz mnie? Tym lepiej. Ogień oczyszcza duszę. Dziękuję ci za to miłosierdzie.

Na spód stosu poeta dołożył trochę siana i małych gałązek.

– Skoro nie chcesz ze mną rozmawiać, dokończę naukę, którą przekazywałem ci w więzieniu. Każda pora jest bowiem dobra, by chwalić naszego Pana i głosić prawdę o Wszchemocnym. Jak pamiętasz, lub nie pamiętasz, mamy cztery natury świata, które zostały przez Eriugeneę podzielone pod względem ich relacji z tworzeniem i stwarzaniem. Mamy też dwa ruchy w przyrodzie: *divisio* i *analysis*. Albowiem wszystko przechodzi przez proces wychodzenia od Jedności w wielość i powrotu wielości do Jedności. *Exitus-reditus!*

– Pamiętam.

– Dobrze. Pora więc powiedzieć ci o Bogu. Wspominałem już, że to Nieruchomy Poruszyciel, który poruszył świat, sam będąc nieporuszonym? Tak, na pewno ci mówiłem. Ale zapewne nie zdradziłem ci imienia Boga, ponieważ takowe nie istnieje. Bo widzisz, Bóg jest niczym, a zarazem jest wszystkim, bo stoi ponad wszelkimi kategoriami. Jak powiedział święty Dionizy Areopagita, to *hyperousios*, przyczyna wszechrzeczy, sam niebędący, bo wzniesiony ponad wszelki byt. Dlatego nie mogę ci powiedzieć, jaki jest Bóg. Mogę ci natomiast wyznać, czym nie jest. Nie jest żywy ani martwy. Nie jest materialny, nie jest śmiertelny. Nie jest skończony ani...

Ainar oddalił się na chwilę. Zajęty wykładem opat nawet tego nie zauważył. Poeta wrócił z garncem tłuszczu. Przechylił go i zaczął rozrzucać gródki białej

masy po całym pomieszczeniu. Kilkoma rzucił w opata. Przytaszczył również beczki i przyniósł gliniane garnki. Po większość musiał udać się do pobliskiej spiżarni. Szczęśliwie po wydarzeniach w oratorium nikt nie śmiał mu przeszkadzać. Przyniesione przedmioty ułożył na kształt pierścienia dookoła wisielca i świń.

– Bóg jest źródłem, środkiem i celem istnienia. Stworzył świat i świat jest nim, albowiem byt i wola boża są w naturze tożsame. Bo tylko w Nim i przez Niego wszystko ma swą trwałość. Przewyższa wszystko i stoi ponad wszelką wielością. Jest więc wszechwiedzącym, wszechwładnym, wszechpotężnym, największym i najsilniejszym nadbytem. Ale zważ na to, że te wszystkie *super* i *plusquam* mówią nam wciąż tylko o tym, czym nie jest. Bo jego istoty nie jesteśmy w stanie pojąć. Jest bowiem niczym.

– Znudziły mi się twoje słowa – oznajmił Skald, wycierając tłuste ręce o spodnie. – Twój bóg jest nikim, ty jesteś nikim i mówisz o niczym. Skoro nic nie wiesz o tym bogu, to po co oddajesz mu cześć? Nie wiesz przecież, czy twoje błagania są mu miłe, czy też może go drażnią, nie mówiąc już o tym, że nie masz pojęcia, czy są skuteczne.

– Skald czy nie, geint zawsze będzie głupcem. To, że nie pojmujemy natury Boga, nie znaczy, że nie możemy go poznać poprzez dzieła, które stwarza, oraz dzięki naszym duszom, w których jest cząstka Stwórcy.

– Wystarczy tych pouczeń i wyzwisk. Znosiłem je z cierpliwością niegodną drenga, gdy korzystałem z waszej gościnności. Teraz się odwdzięczę. Nadeszła pora, bym i ja przekazał ci pewną naukę. Naukę o cierpieniu, namiętności i krzyku.

– Geint nie może mnie niczego nauczyć.

Pieśniarz uderzył go pięścią w brzuch, aż mnich zakołysał się na linie jak mięso w spiżarni.

– Nie przerywaj, teraz moja kolej. Mówi się o paparach, że są niezwykle odporni na ból. Że nie krzykną, chociażby przypalano ich żelazem, choćby

zdzierać się z nich skórę. Już przesłuchując twoich mnichów, przekonałem się, że to nieprawda. I zamierzam udowodnić to i tobie. Przed śmiercią, tak jak i tuż po narodzinach, każdy bowiem krzyczy. Taka jest natura człowieka.

– Nic o niej nie wiesz, bo nie znasz siły wiary. Nie wypowiem słowa skargi i z radością zniosę męki, by oczyściły moją grzeszną duszę. Bym znów stał się jednością z moimi współbraćmi i Bogiem. By wielość powróciła do Jedności. Nie robisz nic więcej, czego sam bym dla siebie nie planował.

– Zobaczymy. Do nóg masz przywiązanych pięć loch. Gdy podpalę ten niewielki stosik, ogień podpiecze twoje pięty. Świnie przestraszą się i zaczną uciekać, każda w inną stronę. Efekt będzie taki, że naciągną twoje kończyny. Kości oderwą się od siebie, poczujesz ogromny ból w kostkach, kolanach, a może i w barkach oraz łokciach. Tymczasem twój habit zapali się i ogień zacznie lizać twoje ciało, palić włosy. W końcu liny wiążące cię ze świniami przepalą się i pękną. Gdy to się stanie, ogień będzie już na tyle rozległy, choć wciąż jeszcze niezbyt wysoki, że dosięgnie tych beczek i słoików, które ułożyłem dookoła ciebie. W nich jest tłuszcz i olej. Wtedy zapali się cały chlew i spłoniesz żywcem.

– Jesteś bestią, nie człowiekiem. – W głosie opata nie było już tyle pewności siebie. – Ale nie ciesz się tak z triumfu. I ciebie wkrótce czeka śmierć. Ludzie Brodira czekają poza klasztorem, a wejścia do tunelu nikt ci nie zdradzi. Wszystko skończy się tak, jak zaplanowałem.

Poeta nigdy się nie łudził, że pozna wejście do tunelu, o ile takowy w ogóle istniał. Nie był kretem, by chować się pod ziemią. A z Brodirem i tak chciał porozmawiać. Zapytać, dlaczego chciał dorwać jego córkę. Groźba opata nie zrobiła więc na nim żadnego wrażenia.

– Musisz też wiedzieć – wyjaśnił, nie zwracając uwagi na religijne wyzwiska opata – że zabiję cię z czterech powodów. Po pierwsze zamordowałeś pięciu mnichów. Choć nie byli moimi krewnymi i nie muszę się za nich mścić, to jednak wziąłem na siebie ten miły obowiązek, bo nikt inny by tego nie zrobił. A chciałem się odwdziżyć zgromadzeniu za gościnę.

Domyśliłeś się pewnie, że te pięć świń oznacza pięciu munków. Zginiesz wraz nimi, bo nie jesteś w niczym lepszym od tych loch. I będziesz kwiczał podobnie. Po drugie, zabawiłeś się moim kosztem, a ja nie lubię być wykorzystywany. Tak mną kierowałeś, bym zabił Czarnowłosa, podczas gdy ty sam wpuściłeś ją do klasztoru, ukryłeś, karmiłeś chlebem i malinami, by nie musiała opuszczać piwnicy, podglądałeś jej zabawy z mnichami i mordowałeś ich, gdy zaspokoili męskie potrzeby. Po trzecie, wzięłeś Znajdę na męki. Na jej plecach znalazłem czerwone pręgi i już samo to wystarczyłoby, by zarznąć cię jak prosię. Ale ty chciałeś ją jeszcze zabić. Wiem, że na spółkę z Hvitą oddaliście mi małą, bym straszył nią cenobitów. Ponadto podrzucałeś jej uszy, by mnie zaciekawić i naprowadzić na trop, a jednocześnie powiązać małą z morderstwami. Pragnąłeś jej śmierci, myśląc, że jej ojcem jest któryś z mnichów gwałcicieli. Ale pomyliłeś się. Bo ojcem jestem ja. A jako rodzic jestem w prawie, by się mścić.

Po raz pierwszy Ainar zauważył zdziwienie na twarzy opata. Ale nie dał mu czasu na wymówienie choćby jednego słowa.

– I po czwarte, chcę ci przekazać prawdę o świecie. Słuchałem uważnie tego, co mówiłeś i przemyślałem wiele spraw. Masz rację, że istnieje Najwyższy – ten, który stworzył wszystko. My nazywamy go Alfadirem, gdyż jest Ojcem Wszechrzeczy. To taka nasza niestworzona natura, która tworzy, choć właściwie stworzyła tylko jedną rzecz. I nie było to słowo, jak mówi wasza *Księga Początku*, ale wrzask. Alfadir krzyknął, a był to krzyk bitwy. Ten stwórczy wrzask czcimy pod imieniem Göllnira. Po paparsku można by powiedzieć, że to Logos stworzony i tworzący, a raczej wykrzyczany i krzyczący.

– Błuźniesz, geincie.

Kolejny cios w brzuch skłonił abbasa do słuchania.

– Göllnir, Bitewny Krzyk, stworzył innych bogów, którzy stali się jego braćmi, oraz cztery namiętności główne: nienawiść, pożądanie, zazdrość i gniew. Bo to one, nie wasze cnoty, rządzą postępowaniem każdego

człowieka. Dowie się o tym każdy, kto wychyli nos za wały klasztoru. Choć ostatnie wydarzenia pokazały, że nawet i to nie jest konieczne.

– Do cnót się dąży. A przez grzechy, zwane przez ciebie namiętnościami, upada się.

Jedno trzeba było przyznać princepsowi. Umiał przyjmować ciosy. Tym razem Ainar uderzył mocniej, by usta mnicha zajęły się łapczywym chwytaniem powietrza, a nie przerywaniem opowieści.

– Krzyk Göllnira obudził pierwszych ludzi, Aska i Emblę, którzy wcześniej byli tylko pniami drzew. Razem z innymi bogami i za pomocą namiętności stworzył cały świat, paparską trzecią naturę, która sama tworzyć nie może. Z jednego Bitewnego Krzyku zrodziło się wiele wrzasków, które są pieśnią świata bogów i ludzi. Bo krzyk towarzyszy nam na każdym kroku i jest źródłem wszechrzeczy. Krzyk jest przy poczęciu człowieka, przy jego narodzinach i przy jego śmierci. Jest inspiracją dla poetów i wzywa poległych na ucztę w Gmaszysku Zarzniętych. Ale te wszystkie krzyki zleją się kiedyś w jedność, we wrzask konającego świata, który powróci do Göllnira. *Exitus-reditus!* Z krzyku powstałeś i pośród wrzasku umrzesz. Udowodnij mi, że się mylę.

– To bełkot. Wynurzenia skrzywdzonej osoby, mającej żal do całego świata, która nie dostrzega miłości Boga...

Nie było potrzeby ponownie go bić. Skald powiedział wszystko, co chciał i przestało go obchodzić, co jeszcze papar ma do powiedzenia. Wziął się do roboty. Uklęknął i cierpliwie pracował krzesiwem, aż iskierki padły na siano i gałązki leżące pod drewnianym stosem. Odczekał, by upewnić się, że płomienie ogarną wilgotne polana. Gdy ogień liznął bosc stopy mnicha, a świni zaczęły niespokojnie przebierać nogami, splunął mnichowi w twarz, odwrócił się i powtórzył na odchodnym:

– Udowodnij, że się mylę, paparze.

Wyszedł i zaryglował drzwi drewnianą zasuwą.

Najpierw usłyszał kwiczenie loch, potem trzask płonącego drewna. Gdy odszedł kilkadziesiąt kroków, trzymając w jednej ręce uzdę konia, a w drugiej rączkę Znajdy, usłyszał głośnie wycie opata, a w końcu jego krzyk. Gdy mijali kamienne ule, usłyszał modlitwy, płacz i żałobne śpiewy paparów. Gdy przechodził przez bramę, dobiegła go muzyka dzwonu i paniczne zawrozczenia mnichów wzywających do gaszenia pożaru. Gdy odjeżdżał konno, wszystkie hałasy i wrzaski zlały się w jeden krzyk.

29

Najpierw znaleźli dwa trupy. Leżały w trawie, oba bez ręki. Ci ludzie pierwsi musieli stanąć na drodze Ainara. Finlog wyobraził sobie, jak wypadli na Skalda zza drzew i próbowali ściągnąć go z konia. Finn-Gall szybkimi rąbnieniami uciął im ręce tuż przy łokciach i pozwolił, by wykrwawili się na śmierć. Owe ręce znaleźli kilkadziesiąt kroków dalej, co świadczyło, że przez jakiś czas martwe palce zaciskały się na uździe konia, zanim zostały zrzucone.

To przypomniało Finlogowi o jego własnych palcach, odgryzionych przez ogara, a także o pokrwawionych pięściach, którymi obił twarz ojca Senacha. Nie był dumny ze swojego uczynku, ale nie potrafił też wzbudzić w sobie szczerego żalu. Będzie się musiał o niego długo modlić. Jeszcze raz podziękował Wyrozumiałemu, że post osłabił jego ciało i nie zdołał wyrządzić chudemu mnichowi poważnych szkód. A owładnął go wtedy taki gniew, że mógłby zabić surowego ascetę. Na szczęście Opatrzność nad nim czuwała i zesłała Oengusa oraz innych mnichów, którzy ściągnęli go z Senacha, obezwładnili i zadali zasłużoną, choć trochę zbyt surową pokutę. Plecy miał teraz tak poparzone, że skóra odchodziła z nich płatami.

Następny trup miał uciętą nogę. W tym miejscu Ainar musiał zsiąść z konia albo z niego spaść. Młody zakonnik był przekonany, że Skald dobrowolnie zdecydował się pieszo bronić dziewczynki i pozwolił, by ta pognęła konno

naprzód. Choć geint udawał obojętnego łotra, Finloga nie potrafił oszukać. Poecie w głębi serca naprawdę zależało na dziewczynce. Inaczej nie ratowałyby małej z oratorium i pozostawiłyby ją na pastwę princepsa.

Czwarty trup miał dziurę w brzuchu, w której zdomowiała się już wrona. Ptak zdążył wyjść pół wątroby, zanim go przegonili. Obok leżała roztrzaskana tarcza, złamana włócznia i stępiony topór. Musiało tu dojść do długiego i zaciętego pojedynku. Trawa dookoła była solidnie podeptana, a trzy słoneczne grzyby aż rozgniecione. Miecza Ainara nigdzie nie zauważyli, a to oznaczało, że jego właściciel okazał się zwycięzcą.

Piąty odnaleziony jeszcze żył, choć dusza ledwo trzymała się poranionego ciała. Wspólnie z Oengusem obrócili go na plecy i rozpoznali Brodira Jökulssona. Krew na jego rozbitej skroni zdążyła już zakrzepnąć, a lewy oczodół zionął pustką.

– Przenieście rannego do klasztoru – powiedział senior do dwóch młodych mnichów idących za nimi. – Opatrzmy go, jak na sługi Miłosiernego przystało.

– To prawie trup – zaprotestował jeden z zakonników, który nie miał ochoty nieść ciężkiego Finn-Galla. – Lepiej od razu usypać mogiłę.

– Przeżyje, o ile taka będzie wola Stwórcy. A jeśli Pan Życia wezwie go do siebie, zadbamy o pochówek. Tak samo jak zadbamy o ciała wszystkich pozostałych. Choć za życia byli geintami, może Wyrozumiąły spojry na nich łaskawszym okiem, gdy pogrzebiemy ich w poświęconej ziemi.

Miny młodych ascetów świadczyły, że perspektywa ciężkiej pracy przy łopacie nie była dla nich miła. Nie poskarżyli się jednak.

Nikogo więcej nie znaleźli, choć przeszukali całą okolicę. W zgliszczach starej osady zauważyli pozostałości po obozowisku Finn-Gallów. Skóra zająca, resztki kości, kilka rzemieni i nie do końca zagaszone ognisko.

– Zatem udało mu się – wyraził oczywiste fer leogind, a teraz główny kandydat do objęcia władzy opackiej. Na razie spełniał funkcję tymczasowego

princepsa, ale głosowanie powinno przebiec po jego woli. W końcu był spokrewniony z samym ri tuaithem i miał poparcie współbraci jako ten, który wykrył spisek Maelruaina.

– Tak. Przebił się z małą przez ludzi Brodira – przyznał Finlog. – Inaczej odnaleźlibyśmy ich ciała. Ale czy sam przeżył? Brodir chwalił się niedawno, że miał na zawołanie tuzin ludzi. Jeśli nie kłamał, Ainara dalej ściga szczęście.

– Ich przywódca leży ranny. Jeśli drottmadowie zdecydowali się go porzucić, porzucili też jego plany. Jestem pewien, że udali się w swoją stronę. Trupy, które odnaleźliśmy, mówią zresztą, że tego Skalda trudno zabić. Choć z pewnością nie umrze ze starości.

– Mam taką nadzieję – zgodził się Finlog, a widząc podejrzliwe spojrzenie siwego mnicha, dodał: – Ze względu na dziewczynkę, oczywiście. Po tym bowiem, co zrobił Ainar, trudno życzyć mu dobrze.

Oengus wpatrywał się w niego przez chwilę.

– A jednak myślę, że w jakiś sposób zasłużył na naszą wdzięczność. – Finlog nie spodziewał się usłyszeć tych słów z ust starca, choć całym sercem czuł tak samo. – To prawda, że przez niego ogień strawił chlew, spiżarnię, stajnię oraz owczarnię, ale na swój sposób nam pomógł. Odbudowa muintiru zajmie nam całe lato, jednak nasze zgromadzenie rzeczywiście stało się lepsze. Geint nauczył nas pokory. Przypomniwał, że nawet teologia jest niczym, jeśli oddala nas od drugiego człowieka i jego słabości. I pokazał, że żadna ascetyczna praktyka nie jest rękojmią wyzbycia się namiętności. Albowiem nawet mnich ma prawo błądzić, odczuwać skruchę i nawracać się. Nasz błędzący opat w jednym miał rację. Całe życie jest szukaniem drogi powrotnej do Jedności.

Wrócili do zwłok, które w czasie, gdy oni przeszukiwali okolicę, zostały przez pozostałych mnichów przeniesione w jedno miejsce. Wspólnie odmówili modlitwę za zmarłych.

– To dziwny człowiek – podjął temat Finlog, zegnając się po pacierzu. –

Jest w nim tyle złości, nienawiści i zakłamania, a jednocześnie przyzwoitości. Nie porzucił naszej sprawy ani dziewczynki.

– Masz rację. Choć usta mnichów nie będą mówić o nim dobrze, to myśli kilku z nas będą mu bardziej życzliwe.

Dzwon zabił dziewięć razy, oznajmiając *hora nona*.

– Musimy wracać – przypomniał im jeden z młodszych zakonników. – Czas odprawić nony.

– Wracajcie – zgodził się Oengus. – Tylko nie myślcie, że ominie was dźwiganie. Po nabożeństwie zabierzecie stąd ciała.

Naburmuszeni cenobici odwrócili się i pospieszyli w kierunku klasztoru. Na polance przy jeziorze zostali senior i Finlog.

– Nie zmienisz zdania, mój młody bracie?

– Nie. Tak postanowiłem.

– Zło wyrządzone przez Maelruaina nie może przysłać ci dobra płynącego z ascetycznego życia. To mnisi wyblągają u Sprawiedliwego łaski dla świata.

– A jednak trudno zapomnieć o tych niegodziwościach. Jestem pewien, że uzdrowisz zgromadzenie, ale dla mnie nie ma już w nim miejsca. Moja dłoń nie nadaje się do pisania. Poza tym zgrzeszyłem gniewem i pożądaniem oraz prawie zabiłem ojca Senacha.

– Mylisz się. Jesteś dobrym mnichem. Nie próżnym i przeświadczonym o swojej doskonałości, ale skromnym, świadomym własnych słabości. Kiedyś mógłbyś zostać seniorem, a może i opatem.

– Ta droga jest dla mnie zamknięta. Poszukam odkupienia gdzie indziej.

– To może zaczniesz szukać jutro? Niedługo zajdzie słońce.

Finlog pokręcił głową. Bał się, że do jutra nie starczy mu odwagi. Całym sobą pragnął opuścić to miejsce, choć lękał się świata, który czekał za wałem. Świata, którego nie znał.

– Stwórca daje nam życie i odbiera je – widząc, że nie zdoła przekonać młodego mnicha, tymczasowy princeps udzielił mu ostatniej nauki. – Opatrzność rządzi nami od narodzin do śmierci. Ale to człowiek decyduje, jak wykorzystać dary Stwórcy i jego wyroki. Idź, jeśli musisz, i pamiętaj, że zawsze możesz schronić się za tym wałem.

Pożegnali się serdecznym uściskiem.

Młodzieniec zarzucił na ramię zawiniątko z prowiantem i odszedł w kierunku, w którym słońce uciekało z nieba. W spodniach, bez habitu, czuł się dziwnie, ale szło mu się o wiele lepiej. Ruszył śladem konia, Skalda i dziewczynki. I miał nadzieję, że jeszcze kogoś. Hvity. Czarnowłosej, o której nie mógł przestać myśleć. Teraz wiedział, że nie jest tylko zjawą. Po rzezi w oratorium kobieta znikła jak duch, ale musiał ją odnaleźć i dokończyć to, co przerwał mu ojciec Senach. Życie w cnocie już go nie interesowało. Świat pełen namiętności stał przed nim otworem.

30

Ainar poprawił opatrunek na ramieniu. Ledwo trzymał się w siodle. Dziewczynka siedząca przed nim wierciła się jak zawsze. Zbliżał się zachód słońca i poeta zaczynał odczuwać trudy całodniowej podróży. W opactwie odwykł od konnej jazdy.

Rozglądał się za miejscem na nocleg. Wciąż gdzieś za nimi mogli się czaić ludzie Brodira, choć liczył, że posłuchają głosu rozsądku. Pięć trupów, które za sobą zostawił, mówiło dostatecznie wyraźnie, że nie warto za nim jechać. Z kolei srebrne okucia, rzucone w błoto pod nogi pozostałej szóstki, powinny dać im do zrozumienia, że Ainar nie ma przy sobie już nic wartościowego, w przeciwieństwie do mieszkańców okolicznych klasztorów. Niedługo wojownicy zapomną o Skaldzie i dziewczynce, po czym przyłączą się do jakiejś bandy.

– Tata, czy ty jesteś drengiem? – zagadnęła go dziewczynka, gdy przy strumieniu zsadzał ją z konia. Dobrze nocować tam, gdzie jest świeża woda.

– Czyż już tego nie dowiodłem? *Ek er mikill dreng*. Potężnym i wspaniałym wojownikiem jestem. Gdy tata chwyta za miecz, wszyscy drżą ze strachu.

Mała padła na kolana, zanurzyła buzię w strumieniu i zaczęła pić jak mała sarenka u wodopaju.

– Tato – zaczęła go znowu, ocierając rękawkiem koszuli mokre usta – a co zrobiłeś tym ludziom, że wszyscy poszli spać?

– Zabiłem ich, dziecko.

– Zabiłeś? – Wstała i popatrzyła na niego zdziwiona. – Ale tak na śmierć? Tak, że już się nie obudzą i nie będą się z nami bawić?

– Na śmierć i ostatecznie – wyjaśnił, ściągając siodło z konia.

– To dobrze, bo to byli źli ludzie.

Zajęła się zrywaniem koniczyny. Gdy narwała dwie garście, podeszła do konia.

– Jedz, koniku. Musisz być silny.

Srokacz sam dobrze sobie radził ze skubaniem trawy, ale posłusznie, jakby nie chciał robić dziewczynce przykrości, uniósł głowę, zjadł listki z małych rączek, zarżał w podziękowaniu i potrząsnął grzywą. Dziecko roześmiało się i pogłaskało zwierzę po szyi.

– Tata. A wiesz, że bardzo szybko ruszałeś mieczem? Czy on jest czarodziejski? Taki jak w sagach?

Ainar uśmiechnął się, trochę mniej brzydko niż zawsze. Rozwinął koc i ułożył go pod rozległym dębem.

– Tak. Jest martwy i lodowaty, ale w moich rękach ożywa, a gdy ukąsi, staje się ciepły. Potrafi przeciąć kość grubą jak pień drzewa, a być może poradziłyby sobie i z kamieniem. Zaklęto w nim najpotężniejszy czar znany człowiekowi.

– Naprawdę? – Źrenice dziewczynki rozszerzyły się niemal dwukrotnie.

– Naprawdę. Ten miecz zna magię śmierci. Potrafi odbierać ludziom życie.

– Aha. – Zrobiła poważną minę i skinęła głową, udając, że wszystko rozumie. – Jak będę duża, też taki będę miała.

– Jak będziesz duża, dostaniesz garnek, by gotować mężowi obiad. Dziewczynki nie nadają się do walki.

– A właśnie, że się nadają! – krzyknęła i tupnęła nóżką.

– Dobrze już, dobrze. Jesteś głodna?

Pytanie było głupie. Ona zawsze była głodna. Poeta usiadł na kocu, opierając się o pień drzewa i wyjął z zawiniątka soloną rybę i kawałek sera. Nie trzeba było prosić Znajdy, by do niego dołączyła.

– A, tata? Dlaczego ja nie mam imienia? – zapytała z ustami wypełnionymi serem. – Wszyscy inni je mają.

– Jak to nie masz? A Znajda?

– To nie imię, tata. Ty mnie tak tylko przezywasz.

Przełknęła ostatni kęs sera i wzięła się do ryby.

– Racja. Jesteś bardzo dzielna, zasłużyłaś na imię. Zaraz ci jakieś wymyślę.

– Naprawdę? Ale cudnie. To tak, jak mówiła mamusia. Bo wiesz, ja mam jedną mamę, ale mama-golas mówiła, że kiedyś miałam też inną. Ale tamta mama zasnęła. Tak naprawdę i ostatecznie, jak ci paparzy bez uszu.

Ainar zastanawiał, się czy dziecko może pamiętać Halfridę. Podejrzewał, że wspomnienia o obu mamach mieszały się w tej malutkiej główce. Jednak na myśl o rodzicielce dziewczynka wyraźnie posmutniała i łezki napłynęły jej do oczu.

– Tylko mi tu nie płakać. Przecież jesteś dzielną Selą.

– Naprawdę? Sela to moje imię?

– Naprawdę.

Był Skaldem. Znał się na słowach. Coś jeszcze przyszło mu do głowy.

– Sela to imię wielkiej wojowniczkii z dawnych czasów. Musisz mieć broń,

by pójść w jej ślady.

Sięgnął po kozik do rzeźbienia. Dziewczynka wlepiła w ostrze powiększone ze szczęścia oczy, przeczuwając, co nastąpi.

– Ten nóż podarowała mi twoja mama. Kiedyś uratowała mi nim życie. Była naprawdę wielkim meykongiem, drengiem w spódnicy. Noś go z dumą.

Ainar schował nóż z powrotem do pochwy i wręczył go swojej córce. Sela, która kiedyś była Znajdą, z powagą przyjęła podarunek i wykorzystując doczepiony do niego rzemień, powiesiła go sobie na szyi.

– Kocham cię, tata.

Wtuliła głowę w jego ramiona. Bezbronne dziecko całkowicie od niego zależne. Był drengiem. Nie wiedział, co zrobić. Nie umiał też nazwać uczuć, które nim zawładnęły i ścisnęły za gardło. Wolałby, by była to pętla zarzucona przez nieprzyjaciela. Wiedziałby chociaż, jak się obronić.

Przecucie podpowiedziało mu, by pogłaskał dziewczynkę po włosach.

– Tata, już nigdy mnie nie zostawisz?

– Już zawsze będę przy tobie.

Nie była to pierwsza obietnica, którą zamierzał złamać. Był Skaldem i drengiem. Większość dzieci, które znał, przeklinało go za to, co zrobił ich rodzicom. Miłość to tylko temat dla kiepskich poetów. Kiedy dojadą do Dyflinnu, zostawi ją Karlsefniemu na *fosterage*. Stary kupiec wciąż winien jest mu jedną przysługę. Sela wyrośnie na zwyczajną kobietę i poślubi porządnego bondiego, któremu urodzi zdrowe dzieci. Tak będzie lepiej dla wszystkich – wmawiał sobie.



Dodatek od autora

O religii słów kilka

„Zaraz, zaraz – ktoś powie. – Skoro w tej książce mowa jest o Skandynawii i wikingach, to gdzie podzieli się Odyn, Thor i Freja? I kim, na miód lejący się w Gmaszysku Zarzniętych, jest ten Göllnir?”

Jestem winien Czytelnikom wyjaśnienia.

Mitologia i religia pogańskich Skandynawów miały różne oblicza. Moim zdaniem słuszne jest przekonanie tych badaczy, którzy zakładają, że wierzenia mieszkańców Północy znacznie się różniły w zależności od miejsca ich zamieszkania. Według tego poglądu nie tylko w poszczególnych krajach wikińskich, ale nawet w poszczególnych regionach – których granice wyznaczały fiordy czy pasma górskie – czczono odmiennych (przynajmniej pod pewnymi względami) bogów i przekazywano mity, które często różniły się od mitów opowiadanych w sąsiedniej dolinie. Niestety, nie możemy określić skali tego zróżnicowania, gdyż nasza dzisiejsza wiedza o ówczesnych kultach i rytuałach jest szczątkowa. To prawda, że w wiekach IX–XI powstały pieśni (potem zebrane w zbiór określany jako *Edda Poetycka*) opierające się na wspólnych dla Skandynawów motywach religijnych, ale nawet te utwory nie zawierają całkowicie spójnego i logicznego systemu wierzeń.

Na szczęście dla nas w XIII wieku działał na Islandii pewien historyk i twórca sag, którego można nazwać nawet „uczonym”, Snorri Sturluson. Zebrał on dostępną sobie wiedzę o wierzeniach swoich przodków i... No właśnie, nie tylko zabawiał się w „etnologa”, ale, niestety, poszedł znacznie dalej – przedstawił własną wizję pogańskiej religii Skandynawów. Jak się przypuszcza, w wielu miejscach znacznie ją przekształcił, chociażby poprzez

dodanie motywów z mitologii greckiej czy z tradycji chrześcijańskiej. Właśnie w jego dziele, czyli *Eddie Prozaicznej*, zachowała się przynajmniej połowa naszej wiedzy o nordyckich wierzeniach. Ile z nich było jednak wynikiem różnokulturowych kompilacji i produktem bujnej wyobraźni Islandczyka? Trudno oszacować, gdyż naukowcy nie są w tej kwestii zgodni.

Uznałem, że skoro Snorri, a za nim twórcy sag z wieków XIII–XIV mogli kreować tak odmienne wersje pogańskich wierzeń własnych przodków, to i pisarz powieści fantastyczno-historycznej ma do tego prawo. Korzystałem więc zarówno z przekazów mitycznych współczesnych bohaterom tej opowieści (X w.), z tekstów późnośredniowiecznych (XIII–XV w.), jak i z ustaleń XX-wiecznych badaczy. A także z własnej wyobraźni.

Przyświecała mi jedna idea, którą nazwałem neoplatonizmem wikińskim. Ten „pogląd filozoficzny” nie został sformułowany w żadnym przekazie historycznym. Jest moją autorską fikcją, choć jego istnienie nie jest pozbawione pewnej dozy prawdopodobieństwa. Wikiński podróżnik, taki jak Ainar Skald, który zetknął się z wieloma kulturami i był wystarczająco inteligentny, by przetwarzać zasłyszane informacje i włączać je do swojego światopoglądu, mógł dojść do podobnych wniosków, jakie przedstawiam na stronach powieści. Neoplatonizm chrześcijański był bowiem głównym, i niemal jedynym, nurtem w filozofii X-wiecznej Europy (miało się to zmienić dopiero w XIII wieku, kiedy święty Tomasz z Akwinu przełożył na łacinę dzieła Arystotelesa). W skrócie mówiąc, filozofia ta, bazująca na neoplatonizmie pogańskim (stworzonym w III wieku przez Plotyna), opierała się na idei emanacji świata – jego stopniowym wyłanianiu się z bytu absolutnego (Boga). Czytelnik może znaleźć więcej na ten temat w naukach wygłaszanych w mojej książce przez opata, w których cenobita odwołuje się do wielkich filozofów tego nurtu: Jana Szkota Eriugeny (Irlandczyk, IX w.) i Pseudo-Dionizego Areopagity (V/VI w.).

Czy powieściowy Ainar jest więc „twórcą” neoplatonizmu wikińskiego? Tak, co nie znaczy, że jego poglądy w jakiś istotny sposób różniły się od

religijnych wyobrażeń innych powieściowych bohaterów. Dzięki konfrontacji z mnichami uporządkował znane mu mity i wierzenia Północy w miarę spójny system. Pobratymcy Ainara z mojej książki patrzyli na świat bogów w bardziej „tradycyjny” sposób, niekoniecznie pojmując ideę emanacji świata. Widzieli więc w swoich skandynawskich bóstwach jedną wielką rodzinę, której członkowie zostali stworzeni za sprawą tej samej tajemnicy, jaka rozgrywa się pod pierzyną małżeńskiego łoża.

Świat przedstawiony w powieści obfituje w bóstwa i istoty nadprzyrodzone. Uważni Czytelnicy dostrzegą, że większość jest podobna do bogów opisanych w przekazach historycznych. Noszą wszakże inne imiona i zostały przedstawione w nieco odmienny sposób. Miana te nie zostały jednak przeze mnie zmyślane – są alternatywnymi wersjami imion istniejących w pieśniach lub poetyckimi kenningami popularnych nazw bogów, które można znaleźć w źródłach z epoki. Mechanizm użyty w książce wyjaśnię na przykładzie Odyna, którego wizerunek w największym stopniu wpłynął na kształt wierzeń przedstawionych w powieści.

Władca boskiego rodu Asów był znany w Skandynawii pod blisko dwustoma imionami, choć część z nich była tylko poetyckimi określeniami. Wszystkie te miana odnosiły się jednak do określonych funkcji, jakie bóg ten spełniał w nordyckiej mitologii. I tak, przykładowo, nazywano go Göllnirem (dosłownie: Bitewnym Krzykiem), by podkreślić, że był patronem szału i ekstazy; Alfadirem (Wszechojcem) – co odnosiło się do jego stwórczej i nadrzędnej roli; Valfudem (Ojcem Poległych), bo widziano w nim opiekuna poległych wojowników. Kto wie jednak, czy imieniem, które najlepiej oddawało jego mityczną rolę, nie było Grimmir, czyli Bóg Masek, gdyż posiadał wiele wcieleń (i twarzy). Tę koncepcję boga chętnie wykorzystywali twórcy islandzkich sag, którzy przedstawiali Odyna jako tajemniczego wędrowca, zjawiającego się w świecie ludzi pod różnymi imionami i postaciami. Podobnego pomysłu użyłem w powieści, nadając kilku wcieleniom Odyna rolę oddzielnych bytów, choć na tyle do siebie podobnych,

by Ainar i jego pobratymcy podejrzewali, że łączyło je z Göllnirem coś więcej niż tylko więzy krwi.

By zaś przybliżyć Czytelnikom część mitów w mojej, stworzonej na potrzeby powieści, interpretacji wierzeń Skandynawów, oddam głos temu, kto bezczelnie twierdzi, że jest znawcą tej tematyki.

O sztuce skaldycznej

Ainarem Skaldem mnie zwa, bo nie mam sobie równych w układaniu poezji.

Hagiem mnie zwa, czyli biegłym w słów składaniu.

Odar smidem – kowalem pieśni – mnie zwa, bo przekształcam słowa w poezję na kowadle własnego języka.

Karmicielem kruków i wron mnie zwa, bo mój miecz dostarcza mięso na krwawą ucztę z trupów.

Pieśniarzom, którzy krzyk Göllnira usłyszeli, zdradzę, co następuje:

By układać drapy – najwspanialsze z pieśni, visy – utwory godne pierścieni, flokki, czyli stadka strof, lub chociaż lausavisy – okolicznościowe wierszyki, trzeba mieć dużą wiedzę o bogach i ich świecie. Bo *skáldskapr*, czyli sztuka skaldyczna, nie pochodzi ze świata ludzi.

O stworzeniu świata wam opowiem. Został on wykrzyczany przez Alfadira. Pierwszy, stwórczy wrzask Ojca Wszechrzeczy przybrał postać Göllnira, którego imię oznacza Bitewny Krzyk. To on, po swoim wściekłym ojcu, przejął rolę stwórcy, a w jego głosie zawarte były *önd*, *óðr* i *lá*: oddech, duch szaleństwa i życiodajne ciepło.

Gdy wykrzyczany bóg wrzasnął po raz pierwszy, z uspienia zbudziła się ziemia, woda, ogień i powietrze.

Gdy kolejny jazgot wydał z siebie, świat dał mu braci, siostry i kuzynów.

Trzeci krzyk z gardła wydobyty sprawił, że jego krewni przyłączyli się do niego i wspólnie stworzyli rzeki, lasy, góry i żywe istoty.

Göllnir krzykiem zaśpiewał po raz czwarty, by świat nie był zbyt uporządkowany, i wtedy powstały cztery namiętności główne, które zawładnęły całym stworzeniem: nienawiść, pożądanie, zazdrość i gniew.

Piąte zawołanie bitewne sprawiło, że świat wydał z siebie karły, elfy, disy, ale także olbrzymy, potwory i bóstwa, które zapalały nienawiścią do Göllnira i jego rodziny. Wybuchła wtedy krwawa wojna.

Wrzasnął po raz szósty, by po swojej stronie mieć więcej sprzymierzeńców. Nakrzyczał na dwa wyrzucone przez morze pnie, z których powstałi Ask i Embla, pierwsi ludzie. Wtedy bóg dał im miód oraz piwo, by obudzić w nich namiętność, a oni wydali na świat drzewa z mieczami, czyli wojowników, którzy wsparli Göllnira i pomogli mu odnieść zwycięstwo.

Bitewny Krzyk upił się miodem z misy Odreri, która jest źródłem natchnienia i szału, by uczcić wygraną wojnę i samemu sobie oddać hołd za stworzenie świata. Zamroczony trunkiem, przemienił się w orła i wzbił się w przestworza, chcąc podziwiać swoje dzieło. Gdy leciał, miód w jego brzuchu zachlupotał i Göllnir zwymiotował. Trunek spadł na ziemię, a kilka kropel dostało się do ust ludzi. Bóg, wściekły z powodu marnotrawstwa, wydał z siebie siódmy i ostatni krzyk stwórczy, skierowany ku tym, którzy skosztowali boskich wymiocin. Tak powstałi skaldowie – oni właśnie po dziś dzień słyszą krzyk Göllnira, dający im natchnienie i umiejętność tworzenia poezji.

O jednookim **Göllnirze** wam opowiem, który patronem jest poezji, szaleństwa i rzezi. By osiągnąć jeszcze większą moc, złożył się w ofierze dla samego siebie, przybijając się włócznią do Laeradu^[61], drzewa, na którego korzeniach wsparta jest ziemia, a którego korona podtrzymuje niebo. Wisiał tam głową w dół przez dziewięć długich nocy, a jego duch podróżował na drzewnym, straszliwym rumaku, by poznać tajemnicę śmierci i rozkoszy bólu. Dnia dziewiątego umarł i odrodził się na nowo, znając osiemnaście tajemnych

run i tyle samo magicznych pieśni, które odtąd zapisuje i śpiewa na pohybel wrogom oraz ku chwale sprzymierzeńców.

O **braciach Bitewnego Krzyku** wam opowiem, których jest stu dziewięćdziesięciu dziewięciu. Sagamadowie przypuszczają w swojej mądrości, że bracia są tylko cieniami Göllnira, które ten rzuca przed oczami bogów i ludzi. Do najważniejszych synów Alfadira należą:

Valfud, Ojciec Poległych, większość czasu spędza w Gmaszysku Zarzniętych, gdzie gości wojowników poległych w bitwie.

Grimnir, Władca Masek, jest najbardziej tajemniczym z bogów. Nikt nie wie, jak wygląda Przebieraniec i nikt nie ma pojęcia, czym się zajmuje. Uważa się go za opiekuna przedrzeźniaczy, oszustów i wszystkich tych, którzy ukrywając uczucia, robią miny.

Hangagud, Wiszący Bóg, powiesił się na drzewie śladem swojego brata, ale użył sznura zamiast włóczni. W przeciwieństwie do Göllnira nigdy nie powrócił ze świata śmierci, a posiadał tam wiedzę o trollskap, plugawej magii złych duchów i trolli. Najczęściej ukazuje się w ludzkich snach jako siny mężczyzna o oczach wypełnionych bielmem. Ma władzę nad wisielcami i prawdę powiadają, że zjawia się pod szubienicą, by rozmawiać z umarłymi, a z gwałcicieli pokoju zrobić swoich niewolników.

Tveggi, czyli Dwojaki, jest najbardziej zniechęcony przez bogów i ludzi, bo lubi przebierać się za kobietę. Jest mistrzem czarów *seiðr*, a swoją plugawą moc czerpie z nasienia innych mężczyzn. Argowie, mężowie oddający się hańbie *ergi* – miłości wszetecznych tchórzy, czczą go jako swojego opiekuna.

O **synu Göllnira** wam opowiem, który jest władcą burz. **Magni**^[62] został przez samych bogów nazwany Mocnym. Ten wielki dreng ma rudą brodę i takiego samego koloru włosy, które w gniewie stają mu na sztorc. Walczy burzową maczugą z kamienia lub żelaznym młotem – a oba te bojowe narzędzia są tak okazałe i twarde, że mężczyźni lubią przyrównywać do nich swoją męskość. Najzjadlejszymi wrogami Magniego są olbrzymy, dlatego

często wyrusza na wschód, do ich krainy, Jötunheimu, by z nimi walczyć. A kiedy czaszkę trolla, thursa lub jötuna roztrzaska, słychać grom, a niebo przecina błyskawica. Jak każdy karmiciel kruków, lubi się napić, a po pijaku sika deszczem na ziemię. Dlatego karlmadowie, bondowie i wszyscy ci, którzy orzą ziemię, wybrali go na swojego opiekuna. Skaldowie uważają jednak, że nie warto składać ofiar temu, kto otwarcie olewa swoich wyznawców.

O **Gefnie**^[63], Dawczyni, wam opowiem, która dumna jest z własnej rozwiążności. Lubieżna pani pochodzi z boskiego rodu Wanów i nie płynie w niej krew Göllnira. Po świecie krąży wieść, że oddała się każdemu bogowi, dlatego czci się ją jako władczynię płodności. Ofiary składają jej mężatki i te, które chcą uwieść mężczyznę. Młode kobiety, które oddają swoje ciało za monety, każą nazywać się córkami Gefny, a swoje wdzięki oferują w przybytkach zwanych świątyniami bogini. Najpiękniejsze i najbardziej lubieżne wszeteczniczki zostają przyjęte po śmierci w grono prawdziwych dzieci Dawczyni. Kapryśna pani ma w zwyczaju zajeżdżać na pole bitwy wozem zaprzęgniętym w koty i wybierać drengów na kochanków dla siebie i swoich córek. Zwykle kradnie krukom z pola bitwy te dania, których nie zechce Göllnir, bóg gardzący tymi, którzy w boju pokazali przeciwnikom plecy. Owi polegli nidingowie służą Dawczyni jako niewolnicy w halli Sessrumnir, a choć dwór ów jest wypełniony nagimi córkami Gefny, oni nie mogą osiąść żadnej z nich.

O **Aegirze**, Oceanie, wam opowiem, który włada wszystkimi wodami. Żeglarze lękają się gniewu tego olbrzyma, który jest potężny niczym bóg. Wraz z żoną, **Ran**, bierze we władanie topielców, by służyli im w podwodnym królestwie. Morskie fale są jego córami, a że chuć jego jest nieposkromiona, nie da się policzyć jego potomkiń, ale dziewięć najpotężniejszych fal to pierwotne córki Oceanu. One to, harując z grzywaczami, mogą zatopić każdy statek. Na zachodzie, na krańcu morza, leży wyspa, na której Aegir wybudował swój lądowy pałac.

O **braciach Aegira** wam opowiem, olbrzymach, którym potęgi zazdroszą

bogowie. **Kari** jest władcą wiatru i kochankiem córek Aegira. Żeglarze oddają mu cześć, prosząc o przychyłność. **Logi** nad ogniem panuje i nienawidzi swojego brata Aegira. Obaj na krańcu morza mieszkają.

O wnuku Kariego wam opowiem, **Snaerze**, który w brodę ma wplecione sople lodu. Władcą śniegu jest ten, który mieszka w królestwie na dalekiej Północy.

O kłamliwym bogu wam opowiem, **Loptim**, który sprytem nad wszystkimi góruje. Nikt nie składa mu ofiar, nikt nie wzywa jego imienia, bo nikt nie wierzy temu oszustowi. Nie ma on przyjaciół wśród bogów i w równej mierze jest szkodnikiem jak dobroczyńcą świata. Nie istnieje takie miejsce, w które nie potrafiłby się wślizgnąć i nikt nie widział takiego stworzenia, w które Loptim nie potrafiłby się przemienić. Tylko raz został przechytrzony przez bogów, którzy pochwycili go w sieć, gdy uciekał przed nimi pod postacią ryby. Jest ojcem potworów, a najstraszliwszymi z jego bękartów są wilk **Fenrisulf**^[64] i wąż **Jörmungand**^[65]. O Jörmungandzie powinniście wiedzieć, że zjadając własny ogon, opasuje swoim cielskiem całą ziemię.

O bogu zwanym Jednorękim wam opowiem, **Tyrze**, który jest boskim drengiem. Stoi on na straży drengskap, pilnując zbioru zasad, jakimi karmiciel kruków powinien się kierować. Pierwszy wskazał on rębajłom, że nie tylko monety winny być nagrodą wojownika, ale również tirr i tign – sława i honor. Słowo prawego boga jest trwale niczym góra. Prawą rękę do pyska Fenrisulfa wsadził, jako rękojmię pokoju między bogami a potworami^[66], a kiedy wiarołomni niebianie złamali umowę, wilk odgryzł mu prawicę. Dlatego konungowie i drengowie, umowy zawierając, wzywają imię Tyra, by osądził ich prawdomówność. Zwyczajem jest przysięganie na pierścienie, jakie błyszczą się na palcach Tyra.

O mędrca **Mimirze**, Pamiętliwym, wam opowiem. Odciętej głowy tego olbrzyma radzą się bogowie. W bitwie niebian stracił ciało, a czerep jego zanurzono w źródle, w którym miód płynie między korzeniami drzewa Laerad. W głowie Pamiętliwego mądrość pozostała i pamięć o wszystkim, co stało się

na świecie. Jego wiedza o przyszłości stąd pochodzi, że przeszłość nie ma przed nim tajemnic, a wiadomo, że to, co będzie, wynika z tego, co było. Sam Göllnir przychodzi do niego po rady i po to, by skosztować miodu ze źródła mądrości Mimira.

O **nornach** wam opowiem, zapijaczonych szwaczkach, które każdemu człekowi tkają materię przeznaczenia. Część sióstr prędzie przeszłość, część terażniejszość, a część przyszłość^[67]. Są i takie norny, które do nowo narodzonych dzieci przychodzą, by nakryć ich tkaniną przeznaczenia.

O **disach**^[68] wam opowiem, duchach zmarłych kobiet, które stają się boginiami. Jedne włączają się po świecie, szczęście lub pecha ludziom rozdając, inne dołączają do orszaku Göllnira oraz Valfuda i odprowadzają poległych drengów do Gmaszyska Zarzniętych. Niekiedy disami zwie się również piękne panie, zwłaszcza te z potężnych rodów.

O **fylgjach**, towarzyszkach, wam opowiem, duchach o kobiecych kształtach, które dbają o szczęście mężczyzny. Los fylgji jest związany z jednym człekiem i choć nie opuści go aż do śmierci, jak każda potomkini Emblu może go zdradzić, ściągając na niego pecha.

O **hamingjach** wam opowiem, zwierzęcych duchach, które przystają do człowieka. Czasem całym rodem się opiekują, przechodząc z ojca na syna. Na *hamr* – kształt człowieka, mogą wpływać i niektórzy czarownicy potrafią się zmienić w zwierzę, jakim kiedyś była ich hamingja. Charakter człowieka decyduje, jaki duch zechce się przyłączyć do syna Aska i pomagać jego szczęściu.

O **Sol** i **Manim**, Słońcu i Księżycu, wam opowiem, które są dziećmi Mundifarego. Córka o imieniu Sol ma złote włosy i jeździ po dziennym niebie wozem zaprzęgniętym w dwa ogiery, Promyk i Blask, tchórzliwie uciekając przed wilkiem Sköllem, Pożercą Słońca. Syn o imieniu Mani złotą nosi brodę i po nocnym pędzi niebie wozem ciągniętym przez parę koni: Pełnię i Nów. Tak jak siostra, tchórzem pozostaje i ucieka przed Hatim, wilczym bratem Sköllu. Hati stale nadgryza Maniego, a raz w miesiącu połyka nawet, po czym

wypluwa, woląc karmić się jego strachem niż światłem.

O **Dagu** i **Natt**, Dniu i Nocy, wam opowiem, tej nieszczęsnej parze kochanków, o której niektórzy mawiają, że są z jednej krwi. Dzień, syn Jasności, zapalał zakazaną miłością do Nocy, córki Ciemności, i ściga ją od zarania dziejów, biorąc ją co rano i oddając się jej co wieczór. Ich chuć nigdy nie jest zaspokojona i nigdy nie jest jednakowa. Latem Dzień staje się leniwy i wolniej goni kochankę, a zimą nie może się doczekać, by schować się w jej objęciach. Noc odwrotnie ma zachcianki i latem pędzi do Daga od zmierzchu do świtu, by zimą ospale czekać na wschód słońca.

O **karłach** wam opowiem, które nie są ani ludźmi, ani bogami. Małe ludki są potomkami Suttunga, władcy podziemnego królestwa. Choć rozwiązały się to stwory – i dlatego dziewice do swych mrocznych leży porywają – to nie z lęzki karlic się lęgną, ale z kamieni. Słyną z rzemieślniczej wprawy i ostrza ich mieczy mogą przeciąć głąz.

O **olbrzymach** wam opowiem, które w sile i czarach przewyższają wielu bogów. Mieszkają z dala od ludzi, głównie na wschodzie, w Jötunheimie. Spotyka się je również na mroźnej Północy i ognistym Południu. Wiele jest rodzajów olbrzymów, ale najważniejsze z nich to władające górami, lasami i wodami jötuny, głupawe osiłki thursy oraz przebiegłe, plugawe i znające czary trolle. Najstraszniejsze olbrzymy i najgroźniejsze potwory gromadzą się u boku pradawnego olbrzyma **Muspella**, szykując się do ostatecznej wojny z bogami i dlatego nazywane są jego synami.

Przypisy

[1] Opis swojej wizji religii i mitów dawnych Skandynawów Autor przedstawił w znajdującym się na końcu książki dodatku (przyp. red.).

[2] *Kyrtill* (stskand.) – rodzaj tuniki wierzchniej nakładanej na koszulę (przyp. autora).

[3] Jarl (stskand. *jarl*) – „szlachetny”. W Skandynawii okresu wikińskiego naczelnik ziemski, wódz grupy pirackiej albo pomniejszy władca podległy królowi nadrzędnemu (konungowi). W późniejszym okresie – namiestnik królewski (przyp. red.).

[4] *Varg í véum* (stskand.) – „wilk w świętych miejscach”. Termin na tyle archaiczny, że już w okresie wikińskim nie w pełni go rozumiano, dlatego zaczął oznaczać zwykłego wygnańca. Pierwotnie określał takiego banitę, który nie miał powrotu nie tylko do grona ludzkiego, ale i do „świętych miejsc” swojego ludu (przyp. red.).

[5] Konung (stskand. *konungr*) – „król”. W skandynawskim modelu społecznym władca panujący nad dużym obszarem i niemający nad sobą zwierzchnika (przyp. red.).

[6] Trzy staroskandynawskie terminy określające przymioty znakomitego wojownika: *drengskapr* – zbiór wytycznych, jakimi kierował się dreng – tu Ainar ma na myśli „męstwo”; *tírr* – „chwała, sława”; *tign* – „honor” (przyp. red.).

[7] Rozdawca (złoty)ch pierścieni – używany w poezji staroskandynawskiej kenning (rodzaj metafory), oznaczający wodza lub króla, a dosłownie: osobę nagradzającą swoich wojowników pierścieniami (złotymi, srebrnymi), innymi ozdobami oraz monetami za dokonania wojenne (przyp. red.).

[8] Drottinn (stskand. *dróttinn*) – „władca, pan, lider drużyny (*drótt*)”. Tytuł skandynawski, którym można było określać zarówno mało znaczącego wodza, jak i potężnego króla (przyp. red.).

[9] Hersir (stskand. *hersir*) – „pan okolicy, naczelnik danego regionu” (przyp. red.).

[10] Przydomek bohatera pochodzi od jego zajęcia: jest skaldem (stskand. *skáld*), czyli poetą i pieśniarzem. Niektórzy skaldowie byli też sławnymi wojownikami oraz bohaterami sag (przyp. red.).

[11] Visy (od stskand. *vísa* – strofa) – szereg strof o ujednoliconym metrum, który tworzą utwór o jednym temacie. Drapa (*drápa*) – bohaterska pieśń pochwalna, często na cześć zlecniodawcy – możnego, króla. Składała się przynajmniej z 24 strof i jej forma była uważana za najkunsztowniejszą (przyp. autora i red.).

[12] Półlegendarny władca, mający żyć na przełomie VIII i IX wieku w Norwegii. Według islandzkich sag był dziadkiem króla Haralda Pięknowłosego (przyp. autora).

[13] Karły (stskand. l.poj. *dvergr*, l.mn. *dvergar*) – małe stworzenia podziemne, sławne z fizycznej i magicznej władzy nad metalami i innymi skarbami ziemi, a także sztuki kowalskiej i jubilerskiej (przyp. red.).

[14] Niding (stskand. *niðing*) – „nikczemnik, człowiek bez honoru” (przyp. red.).

[15] Irskmennir (stskand. l.poj. *irskmaðr*, l.mn. *irskmenn*) – „Irowie”, jak we wczesnym średniowieczu nazywano mieszkańców Irlandii. Skandynawowie pogardzali nimi, uważając za ubogich i tchórzliwych pastuchów (przyp. red.).

[16] Penig/pening – staroangielska nazwa pensów, czyli anglosaskich srebrnych monet odpowiadających frankijskim denarom. W skandynawskim systemie monetarnym 10 peningów (stskand. *peningr*) równało się 1 uncji srebra (stskand. *eyrir*) (przyp. red. i autora).

[17] Adalstein – staroskandynawska wersja imienia Aethelstana, króla Anglii w latach 924-939 (przyp. red.).

[18] *Nabid* – nazwa tego tajemniczego trunku występuje w relacji arabskiego podróżnika Ahmeda ibn Fadlana (X wiek), który twierdził, że nabid był pitym przez wikingów podczas uroczystości drogim i mocnym alkoholem wywołującym silne otępienie, zatem być może zawierającym grzyby albo zioła halucynogenne (przyp. red.).

[19] Pisane w wiekach IX-X przez mnichów irlandzkich kroniki nazywały skandynawskich najeźdźców *geinte* lub *genti* – „poganami” (przekształcenie słowa z łaciny średniowiecznej *gentiles* – „miejscowi, wieśniacy, poganie”) (przyp. red.).

[20] Słoniniec – inaczej steatyt lub kamień maślany; ze skały tej już od neolitu wytwarzano na terenie dzisiejszej Norwegii naczynia, szczególnie misy (przyp. red.).

[21] Wölwa (stskand. *völva*) – „wiedząca kobieta”, czyli wiedźma, a zarazem wieszczka i uzdrowicielka, często posługująca się czarami (przyp. red.).

[22] Kenning (stskand. *kenning*) – rodzaj skandynawskiej metafory zbudowanej co najmniej z dwóch rzeczowników, np. „koń morza” – statek

(przyp. red.).

[23] *Lausavísur* (stskand.) – lausavisy, krótkie wiersze o różnej tematyce, improwizowane w zależności od okoliczności (przyp. red.).

[24] Według wierzeń germańskich alkohol był napojem świętym, który dawał natchnienie poetyckie i sam był jego symbolem (przyp. red.).

[25] Hag (stskand. *hagr*) – „biegły, zręczny”. Często określano tak rzemieślników i skaldów (przyp. autora).

[26] Flokk (stskand. *flokkr*) – krótki, kilkuzwrotkowy utwór bez refrenu (przyp. red.).

[27] Englismadowie – skandynawska forma nazwy „Anglowie” czy też łącznie „Anglowie i Sasi”. Czyli „kraj Englismadów” to całość ziem brytyjskich zasiedlonych przez Anglosasów (przyp. red.).

[28] *Hnefatafl* (stskand.) – skandynawska gra planszowa. Tylko jeden z graczy miał króla, którego drugi gracz musiał otoczyć swoimi pionami, co kończyło grę (przyp. red.).

[29] Yule, Jule, Giuli (stskand. *jól*) – najhuczniejsze ogólnogermańskie święto, połączenie początku roku ze świętem zmarłych, obchodzone w środku zimy (od połowy grudnia do pierwszych dni stycznia), potem zaadaptowane przez Kościół jako okres od świętej Łucji, przez Boże Narodzenie do Trzech Króli (przyp. red.).

[30] Sagnamadowie (stskand. l.poj. *sagnamaðr*, l.mn. *sagnamenn*) – „ludzie opowieści”. Twórcy i opowiadacze historii, sag, którzy występowali publicznie podczas świąt i uroczystości. Potem nazwa kronikarzy, historyków (przyp. red.).

[31] Saks (stang. i stskand. *sax*) – archaiczny (używany w starożytności i na początku wczesnego średniowiecza) germański miecz jednosieczny o zamkniętym kabłąku. Później nazwę „saks” stosowano na określenie długich noży bojowych – jak opisane w tej scenie – a nawet dwusiecznych mieczy (przyp. red.).

[32] Sigurd Zabójca Fafnira (*Sigurðr fáfnisbani*) – znany skandynawski heros, któremu poświęcono kilka pieśni *Eddy starszej*, powstałych między X a XI wiekiem. Na motywach tych opowieści powstała również islandzka *Saga o Wölsungach* (XIII w.) i niemiecki epos *Pieśń o Nibelungach* (XIII w.). Jednym z głównych wątków tego cyklu jest zabicie przez Sigurda smoka i przejęcie jego przeklętego skarbu (przyp. autora).

[33] Maekir (stskand. *mækir*) – poetycki odpowiednik używanego w prozie (czyli w sagach) słowa *sverð* – „miecz” (przyp. red.).

[34] Einherjowie (stskand. l.mn. *einherjar*) – „pojedykujący się”. Polegli z bronią w rękach wojownicy, których Valfud w nagrodę za męstwo zabierał do swojego dworu, Gmaszyska Zarzniętych, gdzie ucztowali i ćwiczyli się w walce, aby wesprzeć bogów w boju końca świata z olbrzymami i potworami (przyp. red.).

[35] *Acquavitae* – średniowieczna łacińska nazwa różnego typu (produkowanych ze zboża, z ponownie fermentowanego wina itd.) napojów wysokoprocentowych. Później synonim gorzałki, wódki (przyp. red.).

[36] Vet (stskand. *vetr*) – „zima” (przyp. red.).

[37] Bondi (stskand. l.poj. *bónði*; l.mn.: *bændr*) – gospodarz, często majątny. Spośród bondów wywodziła się spora część tych wikingów, których było stać na kupno własnego wyposażenia bojowego (przyp. red.).

[38] *Miðr vetr* (stskand.) – „środek zimy” (przełom grudnia i stycznia), kiedy hucznie odprawiano święto Yule (przyp. red.).

[39] *Vár* (stskand.) – „wiosna”. Z utęsknieniem oczekiwana, zwłaszcza przez ludzi morza, ponieważ zimowe sztormy uniemożliwały żeglugę (przyp. red.).

[40] *Dísablót* (stskand.) – „ofiara dla dis”. Kończące zimę i rozpoczynające wiosnę (luty-marzec) święto zasiewów, poświęcone disom jako boginiom płodności. Drugie disablót odprawiano na przełomie jesieni i zimy (październik) w formie dożynek (przyp. red.).

[41] *Godi* (stisl. *goði*) – na Islandii przywódca dużego obszaru osadniczego (przyp. red.).

[42] Seidmadowie (stskand. l.poj. *seiðmaðr*, l.mn. *seiðmenn*) – „mężczyźni używający *seiðr*”. Czarownicy, którzy posługiwali się „niegodnymi” czarami typu *seiðr*, które były ściśle związane z magią płodności i śmierci. Potrafili wprawiać się w trans podobny do szamańskiego (przyp. red.).

[43] *Trollskap* (stskand. *trollskapr*) – „zakłęcie trollej postaci”. Rodzaj czarów przypisywany trollom i niektórym ludzkim wiedźmom oraz czarownikom. Tutaj nawiązanie do islandzkich opowieści o trollicach porwujących młodych mężczyzn w celach seksualnych (przyp. red.).

[44] Do dziś Islandia jest znana jako kraina, gdzie w każdym kamieniu, każdej skale, każdej górze mieszkają pokraczne, złe potwory trolle lub jaśniejące, wesołe, ale czasami niebezpieczne duchy alfy (przyp. red.).

[45] *Thegn* (stskand. *þegn*) – „drużynnik”. Termin bliski drottmadowi i drengowi, a tutaj: wolny wojownik do wynajęcia (przyp. red.).

[46] Mianem Austmadów (stskand. l.poj. *Austmaðr*, l.mn. *Austmenn*), czyli Ludzi ze Wschodu, Islandczycy określali wszystkich obcych Skandynawów

przybywających na ich wyspę. Miano to nie miało związku z pochodzeniem Ainara z Östlandu (Wschodniej Ziemi), leżącego w południowo-wschodniej Norwegii (przyp. autora).

[47] Höfding (stskand. *höfðingi*) – „naczelnik”. Przywódca pewnego obszaru lub wódz wikiński, także dużej floty (przyp. red.).

[48] Althing (stskand. *alþingi*) – „wiec ogólny”. Thing (wiec) dla mieszkańców całej Islandii (przyp. red.).

[49] Lögsögumað (stisl. *lögsögumaðr*) – „głosiciel prawa”, przewodniczący „rady prawnej” (*lögrétta*). Na islandzkim Althingu człowiek ten wygłaszał całość praw wyspy. W kwestiach spornych właśnie do niego należało wydawanie wyroków, miał więc ogromną władzę (przyp. red.).

[50] Najpotężniejszy, silnie rozgałęziony i panujący w wielu małych iryjskich państwach ród królewski z północnej i środkowej Irlandii (przyp. red.).

[51] Askmaðowie (stskand. l.poj. *askmaðr*, l.mn. *askmenn*) – „ludzie jesionu”, przenośna nazwa wojów, żeglarzy, piratów, łupieżców (przyp. red.).

[52] *Þáttr* (stisl.) – krótka opowieść, według dzisiejszych standardów porównywalna z opowiadaniem lub nowelą (przyp. red.).

[53] Romverjowie (stskand. *Rómverjar*) – „Rzymianie”, zatem ich język to łacina (przyp. red.).

[54] Morze Północne, Morze Norweskie, Morze Bałtyckie oraz część Oceanu Atlantyckiego, czyli wody otaczające ziemie zamieszkiwane przez Skandynawów, były nazywane przez nich po prostu *Haf*, czyli „Morze”, które to pojęcie ja określam w tej książce terminem „Wielkie Morze”. Wikingowie znali również pojęcie „Oceanu” (*Aegir*), obejmujące całość mórz świata. Z kolei akwenom bardziej oddalonym od ich siedzib nadawali odrębne nazwy,

co można zobaczyć na załączonej do książki mapce (przyp. autora).

[55] *Kristrmaðr* (stskand.) – „człowiek Chrystusa”, chrześcijanin (przyp. red.).

[56] W islandzkiej *Sadze o Grettirze* (XIII/XIV w.) tytułowy bohater obraża pewną zjawę, „pokazując jej palec”. Jest to pierwsze w dziejach opisanie tego gestu, choć w tekście nie wyszczególniono, czy Grettir pokazał jej akurat środkowy palec (przyp. autora).

[57] *Ale* (stang.) – dawna angielska nazwa jednego z rodzajów piwa, pokrewna podobnym określeniom staroskandynawskim (przyp. red.).

[58] Gardariki (stskand. *Garðaríki*) – „Królestwo Grodów”. Skandynawska nazwa Rusi. A że Ruś leżała na wschodzie, więc tam też przesunęła się burza, której władcą był bóg Thor (tutaj: Magni), pogromca olbrzymów i trolli (przyp. red.).

[59] *Morðvarg* (stskand.) – „morderca”, a dosłownie: „wilk/banita mordu” (przyp. red.).

[60] Serkirowie (stskand. l.mn. *Serkir*) – Arabowie, Saraceni (przyp. red.).

[61] Inną nazwą tego drzewa w mitologii nordyckiej jest Yggdrasil (przyp. autora).

[62] W mitologii nordyckiej Magni pojawia się jako syn Thora. Część religioznawców uważa jednak, że należy go traktować tylko jako personifikację najważniejszej cechy Thora, czyli siły. Takie też założenie przyjąłem w książce, gdzie Magni pełni funkcję boga burz, a że Thor był w mitach synem Odyna, więc u mnie Magni stał się synem Göllnira (przyp. autora).

[63] Gefna (stskand. *Gefn*) – Dawczyni, to jedno z używanych w poezji skaldycznej imion Freji. Część religioznawców przypuszcza, że pierwotnie Gefna mogła być oddzielną od Freji boginią związaną z kultem płodności (przyp. autora).

[64] Był znany w źródłach również pod imieniem Fenrir. Część badaczy uważa, że jednym z jego wcieleń był mityczny wilk (pies) Garm (przyp. autora).

[65] Innym bardziej znanym imieniem tej bestii jest Midgardsorm, czyli Wąż Midgardu (przyp. autora).

[66] Religioznawcy nie znają pierwotnej formy mitu o prawicy Tyra. Znana jest tylko jego późna wersja, przedstawiona przez Snorrego Sturlusona (XIII w.), według której Tyr stracił rękę, gdy bogowie chcieli spętać Fenrira (przyp. autora).

[67] W mitologii nordyckiej znane były trzy siostry – Norny, o imionach: Urd (Przeszłość), Verdandi (Teraźniejszość) i Skuld (Przyszłość). Z racji podobieństwa tych sióstr do greckich Mojr i rzymskich Parek, jest bardzo prawdopodobne, że są wymysłem Snorrego Sturlusona (XIII w.), wzorującego się na mitologii klasycznej. W czasach wikingów znano natomiast liczne norny, będące rodzajem boskich szwaczek przeznaczenia o bliżej nieustalonych prerogatywach (przyp. autora).

[68] Disy, fylgje i hamingje były w mitologii nordyckiej duchami opiekuńczymi, związanymi z losem i szczęściem człowieka. Już średniowieczni autorzy nagminnie mylili je ze sobą, więc współczesne próby rozróżnienia tych istot w równym stopniu opierają się na wiedzy źródłowej jak na wyobraźni badaczy. W niektórych źródłach disami określane były także walkirie (przyp. autora).